

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową

Konfesjonał to miejsce, do którego zwykle przychochodzą ludzie, by zrzucić z siebie brzemię grzechów. Ksiądz Tom przeżywa jednak chwilę grozy, kiedy się okazuje że spowiada psychopatycznego mordercę, któremu przyświeca zgoła inny cel. Nieznajomy zjawia się bowiem w konfesjonale, by chełpić się zbrodnią, a co więcej - by zapowiedzieć kolejną, której ofiarą ma być nie kto inny, jak Laurent, ukochana młodsza siostra księdza Toma.

Agent FBI i ksiądz... Trudno wyobrazić sobie ludzi bardziej się od siebie różniących. Mimo to ksiądz Toma i agenta Nicholasa Buchanana od lat łączy prawdziwa męska przyjaźń. Nic więc dziwnego, że kiedy najbliższej osobie księdza Toma grozi niebezpieczeństwo, zwraca się on do przyjaciela.

Nicholas Buchanan nie waha się ani chwili •jmując na siebie rolę ochroniarza siostry przyjaciela. Tyle tylko, że nie wie jeszcze, jak bardzo jest atrakcyjna i jak bardzo uparta.

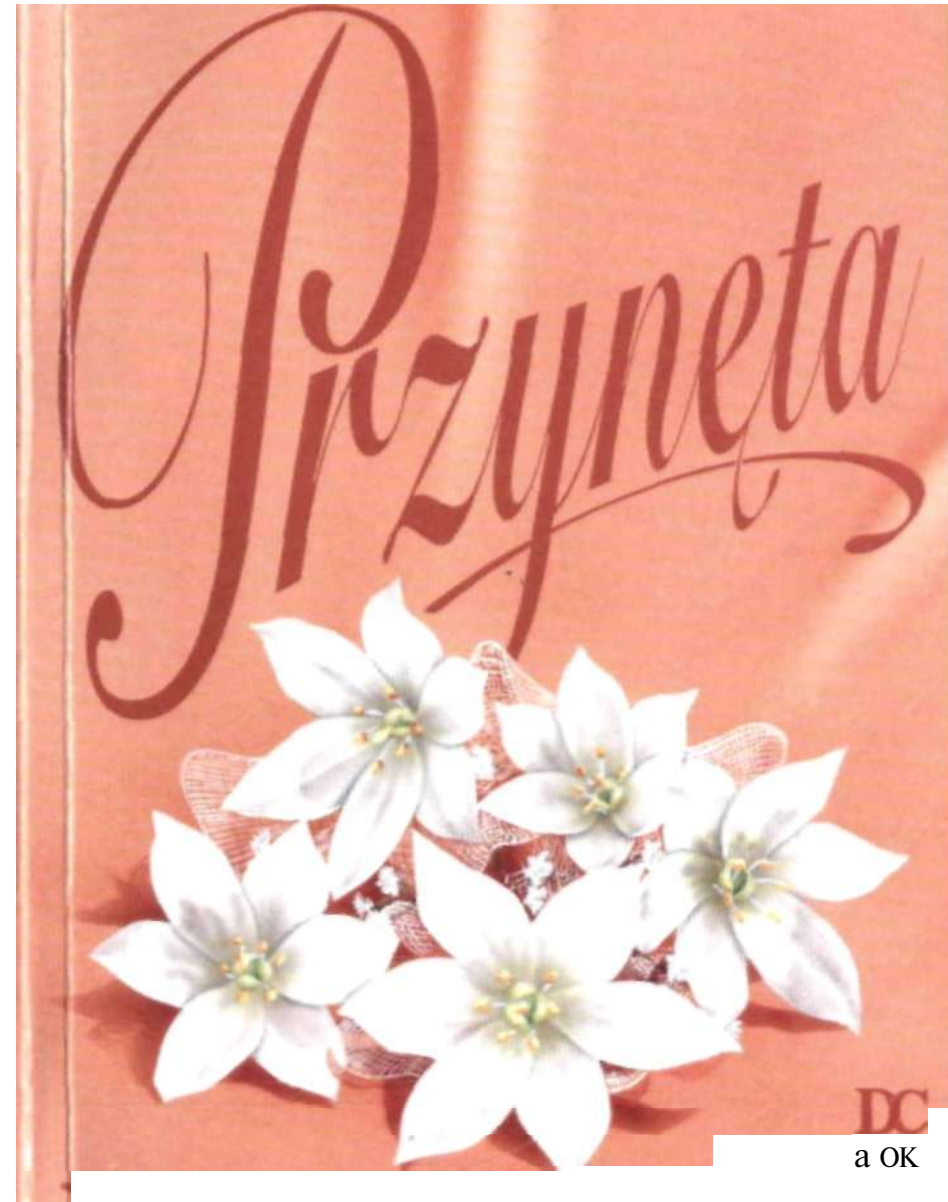
Julie Garwood, obok Amandy Quick i Jude Deveraux, należy do czołówki autorek romansów historycznych. Niemal wszystkie jej książki trafiły na listy „New York Timesa”, osiągając w samych tylko Stanach Zjednoczonych kilkumilionowe nakłady.

Nakładem Wydawnictwa Da Capo ukażą się sie powieści Julie Garwood.

ISBN 83-7157-522-X



9 788371 575228



fuLiE GARWOOD

Tytuł oryginału
HEARTBREAKER

Copyright © 2000 by Julie Garwood

Koncepcja serii
Marzena Wasilewska-Ginalska

Ilustracja na okładce
Robert Pawlicki

Opracowanie graficzne okładki
Sławomir Skryśkiewicz

Skład i łamanie
„Kolonel”

For the Polish translation
Copyright © 2000 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition
Copyright © 2000 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-7157-522-X

DRUKARNIA GS: Kraków, tel. (012)65 65 902

Mojemu synowi, Gerry'emu

To, co jest za nami, i to, co jest przed nami, stanowi
doprawdy drobiazg w porównaniu z tym, co jest
w nas.

Ralph Waldo Emerson

*Niech Twój nieskrępowany entuzjazm przyniesie Ci
wielką radość z tego, co osiągasz;
Niech Twój niezłomny duch prowadzi Cię zawsze do
walki w dobrej sprawie;
Niech Twoje serce sprawi, że bidzie będą odwzajemniać
Ci miłość.*

Geny, jestem z Ciebie taka dumna!

1

w konfesjonale panował żar gorszy niż w piekle. Gruba czarna zasłona, ciężka od kurzu, który powbijał się w nią przez lata nieczyszczenia, zakrywała wąskie wejście od samej góry po pokancerowany drewniany parkiet, blokując dostęp światła i świeżego powietrza.

W środku było trochę tak jak w trumnie, którą ktoś niefrasobliwie oparł pionowo o ścianę, toteż ojciec Thomas Madden gorąco dziękował Bogu, że nie ma klaustrofobii. Coraz bardziej jednak doskwierał mu żar. Powietrze było duszne, parne, a jego oddech urywany jak wówczas, gdy na stadionie pokonywał ostatni metr boiska, ściskając piłkę pod pachą. Wtedy nie zwracał uwagi na ogień w płucach i teraz też niewiele sobie z tego robił. Była to po prostu część jego pracy.

Starzy księża powiedzieliby mu, by ofiarował swe cierpienie Bogu za dusze pokutujące w czyśćcu. Tom nie widział w tym nic złego, choć nurtowało go, w jaki sposób jego złe samopoczucie mogłoby przynieść ulgę komukolwiek innemu.

Zmienił pozycję na twardej dębowej ławie, zupełnie jak chłopiec z chóru podczas niedzielnej próby. Czuł, że pot spływa mu po policzkach i dalej po karku pod sutannę. Długa czarna szata była już przemoczona, toteż Tom bardzo wątpił, czy nadal pachnie mydłem Irish Spring, którego używał tego ranka pod prysznicem.

Na dworze, w cieniu rzucanym przez ganek plebanii, temperatura wynosiła około trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, co wskazywał termometr przytwierdzony do pobielonej kamiennej ściany. Najgorsza była jednak duża wilgotność powietrza; to przez nią nieszczęśnicy, którzy musieli opuścić swoje klimatyzowane domy i dokąds iść, ledwie powłóczyli nogami i z byle powodu wybuchali złością.

Że też akurat tutaj musiały nawalić klimatyzacja. Naturalnie

były w kościele okna, ale te, które nadawały się do otwierania, dawno już zabito gwoździami w próżnym wysiłku zabezpieczenia się przed wandalami. Dwa pozostałe znajdowały się wysoko, w złoconej kopule. Zdobiły je witraże, przedstawiające archaniołów Gabriela i Michała z lśniącymi mieczami w dłoniach. Gabriel z natchnionym wyrazem twarzy wpatrywał się w niebo, Michał miażdżył wzrokiem węże, które wiły się u jego nagich stóp. przygwożdżone czubkiem miecza do ziemi. Wierni uważali te witraże za bezcenne dzieła sztuki, zachęcające do modlitwy, w walce z upałem były one jednak bezużyteczne. Dodano je dla ozdoby, nie dla poprawienia wentylacji.

Tom był wysokim, krzepkim mężczyzną z byczym karkiem, który stanowił pamiątkę po dniach chwały na stadionach, ale skórę miał wrażliwą jak niemowlę. Od upału pojawiła się na niej piekaca wysypka. Poddarł więc sutannę aż po uda, tak że wystawały spod niej czerwono-białe bokserskie spodenki, które dostał w prezencie od swojej siostry, Laurant, strzepnął z nóg zaplamione farbą gumowe klapki i wsadził sobie do ust kostkę balonowej gumy do żucia.

Chciał być uprzejmy i skończyło się to dla niego sauną. Czekając na wyniki badań, które miały zdecydować o tym, czy będzie się musiał poddać następnej serii zabiegów chemoterapeutycznych w Kansas University Medical Center, gościł u księdza prałata McKindry'ego, proboszcza w kościele Matki Boskiej Łaskawej, Parafia znajdowała się na peryferiach Kansas City, kilkaset mil na południe od Holy Oaks w stanie Iowa, gdzie Tom odprawiał na co dzień swą kapłańską posługę. Straż miejska oficjalnie uznała tę okolicę za strefę wpływów gangów. W sobotnie popołudnia ksiądz prałat regularnie słuchał spowiedzi parafian, ale ze względu na upał, wiek prałata, zepsutą klimatyzację i nakładające się zajęcia - ksiądz McKindry szykował się bowiem do spotkania ze swymi dwoma przyjaciółmi z seminarium w opactwie Wniebowzięcia - Tom zaproponował, że wyreczy gospodarza w spełnieniu tego obowiązku. Sądził, że przyjdzie mu siedzieć twarzą w twarz z penitentami w pokoiku na plebanii, gdzie można było otworzyć okna, McKindry jednakże honorował życzenia swych parafian tradycyjnalistów, którzy upierali się przy przyjętym od wieków sposobie słuchania spowiedzi. Tom dowiedział się o rym poniewczasie, gdy ksiącielny, Lewis, zaprowadził go do ciasnego konfesjonału, w którym miał spędzić półtorej godziny.

W dowód wdzięczności ksiądz prałat pożyczył mu małą przydai-

ny wentylatorek na baterie, który jeden z parafian położył na tacy podczas zbiórki pieniędzy. Gadżet był nie większy od ludzkiej dłoni. Tom ustawił go więc tak, by strumień powietrza padał prosto na twarz, i zaczął czytać ostatnie wydanie „Holy Oaks Gazette”, które wzięł ze sobą do Kansas City.

Otworzył gazetę na drugiej stronie z kolumną towarzyską, która zawsze go interesowała. Najpierw zerknął na sztamkowe nowiny klubowe i nieliczne ogłoszenia, z których dwa dotyczyły urodzin, trzy - zaręczyn, a jedno - ślubu. Potem zatrzymał wzrok na swojej ulubionej rubryce, zatytułowanej „W mieście”. Podtytuł niezmiennie dotyczył bingo. Zawsze podawano liczbę ludzi, którzy wzięli udział w ostatniej sesji gry, a także nazwiska szczęśliwców wyróżnionych dwudziestopięciodolarowymi premiami. Dalej następowały wywiady; każdy z wygrywających opowiadał, co zamierza zrobić z niespodziewanym darem losu. Zawsze też rabin David Spears, organizator cotygodniowych sesji bingo, opowiadał, jak znakomicie wszyscy się bawili. Tom podejrzewał, że redaktorka kolumny towarzyskiej, Lorna Hamburg, w tajemnicy ostrzy sobie zęby na rabina Dave'a, który był wdowcem, i dlatego bingo zajmuje tak poczesne miejsce w gazecie. Rabin tydzień w tydzień mówił to samo, a Tom niezmiennie pokpiwał sobie z niego, gdy w środowe popołudnia grywali w golfa. Dave przeważnie rozbijał go na miazgę, dlatego nie protestował przeciwko tym dobrotliwym kpinkom, twierdził jednakże, że w ten sposób Tom odwraca uwagę od swych beznadziejnych wyników.

Reszta kolumny służyła powiadomieniu całego miasta o tym, kogo zalicza się do dobrego towarzystwa, a jeśli akurat brakowało świeżych wiadomości, Lorna zapełniała wolną przestrzeń przepisami kulinarnymi.

W Holy Oaks nie było sekretów. Na pierwszej stronie pisano o planowanej modernizacji rynku i zbliżających się obchodach setnej rocznicy założenia opactwa Wniebowzięcia. Była też życziwa wzmianka o siostrze Toma. Dziennikarz nazwał ją niezmordowaną i zawsze uśmiechniętą pomocnicą, a potem dość szczegółowo opisał jej wkład w przygotowanie obchodów. Nie dość, że gromadziła przedmioty, które miały być sprzedane na aukcji dobroczynnej, to jeszcze zobowiązała się przenieść wszystkie dane z zakurzonych kartotek do komputera, które opactwo niedawno otrzymało w darze. W dodatku wolne chwile chciała poświęcić na tłumaczenie francuskojęzycznych dzienników niedawno zmar-

łego duchownego, ojca Henri VanKirka. Kończąc czytać superlatywy pod adresem siostry, Tom zachichotał pod nosem. W rzeczywistości do żadnej z tych prac Laurant nie zgłosiła się na ochotnika. Tak się jednak składało, że przechodziła w pobliżu akurat wtedy, gdy on wpadał na różne dobre pomysły, a że była wyjątkowo wspaniałomyślna, ani razu mu nie odmówiła.

Zanim skończył czytać resztę wiadomości, przesiąknięta potem koloratka kleiła mu się do szyi. Odłożył gazetę na twarde siedzenie, znowu otarł czoło i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zamknąć kramu kwadrans wcześniej.

Odrzucił jednak tę myśl prawie natychmiast. Wiedział, że gdyby wyszedł przedwcześnie z konfesjonału, zostałyby niemiłosiernie zbesztany przez prałata, a po dniu spędzonym na ciężkiej pracy fizycznej zupełnie nie był w nastroju do wysłuchiwanie pouczeń. Raz na kwartał, w pierwszą środę miesiąca, którą zwał w myślach popielcem, odwiedzał prałata McKindry'ego, starego Irlandczyka ze złamanym nosem i twarzą pooraną bruzdami, który nigdy nie tracił okazji, by w ciągu następnego tygodnia wycisnąć z gościa siódme poty. McKindry był obcesowy i szorstki, ale miał złote serce i miłosierną naturę, nieskażoną jednakże sentymentalizmem. Żywił niezłomne przekonanie, że próżnowanie jest domeną diabła, co było tym bardziej uzasadnione, że plebania pilnie potrzebowała malowania. Ciężka praca, powtarzał stanowczo, lecz z wszystkiego, nawet z raka.

Czasem Tomowi trudno było sobie przypomnieć, dlaczego tak go lubi i czuje z nim duchowe pokrewieństwo. Może była to kwestia domieszki irlandzkiej krwi, płynącej w żyłach tak jednego, jak i drugiego. A może sprawiała to filozofia staruszka, któremu przekonanie, że tylko głupcy płaczą nad rozlanym mlekiem, pomogło przetrzymać więcej życiowych prób, niż dane było Hiobowi. Zmagania Toma z chorobą były bulką z masłem w porównaniu z tym, co musiał znieść McKindry.

Tom zrobiłby wszystko, byle mu ulżyć. Prałat bardzo się cieszył na ponowne spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Jednym z nich był opat James Rockhill, przełożony Toma w opactwie Wniebowzięcia, a drugim - ksiądz Vincent Moreno, którego Tom nie znał osobiście. Ani Rockhill, ani Moreno nie zamierzali korzystać z gościn] plebanii u Matki Boskiej Łaskawej, woleli bowiem znacznie bardziej luksusowe warunki w parafii Świętej Trójcy, to znaczy ciepłą wodę lejącą z kranu dłużej niż pięć minut i centralnie

sterowaną klimatyzację. Parafia Świętej Trójcy znajdowała się w samym centrum satelickiego osiedla Kansas City, wybudowanego po drugiej stronie granicy stanów Kansas i Missouri. McKindry żartobliwie nazywał ją parafią Matki Boskiej Lexuskiej, a sądząc po liczbie eleganckich samochodów, zaparkowanych co niedziela przed kościołem, przydomek był jak najbardziej uzasadniony. W parafii McKindry'ego niewielu wiernych miało samochody. Najczęściej przychodzili do kościoła pieszo.

Tomowi zaczęło burczeć w brzuchu. Było mu gorąco, czuł, że cały się lepi, a do tego chciało mu się pić. Koniecznie musiał wziąć prysznic, a potem wypić zimne jasne. Siedział tu i prażył się jak indyk w piecu, a tymczasem nawet pies z kulawą nogą nie przyszedł do spowiedzi. Tomowi wydawało się zresztą, że w całym kościele nikogo nie ma, może z wyjątkiem Lewisa, który lubił chować się w składziku za przedsionkiem i po kryjomu pociągać tandetną whisky, schowaną w skrzynce z narzędziami. Tom spojrzął na zegarek; przekonał się, że zostało mu jeszcze tylko kilka minut dyżuru, i doszedł do wniosku, że ma dość. Zgasił lampkę nad konfesjonałem i właśnie chciał odchylić zasłonę, gdy usłyszał charakterystyczny świst powietrza, jaki dobywa się z poduszki kłęcznika pod naporem ciężaru. Po stronie penitenta rozległo się dyskretne kasznięcie.

Tom natychmiast się wyprostował, wyjął gumę z ust i schował do opakowania, potem schylił głowę w modlitewnym geście i podniósł drewnianą płytkę, która zasłaniała kratkę.

- W imię Ojca i Syna... - zaintonował cichym głosem, wykonując znak krzyża.

Przez kilka następnych sekund panowała cisza. Widocznie penitent zbierał myśli albo odwagę potrzebną do wyznania grzechów. Tom poprawił stulę na szyi i cierpliwie czekał, co nastąpi.

Przez kratkę doleciał go zapach Obsession, wody kolońskiej Calvina Kleina. Natychmiast poznał ten charakterystyczny, ciężki, słodkawy aromat, bo taką samą wodę dostał na ostatnie urodziny od swej gospodyni w Rzymie. Penitent wyraźnie przesadził. Zapach kosmetyku w połączeniu z pleśnią i potem tworzył odór trudny do wytrzymania. Tomowi zdawało się, że próbuje oddychać z głową wsuniętą do plastikowej torby. Żołądek podszedł mu do gardła. Z największym trudem powstrzymał odruch wymiotny.

- Jesteś tam, ojcze?

- Jestem - odszepnął. - Gdy będziesz gotów wyznać grzechy, możesz zacząć.

- To jest dla mnie... trudne. Ostatnio spowiadałem się rok temu. Nie dostałem wtedy rozgrzeszenia. Czy teraz, ojcze, je dostanę?

Dziwnie śpiewne brzmienie głosu i kpiący ton natychmiast wzbudziły czujność Toma. Czy penitent jest po prostu zdenerwowany tym, że tak dawno się nie spowiadał, czy może celowo usiłuje sprawić wrażenie aroganckiego?

- Nie dostałeś rozgrzeszenia?

- Nie, ojcze. Wprawiłem spowiednika w gniew. Z tobą będzie podobnie, ojcze. To, co mam do wyznania, wstrząśnie tobą. I wtedy też wybuchniesz gniewem, tak jak twój poprzednik.

- Nic, co powiesz, nic może mną wstrząsnąć ani wprawić mnie w gniew - zapewnił go Tom.

- Ojciec słyszał już wszystko, co można usłyszeć, tak?

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, penitent szepnął znowu:

- Czuj nienawiść do grzechu, nie do grzesznika. - Kpiący ton stał się jeszcze wyraźniejszy.

Tom zdrętwiał.

- Może zaczniesz spowiedź, synu?

- Tak - odrzekł nieznajomy. - Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszę znowu.

Skonsternowany Tom pochylił się do kratki i poprosił penitenta, żeby zaczął spowiedź jeszcze raz.

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszę znowu.

- Chcesz wyznać grzech, który dopiero popełnisz?

- Tak.

- Czy to jest jakaś zabawa, czy...?

- Nie, nie zabawa - odparł mężczyzna. - Jestem śmiertelnie poważny. Czy już wzbiera w tobie gniew?

Przez kratkę doleciał chrapliwy rechot, który zabrzmiał jak wystrzały w nocy.

Tom bardzo się pilnował, by zachować obojętny ton głosu, gdy odpowiadał:

- Nie wzbiera we mnie gniew, ale niczego nie rozumiem. Z pewnością wiesz, że nie możesz dostać rozgrzeszenia za grzechy, nad których popełnieniem dopiero się zastanawiasz. Miłosierdzie jest dla tych, którzy uznali swoje błędy i szczerze ich żałują. Którzy chcą zadośćuczynić za swoje grzechy.

- Och, ojcze, jeszcze nie wiesz, o jakie grzechy chodzi. Jak możesz odmówić mi rozgrzeszenia?

- Nazwanie tych grzechów niczego nie zmienia.

- Owszem, zmieni. Rok temu dokładnie opowiedziałem innemu księdzu, co zamierzam zrobić, ale mi nie uwierzył, a potem było już za późno. Nie popełnij tego samego błędu.

- Skąd wiesz, że ksiądz ci nie uwierzył?

- Nie próbował mnie powstrzymać. Stąd wiem.

- Jak długo jesteś katolikiem?

- Od urodzenia.

- Wobec tego wiesz, że poza konfesjonałem ksiądz nie może pamiętać o grzechu ani o grzeszniku. Tajemnica spowiedzi jest święta. Jak tamten ksiądz miałby cię powstrzymać?

- Mógł znaleźć jakiś sposób. Wtedy... wtedy jeszcze praktykowałem i byłem ostrożny. Mógł mnie łatwo powstrzymać, więc to jego wina, a nie moja. Teraz to samo będzie bardzo trudne.

Tom gorączkowo usiłował znaleźć sens w słowach nieznajomego. Praktykował? Co praktykował? I jakiemu grzechowi mógł zapobiec tamten ksiądz?

- Myślałem, że mogę nad tym zapanować - powiedział mężczyzna.

- Nad czym?

- Nad żądzą.

- Jaki grzech wyznałeś?

- Miała na imię Millicent. Takie ładne staroświeckie imię, nie sądzisz, ojcze? Przyjaciele nazywali ją Millie, ale ja nie. O niebo wolałem Millicent. Naturalnie nie byłem dla niej nikim, kogo nazwałaby przyjacielem.

W stęchłym powietrzu rozległ się następny wybuch śmiechu. Tom miał czoło pokryte warstewką potu, ale nagle zrobiło mu się zimno. To nie był dowcipniś. Tom bał się tego, co miał usłyszeć. a jednak musiał zadać pytanie.

- Co stało się z Millicent?

- Złamałem jej serce.

- Nie rozumiem...

- A jak myślisz, co się z nią stało? - spytał mężczyzna, wyraźnie zniecierpliwiony. - Zabiłem ją. Strasznie to wyglądało. Krew była wszędzie, cały się zachlapałem. Wtedy brakowało mi doświadczenia, nie miałem odpowiedniej techniki. Poszedłem do spowiedzi jeszcze za jej życia. Dopiero wszystko planowałem

i ksiądz mógł być mnie powstrzymać, ale tego nie zrobił. Wyznałem mu, co zamierzam zrobić.

- Powiedz mi, jak można cię było powstrzymać?
 - Modlitwą - odrzekł lekceważąco. Powiedziałem mu, żeby się za mnie modlił. Ale widocznie modlił się nie dość żarliwie. Przecież ją zabiłem. Szkoda, naprawdę. To była taka urocza istotka... o wiele bardziej urocza niż inne.

Wielki Boże, czy były jeszcze inne kobiety? Ile?

- Ile zbrodni po...?
 - Grzechów, ojciec - przerwał Tomowi nieznajomy. - Popełniałem grzechy, ale może bym się oparł pokusie, gdyby tamten ksiądz mi pomógł. Nie chciał mi dać tego, czego potrzebowałem.

- To znaczy?
 - Rozgrzeszenia i zrozumienia. Odmówił mi i jednego, i drugiego.

Niespodziewanie mężczyzna wyrznął pięścią w kratkę konfesjonału. Wściekłość, która musiała się w nim kotłować tuż pod powierzchnią, wybuchła. Zaczął z groteskową dokładnością opisywać, co zrobił nieszczęsnej i niewinnej Millicent.

Toma ogarnęła trwoga. Wielki Boże, co miał zrobić?! Niedawno chętnie zapowiedział, że nic nim nie wstrząśnie ani nie wprawi go w gniew, ale na pewno nie spodziewał się opisu zwyrodniałstwa, który sprawiał obcemu niewysłowioną rozkosz.

Czuj nienawiść do grzechu, nie do grzesznika.

- Naprawdę miałem na nią chętkę - szepnął szalenięc.
 - Ile kobiet jeszcze zabiłeś?
 - Millicent była pierwsza. Innymi też byłem zauroczony, a kiedy mnie rozczarowały, musiałem je skrzywdzić, ale żadnej nie zabiłem. Po tym, jak spotkałem Millicent, wszystko się zmieniło. Długo ją obserwowałem. Była taka... doskonała. - Jego głos przeszedł w charczenie. - Ale zdradziła mnie, tak samo jak inne. Myślała, że może grać z innymi mężczyznami, a ja tego nie zauważę. Nie mogłem pozwolić, żeby mnie tak dręczyła. Nie, na to za nic bym nie pozwolił - stwierdził bardziej stanowczo, - Musiałem ją ukarać.

Wydał głośne, aktorskie westchnienie, a potem zachichotał.

- Zabiłem tę małą sukę dwanaście miesięcy temu i pochowałem ją głęboko, naprawdę głęboko. Nikt nigdy jej nie znajdzie. O nie, panie. A potem nie było już dla mnie odwrotu. Nie miałem pojęcia, jak bardzo podniecające jest zabijanie. Kazałem Millicent błagać o litość i błagała. Na Boga, jak błagała. -

Zarechotał. - Darła się jak prosię, och, jak mi się to podobało. Strasznie mnie podnieciła. Nawet nie myślałem, że można się tak podniecić. No, więc musiałem dopilnować, żeby jeszcze powrzeszczała. Kiedy z nią skończyłem, rozsadała mnie radość. I co, ojciec, nie zapytasz mnie, czy żałuję swoich grzechów?

- Nie. W tobie nie ma skruchy.

Cisza jeszcze potęgowała duchotę w konfesjonale. Ale wkrótce znów rozległ się syczący głos:

- Żądza wróciła.

Ramiona Toma okryły się gęsią skórka.

- Są ludzie, którzy mogą...

- Myślisz, że powinno się mnie zamknąć? Karzę tylko te kobiety, które mnie krzywdzą, więc zrozumiem, że za nic nie ponoszę winy. Pewnie sądzisz, że jestem chory, prawda? To jest spowiedź, ojciec. Musisz mówić prawdę.

- Tak, sądzę, że jesteś chory.

- Och, mylisz się. Jestem tylko oddany sprawie.

- Są ludzie, którzy mogą ci pomóc.

- Jestem bardzo sprytny. Nie będzie łatwo mnie powstrzymać. Zawsze zbieram informacje, zanim się zajmę klientką. Wiem wszystko o jej rodzinie i przyjacielach. Wszystko. Tak, tym razem będzie mnie dużo trudniej powstrzymać, ale postanowiłem jeszcze bardziej utrudnić sobie zadanie. Widzisz? Nie chcę grzeszyć. Naprawdę nie chcę. - Jego głos znowu zabrzmiał śpiewnie.

- Posłuchaj mnie - odezwał się Tom błagalnym tonem. - Odejdź od konfesjonału, usiądźmy razem w pobliżu i wszystko dokładnie omówimy. Chcę ci pomóc, jeśli tylko mi na to pozwolisz.

- Nie. Pomocy potrzebowałem przedtem i wtedy mi jej odmówiono. Daj mi rozgrzeszenie.

- Nie dam.

Mężczyzna westchnął przeciągle.

- Dobrze - powiedział. - Tym razem zmienię reguły. Masz ode mnie pozwolenie, możesz opowiedzieć o tym komu tylko chcesz. Widzisz, jaki potrafię być układny?

- To nie ma znaczenia, czy dasz mi pozwolenie. Ta rozmowa musi pozostać poufna. Trzeba dochować tajemnicy spowiedzi, jeśli ma być szczerą.

- Bez względu na to, co wyznam?

- Bez względu na to.

- Żądam, żebyś o tym opowiedział.

- Możesz żądać, co chcesz, ale to niczego nie zmienia. Nie mogę nikomu powiedzieć, co od ciebie usłyszałem, i nie zrobię tego.

Na chwilę zapadło milczenie, potem nieznajomy zachichotał.

- Książd mający skrupuły. Niesamowite. Hmm. Co za rozterka! Ale nic się nie martw, ojcze. Jestem dziesięć kroków przed tobą. Tak, panie.

- Jak to?

- Mam nową klientkę.

- Wybrałeś następną...

- Władze już powiadomiłem - przerwał mu szaleniec. - Wkrótce dostaną mój list. Oczywiście wysłałem go, jeszcze zanim się przekonałem, że będziesz tak się upierał przy swoich zasadach. W każdym razie ładnie postąpiłem, nie sądzisz? Wysłałem do nich uprzejmy liścik i wyjaśniłem, co zamierzam. Szkoda tylko, że zapomniałem go podpisać.

- Czy podałeś nazwisko osoby, którą zamierzasz skrzywdzić?

- Skrzywdzić? Cóż za dziwne słowo na określenie morderstwa. Tak, podałem.

- Czyli następna kobieta - przerwał mu Tom.

- Interesują mnie tylko kobiety.

- Czy w liście wyjaśniłeś, dlaczego chcesz zabić tę właśnie kobietę?

- Nie.

- Masz powód?

- Tak.

- Podaś mi go?

- Praktyka, ojcze.

- Nie rozumiem.

- Praktyka czyni mistrza. Ta kobieta jest jeszcze bardziej wyjątkowa niż Millicent. Otaczam się jej zapachem, uwielbiam jej się przyglądać, gdy śpi. Jest tak piękna. Spytaj mnie o nią, a kiedy już podam ci jej imię, możesz mi wybaczyć.

- Nie dam ci rozgrzeszenia.

- A jak przebiega twoja chemoterapia? Masz mdłości? Czy rokowania są dobre?

Tom poderwał głowę.

- Co? - prawie krzyknął.

Szaleniec zarechotał.

- Powiedziałem ci, że zanim wybiorę klientkę, zbieram o niej informacje. Można by powiedzieć, że ją śledzę - szepnął.

- Skąd wiesz...

- Och, Tommy, ale jesteś naiwniak. Czy nie zastanowiło cię, po co pojechałem za tobą taki kawał drogi, żeby wyznać grzechy właśnie tobie? Pomyśl o tym w drodze powrotnej do swojego opactwa. Odrobiłem lekcje, co?

- Kim jesteś?

- Jak to kim? Kimś, kto łamie serca. Uwielbiam trudne wyzwania. Postaraj się, żeby tym razem było mi trudno. Wkrótce przyjedzie tu do ciebie policja, żeby z tobą porozmawiać, i wtedy będziesz mógł powiedzieć o tym, komu tylko chcesz - rzekł nieznajomy drwiącym tonem. - Wiem, do kogo najpierw zadzwonisz. Do tego twojego bystrego koleśka z FBI. Zadzwonisz do Nicka, prawda? Jestem tego pewien. A on biegiem pospieszy ci na pomoc. Lepiej mu powiedz, żeby ją gdzieś zabrał i schował. Może wtedy za nią nie pojedę i zacznę szukać kogo innego. A przynajmniej spróbuję.

- Skąd wiesz...

- Zapytaj mnie.

- O co?

- Ojej imię - szepnął szaleniec. - Spytaj, kto jest moją klientką.

- Usilnie cię namawiam, żebyś skorzystał z pomocy - zaczął znowu Tom. - To, co robisz...

- Zapytaj mnie. Zapytaj. Zapytaj.

Tom zamknął oczy.

- Dobrze. Kto to jest?

- Jest śliczna. Ma takie piękne pełne piersi i długie ciemne włosy. Na jej ciele nie ma najmniejszej skazy, a twarzy mógłby jej pozazdrościć anioł. Jest zabójczo piękna. Ale ja zamierzam ją zabić.

- Powiedz mi, kim jest - zażądał Tom, modląc się, by starczyło czasu na zapewnienie ochrony tej nieszczęsnej kobiecie.

- Laurant - rozległ się wężowy syk. - Ma na imię Laurant.

- Moja Laurant? - spytał przerażony Tom.

- Właśnie. Wreszcie zrozumiałeś, ojcze. Zamierzam zabić twoją siostrę.

2

Agent Nicholas Benjamin Buchanan wybierał się na bardzo spóźniony urlop. Od trzech lat nic miał ani jednego dnia wolnego i zaczynało się to odbijać na jego podejściu do pracy, w każdym razie tak oświadczył mu jego zwierzchnik, doktor Peter Morganstern, zanim wysłał go na miesięczny wypoczynek. Przy okazji zarzucił Nickowi, że zaczyna mieć zbyt duży dystans do swoich obowiązków i że stał się cyniczny, o czym Nick w głębi serca myślał z pewnym niepokojem, nie wiedział bowiem, czy zarzuty te nie są przypadkiem słuszne.

Morganstern zawsze mówił wszystko prosto z mostu. Nick podziwiał go i szanował prawie tak jak swojego ojca, więc rzadko wdawał się z nim w spory. Zresztą szef był twardy jak skała. Nie wytrwałby w FBI dłużej niż dwa tygodnie, gdyby ulegał emocjom. Jeśli miał jakąkolwiek wadę, to była nią irytująca umiejętność zachowywania niewzruszonego spokoju niemal do granic katatonii. Nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi.

Dwunastu starannie dobranych agentów, znajdujących się pod jego bezpośrednim zwierzchnictwem, mówiło o nim Prozac Pete, naturalnie za plecami, ale Morganstern wiedział o tym i wcale się nie obrażał. Plotka głosiła, że gdy pierwszy raz usłyszał swój przydomek, nawet się roześmiał, i to był jeszcze jeden powód, dla którego znajdował wspólny język ze swoimi agentami. Umiał się wykazać poczuciem humoru, co nie było bagatelne, zważywszy na to, jakiej sekcji przewodził. Gdy musiał się powtarzać, twierdził, że traci nad sobą panowanie, niemniej jednak jego chropawy głos, świadczący o latach palenia cygar, nigdy nie podnosił się ani o decybel. Cholera, może inni agenci mieli rację. Może Morganstern naprawdę miał w żyłach prozac.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Przełożeni umieli poznać się na

tym, jaki skarb wpadł im w ręce, więc przez czternaście lat pracy w FBI Morganstern awansował sześciokrotnie. I nigdy nie spoczął na laurach. Gdy mianowano go szefem wydziału „zgubiono znaleziono”, poświęcił się bez reszty budowaniu niesłychanie wydajnej grupy interwencyjnej, znajdującej ślady zaginionych osób, a w konsekwencji również te osoby. Gdy osiągnął ten cel, zawęził zainteresowania. Postanowił stworzyć grupę specjalną, podejmującą się najtrudniejszych spraw z tej dziedziny, w tym poszukiwania zaginionych i uprowadzonych dzieci. Przygotował projekt takiej grupy na papierze, a potem spędził wiele czasu na lansowaniu swojego pomysłu. Przy każdej okazji wymachiwał dyrektorowi pod nosem swoim dwustutrzydziestotrzyścioronicowym elaboratem.

Upór i wytrwałość opłaciły się, obecnie kierował bowiem tą właśnie grupą. Pozwolono mu osobiście dobrać do niej ludzi, pospolite ruszenie, jak można było w najlepszym razie nazwać zespół, którego członkowie rekrutowali się z najprzeróżniejszych środowisk. Na początku wszyscy musieli przejść szkolenie w akademii w Quantico, a potem Morganstern poddał ich specjalnym testom i ćwiczeniom. Bardzo niewiele osób przebrnęło przez morderczy program, ale ci, którym się to udało, byli naprawdę wyjątkowi. Podśluchano Morgansterna, jak mówił dyrektorowi, że pracuje dla niego prawdziwa elita, a w ciągu roku przekonali się o tym wszyscy niedowiarkowie. Morganstern przekazał wtedy dowodzenie wydziałem „zgubiono znaleziono” swojemu zastępcy, Frankowi O'Leary, a sam poświęcił bez reszty czas i wysiłek stworzonej przez siebie grupie specjalnej.

Był to naprawdę niepowtarzalny zespół. Każda osoba wchodząca w jego skład miała wyjątkowe umiejętności, pomagające szukać zaginionych dzieci. Dwunastu łowców nieustannie ścigało się z czasem, mając przed sobą jeden tylko cel: odnaleźć i uratować ofiarę, zanim będzie za późno. Byli najwspanialszymi obrońcami dzieci i ostatnią instancją w walce z czającymi się w mroku ludzkimi potworami.

W stresie, jakiemu byli nieustannie poddani, przeciętny człowiek szybko trafiłby na szpitalny oddział kardiologiczny, oni jednak byli pod każdym względem nieprzeciętni. Żaden z nich nie spełniał kryteriów stawianych typowemu agentowi FBI, ale z drugiej strony Morganstern nie był typowym szefem. Szybko pokazał, że ma idealne kwalifikacje do przeprowadzenia tak eklektycznej

grupie. W innych departamentach zwano jego agentów „apostołami”, bez wątpienia dlatego, że było ich dwunastu, ale Morganstemowi nie podobał się ten przydomek, ponieważ stawiał mu, jako szefowi, wymagania, którym nie mógł sprostać. Skromność to jeszcze jedna cecha, za którą niezwykle go poważano. Podwładni agenci doceniali również jego niesztampowość. Zawsze dopingował ich do wykonania zadania, pomagał, jak tylko mógł, i wspierał, gdy było to potrzebne. Bronił ich tak, jak oni bronili dzieci.

Z pewnością trudno byłoby znaleźć w FBI kogoś bardziej oddanego pracy i lepiej wykwalifikowanego. Morganstern miał dyplom z psychiatrii i prawdopodobnie dlatego lubił od czasu do czasu odbywać ze swoimi agentami szczerą rozmowę w cztery oczy. Wtedy właśnie, gdy zaszczeptał w ich głowach rozmaite przekonania, zwracały się wszystkie nakłady czasu i pieniędzy, jakie poniósł na studia w Harvardzie. Było to dziwactwo, z którym inni agenci musieli się pogodzić, choć serdecznie go nie znosili.

Akurat teraz Morganstern był w nastroju do rozmowy o sprawie Stark. Przyleciał niedawno z Waszyngtonu do Cincinnati i poprosił Nicka, żeby tu właśnie spotkał się z nim w drodze powrotnej z seminarium w San Francisco. Nick nie chciał mówić o Stark sprawie zakończyła się ponad miesiąc temu i wolał nawet o niej nie myśleć - ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Wiedział, że i tak będzie musiał z szefem porozmawiać.

Gdy Morganstern wreszcie się zjawił w okręgowym biurze FBI, Nick usiadł naprzeciwko niego na lakierowanym dębowym stole i przez dwadzieścia minut wysłuchiwał rozważań szefa o niektórych szczegółach tego dziwnego przypadku. Zachowywał spokój. póki Morganstern nie obiecał mu oficjalnej pochwały za bohaterką postawę. Słyszając to, omal nie wyszedł z siebie, na szczęście jednak miał wprawę w ukrywaniu uczuć. Nawet jego szef, który u podwładnych nieustannie wypatrywał czujnym okiem wymownych śladów zmęczenia materiału lub przeciążenia stresem, dał się zmylić i sądził, że na Nicku cała ta historia nie zrobiła najmniejszego wrażenia; tak w każdym razie uważał sam Nick.

W końcu temat prawie się wyczerpał. Morganstern zamilkł i po długiej chwili milczenia, podczas której wpatrywał się w stalowo-niebieskie oczy swojego agenta, zapytał:

- Co czułeś, kiedy do niej strzelałeś?

- Czy to pytanie jest konieczne, sir? Sprawa ma już ponad miesiąc. Czy musimy to rozgrzebywać?

- To nie jest oficjalne spotkanie, Nick. Jesteśmy tu tylko my dwaj, ty i ja. Nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie, a poza tym, owszem, uważam, że pytanie jest konieczne. Odpowiedz. proszę. Co czułeś?

Nick wciąż próbował się bronić, wierząc się przy tym na krześle z twardym oparciem, jak chłopiec zmuszony do wyznania przewinienia.

- O co ci chodzi z tym czuciem?

Przełożony zignorował jego wybuch irytacji i spokojnie powtórzył pytanie po raz trzeci.

- Dobrze wiesz, o co cię pytam. Co czułeś w tamtej sekundzie? Czy pamiętasz?

Pokazał mu drogę ucieczki. Nick mógł skłamać, powiedzieć, że nie pamięta, że był zbyt skupiony na czym innym, by pamiętać swoje uczucia, ale jego i Morgansterna zawsze łączyła bezwzględna szczerłość i nie chciał tego zepsuć. Zresztą szef na pewno poznałby się na kłamstwie. Nick uznał więc, że nie ma sensu dalej stosować uników.

- Owszem, pamiętam. To było przyjemne uczucie - powiedział cicho. - Naprawdę przyjemne. Cholera, Pete, wpadłem w euforia. Gdybym nie zawrócił i nie wszedł znowu do tego domu, gdybym wahał się jeszcze pół minuty dłużej i gdybym nie miał wyciągniętej broni, chłopiec by nie przeżył. Ale tym razem zakończyłem sprawę stanowczo za późno.

- Zdażyłeś dotrzeć do dziecka na czas.

- Powiniennem być domyślić się tego wcześniej.

Morganstern westchnął. Ze wszystkich jego agentów Nick zawsze odnosił się z największym krytycyzmem do swoich czynów.

- Ty jeden na to wpadłeś - przypomniał mu. - Nie bądź dla siebie zanadto surowy.

- Czytałeś gazety? Dziennikarze napisali, że ona była umyślowo chora, ale oni nie widzieli jej spojrzenia. A ja widziałem i mogę ci powiedzieć, że na pewno nie była chora. Była wcieleniem zła.

- Owszem, w gazetach rzeczywiście napisali o niej, że była umyślowo chora. Przypuszczałem, że tak zrobią - rzekł Morganstern. - Rozumiem ich i sądzę, że ty również. To jest jedyny sposób, żeby opinia publiczna mogła się pogodzić z istnieniem tak wstrząsających zbrodni. Ludzie chcą wierzyć, że tylko nienormalny człowiek może potraktować z takim okrucieństwem drugiego człowieka, że tylko szaleniec znajduje przyjemność w zabijaniu

niewinnych. Wielu przestępców rzeczywiście jest nienormalnych, ale nie wszyscy. Zło istnieje. Obaj je widzieliśmy. I ta Stark świadomie dokonała wyboru, kiedy postanowiła przekroczyć pewną linię.

- Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją.

- Tak - przyznał Morganstern. - Poza tym wielu naukowców w ogóle nic wierzy w istnienie zła. A ponieważ nie umieją go znaleźć na drodze rozumowania ani wytłumaczyć swymi ciasnymi umysłami, twierdzą, że po prostu nie może istnieć. Moim zdaniem, między innymi dlatego nasza kultura stanowi taki żyzny grunt dla wszelkiego rodzaju deprawacji. Niektórzy moi koledzy uważają, że mogą załatwić wszystko napuszonymi diagnozami i kilkoma środkami odurzającymi.

- Jeden z twoich kolegów podobno jest zdania, że mąż ją tyranizował, a ona tak się go bała, że pomieszało jej się w głowie. Innymi słowy, powinniśmy jej współczuć.

- Tak, ja też to słyszałem. Bzdura. Ta kobieta była zdeprawowana nie mniej od swojego męża. Na tych pornograficznych kasetach były również jej odciski palców, nie tylko jego. Uczestniczyła w tym z własnej woli, ale sądzę, że istotnie musiała przeżyć pewien rodzaj załamania. Nigdy przedtem nie zaatakowali dziecka.

- Wielki Boże, Pete, ona się do mnie uśmiechała. Trzymając chłopca na rękach, a nad nim rzeźniczy nóż. Mały był nieprzytomny, ale jeszcze oddychał. Ona na mnie czekała. Wiedziała, że domyśliłem się prawdy. Chyba chciała, żebym był przy tym, jak go zabija. - Skinął głową. - Tak, to było naprawdę przyjemne, kiedy mogłem ją skosić. Żałuję tylko, że nie zastałem jej męża. Chętnie dostałbym i jego. Czy są jakieś ślady? Osobiście nadal uważam, że powinieneś puścić jego tropem naszego przyjaciela Noah.

- Zastanawiałem się nad tym, ale szefostwo chce mieć Donalda Starka żywego, żeby móc go przesłuchać, a wiadomo, że Noah strzeli bez wahania, jeśli tylko Stark spróbuje mu sprawić kłopoty.

- Karalucha się zabija, Pete, a nie oswaja. Noah dobrze to wie. - Nick poruszył ramionami, żeby rozluźnić napięte mięśnie, roztarł sobie kark i dodał: - Chyba rzeczywiście powinienem pojechać w jakieś spokojne miejsce.

- Dlaczego to mówisz?

- Podejrzewam zmęczenie materiału. Jak sądzisz?

Morganstern pokręcił głową.

- Nie, jesteś trochę zmęczony, ale to wszystko. Niczego z tej rozmowy nie wpiszę do akt. To naprawdę jest tylko między nami. Naturalnie urlop należy ci się już od dawna, ale to moja wina, że do tej pory na niego nie pojechałeś. Chcę, żebyś przez miesiąc odpoczął, a potem znowu się skoncentrował.

Po beznamiętnej twarzy Nicka przemknął ślad uśmiechu.

- Mam się skoncentrować?

- Najpierw spróbuj trochę ochłonać. Kiedy ostatnio byłeś w Nathan's Bay u tej swojej wielkiej rodziny?

- Dość dawno - przyznał Nick. - Ale utrzymuję z nimi łączność przez Internet. Oni wszyscy są tak samo zajęci jak ja.

- Jedź do domu - polecił Pete. - Dobrze ci to zrobi. Rodzice ucieszą się na twój widok. Jak się wiedzie panu sędziemu?

- U taty wszystko w porządku - odparł Nick.

- A jak ten twój przyjaciel, ojciec Madden?

- Z Tommym rozmawiamy sobie co wieczór.

- Przez Internet?

- Tak.

- Może powinieneś się z nim zobaczyć i odbyć kilka szczerych rozmów w cztery oczy?

- Sądzisz, że potrzebuję duchowego wsparcia? - spytał Nick. radośnie szczerząc zęby.

- Potrzebujesz trochę śmiechu.

- Pewnie tak - przyznał. Zaraz jednak znowu spowaźniał. - Pete, chcę cię o coś spytać. Czy sądzisz, że instynkt zaczyna mnie zawodzić?

Morganstern parsknął pogardliwie.

- Twój instynkt pracuje doskonale. Ta Stark oszukała wszystkich, tylko nie ciebie. Wszystkich - powtórzył z naciskiem. - Krewnych, przyjaciół, sąsiadów, znajome z kółka parafialnego. A ciebie nie. Rzecz jasna miejscowi na pewno w końcu by ją zdemaskowali, ale tymczasem chłopak już by nie żył, a ona pewnie zdążyłaby porwać następnego. Wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy ktoś zaczyna to robić, to już nie przestaje. - Zaczął bębnić knykciami po dużej, szarej kopercie. - W wywiadach czytałem, jak ta Stark siedziała dniami i nocami przy łożu chorej matki. I była w parafialnej komisji rozjemczej - dodał, kręcąc głową. Wyglądało to tak, jakby nawet on, który wszystko już widział i słyszał, był wstrząśnięty tupetem pani Stark.

- Policja rozmawiała ze wszystkimi członkami tej komisji i niczego się nie doszukała - powiedział Nick. - Zabrakło im dokładności. Ale to małe miasto, a nawet szeryf nie wiedział, czego szukać.

- Na szczęście był dostatecznie bystry, żeby nie czekać, tylko szybko nas wezwać - odrzekł Morganstem. - I on, i inni miejscowi byli święcie przekonani, że dziecko porwał ktoś przejezdny, i skupili wszystkie wysiłki na tym tropie.

- Tak. Trudno uwierzyć w to, że ktoś ze swoich mógłby popełnić taki czyn. Byli świadkowie, którzy widzieli włóczęgę kręcącego się w pobliżu boiska szkolnego, tylko że podawali różne rysopisy tego człowieka. Ale policjanci z Cincinnati już byli w drodze. Na pewno szybko rozszyfrowaliby tę grę.

- Co właściwie wprowadziło cię na dobry trop? Skąd wiedziałeś?

- Drobiazgi, które nie pasują do reszty - odparł. - Teraz nawet nie potrafię wyjaśnić, co mi się w niej nie podobało ani dlaczego wszedłem za nią do domu.

- Ja ci wyjaśnię. Instynkt.

- Pewnie tak - przyznał Nick. - Wiedziałem, że muszę ją bardzo dokładnie sprawdzić. Coś mi nie pasowało, ale nie umiałem tego nazwać. Po prostu miałem dziwne przeczucie związane z jej osobą, zwłaszcza kiedy wszedłem do tego domu. Wiesz, o czym myślę, prawda?

- Opisz to. Jak wyglądał ten dom?

- Nieskazitelnie. Nigdzie ani pyłku. Mały salonik z dwoma fotelami, sofą i telewizorem, ale wiesz, co mnie najbardziej uderzyło? Gołe ściany. Nie było ani obrazów, ani rodzinnych fotografii. Pamiętam, że wydało mi się to niezwykle dziwne. No i na wszystkich meblach leżały plastikowe pokrowce, chociaż tak pewnie chroni swoje sprzęty przed kurzem wielu ludzi. Sam nie wiem. W każdym razie, jak powiedziałem, porządek był nieskazitelny, natomiast zapach bardzo szczególny.

- Jaki?

- Ocet... i amoniak. Aż zaczęły mi łzawić oczy. Doszedłem do wniosku, że ona jest maniaczką czystości... a potem wszedłem za nią do kuchni. Wszystko zrobione na błysk. Ani jednego przedmiotu na blatach, nawet ścierki przy ziewie nie było. Dosłownie nic. Zaoferowała się, że zaparzy kawy, i poprosiła, żebym usiadł. Wtedy zwróciłem uwagę na to, co stoi na stoliku. Była solniczka

i pieprzniczka, ale między nimi wielki plastikowy pojemnik z tabletkami na nadkwasotę, a obok duża butelka ostrej przyprawy. Zestaw wydał mi się bardzo nietypowy... Zaraz potem spostrzegłem psa. To przeważało. Czarny cocker-spaniel siedział w kącie przy drzwiach na podwórzu. Nie odrywał oczu od swojej pani. Kiedy postawiła na stole czekoladowe ciasteczka i odwróciła się, żeby nalać kawy, wziąłem ciasteczko i położyłem obok siebie, żeby sprawdzić, czy pies przyjdzie je wziąć. Nawet na mnie nie spojrział. Niech go, bałby się nawet mrugnąć. W ogóle nie spuszczał z niej oka. Gdyby szeryf zobaczył tego jej psa, na pewno zorientowałby się, że coś nie gra, ale kiedy ją przesłuchiwał, pies był na wybiegu.

- Szeryf wszedł do niej do domu i nie zauważył niczego niezwykłego.

- Ja miałem szczęście, a ona z arogancji popełniła nieostrożność.

- Dlaczego po wyjściu od niej nagle postanowiłeś wrócić?

- Chciałem zebrać więcej poszlak, zobaczyć, dokąd Stark pójdzie po mojej wizycie, ale gdy tylko stanąłem za progiem, zrozumiałem, że muszę jak najszybciej wrócić. Wiedziała, że ją podejrzewam, czułem to. I byłem pewien, że chłopiec jest gdzieś w tym domu.

- Trudno o lepszy instynkt - powiedział Morganstem. - Dlatego cię odszukałem, sam wiesz.

- Wiem, to przez ten nieszczyśny mecz futbolowy.

Morganstem uśmiechnął się.

- Nie dalej jak kilka tygodni temu oglądałem tę scenę w sportowym programie CNN. Pokazują ją przynajmniej dwa razy do roku.

- Mogliby już dać sobie spokój. To stare dzieje.

Obaj mężczyźni wstali. Nick był wyższy od szefa. Morganstem, w czarnych skórzanych pantoflach z frędzlami, miał metr siedemdziesiąt wzrostu, Nick - ponad metr osiemdziesiąt. Szef był również drobniejszy, rzadzące jasne włosy szybko mu siwiały, a grube szkła ciągle zsuwały się na czubek nosa. Ubrał się niezmiennie w tradycyjne czarne lub granatowe garnitury, do których wkładał białą koszulę z dhigimi rękawami i stonowany kolorystycznie, prążkowany krawat. Postronnemu obserwatorowi Morganstem wydałby się zdziwaczałym profesorem uniwersytetu, ale podwładni traktowali go pod każdym względem jak giganta, który bez wysiłku radzi sobie z najtrudniejszymi zadaniami i nic poddaje się nawet największym naciskom.

- Zobaczymy się za miesiąc, Nick, ale ani dnia wcześniej, zgoda?

- Zgoda.

Morganstern zrobił dwa kroki do drzwi, lecz się zatrzymał.

- Czy wciąż boisz się latać samolotem?

- Jest jeszcze coś, czego o mnie nie wiesz?

- Nie sądzę.

- Tak? A kiedy ostatnio miałem kobietę?

Morganstern udał wstrząśniętego.

- Oj, dawno, dawno. Najwidoczniej masz w życiu okres suszy.

Nick wybuchnął śmiechem.

- Czyżby?

- Ale któregoś dnia spotkasz odpowiednią dziewczynę i niech Bóg ma ją wtedy w opiece.

- Nie szukam odpowiedniej dziewczyny.

Morganstern przesłał mu ojcowski uśmiech.

- Mimo to ją znajdziesz. Wcale nie będziesz szukał, po prostu zobaczysz i stracisz głowę. Ja tak samo straciłem głowę dla Katie. Nie miałem najmniejszej szansy i przypuszczam, że tak samo będzie z tobą. Ona gdzieś jest, po prostu na ciebie czeka.

- To będzie musiała cholernie długo czekać - odparł Nick. - Z naszą branżą małżeństwo źle się godzi.

- Katie i ja przetrwaliśmy już dwadzieścia lat.

- Ona jest święta.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Nick.

- O samolot? Tak, ciągle boję się latać.

Morganstern zachichotał.

- Wobec tego szczęśliwego powrotu do domu.

- Wiesz, Pete, większość psychiatrów próbowałaby zgłębić przyczynę mojego lęku, ale ciebie to najwyraźniej bawi.

Szef znowu się roześmiał

- Do zobaczenia za miesiąc - powtórzył i wyszedł z biura.

Nick pobierał papiery, odbył niezbędne rozmowy telefoniczne ze swoim biurem w Bostonie i z Frankiem O'Learym w Quantico, a potem, korzystając z uprzejmości miejscowego agenta, pojechał z nim na lotnisko. Ponieważ nie było dlań ucieczki przed wymuszonym urlopem, zaczął go nieśmiało planować. Postanowił naprawdę spróbować odpocząć; może popłyńie gdzieś w rejs z bratem, Theo, jeśli uda się go odciągnąć na kilka dni od obowiązków. A potem wsiądzie do samochodu i przejedzie pół kontynentu, by

w Holy Oaks, w stanie Iowa, spotkać się ze swym najlepszym przyjacielem, Tommym, i połowić ryby. Morganstern nie wspominał o awansie, który O'Leary zaproponował Nickowi przed dwoma tygodniami. Podczas urlopu Nick zamierzał pomyśleć o nowym stanowisku i dobrze rozważyć wszystkie za i przeciw. Liczył, że Tommy pomoże mu podjąć decyzję. Był z nim bliżej niż z pięcioma braćmi i ufał mu bez zastrzeżeń. Przyjaciel jak zwykle odegra rolę adwokata diabła, Nick wierzył więc, że zanim wróci do pracy, będzie zdecydowany, jak postąpić.

Wiedział, że Tommy się o niego martwi. Od pół roku nieustannie zapraszał go do Iowy. Podobnie jak Morganstern, rozumiał, jakie stresy i obciążenia wiążą się z tą pracą i tak samo jak szef był zdania, że Nickowi należy się urlop.

Tommy też miał swoje kłopoty, raz na trzy miesiące musiał bowiem zgłaszać się do szpitala w Kansas City na badania. W tym okresie to Nick chodził z duszą na ramieniu, póki nie dostał pocztą elektroniczną dobrej wiadomości. Jak dotąd przyjaciel miał szczęście, rozwój nowotworu udało się zatrzymać. Ale zagrożenie wciąż istniało, wróg mógł ni stąd, ni zowąd zaatakować. Tommy nauczył się żyć ze swoją chorobą, Nick nie mógł się z nią pogodzić. Gdyby mógł, wzięłby na siebie ból i cierpienia przyjaciela; za Tommy'ego byłby gotów oddać prawą rękę, lecz naturalnie nie miał takiej możliwości. Tommy nie mylił się, twierdząc, że tę batalię musi toczyć sam, a Nick może mu pomóc tylko duchowym wsparciem, niczym więcej.

Nick nagle poczuł, jak bardzo chce go zobaczyć. Może uda mu się nawet namówić Tommy'ego, żeby na jeden wieczór ściągnął z szyi koloratkę i upił się z nim w trupa, jak to bywało za czasów, gdy dzielili pokój w akademiku Uniwersytetu Stanu Pensylwania.

No i wreszcie pozna całą rodzinę, która jeszcze pozostała Tommy'emu, czyli jego siostrę, Laurant.

Laurant była młodsza od brata o osiem lat, a dorastała w klasztor-nym internacie szkoły dla bogatych panien w pobliżu Genewy. Tommy kilkakrotnie próbował ściągnąć ją do Ameryki, ale prawnicy powołujący się na warunki zawarte w regulaminie funduszu powierniczego przekonali sędziego, że Laurant powinna pozostać w odosobnieniu, póki nic będzie mogła podejmować decyzji we własnym imieniu. Tommy powiedział potem Nickowi, że nie jest to nawet takie straszne, jak się wydaje, i że prawnicy kładą nacisk na dokładne stosowanie się do litery prawa, żeby zabezpieczyć majątek Laurant.

Od pewnego czasu dziewczyna była już pełnoletnia i przed rokiem przeprowadziła się do Holy Oaks, żeby być bliżej brata. Nick nic miał okazji jej poznać, pamiętał jednak zdjęcia, które Tommy miał przyczepione do lustra. Laurant wyglądała na nich jak ulicznik: rozczochrana i brudna, w plisowanej spódniczce i białej bluzce, częściowo wystającej zza paska. Jedna z podkolanówek opadła aż do kostki, zwinięta w obwarzanek. Dziewczynka miała podrapane kolana i długie, kręcone kasztanowe włosy, zasłaniające jedno oko. Obaj z Tommym śmiali się z tego zdjęcia. Laurant mogła mieć na nim osiem, najwyżej dziewięć lat, Nickowi najbardziej jednak zapadły w pamięć jej radosny uśmiech i roziskrzony wzrok, który kazał przypuszczać, że nieustanne narzekania siostr na wychowankę były nie bez podstaw. Laurant wyglądała tak, jakby miała w sobie odrobinę diabła, no i tyle wigoru, że któregoś dnia musiało się to dla niej skończyć kłopotami.

Tak, urlop jest mi naprawdę potrzebny, pomyślał. Kluczem do wszystkich planów urlopowych był jednak powrót do Bostonu, gdzie mieszkał na stałe, to zaś oznaczało, że nic pozostaje mu nic innego, jak wsiąść na pokład jakiejś cholernej latającej maszyny. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś może nienawidzić latania samolotem bardziej niż Nick. Prawdę mówiąc, bał się tego okropnie. Gdy wszedł do terminalu portu lotniczego w Cincinnati, poczuł natychmiast, że jest cały złany potem. Nie wątpił, że zanim znajdzie się na pokładzie samolotu, będzie zielony na twarzy. Boeing 777 leciał do Londynu z międzylądowaniem w Bostonie, gdzie Nick, dzięki Bogu, miał wsiąść, żeby już bez przeszkód pojechać do swojego domu na Beacon Hill. Kupił tę nieruchomość od wuja przed trzema laty, nadal jednak nie rozpakował większości kartonowych pudeł, zostawionych pośrodku salonu przez ludzi z firmy organizującej przeprowadzkę. Nie zmontował też aparatury hi-fi, wybranej specjalnie dla niego przez najmłodszego brata, Zachary'ego.

Gdy zbliżał się do bramki, żołądek podszedł mu do gardła. Znał tę procedurę. Dał bilet pracownikowi ochrony. Przesadnie ugrzeczniony mężczyzna w średnim wieku, nazwiskiem Johnson, nerwowo przygryzł wargę i czekał, aż komputer potwierdzi nazwisko i kod pasażera. Potem przeprowadził Nicka obok stanowiska z wykrywaczem metali, wręczył mu kartę pokładową i skinieniem dłoni pokazał drogę do rękawa.

W kuchennym pomieszczeniu samolotu czekał na niego kapitan

James T. Sorensky. Nick leciał z tym pilotem przynajmniej sześć razy przez ostatnie trzy lata, wiedział więc, że jest to znakomity i bardzo sumienny fachowiec. W swoim czasie Nick bardzo drobiazgowo sprawdził przeszłość kapitana, żeby się upewnić, czy nie ma w niej czegoś podejrzanego, czegoś, co mogłoby się stać przyczyną nerwowego załamania podczas lotu. Wiedział nawet, jakiego gatunku pasty do zębów używa kapitan, lecz mimo to nie zdołał uciszyć swoich niepokojów. Sorensky ukończył akademię lotniczą jako prymus na swoim roku i pracował dla linii Delta od osiemnastu lat. Miał czyste akta, ale i to nie stanowiło dla Nicka wystarczającego argumentu. Jego żołądek wyprawiał bardzo dokuczliwe harce. Nick naprawdę nie cierpiał latania samolotem. Wiedział, że sprowadza się to do kwestii zaufania, lecz chociaż Sorensky nie był dla niego całkiem obcym człowiekiem, bo nawet zwracali się do siebie po imieniu, Nick i tak nie lubił myśli o tym, że kapitan musi utrzymać w powietrzu prawie 159 ton stali.

Sorensky mógłby pozować do plakatu reklamującego linie lotnicze. Miał przyprószone siwizną, krótko ostrzyżone włosy, idealnie wyprasowany granatowy mundur z ostrymi jak żyłtka kantami spodni i wysoką, szczupłą sylwetkę. Nick co prawda nie miał nadwagi, ale i tak przy nim czuł się jak stary łoś. Od kapitana biła pewność siebie. Sztywno trzymał się ustalonych przez siebie zasad, za co go Nick cenił. Agent miał oficjalne pozwolenie na wnoszenie broni na pokład, wiedział jednak, że gdyby próbował skorzystać z tego uprawnienia, zdenerwowałyby tym Sorensky'ego, tego zaś ani nie chciał, ani nie potrzebował. Na wszelki wypadek zawczasu rozładował pistolet i gdy kapitan witał go na pokładzie, wcisnął mu w dłoń magazynek.

- Miło znów cię widzieć, Nick.

- Jak się dziś miewasz, Jim?

Sorensky uśmiechnął się.

- Wciąż się martwisz, że dostanę ataku serca w czasie, gdy będziemy w powietrzu?

Nick wzruszył ramionami, żeby ukryć zmieszanie.

- Owszem, przemknęło mi coś takiego przez myśl - przyznał. - To przecież mogłoby się zdarzyć.

- Mogłoby, ale nie jestem jedynym człowiekiem na pokładzie, który umie pilotować tę maszynę.

- Wiem.

- Tylko że to wcale nie poprawia ci samopoczucia, tak?

- Właśnie.
- Nie masz wyjścia, skoro musisz latać, musisz się do tego przyzwyczaić.

- Na razie mi się to nie udaje.
- Czy twój szef wie, że w samolocie zawsze jesteś chory?
- Jasne - odparł Nick. - To sadysta.

Sorensky wybuchnął śmiechem.

- Obiecuję ci dzisiaj naprawdę spokojny lot. Do Londynu z nami nie lecisz, prawda?

- Miałbym przelecieć nad oceanem? - Od samej myśli o tym rbiło mu się słabo. - Wracam do domu.

- Byłeś kiedyś w Europie?

- Jeszcze nie. Bywam tam, gdzie można dojechać samochodem.

Kapitan zerknął na trzymany magazynek.

- Dziękuję, że mi to oddałeś. Wiem, że nie mam prawa stawiać ci takich żądań.

- Ale denerwujesz się na myśl o tym, że masz człowieka z nabitą bronią na pokładzie, a mnie nie zależy na tym, żeby zdenerwowany pilot kierował maszyną.

Nick chciał wyminąć Sorensky'ego i iść na swoje miejsce, ale kapitan był w nastroju do pogawędki.

- Nawiasem mówiąc, jakiś miesiąc temu czytałem bardzo ciekawy artykuł o tym, jak uratowałeś życie chłopcu. Dowiedziałem się z niego dużo o twojej przeszłości i o tym, że przyjaźnicie się z tym księdzem... Ale rozeszły wam się drogi. Teraz tynosisz plakietkę FBI, a on krzyż. W każdym razie po przeczytaniu artykułu zrobiłem się dumny., że cię znam.

- Po prostu wykonałem swoją pracę.

- W artykule była też mowa o twojej grupie. Jak to nazwano waszą dwunastkę? - Zanim Nick zdążył odpowiedzieć, kapitan sobie przypomniał. - Ach, tak, apostołowie.

- Nie mam pojęcia, skąd autor wytrzasnął tę informację. Sądziłem, że nikt poza naszym wydziałem nie zna tej nazwy.

- W każdym razie jest odpowiednia. Uratowaliście życie temu chłopcu.

- Tym razem mieliśmy szczęście.

- Dziennikarz napisał, że nie zgodziłeś się na wywiad.

- Tego nie robi się dla chwały, Jim. Taką mam pracę, koniec, kropka.

Skromność Nicka zrobiła duże wrażenie na kapitanie. Skinął głową.

- Dobra robota. Chłopak wrócił do rodziny i tylko to się liczy.

- Jak powiedziałem, tym razem dopisało nam szczęście.

Sorensky, wyczuwając zakłopotanie agenta pochwałami, szybko zmienił temat.

- Mamy dziś na pokładzie szeryfa Downinga. Musiał oddać mi broń. - Uśmiechnął się szeroko. - Może przypadkiem go znasz?

- Nazwisko nic mi nie mówi. Szeryf jest konwojentem, tak?

- Tak.

- Dlaczego korzysta z ogólnodostępnego połączenia? Przecież do tego celu są specjalne samoloty.

- Podobno sytuacja jest wyjątkowa. Downingowi się spieszy, bo musi dostarczyć więźnia do Bostonu na proces - wyjaśnił kapitan. - Powiedział mi, że przyskrzynili chłopaka na sprzedaży narkotyków i sprawa jest zupełnie oczywista. Więzień nie powinien sprawiać kłopotów. Downing uważa zresztą, że adwokaci złożą kaucję za chłopaka, zanim sędzia zdąży podnieść młotek. Obaj wsiedli wcześniej, podobnie jak ty. Szeryf jest z Teksasu. Słychać to po jego akcencie, wydaje mi się zresztą, że to równy gość. Powinieneś się z nim przywitać.

Nick skinął głową.

- Gdzie oni siedzą? - Szybko rozejrzał się po kabinie gigantycznego samolotu.

- Stąd ich nie zobaczysz. Są po lewej stronie, blisko ogona. Downing dokładnie skuł chłopaka. Ale mówię ci, Nick, ten szczeniak jest niewiele starszy od mojego Andy'ego, który dopiero co skończył czternaście lat. To straszne, że taki dzieciuch spędzi resztę życia w pace.

- Przestępcy są coraz młodszy i coraz głępsi - stwierdził Nick. - Dziękuję, że mi powiedziałeś. Pójdę się przywitać z szeryfem. Będzie dzisiaj tłok w samolocie?

- Nie - odparł Sorensky i wsunął magazynek do kieszeni spodni. - Do pierwszego lądowania mamy zajęta tylko połowę miejsc. Komplet będzie dopiero od Bostonu.

Sorensky poprosił jeszcze, żeby Nick koniecznie dał mu znać w razie jakiegś potrzeby, po czym odszedł w stronę kabiny pilotów, gdzie czekał na niego mężczyzna w granatowym mundurze z identyfikatorem, trzymający w ręce plik dokumentów na podkładce. Wszedł za kapitanem do pomieszczenia i zamknął drzwi.

Nick wsadził torbę podróżną do schowka nad siedzeniem, położył starą porysowaną aktówkę na swoim miejscu, a potem

przeszedł na lewą stronę samolotu i ruszył ku ogonowi, gdzie siedział szeryf Downing. W pół drogi zmienił jednak zamiar, na pokładzie szybko bowiem przybywało ludzi. Postanowił poczekać z zawarciem znajomości do czasu, aż znajdą się w powietrzu i będzie już można wstać z miejsca. Zanim się odwrócił, zdażył jednak dobrze przyjrzeć się szeryfowi i jego więźniowi. Downing miał jedną nogę wyciągniętą w poprzek przejścia, więc Nick mógł zachwycić się misternym zdobieniem jego kowbojskiego buta. Wysoki zylasty człowiek miał twarz spaloną słońcem, gęsty brunatny wąs i czarną skórzaną kamizelkę, krótko mówiąc, wyglądał na kowboja. Nick nie zobaczył pasa noszonego przez Downinga, mógłby się jednak założyć o swą miesięczną płacę, że ma on wielką srebrną klamrę.

Kapitan Sorensky trafnie ocenił więźnia. Na pierwszy rzut oka chłopak sprawiał bardzo dziecinne wrażenie. Ale była w jego rysach twardość, którą Nick widywał nieskończenie wiele razy. Ten młody człowiek z pewnością już długo rozprawdzał narkotyki i dawno zabił w sobie sumienie.

Rzeczywiście, są coraz młodszy i coraz głębszy, pomyślał Nick. Chłopak bez wątplenia podjął niejedną błędną decyzję i był naznaczony przez los fatalną kombinacją genów. Miał trądzik na twarzy, a zimne jak marmur oczy były osadzone tak blisko siebie, że wydawały się zezowate. Ktoś ciężko napracował się nad jego fryzurą. Na całej głowie sterczały mu pasemka włosów, tak jakby były to niezliczone statuy wolności. Być może jednak chłopak był zadowolony ze swojego wyglądu. Zręszajakie to miało znaczenie? Tam, dokąd jechał, i tak na pewno znajdzie mnóstwo przyjaciół, którzy będą zabiegać o jego względy.

Nick wrócił do dziobowej części samolotu i zajął swoje miejsce. Tym razem wybrał pierwszą klasę, ale chociaż fotel był szerszy, uczucia skrępowania i tak nie dało się uniknąć. Nick miał zbyt długie nogi, by móc swobodnie je wyciągnąć. Wsunął więc aktówkę pod fotel z przodu, a potem przysunął plecy do oparcia. zapiął pas i przyknał oczy. Cieszyłby się, gdyby mógł przynajmniej spróbować wygodnie się rozsiaść, ale, niestety, nie wchodziło to w grę, ponieważ gdyby zdjęła marynarkę, przestraszyłby innych pasażerów widokiem broni w kaburze. Nie mogli przecież wiedzieć, że w pistolecie nie ma magazynka, a Nick nie był w nastroju do uspokajania kogokolwiek. Sam był bliski paniki i wiedział, że ten stan ustąpi częściowo, jak znajdują się w powietrzu. Wtedy będzie

już nie najgorzej, ale panika wróci, gdy maszyna zacznie podchodzić do lądowania na lotnisku Logan. W tej chwili klaustrofobicznego, neurotycznego lęku wydawało mu się ironią losu, że O'Leary chce go przenieść do grupy antykryzysowej.

Duch zwycięża materię, przemknęło mu przez myśl. Jeśli nawet ogarniał go lęk, to i tak podczas lotu musiał uporządkować różne papierowe sprawy. Wcześniej sprawdził diagram i wiedział, że miejsce przy oknie pozostanie wolne. Zawsze siadał przy przejściu, nawet jeśli oznaczało to, że trzeba przesadzić innego pasażera, musiał bowiem widzieć twarze wszystkich osób wchodzących do samolotu. Wiedział więc, że po starcie będzie mógł rozłożyć wszystkie teczki na sąsiednim siedzeniu, odcyfrować notatki i przenieść dane do laptopa.

Cholera, irytowało go, że jest takim maniakiem panowania nad sobą. Podczas gdy był w całą grupą na ćwiczeniach, Morganstem próbował go nauczyć różnych technik relaksacyjnych, ale z tamtych dwóch tygodni Nickowi nic już nie zostało w głowie i wiedział, że to samo dotyczy innych członków grupy. Wszyscy przystali na warunki Pete'a. A on kazał im usiąść, wyjaśnił, co chce zrobić, lecz nie powiedział jak, a potem poprosił, żeby mu zaufali. Nickowi najtrudniej było się zdecydować, ponieważ oznaczało to, że będzie musiał zrezygnować z bycia panem samego siebie. W końcu i on się poddał. Pete ostrzegł ich, że niczego nie zapamiętają, i miał co do tego rację.

Czasem pod wpływem jakiegoś zapachu albo odgłosu przypominały mu się tamte dwa tygodnie i natychmiast sztywniał, ale wrażenie znikało równie szybko, jak się pojawiło. Wiedział, że byli w lesie gdzieś w Stanach, miał jeszcze blizny, które tego dowodziły. Jedna w kształcie półksiężyca została mu na ramieniu, druga, mniejsza, dokładnie nad prawnym okiem. Z lasu wracał, mając niezliczone skaleczenia i sińce na rękach i nogach. W dodatku Bóg jeden raczył wiedzieć, ile moskitów musiało go ukąsić, żeby poświadczyć ich wędrówkę przez dzicz. Czy inni apostołowie mieli blizny? Tego nie wiedział, a pytanie nigdy nie zajmowało do dostatecznej długo, by je komuś zadać.

Raz w prywatnej rozmowie Pete wrócił do tamtych ćwiczeń w lesie. Nick spytał go wtedy, czy to było pranie mózgow. Sześć aż się wzdrygnął, słysząc ten termin.

- Wielki Boże, nie - odparł. - Próbowałem was po prostu nauczyć, jak najlepiej wykorzystać to, co macie w darze od Boga.

Innymi słowy, ćwiczenia umysłu zaordynowane przez Pete'a uczyły ich, zgodnie z wojskowym hasłem, być wszystkim, czym mogli być.

Samolot przemieścił się na koniec pasa startowego i znieruchomiał. Nick sądził, że czekają na swoją kolejkę do startu, jako że port lotniczy w Cincinnati należał do najbardziej ruchliwych w kraju, ale minął kwadrans i nic się nie działo, nie przesunęli się naprzód ani o cal. Gdy pochylił się nad wolnym siedzeniem obok, zobaczył przez okienko dwa samoloty bardzo szybko kołujące tak, by oddalić się od ich maszyny.

Młoda blondynka uśmiechnęła się do niego z siedzenia po drugiej stronie przejścia i próbowała wciągnąć go do rozmowy pytaniem, czy denerwuje się przed lotem. Pobielające knykcie jego dłoni, ściskających poręcze fotela, były aż nadto wymowną odpowiedzią. Skinął głową i odwrócił się do okna, żeby zniechęcić kobietę do zadawania dalszych pytań. Nie wyglądała źle, a obcisła spódniczka i równie obcisła góra dowodziły, że ma ładne ciało, ale nie miał ani ochoty na pogawędkę o niczym, ani nastroju do flirtowania. Widocznie był bardziej zmęczony, niż mu się zdawało. Coraz mocniej upodabniał się do swojego brata, Theo, który ostatnio nie widział niczego oprócz pracy.

Dostrzegł samochód straży pożarnej i dwie karetki policyjne, pędzące w stronę ich samolotu. W tej samej chwili przez głośnik rozległ się głos kapitana Sorensky'ego. Był napięty, mimo pozornej swobody.

- Panie i panowie, odlot nieco się opóźnia, musimy jeszcze poczekać na swoją kolejkę. Wkrótce znajdziemy się w powietrzu, proszę więc z powrotem usiąść i się odprężyć. Życzę miłego lotu.

Zaraz potem drzwi kabiny otworzyły się i uśmiechnięty Sorensky, promieniejący pewnością siebie, przeszedł do pomieszczenia kuchennego. Zawahał się na ułamek sekundy, skupił spojrzenie na Nicku i ruszył między fotelami ku tyłowi samolotu. Tuż za nim szedł młody błąd stewarda. Odległość między tymi dwoma była tak mała, jakby steward trzymał kapitana za marynarkę munduru.

Nick powoli rozpiął pas bezpieczeństwa.

- Kapitanie, czy to nie pan powinien pilotować ten samolot? - spytała z uśmiechem długonoga blondynka.

Sorensky nie spoznał na nią, gdy odpowiadał:

- Muszę jeszcze coś sprawdzić z tyłu.

Miał opuszczone ramiona i dłonie zaciśnięte w pięści, ale

mijając Nicka, otworzył jedną pięść i upuścił mu na kolana magazynek.

Nick zerwał się z miejsca jak wyrzucony sprężyną, chwycił młodego stewarda za ramię i przygniół je do oparcia fotela, który był przed nim. Młodzieniec nawet nie zdążył mrugnąć, a już nie miał w dłoni pistoletu i leżał twarzą do podłogi, a stopa Nicka przyciskała jego kark. Magazynek znalazł się na właściwym miejscu; lufa lśniącego sig sauera mierzyła prosto w stewarda, zanim jeszcze kapitan zdążył się odwrócić.

Wszystko stało się tak szybko, że inni pasażerowie nie zdążyli nawet krzyknąć. Sorensky uniosł ręce i zawołał:

- Nic się nie stało, proszę państwa! - Zwrócił się do agenta i powiedział z podziwem: - Aleś ty szybki.

- Mam wprawę - odparł Nick, chowając broń do kabury. Potem przykląkł, żeby przeszukać kieszenie napastnika.

- Powiedział mi, że jest kuzynem więźnia i chce mu pomóc wysiąść z tego samolotu.

- Nie przemyślał swojego planu do końca, co? - Nick otworzył portfel młodzieńca i głośno przeczytał z prawa jazdy, wydanego w stanie Kentucky: - William Robert Hendricks. - Szturchnął go i spytał: - Kumpie nazywają cię Billy Bob?

W odpowiedzi chłopak zaczął się wyrwać jak ryba wrzucona do łodzi i pełną piersią domagać sprowadzenia adwokata. Nick zignorował jego żądania i poprosił kapitana, żeby sprawdził, czy szeryf Downing może pożyczyć zapasową parę kajdanków.

Moment zaskoczenia już minął; pasażerowie otrząsnęli się z osłupienia. Przez samolot przetoczył się szmer, który niczym lawina z każdą chwilą nabierał mocy. Kapitan Sorensky, wy-czuwając bliski wybuch paniki, wziął sprawy w swoje ręce.

- Proszę o spokój, bardzo proszę o spokój. Nic się nie stało. Wszystkich zapraszam na miejsca. Proszę się odprężyć. Zaraz obecny tu przedstawiciel prawa upora się do końca z tym drobnym problemem i będziemy mogli startować. Nikomu nic się nie stało. - Potem kapitan poprosił jedną ze stewardes o sprowadzenie szeryfa Downinga z końca samolotu.

Szeryf, ciągnący za sobą więźnia, zjawił się no chwili i podał Nickowi kajdanki. Ten skuł drugiemu więźniowi ręce na plecach, po czym postawił go na nogi. Zwrócił uwagę, że szeryf Downing kręci głową i marszczy czoło.

- Co się stało? - spytał Nick.

- Wie pan, co to znaczy, nie? - mruknął Downing z typowym teksaskim akcentem.
- Co takiego? - zainteresował się kapitan Sorensky.
- Dużo więcej cholernych papierów do wypełnienia.

Nick wpadł do biura w Bostonie, żeby zostawić tam kilka teczek, załatwić parę drobiazgów, a przy okazji wysłuchać dowcipkujących kolegów, którzy nie wiadomo czemu uważali jego lęki za bardzo zabawne i byli zdania, że zapobiegł porwaniu samolotu wyłacznie po to, by odwlec chwilę nuchiesienia się w powietrze. W końcu jednak znalazł się w domu. Ruch na ulicach był wściekły, ale nie gorszy niż zwykle. Kusiło go, żeby wyjechać swym porsche model 1984 na autostradę i sprawdzić, jak sprawuje się wyremontowany silnik, zrezygnował jednak z tego pomysłu. Był zanadto zmęczony. Wkrótce więc manewrował w znajomym labiryncie zaułków. Porsche prowadziło się jak marzenie. I co go obchodziło, że Jordan i Sidney, jego siostry, przezwąły ten samochód „kompensacją”, sugerując tym, że mężczyzna prowadzący taki seksowny sportowy samochód kompensuje tym sobie braki w życiu miłosnym.

Wprowadził porsche do garażu swego ceglanego domu, za pomocą pilota zamknął za sobą drzwi i poczuł, jak nagle opada z niego napięcie. Nareszcie był w domu. Wszedł po schodach do kuchennej sieni, cisnął torbę podróżną na podłogę przed pralnią był dobrze wychowany przez swą gospodynię, Rosie - zdjął marynarkę i krawat, wreszcie wszedł do niedawno przebudowanej kuchni. Położył aktówkę i okulary przeciwsłoneczne na lśniącobrazowej wyspie z granitowym blatem, wziął puszkę piwa z lodówki, która zawsze przy zamykaniu drzwi wydawała dziwny syczący odgłos, i mógł się już skierować do swego sanktuarium, starannie omijając stertę nierozpakowanych pudeł, którą Rosie ustawiła pośrodku salonu i opatrzyła małą przyjaznymi liścikami, przylepionymi taśmą do kartonu.

Ulubionym pomieszczeniem Nicka była biblioteka. Tylko temu pokojowi poświęcił dość uwagi, by go umeblować. Znajdowała się na parterze, w głębi domu. Gdy otworzył drzwi, uderzył go bynajmniej nie przykry zapach cytrynowej pasty do mebli, skóry i starego papieru. Pokój był przestronny, mimo to wydawał się ciepły i przytulny w zimowe wieczory, gdy na dworze szalała zawiewa, a w kominku trząsał ogień. Do wysokości trzech i pół

metra ściany okrywała ciemna orzechowa boazeria, a powyżej, na suficie, zwracały uwagę misterne stiukowe zdobienia. Na dwóch ścianach stały półki, lekko uginające się pod ciężarem ksiąg. Aby mieć łatwiejszy dostęp do górnych półek, na mosiężnej szynie można było przesuwac wzdłuż ścian drabinę. Mahoniowe biurko Nicka, dar od wuja, stało przed kominkiem, na którego gzymsie tłoczyły się rodzinne fotografie. Naprzeciwko znajdowały się podwójne przeszklone drzwi, które zwieńczono palladiańskim łukiem. Gdy pociągnął za sznur, rozsunał draperie i otworzył drzwi, jego oczom ukazał się ogród ze starą fontanną w kształcie cherubina oraz stare ceglane patio.

Bibliotekę zalało słoneczne światło, a do środka zaczęły się sączyć kwietne zapachy. Wiosną pierwszy był zawsze bez, potem kapryfolum, teraz jednak dominowała intensywna woń heliotropu.

Przez kilka minut Nick, stojąc, przyglądał się swej zacisznej przystani, wreszcie zaczęło mu doskwierać gorąco i wtedy usłyszał trzask centralnego przełącznika klimatyzacji. Zamknął drzwi, głośno ziewnął, po czym pociągnął długi łyk piwa. Potem odpiął pistolet, wyjął z niego magazynek i schował go do sejf w ścianie. Usiadł przy biurku na miękkim obrotowym krześle, zakasał rękawy i włączył komputer. Napięcie, usztywniające mu ramiona, z wolna ustępowało, ale gdy zobaczył, ile internetowych listów czeka, by je przeczytał, głośno jęknął. W dodatku poczta głosowa zarejestrowała dwadzieścia osiem wiadomości. Z westchnieniem strzepnąwszy z nóg buty, zaczął przeglądać korespondencję, jednocześnie odsłuchując wiadomości przekazane telefonicznie.

Pięć z nich pochodziło od jego brata, Zachary'ego, najmłodszego w rodzinie, który bardzo chciał pożyczyć porsche na weekend czwartego lipca i gorliwie zapewniał, że odda wóz w dobrym stanie. Siódmą wiadomość nagrała matka, która nie mniej zapalczywie oświadczyła, że pod żadnym pozorem nie wolno dać Zachary'emu kluczyków do wozu. Jego nad wyraz bystra siostra Jordan poinformowała Nicka, że cena ich akcji sięgnęła właśnie poziomu stu pięćdziesięciu dolarów za sztukę, co oznaczało, że na dobrą sprawę mógłby przejść w stan spoczynku i żyć, opływając w luksusy, do których zawsze miał skłonność. Na myśl o tym mimowolnie się uśmiechnął. Jego ojciec ze swą etyką pracy dostałby zawału serca, gdyby któreś z jego dzieci okazało się takim bezproduktywnym pasożytem. Sędzia uważał, że życiowym celem każdego człowieka jest uczynienie świata odrobinę lepszym.

Od czasu do czasu Nicka nachodziła pewność, że umrze, starając się wcielić tę maksymę w czyn.

Po dwudziestej czwartej wiadomości zmartwił.

- Nick, to ja. Tommy. Mam poważny kłopot. Według mojego czasu jest teraz piąta trzydzieści w sobotę. Dzwonię z plebanii kościoła Matki Boskiej Łaskawej w Kansas City. Wiesz, gdzie to jest. Zamierzam zadzwonić również do Morganstema. Może on będzie wiedział, gdzie cię znaleźć. Policja jest teraz na plebanii, ale nie wiedzą, co robić, w dodatku zniknęła Laurant. Wiem, że mówię dużo i bez sensu, więc po prostu zatelefonuj, pora nie ma znaczenia.

3

nabito Daddy'ego, więc Bessie Jean Vanderman postanowiła odkryć, kto jest temu winien. Wszyscy twierdzili, że pies zdechł ze starości i nikt go nie otruł, ale Bessie Jean wiedziała lepiej. Daddy był w doskonałej formie, dopóki nagle nie ugięły się pod nim łapy i nie padł, by więcej nie wstać. To na pewno był skutek otrucia, toteż Bessie Jean zamierzała tego dowieść.

Tak czy owak, sprawiedliwość zatriumfuje. Trzeba było wytropić zbrodniarza i aresztować go, tyle przynajmniej należało się z jej strony Daddy'emu. Gdzieś musiał istnieć dowód przestępstwa, może nawet na ich podwórzu przed domem, gdzie w słoneczne dni pies był trzymany na łańcuchu, żeby mógł odetchnąć świeżym powietrzem. W każdym razie, jeśli jakiś dowód rzeczywiście istniał, Bessie Jean była pewna, że go znajdzie. Śledztwo stanowiło jej obowiązek i tylko ona była za nie odpowiedzialna. Na wieść o śmierci zwierzaka siostra Bessie Jean przerwała krótki odpoczynek w Des Moines i poprosiła kuzynkę o odwiezienie do domu. Próbowiła pomóc, ale niewielki był z niej pożytek, ponieważ miała bardzo słaby wzrok, a próżność nie pozwalała jej włożyć okularów z grubymi soczewkami. Bessie Jean gorzko teraz żałowała swego braku powściągliwości, kiedyś bowiem wypomniała siostrze, że w szylkretowych okularach wygląda tak, jakby miała wytrzeszcz oczu. A teraz nikt inny nie mógł jej pomóc w poszukiwaniach dowodu z tej prostej przyczyny, że nikogo ani trochę to nie obchodziło, nawet tego beznadziejnego szeryfa, Lloyda Mac-Govema. Ten nie przepadał zresztą za Daddym, zwłaszcza odkąd pies wyrwał się kiedyś Bessie Jean i ugryzł stróża prawa w jego tłuste cztery litery. Ale mimo wszystko szeryf powinien mieć dość przyzwoitości, by wpaść do nich i złożyć kondolencje z powodu odejścia Daddy'ego, tym bardziej że mieszkały zaledwie przecnicę

od rynku, przy którym znajdowało się jego biuro. To doprawdy wstyd, powiedziała Bessie Jean do siostry. Nieważne, czy szeryf lubił Daddy'ego, jego obowiązkiem było znaleźć mordercę.

Siostra przypomniła jej jednak, że nie wszyscy w Holy Oaks są tacy gruboskórni. Inni mieszkańcy doliny okazali Bessie Jean wiele taktu i wrażliwości. Powszechnie wiadomo, jak wiele znaczył dla niej Daddy. A ta młoda dama o wymyślnym francuskim imieniu, Laurant, ich najbliższa sąsiadka, zachowała się naprawdę wyjątkowo sympatycznie. Co by w ogóle bez niej zrobiły? Gdy usłyszała szloch, natychmiast przybiegła na pomoc. Bessie Jean klęczała nad biednym, martwym Daddym, więc Laurant pomogła jej wstać, zaprowadziła ją do swojego samochodu, a potem biegiem wróciła na podwórko, odczepiła z łańcucha Daddy'ego, wzięła go na ręce, naprawdę bardzo delikatnie, i wsadziła do bagażnika. Daddy był już sztywny i zimny jak kamień, ale Laurant błyskawicznie pojechała do doktora Bashama i wbiegła z psem do gabinetu, jakby miała nadzieję, że weterynarz może sprawić cud.

W ten ponury dzień cud się jednak nie zdarzył, więc doktor wsadził martwe zwierzę do lodówki, żeby zrobić potem sekcję, na przeprowadzenie której nalegała Bessie Jean. Potem Laurant zawiozła ją do doktora Swecneya, aby zmierzył jej ciśnienie, bo Bessie Jean była głęboko wstrząśnięta.

Okazało się, że Laurant wcale nic jest zrozumiąłą damą. Bessie Jean nie należała do ludzi, którzy łatwo zmieniają raz wyrobione zdanie, w tym wypadku jednak musiała odstąpić od swych przyzwyczajęń. Gdy wreszcie otrząsnęła się z szoku i pokonała atak hysterii po śmierci Daddy'ego, przyznała, że młoda sąsiadka ma naprawdę dobre serce. Naturalnie była cudzoziemką. Przyjechała tu z Chicago, siedliska zła i występku, ale z tym można się było pogodzić. Wielkie miasto nie odcisnęło na niej swego piętna. Pozostała życzliwą panną. Zakonnice, które wychowywały ją w tej ekskluzywnej szkole z internatem w Szwajcarii, zaszczyliły jej silne przywiązanie do wartości. Bessie Jean, która uważała się za osobę o ustalonych i słusznych przekonaniach, doszła do wniosku, że właściwie może mieć wśród przyjaciółek jedną czy dwie cudzoziemki. To nie ulegało wątpliwości.

Siostra zaproponowała, żeby przerwały opłakiwanie Daddy'ego i upiekły szarlotkę dla Laurant w dowód sąsiedzkiej sympatii, ale Bessie Jean natychmiast ją skarciła za kiepską pamięć i przypomniała, że przecież narożny sklepik Laurant został pod opieką

bliźniaków Winstonów, a ona pojechała do Kansas City, mówiąc, że chce zrobić niespodziankę bratu, temu przystojnemu jak malowanie księdzu z gęstą czupryną, na widok której dziewczęta z Holy Oak College aż się obliżywały. Z pieczeniem trzeba było poczekać do poniedziałku, bo wtedy Laurant miała wrócić do domu.

Gdy siostry zgodnie uznały, że ich sąsiadka nie jest już w Holy Oaks obca, naturalną koleją rzeczy zaczęły się wtrącać do jej życia i przejawiać wielką troskliwość, jaką niechybnie okazywałyby własnym córkom, gdyby tylko takowe miały. Bessie Jean zamartwiała się, czy Laurant będzie pamiętać o zamykaniu drzwi samochodu. Była przecież taka młoda, co w odczuciu sióstr było równoznaczne z naiwnością, zwłaszcza w zestawieniu z ich doświadczeniem i wiedzą o zepsuciu tego świata. Niby żadna z sióstr nigdy nie ruszyła się dalej niż do Des Moines, gdzie mieszkali kuzynostwo, Ida i James Perkinsowie, nie znaczyło to jednak, że nie wiedzą nic o okropnościach, jakie zdarzają się w tych czasach. Nie należały do ignorantek. Czytywały gazety i słyszały o istnieniu seryjnych morderców, którzy czyhają na wszystkich przydrożnych parkingach na piękne młode kobiety, decydujące się tam zatrzymać wskutek nierozwagi lub awarii samochodu. Tak urocza istota jak Laurant z pewnością przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn. Wystarczyło zresztą popatrzeć na tych młokosów ze szkoły średniej, którzy wystawiali przed jej jeszcze nieotwartym sklepem. Wszyscy trwali w nadziei, że Laurant zamieni z nimi kilka słów. Na szczęście, przypomniała Bessie Jean siostrze, Laurant jest nie tylko piękna, lecz również rozsądna.

Postanowiła przestać się o nią martwić, usiadła więc przy stole w salonie i otworzyła drewnianą kasetkę na papeterię, którą dostała od mamy jako mała dziewczynka. Wyjęła karkę różowego, nasyczonego olejkiem różanym papieru, na którym odcisnięto jej inicjały. i sięgnęła po pióro. Skoro szeryf Lloyd nie zamierzał niczego zrobić w sprawie morderstwa na Daddym, Bessie Jean postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Napisała już jeden list do FBI, żądając przysłania agenta, który zbadałby tę sprawę, ale widocznie przesyłka zaginęła na poczcie, bo minęło osiem długich dni, a wciąż nie było żadnego odzewu. Tym razem postanowiła działać z większą ostrożnością. Zaadresowała list osobiście do szefa FBI, a chociaż było to kosztowne, zdecydowała się zainwestować w dodatkową opłatę i wysłać polecony.

Siostra zaczęła sprzątać. Bądź co bądź, należało spodziewać się gości. Lada dzień do ich drzwi mogło zapukać FBI.

4

Wzrok nie doprowadzała ją do szaleństwa. Gdy w grę wchodziło zdrowie brata, Laurant nie umiała zdobyć się na cierpliwość. Siedzenie przy telefonie z nadzieją, że Tommy wkrótce przekaże jej wyniki badań, było ponad jej siły. Zawsze telefonował w piątek wieczorem między siódmą a dziewiątą, ale tym razem tego nie zrobił, a im dłużej czekała, tym bardziej się niepokoiła.

W sobotę po południu była już pewna, że wyniki nie są dobre. Gdy o szóstej wciąż nie miała wiadomości od Tommy'ego, wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę. Wiedziała, że brat będzie na nią zły za tę jazdę do Kansas City, ale zbliżając się do Des Moines, wymyśliła znakomitą wymówkę. Z wykształcenia była historykiem sztuki, postanowiła więc mu powiedzieć, że nie mogła się oprzeć pokusie i musiała się wybrać do Nelson Atkins Museum, żeby obejrzeć czasową wystawę dzieł Edgara Degas. W „Holy Oaks Gazette” była o niej wzmianka, Tommy na pewno ją zauważył. Wprawdzie Laurant widziała już tę samą wystawę w Chicago, nawet kilkakrotnie, ale może Tommy nie będzie o tym pamiętał.

Nie mogła powiedzieć bratu prawdy, nawet jeśli oboje wiedzieli, jak się sprawy mają. Nie mogła wyznać, że co trzy miesiące, gdy Tommy jedzie do szpitala na badania, ogarnia ją niepokonane przerażenie. Śmiertelnie się bała, że rak, niczym niedźwiedź w gawrze, znowu się zbudzi. Do licha, wyniki wstępnych badań krwi Tommy miał zawsze już w piątek wieczorem. Dlaczego nie zatelefonował? Niewiedza czyniła z niej emocjonalny wrak. Mdliło ją ze strachu. Przed wyjazdem z Holy Oaks zatelefonowała na plebanię i porozmawiała z prałatem McKindry, nie zważając na to, że jest to zachowanie neurotycznej matki kwoki. Prałat miał ciepły, życzliwy głos, ale nie powiedział jej nic dobrego. Tommy

znowu pojechał do szpitala. Lekarze istotnie nie byli zadowoleni z wyników jego badań. Laurant była przekonana, że wie, co to znaczy. Brat będzie musiał się poddać następnej serii zabiegów chemoterapeutycznych.

Nie ma mowy, żeby tym razem pozwoliła mu cierpieć bez wsparcia rodziny. Rodziny... przecież była jedyną bliską mu osobą. Po śmierci rodziców dorastali z konieczności po dwóch stronach oceanu. Tak wiele stracili przez te lata. Ale teraz wszystko się zmieniło. Byli już dorośli. Podejmowali własne decyzje, a to znaczyło, że w trudnych chwilach mogą się wzajemnie wspierać.

Za Haverton zabłysło jej na desce rozdzielczej światło kontrolne. Stacja benzynowa była zamknięta, skończyło się więc na noclegu w pobliskim - dość obskurnym - motelu. Rano przed wyjazdem kupiła w recepcji plan Kansas City. Recepcjonista polecił jej hotel Ritz Carlton, znajdujący się podobno w pobliżu muzeum sztuki.

Mimo wskazówek Laurant zgubiła drogę. Nie zauważyła swojego zjazdu z autostrady I-435 i znalazła się za daleko na południe, na obwodnicy otaczającej rozległe miasto. Ścisnąc w dłoni lepki plan, który niechcący oblała dietetyczną colą, zatrzymała się przy stacji benzynowej i poprosiła o pomoc.

Zorientowawszy się, gdzie jest, bez trudu znalazła właściwą drogę do hotelu. Ulicą stanowiącą granicę między stanami skręciła na północ.

Tommy powiedział jej, że Kansas City jest czyste i ładne, ale taki opis nie w pełni oddawał miastu sprawiedliwość. Było tam doprawdy uroczo. Wzdłuż ulic ciągnęły się starannie przystrzyżone trawniki, a za nimi stały stare piętrowe domy, ze wszystkich stron otoczone kwiatami. Zgodnie z instrukcją pracownika stacji benzynowej, dojechała prosto do ulicy Ward Parkway, którą miała dotrzeć pod same drzwi hotelu Ritz Carlton. Jeździe rozdzielał pas zieleni i Laurant dwa razy spostrzegła tam grupy młodzieży grającej w futbol i piłkę nożną. Dzieciakom nie przeszkadzała ani żar lejący się z nieba, ani duchota.

Ulica łagodnie zakręcała, opadając w dół po stoku. Laurant już zaczęła się martwić, że znowu pojechała za daleko, gdy ujrzała przed sobą centrum handlowe, którego architektura była niewątpliwie pochodzenia hiszpańskiego. Najprawdopodobniej właśnie to miejsce recepcjonista z motelu nazwał Country Club Plaza. Laurant ulżyło. Jeszcze kilka przecznic i po prawej będzie hotel.

Do południa brakowało jeszcze kilkunastu minut, ale recep-

cjonista, widząc jej zmęczenie, zlitował się i pozwolił wcześniej zająć pokój. Po godzinie poczuła się znacznie lepiej. Od samego rana bez przerwy prowadziła samochód, orzeźwiła się więc zimnym prysznicem. Wprawdzie wiedziała, że Tommy nic miałby nic przeciwko temu, gdyby przyszła na plebanię w dżinsach albo nawet w szortach, to jednak przywdziała strój „kościelny”. Była niedziela, należało się więc spodziewać, że zjawi się na plebanii w porze mszy. Nie chciała urazić prałata McKindry’ego, który, zdaniem jej brata, był konserwatystą do szpiku kości. Tommy uważał, że gdyby to było dopuszczalne, wciąż odprawiałby mszę po łacinie.

Laurant włożyła więc bladą różową długą sukienkę bez rękawów, ze stójką. Miała nadzieję, że prałat nie uzna za zbyt śmiałe rozcięcia po lewej stronie spódnicy. Włosy na karku wciąż miała wilgotne, ale nie chciała już się nimi zajmować, więc tylko zapięła rzemyki sandałów, wzięła torebkę i okulary przeciwsłoneczne i zeszła do holu.

Uderzenie żaru z ulicy było jak cios w twarz. Przez kilka sekund nie mogła złapać tchu. Nieszczęsny portier, starszy pan ze szpakowatymi włosami, wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł się roztopić, był jednak odziany w nieskazitelną szarą liberię. Gdy hotelowy boy sprowadził jej samochód z parkingu, portier z szerokim uśmiechem otworzył przed nią drzwi. Ale uśmiech znikł mu z twarzy, kiedy dla pewności spytała go o drogę do kościoła Matki Boskiej Łaskawej.

- Są kościoły znacznie bliżej hotelu, proszę pani - powiedział. Najbliższy kilka przecznic dalej, przy Main Street, pod wezwaniem Nawiedzenia. Gdyby nie było tak upalnie, mogłaby nawet pani iść tam piechotą. To piękny stary kościół w całkiem bezpiecznym otoczeniu.

- Muszę iść do kościoła Matki Boskiej Łaskawej - wyjaśniła.

Widziała, że portier nie chce się pogodzić z tą decyzją, ale nie odważył się dłużej jej zniechęcać. Kiedy wsiadała do samochodu, pochylił się ku niej i poradził, żeby dobrze zamknęła drzwi i nie zatrzymywała się bez powodu, póki nie odstawi wozu na kościelny parking.

Rejon, w którym znalazła się pół godziny później, przynębiał swym wyglądem. Wzdłuż ulicy stały opuszczone budynki z powybijanymi szybami i drzwiami zabitymi deskami. Czarne graffiti na ścianach atakowały przechodniów gniewnymi wyzwiskami.

Laurant minęła pusty ogrodzony plac, który część miejscowych uważała za wysypisko śmieci, i nawet mimo zasuniętych szyb oraz włączonej klimatyzacji poczuła smród gnijącego mięsa. Na rogu ulicy stały cztery dziewczynki w wieku sześciu, może siedmiu lat, wszystkie w najlepszych niedzielnych ubrankach. Bawiły się skakanką i chichotliwie skandowały przy tym jakąś głupią rymowanekę, jak to dziewczynki. Zrujnowane otoczenie w ogóle im nie przeszkadzało. Ich delikatna uroda i niewinność stanowiły drastyczny kontrast dla gruzowiska dookoła. Laurant przypomniał się obraz, który widziała jeszcze podczas studiów w Paryżu. Przedstawiał brudnobrazowe pole, otoczone czarnym kolczastym drutem, wstrętnym i różnie straszącym ostrze zakończenia. Powyżej kłębiły się szaroczarne chmury. Obraz był utrzymany w bardzo posępnym nastroju, ale w jego lewym rogu po powyginanym żelastwie pięła się rachityczna żółtawa odnoga winorośli, sięgająca połowy wysokości ogrodzenia. Autor zatytułował swoje dzieło „Nadzieja” i teraz, patrząc na te dziewczynki, Laurant przypominała sobie przesłanie tamtego artysty: życie musi się toczyć, nawet w najbardziej przynębiającym miejscu może - a nawet musi - rozkwitać nadzieja. Starła się jak najwięcej zapamiętać z tej sceny, żeby któregoś dnia, gdy będzie miała farby, przenieść ją na płótno.

Jedna z dziewczynek pokazała jej język, a potem pomachała do niej ręką. Laurant odpowiedziała tym samym, a potem się uśmiechnęła. Dziecko rozchichotało się na dobre.

Cztery przecznic dalej, pośrodku tego skupiska ruder, stał kościół Matki Boskiej Łaskawej. Jego bliźniacze białe kolumny przy wejściu były niczym straż. Świątynia wyglądała jednak na bardzo zużytą. Pilnie potrzebowała remontu. Popękana farba łuszczyła się u szczytu kolumn i na bocznych ścianach, a na ziemi dookoła leżały krzywe przegniłe deski. Laurant zaczęła się zastanawiać nad wiekiem tego kościoła i spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałby odnowiony. Z rzeźbionych ornamentów przy dachu i ozdobnej kamieniarskiej roboty na froncie należało się domyślać jego znacznie chlubniejszej przeszłości. Przy odrobinie starali i pieniędzy można by przywrócić świątyni dawną wspaniałość. Czy jednak kiedykolwiek do tego dojdzie, czy też przerażająca obojętność, tak częsta w naszych czasach, sprawi, że ktoś zainteresuje się losem kościoła dopiero wtedy, gdy będzie się nadawał już tylko do zburzenia?

Przykościelny teren otaczało ze wszystkich stron kute ogrodzenie wysokości przynajmniej dwóch i pół metra. W jego granicach

znajdował się świeżo wyasfaltowany parking i bielony kamienny budynek. Laurant założyła, że właśnie w nim mieści się plebania, wjechała więc przez bramę na teren kościoła i zaparkowała samochód obok czarnego sedana.

Jeszcze nie zdążyła zamknąć drzwi po wyjściu z samochodu, gdy zauważyła wóz policyjny. Stał na podjeździe przed plebanią, był jednak zasłonięty przez liściaste konary starego płatanu. Po co tutaj policja? Może znowu włamanie do kościoła, pomyślała, Tommy opowiadał jej bowiem, że kłopoty z wandalizmem w ciągu ostatniego miesiąca bardzo się nasiliły. Jego zdaniem i dzieciom podczas wakacji nie organizowano żadnych zajęć i stąd częstsze dewastacje, aczkolwiek prałat McKin dry przypisywał to zjawisko działalności gangów.

Laurant skierowała kroki do kościoła. Drzwi były otwarte, ze środka dobiegły ją dźwięki organów i głosy śpiewających. Gdy była w połowie parkingu, muzyka umilkła. Zaraz potem tłum zaczął się wylewać z kościoła. Część kobiet wachlowała twarze złożonymi kościelnymi biuletynami, a mężczyźni ocierali chusteczkami pot ze skroni. Wkrótce w tłumie wiernych pojawił się prałat McKindry, zadziwiająco świeży, mimo grubych szat. Laurant nigdy wcześniej go nie widziała, poznała jednak natychmiast dzięki opisowi, jaki dał jej Tommy. Prałat miał siwiutkie włosy i twarz pooraną głębokimi bruzdami. Był wysoki i Chorobliwie chudy. Ale Tommy twierdził, że prałat je za trzech i cieszy się jak na swój wiek. znakomitym zdrowiem.

Wiemi najwyraźniej go uwielbiali. Miał uśmiech i dobre słowo dla każdego, kto przystanął, żeby z nim porozmawiać. Ponadto do wszystkich zwracał się po imieniu, co mogło zaimponować, zważywszy na liczbę ludzi. Wśród zwolenników starego duchownego nie brakowało też dzieci. Otoczyły go i ciągnęły za szaty, chcąc zdobyć jego niepodzielną uwagę.

Laurant stanęła przy schodkach w cieniu kościoła i czekała, aż prałat skończy wypełniać swoje obowiązki. Miała nadzieję, że gdy ksiądz przebierze się po mszy, poświęci jej chwilę czasu na plebanii, żeby mogła prywatnie wypytać go o Tommy'ego. Brat zawsze chciał ją chronić przed złymi wiadomościami, nauczyła się więc w ogóle mu nie wierzyć, gdy mówił cokolwiek o swym zdrowiu. Wiedziała jednak od niego, że prałat, choć życzliwy ludziom i pełen współczucia, jest szczerzy aż do granic weredyzmu. Liczyła więc, że nie będzie niczego owijał w bawełnę, gdyby miało się okazać, że choroba jej brata już nie jest w fazie remisji.

Tommy martwił się tym, że siostra tak się nim przejmuje. Śmieszne były te gierki, których próbowali wobec siebie. Miał skłonność do brania na siebie zbyt wielkich ciężarów, był bowiem starszy, no i zostało ich w rodzinie tylko dwoje. Laurant przyznawała, że jako mała dziewczynka potrzebowała jego opieki, ale te czasy już minęły. Była najwyższa pora, by Tommy przestał ją chronić.

Zerknęła ku plebanii akurat w chwili, gdy drzwi się otworzyły i na ganku stanął policjant z dość okazałym brzuchem. Za nim wyszedł na dwór wyższy, młodszy człowiek. Przyglądała się, jak wymieniają uścisk dłoni i policjant odchodzi do samochodu.

Obcy mężczyzna na ganku natychmiast przykuł jej uwagę, niemal wytrzeszczyła na niego oczy. Był nieskazitelnie ubrany w białą obcisłą koszulę, granatowy blezer i spodnie khaki. Krótko mówiąc, wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z okładki ekskluzywnego magazynu dla panów. Nie był jednak typem przystojniaka, przynajmniej nie w zwykłym tego słowa znaczeniu. Może to właśnie wydało jej się w nim pociągające. Podczas jednej z wakacyjnych przerw, gdy mieszkała w internacie, pracowała trochę jako modelka dla włoskiego projektanta. W końcu Tommy ją znalazł i położył temu kres, ale przez dwa i pół miesiąca pracy miała okazję spotkać wielu urodziwych mężczyzn. Tego, który stał na ganku, na pewno nie nazwałaby urodziwym. Miał zbyt wyraziste rysy. No i był niesamowicie seksowny.

Biła od niego aura władzości, miało się wrażenie, że jest przyzwyczajony do stawiania na swoim. Świadczyła o tym ostra szczeka i zacięte usta. Wydawał się niebezpieczny, choć Laurant nie umiałaby uzasadnić tej opinii.

Twarz miał bardzo interesującą; wbrew modzie, silnie opaloną. Doprawdy ciekawe.

W głowie zadźwięczało jej jedno z ostrzeżeń, często powtarzanych przez matkę przełożoną. Uważaj na wilki w owczej skórze. Czyhają, żeby skraść ci cnotę.

Mężczyzna nie wyglądał na takiego, który musiałby cokolwiek kraść. Laurant przypuszczała, że kobiety garną się do niego na pęczki, mógł więc wybierać do woli. Był naprawdę wyjątkowy. Westchnęła, zrobiło jej się bowiem głupio, że nachodzą ją takie myśli parę kroków od świętego miejsca. Matka Mary Madeline prawdopodobnie miała co do niej rację. Musiała nauczyć się panować nad swoją grzeszną wyobraźnią, bo inaczej groziło jej, że trafi prosto do piekła.

Obcy musiał wyczuć jej wzrok, bo nagle odwrócił się i spojrzał prosto na nią. Zakłopotana tym, że przyłapano ją na gorącym uczynku, chciała się odsunąć, ale właśnie wtedy otworzyły się drzwi plebanii i stanął w nich Tommy. Laurant ucieszyła się, że widzi go w tym miejscu, a nie w szpitalu, czego się obawiała.

Miał na sobie czarną sutannę z koloratką. Wydał jej się błądy i zatroskany. Zaczęła torować sobie drogę przez tłum.

Nieznajomy i Tommy, który zaczął z nim rozmawiać, przedstawiali widok godny uwagi. Obaj byli wysocy i ciemnowłosi, ale Tommy miał cerę Irlandczyka: rumiane policzki i liczne piegi na nosie. W odróżnieniu od Laurant, gdy przypadkiem zdarzyło mu się zbyt długo pobyc na słońcu, nie opalał się, lecz od razu był poparzony. W policzku miał uroczy dołek, a poza tym odznaczał się chłopięcym wdziękiem, którym zasłużył sobie wśród dziewcząt na przydomek „ksiądz co za strata”.

Mężczyzna stojący obok z pewnością nie miał w sobie nic chłopięcego. Patrząc, jak Laurant zbliża się do ganku, słuchał Tommy'ego i od czasu do czasu przytakiwał. Wreszcie przerwał mu, skinieniem głowy wskazując za jego plecy. Tommy odwrócił się i zawołał siostrę. Mimo długiej szaty, falującej mu wokół kostek, zbiegł z ganku, przeskakując po dwa stopnie, i z wyrazem wielkiej ulgi na twarzy wybiegł jej na spotkanie.

Laurant zwróciła uwagę, że jego towarzysz pozostał na ganku i całkiem przestał się nimi interesować. Skupił się na rzędącym wokół nich tłumie.

Reakcja brata na jej widok bardzo ją zaskoczyła. Spodziewała się złości, w najlepszym razie irytacji, tymczasem Tommy w ogóle nic był zły. Co więcej, zachowywał się tak, jakby nie widzieli się lata, chociaż minęło zaledwie parę dni, odkąd pokazywał jej strych w opactwie.

Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Byłem ledwie żywy ze zmartwienia, Laurant. Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, że przyjeżdżasz? Tak się cieszę, że jesteś.

Głós drżał mu od emocji. Całkiem zdezorientowana takim powitaniem, uwolniła się z uścisku i odsunęła od brata.

- Cieszysz się, że jestem? Myślałam, że będziesz wściekły. Tommy, dlaczego nie zatelefonowałaś do mnie w piątek wieczorem? Przecież obiecałaś.

Wreszcie puścił ją na dobre.

- Mañwiłaś się o mnie. tak?

Spojrzała w jego wielkie piwne oczy i zdecydowała się jednak powiedzieć prawdę.

- Tak. Miałaś zatelefonować, kiedy będą wyniki badania krwi, więc pomyślałam... że może nie są dobre.

- W laboratorium coś pomieszali. Dlatego nie zatelefonowałem. Musieli zrobić mi badania jeszcze raz. Powinienem był zadzwonić, ale ty, Laurant, powinnaś była mnie uprzedzić, że przyjedziesz. Szeryf Lloyd szuka cię po całym Holy Oaks. Wejdz do środka. Muszę go zawiadomić, że jesteś tutaj cała i zdrowa.

- Po co dzwoniłaś do szeryfa Lloyda, żeby mnie szukał?

Chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Wszystko ci wyjaśnię, tylko wejdzmy do środka. Tak będzie bezpiecznie.

- Bezpiecznie? Tommy, co tu się dzieje? Nigdy nie widziałam, żebyś był taki poruszony. Kim jest ten człowiek, który stoi na ganku?

Pytanie go zaskoczyło.

- Nie miałaś jeszcze okazji go poznać, prawda?

- Kogo? - spytała coraz bardziej zirytowana.

- Nicka. Nicka Buchanana.

Stała jak wryta i spojrzała na brata.

- Znowu z twoim zdrowiem jest gorzej, prawda? To dlatego Nick jest tutaj... tak samo jak ostatnim razem, kiedy było z tobą naprawdę źle, ale nie powiedziałaś mi, póki...

- Nie - przerwał jej. - Ze mną jest wszystko w porządku.

Wyglądała tak, jakby mu nie wierzyła, więc jeszcze raz spróbował ją przekonać: - Przecież obiecałem ci powiedzieć, gdybym znowu musiał się poddać chemoterapii. Pamiętasz?

- Tak - szepnęła nieco uspokojona.

- Przepraszam, że nie zatelefonowałem w piątek - powiedział. - To było z mojej strony bardzo niefrasobliwe. Powinienem ci dać znać, że laboratorium sknociło badania.

- Jeśli nie idziesz znowu na chemoterapię, to po co tutaj Nick? - spytała, zerkając w stronę ganku.

- Poprosiłem go, żeby przyjechał, ale to nic ma nic wspólnego z moim zdrowiem. - Zanim zdążyła mu przerwać, dodał: Chodź. Laurant. Musisz go wreszcie poznać.

- Złej sławy Nick Buchanan - powiedziała z uśmiechem. Nigdy nie wspomniałaś mi, że jest taki... - W porę ugryzła się w język. Zawsze miała poczucie, że może powiedzieć bratu

absolutnie wszystko, ale mówienie o seksowności jego przyjaciela wydało się niestosowne. Okazało się, że rola młodszej siostry księdza wiąże się z podwójnym niebezpieczeństwem, Nie było mowy, żeby w tej sytuacji zrozumiał jej szalone myśli.

Nick i Tommy odnosili się do siebie bardziej jak bracia niż przyjaciele. Poznali się podczas bijatyki na pięści na boisku szkoły podstawowej pod wezwaniem św. Mateusza, gdy obaj byli w drugiej klasie. Puścili sobie nawzajem krew z nosa i od tego dnia stali się nierozłączni. Dziwnym zrządzeniem losu Tommy mieszkał w wielkiej rodzinie Buchananów przez większą część nauki w szkole podstawowej i średniej, a potem razem z Nickiem zaczął studiować na Uniwersytecie Stanu Pensylwania.

- Jaki jest? - spytał Tommy, ciągnąc ją za sobą.
- Słucham?
- Jaki jest Nick?
- Wysoki - odparła, przypomniawszy sobie wreszcie, o co chodzi.
- Nigdy nie przysłałem ci jego zdjęcia?
- Nie. - Skarciła go spojrzeniem z powodu tego przeoczenia.

Nagle ogarnęło ją zdenerwowanie, więc zaczerpnęła tchu, wygładziła sukienkę i weszła za bratem na ganek.

Boże, co za niebieskie oczy. Lśniące niebieskie oczy, które widzą wszystko, pomyślała, gdy Tommy ich przedstawiał. Chciała uściskać dłoń Nicka, ale nie pozwolił jej na takie formalności. Po prostu mocno ją uściskał. Był to braterski uścisk, lecz nawet gdy się już z niego uwolniła, Nick jej nie puścił i nadal mierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Cieszę się, że w końcu cię poznałam. Przez lata mnóstwo o tobie słyszałam - odezwała się.

- Nie mogę uwierzyć, że nigdy dotąd się nie spotkałiśmy - odrzekł. - Widziałem mnóstwo twoich zdjęć z lat dziecińczych. Tommy miał je na ścianie w akademiku, ale to było wiele lat temu. Cholera, zmieniłaś się od tego czasu.

Wybuchnęła śmiechem.

- Mam nadzieję. Siostry w mojej szkole były na tyle troskliwe, że wysyłały mojemu bratu zdjęcia, natomiast on nigdy żadnego mi nie przysłał.

- Nie miałem aparatu fotograficznego - zaproponował Tommy.
- Mogłeś pożyczyć. Tylko byłeś na to zbyt leniwy.
- Mężczyźni nie myślą o takich sprawach - bronił się. - Ja w każdym razie nie myślałem. Nick, wejdźmy do środka, dobrze?

- Tak, naturalnie.

Tommy otworzył drzwi i bardzo nieelegancko wepchnął Laurant do wnętrza domu.

- Co jest z tobą, na miłość boską? - spytała zdziwiona.
- Za chwilę wszystko ci wyjaśnię - obiecał.

Sień była ciemna i pachniała stęchlizną. Tommy poszedł pierwszy i wprowadził ich do kuchni, znajdującej się na tyłach piętrowego budynku. Był tam kącik śniadaniowy z wykuszowym oknem, przez które było widać warzywnik prałata, zajmujący większą część ogrodzonego podwórza za plebanią. Stary dębowy stół z deseczką podłożoną pod jedną nogę, żeby się nie chwiały, i czterema obrotowymi krzesłami stał przed potrójnym oknem. Całe pomieszczenie niedawno odmalowano wesołą jaskrawożółtą farbą, ale żaluzje były wystrzępione i zbrązowiałe na krawędziach. Należało je wymienić, Laurant wiedziała jednak, że z pieniędzmi w tej parafii trzeba bardzo się liczyć.

Stanął pośrodku kuchni, ze zdziwieniem przyglądając się bratu. Zachowywał się jak kłębek nerwów; natychmiast spuścił wszystkie żaluzje. Słoneczne światło sączyło się teraz do środka tylko przez szpary i rozdarcia.

- Co się z nim dzieje? - spytała szeptem Nicka.
- Zaraz ci wszystko wyjaśni - powtórzył obietnicę Tommy'ego. Innymi słowy, mam cierpliwie czekać, pomyślała.

Nick podsunął jej krzesło i usiadł obok niej. Tommy wciąż był niespokojny. Przysiadł na moment, zaraz jednak zerwał się znowu i wziął notes i pióro z blatu obitego linoleum. Wyraźnie nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Uwagę Laurant zwrócił Nick, który wstał. Minę miał nie mniej poważną niż jej brat. Rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Pomyślała, że promieniuje od niego zmysłowa energia. Czy jakaś kobieta czekała na niego w Bostonie? Wiedziała, że nie jest żonaty, ale mógł przecież z kimś być. Na pewno był.

Potem zdjął marynarkę i fantazje Laurant raptownie się urwały.

Gdy rozwieszał marynarkę na wolnym krześle, zauważył gwałtowną zmianę, jaka zaszła w siostrze przyjaciela. Dziewczyna wcisnęła się w oparcie krzesła tak, jakby chciała odsunąć się od niego jak najdalej. Jeszcze kilka sekund wcześniej była otwarta i przyjacielska, niemal z nim flirtowała. Teraz z napięciem i czujnością wpatrywała się w jego pistolet.

- Niepokoi cię broń?

Nie odpowiedziała mu wprost.

- Myślałam, że jesteś detektywem.
 - Jestem.
 - Więc po co ci pistolet?
 - To nieodłączna część tej pracy - odpowiedział za niego Tommy. Przekładał jakieś papiery, prawdopodobnie po to, żeby wziąć się w garść.

Laurant poczuła, że traci cierpliwość.

- Dość już czekałam, Tommy. Chcę wiedzieć, dlaczego tak dziwnie się zachowujesz. Nigdy nie widziałam cię tak zdenerwowanego.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął. - To jest dość trudne, bo nic wiem, od czego zacząć. - Ostatnie zdanie skierował za jej plecy, do Nicka, który potwierdził słowa przyjaciela skinieniem głowy.

- Myślę, że wiem, o co chodzi - powiedziała Laurant. - Dostałeś wyniki badań z laboratorium, prawda? I boisz się o nich mówić. Myślałeś, że zrobię scenę i dlatego z tym czekałeś? Wyniki są niedobre, tak?

Wydał znużone westchnienie.

- Dostałem wyniki wczoraj wieczorem. Miałem ci o tym powiedzieć później... jak już się dowiesz, co zaszło wczoraj.

- Zrób to teraz - zażądała.

- Doktorowi Cowanowi było bardzo przykro, że laboratorium zaważyło sprawę za pierwszym razem, więc kazał im się pospieszyć z drugim badaniem. Wczoraj specjalnie zatelefonował do mnie z wesela, żeby mi przekazać, że wyniki już są i wszystko jest w porządku. Czy teraz przestaniesz się wreszcie zamartwiać?'

- Chcesz powiedzieć, że tym razem na pewno nic będzie chemoterapii? - Jej głos zabrzmiał dziecinnie, chociaż bardzo chciała postępować w tej sprawie jak dojrzały człowiek. Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby bratu coś się stało. Zdawało jej się, że dopiero co go odnalazła, a już ta straszna choroba chciała jej go zabrać. - Jeśli wszystko jest w najlepszym porządku, to dlaczego jesteś taki zdenerwowany? Bo jesteś zdenerwowany, Tommy. Temu nie zaprzeczysz.

- Może powinienes po prostu puścić jej tę taśmę - zaproponował Nick.

- Jeszcze nie. To byłby zbyt wielki wstrząs.

- Daj jej wobec tego zapis z taśmy, zrobiony przez policję. Tommy pokręcił głową.

- Lepiej będzie, jeśli najpierw sam jej powiem, co zaszło. -

Nabrał tchu i przystąpił do rzeczy: - Laurant. ten człowiek przyszedł do spowiedzi tuż przed moim wyjściem z konfesjonału. Zamilkł, przez chwilę zbierał myśli, po czym zaczął opowiadać dalej: - Po rozmowie z policją sporządziłem trochę notatek. Spisując to, co powiedział...

Szerzej otworzyła oczy. Nie mogła się jednak pohamować i przerwała mu te wyjaśnienia.

- Spisywałeś to, z czego ktoś się wypowiadał? Nie wolno ci tego robić. To jest sprzeczne z zasadami, prawda?

Uciszył ją podniesieniem dłoni.

- Wiem, jakie są zasady. Przecież jestem księdzem.

- Nie musisz tak na mnie burczeć.

- Przepraszam - bąknął. - Zrozum, że jestem zdenerwowany i piekielnie boli mnie głowa. Ten człowiek... przez cały czas. kiedy się spowiadał, nagrywał to, co mówi.

Zdumiała się.

- Nagrywał spowiedź? Po co?

- Prawdopodobnie chciał mieć pamiątkę - wtrącił się Nick.

Tommy skinął głową.

- W każdym razie musiał potem skopiować tę taśmę. To, co mamy, nie jest oryginałem, bo w tle są szумы - stwierdził. - Kopię podrzucił na posterunek policji. Możesz w to uwierzyć, Laurant? Po prostu wszedł na posterunek i zostawił na biurku.

- Ale po co ktoś miałby sobie zadawać tyle trudu?

- Chciał mieć pewność, że będę mógł o tym mówić - wyjaśnił.

To wszystko jest częścią jego chorobliwej gry.

- Co jest na tej taśmie? - Poczekała chwilę na odpowiedź, a że brat milczał, zażądała bardziej stanowczo: - Tommy, wyduś to wreszcie z siebie. To nie może być aż takie straszne, jak ci się zdaje. Co takiego okropnego powiedział ten człowiek?

Tommy przysunął swoje krzesło do siostry i znowu usiadł. Ujął ją za ręce.

- Ten człowiek powiedział mi, że zamierza... że chce...

- Tak?

- On chce cię zabić.

5

Laurant nie uwierzyła mu, w każdym razie nie od pierwszej chwili. Tommy powtórzył jej wszystko, co usłyszał od mężczyzny w konfesjonale. Nie przerywała mu, ale z każdym nowym szczegółem czuła, jak drętwieje. Tylko na sekundę lub dwie ulżyło jej, że to na nią nastaje szalenie, a nie na brata, który naprawdę miał dość swoich strapień.

- Zaskakująco dobrze to znosisz - stwierdził Tommy niemal oskarżycielsko. Obaj z Nickiem czekali, aż wszystkie nowe informacje do niej dotrą, i przyglądali się dziewczynie, jakby była okazem motyla za szkłem.

- Nie wiem, co o tym myśleć - odparła. - Nie chce mi się wierzyć, że to, co ten człowiek powiedział, jest prawdą.

- Musimy potraktować jego groźby poważnie - ostrzegł ją Nick.

- Ta kobieta, o której wspominał, Millie... Powiedział ci, że zabił ją rok temu, tak? - spytała.

- Chełpił się tym.

Przeszył ją dreszcz.

- Czy jej ciało znaleziono?

- Podobno pochował ją w takim miejscu, że nikt nigdy jej nie znajdzie - odrzekł Tommy.

- Sprawdzamy tę informację w rejestrze komputerowym - wtrącił Nick. - Tam są wszystkie dane o zgłoszonych, lecz nierozwiązanych morderstwach. Może nam się poszczęści i jakieś szczegóły będą pasowały.

- Ja wierzę w to, co on powiedział - rzekł Tommy. - Myślę, że rzeczywiście zabił tę biedaczkę. On nie fantazjował, Laurant.

- Widziałeś go? - spytała.

- Nie. Kiedy mi powiedział, że masz być jego następną ofiarą.

wybiegłem z konfesjonatu. - Pokręcił głową. - Nie mam pojęcia, co zamierzałem zrobić. Byłem wstrząśnięty.

- I nie zobaczyłeś go? Zdażył odejść? Jak ktoś może się tak szybko poruszać?

- Nie odszedł - odrzekł Tommy.

- Dał mu w czapę - powiedział Nick.

- Co zrobił?

- Ogłuszył mnie - wyjaśnił Tommy. - Specjalnie czekał, żeby uderzyć mnie od tyłu. Nie wiem, jakiego narzędzia użył, ale miałem szczęście, że nie roztrzaskał mi czaszki. Upadłem i ocknąłem się dopiero, jak pochylał się nade mną ksiądz prałat. Myślał, że zemdlałem od upału.

- Mój Boże, on mógł cię zabić.

- Miałem gorsze kontuzje, kiedy grałem w futbol.

Laurant kazała bratu pokazać, gdzie został uderzony. Gdy dotknęła guza u podstawy czaszki, drgnął.

- Jeszcze mnie boli - wyjaśnił.

- Może powinieneś iść z tym do lekarza?

- Nic mi nie będzie. Żałuję tylko, że nie zobaczyłem jego twarzy.

- Chcę posłuchać tej taśmy. Czy rozpoznałeś jego głos?

- Nie.

- Może ja rozpoznam?

- Przez większą część rozmowy ten człowiek mówił szeptem.

Tommy się bał. Siostra widziała to w jego oczach i słyszała w tonie głosu.

- Nic ci się nie stanie, Laurant. Dopilnujemy, żebyś była bezpieczna - obiecał żarliwie, wskazując ruchem głowy Nicka.

Długą chwilę po prostu wpatrywała się w wodę ciekącą z kranu po drugiej stronie pomieszczenia. Miała zamęt w głowie.

- Nie bądź taka harda - ostrzegł ją brat.

- Nie jestem.

- To dlaczego przyjmujesz to z takim spokojem?

Oparła łokcie na stole, schyliła głowę i przycisnęła dłoń do skroni. Ze spokojem? Wiedziała, że doskonale umie ukrywać uczucia, ćwiczyła się w tym od lat, ale zdziwiło ją, że brat nie zauważył, jak głęboko jest wstrząśnięta. Miała wrażenie, że przed chwilą eksplodował jej w głowie granat. Cichy, stabilny świat, w jakim żyła, właśnie rozpadł się na drobniutki kawałeczki. Można było o niej powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest spokojna.

- Tommy, co chcesz, żebym zrobiła?

- Powiem ci, czego nie możesz robić. Nie możesz ryzykować, Laurant. Najpierw trzeba złapać tego człowieka. Nie możesz wrócić do Holy Oaks.

- Jak mogłabym nie wrócić? Moja najlepsza przyjaciółka wychodzi za mąż, a ja mam być świadkiem na jej ślubie. Za nic z tego nie zrezygnuję. Poza tym wiesz, że za dwa tygodnie mam otwarcie sklepu, który jeszcze nic jest wyszykowany. No i niedługo ma być sądowe przesłuchanie w sprawie zabudowy rynku. Ludzie na mnie liczą. Nie mogę, ot tak, spakować się i wyjechać.

- Tylko na pewien czas, dopóki policja nie złapie tamtego człowieka.

Odsunęła krzesło i wstała. Nie mogła już usiedzieć na miejscu.

- Dokąd idziesz? - spytał Tommy.

- Zrobić sobie filiżankę gorącej herbaty.

- Herbaty? Jest trzydzieści pięć stopni w cieniu, a ty chcesz gorącej herbaty? - Spiorunowała go wzrokiem, więc się wycofał. - No, dobrze, dobrze. Pokażę ci, gdzie wszystko jest.

Nick i Tommy przyglądali się, jak Laurant napełnia czajnik wodą i stawia go na kuchence. Wyjąwszy torebkę herbaty z opakowania, włożyła ją do kubka, a potem oparła się plecami o kuchenny blat i zwróciła do brata:

- Muszę to przemyśleć.

- Nie ma nad czym myśleć. Musisz wyjechać. Nie masz wyboru, Laurant. Nie pozwolę, żebyś...

Nick cicho mu przerwał.

- Tommy, powinieneś zadzwonić do szeryfa Lloyda.

- Masz rację. - Szeryf całkiem wyleciał mu z głowy. - Pójdę więc, a ty może tymczasem przemówisz jej do rozsądku - dodał, przesyłając siostrze kwaśne spojrzenie. - Ona nie może w tej sytuacji sprawiać kłopotów. Musi zrozumieć, że sprawa wygląda poważnie.

- Wcale nie sprawiam kłopotów - zaperzyła się. - Daj mi po prostu spokojnie pomyśleć, zgoda?

Tommy niechętnie wstał i wyszedł. Tymczasem Nick zadzwonił z telefonu komórkowego na policję, żeby powiedzieć o obecności Laurant na plebanii. Potem zatelefonował do swojego przełożonego. W czasie gdy rozmawiał z Morgansternem, dziewczyna zaparzyła herbatę, postawiła ją na stole i usiadła.

- Powinnaś kupić sobie komórkę- powiedział, schowawszy

telefon do kieszeni na piersi. - Wiedzielibyśmy, gdzie jesteś, i moglibyśmy się z tobą skontaktować podczas podróży.

- W Holy Oaks ludzie się znają i wszystko o sobie wiedzą. To trochę tak, jakby się mieszkało w akwarium.

- Szeryf nie wiedział, gdzie jesteś.

- Pewnie nie zadał sobie trudu, żeby kogokolwiek zapytać. Jest wyjątkowo leniwy - odparła. - Moje sąsiadki wiedziały, dokąd jadę, podobnie jak dwaj panowie, którzy doglądają teraz pracy w sklepie.

Wzięła zapis rozmowy w konfesjonale, sporządzony przez policję, zaczęła go czytać, ale zaraz go odłożyła.

- Chciałabym posłuchać taśmy.

W odróżnieniu od Tommy'ego Nick nie mógł się doczekać, kiedy Laurant to zrobi. Wyszedł z kuchni po magnetofon kasetowy, wkrótce wrócił i postawił go na środku stołu.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Przestała mieszać herbatę. Odłożyła łyżeczkę na spodoczek. zacerpnęła tchu, po czym skinęła głową.

Nick włączył magnetofon i się odchylił, żeby wygodniej oprzeć plecy. Laurant wpatrywała się w ruch krążka, przewijającego taśmę, i uważnie słuchała. Kiedy usłyszała głos nieznanego, koszmara stał się dla niej bardziej rzeczywisty. Gdy taśma dobiegała końca, zrobiło jej się niedobrze.

- Mój Boże.

- Poznałaś ten głos?

Pokręciła głową.

- To był taki cichy szept, że nawet wszystkiego nie zrozumiałam. Nie sądzę, żebym wcześniej słyszała tego człowieka. Posłucham taśmy jeszcze raz - obiecała. - Ale nie teraz, dobrze? Chyba nic mogłabym...

- Część z tego, co powiedział, była bardzo wyrachowana... liczył na określony skutek. Tak w każdym razie uważam. Chciał przestraszyć Tommy'ego.

- I udało mu się. Nie chcę, żeby mój brat się martwił, ale nie wiem, jak go przed tym uchronić. Stres nie jest dla niego dobry.

- Musisz być realistką, Laurant. Ktoś mówi mu, że zamierza zabić jego siostrę, tylko najpierw jeszcze trochę się podnieci, a ty uważasz, że nie powinien się martwić?

Nerwowo przeczesła włosy palcami.

- Tak, naturalnie... Tylko że...

- Co?

- To nie jest dobre dla jego zdrowia.

Gdy Laurant pierwszy raz się odezwała, Nick zauważył jej nieznaczny francuski akcent, teraz jednak stał się on o wiele wyraźniejszy. Mogła udawać chłodną i opanowaną, ale ta maska nie była trwałą.

- Dlaczego ja? - spytała szczerze zdumiona. - Mam takie nudne, zwyczajne życie. W tym nie ma ani krzty sensu.

- Wielu zbrojenców robi rzeczy bez sensu. Był taki przypadek kilka lat temu. Facet zabił sześć kobiet, zanim go złapano. I wiesz, co odpowiedział na pytanie, w jaki sposób i gdzie wybierał ofiary?

Pokręciła głową.

- W sklepach spożywczych. Stawał przed wejściem i uśmiechał się do przechodzących kobiet. Pierwsza, która odwzajemniła uśmiech... tej właśnie chciał. To były zwyczajne kobiety, Laurant. I wiodły zupełnie normalne życie. Nie ma co szukać racjonalnych przyczyn, gdy w grę wchodzi zbrojeniec. Szkoda nawet czasu na zastanawianie się, jak pracuje jego umysł. Niech rozpracowują to znawcy tematu.

- Myślisz, że ten mężczyzna z konfesjonału jest seryjnym zabójcą?

- Trzeba się z tym liczyć - przyznał. - Ale niekoniecznie. On może dopiero zaczynać swoją karierę. Specjaliści od portretów psychologicznych będą wiedzieć więcej, gdy posłuchają taśmy. Zdobędą wtedy jakieś dane.

- A ty co sądzisz?

- Jest tu cholernie dużo niespójności.

- Na przykład?

Wzruszył ramionami.

- Powiedział Tommy'emu, że zabił kobietę rok temu, ale wydaje mi się, że skłamał.

- Dlaczego?

- Bo powiedział również, że mu się to spodobało - przypomniał jej. - Te dwa stwierdzenia nie pasują do siebie.

- Nie rozumiem.

- Jeśli czerpie przyjemność z dręczenia i zabijania kobiet, to zapewne zabił tę pierwszą niedawno, a nie rok temu. Nie wytrzymałby tak długiego czekania.

- Nick, a co z listem, który ten człowiek podobno wysłał do policji?

- Jeśli go napisał i wysłał, to jutro albo pojutrze powinien

dotrzeć do adresata. Policja jest gotowa. Zaczną od sprawdzenia odcisków palców, ale na pewno żadnych nie będzie.

- Na kasecie, jak rozumiem, też żadnych odcisków nie było?

- Był jeden, ale nie tego człowieka, którego szukamy, tylko chłopaka, który sprzedawał mu tę kasetę w supermarkecie. Chłopak akurat był notowany i w ten sposób dotarliśmy do supermarketu - wyjaśnił. - To kurator pomógł mu załatwić tę pracę.

- Czy chłopak pamiętał, kto kupił taśmę?

- Niestety, nie - odparł. - Ruch w takim sklepie jest niewyobrazalny, a w tej kasie przyjmuje się tylko gotówkę, więc nie można było wytropić ani czeku, ani karty kredytowej.

- Co z konfesjonałem? Czy tam były jakieś odciski palców?

- Owszem, setki.

- Ale ty uważasz, że żaden z nich nie należy do tego człowieka?

- Otóż to.

- Jest sprytny, prawda?

- Oni nigdy nie są tak sprytni, jak im się zdaje. Zresztą...

- Co takiego?

- My będziemy sprytniejsi.

6

Nick promieniał pewnością siebie i Laurant przyszło do głowy, że prawdopodobnie musi mieć to doskonale wyćwiczone, żeby nie budzić paniki świadków i ofiar przestępstw.

- Czy coś kiedyś wyprowadza cię z równowagi? - spytała.

- O, tak.

- Jesteś pewien, że ten człowiek, który nagrał taśmę, mówi poważnie?

- Laurant, wszystko jedno, ile razy zadasz mi to pytanie, odpowiedź zawsze będzie taka sama. Jestem pewien - powtórzył cierpliwie. - Zadał sobie mnóstwo trudu, żeby się dowiedzieć jak najwięcej o tobie i Tommym. Jak powiedziałem, chodziło mu o to, żeby przestraszyć twojego brata, i niewątpliwie mu się to udało. Tommy jest przekonany, że to szaleniec, ale mnie się zdaje, że większość z tego, co ten człowiek powiedział, została misternie przemyślana. Musimy teraz odkryć, o co mu naprawdę chodzi.

Laurant było coraz trudniej nad sobą panować; nerwowo spłótła dłonie.

- Nie chce mi się wierzyć, że to się dzieje naprawdę - szepnęła łamiącym się głosem. - Słyszałeś, co on zrobił tamtej kobiecie? Jak ją torturował? Czy...?

Wziął ją za rękę i uściśnął.

- Laurant, odetchnij głęboko, zgoda?

Zrobiła, jak kazał, ale nic jej to nie pomogło. Skutki lego, co usłyszała przed chwilą, wreszcie zaczęły do niej docierać z pełną siłą. Zrobiło jej się zimno, więc uwolniła rękę i zaczęła rozcierać sobie ramiona.

Cała okryła się gęsią skórką. Drżała. Nick zarzucił jej na ramiona swoją marynarkę.

- Lepiej?

- Tak, dziękuję.

Nagle poczuł, że chciałby objąć tę dziewczynę i pocieszyć, tak samo jak pocieszał swoje siostry, gdy się czegoś przestraszyły, nie był jednak pewien jej reakcji, pozostał więc na swoim miejscu i czekał na jakiś sygnał ze strony Laurant.

Mocno otuliła się marynarką.

- Jak długo tu jesteś?

- Około godziny.

Oboje zamilkli i przez kilka minut było słychać tylko tykanie zegara, wiszącego nad zlewem, oraz stłumiony głos Tommy'ego, dobiegający z salonu. Nick zwrócił uwagę, że dziewczyna nie ruszyła herbaty. W pewnej chwili spojrzęła na niego i dostrzegła łzy w jej oczach.

- Czujesz się osaczona? - spytał.

Otarła łzę i odpowiedziała:

- Myślałam o tej kobiecie-- Millie... i o tym, co on jej zrobił...

Herbata wystygła, laurant postanowiła więc zaparzyć następną, a przy okazji zrobić również drugą, dla Nicka. Było to jakieś zajęcie, mogła na chwilę się na nim skupić i spróbować opanować emocje.

Nick podziękował za herbatę, o którą nie prosił. Poczekał, aż Laurant znowu usiądzie, i powiedział:

- Właśnie się zastanawiałem, w jaki sposób spróbujesz się wziąć w garść.

- Masz nadzieję, że jestem twardsza, niż się zdaje?

- Mniej więcej.

- Co właściwie robisz w FBI?

- Pracuję w wydziale „zgubiono znaleziono”.

- I co znajdujesz?

- Jeśli dopisze mi szczęście?

- Tak.

Pochylił się nad magnetofonem, żeby włączyć przewijanie kasety, a potem znowu zerknął na Laurant.

- Dzieci. Znajduję dzieci.

Jego niebieskie oczy miały bardzo intensywny odcień; Laurant zdawało się, że może czytać bezpośrednio w jej myślach. Zaintrygował ją, czy Nick nie próbuje analizować każdego jej ruchu, tak jakby był pionkiem szachowym. Czyżby starał się znaleźć jej słaby punkt?

- To jest bardzo specjalistyczna praca - dodał z nadzieją, że zakończy w ten sposób rozmowę na ten temat.

- Przykro mi, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach.

- No, cóż...

- Spójrz, jak się trzęsę. - Podsunęła mu rękę pod oczy. - Jestem tak wściekła, że mam ochotę krzyczeć.

- Nie krępuj się.

Zdumiał ją.

- Jak to?

- Krzycz - odrzekł.

Pomysł był tak głupi, że aż się uśmiechnęła.

- Prałat dostałby zawału, mój brat zresztą też.

- Wobec tego spróbuj ochłonać.

- Masz pomysł jak?

- Porozmawiajmy przez chwilę o czym innym... do czasu, aż wróci Tommy.

- Nie mogę myśleć o niczym innym.

- Och, na pewno możesz. Spróbuj, Laurant. Będzie ci łatwiej się uspokoić.

Z ociąganiem przystała na jego propozycję.

- O czym będziemy rozmawiać?

- O tobie - zdecydował.

Pokręciła głową, ale Nick się tym nic przejął.

- To dziwne, że dotąd się nie spotkaliśmy, prawda?

- Owszem - przyznała. - Od dzieciństwa jesteś najlepszym przyjacielem mojego brata, Tommy tak długo z wami mieszkał, a mimo to prawie nic o tobie nie wiem. On zawsze wraca! na wakacje do domu i ty byłeś zapraszany razem z nim, ale nigdy nie przyjechałeś. Zawsze coś stawało ci na drodze.

- Raz przyjechali moi rodzice - przypomniał jej.

- Owszem. Twoja mama przywiozła rodzinne zdjęcia. Na jednym jesteś... zresztą z całą rodziną. Stoicie przed kominkiem w święta Bożego Narodzenia. Chcesz zobaczyć?

- Masz to zdjęcie przy sobie?

Nie zdawała sobie sprawy, jak wymowne jest to, że je przy sobie nosi. Obserwowana przez Nicka, wydobyła portfel z torebki. Zdjęcie miała schowane za plastikiem w kieszonce na banknoty. Gdy mu je podawała, ręka już jej nie drżała.

Spojrzała na fotografię, przedstawiającą osiem latorośli Buchanánów, otaczających dumnych rodziców. Tommy stał tam również, wciśnięty między braci Nicka, Aleca i Mike'a. Inny z braci, Dylan, miał podbite oko. Nick przypuszczał, że to jego sprawka, prawdopodobnie uszkodził brata podczas gry w futbol.

- Twoja matka pomogła mi się nauczyć wszystkich imion - powiedziała. - Ale ty wyszedłeś tu nieostro, a do tego łokieć Theo zasłania połowę twojej twarzy. Nic dziwnego, że dzisiaj cię nie poznałam.

Zwrócił jej portfel, a gdy chowała go do torebki, powiedziała:

- Ja wiem o tobie dużo. Tommy miał zdjęcia na ścianie, te zrobione przez zakonnice, kiedy byłaś mała.

- Byłam bardzo cicha i skromna.

- Owszem. - Zaśmiał się. - Same nogi. Tommy czytał mi fragmenty twoich listów. Bardzo cierpiał, że nie może cię sprowadzić do siebie. Dręczyły go wyrzuty sumienia. On miał rodzinę, a ty nie.

- Ja też miałam. Letnie wakacje spędzałam u dziadka, a w internacie było bardzo przyjemnie.

- Nie znałaś innego życia.

- Byłam szczęśliwa - upierała się.

- Ale czy nie samotna?

Wzruszyła ramionami.

- Może trochę - przyznała. - Zwłaszcza po śmierci dziadka.

- Czy w moim towarzystwie czujesz się swobodnie?

Pytanie nieprzyjemnie ją zaskoczyło.

- Tak, a czemu pytasz?

- Będziemy spędzali wiele czasu razem, dlatego ważne jest, żebym cię nie krępował.

- Jak wiele czasu będziemy spędzać razem?

- Każdą minutę dnia i nocy, póki ta historia się nie skończy. To jedyny sposób, Laurant. - Nie dając jej czasu na oswojenie się z tą nowiną, dodał: - Twój brat wpadł we wściekłość, kiedy się dowiedział, że zostałam modelką.

Znowu się uśmiechnęła.

- Owszem, trochę się rozzłościł. Ten epizod okazał się wart nawet międzynarodowej rozmowy z matką przełożoną. Nie sądziłabym, że własny brat na mnie doniesie.

- Matka przełożona... Matka Madelyne, prawda?

Nick miał doskonałą pamięć.

- Tak - potwierdziła. - Po tym, jak Tommy na mnie doniósł, zatelefonowała do ludzi, u których rzekomo miałam spędzać lato. Byli bardzo bogaci. To u nich poznałam pewnego włoskiego projektanta.

- Raz na ciebie spojrzeł i już cię chciał, prawda?

- Chciał, żebym zaprezentowała jego wiosenną kolekcję poprawiła go. - Byłam na kilku pokazach.

- Aż w końcu matka Madelyne zaciągnęła cię z powrotem do klasztoru.

- To było upokarzające - przyznała. - Poddano mnie okresowi próbnemu, co było równoznaczne z sześcioma miesiącami przy skrobaniu garów i patelni. W ciągu niewielu godzin trafiłam z wielkiego świata do kuchni. Czy naprawdę będziemy spędzać razem każdą minutę, Nick?

- Kiedy będziesz myła zęby, ja będę wyciskał pastę na twoją szczoteczkę. - Wrócił do jej przeszłości. - Jedenaście miesięcy później znalazłaś się na okładce jednego z magazynów mody, a kiedy Tommy pokazał mi to zdjęcie, nie mogłem uwierzyć, że to ta sama chuda dziewczynka z obtartymi kolanami.

To był komplement, ale nie wiedziała, jak zareagować, więc po prostu się nie odezwała.

- Będziemy nierozłączni - zapowiedział Nick.

- Czy chcesz powiedzieć, że rankiem będziesz stawał na progu mojego pokoju, zanim jeszcze zdążę się ubrać?

- Nie to miałem na myśli. Będę ubierał się razem z tobą. Po której stronie łóżka śpisz?

- Słucham?

Powtórzył pytanie.

- Po prawej.

- Wobec tego lewa będzie moja.

- Żartujesz?

- Co do łóżka? Tak. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Muszę bardzo drastycznie zaingerować w twoją prywatność, a ty musisz się na to zgodzić.

- Na jak długo?

- Na tak długo, jak będzie trzeba.

- A jeśli zechcę wziąć prysznic?

- Będę ci podawał mydło.

- Wiem, że znowu żartujesz.

- Laurant, będę tak blisko, że mógłbym umyć ci plecy. Nie ma innego wyjścia. Musisz zrozumieć, że będziesz mnie widzieć zaraz po otwarciu oczu rankiem i chwilę przed zamknięciem ich wieczorem. Jesteśmy w tym razem.

- Ale jeśli będziesz spędzał czas ze mną, to jak złapiesz tego człowieka?

- Pracuję dla potężnej instytucji, Laurant. Oni już prowadzą śledztwo. I go złapią. Do tego jesteście powołani.

Wsparła się pod brodę. Przez długą chwilę nie odezwała się ani słowem, wreszcie się wyprostowała i spojrzała Nickowi prosto w oczy.

- Nie pozwolę się zastraszyć temu człowiekowi. Obiecuję, że nie zrobię nic głupiego - dodała pospiesznie. - Już się nie boję. Tylko jestem zła. Nawet więcej: wściekła, ale się nie boję.

- Powinnaś się bać. Lęk pomoże ci zachować czujność.

- Ale może też sparaliżować. Ten człowiek... ten potwór - poprawiła się - opowiedział mojemu bratu, jak dobrze się bawił, torturując i zabijając Bogu ducha winną kobietę, a potem dodał jeszcze, że żądza mu wraca i że teraz ja mu dostarczę zabawy. Jest bystry, wiedział, że Tommy będzie chciał zobaczyć jego twarz, więc zaczął się na niego przed konfesjonalem i uderzył go w głowę. Mógł go zabić.

- Nie chciał go zabić, bo inaczej by to zrobił - odparł cicho Nick. - Tommy jest teraz jego pośrednikiem. - Dostrzegł niepewną minę dziewczynę i natychmiast pospieszył z pokrzepieniem. - Nie martw się o brata. Jemu też zapewnimy bezpieczeństwo.

- Przez całą dobę - zażądała.

- Naturalnie.

Laurant skinęła głową.

- Czy nie wydaje ci się, że ten człowiek ma wszystkie karty w rękę? Mówi Tommy'emu, żeby ci wszystko opowiedział, i każe mnie gdzieś zabrać, to może za mną nie pojedzie. I mój brat właśnie to chce zrobić. Gdzieś mnie ukryć.

- To naturalne. Kocha cię i nie chce, żeby ci się coś stało.

Potarła skronie.

- Rozumiem. Ja pewnie zareagowałabym w ten sam sposób.

- Ale?

- Znam mojego brata i wiem, że właśnie teraz zamartwia się czymś, co ten człowiek powiedział w konfesjonale, a o czym żaden z was potem przy mnie nie wspomniał.

- To znaczy?

- Tamten powiedział, że spróbuje sobie znaleźć inną kobietę do zabawy. - Głos jej zadrżał. - Z jakiegoś powodu postanowił mnie ostrzec, żebym mogła się ukryć, ale tamta nie dostanie ostrzeżenia, prawda?

- Zapewne nie - zgodził się. - Ale ty musisz...

- Ucieczka nie jest wyjściem - przerwała mu. - Nie zamierzam nikomu dać nade mną takiej władzy. Nie pozwolę się zastraszyć.

- Porozmawiamy o tym później, kiedy mój szef dostarczy taśmę specjalistę od portretów psychologicznych.

Nick wstał od stołu, ale Laurant chwyciła go za rękę. Nie chciała czekać.

- Wiem, że musisz mieć swoje teorie. Chciałabym je usłyszeć. Potrzebuję informacji, Nick. Nie chcę być bezradna, a w tej chwili właśnie tak się czuję.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie się zdecydował. Skinął głową.

- Dobrze, powiem ci, co wiemy. Przede wszystkim mój przełożony, doktor Peter Morganstern, już słuchał tej taśmy. On jest szefem mojej grupy, ale również doskonałym psychiatrą. Jeśli ktokolwiek potrafi rozszyfrować umysł tego gada, to właśnie on. Pamiętaj jednak, że on nie ma czasu, żeby siedzieć i analizować każde słowo z taśmy.

- Rozumiem.

- Dobrze. Wobec tego najpierw omówmy fakty. Po pierwsze, to nie był przypadek. Zostałaś wybrana celowo.

- Wiesz dlaczego?

- Wiemy, że cię wybrał, ponieważ... jest ci oddany - powiedział, znalazłszy odpowiednie słowo.

- Co to znaczy? - spytała zniecierpliwiona.

- To znaczy, że masz fana. Tak nazywamy tych ludzi... to są fani.

- To nie ma sensu. Nie jestem gwiazdą filmową ani nikim sławnym. Jestem całkiem przeciętną kobietą.

- Spójrz w lustro, Laurant. Nie ma w tobie nic przeciętnego. Jesteś piękna. I on tak uważa - dodał szybko, zanim zdążyła mu przerwać. - Zresztą tacy ludzie najczęściej wybierają osoby, które nie są na świeczniku.

Zaczerpnęła tchu, a potem powiedziała:

- Mów dalej. Muszę dokładnie wiedzieć, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Nie przestraszysz mnie - podkreśliła, żeby przestał tak starannie dobrać słowa. - Chcę wiedzieć wszystko, aby móc się bronić. Bo zamierzam się bronić, nie ma dwóch zdań.

- Okej, oto co on nam mówi: Siedzi cię już od pewnego czasu. Wie o tobie wszystko. Dosłownie wszystko. Wie, jakich perfum używasz, co najbardziej lubisz jeść, w jakim proszku pierzesz,

jakie książki czytasz, jak wygląda twoje życie seksualne, co robisz w każdej minucie dnia. Chce, żebyśmy wiedzieli, że był w twoim domu przynajmniej kilka razy, a prawdopodobnie nawet więcej. Siedział na twoich krzesłach, jadł żywność z twojej lodówki, przeglądał zawartość szuflad. To jest jego sposób na poznanie ciebie - wyjaśnił. - Prawdopodobnie zabrał z twoich szuflad jakąś część bielizny, coś, czego braku nie zauważyłabyś natychmiast. Pomyśl, może przyjdzie ci na myśl jakaś stara koszula nocna albo bawełniany podkoszulek, którego ostatnio nie mogłaś znaleźć. To musi być coś, co nosisz blisko ciała.

- Dlaczego? - spytała, wstrząśnięta opisem tego człowieka, którego Nick nazwał fanem. Nie chciała uwierzyć, że ktoś wszedł nieproszony do domu i przeszukał jej rzeczy. Na tę myśl dostawała gęsiej skórki.

- To coś musi być przesiąknięte twoim zapachem - wyjaśnił Nick. - On może wtedy poczuć się bliżej ciebie. Cokolwiek zabrał, śpi z tym przedmiotem - dodał, przypominając sobie jego słowa o otaczaniu się jej zapachem.

- CQŚ jeszcze? - spytała zaskoczona, że jej głos brzmi całkiem normalnie.

- Tak. Przyglądała się, jak śpisz.

- Nie. Wiedziałabym o tym! - krzyknęła.

Poklepał magnetofon kasetowy.

- Wszystko jest tu zapisane.

- A gdybym nagle otworzyła oczy? Gdybym się zbudziła i go zobaczyła?

- On właśnie tego chce - odrzekł. - Tylko jeszcze nie teraz. Byłby bardzo rozczarowany, jeśli by się go zmusiło do skrzywdzenia cię już teraz.

- Dlaczego?

- To by oznaczało przyspieszenie jego planów.

- Mów dalej. Nie boję się - zapewniła.

- Ważne jest to, co powiedziałem przed chwilą. On chce, żebyśmy o nim wiedzieli. Na razie mamy następującą hipotezę. Ten człowiek mieszka w Holy Oaks. Jest to ktoś, z kim spotykasz się bardzo często, może nawet codziennie. Jesteś z nim zaprzyjaźniona, ale, jak powiedziałem wcześniej, zwraca uwagę także na inne sygnały. Pete twierdzi, że on jest w stadium zauroczenia. To oznacza, że uważa cię za ideał i chce chronić. Ma obsesję na punkcie twojej osoby i w pewnym sensie jest w stanie wojny

z sobą samym. W każdym razie chce, żebyśmy tak uważali. Może nawet szczerze cię lubić, Laurant, i dlatego nie chce cię skrzywdzić, wie jednak, że w końcu się to stanie, bo bez względu na to, co zrobisz, przyniesiesz mu zawód. Nie ma sposobu, żebyś sprostowała jego oczekiwaniom, on już się o to postara, toteż nie ma możliwości wyjścia zwycięsko z tej próby.

- Powiedziałeś, że on jest w fazie zauroczenia, ale to się zmieni. Kiedy, twoim zdaniem, do tego dojdzie?

- Pytasz mnie, jak prędko? Nie wiem - wyznał. - Ale nie sądzę, żebyśmy musieli na to długo czekać. Możliwe, że jego opinia o tobie już się zmieniła. Musi znaleźć u ciebie jakąś niedoskonałość, żeby mógł się poczuć zdradzony. To może być sposób, w jaki się uśmiechasz. Nagle uzna, że sobie z niego szydzisz. Albo na przykład, że spotykasz się z innym mężczyzną. To bez wątpienia doprowadziłoby go do wściekłości. Dałby nam wtedy do zrozumienia, że jest dręczony. Przypomnij sobie, co obiecał Tommy'emu. Jeśli przed nim uciekniesz, może nie będzie cię ścigał. Ale chciał się też swoją błyskotliwością i twierdził, że potrzebuje nie tyle jakiego wyzwania.

- Może on się zmęczy tą... obsesją.

- On nie da ci spokoju. - W głosie Nicka pojawiła się ostra nuta. - Te fantazje mają nad nim władzę. Nie może położyć im kresu. To jest dla niego gra w kotka i myszkę, a myszką jesteś ty. On lubi polować. Im trudniejsze wyzwanie, tym lepsza zabawa. Gra się nie skończy, dopóki nie będziesz go błagać o zmiłowanie.

Nick pochylił się ku Laurant i uważnie jej się przyjrzał.

- I co? Już się boisz? - spytał.

7

Jak wspaniale się bawił, igrając z tym klechą. Doprawdy wspaniale. Nawet się nie spodziewał, że będzie miał tyle radości, bo dawno już się nauczył, że z reguły faza planowania, jak nazywał w myślach to stadium przygotowań, jest o wiele bardziej interesująca niż samo zdarzenie. Pamiętał to jeszcze z dzieciństwa, z czasu, kiedy budował fort na podwórzu za domem. Radość sprawiało mu wyobrażanie sobie, co będzie robił w swojej kryjówce, gdzie nikt nie będzie go mógł szpiegować. Och, spędził na przygotowaniach wiele godzin. Jak krzątający się mały bóbr ostrzył kuchenne noże i nożyczki, które wykradł matce z szuflady, i starannie przygotowywał miejsca pochówku dla zwierząt, które łapał w sidła. Zabijanie zawsze jednak okazywało się rozczarowujące. Zwierzęta nigdy nie skowyczały dość, by zaspokoić jego pragnienia. Ale w tym przypadku poczciwy Tommy jednak go nie zawiódł. Nic. nic. naprawdę nie był rozczarowany tym klechą, ani trochę.

Jadąc autostradą, raz po raz powtarzał w myślach treść rozmowy, aż wreszcie zaśmiewał się do rozpuku, aż łzy popłynęły mu po policzkach. Nie było nikogo w pobliżu, mógł więc zachowywać się tak głośno i hałaśliwie, jak tylko chciał, zresztą w ogóle mógł robić, co chce, pod warunkiem, że zachowa ostrożność. Spytajcie tylko uroczą Millicent. Och, nie, to niemożliwe. Nie, panic.

Krzyk rozpaczy ojca Toma, który zrozumiał, że następną ofiarą będzie nie kto inny, jak jego ukochana siostra, wciąż rozbrzmiewał mu w uszach.

- Moja Laurant? - przeraził się klecha.

- Moja Laurant? - powtórzył szyderczym tonem. Doskonałe.

Szkoda tylko, że musiał tak nagle odjechać. Chętnie podręczyłby Tommy'ego dłużej, ale po prostu nie było na to czasu, wszystko przez to, że stracił wiele cennych minut na te głupie skrupuły klechy.

który twierdził, że nie wolno mu opowiedzieć, co zaszło w konfesjonale, mimo że dostał na to pozwolenie. Na Boga, dostał nawet rozkaz. Klesze jednak nie sprawiło to żadnej różnicy. Nie, panie. On naturalnie wiedział o kościelnych zasadach i o istnieniu tajemnicy spowiedzi, przecież zawsze odrabiał lekcje, ale nie przypuszczał, że Tommy okaże się taki zasadniczy. Kto by pomyślał, że klecha wykaże tyle uporów, mimo że łamiąc tajemnicę spowiedzi, mógłby ocalić skórę siostry? Kto by pomyślał?

Klecha, który nie jest moralnym bankrutem. Ho, ho, ile kłopotów można mieć z tego powodu! Gdyby trafiło na normalnego człowieka, wszystkie plany wzięłyby w łeb i trzeba byłoby zaczynać od początku. Ale on nie był normalnym człowiekiem. O, nie! Był wyjątkowo błyskotliwy i dlatego przewidział każdą możliwość. Omal nie wygadał się tam, w konfesjonale, że nagrywa tę rozmowę, postanowił jednak sprawić Tommy'emu niespodziankę. Miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał pozbyć się kasety, w każdym razie jeszcze nie teraz. Chciał ją dodać do swej pasjonującej i dość eklektycznej kolekcji. Kasetą z nagraniem Millie była coraz bardziej zniszczona. Niektórzy ludzie cierpiący na bezsenność słuchają w łóżku kojącego szumu fal oceanu albo szelestu wiosennego deszczu, on słuchał słodkiego głosu Millicent.

Klecha postawił go jednak w przymusowej sytuacji swym głupim uporem i teraz jedynym wyjściem było z kolei złamanie własnej reguły. Trudno, musiał przesłać policji kopię taśmy. Najważniejsze, żeby o wszystkim pomyśleć zawczasu. Wystarczyło iść do supermarketu, kupić trzy kasety, kilka szarych kopert i już sytuacja była opanowana.

Teraz nikt i nic nie mogło mu już przeszkodzić w urzeczywistnieniu zamiaru. Na wszelki wypadek zawsze miał w rezerwie zapasowy plan. Trzeba przewidywać i reagować. To klucz do sukcesu.

Głośno ziewnął. Tyle jeszcze musiał przygotować, a ponieważ we wszystkim, co robił, był skrupulatny do przesady, potrzebował każdej minuty nadchodzących dni, żeby odpowiednio zorganizować swoje absolutnie wyjątkowe obchody święta czwartego lipca.

To będzie prawdziwa eksplozja jego talentu.

Teraz znajdował się w drodze do Saint Louis, a to dzięki swojemu wypróbowanemu przyjacielowi Internetowi. Cóż to za cudowny wynalazek. Doskonały współnik. Nie jęczy, nie narzeka, nie płacze i nie stawia żądań. W dodatku nie musiał tracić czasu, żeby go wyszkolić. Internet był jak dobrze opłacona dziwka. Dawał

mu to, czego od niego chciał, wtedy, kiedy chciał. Bez zbędnych pytań.

Kto by przypuszczał, że tak łatwo konstruować bomby według prostej instrukcji, którą byłoby w stanie zrozumieć średnio inteligentne dziecko. Dysponował nawet kolorowymi ilustracjami, przeznaczonymi dla tych wolniej myślących. Jeśli ma się pieniądze, a on miał, można zamówić sobie bardziej wymyślny zapalnik niż ten, którym tymczasem dysponował, i wspinał się wzmacniające zestawy, zamieniające niewinne race w potężne bomby, zdolne zwalić kilka domów naraz, satysfakcja gwarantowana. Nie zależało mu na wyszukiwaniu składników bomby atomowej, ale miał przecucie, że gdyby dostatecznie długo szukał i zaprzyjaźnił się z tymi fanatykami anarchistami, znalazłby wszystko, może z wyjątkiem plutonu. Broń też nie stanowiła problemu, dopóki wiedziało się, co z nią robić. On naturalnie wiedział. Oj, wiedział.

Chociaż zamówił sobie przez Internet wiele interesujących gadżetów, zrezygnował ze środków wybuchowych, wiedział bowiem, że muły mogą szpiegować tę stronę. I tak miał potrzebne kontakty dzięki koledze, który poznał go z handlarzem broni, działającym na Zachodnim Wybrzeżu. Właśnie dlatego pędził teraz autostradą 1-70 z długą listą zakupów w kieszeni.

Dostrzegł przydrożny parking i pomyślał, żeby się zatrzymać i wziąć z tyłu furgonu kasę z głosem klechy. Chciał jej jeszcze raz posłuchać. Zobaczył jednak zaparkowany policyjny samochód i natychmiast zmienił zdanie.

Muły prawdopodobnie już słuchają tej taśmy w tę i w tę, żeby wynotować z niej, co się tylko da. Nic im to nie pomoże. Nie są tacy sprytni jak on. Nie dowiedzą się niczego z brzmienia jego głosu, no, może odkryją region, z którego pochodzi, ale jakie to ma znaczenie? Nigdy nie rozszyfrują jego gry, póki nie doprowadzi jej do zwycięskiego końca.

Wiedział, jak muły go nazywają. Nieznanym sprawcą. Lubił brzmienie tych słów; wydawało mu się, że lepszego przydomka jeszcze nie miał. Przemawiała do niego jego prostota. Nazywając go nieznanym sprawcą, przyznawały się do swojej niekompetencji, a w ich głupocie i ignorancji było coś uczciwego i czystego. Muły same wiedziały, że są tylko mułami. Jakie to fajne.

- Dobrze się bawisz?! - zawołał do siebie i wcisnął pedał gazu. A potem znowu się roześmiał. - O, tak, bez wątplenia - odpowiedział sobie i znów zachichotał. - Tak, panie.

8

Liwie panic detektyw z miejskiej policji w Kansas City, Maria Rodriguez i Frances McCann, przyjechały na plebanię kilka minut po drugiej. W czasie rozmowy Nick, milczący i czujny, nie odstępował Laurant. Pozwolił policjantkom prowadzić sprawę i nie mieszał się do przesłuchania, nie przedstawiał swoich opinii ani nie podsuwał propozycji. Gdy wstał, zamierzając wyjść z pokoju, Laurant musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby nie chwycić go za rękę i nie zatrzymać. Chciała, żeby był blisko niej, nawet gdyby oznaczało to tylko moralne wsparcie, ale do Nicka zatelefonował niejaki George Walker, specjalista od sporządzania portretów psychologicznych, przydzielony do tej sprawy.

W pokoju był również Tommy, toteż przebieg pierwszych minut rozmowy był łatwy do przewidzenia. Podobnie jak większość kobiet poznających jej brata, policjantki były pod wrażeniem i z trudem przychodziło im oderwanie od niego wzroku.

- Czy ksiądz jest prawdziwy? - zainteresowała się detektyw McCann. - Chcę spytać, czy ksiądz ma wszystkie święcenia i w ogóle?

Tommy uśmiechnął się do niej szeroko, całkiem nieświadom tego, jak szybkie bicie serca wywołują jego uśmiechy u kobiet, i odpowiedział z powagą:

- Tak, jestem prawdziwym księdzem.

- Może powinniśmy jednak zająć się sprawą - zwróciła koleżance uwagę detektyw Rodriguez.

Detektyw McCann otworzyła notes i spojrzała na Laurant.

- Czy brat opowiedział pani, w jaki sposób weszliśmy w posiadanie kasety? - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: Ten sukinsyn po prostu wszedł wczoraj wieczorem na posterunek, położył swój pakiecik i wyszedł na dwór. Doskonale wybrał

chwilę, bo akurat mieliśmy na posterunku cyrk jakich mało. Chłopcy przywieźli dwóch wielkich épunów, z którymi użeraliśmy się ponad godzinę. Dyżurny powiedział, że zauważył kasetę dopiero wtedy, gdy trochę się uspokoiło. Przypuszczamy, że facet musiał być ubrany na niebiesko jak patrolowy, a może udawał adwokata, który przyszedł złożyć kaucję. Nikt nic pamięta człowieka z szarą kopertą. A kasetą była właśnie w takiej kopercie. Szczerze mówiąc, wątpię zresztą, czy w takim rozgardiaszu ktokolwiek zauważyłby tę kopertę, gdyby łobuz sam nie zatelefonował.

- Dodzwonił się pod dziewięćset jedenaście z automatu przy City Center Square - przerwała jej detektyw Rodriguez. - To jest niedaleko stąd.

- Muszę przyznać, że facet ma jaja zauważyła McCann. Natychmiast jednak spłonęła rumieńcem. - Przepraszam za to wyrażenie, ojczu. Za długo pracuję z Rodriguez.

- Co może nam pani powiedzieć na ten temat? - Jej koleżanka zwróciła się do Laurant.

Ta rozłożyła ręce. Nie miała zielonego pojęcia, jak mogłaby pomóc policjantkom, nie przychodziła jej do głowy nawet mała prawdopodobna hipoteza, dlaczego szalenciec wybrał właśnie ją.

Panie detektyw nie miały jeszcze żadnych poszlak, chociaż nie dlatego, że nie próbowały niczego zrobić w tej sprawie. Zdążyły już zbadać okolicę w poszukiwaniu świadków, którzy ewentualnie mogli widzieć obcego albo nieznanego samochód w sobotę późnym popołudniem. Nikt jednak nie widział ani nie słyszał niczego, co odbiegałoby od normy. Policjantek bynajmniej to nie zaskoczyło.

- Ludzie w tym rejonie są bardzo nieufni wobec policji - wyjaśniła detektyw Rodriguez. - Mamy nadzieję, że jeśli ktoś jednak coś zauważył, to doniesie o tym księdzu prałatowi albo obecnemu tu ojcu Tomowi. Parafianie ufają swoim księżom.

Ani Rodriguez, ani McCann nie przejawiały optymizmu co do możliwości szybkiego złapania nieznanego sprawcy. Twierdziły, że muszą poczekać na rozwój sytuacji. Może list, o którym mężczyzna opowiedział Tommy'emu, dostarczy jakichś nowych informacji. Ale nie było to pewne.

- Poza zamachem na ojca Toma nie popełniono żadnego innego przestępstwa - oświadczyła detektyw McCann. - W każdym razie jeszcze nic.

- Czy chce pani powiedzieć, że kiedy już ktoś mnie zamorduje.

to wtedy będzie miała pani czym się zająć? - Laurant zareagowała nieco ostrzej, niż zamierzała.

- Mam odpowiedzieć na okrętkę czy uczciwie? - zapytała bezceremonialnie McCann.

- Uczciwie.

- Okej. W policji jesteśmy przywiązani do swoich terytoriów jak dzikie koty, wszystko zależy więc od tego, gdzie sprawca porzuci ciało. Jeśli w Kansas City, sprawa będzie nasza.

- Przestępstwo już popełniono - przypomniał im Tommy.

- Owszem - przyznała Rodriguez - napadnięto na księdza, ale... Tommy nie dał jej dokończyć.

- Nie to miałem na myśli. Ten mężczyzna przyznał się do zamordowania innej kobiety.

- Tylko powiedział, że ją zamordował - sprzeciwiła się Rodriguez. - Ale mógł kłamać.

Jej koleżanka wyraziła pogląd, że incydent w konfesjonale był tylko żartem chorego psychicznie człowieka, który miał urazę do ojca Toma i chciał mu zaleźć za skórę. To dlatego, wyjaśniła, podczas pierwszego przesłuchania tak dokładnie wypytało ojca Toma o jego ewentualnych wrogów.

- Naprawdę nie zamierzamy siedzieć z założonymi rękami - zapewniła detektyw Rodriguez. - Ale na razie nic mamy punktu zaczepienia.

- I nie jest to nasza jurysdykcja - dodała jej koleżanka.

- Skąd pani wie, detektyw McCann? - wtrącił się Nick. Opierał się o framugę drzwi i przyglądał policjantkom.

Odpowiedziała bardzo nieprzyjaznym tonem.

- Nieznany sprawca zgłosił przestępstwo u nas, w Kansas City, ale na taśmie wyraźnie dał do zrozumienia, że mieszka w Holy Oaks, w stanie Iowa. Przynajmniej dla nas jest to jasne. Dlatego podzielimy się wszelkimi naszymi danymi z tamtejszą policją, no i naturalnie tymczasem nie zamknijemy sprawy... na wypadek gdyby nieznany sprawca wrócił.

- Z naszego punktu widzenia sprawą zajmuje się FBI - dodała Rodriguez. - Mam rację, prawda? Waszym obowiązkiem, chłopcy, jest coś w tej sprawie osiągnąć.

McCann skinęła głową.

- Nie lubimy się mieszać do śledztwa prowadzonego przez FBI.

- Od kiedy? - spytał Nick.

Policjantka uśmiechnęła się.

- Spokojnie, próbujemy się jakoś dogadać. Nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy popracować nad tym razem. Pan powie nam, co pan wie, a jeśli my coś znajdziemy, to też chętnie podzielimy się nowinami.

Była to droga donikąd. Policjantki dały Laurant wizytówki i opuściły plebanię. Laurant była głęboko zawiedziona brakiem jakiegokolwiek działania z ich strony, choć zdawała sobie sprawę, że jej oczekiwania są wysoce nierealistyczne. Chciała mieć odpowiedzi na pytania i wyniki śledztwa, może nawet liczyła na cud, żeby ten koszmar jak najszybciej się skończył, ale po wyjściu kobiet ogarnęło ją poczucie bezradziejskości. Ponieważ jednak brat wydawał się zadowolony, że ktoś coś robi w tej sprawie - bądź co bądź policja jednak przyjechała - Laurant nie powiedziała mu o swoich odczuciach. Zresztą przez całe popołudnie nie miała okazji z nim porozmawiać. Tommy był zajęty czym innym.

To, co się działo, tak nim wstrząsnęło, że zapomniał, jaki jest dzień. A było niedzielne popołudnie. Gdy jednak wyrzwał przez okno, zobaczył czekające na niego dzieci. W parafii Matki Boskiej Łaskawej był zwyczaj związany z obecnością Tommy'ego w słoneczne, niedzielne popołudnia i za nic nie pozwoliłby, żeby coś stanęło na przeszkodzie w odbyciu rytuału, który wiele znaczył dla urwisów z sąsiedztwa. Dokładnie za kwadrans trzecia wszystkie inne troski i obowiązki należało odłożyć na bok, duża grupa dzieciaków stała bowiem na parkingu i wołała ojca Toma. Włożył więc szorty i bawełniane podkoszulek, zdjął buty i skarpety i chwycił ręcznik. Dla bezpieczeństwa kazał siostrze zostać na plebanii, pozwolił jej jednak popatrzeć na zabawę przez okno.

Zgodnie z tradycją, punkt trzecia zajęła przed kościół ciężarówka straży pożarnej i dwóch pocziwych strażaków, którzy akurat nie mieli służby, zamknęło parking i otworzyło osłonę hydrantu przeciwpożarowego. Dzieciaki, od takich, które ledwie umiały chodzić, po nastolatki ze szkół średnich, w napięciu czekały, aż strażacy przeciągną ciężki wąż przez bramę i przytwierdzą go do ogrodzenia, żeby nie skakał na wszystkie strony. Potem odkręcono wodę. Dzieciaki były w poobcinanych dżinsach albo w szortach. Nikt nie miał tutaj spodenek kąpielowych ani kostiumu, takie luksusy nie mieściły się w domowych budżetach, jednak to w niczym nie zaćmiewało radości młodych ludzi. Złożywszy ręczniki i obuwie na schodkach plebanii, zaczęli się bawić wodą, aż wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki. Pryskali

na siebie i krzyczeli z nie mniejszym entuzjazmem niż dzieci w eleganckim klubie z basenem. Naturalnie nie było tu brodzika ze zjeżdżalnią ani tym bardziej trampoliny i głębokiego basenu, więc musieli się zadowolić tym, co mieli, a tymczasem strażacy i dorośli, którzy przyprowadzili tutaj swoje pociechy, siedzieli na ganku z księdzem prałatem i popijali zimną lemoniadę. Panowało ogólne zamieszanie.

Tommy zajmował się przede wszystkim małymi dziećmi, gdyż silny strumień wody mógł je w każdej chwili poprzewracać. Poza tym pilnował apteczki, z której rozdawał neosporin oraz fosforyzujące plastry na otarte kolana i łokcie. Gdy strażacy zakreśliли wodę i przygotowali się do odjazdu, ksiądz prałat zaczął częstować dzieci lodami. Bez względu na to, jaka bieda była w parafii i jak niewiele zebrano na tacę w ostatnią niedzielę, na ten poczęstunek musiało wystarczyć.

Wreszcie pandemonium się skończyło i wszystkie przemoczone i zmęczone dzieciaki odeszły do domów, a prałat McKindry zaproponował Nickowi i Laurant, żeby zjedli obiad z nim i Tommym. Nick i jego przyjaciel wzięli się do przygotowywania posiłku. Ten pierwszy piekł kurczaka na ruszcie, drugi zrobił sałatkę i zebrał w warzywniku świeżą fasolkę. Rozmowa przy stole dotyczyła głównie spotkania prałata z dawno niewidzianymi kolegami, toteż stary ksiądz częstował gości dziesiątkami historyjek o kłopotach, jakie sprawiał z przyjaciółmi w seminarium. W myśl niepisanej umowy podczas obiadu nikt nie wspominał o wydarzeniu, które prałat nazwał „rozstrajającym incydentem”, ale później, gdy McKindry i Laurant zmywali i suszyli naczynia, starszek spytał ją, jak radzi sobie ze strapieniem. Powiedziała mu, że naturalnie się boi, ale jest też tak wściekła, że najchętniej zaczęłaby rzucać wszystkim, co ma pod ręką. Prałat potraktował to dosłownie, bo prawie wyrwał jej z ręki talerz, który właśnie wycierała.

- Kiedy pani brat dowiedział się, że ma raka, poczuł się całkiem bezsilny, przynębiony, ale potem postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Przeczytał tyle, ile tylko było można, o swojej chorobie, co wcale nie było łatwe, bo to rzadka odmiana raka. Dotarł do najróżniejszych czasopism medycznych i rozmawiał z wieloma specjalistami, aż w końcu znalazł człowieka, który podjął się przeprowadzenia kuracji.

- Doktora Cowana.

- Tak - potwierdził prałat. - Tom miał przekonanie, że on może mu pomóc. Naturalnie nie oczekiwał cudów, ale ufał doktorowi Cowanowi, który zdawał się dobrze wiedzieć, co robi. A pani brat też twardo się trzyma w tej walce - dodał. Dlatego gdy doktor przeniósł się do szpitala w Kansas City, Tom przyjechał tu za nim. Mówię to wszystko, Laurant, bo chcę panią namówić na wzięcie sprawy w swoje ręce. Proszę pomyśleć, co może pani sama zrobić, a poczucie bezradności i strach znikną.

Gdy skończyli sprzątać kuchnię, prałat zaparzył jej jedną ze swoich herbatek, specjalnie na ukojenie skołatanych nerwów. Potem powiedziała wszystkim dobranoc i poszła na górę się położyć. Ziółka były gorzkie, ale Laurant posłusznie je wypijał, doceniała bowiem wysiłek księdza, który chciał jej pomóc.

Miała za sobą upiorny dzień. Dochodziła dziesiąta wieczorem, a ona czuła się kompletnie wyczerpana. Usiadła obok brata na sofie w salonie i próbowała skupić uwagę na rozmowie. Ale myśli jej raz po raz dryfowały. Nie była nawet w stanie się wyłączyć, aby nie słyszeć irytującego warkotu starego wentylatora, który wydawał odgłos pokrewny brzękowi roju pszczoł, za to prawie wcale nie chłodził. Od czasu do czasu wstrząsał nim nagły dreszcz, po czym znowu rozlegał się monotony pomruk. Laurant zdawało się, że ten stary rupieć w każdej chwili może spaść na podłogę. Krople wody spływały po szybie do garnuszka po spaghetti, który Tommy podstawił dla ochrony parkietu, i tak wymagającego w najbliższym czasie remontu. Ciągłe kapanie dodatkowo strzępiło nerwy Laurant.

Nick był pełen energii. Chodził po pokoju z pochyloną głową i słuchał przyjaciela. Laurant zwróciła uwagę, że brat trochę się uspokoił, zdjął tenisówki i oparł stopy na wałku otomany. W białych skarpetach miał wielką dziurę, ale zdawał się nie zauważać, że wystaje z niej duży palec, może zresztą nie było to dla niego istotne. Ziewał raz za razem.

Laurant czuła się bezwładna niby szmaciana lalka. Odstaw tła na stół porcelanową filizankę, oparła się o poduchy sofy, kilka razy głęboko odetchnęła i zamknęła oczy. Liczyła, że nazajutrz, kiedy się wyśpi, będzie miała jaśniejszy umysł.

Była tak pochłonięta swoimi myślami, że aż się wzdrygnęła, gdy Tommy trącił ją w kolano.

- Zasypiasz w naszym towarzystwie?
- Prawie.

- Myślę, że powinniście tu dziś z Nickiem przenocować. Mamy dwie dodatkowe sypialnie. Umeblowane po spartańsku, ale dostatecznie wygodne.

- Dodatkowa sypialnia jest tylko jedna - powiedział Nick. - W każdej chwili spodziewam się Noali.

- Kto to jest Noah? - spytała Laurant.

- Przyjaciel - odparł Nick. - Przyjeżdża z Waszyngtonu.

- Nick uważa, że potrzebuję opiekuna do dzieci - rzekł Tommy.

- Ochroniarza - poprawił go Nick. - Noah jest dobry w tym, co robi. Będzie się trzymał przy Tobie jak guma na bucie. I bez dyskusji. Nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie, a ponieważ chcesz, żebym pilnował Laurant. tobą zajmie się Noah.

- Sądzisz, że Tommy jest w niebezpieczeństwie? - spytała Laurant.

- Nie mam zamiaru ryzykować.

- Czy ten Noah pracuje w FBI?

- Niezupełnie.

Nie chciał wdawać się w szczegóły, ale Laurant była zbyt zaciekawiona, by zadowolili się tą odpowiedzią.

- Jeśli niezupełnie, to skąd go znasz?

- Dużo razem pracowaliśmy. Noah jest... specjalistą, więc Pete korzysta niekiedy z jego usług. Musiałem mu przypomnieć, że ma u mnie dług wdzięczności, bo ostatnio jest zawałony pracą.

- Jako ochroniarz?

- Można to tak nazwać.

- Nie powiesz mi, jaka jest jego specjalność?

Nick uśmiechnął się szeroko.

- Nie.

Tommy głośno ziewnął.

- To co, wszystko ustalone?

- Co ustalone? - spytała.

- Nie uważałaś? Rozmawiamy o tym od kwadransa.

- Nie uważałam - przyznała, ale ponieważ był jej bratem, doszła do wniosku, że nie musi przeproszać. - Więc co ustaliliście?

- Wyjeżdżasz z Nickiem. - Tommy zerknął na przyjaciela i dodał: - Taka jest w każdym razie moja decyzja. Nick się waha.

- Tak? A dokąd jedziemy?

- Do Nathan's Bay - odrzekł. - Mogłabyś zatrzymać się u rodziny Nicka. Oni z przyjemnością cię ugoszczą, bo wiem, że od

dawna chcą cię poznać. To wspaniałe miejsce, Laurant, a do tego odosobnione. Tylko jeden wjazd i jeden wyjazd - dodał. - Po moście. Na pewno bardzo ci się tam spodoba. Podwórce ma wielkość boiska do futbolu, a dalej jest woda. Może Theo zabierze cię, żebyś mogła popływać żaglówką. Poznałaś kiedyś brata Nicka, pamiętasz?

- Oczywiście, że go pamiętam. Przyjechał do mnie i dziadka na tydzień, gdy skończył prawo.

- A ty i Jordan wciąż do siebie pisujecie? - spytał, mając na myśli siostrę Nicka.

- Tak i bardzo chciałabym ją znowu zobaczyć. Sędziego Buchanana z żoną również. Ale...

Tommy zdusił jej protest w zarodku.

- Wreszcie poznasz również pozostałych członków rodziny. Wszyscy na pewno zjadą się do domu, żeby cię zobaczyć.

- To byłoby bardzo miłe. Tommy, ale teraz nie jest na to odpowiedni czas.

- Przeciwnie, znakomity. Nic ci tam nie będzie grozić, a o tym powinnaś myśleć przede wszystkim.

- Skąd wiesz, że ten szaleniec za mną nie pojedzie? Pomyślałeś o rodzinie Nicka? Mogę ich narazić na niebezpieczeństwo.

- Postaralibyśmy się, żeby nic nikomu nie groziło - włączył się Nick. Usiadł na miękkim krześle po drugiej stronie otomany i pochyliwszy się do przodu, oparł łokcie na kolanach. - Ale Sądze, że jeszcze dzień lub dwa pobędziemy w Kansas City.

- Żeby poczekać na doręczenie listu, który tamten człowiek podobno wysłał na policję?

- Nie musimy na to czekać.

- Uważam, że moja siostra powinna odjechać stąd jak najszybciej - nalegał Tommy.

- **Wiem** - odparł Nick.

- Więc dlaczego chcesz czekać? To jest niebezpieczne - nie zrezygnował Tommy.

- Wątpię, czy ten człowiek jeszcze jest w Kansas City. Załatwił to, co miał tu do załatwienia, i prawdopodobnie wrócił do domu. My zostajemy, bo ma tu przyjechać Pete. Osobiście objął nadzór nad śledztwem i chce z wami porozmawiać.

- O czym? - zdziwiła się Laurant. - Co nowego może mu powiedzieć Tommy?

Nick uśmiechnął się.

- Och, mnóstwo.
 - Kiedy on przyjeżdża?
 - Jutro.
 - Byłem bardzo wstrząśnięty, kiedy z nim rozmawiałem - powiedział Tommy. - Za wszelką cenę chciałem cie znaleźć, bo miałem nadzieję, że będziesz wiedział, co robić.

- Czy nadal masz taką nadzieję?
 - Oczywiście.
 - Wobec tego pozwól mi wykonywać moją pracę. Laurant i ja porozmawiamy z Pete'em i dopiero potem ją zabiorę. Mam ją chronić, więc okazał mi zaufanie.

Tommy wolno skinął głową.

- Postaram się nie wchodzić ci w drogę. Czy teraz dobrze?
 Zabrzmiał dzwonek i rozmowa się urwała. Nick kazał przyjacielowi zostać na miejscu i poszedł otworzyć drzwi. Laurant zauważyła, że wychodząc z pokoju, odpiął klapę kabury pistoletu.

- To na pewno ten przyjaciel Nicka, Noah - powiedział Tommy.
 - Myślisz, że on z nim śpi? - spytała szeptem brata.
 - Z kim?

- Z pistoletem.

Tommy wybuchnął śmiechem.

- Coś ty. Nie podoba ci się to, prawda?

- Nie lubię broni.

- A Nicka lubisz?

Wzruszyła ramionami.

- Polubiłam go, zanim jeszcze go poznałam, bo jest twoim przyjacielem od serca. Zresztą wydaje mi się całkiem sympatyczny.

- Tak uważasz? - Znów się roześmiał. - Nick miałby frajdę, gdyby to usłyszał. Kiedy robi się naprawdę gorąco, wcale nie jest sympatyczny. Ale dlatego jest dobry.

Zanim zdążyła wyciągnąć od brata jakieś szczegóły, Nick wrócił do salonu. Za nim szedł Noah.

Ochroniarz Tommy'ego niewątpliwie robił duże wrażenie. Laurant podejrzewała, że jeśli kiedykolwiek wdał się w bójkę, to na pewno wyszedł z niej zwycięsko, a w dodatku dobrze się bawi). zderzając przeciwników głowami.

Był ubrany w spłowiełe dzinsy i jasnoszary bawełniany podkoszulek, a jego jasnym włosom niewątpliwie przydałoby się strzyżenie. Na całym ciele nie miał ani grama tłuszczu, a mięśnie ramion rozpychały rękawki podkoszulka. Blizna, przecinająca

brew, i diabelski uśmiech nadawały mu łobuzerski wygląd. Zanim się odezwał, Laurant już wiedziała, że jest flirciarzem. Idąc przez pokój, by ucisnąć rękę Tommy'emu, Noah zdążył zmierzyć ją wzrokiem od stóp do głów, przy czym jej nogom przyglądał się nieco dłużej, niż to było konieczne.

- Dziękuję, że mimo wielu zajęć zdołał pan przyjechać. Jestem bardzo zobowiązany - powiedział Tommy.

- Szczerze mówiąc, nie miałem wyboru. Nick mnie o to poprosił.
 - Noah ma u mnie dług wdzięczności - przypomniał Nick.
 - To prawda - przyznał wielki blondyn, nie odrywając wzroku od Laurant. - A on nie daje mi o tym zapomnieć.

Gdy Tommy przedstawił go siostrze, Noah ujął ją za rękę i już jej nie puścił.

- Jest pani o wiele ładniejsza od brata - wycedził i zerknął na Nicka. - Ej, wiesz co? Mam świetny pomysł.

- Zapomnij o tym - odparł Nick.

Noah udał, że go nie słyszy.

- Ja zajmę się nią, a ty weź brata - powiedział.

- Ona jest nietykalna, Noah - odparł Nick.

- Jak to? - Noah zerknął na Laurant. - Jest pani mężatką?

- Nie - odparła rozbawiona jego bezczelnością.

- Wobec tego nie widzę problemu. Chcę ją, Nick.

- Nic z tego.

Noah uśmiechnął się jeszcze szerzej. Najwyraźniej osiągnął pożądaną reakcję, bo puścił oko do Laurant, jakby była jego współniczką w grze, której celem jest zirytowanie Nicka.

Wreszcie puścił jej rękę i ponownie zwrócił się do Tommy'ego:

- Jak mam właściwie do pana mówić? Tom, Tommy czy proszę księdza?

- Mów do niego „ojcze” - wtrącił się Nick.

- Ale ja nie jestem katolikiem.

- Może być Tom albo Tommy, jak pan woli - rzekł zainteresowany.

- Pete powiedział mi, że masz kopię taśmy - odezwał się znowu Noah; już się nie uśmiechał. - Powinienem chyba jej posłuchać.

- Jest w kuchni - poinformował go Tommy.

- To dobrze, bo zgłodniałem. Macie tu coś do jedzenia?

- Chce pan, żebym coś przygotowała? - zaoferowała się Laurant.

Gdy Noah na nią spojrział, znów miał na twarzy uśmiech.

- O tak, bardzo.

Nickowi się to nie spodobało; pokręcił głową.

- Sam sobie coś przygotuj, Noah - powiedział. - Skoro już tu jesteś, możemy z Laurant odjechać. Ona jest wykończona.
- Jaki mamy rozkład zajęć na jutro? - spytał Noah.
- Muszę jeszcze wrócić do szpitala na badania - powiedział Tommy. - Zwykła formalność - dodał na użytek siostry.
- Cholera, nienawidzę szpitali.
- Szpitale powinny przysyłać panu listy dziękczynne - stwierdził oschle Tommy. - Z tego, co słyszałem od Nicka, dostarcza im pan mnóstwo pacjentów.
- Skądże, zlikwidowałem pośredników. Klientów odstawiam prosto do kostnicy. To oszczędność czasu i pieniędzy. - Noah zerknął na przyjaciela. - Coś ty naopowiadał o mnie temu księdzu?
- Że jeśli strzelasz, to po to, żeby zabić.

Noah wzruszył ramionami.

- Mniej więcej prawda, ale o tobie można powiedzieć to samo. Tylko ja mam lepsze oko, to wszystko.
- Głupstwa mówisz - sprzeciwił się Nick.

Laurant zafascynowała ta wymiana zdań, nie umiała jednak zgadnąć, czy Noah mówi poważnie, czy żartuje.

- Czy pan zabił wielu ludzi?'
- Nie powinna mnie pani o to pytać. Nie mogę zabijać i o tym opowiadać. Zresztą chętność jest grzechem, prawda, Tom?

Nick wybuchnął śmiechem.

- Chętność jest twoim najmniejszym grzechem, Noah.
- E tam, jestem dobrym człowiekiem. Osobiście widzę w sobie obrońcę środowiska.
- Jak to możliwe? - zdziwił się Nick.
- Robię, co mogę, żeby świat był lepszy. - Noah ponownie zwrócił się do Tommy'ego: - Czy będziemy w szpitalu cały dzień?
- Nie. Mam rano umówioną wizytę na radiologii. Powinniśmy tutaj wrócić na ósmą, najpóźniej na dziewiątą.
- Znowu przyszedł czas na rezonans magnetyczny? - spytał Nick z figlarnym błyskiem w oku. - Jeśli tak, to chętnie pójdę z tobą.
- Co jest takiego śmiesznego w rezonansie magnetycznym? - spytał Noah.

Nick pokręcił głową, a Tommy spłonął rumieńcem i powiedział:

- Rzeczywiście jestem umówiony na rezonans magnetyczny, ale Nick nie może iść ze mną. Ma zakaz wstępu na radiologię.

Noah chciał usłyszeć szczegóły, ale Laurant szybko się zorientowała, że w jej obecności Nick i Tommy będą milczeć jak zakłęci. Udzielali wymijających odpowiedzi na podobieństwo uczniaków, których doprowadzono przed oblicze wychowawcy.

- Przepraszam bardzo, muszę iść po torebkę.

Nie zdążyła jeszcze dojść do kuchni, gdy usłyszała głośny śmiech. Tommy wyraźnie opowiadał historię rezonansu magnetycznego, ale ponieważ robił to bardzo cicho, zdołała z niej wychwycić najwyższą dwadzieścia słów. Cokolwiek stało się na oddziale radiologii, było dla trzech mężczyzn źródłem niepohamowanej radości. Tymczasem odnalazła torebkę na podłodze koło krzesła, zarzuciła sobie pasek na ramię, a potem oparła się o stół w oczekiwaniu, aż śmiech ucichnie.

Po chwili przyszedł po nią Nick.

- Jesteś gotowa?

Skinęła głową i ruszyła za nim do frontowych drzwi. Tommy pochylił się przed nią, żeby mogła pocałować go w policzek, a Noah natychmiast wziął z niego przykład.

Odpechnęła go ze śmiechem.

- Jest pan okropnym flirciarzem.

- Jestem - przyznał. - A pani jest piękną kobietą.

Zignorowała komplement.

- Niech pan uważa na mojego brata - powiedziała.

- Proszę się nie martwić. Troskę o innych mam we krwi. Pochodzę z długiej linii stróżów prawa, więc jestem urodzonym ochroniarzem. Niech pani śpi spokojnie, Laurant dokończył.

Skinęła głową. Nick otworzył przed nią drzwi, lecz na progu jeszcze przystanąła.

- Noah, jakie jest pana nazwisko?

- Clayborne - odparł. - Noah Clayborne.

9

kJamochód Laurant stanowił kupę złomu. Gaźnik był zapchany, świece kwalifikowały się wyłącznie do wymiany, a pasek klinowy miał potworne luzy. Nick szczerze się zdziwił, że zdołali przejechać przez miasto do hotelu.

Rezerwacji dokonał telefonicznie, kiedy był na plebanii. Pokój czekał na pana Johna Hudsona z żoną. Przystanęli przy kontuarze recepcji, żeby wziąć klucze, i natychmiast poszli na górę. W windzie Nick powiedział Laurant, że kazał przenieść jej rzeczy.

- Cóż za wydajność w pracy!
- Taki już ze mnie wydajny facet.

Wysiadł z windy pierwszy, upewnił się, że na korytarzu nikogo nie ma, a potem przez cały czas szedł obok niej po długim czerwonym chodniku. W hotelu było cicho jak w grobowcu. Ich apartament znajdował się w samym końcu korytarza. Nick wsunął kartę magnetyczną do zamka i pchnął drzwi.

- Wspomniałem ci, że dostaliśmy pokój dla nowożeńców? Mieli tylko taki. Ale nie krępuj się, Laurant - szybko dodał, gdy spostrzegł jej minę. - Sprawiasz wrażenie kogoś, kto ma ochotę uciec.

Zdobyła się na uśmiech. Owszem, była skrepowana, postanowiła jednak tego po sobie nie okazać.

- Jestem zbyt zmęczona na ucieczkę.
- Mam cię przenieść przez próg?

Nie odpowiedziała. Nick musiał ją lekko szturchnąć, żeby się wreszcie ruszyła. Z wahaniem weszła do małżeńskiego apartamentu. Usłyszała za sobą trzask drzwi i zalała ją nagle fala zdenerwowania. Przypomniała sobie jednak, że nie ma czasu na wstydlivość i zakłopotanie. Nick stał tuż za jej plecami. Czowała ciepło bijące od jego ciała. Szybko odsunęła się na przyzwoitą odległość

i rozejrzała po pokoju. Był bardzo ładnie urządzone, w spokojnych, kojących brązach i szarościach. Naprzeciwko siebie ustawiono dwie czekoladowe włochate sofy, rozdzielone czarnym, marmurowym stolikiem. Miejsce pośrodku stolika zajmował wielki kryształowy wazon z bukietem świeżych wiosennych kwiatów, a na kredensie, usytuowanym pod potrójnym oknem z widokiem na zabudowania Country Club Plaża, stała srebrna taca z owocami, serem i krakersami oraz butelka szampana w onyksowym kubełku z lodem.

Nick wyprawiał coś dziwnego z drzwiami. Cienkim drutem otaczał pętlą zasuwkę. Jeden koniec drutu wychodził z pudełka w kształcie prostopadłościanu o wymiarach dziewięciowoltowej baterii, a gdy Nick skończył opłatać klamkę, poruszył pudełkiem i wtedy zniemacka zamrugała czerwona lampka.

- Co to jest?

- System alarmowy domowej roboty - odrzekł. - Projekt Jordan. Gdyby ktokolwiek próbował się tu dostać w czasie, gdy będę spał albo brał prysznic, zaraz się o tym dowiem.

Wstał, poruszył ramionami i zaproponował, żeby Laurant przygotowała się do snu.

- Ja skorzystam z tej łazienki, a ty możesz się umyć w tamtej, która przylega do sypialni.

Skinęła głową, przeszła przez salon do sypialni i znieruchomiła na progu. Jej oczom ukazało się wielkie podwójne łóżce posłane na noc. Pośrodku leżała czerwona róża na długiej prostej łodydze, a na obu poduszkach znajdowały się czekoladki owinięte w złoty papier.

- Co się stało? - spytał, gdy przez dłuższy czas nie zrobiła ani kroku.

- Na łóżku leży róża.

Zbliżył się, żeby sprawdzić, o czym mowa.

- Sympatyczny pomysł - stwierdził.

Oparty o framugę, stał najwyżej pół metra od Laurant. Nie była w stanie zdobyć się na spojrzenie w jego stronę, gdy mówiła:

- To naprawdę jest apartament dla nowożeńców.
- Owszem - potwierdził. - Znowu poczułaś się skrepowana?
- Ani trochę - skłamała.
- Możesz spać w łóżku, a ja skorzystam z sofy w salonie.

Usłyszała głośny chrzęst: Nick odgryzł duży kęs jabłka. Sok popłynął mu po brodzie, więc machinalnie otarł go wierzchem

dłoni i podsunął jej owoc. Pochyliła się i odgryzła znacznie mniejszy kawałek.

Napięcie ustąpiło. Nick znowu stał się serdecznym przyjacielem jej starszego brata. Poszła do łazienki, a w czasie gdy przekopywała zawartość torby w poszukiwaniu koszuli nocnej, kątem oka zauważyła, że Nick z pilotem w dłoni rozwała się na łóżku.

Stała pod prysznicem dosyć długo, żeby ciepła woda dobrze rozgrzała jej ramiona i usunęła wszelkie ślady napięcia mięśni. Zanim skończyła suszyć drugie włosy, ogarnęło ją śmiertelne zmęczenie. Włożyła wielką koszulę nocną z napisem „Uniwersytet Stanu Pensylwania”, szybko natarła twarz kremem, potem chwyciła tubkę z balsamem do ciała Chanel i wróciła do sypialni.

Nick zadomowił się tam na dobre. Przebrany w stare wystrzępione szorty i białą koszulę siedział ze skrzyżowanymi nogami i bosymi stopami, oparty o poduchy ułożone u wezgłowia łóżka. Włosy wciąż miał wilgotne od prysznica. Na kolanach trzymał notesik i długopis, a w dłoni pilota. Wydawał się całkowicie rozluźniony.

W garderobie wisały szlafroki, ale Laurant zapomniała wziąć jeden z nich do łazienki, a ponieważ Nick ledwie na nią spojrział i znów skupił się na programie telewizyjnym, przestała przejmować się skromnością. Bądź co bądź, nie miała na sobie seksownego negliżu. Koszula zakrywała jej ciało od szyi po kolana.

Nick nie odrywał wzroku od telewizora. Pozornie hyl pochłonięty tym, co dzieje się na ekranie, ale w jego wnętrzu działy się dziwne rzeczy. Gdy Laurant wyszła z łazienki, dokładnie przyjrzał się jej niewiarygodnie długim nogom, zarysowi piersi, widocznemu pod cienką tkaniną, pięknej szyi, zaróżowionym policzkom i kształtnym ustom. Nie podnieciłaby go bardziej, gdyby włożyła ekskluzywną koronkową bieliznę.

Tak, zauważył to wszystko, i to w ciągu najwyżej trzech sekund. Musiał się bardzo pilnować, żeby potem odwrócić głowę, a gdyby Laurant - co nie daj Boże - spytała go o oglądany program, nic umiałby o nim powiedzieć ani słowa.

Był nieco wstrząśnięty swoją reakcją na tę dziewczynę i bardzo z siebie niezadowolony.

- Jesteś zupełnie jak mój brat - powiedziała, prostując nogi. Poprawiła nocną koszulę i podsunęła sobie pod plecy dwie poduszki. Biorąc z Nicka przykład, założyła nogę na nogę i zaczęła otwierać tubę z balsamem.

Na wielkim łożu dzieliła ich duża odległość, lecz mimo wszystko było ono wspólne. Nawet o tym nie myśl, powiedział sobie Nick. To jest młodsza siostra Tommy'ego.

- Przepraszam, co mówiłaś? - spytał.

Odpowiedziała, wcierając sobie w ramiona różowy kosmetyk.

- Mówiłam, że jesteś jak mój brat. Tommy nie rozstaje się z pilotem.

Nick uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To dlatego, że zna sekret.

- Jaki sekret?

- Ten, kto ma w ręce pilota, ma w ręce świat.

Roześmiała się, co bardzo go zachęciło.

- Zauważyłaś kiedyś, jak prezydent obmacuje sobie kieszonkę kamizelki. Upewnia się, czy wciąż ma tam pilota.

Przewróciła oczami.

- A ja zawsze myślałam, że to nerwowe.

- Teraz znasz prawdę.

Odłożyła balsam na stolik przy łóżku i wślizgnęła się pod kołdrę. Przez chwilę bezmyślnie gapiła się w telewizor, ale w głowie kotłowały jej się dziesiątki myśli.

- Noah jest dobry w tym, co robi, prawda? Wiem, że to potwierdzisz, ale w każdym razie, odkąd go poznałam, mam wrażenie, że już nie muszę się martwić o brata. Noah wzbudził moje zaufanie. Wiem, że przy nim Tommy'emu nic nie grozi. I wiem, że żartował, kiedy mówił o zabijaniu... żartował, prawda?

Nick parsknął śmiechem.

- Tak.

- Mówiłeś, że twój szef korzysta czasem z jego usług, ale że Noah nie pracuje dla FBI.

- Pracuje i nie pracuje. To tak, jakby być trochę w ciąży.

- Nie da się.

- No, właśnie - odparł. - Noah lubi myśleć o sobie jak o wolnym strzelcu.

- Ale nim nie jest ?

- Nie. Jest człowiekiem Pete'a.

Laurant nie była pewna, co Nick chciał przez to powiedzieć.

- A ponieważ twój szef pracuje dla FBI, a Noah pracuje dla niego...

- To znaczy, że on również pracuje dla FBI. Tylko że mu tego nie mówimy.

- Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz - powiedziała z uśmiechem. - Zupełnie mnie zamuliło. Mam nadzieję, że rano będę myślała jaśniej.

Postanowiła, że nazajutrz, gdy przestanie już mieć taki mętlik w głowie, zastanowi się, co zrobić, aby stać się panią sytuacji. Tymczasem jednak była na to zbyt zmęczona.

Zasnęła, patrząc, jak Nick ogląda mecz hokeja.

10

Jt o przebudzeniu Laurant usłyszała Nicka, krzątającego się w salonie. Chwyliła torbę i szybko pobiegła ubrać się w łazience. Wybór garderoby miała mocno ograniczony. Wyjechała z Holy Oaks w takim pośpiechu, że po prostu nie miała czasu się zastanowić, co z sobą wziąć. Pakując się, sądziła, że będzie w podróży tylko jedną noc, ale na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że Tommy'ego zatrzymano w szpitalu, zabrała czarną płócienną spódnicę i białą górę. Wiedziała, że spódnica wkrótce będzie wyglądać jak wyciągnięta psu z gardła, ale nie było innego wyjścia.

Włożyła jeden pantofel i właśnie sięgała po drugi, gdy Nick zapukał do drzwi łazienki.

- Śniadanie! - zawołał. - Jak tylko będziesz gotowa, bierzemy się do pracy.

Wyszła, trzymając drugi pantofel w dłoni.

- Do jakiej pracy?

Wskazał notes leżący na stole.

- Sporządzimy listę. Bardzo mi się to przyda, ale uprzedzam, że będziemy do niej wracać wiele razy.

- Nie mam nic przeciwko temu. Co będzie na tej liście?

Odsunął krzesło od stołu i poczekał, aż Laurant usiądzie.

- Będzie kilka list. Najpierw spisujemy tych, którzy mogą żywić do ciebie urazę. Wiesz... wrogów. Ludzi, którzy byliby szczęśliwi, gdybyś znikła.

- Jestem pewna, że są tacy, którzy mnie nie lubią, ale naprawdę nie sądzę, żeby ktokolwiek z nich źle mi życzył. Czy to brzmi naiwnie?

Pochyliła się, żeby włożyć pantofel. Gdy znów się wyprostowała, Nick kładł rogalika na jej talerzyk.

- Owszem - potwierdził. - Chcesz kawy? - spytał, sięgając po dzbanek.

- Nie pijam kawy, ale dziękuję za propozycję.
- Ja też nie pijam kawy. Dziwne, co? Chyba jesteśmy jedyną parą ludzi na świecie, która tego nie robi.

Usiadł okrzakiem na krześle i zdjął skuwkę z długopisu.

- Powiedziałaś, że pierwsza będzie lista wrogów. A następne? - zainteresowała się Laurant.

- Chcę wiedzieć wszystko o twoich przyjaciółkach, którzy, z tego czy innego powodu, mogą wydawać się odrobinę nadgorliwi.

Ale po kolei. Jak długo mieszkasz w Holy Oaks?

- Prawie rok.

- Przeprowadziłaś się do tego miasteczka, żeby być bliżej brata, i wkrótce zamierzasz tam otworzyć sklep, tak?

- Tak. Kupiłam starą rudę przy rynku i teraz właśnie trwa remont.

- Co to będzie za sklep?

- Wszyscy nazywają to apteką na rogu, bo wiele lat temu była tam właśnie apteka, ale ja nie zamierzam sprzedawać żadnych medykamentów, nawet aspiryny. To będzie takie miejsce, w którym mogą przesiadywać studenci z college'u. No, i mam nadzieję, że rodziny będą mogły przyprowadzać dzieciaki na lody. Będzie marmurowa fontanna z wodą sodową i szafa grająca.

- Kłaniają się lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, co?

- Tak jakby - przyznała. - Dużo pracowałam dla korporacji studenckich, projektowałam dla nich znaki graficzne, wzory na podkoszulki, proporce i mam nadzieję dalej to robić. Nad tą sodową fontanną jest piękne jasne poddasze z wielkimi oknami. Zamierzam urządzić tam pracownię. Sam sklep nie jest duży, ale ma werandę, na którą w ciepłe miesiące chcę wystawiać stoliki i krzeszka.

- Nie zarobisz dużo pieniędzy na sprzedaży lodów i podkoszulków, ale domyślam się, że dzięki dochodom z funduszu powierniczego nie musisz się tym przejmować.

Nie zaprzeczyła, lecz również nie potwierdziła. Powiedziała tylko:

- Robię dużo projektów dla miejscowych przedsiębiorców, a jesienią organizuję kurs projektowania.

- Wiem, że studiowałaś historię sztuki w Paryżu. Malujesz też. Prawda?

- Tak - przyznała. - To moje hobby.

- Tommy powiedział mi, że nie pozwoliłaś mu obejrzeć ani jednego obrazu.

- Pozwolę, gdy będą lepsze - stwierdziła. - Jeśli będą lepsze.
- Czy jest ktoś, kto nie chciałby, żebyś otworzyła ten sklep?
- Steve Brenner z przyjemnością zobaczyłby, że powinęła mi się noga, ale nie podejrzewam go o chęć skrzywdzenia mnie lub mojego brata tylko po to, żebym opuściła Holy Oaks. On nawet raz zaprosił mnie na randkę. Męczący człowiek. Nie chce przyjąć do wiadomości, co znaczy nie.

- Rozumiem, że się z nim więcej nie umawiałaś.

- Nie. Nie lubię go. Pieniądze są dla niego wszystkim. Przewodniczy Stowarzyszeniu Rozwoju Holy Oaks. Tak się to szumnie nazywa, chociaż w gruncie rzeczy są to tylko dwie osoby. - Pomyślała chwilę i dodała: - Steve Brenner jest pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

- A drugi członek stowarzyszenia? - spytał Nick, dopisawszy Brennera do swojej listy.

- Szeryf Lloyd MacGovern.

- A w jaki sposób ci dwaj chcą zapewnić rozwój Holy Oaks?

- Wykupują budynki przy rynku w imieniu firmy developer-skiej - odrzekła. - Steve jest mózgiem tego planu i za wszelką cenę stara się go urzeczywistnić. Nawet jeśli właściciel sprzedaje nieruchomość bezpośrednio developerom, Steve i szeryf dostają prowizję. Taka jest umowa, przynajmniej zdaniem Steve'a.

- A co chcą zrobić z rynkiem developerzy?

- Chcą zburzyć wszystkie te urocze stare domy i rozbudować college. Postawić wielkie paskudne bloki z mieszkaniami dla studentów mających rodziny.

- Czy nie można by tego zbudować gdzie indziej?

- Można, ale developerzy planują również stworzenie wielkiego supermarketu na obrzeżach miasteczka. - Jeśli uda im się pozbyć sklepikarzy z rynku...

- Wtedy mają monopol.

- Właśnie.

- Co to za firma?

- Griffen, Inc. - odrzekła Laurant. - Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by tam pracował. Mają siedzibę w Atlancie. Steve jest ich przedstawicielem. Oferują właścicielom domów mnóstwo pieniędzy... bardzo wygórowane stawki.

- Czy oprócz ciebie jeszcze ktoś nie chce się zgodzić na sprzedaż?

- Jest kilka osób w mieście, które wołałyby, żeby budynki przy rynku odrestaurować, a nie zburzyć.

- To rozumiem, ale ile z nich ma sklepy przy rynku?
Westchnęła.

- W ostatni piątek po mojej stronie były jeszcze cztery osoby.

- Reszta się poddała?

- Tak.

- Narysuj mi plan rynku i wypisz wszystkich właścicieli sklepów. Niekoniecznie teraz - dodał.

- Dobrze. Nazywam to miejsce rynkiem, ale plac jest zabudowany z trzech stron. Po czwartej znajduje się stary park z piękną fontanną. Ta fontanna ma sześćdziesiąt, może nawet siedemdziesiąt lat, ale jeszcze działa. Obok jest miejsce na tańce. Latem co sobota miejscowi muzycy spotykają się tam i grają. To jest naprawdę czarujące miejsce, Nick.

Zamknęła oczy i zaczęła sobie przypominać nazwiska kontrahentów Griffen, Inc. Zaczęła od właściciela sklepu z artykułami żelaznymi, który znalazł się w kłopotach.

- Margaret Stamp ma niedużą piekarnię w środkowym ciągu budynków - wyjaśniła. - A Conrad Kellog jest właścicielem apteki. Mają dokładnie naprzeciwko mojego sklepu. Ci dwoje koniecznie muszą wytrwać, bo jeśli którekolwiek z nich sprzeda swój sklep, Griffen będzie mógł zburzyć cały ciąg budynków po jednej stronie rynku. A jeśli powstanie pierwszy blok, rynek jest stracony.

- Co się stanie, jeśli Tommy dostanie przeniesienie i wyjedzie z Holy Oaks? Sprzedasz sklep i pojedziesz za nim?

- Nie, zostanę w Holy Oaks. Polubiłam to miejsce. Dobrze się tam czuję. Miasteczko ma bogatą historię, mieszkańcy sobie pomagają.

- Nie potrafię sobie wyobrazić mieszkania w małym mieście. Chybabym oszalał.

- Ja to uwielbiam - odparła. - Czułam się tam... absolutnie bezpieczna, naturalnie póki nie stało się to, co się stało. Sądziłam, że w takiej dziurze zna się swoich wrogów. Widocznie jednak się omyliłam.

- Wiem, że przeprowadziłaś się do Holy Oaks, kiedy Tommy ciężko zachorował.

- Omal nie umarł.

- Ale wyzdrowiał. Mogłaś wziąć urlop z galerii w Chicago i wrócić tam, gdy brat poczuł się lepiej, a jednak zrezygnowałaś z tej pracy. Dlaczego?

Spojrzała na swój talerzyk i nerwowo poprawiła ułożenie sztućców.

- Nie chodziło mi tylko o to, żeby być jak najbliższego brata. Uciekłam od bardzo kłopotliwej sytuacji. To była sprawa osobista.

- Laurant, ostrzegałem, że będę się wtrącał do twojego prywatnego życia. Przykro mi, jeśli cię krępuje mówienie o osobistych sprawach, ale nie ma rady. Nie martw się. Nic nie powiem Tommy'emu.

- Tym się nie martwię. To było takie... głupie - powiedziała i znów spojrzała na Nicka.

- Co było głupie?

- Poznałam tego mężczyznę w Chicago. Nawet dla niego pracowałam. Przez pewien czas się spotykaliśmy, zdawało mi się nawet, że się w nim zakochuję. To właśnie było głupie. Bo okazał się...

Trudno jej było znaleźć odpowiednie słowo na określenie człowieka, który ją zdradził. Nick przyszedł jej z pomocą.

- Glistą? Ladaco? Sukinsynem?

Op Glistą - zdecydowała. - Tak, stanowczo glistą.

Przewrócił stronę w notesie i zapytał o nazwisko tego człowieka.

- Joel Patterson. Był dyrektorem oddziału.

- I...? Co się stało?

- Zastałam go w łóżku z inną kobietą, zresztą z moją przyjaciółką.

- Au.

- To nie jest śmieszne. Przynajmniej wtedy nie wydawało mi się śmieszne.

- Chyba masz rację. Przepraszam, nie wykazałem się zbytnią wrażliwością. Kim była ta kobieta?

- Pracowała w galerii. Ich romans nie trwał długo. Ona jest teraz z kim innym.

- Podaj mi jej nazwisko.

- Ją też chcesz sprawdzić?

- Bez wątpienia.

- Christine Winters.

Zapisał personalia i zerknął na Laurant.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do Pattersona.

- Nie chcę o nim rozmawiać.

- Wciąż świeża rana?

- Nie - odparła. - Ale wyszłam na idiotkę. Wiesz, że on miał czelność zrzucić na mnie winę za to, co się stało?

Nick podniósł głowę znad notesu i spojrzał na nią kątem oka.

- Żartujesz.

Uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczenie.

- Daleko mi do tego. Powiedział mi, że to przeze mnie poszedł do łóżka z Christine. „Mężczyźni mają potrzeby” - zacytowała.

- A ty nie byłaś chętna?

- To dość dziwne ujęcie tej kwestii. Nie, nie byłam.

- Dlaczego?

- Słucham?

- Zdawało ci się, że go kochasz. Dlaczego nie poszłaś z nim do łóżka?

- Chcesz go usprawiedliwiać...

- Nie, skądże. Bydlak pozostaje bydlakiem. Po prostu jestem ciekaw. Mówiłaś, że się w nim zakochałaś...

- Powiedziałam, że tak mi się zdawało - poprawiła go, przecięła na pół rogalik i sięgnęła po dzem. - Byłam bardzo praktyczna - wyjaśniła. - Joel i ja mieliśmy te same zainteresowania, sądziłam, że również hołdujemy tym samym wartościom. Myliłam się.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dlaczego nie poszłaś z nim do łóżka?

Nie mogła dłużej dawać wymijających odpowiedzi.

- Czekałam na... Chciałam...

- Czego?

- Odrobiny magii. Albo przynajmniej ciepła. Tak powinno być... a może się mylę?

- Och, nie, stanowczo powinno tak być.

- Próbowałam, ale nic nie czułam...

- Laurant, to albo jest, albo tego nie ma. Nic można tego wymyślić.

Odłożyła nóż na talerzyk, opuściła ręce na kolana i odchyliła plecy na oparcie krzesła.

- Nie mam talentu do wchodzenia w związki.

- Patterson ci to powiedział? - Nie czekał na odpowiedź. - On naprawdę namieszał ci w głowie. Co jeszcze ten stary osioł powiedział, żeby obciążyć cię winą za swój romans z tamtą kobietą?

Widziała, że Nick wpada w złość, ale świadomość, że wziął jej stronę, była bardzo krzepiąca.

- Powiedział, że mam serce z lodu.

- Naturalnie nie wierzysz w tę bzdurę?

- Nie. Ale...

- Ale co?

- Zawsze miałam w sobie dużo dystansu. Może rzeczywiście jestem trochę oziębła.

- Nie jesteś.

Powiedział to z głębokim przekonaniem, jakby wiedział, że tak jest. Laurant chciała go spytać, skąd wie, ale przeszkodził im dzwonek. Nick wstał, żeby odebrać telefon.

- To Noah - poinformował ją po powrocie. - Właśnie wylądował samolot Pete'a. Jedziemy.

11

IVwadrans później Nick odwoził Laurant na plebanię.

- Masz luzy na pasku klinowym w samochodzie - powiedział, gdy podjeżdżali pod Southwest Trafficway. - Zauważyłem to już wczoraj wieczorem, ale myślałem, że może się przestyszałem.

- Pewnie znowu muszę oddać wóz do warsztatu.

Ten dzień również był upalny i parny. Klimatyzacja w samochodzie nie działała dobrze, więc Laurant opuściła szybę.

- Podejrzewam, że pompa paliwowa też jest na wykończeniu - stwierdził. - Ta landara przejechała już dziewięćdziesiąt tysięcy mil, Laurant. Czas się z nią rozstać.

- Rozstać? To jest tylko samochód, Nick, nie kobieta.

- Mężczyźni często czują więź ze swoimi maszynami - wyjaśnił. - Porządni mężczyźni nawet je rozpieszczają.

- Czy są jeszcze jakieś inne sekrety wspólne dla was, chłopców?

- Nie dla chłopców - poprawił ją. - Dla mężczyzn. Dla męskich mężczyzn.

Wybuchnęła śmiechem.

- Czy doktor Morganstem wie, że ma w swojej grupie czubka?

- A skąd wiesz, że on nie jest czubkiem?

- A jest? - Spoważniała jednak i dodała: - Przypuszczam, że twój szef musiał widzieć i słyszeć prawdziwe okropności.

- Owszem.

- Ty też.

- To jest część mojej pracy.

- Tommy martwi się o ciebie.

Wspinali się na następny stromy podjazd i Nick z niepokojem zaczął nasłuchiwać ślizgających się biegów. Wzdrygnął się, słysząc szczególnie nieprzyjemny zgrzyt, i powziął niezłomne postanowienie.

że zanim Laurant znowu wsiądzie do tego samochodu, musi nad nim popracować mechanik. W gruncie rzeczy dziewczyna miała diabelne szczęście, że wóz nie rozsypał się na autostradzie.

Zerknął na nią znad krawędzi okularów przeciwsłonecznych.

- Tommy chce, żebym się ożenił i ustatkował - powiedział. - Jego zdaniem, z rodziną miałbym normalniejsze życie. Ale nic z tego nie będzie. Małżeństwo nie pasuje do mojej pracy, a dzieci są absolutnie wykluczone.

- Lubisz dzieci?

- Jasne. Ale wiem, że gdybym miał swoje, zwichnąłbym im życie. Nie spuściłbym ich z oczu. Tak, zwichnąłbym im życie lxx dwóch zdań.

- Bo bałyś się, że coś im się stanie... bo widziałeś...

Przerwał jej.

- Właśnie. A ty? Chcesz wyjść za mąż i mieć dziecko?

- Tak... kiedyś. Ale nie chcę tylko jednego dziecka. Chciałabym mieć pełny dom dzieci. Nieważne, że to jest niemożliwe.

- Pełny dom... to znaczy ile?

- Czoro, pięcioro, może nawet sześcioro. Czy doktor Morganstem ma dzieci?

- Nie. Okazało się, że on i Kate nie mogą. za to mają mnóstwo małych krewnych. Zawsze są u nich goście z dziećmi.

Uważnie przyjrzała się Nickowi.

- Dlaczego wpatrujesz się we wsteczne lustro?

- Jestem przezornym kierowcą.

- Sprawdzasz, czy nikt za nami nie jedzie, tak?

- To też - przyznał.

- Gdzie masz broń?

Lewą ręką ujął za kaburę, którą położył między siedzeniem a drzwiami.

- Bez broni nie wychodzę z domu - powiedział. - Kiedy dojeżdżamy na plebanię, muszę ją wziąć ze sobą. Obowiązek - wyjaśnił.

Oparłszy łokieć o opuszczoną szybę, zaczęła się przyglądać starym budynkom przy alei. Rozmyślała o doktorze Morganstemie, była bowiem bardzo ciekawa, jakim jest człowiekiem. Gdyby się okazał rozsądny, mogłaby mu powiedzieć, czego chce. Wcześniej zdecydowała, że z Tommym i Nickiem musi postępować ostrożnie; obaj byli za bardzo zaangażowani emocjonalnie w tę sytuację, żeby zdobyć się na trzeźwość sądu. Miała jednak nadzieję, że doktor Morganstem ją zrozumie i zechce pomóc, nawet wbrew Tommy'emu.

- Laurant, tę listę dokończymy później - rzekł Nick. - Pewnie powinniśmy byli wziąć się do tego już wczoraj wieczorem, ale byłaś okropnie zmęczona.

- Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór... Zastanawiałam się...
- Tak? - spytał, gdy się zawahała.
- Zasnęłam, kiedy oglądałeś jakiś mecz.
- Nie jakiś mecz, tylko play-off pucharu Stanleya - wyjaśnił.
- Obejrzałeś całą trasę misję?
- Do samiutkiego końca.
- A potem co robiłeś?

Wiedziała, o co jej chodzi, ale diabeł go podkusił, żeby zmusić ją do pytania wprost.

- Spałem.
- Minęła długa chwila.
- Gdzie?
- Uśmiechnął się.
- Z tobą.

Był bardzo pewny siebie. Bez wątpienia chciał, żeby się zarumieniła, uznała więc, że czas odwrócić role. Zawsze była cicha i skromna, ale nie tym razem.

- I co? Dobrze się spało?

Rozeźmiał się.

- Bosko. Spałem jak nowo narodzone dziecko. Ale trochę mnie zaniepokoiłaś. Co powie Tommy, słysząc, że spałem z jego siostrą?
- Ja mu o tym nie powiem, jeśli ty będziesz milczała.
- Umowa stoi.

Dojechali na miejsce i Nick zaparkował samochód pod samym kościołem, żeby nie przeszkadzać w meczu baseballowym. Natychmiast spostrzegli Noah i Tommy'ego. Stali nos w nos pośrodku grupy nastolatków. Tommy miał na sobie szorty w kolorze khaki i białą koszulkę polo. Noah był w znoszonych džinsach, czarnym podkoszulku, miał też kaburę pod pachą, a w niej pistolet. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Laurant szybko zorientowała się w sytuacji. Tommy trzymał w ustach gwizdek, a Noah protestował przeciwko wydanej przez niego decyzji. Jej uparty brat nigdy łatwo nie ustępował pola, tym razem jednak trafiła kosa na kamień. Tommy był czerwony jak burak i zaperzony nie mniej niż Noah. Chłopcy zgromadzili się wokół księdza niczym mały legion wojska, gotowy zaatakować na komendę.

Laurant wysiadła z samochodu, zanim Nick zdążył otworzyć

jej drzwi. Zobaczyła jeszcze, jak chowa pistolet, postanowiła jednak nie zwracać na to uwagi.

- Zdawało mi się, że Tommy ma być dzisiaj w szpitalu na badaniach - powiedziała.

- Jest po dziesiątej - odparł. - Pewnie już wrócili.

- Czy nie powinieneś czegoś z tym zrobić? - spytała, wskazując skinieniem głowy Noaha, który właśnie popchnął Tommy'ego. Jej brat zrewanżował się gwizdnięciem mu prosto w twarz.

Nick wybuchnął śmiechem.

- Popatrz na twarze chłopców.

- Nie podoba im się, że Noah krzyczy na ich księdza.

- On sobie po prostu żartuje.

- Myślę, że chłopcy tego nie rozumieją. Noah jest w rrmiejszi & i.

- Tak ci się zdaje?

Zmierzyła go wzrokiem.

- A tobie nie?

- Da sobie radę.

- Idę do środka. - Przechodząc przez parking, pomachała bratu na powitanie. Zobaczyła, że ksiądz prałat czeka na nią na progu. i przyspieszyła kroku.

Noah zauważył ją kątem oka. Urwał w połowie jakieś wyszukane wyzwiisko i obrócił się plecami do Tommy'ego, żeby ją lepiej widzieć.

- Na co się tak gapisz? - spytał ze złością Tommy, wciąż dysząc po walce krzykaczy.

- Na Laurant - odparł Noah. - Ma piękne ciało.

- Mówisz o jego siostrze - zwrócił uwagę przyjacielowi Nick i dźgnął go od tyłu łokciem.

- Wiem. Aż trudno mi uwierzyć, że są spokrewnieni. Ona jest taka śliczna i słodka, a ten tutaj to osioł. W dodatku ślepy jak kret. Nie widzi autu, chociaż jest metr od linii.

Znowu rozgorzała kłótnia.

Dziesięć minut później wszyscy trzej z ociąganiem weszli na plebanię. Tommy ocierał skronie rąbkiem koszuli, ale Nick i Noah nie mieli na czołach nawet kropli potu. Śmiejąc się, zgodnie poszli do kuchni wziąć sobie coś do picia.

Laurant cofnęła się do salonu, żeby zejść im z drogi. Przy okazji przełożyła ciężki kosz z praniem na drugie biodro.

- Nie rozumiem, jak mogłeś zaproponować piwo tym dzieciakom - powiedział gniewnie Tommy.

- Jest gorąco - bronił się Noah. - Myślałem, że chce im się pić.

- Oni są małoletni - stwierdził z naciskiem zirytowany Tommy. - Poza tym nie ma jeszcze nawet południa.

Mijając ponownie Laurant, Nick puścił do niej oko. Niósł opakowanie z sześcioma puszkami coli. Noah zaproponował księdzu, żeby poczekał w domu, a on i Nick porozmawiają z chłopcami na ganku.

- Co się stało? - spytała Laurant brata.

- Jeden z chłopców powiedział prałatowi, że być może widział samochód, którym ten facet przyjechał w sobotę, więc Nick z nim rozmawia.

- Czy chłopak powiedział o tym policji?

- Nie, te dzieciaki nie gadają z policją - wyjaśnił. - Ale wszyscy słyszeli, co się stało, i jak to ujął Frankie, przywódca tej paczki: „Nikt nie będzie się łądował do naszej pieprzonej parafii i stawiał się naszemu pieprzonemu księdzu”.

Laurant zrobiła wielkie oczy. Tommy skinał głową.

- Frankie to dobry chłopak - powiedział. - Ale stara się zachowywać pozory. Oni muszą pozować na twardzieli. W każdym razie zaczęli między sobą gadać o tym, co się stało. Włóczą się dniami i nocami po ulicach i jeden z nich przypomniał sobie, że widział dziwną furgonetkę, zaparkowaną na Trzynastej Ulicy koło pustego placu. Nick ma nadzieję, że zdobędzie opis kierowcy. Trzymaj za niego kciuki - dokończył i zmienił temat. - Co robisz z tym praniem?

- Nie mogę znieść beczynnego czekania, więc spytałam księdza prałata, czy mogę mu w czymś pomóc.

Tommy otworzył drzwi do piwnicy, zapalił światło i przyjrzał się, jak siostra schodzi po drewnianych schodach.

Doktor Morganstern zjawił się pięć minut później. Gdy wróciła na górę, ułyszała, jak rozmawia z mężczyznami w sieni. Agenci byli o głowę wyżsi od Morgansterna, podobnie jak Tommy, wszyscy jednak zwrócili się do niego z wielką atencją per sir.

Laurant nie spodziewała się po tym spotkaniu niczego dobrego, ale gdy Nick prowadził ją do swojego szefa, miała nadzieję, że tego po niej nie widać.

Morganstern uścisnął jej dłoń, poprosił dość stanowczo, żeby mówiła do niego po imieniu, i zaproponował:

- Usiądźmy, zastanowimy się, co zrobić.

Odruchowo spojrzała na Nicka. Nieznacznie skinał głową, więc poszła za Tommym do salonu. Morganstern został jeszcze w sieni, żeby porozmawiać z podwładnymi. Najpierw zamienił kilka zdań

z Nickiem, ale tak cicho, że Laurant nie usłyszała ani słowa. Potem zwrócił się do Noaha i czymś bardzo go zaskoczył, bo agent wybuchnął śmiechem.

- Bóg by mnie pokarał, sir.

- I stracił jednego ze swych zaufanych żołnierzy? Nie sądzę - odparł Pete, prowadząc podwładnych do salonu. - Zresztą jesieni święcie przekonany, że Bóg ma poczucie humoru.

Odłożył teczkę na stół i rozpiął zameczki. Nick usiadł na sofie przy Laurant, a Noah stanął obok przełożonego ze skrzyżowanymi ramionami, jakby trzymał straż.

- Zastanawiałem się, sir, czy dowiedział się pan czegoś istotnego od psychologa przydzielonego do tej sprawy - odezwał się Noah. - Jak on się nazywa, Nick?

Odpowiedział Morganstern.

- Nazywa się George Walker i owszem, ma kilka ciekawych pomysłów, lecz. niestety, nic konkretnego.

- Czy tacy specjaliści nie wyszukują informacji na miejscu popełnienia przestępstwa? - spytał Tommy. - Czytałem gdzieś, że to jest ich podstawowe źródło wiedzy.

- To prawda - przyznał Pete. - Ale są również inne sposoby.

- Na przykład analiza taśmy?

- Tak.

- Tommy, czy mógłbyś wreszcie usiąść i już nie chodzić w kółko? - poprosiła Laurant.

Brat pokazał jej, żeby przysunęła się do Nicka, i zajął miejsce obok niej. Nic bardzo wiedział, jak sformułować pytanie, które go nurtowało, zdecydował więc nie owijać niczego w bawełnę.

- Po co właściwie przyjechałeś, Pete?

- Bardzo się cieszymy, że pana tu widzimy, Pete - wtrąciła się Laurant, żeby doktor nie pomyślał przypadkiem, że jej brat jest niegrzeczny. - Prawda, Tommy? - spytała, szturchając go łokciem.

- Oczywiście - potwierdził natychmiast. - Pete wie, że bardzo sobie cenię jego pomoc. Mamy już dużo wspólnych doświadczeń, czyż nie? - zwrócił się do psychiatry.

Morganstern skinał głową. Tommy zwrócił się z wyjaśnieniem do Laurant:

- Kilka lat temu wezwałem go do dziecka z zaburzeniami. To nie była moja działka, więc Pete pomógł umieścić to dziecko w ośrodku. Wtedy pierwszy raz skorzystałem ze znajomości

Nicka, ale od tej pory Pete wspierał mnie jeszcze w trzech innych trudnych sprawach. Nigdy mi nie odmawiasz, prawda?

- Staram się. A dzisiaj przyjechałem porozmawiać z tobą, Tom. Chcę, żebyśmy razem omówili to, co się stało w konfesjonale.

- Słyszałeś taśmę - przypomniał mu Tommy.

- Tak i taśma niewątpliwie bardzo pomoże w śledztwie. Ale z niej nie dowiem się, co myślałeś w czasie, gdy nasz nieznany sprawca mówił. Chciałbym, żebyś jeszcze raz sobie to przypomniał.

- Powiedziałem Nickowi wszystko, co pamiętam. Powtarzał mi to przynajmniej dziesięć razy.

- Tak, ale Pete zadaje inne pytania - powiedział Nick.

- W porządku. Jeśli uważasz, że to w czymś pomoże, przypomnę sobie wszystko jeszcze raz.

Pete uśmiechnął się.

- Noah, może poczekacie z Laurant w drugim pokoju. Nick, ty tu zostań.

Laurant podeszła za Noahem do drzwi, ale odwróciła się w chwili, gdy Pete otwierał teczkę.

- Czy kiedy skończy pan rozmawiać z Tommym, moglibyśmy zamienić kilka słów na osobności? - spytała.

- Naturalnie.

Noah dokładnie zamknął za nimi drzwi na ganek. Ksiądz prałat schodził po schodkach z piętra, niosąc kosz z brudną bielizną. Laurant bez słowa wzięła od niego kosz i znowu poszła do piwnicy. Słyszała śmiech brata i doszła do wniosku, że przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło.

Pete zachowywał się tak, jakby miał do dyspozycji nieskończenie dużo czasu. Zaczął od pytania, czy Tommy tęskni do futbolu. Ksiądz siedział na krawędzi krzesła, spięty i strapiiony, Pete jednak umiejętnie wciągnął go do rozmowy o spowiedzi i gdy kończyli, miał dwa nowe szczegóły, które mogły okazać się przydane. Sprawca używał wody kolońskiej Calvina Kleina Obsession. Wcześniej Tommy zapomniał powiedzieć o tym i o trzasku, który słyszał na początku spowiedzi. Wówczas sądził, że mężczyzna strzelił palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę, Pete przypuszczał jednak, że był to trzask włączanego magnetofonu.

- Wolałbym, żebyś po powrocie do Holy Oaks przez pewien czas nie słuchał spowiedzi - rzekł Pete, wstając.

- Co to znaczy „przez pewien czas“?

- Dopóki nie zastawimy pułapki na tego jego człowieka.

Tommy zerknął na Nicka, a potem przeniósł wzrok na jego szefa.

- Chyba nie sądzisz, że on znowu przyjdzie się wypowiadać?

- Jestem przekonany, że przynajmniej będzie tego próbował.

Tommy pokręcił głową.

- Nie przypuszczam. To jest dla niego zbyt ryzykowne.

Nick, który do tej pory milczał zupełnie, jak nie on, nagle się odezwał.

- Potraktuje to jako wyzwanie. Jak pamiętasz, on uważa się za zdecydowanie lepszego od nas. Będzie chciał tego dowieść.

- Tom, może ci się to nie podobać, ale ten człowiek nawiązał z tobą kontakt, dlatego sądzę, że będzie chciał cię informować o swoich zamiarach - rzekł Pete. - Jedno jest pewne - ciągnął. - Nasz nieznany sprawca jest gotów wiele zaryzykować, żeby tylko znowu z tobą porozmawiać. Chce, abys go podziwiał, lecz próbuje również wzbudzić w tobie strach i nienawiść.

- Pod wieloma względami jesteś dla niego idealnym partnerem - wtrącił Nick.

- Jak to?

- On chce mieć kogoś, kto doceniłby jego spryt

- Wiem, że zarzucisz mi upór - powiedział Tommy. - Niemniej jednak, moim zdaniem, wciąż mylicie się co do tego mężczyzny. To nie miałoby sensu, gdyby znowu próbował się ze mną skontaktować. Wysłuchałem waszych argumentów i wiem, że jesteście znawcami tematu...

- Ale... - przynaglił go Nick.

- Ale zapominacie, po co przede wszystkim do mnie przyszedł. Chciał dostać rozgrzeszenie i go nie dostał. Pamiętacie?

Pete spojrzął na niego współczująco.

- Nie. On przyszedł do ciebie, ponieważ jesteś bratem Laurant - zaoponował. - I wcale nie chciał rozgrzeszenia - dodał cicho. - On sztydził z Kościoła, z sakramentu i z ciebie, Tom, zwłaszcza z ciebie.

Ksiądz wydawał się załamany.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że on miał zastać w konfesjonale księdza prałata. W ostatniej chwili zgłosiłem się na ochotnika, żeby go zastąpić.

- Och, on by nie poszedł do McKindry'ego - powiedział Pete. - Wiedział, że to ty będziesz w konfesjonale, zanim jeszcze wszedłeś do kościoła.

- Prawdopodobnie obserwował parking i widział, jak przez niego przechodzisz - wtrącił się Nick. - Gdyby to ksiądz prałat

tego dnia spowiadał, nasz nieznan sprawca poczekałby cierpliwie na inną okazję.

- Nick ma rację - zgodził się Pete. - Jen człowiek jest doskonale zorganizowany i bardzo cierpliwy. Śledzeniu ciebie i twojej siostry poświęca mnóstwo czasu i wysiłku.

Jedno ze zdań wypowiedzianych wcześniej przez Pete'a wróciło teraz do Tommy'ego niczym brzęczenie natrętnej muchy.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że on wysyła nam mieszane sygnały?

- Chodzi o to, że świadomie podsuwa nam różne tropy, żebyśmy ruszyli jednocześnie w pięciu różnych kierunkach - wyjaśnił Morganstern. - Na taśmie twierdzi, że prześladowuje ludzi, może nawet jest seryjnym mordercą. Mówi nam też, że dopiero zaczął to robić, ale zaraz potem aluzyjnie wspomina, że to trwa już bardzo długo. Oświadcza, że zabił jedną kobietę, ale napomyka, że mogły też być inne. Jeśli sobie przypominasz, śmiał się, kiedy mówił, że przed Millicent skrzywdził tylko jedną kobietę. Teraz do nas należy ustalenie, co z tego wszystkiego jest prawdą, a co nie.

- Innymi słowy, wszystko to może być zarówno kłamstwem, jak i prawdą.

- Tommy, spróbuj zrozumieć, że zbrojeńcy zawsze fantazjują. Zawsze - podkreślił Nick. - Fantazja jest siłą napędową tego człowieka. To wszystko, o czym mówi, może być tylko w jego głowie, ale musimy zakładać, że Millicent naprawdę istniała, a on ją torturował i zabił.

- A teraz chce przeżyć swoje fantazje z I.aurant?

Pete skinął głową.

- Sytuacja nagli. Ten człowiek potrzebuje pretekstu, żeby znowu z tobą porozmawiać.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

Tommy zauważył, że w oczach Pete'a odmalowuje się głęboki smutek.

- Jeśli to, co nam mówi, jest prawdą, to z pewnością w tej chwili szuka sobie następnej ofiary.

- Powiedział, że spróbuje kimś zastąpić Laurant... tymczasowo - przypomniał Nick.

Jego przyjaciel pochylił głowę.

- Wielki Boże - szepnął. - A potem przyjdzie wyznać swój grzech, tak?

- Nie. Przyjdzie się chełpić.

12

Tiffany Tara Tyler była dziwką i stanowiło to dla niej powód do dumy. Dawno już zrozumiała, że musi zliberalizować swoje zasady moralne, jeśli chce cokolwiek osiągnąć w tym bezlitosnym, wrogim świecie. Zresztą dzięki odrzuceniu pruderii przeszła naprawdę długą drogę od parkingu dla przyczep mieszkalnych w Sugar Creek i miała na to dowód. Nic, nawet sflaczała opona osiemnastoletniego podrdzewiałego chevroleta caprice, nie było w stanie jej załamać. Dobry nastrój wprost ją uskrzydlał, a wszystko dlatego, że była cholernie pewna jednego: w jej życiu zajdzie wkrótce radykalna zmiana. Owszem, wiedziała, że w oczach matki zawsze będzie kobietą upadłą; matka uznała, że córka jest skazana na piekielne męki, wiele lat temu, gdy przyłapała ją w łazience z Kennym Martinem, ale Tiffany postanowiła nie przejmować się tym, co myśli o niej jej świrięta, zużyta stara. Wiedziała, do czego ma prawdziwy talent, i była święcie przekonana, że jeśli nie ugnie się przed ciężką pracą, to jej się powiedzie. Kto wie? Może nawet przed trzydziestką zostanie milionerką; to przecież jeszcze długie dwanaście lat. Podążyłaby wtedy drogą Heidi Fleiss, którą tak podziwiała za jej znajomości w świecie filmu. Tiffany była gotowa się założyć, że Heidi jest traktowana jak prawdziwa gwiazda, może nawet klienci zapraszają ją po seksie na kolację do którejś z kosztownych, modnych restauracji.

Tiffany dokładnie pamiętała chwilę, kiedy przeżyła satori; to słowo musiała zresztą sprawdzić w słowniku, znalazłszy je w artykule w „Mademoiselle”. Była wtedy w salonie fryzjerskim Suzie's i robiła sobie trwałą, żeby trochę poprawić wygląd swych nienaturalnie jasnych, strzępiastych, długich włosów. Chcąc odebrać uwagę od boleśnie piekającej skóry na głowie, wzięła magazyn i zaczęła czytać artykuł, którego nagłówek wzywał wielkimi

literami: „Poznaj swoje walory”. Przesłanie nic mogło być jaśniejsze. Rób to, w czym jesteś dobra. Zmień w sobie to, czego nie lubisz. I wykorzystaj wszystkie walory, by urzeczywistnić swoje pragnienia. A przede wszystkim staraj się je urzeczywistnić.

Wzięła sobie do serca każde słowo i od tej pory wszędzie nosiła ukradziony magazyn. Zawsze miała go przy sobie w torbie, podróbce produktu znanego projektanta, razem z nowiutkim telefonem komórkowym, na który wydała całe dwieście dolarów, żeby przez trzy miesiące móc bezpłatnie rozmawiać z dowolnie wybranym miejscem, pod warunkiem, że znajduje się ono w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Tiffany lubiła sobie wyobrazać, że ma zdolności do pozazmysłowej percepcji, a po przeczytaniu artykułu w magazynie nabrała przekonania, że jest stworzona do wielkich celów. Wszystko miało się zacząć za dwa dni, gdy wprowadzi się do Holidome. Ceny w tym motelu były dość słone, ale warto było zainwestować. Motel znajdował się dokładnie naprzeciwko gabinetu lekarskiego, więc nie musiała daleko chodzić po zabieg.

Kupiła sobie telefon komórkowy, zobaczyła bowiem zdjęcie Heidi Fleiss z telefonem w dłoni i uznała, że jest to duży walor, który powinna wykorzystywać każda dziewczyna, chcąc być w świecie. Wciąż jednak jeszcze trochę żałowała dwóch setek z dwudziestu czterech potrzebnych jej na zabieg. Pozostałe dwa tysiące dwieście miała przy sobie. Nie odważyła się schować ani centa w przyczepie, gdzie ojczym, niczym wyszkolony pies myśliwski, mógłby wywęszyć forsz swym czerwonym jak burak, dwa razy złamanym, pijackim nosem. Wtedy znowu ruszyłyby w kurs i - jak zawsze w takiej sytuacji - skończyłyby w pudle. Zresztą nawet gdyby nie znalazł forsy, bez wątpienia zrobiłaby to jej matka. Zawsze grzebała w rzeczach Tiffany, poszukując kolejnych kompromitujących dowodów kurewstwa córki. I niechybnie czułaby się w obowiązku oddania swego znaleziska temu kaznodziei grzmiącemu o zbawieniu, którego zawsze oglądała w telewizji. Nie, Tiffany nie mogła ryzykować zostawiania gdziekolwiek ciężko zarobionych pieniędzy, które stanowiły gwarancję lepszej przyszłości. Miała je wszystkie przy sobie, w gotówce. Podzieliła całą sumę na połowę i schowała do obu misek swojego zerowego stanika, co nie wpływało korzystnie na jej figurę, mimo że z natury była płaska jak deska. Nowe piersi odmienia oczywiście jej życie. Tiffany była tego pewna.

Starac się urzeczywistnić pragnienia i zmienić to, co można zmienić - taki był klucz do sukcesu. Podobnie jak większość osiemnastolatek, miała wielkie ambicje. Zawsze bardzo konkretnie myślała o planach na przyszłość, a duży biust był częścią tych planów. Nigdy nie powiedziała nikomu, nawet swojej najlepszej przyjaciółce, Louann, że jej największym marzeniem jest doczekać się swojego zdjęcia na rozkładówce w „Playboyu”. „Penthouse” liczył się w jej kalkulacjach nieco mniej, „Hustler” również, ale zgodziłaby się na rozkładówki i w tych magazynach. Czytali je wszyscy mężczyźni w Sugar Creek. No, może niezupełnie czytali. Brali je ze sobą do łazienki, żeby się w spokoju trochę podrażać, wlepiając ślipia w nagie kobiety. Tiffany dobrze wiedziała, że gały wyjdą im z orbit, kiedy zobaczą ją nagą i piękną, wstydliwie uśmiechającą się do nich znad balonów o cztery numery większych niż dotychczas.

Nie miała pojęcia, ile szmalu można dostać za pozowanie do rozkładówki, ale musiało to być o wiele więcej, niż zarabiała teraz jako tancerka erotyczna. Tymczasem klienci nigdy nie wybierali jej na początku i Tiffany dobrze to rozumiała, bo przecież była płaska. Vera zawsze zbierała trzy razy tyle napiwków co ona, ale miała obfita figurę i mężczyźni lubili chować twarze między jej olbrzymimi cyckami. Tiffany musiała więc sobie dorabiać francuską miłością, uprawianą na dworze za śmietnikiem. Miała bardzo sprawne usta, prawdziwy talent; potwierdziły to każdy chłopak w Sugar Creek i nawet ten doktor, który miał jej zrobić nowe cycki. Zrobiła na nim takie wrażenie swoimi umiejętnościami, że obniżył jej cenę implantów. Tiffany wiedziała, że musi wyrzucić jeszcze większe wrażenie, żeby doktor opuszczał jej następną dwieście dolarów, których brakowało jej do uzgodnionej sumy. A gdyby próbował się stawiać, zawsze mogła mu zagrozić pogawędką z jego świętoszkowatą żoną, która siedziała parę metrów od niego, przy stoliku, i odbierała telefony, w czasie gdy pacjentka za przepierzeniem czyniła cuda z interesem doktorka. Tak czy owak za dwa dni Tiffany miała mieć swoje wymarzone balony.

Przebita dętka spowodowała pewne opóźnienie, dziewczyna stała bowiem teraz jak głupia na poboczu autostrady i ze złością żuła gumę. Wkrótce zauważyła jednak nadjeżdżającą furgonetkę. Wyglądało na to, że nawet nie będzie musiała wzywać pomocy drogowej. Obciągnęła obcisłą, zjadliwie różową spódniczkę, oparła dłoń na biodrze i pomagając sobie dobranymi kolorystycznie do

spódniczki pantoflami na wysokim obcasie, które były cholernie niewygodne, ale za to wspaniale eksponowały jej zgrabne nogi, upozowała się w bezradną kobietę, potrzebującą pomocy.

Miała nadzieję, że furgon prowadzi mężczyzna, bo od nich potrafiła zawsze dostać wszystko, czego chciała, gdy tylko odkryła przed nimi choćby część swoich talentów. Zmrużywszy oczy, spojrzała w słońce i odetchnęła z ulgą, gdy furgonetka stanęła za jej samochodem, a ona ujrzała uśmiechniętego przystojniaka.

Tiffany Tara Tyler wyprostowała się, wyczarowała swój najpiękniejszy uśmiech „chodź do mnie” i, kołyszac biodrami, zbliżyła się do furgonetki.

Tak jak przewidywała, jej życie miało się radykalnie zmienić. Raz na zawsze.

13

I o z pewnością przypominało sesję terapeutyczną, chociaż w prawdziwej Laurant nigdy nie miała okazji uczestniczyć. W Holy Oaks nie było psychiatry, było za to kilka osób, którym niewątpliwie przydałoby się porozmawiać z doktorem od głowy. Natychmiast przyszła jej na myśl Emma May Brie, nazwisko pisane tak samo jak ser. To była idealna kandydatka do psychoanalizy. Miła, lecz dość zdziwaczała kobieta, zamiast kapelusza, nosiła na co dzień i od święta niebieski czepek pod prysznic, ozdobiony stokrotkami. Zdejmowała go tylko na godzinę we wtorkowe ranki, gdy przychodziła na układanie włosów do Madge's Magic, miejscowego salonu piękności, który gwarantował każdemu klientowi „więcej włosów”. Emma May nie była w tym wyjątkiem. Gdy wychodziła z salonu, jej rzednące siwe włosy rzeczywiście zajmowały dwa razy więcej miejsca niż zwykle, przynajmniej do czasu, gdy znowu włożyła czepek ze stokrotkami.

Kilkoro innych mieszkańców również powinno było skorzystać z pomocy psychiatry, ale prawdę mówiąc, nawet gdyby przy głównej ulicy miasta wywiesił swój szyld renomowany specjalista, taki jak doktor Morganstern. to poczekalnia i tak świeciłaby pustkami. Do psychiatry po prostu się nie chodziło. O problemach nigdy nie rozmawiało się z obcymi, a jeśli kogoś uważano za dziwaka, to po prostu w czasie gdy dawał upust swojemu dziwactwu, obchodzono go szerokim łukiem.

Co tak długo zatrzymuje Pete'a? Poprosił ją, żeby poczekała na niego w jadalni, ale to było ponad dziesięć minut temu, więc przez ten czas zdążyła zamienić się w kłębek nerwów. Nie mogła spokojnie usiedzieć i właśnie postanowiła zejść z powrotem do piwnicy i dokończyć sortowania rzeczy do prania, gdy otworzyły się wahadłowe drzwi do kuchni.

- Przepraszam, Laurant, że kazałem pani czekać - powiedział Pete. - Zagadaliśmy się z księdzem prałatem, nie chciałem mu przerywać opowiadania o jednym z jego parafian. - Zamknął podwójne drzwi do holu, żeby nikt im nie przeszkadzał.

Chociaż dziewczyna sama poprosiła o to spotkanie, nagle przestraszyła się, że doktor Morganstem wyrazi zgodę na jej propozycję.

- Proszę się nie denerwować - rzekł, siadając.

Laurant nie mogła jednak usiedzieć spokojnie. Postukiwała stopą o parkiet z taką energią, że stolik obok chwia się i dygotał. Przestała dopiero wtedy, gdy uświadomiła sobie, że w ten sposób zdradza stan swoich nerwów. Nie potrafiła się jednak odprężyć. Siedziała sztywno wyprostowana, jakby połknęła kij, na niewygodnym krześle, wydającym skrzypliwe protesty przy każdym jej poruszeniu.

Słońce sączyło się do pokoju przez staromodne wiktoriańskie, koronkowe firanki. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach jabłek. Duża orientalna misa wypełniona owocami stała pośrodku stołu.

Pete nie zdradzał objawów pośpiechu. Najpierw spytał Laurant, jak sobie radzi w trudnej sytuacji.

- Całkiem nieźle. - Czy było słychać. Że skłamała?

Po tych słowach zapadło milczenie. Doktor Morganstem cierpliwie czekał, aż uda jej się zebrać myśli i wyłuszczyć, co ją gryzie. Czuła się głupio, bo język stawał jej kołkiem. Nabrała przekonania, że plan, który pół godziny temu wydawał jej się doskonały, jest bez sensu.

- Czy pan próbował kiedyś jeździć na nartach, Pete?

Jeśli nawet zaskoczyła go tym pytaniem, to nie pokazał tego po sobie.

- Nie, ale zawsze chciałem spróbować. A pani?

- Och, jeździłam bardzo dużo. Szkoła, do której chodziłam, była w górach.

- Pani uczyła się w Szwajcarii, prawda?

- Tak - odparła. - I chodziłam w góry, gdy tylko miałam okazję. Uwielbiam jeździć na nartach. Po powrocie do Stanów byłam kilka razy na stokach Kolorado. Ale zawsze pamiętam, jak się czułam, kiedy pierwszy raz wjechałam wyciągiem na szczyt, z którego prowadziła czarna narciostada... w Szwajcarii stoki są oznaczone kolorami według stopnia trudności. Zielone są dla

początkujących, niebieskie dla trochę bardziej doświadczonych narciarzy, a czarne są zarezerwowane dla zaawansowanych, którzy potrzebują prawdziwego wyzwania. Są również inne oznaczenia, na przykład diament i podwójny diament - plotła. - W każdym razie kiedy pierwszy raz stanęłam na początku czarnego zjazdu, wydawało mi się, że mam przed sobą urwisko. Musiałam długo zbierać się w sobie, zanim odważyłam się odepchnąć i pojechać. Czułam się tak, jakbym nagle znalazła się na klifach w Dover. Byłam przerażona... ale zdecydowana.

- I rozmowa ze mną przypomina pani tamto doświadczenie, tak? Skinęła głową.

- Tak, bo wiem, że jest podobnie jak na szczycie stoku. Kiedy raz się odepchnę, już nie będę mogła zawrócić.

Zapadło krępujące milczenie, potem Laurant odezwała się znowu.

- Powinam chyba zdobyć się na absolutną szczerą prawdę? Inaczej marnowałabym pański czas. Powiedziałam panu, że radzę sobie nieźle, ale to nie była prawda. Jestem kompletnie rozbita i czuję się tak, jakby ktoś zawiązał mnie na tysiąc supłów.

- To zrozumiałe.

- Pewnie tak - przyznała. - Mogę myśleć tylko o... o nim. Nie mogę się skupić na niczym innym - dodała. - Kiedy robiłam pranie dla księdza prałata, myślałam o tym, co chcę panu powiedzieć, i zanim się zorientowałam, co robię, wylałam do wody całą butelkę bielidła. Dużą butelkę - dodała z naciskiem.

Pete uśmiechnął się.

- Proszę myśleć pozytywnie. Bielizna będzie śnieżnobiała.

- Kiedy wkładałam ją do pralki, była w zielono-niebieskie pasy. Wybuchnął śmiechem.

- Ojej.

- Będę musiała kupić księdzu nową zmianę - powiedziała. - W każdym razie rozumie pan, że mam kłopoty...

- Z koncentracją?

- Tak. Myśli kotłują mi się w głowie, a ja mam straszne poczucie winy.

Ksiądz prałat zapukał do drzwi i wsunął głowę w szparę.

- Laurant. Jądem do szpitala, do moich chorych. To nie powinno potrwać długo, zresztą niebawem przyjdzie pani Krowski. Czy mogłaby pani odbierać telefony, póki jej nie będzie? W nagłych wypadkach proszę wołać ojca Toma.

- Naturalnie, proszę księdza.
Pete wstał.
- Jeszcze chwileczkę, proszę księdza.
Przeprosił ją, wyszedł do sieni i zawołał Noaha. Laurant usłyszała kroki na schodach, a potem znowu głos Pete'a.
- Powiedz agentowi Seatonowi, żeby zawiózł księdza prałata do szpitala i zapewnił mu ochronę.
Staruszek protestował przeciwko takiej eskorcie, chciał jechać własnym samochodem, Pete jednak przerwał mu delikatnie, lecz stanowczo i ponowił żądanie, by agent Seaton mu towarzyszył. Prałat zrozumiał, że sprzeciwy nie mają sensu, i niechętnie wyraził zgodę.
Pete przeprosił Laurant za chwilę nieobecności. Razem z nim wszedł do jadalni Nick, zamknął za sobą drzwi i oparł się o framugę. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, puścił oko do Laurant, a z jego pozy należało wnioskować, że nie zamierza wyjść z tego pokoju.
- Chciałeś porozmawiać z Pete'em? - spytała.
- Nick chce się do nas przyłączyć - wyjaśnił Morganstern.
Powiedziałem mu, że decyzja należy do pani.
Zawahała się.
- Okej. Ale pamiętaj, Nick - odezwała się stanowczo, patrząc mu prosto w oczy. - Będę wdzięczna, jeśli nie będziesz mi przeszkadzał ani dyskutował z tym, co mam do powiedzenia. Obiecay mi to.
- Nie.
- Słucham?
- Powiedziałem: nie.
Pete przejął inicjatywę.
- Powiedziała pani, że ma poczucie winy. Dlaczego?
Laurant postanowiła zignorować Nicka, spojrzała więc na delikatny ornament z różyczek, zdobiający orientálną misę, a potem odpowiedziała:
- Chcę uciec i się ukryć, póki go nie złapiecie, ale się tego wstydę.
- Nie ma się pani czego wstydzić. Pragnienie ukrycia się jest zupełnie naturalne - zapewnił ją Pete. - Z pewnością czułbym się dokładnie w ten sam sposób.
Nie przekonał jej.
- Nieprawda. Moja reakcja jest tchórzliwa i egoistyczna. - Pod wpływem nagłej fali niepokoju podeszła do okna. Uniosła

koronkową firankę i zobaczyła, jak ksiądz prałat zajmuje miejsce obok kierowcy w czarnym sedanie.
- Jest pani dla siebie zbyt surowa - rzekł Pete. - Strach nie jest wadą, Laurant. To jest mechanizm obronny.
- On tam gdzieś jest... szuka następnej kobiety, prawda?
Ani Pete, ani Nick nie odpowiedzieli.
- Odejdź od okna - zakomenderował Nick.
Natychmiast cofnęła się i kurczowo zacisnęła dłoń na krawędzi firanki.
- Obawiasz się, że on w tej chwili obserwuje plebanię? Podeszła do Nicka. - Przecież, twoim zdaniem, załatwił to, co miał tutaj do załatwienia, i jest w drodze do domu.
- Nie - sprostował Nick. - Powiedziałem, że prawdopodobnie odjechał. Nie wolno nam ryzykować.
- Czy właśnie z tego powodu ksiądz2 prałat ma dzisiaj eskortę? No, tak, naturalnie.
- Dopóki pani i Tom jesteście tutaj, ksiądz prałat będzie miał ochronę agenta - oświadczył Pete.
- Czy narażamy go na niebezpieczeństwo?
- To zwykły środek ostrożności.
- Ten mężczyzna... on wkrótce zabije następną kobietę, prawda? Pete bardzo starannie dobierał słowa.
- Dopóki nie uda nam się dowieść, że jest inaczej, musimy zakładać, że powiedział Tomowi prawdę. A to znaczy, że odpowiedź brzmi: tak. Wkrótce zaatakuję następną kobietę.
- Będzie ją dręczył i ją zabije. - Laurant miała wrażenie, że ściany pokoju zbliżają się do siebie i zaczynają ją dusić. Głęboko odetchnęła. - Co więcej, nie zadowolony się tylko tą jedną, prawda? Będzie dalej zabijał i zabijał.
- Niech pani usiądzie, Laurant - powiedział Pete.
Usłuchała go. Przysiadła bokiem na krześle, żeby widzieć jego twarz, i splótła dłonie na kolanach.
- Mam plan.
Skinął głową.
- Jest pani gotowa do zjazdu, tak?
- Mniej więcej - potwierdziła. - Wciąż chcę uciec - dodała ale nie zrobię tego. - Kątem oka zobaczyła, jak Nick się prostuje. Chcę złapać tego człowieka.
- Dostaniemy go - zapewnił ją Pcte.
- Aleja mogę wam pomóc. Nawet muszę. Powodów jest wiele.

Przede wszystkim jednak dookoła żyje mnóstwo kobiet, które nie mają zielonego pojęcia, że ten potwór czyha na następną ofiarę. To jest decydujący czynnik. Nie będę się ukrywać.

Pete zmarszczył czoło, oczekując tego, co miało nastąpić. Gdy zaczął kręcić głową, zrozumiała, że już wie, o co jej chodzi, więc zaczęła pospiesznie wykładać swoje zamiary, obawiając się, że Pete zdąży położyć kres tej rozmowie.

- Potrafię być bardzo uparta i zdecydowana, a poza tym trzymam się raz podjętej decyzji. Przez całe życie spotykałam ludzi, którzy próbowali mi mówić, co mam robić. Po śmierci matki prawnicy zajmujący się funduszem powierniczym podjęli wszystkie decyzje za mnie. Miało to sens, gdy byłam mała, ale kiedy dorosłam, znenawidziałam ich totalitarne skłonności. Ich w ogóle nie interesowało, co czuję, nie chcieli przyjąć do wiadomości, że życzę sobie mieć przynajmniej pewien wpływ na podejmowane decyzje. Nie pozwolili mi na to, i już. Decydowali za mnie, do jakich szkół będę chodziła, gdzie będę mieszkać i jak wiele albo jak mało pieniędzy mogę wydać.

Zaczerpnęła tchu i podjęła:

- Dużo czasu potrzebowałam, żeby się uwolnić spod ich władzy, ale wreszcie mi się udało. Znalazłam miejsce, w którym miałam poczucie, że jestem u siebie... naprawdę u siebie. A teraz ten potwór chce mi to zabrać. Nie mogę mu pozwolić. Nie pozwolę.

- Co mam zrobić?

- Wykorzystać mnie - powiedziała wprost. - Zastawić na niego pułapkę, używając mnie jako przynęty.

- Oszalałaś?! - wybuchnął Nick.

Usłyszała złość w jego głosie, ale postanowiła ją zignorować. Wpatrywała się w Pete'a.

- Niech pan mi pomoże przekonać brata, że powinnam wrócić do Holy Oaks. To jest pierwszy krok. Nie ma pan pojęcia, jak się boję, ale z mojego punktu widzenia... po prostu nic mam wyboru.

- Jak to nie? - zaperzył się Nick.

Zerknęła na niego.

- Jedynym sposobem dla mnie, żeby znowu naprawdę żyć, jest móc decydować o własnym losie.

- Wykluczone - uparł się Nick.

- To wcale nie jest wykluczone - powiedziała zaskoczona swoim spokojem. - Pete, czy dla tamtego człowieka nie będzie wyzwaniem, jeśli wrócę do domu po tym, jak kazał bratu mnie ukryć?

- Na pewno będzie - przyznał. - W jego oczach to jest gra. Inaczej po co wspominałby o Nicku? Wie, że on pracuje w FBI, więc chce dowiedzieć, że jest o wiele bardziej inteligentny niż ktokolwiek z nas.

- Czyli jeśli wrócę do Holy Oaks, to uzna, że spełniam jego życzenia?

- Tak.

- Nie ma siły, żebyś tam wróciła, dopóki ten sukinsyn nie zginie albo nie znajdzie się za kratkami - oświadczył Nick.

- Może pozwolisz mi skończyć? Potem będzie czas na protesty.

Spojrzała na niego bardzo nieufnie. Wyglądał tak, jakby chciał ją podnieść z krzesła, wyciągnąć do sieni i tam wbić trochę rozumu do głowy. Tego właśnie się spodziewała.

- Możecie rozszyfrować jego sposób myślenia. Możecie dojść do tego, co zrobić, żeby przyjechał tam za mną. A jeśli doprowadzę go do wściekłości... wtedy zostawi inne kobiety w spokoju. Przynajmniej na to liczę. Pan i Nick moglibyście zastawić pułapkę. Przecież macie doświadczenie. A Holy Oaks to małe miasteczko. Przebiega przez nie tylko jedna ważna droga. Nie sądzę, żeby było trudno zamknąć miasto, gdybyście chcieli to zrobić.

- Laurant, zdaje sobie pani sprawę... - zaczął Pete.

- Tak, wiem, co może się stać. Zapewniam pana, że nie będę głupio ryzykować. Podporządkuję się wam we wszystkim. Obiecuję. Tylko pozwólcie mi pomóc w złapaniu tego człowieka, zanim znowu zacznie zabijać.

- Chce pani być przynętą - powiedział Pete.

- Tak - potwierdziła cicho. - Tak - powtórzyła bardziej zdecydowanie.

- Pomieszało ci się w tej uroczej główce. Wiesz o tym, правда? - burknął Nick.

- Ten plan ma ręce i nogi - nic ustępowała.

- Jaki plan? - spytał ze złością. - Ty nie masz żadnego planu.

- Nicholas, uspokój się - skarcił go szef.

- Pete, rozmawiamy o narażaniu życia siostry mojego najlepszego przyjaciela.

- Może przestaniesz myśleć o mnie jak o siostrze Tommy'ego - zaproponowała. - Zaczynaj myśleć jak profesjonalista. Masz wyjątkową okazję.

- Chcesz być przynętą - powtórzył słowa przełożonego, ale w odróżnieniu od niego nie był spokojny. Niewiele mu brakowało, by ryknął na cały głos.

- Może z łaski swojej będziesz mówić ciszej. Nie chcę, żeby Tommy się o tym dowiedział, póki nie podejmiemy decyzji.

Nick spiorunował dziewczynę wzrokiem i zaczął chodzić po pokoju. Laurant musiała liczyć na to, że Pete okaże się jej sojusznikiem, bo choć Nick reagował na jej pomysł bardzo niechętnie, to wiedziała, że reakcja brata będzie po stokroć ostrzejsza.

Musiała przekonać Pete'a.

- Nie zamierzam spędzić reszty życia w ukryciu. Oboje wiemy, że pan wcale by tutaj nie przyjechał, gdyby nie Nick i Tommy. Ma pan dużo pracy i nie może zniechęcać wszystkiego, żeby jechać w jakieś miejsce, gdzie pojawiło się zagrożenie. Nie mam racji?

- Niestety, jest nas rzeczywiście za mało, żebyśmy mogli zająć się wszystkim - przyznał.

- Wasz czas jest cenny, więc sądzę, że powinniśmy zachęcić tego człowieka do szybszego działania.

Przysięgłaby, że zobaczyła w oczach doktora wyraz wahania.

- Co pani proponuje?

- Doprowadzić go do szału.

Nick przystanął z niedowierzającą miną i wlepił w nią wzrok.

- On już jest szalony - powiedział. - Zresztą ty też, jeśli sądzisz, że ja i Tommy pozwolimy ci się tak narażać. Do diabła, Laurant, nie! Nie ma mowy.

Znowu zwróciła się do Pete'a:

- **Jak** to zrobić? Jak można zburzyć jego panowanie nad sobą? Rozwścieczyć go tak, żeby stał się nieostrożny?

- Po wysłuchaniu taśmy uważam, że nasz nieznany sprawca ma o sobie wysokie mniemanie i ważne jest dla niego, żeby świat był przekonany o jego inteligencji. Będzie go irytować każde słowo krytyki. Gdyby zaczęła pani o nim opowiadać w miasteczku, gdyby rozpowiadała pani, że prześladowa ją jakiś idiota, mogłoby to przyspieszyć rozwój wydarzeń. On chciałby wtedy jak najszybciej panią dopaść, żeby zamknąć jej usta. Rozwścieczy go pani, szydząc.

- Co jeszcze mogę zrobić?

- Wzbudzić w nim zazdrość - powiedział. - Jeśli uwierzy, że ma pani romans z innym mężczyzną, uzna to za zdradę.

Skinęła głową.

- Do zazdrości mogę doprowadzić go na pewno. Pamięta pan.

co powiedział na kasecie? O tym, jak Millicent go zdradziła, flirtując z innymi mężczyznami, i dlatego musiał ją ukarać? Mogę wdać się we flirty ze wszystkimi mężczyznami w mieście.

Pete pokręcił głową.

- Moim zdaniem, skuteczniejsze byłoby wybranie tylko jednego mężczyzny. Chodzi o to, żeby nasz nieznany sprawca uwierzył, że pani się zakochała.

Czekała, co powie dalej. Pete zabębnił palcami o stół.

- Ten człowiek wspomniał Nicka z imienia. Zachęcał Tommy'ego, żeby włączył w to FBI, więc niewątpliwie miało to być częścią gry. - Potarł podbródek. - Róbmy na razie tak, jak on chce, i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Co to w praktyce oznacza?

- Niech pomyśli, że trzyma wszystkie karty w ręku - wyjaśnił Pete. - Ciekawe, co by było, gdyby się przekonał, że jego spowiedź stała się dla pani impulsem do nawiązania romansu z Nickiem. Starannie obmyślona gra miałaby skutki uboczne, a on poczułby się wystrychnięty na dudka. To interesujący pomysł. - Skinął głową i dodał: - Pani i Nick powinniście się zachowywać jak zakochana para. Nasz nieznany sprawca najprawdopodobniej tego nie wytrzyma. - Zaraz jednak opatrzył to domniemanie zastrzeżeniem: - Naturalnie, jeśli ten człowiek jest taki, jak nam opowiada.

- Nick... - zaczęła.

- On się na to na pewno nie złapie - stwierdził stanowczo Nick. - Spotykamy się z jego powodu i oboje zakochujemy się od pierwszego wejrzenia? Mówię ci, Pete, że to nie przejdzie.

- Nas nic nie obchodzi, czy on w to uwierzy - cierpliwie tłumaczył mu szef. - Chodzi o to, żeby go rozdrażnić. Jeśli będziecie się zachowywać z Laurant jak kochankowie, to uzna, że z niego szydzicie. Wcale mu się to nie spodoba, gwarantuję.

Nick pokręcił głową.

- Ten pomysł jest zbyt ryzykowny.

- W tej chwili nie kierujesz się rozsądkiem - zaoponowała Laurant.

- Ja nie kieruję się rozsądkiem? Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny taki zboczeniec... zielonego pojęcia!

- Ale wy wiecie - odparowała. - I możecie zapewnić mi bezpieczeństwo.

Nick oparł dłonie na stole, pochylił się do przodu i energicznie pokręcił głową.

- Chcesz podjąć niedostatecznie przemyślaną decyzję, ponieważ nie rozumiesz, na co się porywasz. Nie istnieje coś takiego jak bezpieczny plan. Nie mam racji, Pete? Pamiętasz sprawę Haynesa? Może opowiesz Laurant, jak wyglądał ten bezpieczny plan.

Jego szef zawahał się chwilę, rozważał bowiem, ile może ujawnić, aż wreszcie zaczął:

- Zanim przyszedłem do FBI, takich ludzi jak Haynes zwano psychopatami i on taki właśnie był, bez dwóch zdań. Obecnie Haynesa zaklasyfikowano by jako zorganizowanego zabójcę, w odróżnieniu od niezorganizowanego. Wszystko drobiazgowo planował i był wybitnie inteligentny. Zawsze atakował obce kobiety, a przedtem śledził je miesiącami, żeby dobrze poznać ich zwyczaje. Nigdy jednak nie nawiązywał z nimi kontaktu i nie ostrzegał ich tak, jak nasz nieznan sprawca ostrzegł panią podkreślił. - Gdy był wreszcie gotowy, ściągał wybraną kobietę w odosobnione miejsce, gdzie nikt nie mógł usłyszeć krzyków. Podobnie jak wielu zorganizowanych zabójców, Haynes rozkoszował się przedłużaniem agonii ofiary. Im dłużej kobieta umierała, tym większą odczuwał rozkosz. Po zabiciu jej zawsze ukrywał ciało. To jest istotna różnica między zorganizowanym i niezorganizowanym zabójcą - wyjaśnił. - Większość niezorganizowanych zabójców zostawia ciało ofiary na widoku publicznym, a obok narzędzie zbrodni. Haynes jednakże kolekcjonował pamiątki... Tak robi większość maniackalnych zabójców, dzięki temu mogą ponownie przeżywać swoje fantazje, a przy okazji mieć dowód na to, że przechrztyli absolutnie wszystkich, z policją na czele. Gdyby nie jego żona, która się do nas zwróciła. Clay Haynes prawdopodobnie mordowałby latami, aż do ostatecznego załamania. Taki był sprytny. Ale jego żona znalazła pamiątki zbrodni w starym kufrze i chciała nam pomóc. Śmiertelnie bała się męża, zresztą słusznie, mimo to za wszelką cenę chciała wpakować go za kraty. Zastawiono więc na niego pułapkę. W dni powszednie Clay był przeważnie w podróży, bo pracował jako przedstawiciel firmy farmaceutycznej. Zawsze jednak wracał do domu w piątki po południu. Uznano, że jest mnóstwo czasu i pozwolono pani Haynes spakować rzeczy, zanim pojedzie w bezpieczne miejsce. Towarzyszył jej jeden agent, a kilku innych czatowało na dworze wokół domu.

Clay zaskoczył jednak wszystkich, bo wrócił wcześniej. Potem, podczas przesłuchania, wyjaśnił, że wszedł do domu przez piwnicę

i natychmiast się zorientował, że ktoś niepowołany ruszał jego trofeum. Zaskoczył agenta w salonie i go zabił, a potem wyładował gniew na żonie. Ponieważ agent, który ją ochraniał, nie odbierał telefonu, ci z zewnątrz wtargnęli do środka, ale było już za późno. Clay wyżył się na niej w bardzo okrutny sposób.

- Zarznął ją - dopowiedział Nick. - I dobrze się postarał, żeby umierała powoli.

Laurant zamknęła oczy. Nie chciała słyszeć więcej szczegółów.

- Zajmowałeś się tą sprawą?

- Nick był wtedy świeżo upieczonym rekrutem - odpowiedział Pete. - Właśnie skończył szkolenie, umożliwiające mu pracę w moim wydziale, ale w tym czasie współpracował również z wydziałem do spraw seryjnych morderstw, którym kierował bardzo dobry fachowiec nazwiskiem Wolcott. Właśnie Wolcott zawiózł go na miejsce tamtej zbrodni.

Laurant ujrzała posępny wyraz oczu Nicka i coś ścisnęło ją za serce.

- Widziałem, co ten psychopata zrobił ze swoją żoną i naszym agentem - powiedział Nick. - A w czasie gdy popełniał obie zbrodnie, agenci czekali na niego na dworze. Czy nie nasuwa ci się pytanie, co musiała czuć tamta kobieta, wiedząc, że pomoc jest tak blisko? Ja wciąż o tym myślę - wyznał. - Wolcott tego nie zniósł. Podał się do dymisji zaraz następnego dnia.

- Haynes uciekł, ale tydzień potem go złapano - przerwał mu Pete.

- O tydzień i jeden dzień za późno, żeby pomóc jego żonie - stwierdził Nick. - Bywa, że los pokrzyżuje najlepsze plany...

- Rozumiem, na czym polega niebezpieczeństwo - powiedziała Laurant. - Ten człowiek, który mnie prześladowa, jest zorganizowany, prawda?

- Tak.

- Skoro jest bardzo inteligentny i zorganizowany, to czy nie należy liczyć się z tym, że będzie zabijał latami?

- Niektórym się to udaje.

- Wobec tego jak możecie sądzić, że mamy wybór? Ten człowiek czyha teraz na czyjąś córkę, matkę albo siostrę. Musimy to zrobić.

- Cholera - mruknął Nick. - Pomyślałaś o reakcji Tommy'ego? Co powie, kiedy usłyszy od ciebie o tym poronionym planie!

- Sądziłam, że to ty będziesz chciał mu o tym powiedzieć. Wyjaśnisz mu to znacznie lepiej ode mnie.

- Nie zrobię tego.

Pete uważnie przyglądał się podwładnemu.

- To interesujące - zauważył cicho.

Nick błędnie zinterpretował tę uwagę.

- Chyba nie sądzisz, że jej pomysł ma rację bytu. Jest szalony.

- Nie o to mi chodziło. Interesująca była twoja reakcja. Już ci powiedziałem, Nick, co sądzę o twoim udziale w tej sprawie. Jesteś w nią za bardzo zaangażowany emocjonalnie.

- W tej chwili mam urlop. Mogę robić, co chcę.

Pete przewrócił oczami i spróbował skłonić go do logicznego myślenia.

- Laurant ma rację co do jednego. Powinieneś myśleć jak profesjonalista.

Zrozumiała, że znalazła sojusznika.

- Czy porozmawia pan z moim bratem?

- Musi pani najpierw skłonić Nicka do współpracy.

- Po moim trupie - oznajmił Nick.

Rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu. Zadowolona z chwili przerwy Laurant poszła podnieść słuchawkę.

- Trzy dzwonki. Niech zadzwoni trzy razy, zanim pani podniesie słuchawkę - ostrzegł ją Pete.

Nie rozumiała, dlaczego kazał jej zaczekać, ale nie zatrzymując się, skinęła głową. W sieni była mała wnęka naprzeciwko schodów, a w niej stylowy stolik. Stał na nim aparat, pod którym znajdowały się dwie książki telefoniczne. Obok leżały notesik i długopis.

Nick wszedł do sieni w chwili, gdy podnosiła słuchawkę.

- Plebania kościoła Matki Boskiej Łaskawej - powiedziała, sięgając po długopis. - W czym mogę pomóc?

Usłyszała chichot, a potem głos małego chłopca, który spyta):

- Czy pani lodówka chodzi?

Znała ten dowcip, ale postanowiła nie psuć dzwoniącemu zabawy.

- Tak, a co się stało?

Nastąpił głośny wybuch śmiechu, a potem rozległ się drugi głos

- To niech ją pani trzyma, żeby nie uciekła.

Gdy odkładała słuchawkę, wciąż było w niej słycać śmiech. Nick przyglądał jej się z progu salonu.

- Dzieciaki robią dowcipy - wyjaśniła.

Telefon odezwał się znowu. Odczekała, aż zabrzmiał trzeci dzwonek, i zwróciła się do Nicka:

- Chyba nie powinnam była zachęcać tego malca. Tym razem będę bardziej stanowcza.

- Plebania kościoła Matki Boskiej Łaskawej - powiedziała Laurant, znów sięgając po długopis. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Laurant. - Ktoś pod drugiej stronie linii westchnął.

- Tak, słucham.

Ten ktoś zaczął podśpiewywać uproszczoną wersję „Dziewczyny z Buffalo”.

- Zielonooka, pobaw się ze mną, pobaw się ze mną, pobaw się ze mną. Zielonooka, pobaw się ze mną... Podoba ci się, jak śpiewam, Laurant?

- Kto mówi? - Zadając to pytanie, odwróciła się do Nicka.

- Ktoś, kto łamie serca - odzrekł tamten kpiąco. - Obawiam się, że i twoje śliczne serduzko będę musiał złamać. Boisz się?

- Nie - skłamała.

Wzdrygnęła się na dźwięk jego śmiechu. Ucichł on jednak równie nagle, jak się zaczął,

- Chcesz posłuchać innej piosenki?

Nie odpowiedziała. Nick szybko podszedł do dziewczyny, usłyszała też odgłosy dochodzące z góry i zobaczyła Pete'a, obserwującego ją z progu jadalni. Mimo to głos płynący ze słuchawki całkiem ją sparaliżował. Zaciśnęła dłoń tak kurczowo, że Nick musiał się wysilić, by wyjąć jej słuchawkę z ręki.

Zaświtało jej, że ktoś nagrywa tę rozmowę i to dlatego Pete kazał jej czekać do trzeciego dzwonka. Powinna była rozmawiać z tym człowiekiem jak najdłużej, ale od brzmienia jego głosu robiło jej się niedobrze.

- Czy to jest równie głupia piosenka jak ta, którą śpiewał pan przed chwilą? - spytała.

- O, nie. Ta na pewno ci się spodoba. Jest taka czysta i... oryginalna. Słuchaj uważnie.

Rozległ się trzask, a potem mrozące krew w żyłach krzyki kobiety. W życiu nie słyszała niczego równie okropnego. Gdyby Nick jej nie podtrzymał, osunęłaby się na podłogę. Przeraziłwi.-krzyki wwiercały jej się w ucho. Były prawie nieludzkie i zdawały się trwać bez końca. Wreszcie usłyszała następny trzask i wszystko ucichło.

- Nie powiesz mi, żebym zostawił ją w spokoju? Ha, pewnie wiesz, że już ją zostawiłem. Leży w grobie, nawet położyłem jej mały kamień, żeby móc znaleźć to miejsce, gdybym chciał ją

kiedyś wykopać. Czasem to robię, wiesz? Lubię oglądać, co się z nimi potem dzieje. Ale to była tylko marna namiastka ciebie. Laurant. Czy jesteś już gotowa do zabawy?

Żołądek podchodził jej do gardła. Czuła w ustach smak złości.

- Do jakiej zabawy? - spytała, starając się udawać, że jest znużona tą rozmową.

- W chowanego. Ty się chowasz, a ja szukam. Tak się w to bawi.

- Nie będę się z panem w nic bawić.

- Oj, będziesz, będziesz.

- Nie - ucięła stanowczo. - Wracam do domu.

Wydał piskliwy okrzyk, ale nie umiała powiedzieć, czy wprawiła go w złość, czy przeciwnie, uszczęśliwiła. Wyrwawszy słuchawkę z ręki Nicka, Laurant wyprostowała się i krzyknęła do mikrofonu:

- Przyjdź po mnie!

14

w życiu zdarzają się zbyt piękne momenty, by o nich szybko zapomnieć. Na przykład szklanka zimnej lemoniady w morderczy upał. Albo dama z zepsutym samochodem, stojąca na poboczu autostrady i błagająca o poświęcenie jej odrobiny uwagi. Tyle że to nie była dama, więc kończył z nią, mając uczucie pewnego zażenowania, że zmarnował tyle cennego czasu.

Z drugiej strony zrobił jednak dobry użytek z kasety, czyż nie? Może jednak nie był to całkiem zmarnowany czas. Na Boga, usłyszeli jego przesłanie głośno i wyraźnie. Ktoś, kto łamie serca. dotrzymuje raz danego słowa.

Zastanawiał się, jak długo będą musieli jej szukać. Do diabła! Właściwie im wszystko powiedział, brakowało tylko tego, żeby ustawił drogowskazy. Biedna, biedna Tiffany. Wybuchnął śmiechem, którego nijak nie mógł pohamować. Ta suka nigdy nie nauczyła się porządnie obsługiwać swojego nowego telefonu, chociaż była z niego dumna jak paw. Za to on wykorzystał go, jak należy, zadzwonił do swojej wybranki i rozmawiał z nią dostatecznie długo, żeby muły mogły stwierdzić, do kogo należy aparat.

Tej całej Tiffany urządził pogrzeb, na jaki sobie zasłużyła. Zostawił ją w płytkim grobie niedaleko autostrady. Rozpadlinę zasłaniały krzaki. Muły w końcu ją znajdą i na pierwszy rzut oka zorientują się, co to była za kobieta.

Złamał jej serce, a potem je skradł. Ta spontaniczna decyzja niepokoiła go przez dobre kilka minut, potem jednak uświadomił sobie, że przecież bardzo uważał, aby w furgonetce nie było krwi. Te torby na zamek błyskawiczny są naprawdę rewelacyjne, w reklamach nie ma ani krzty przesady. Zanotował w pamięci, żeby wysłać producentowi tego gadżetu podziękowanie za udany towar.

Szmata. Tym właśnie była ta Tiffany. Zwykłą szmatą. Dlatego nie wziął sobie po niej pamiątki.

Zazwyczaj gdy kobieta wydawała mu się obiecująca, zastanawiał się, czy warto ją zatrzymać i wyszkolić, ale co do tej, na pierwszy rzut oka było widać, że jest używana, więc natychmiast ją wykluczył. Nawet namiastka jego wybranki musiała być czysta, niewinna i pełna uwielbienia. O, tak, jego kobieta będzie pełna uwielbienia, bo inaczej nie mogłoby być mowy o trwałym związku. Nie, panie.

Robił już to przedtem i mógł zrobić znowu.

Niespodziewanie ogarnęła go wściekłość. Zadrżał. Uświadomił sobie jednak, że siedzi za kierownicą, więc szybko się opanował. Ale tyle czasu i wysiłku poszło na marne. Na marne! Stworzył sobie ideał kobiety, a kiedy odeszła z tego świata, pogrążył się w żałobie.

Wcale nie sprawiało mu przyjemności, że musi znaleźć i wyszkolić kogoś, kto jazastąpi, nie mógł jednak dłużej odkładać tego obowiązku. Trzeba było wkrótce zacząć, a to oznaczało wiele godzin drobiazgowego planowania. Musiał obmyślić najdrobniejsze szczegóły. I zebrać informacje. Olbrzymie zadanie. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Wszystko! Jakich ma krewnych i przyjaciół, kto będzie za nią tęsknił, a kogo będzie to guzik obchodzić. Potem musiał ją izolować i zrazić do siebie. A kiedy w końcu ją weźmie, zacznie się prawdziwa praca. Zamknie ją i podda powolnemu, trudnemu procesowi ćwiczenia, dzień po dniu, bez końca. Będzie oknitny i bezlitosny, póki nagle wybranka nie stanie się ucieleśnieniem jego marzeń. Naturalnie będzie cierpiała, bardzo cierpiała, ale w końcu go zrozumie i mu wybaczy, gdy tylko ją złamie i uczyni z niej ideał partnerki. Dlaczego? Bo będzie go uwielbiała.

Złość powstrzymywała go przed samozadowoleniem. Była w nim, stopniowo narastała, drażyła go od środka jak robak. Ale nie mógł stracić nad nią panowania, na pewno nie teraz. Głęboko odetchnął i spróbował pomyśleć o czymś przyjemnym.

Mała Tiffy była rzeczywiście taka łatwa, jak wyglądała. Nie stanowiła najmniejszego wyzwania. Nawet nie musiał silić się na czułe słówka, żeby weszła do furgonetki. Nie, po prostu podeszła jak paw do drzwi i wskoczyła do środka, poddzierając minispódniczkę powyżej krocza. Chciała mu pokazać, że nie nosi majtek. Całkowity brak skromności. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie zarazy rozsiewała. Musiał się umyć trzy razy, żeby spłukać z siebie jej smród.

Zapisał sobie w pamięci, żeby przekazać swym kumplom w Internecie, że zabijanie dziwek wcale nie jest takie rajcujące, jak mówią.

Rzecz jasna, nie miała szans wybronić się tym plugawym językiem przed spełnieniem swojego losu. Nie, panie. Zabijanie go podnieciło, nie sprawiło mu jednak takiej rozkoszy, jakiej ostatnio pragnął. Naturalnie znał powód. Ona nie była czysta.

Zielonooka, pobaw się ze mną...

Och, jak bardzo chciał zacząć wszystko od początku. Taki czas! Taka praca!

- Spokojnie, tylko spokojnie - szepnął. - Już to robiłeś, możesz zrobić to znowu.

Ale nie mógł przystąpić do urzeczywistniania planu natychmiast. Jeszcze nie był gotowy. Jeśli cokolwiek nauczył się przez lata, to tego, że najpierw trzeba skończyć jedno, żeby zacząć drugie.

Przed nim ukazał się zjazd z autostrady 1-35, prowadzący do Holy Oaks. Jako przykładowy kierowca włączył migacz i zwolnił.

- Zielonooka, jadę po ciebie, jadę po ciebie, jadę po ciebie...

Dla Holy Oaks miał swoją prywatną nazwę. Brzmiała ona „sprawa do zakończenia”.

15

VFra się rozpoczęła.

Agenci FBI pojawili się w Holy Oaks, by zastawić pułapkę. Jules Wesson, szef grupy, urządził stanowisko dowodzenia w przestronnym, dobrze wyposażonym domku na terenie opactwa, zaledwie osiem przecznic na południe od centrum miasta, u końca jeziora Shadow. Krażyły plotki, że Wesson, absolwent Princeton, który miał dyplom z psychopatologii, zostanie następcą Morganstema, pod warunkiem, że napisze doktorat, no i pod warunkiem, że ten przejdzie w stan spoczynku. Większość agentów uważała zresztą, że źródłem tych plotek jest sam Wesson. Był to sztywny, zarozumiały i bardzo upierdliwy szef, zaskakująco arogancki, jeśli wziąć pod uwagę, że podlegający mu agenci mieli znacznie większe doświadczenie od niego.

Joe Farleya i Marta Feinberga, z których pierwszy był doskonałym praktykiem z Omaha, drugi specjalistą od podsłuchu elektronicznego po akademii w Quantico, wysłano do Holy Oaks wcześniej, żeby zrobili rozpoznanie w otoczeniu domu Laurant i znaleźli kwatery dla reszty grupy. Obaj dostali rozkaz traktowania domu Laurant jak miejsce popełnienia przestępstwa.

Agenci dobrze wiedzieli, że będą mieli trudności z wtopieniem się pomiędzy miejscowych. W miasteczku wielkości Holy Oaks wszyscy wszystkich znają i wiedzą, kto się czym zajmuje, a Farley i Feinberg nie chcieli się wyróżniać jak para czerwonych butów na pogrzebie. Powiedziano im jednak, że obcy pracują w miasteczku przy restauracji opactwa, więc przywdziali robocze stroje. Farley miał na głowie baseballową czapeczkę i nosił czarny płócienny worek, natomiast Feinberg chodził ze skrzynką na narzędzia.

Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. To znaczy nikt z wyjątkiem Bessie Jean Vanderman.

Podczas gdy agent Feinberg powoli obchodził piętrowy drewniany dom Laurant, szukając potencjalnych kryjówek, z których mógłby korzystać jej prześladowca, Farley wniósł swój worek na frontowe schody. Przeszedł przez ganek i przystanął przed drzwiami, żeby włożyć rękawiczki. Jako ekspert od wchodzenia i wychodzenia bez śladu, posłużył się do otwarcia drzwi bardzo prostym narzędziem, a mianowicie kartą kredytową American Express, którą zawsze miał przy sobie. Pokonanie zamka zajęło mu pięć sekund.

Szeryf Lloyd McGovern pojawił się pięć minut później i wpadł prosto na Farleya. Bessie Jean, sąsiadka Laurant, pełniąca rolę psa podwórzowego, wezwała szeryfa natychmiast, gdy zauważyła dobrze zbudowanego mężczyznę w domu Laurant.

Farley był o wiele bardziej zaniepokojony tym, że szeryf zadcpeze mu ślady w miejscu przestępstwa, niż spluwą, którą wymachiwał stróż prawa.

Lloyd podrapał się w głowę, ale nadal trzymał go pod bronią, chociaż Farley doskonale widział, że pistolet jest zabezpieczony.

- Ręce do góry, chłopcze. W Holy Oaks reprezentuję prawo, więc lepiej rób, co ci mówię.

Feinberg bezgłośnie znalazł się w środku. Stał za szeryfem i dźgnął go w plecy, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Szeryf niesłusznie uznał, że szturchnięto go lufą pistoletu. Rzucił broń i podniósł ręce do góry.

- Nie stawiam oporu - wyjąkał, wiele straciwszy ze swojej zadufanej pozy. - Bierzcie, chłopcy, co chcecie, ale zostawcie mnie, do cholery, w spokoju.

Feinberg z irytacją spojrzął w sufit, obszedł szeryfa i zamachał mu rękami przed nosem. Lloyd zorientował się, że nieznamy nie ma broni, i natychmiast poderwał pistolet z podłogi.

- Dobra, chłopcy - powiedział rażno, zadowolony, że role znowu się odwróciły. - Co tutaj robicie? Jesteście patentowanymi osłami, jeśli sądzicie, że uda wam się stąd wynieść coś wartościowego. Rozejrzyjcie się, sami zobaczycie, że Laurant nie ma nic do zabrania. Wiem na pewno, że nic znajdziecie tu nawet wideo, a telewizor ma dziesięć lat albo i więcej. Czterdzieści dolców w najlepszym razie, a za tyle naprawdę nie warto iść do pudła. Laurant jest biedna jak mysz kościelna. W banku też nie ma dużego rachunku, musiała wziąć kredyt, żeby otworzyć sklep.

- Skąd pan wie, ile lat ma jej telewizor? - zdziwił się Farley

- Powiedział mi Harry. To znaczy Harry Evans - wyjaśnił. Mój daleki kuzyn. Kiedyś próbował sprzedać Lauren nowiutki telewizor. Wiecie, taki z obrazkiem w obrazku. Nie chciała, tylko poprosiła go, żeby wyregulował stary, który kupiła na wyprzedazy. Moim zdaniem, wyrzuciła na to pieniądze. Ale stąd wiem, jak stary jest jej telewizor.

- Czy w banku też ma pan krewnego? - spytał Feinberg. - I stąd pan wie o kredycie?

- Mniej więcej - odrzekł Lloyd. - Powiniem wam jednak chyba przypomnieć, chłopcy, że to ja trzymam spluwę, a wy odpowiadacie na pytania. Chcecie obrobić dom Lauren!'

- Nie - odparł Feinberg.

- To co tu robicie? A może jesteście jej kuzynami z Francji?

Farley urodził się i wychował w Bronksie i do tej pory nie potrafił pozbyć się akcentu, którego się nauczył na tamtejszych ulicach. Sprawił wrażenie oprycha z kiepskiego filmu gangsterskiego.

- Jasne. - Jakimś cudem zachował powagę. - Jesteśmy z Francji.

Szeryf lubił mieć rację. Nadał się jak indor. Kiwając głową, schował broń.

- Tak myślałem - rzekł. - Śmiesznie gadacie, chłopcy, więc musicie być z zagranicy.

- Prawdę mówiąc, szeryfie, obaj jesteśmy ze Wschodu i dlatego mamy taki akcent. Mój przyjaciel tylko zażartował, że jesteśmy Francuzami. Tak naprawdę jesteśmy przyjaciółmi brata Laurant - wyjaśnił. - Pracujemy w opactwie, więc ojciec Tom poprosił nas, żebyśmy przy okazji wpadli do jego siostry i naprawili zlew.

- Zapchał się - dodał Farley.

Szeryf zauważył czarny worek przy drzwiach.

- Zamierzacie tu przenocować?

- Może - odrzekł Farley. - To zależy od tego, ile będzie roboty ze zlewem.

- To nie jest jej dom. Ona go tylko wynajmuje. A gdzie ona jest?

- Niedługo przyjedzie.

- A wam się wydaje, chłopcy, że prześpicie się w tym domu. chociaż nie jesteście jej rodziną?

Cierpliwość Feinberga wyraźnie się kończyła.

- Niech pan przestanie nazywać mnie chłopcem, szeryfie. Mam trzydzieści dwa lata.

- Trzydzieści dwa, co? To powiedz mi coś takiego: po co dorosłemu aparat ortodontyczny? Nigdy w życiu o czymś takim nie słyszałem.

Aparat był potrzebny w ostatnim etapie rekonstrukcji szczęki, którą zmiażdżono Feinbergowi przed czterema laty podczas akcji, zresztą nieudanej. Agent nie zamierzał jednak dzielić się tą informacją z człowiekiem, którego uznał już za absolutnego kretyna. Zresztą nikt nie mógł się dowiedzieć, że są agentami FBI.

- Na Wschodzie jest inaczej.

- Pewnie masz rację - przyznał szeryf. - Ale i tak nie powinniście tutaj mieszkać.

- Dlaczego? Martwi się pan o dobre imię Laurant? - spytał Feinberg.

- Nie, wszyscy wiedzą, że to porządna dziewczyna - odparł szeryf i opuścił swój tłusty tyłek na poręcz sofy.

- No, to w czym problem? - drażył temat Farley. - Dlaczego pana niepokoi, że możemy tutaj spać?

- Wiecie, chłopcy, mnie to ani ziębi, ani grzeje, ale nie podobało-by się to komuś innemu, z kim na pewno nie chcecie mieć do czynienia. Ostrzegam was. Lepiej poszukajcie sobie innej kwatery, bo jemu się nie spodoba, gdy usłyszysz, że u Laurant mieszka dwóch facetów, choćby tylko przez kilka dni. Nie, to mu się na pewno bardzo nie spodoba.

- O kim pan mówi?

- Właśnie, komu to się nie spodoba? - spytał Farley, zamknąwszy drzwi. Dopóki szeryf nie odpowiedział na pytanie, nie miał prawa wyjść z domu.

- Nie wasz interes. Ale muszę mu o was powiedzieć. Może wróćcie, chłopcy, do opactwa. Tam są pokoje za friko, jeśli powiecie im, że przyjechaliście tutaj na skupienie. Wiecie, o CO chodzi, nie? Będziecie się modlić i rozmyślać.

- Chcę wiedzieć, komu mogłoby się nie spodobać, gdybyśmy zamieszkali u Laurant - uparł się Farley. - Rad bym się też dowiedzieć, dlaczego musi mu pan o nas opowiedzieć.

- Bo gdyby się dowiedział, że to przed nim zataiłem...

- Co? - spytał Farley.

- On potrafi solidnie zaleźć za skórę - rzekł szeryf. - A ja nie chcę go rozzłościć.

- Kogo rozzłościć, szeryfie?

Lloyd wyciągnął z tylnej kieszeni poplamioną chustkę do nosa i otarł czoło.

- Duszno tutaj, nie? Laurant ma klimatyzację, na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, żebyście ją, chłopcy, włączyli. Zanim wróci, w salonie będzie miło i chłodno. Ona dzisiaj przyjedzie, prawda?

- Tego nie wiemy na pewno - odparł Feinberg.

Farley nie chciał się poddać.

- Nadał chcemy usłyszeć to nazwisko, szeryfie.

- Nie powiem wam. Zresztą jak się uprę, to koniec, a właśnie się uparłem. Na waszym miejscu nie stawiabym się, bo możecie spotkać mojego przyjaciela naprawdę szybko. Przybiegnie raz-dwa, jak tylko usłyszysz, że tutaj jesteście. Gwarantuję. To jest bardzo wpływowy człowiek w tej okolicy, więc jeśli dbacie o swoje interesy, lepiej potraktujcie go z szacunkiem. Ja tam wołałbym go nie rozeźlić, to pewne. Wiecie już, co trzeba, prawo może tylko tyle.

- Chce pan powiedzieć, że sami mamy sobie radzić? - spytał Farley.

Szeryf spuścił wzrok.

- Mniej więcej. - Wzruszył ramionami i dodał: - Tak się tutaj wszystko kręci. Postęp ma swoją cenę.

- To znaczy...? - chciał się dowiedzieć Farley.

- Nie wasz interes.

- Może pan powiedzieć swojemu przyjacielowi, żeby się nas nie obawiał - rzekł Feinberg. - Żaden z nas nie jest zainteresowany romansowaniem z Laurant.

Farley odgadł, do czego zmierza kolega, bo natychmiast skinął głową.

- To prawda - przyznał.

- Cieszę się, bo mój przyjaciel zamierza wkrótce się z nią ożenić, a on zawsze stawia na swoim. Żebyście o tym nie zapomnieli.

- On gada, że się żeni, tak? - spytał Feinberg.

- To nie jest byle jakie gadanie. Ona prędzej czy później zrozumie, że tak ma być, i już.

- Czyżby pańskiemu przyjacielowi się zdawało, że ma Laurant na własność? - powiedział Farley.

- Tak jakby miał.

Feinberg wybuchnął śmiechem.

- Co cię, u diabła, tak bawi?!

- Pański przyjaciel - wyjaśnił Feinberg. - Czeka go gorzkie rozczarowanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jak się dowie... - Farley celowo zawiesił głos.

- Czego się dowie?...

- Laurant poznała kogoś w Kansas City.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - wtrącił Feinberg.

- Niezupełnie. - Farley zwrócił się do swego kolegi, ale w rzeczywistości obaj karmili informacjami szeryfa. - Ona zna Nicka od dziecka.

- Nie. Słyszała o nim już dawno, ale poznali się dopiero w zeszłym tygodniu.

- O kim wy gadacie?

- O Nicku.

- Jakim Nicku? - spytał szeryf, wyraźnie zaniepokojony.

- O Nicholasie Buchananie.

- To ten człowiek, w którym się zakochała - wyjaśnił Farley.

- Najśmieszniejsze... - zaczął Feinberg.

- Co jest najśmieszniejsze?

- Że ten facet... Nick...

- Co z nim?

- Jest najlepszym przyjacielem Toma. Widocznie tak miało być.

- A ten Nick mieszka w Kansas City? Romanse na odległość nic mają przyszłości.

- Nie, nie w Kansas City. Na Wschodnim Wybrzeżu.

- To widzę, że Brenner nie ma się czym martwić. Jak powiedziałem, romanse na odległość rzadko wytrzymują próbę czasu.

Szeryf niechcący wygadał się, o kogo chodzi, ale ani Feinberg, ani Farley niczego nie dali po sobie poznać.

- Nick też chyba tak uważa - powiedział Feinberg.

- I dlatego przenosi się do Holy Oaks, żeby być z ukochaną - dodał Farley.

Szeryf uniósł brwi.

- Przyjeżdża tutaj... Z nią?

- Jasne - potwierdził Farley. - Widać nie chce jej stracić.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - przypomniał szeryfowi Feinberg.

- Gdzie ten facet chce mieszkać?

- Tutaj, z Laurant, póki się nie pobiorą. A potem nie wiem gdzie - powiedział Farley.

- Pobiorą się, mówisz? Od kogo to słyszałeś?
- Laurant nam powiedziała - odrzekł Feinberg.
- Ludzie będą gadać.
- Pewnie będą.
- Muszę już iść. - Szeryf pospiesznie wcisnął chustkę z po-
wrotem do kieszeni i skierował się do drzwi.

Mimo znacznych rozmiarów ciała poruszał się zaskakująco szybko, gdy mu na tym zależało. Farley i Feinberg patrzyli przez okno, jak biegnie do samochodu.

- Co za... - burknął Farley. - Nawet nie spytał nas o nazwiska i nie zażądał żadnego dokumentu.

- Och, ma tyle roboty... - zakpił Feinberg.

- I przyjaciela nazwiskiem Brenner, któremu musi złożyć raport- podsumował Farley, wyciągając telefon komórkowy. Wybrał numer.

Rozmówca odpowiedział po pierwszym dzwonku.

- Macie go? - spytał Farley. Słuchał przez chwilę, a potem powiedział: - Tak jest, sir. - I przerwał połączenie.

Feinberg kucnął przy czarnej skrzynce.

- Zaczynamy. - Podał koledze parę rękawiczek. - To może nam zająć całą noc.

Farley jak zwykle okazał się optymistą.

- Może los się do nas uśmiechnie.

Zdarzyło się to godzinę później, znaleźli bowiem kamerę wideo, ukrytą wysoko w kącie garderoby przylegającej do sypialni Laurant. Wycelowany w niewielki otwór w ścianie obiektyw obejmował akurat łóżko Laurant. Nieznany sprawca rzeczywiście mógł ją obserwować, gdy spała.

16

Nick się nie odzywał. Laurant podejrzewała, że wciąż jest na nią wściekły, bo uparła się wrócić do Holy Oaks. Kiedy zaczęła prowokować tego szaleńca przez telefon, wybuchnął gniewem. Tak można by to delikatnie ująć. Hałas usłyszał Tommy i natychmiast przybiegł do sieni, a Noah tuż za nim. Nick naturalnie zdradził ją przed bratem i Tommy również zagrzmiął pełną piersią. Mimo to dziewczyna twardo obstawała przy swoim i nie ustępowała ani o cal. Na pomoc przyszli jej Pete i Noah. Osłonili ją z obu stron jak rasowi ochroniarze i zaczęli bronić jej pomysłu. Po godzinie kłótni Tommy wreszcie ustąpił. Telefon przekonał go, że nieznany sprawca nie zapomni o jego siostrze, a jeśli FBI nie zastawi na tę bestię pułapki, Laurant będzie musiała uciekać i kryć się do końca życia.

Poza tym podczas zabawy w chowanego z jego siostrą tamten człowiek bez wątpienia zabijałby inne kobiety.

Nie mieli wyboru.

Niestety, Nick nie przyjął takiego punktu widzenia i, jak do tej pory, Laurant nie udało się złagodzić jego gniewu. Pete ponownie zaproponował, żeby Nick wycofał się z tej sprawy ze względu na swoje osobiste zaangażowanie, on jednak nie chciał go słuchać. Dopiero gdy Morganstern zagroził, że odbierze mu prawo decydowania i sam oficjalnie zakaże zajmować się tą sprawą, Nick zerknął na udręczoną twarz Tommy'ego i również się poddał.

Wtedy Pete zatelefonował do Franka O'Leary, żeby wprawić maszynę w ruch.

I wreszcie Laurant mogła wrócić do domu. Siedziała obok Nicka w samolocie Air Express, który leciał z Kansas City do Des Moines. Resztę drogi mieli pokonać samochodem, który Pete obiecał im podstawić przed lotniskiem. Samochód Laurant został

w warsztacie, gdzie dokonywano niezbędnych napraw. Potem mieli nim przyjechać do Holy Oaks Noah i Tommy.

Laurant wolała nie myśleć o tym, co się stanie po jej powrocie. Nerwowo przekładała strony „Timesa”, próbowała nawet przeczytać artykuł o inflacji, ale nie była w stanie się skupić, więc po trzecim przebiegnięciu wzrokiem tego samego akapitu zrezygnowała z dalszych wysiłków.

Jak długo Nick zamierzał milczeć? Przystał się odzywać w chwili, gdy weszli na lotnisko.

- Jesteś dziecinny.

Nie odpowiedział. Odwróciła się do niego i zobaczyła, że twarz ma dosłownie popielatą.

- Źle się czujesz?

Jedyną odpowiedź stanowił przeczący ruch głowy. Po chwili zauważyła jednak, jak kurczowo jego dłoń zaciska się na poręczy fotela.

- Nick, co się stało?

- Nic.

- To dlaczego się do mnie nie odzywasz?

- Porozmawiamy później, po lądowaniu... chyba że...

- Chyba że co?

- Że się roztrzaskamy i zamienimy w słup ognia.

- Żartujesz.

- Ani trochę.

Nie wierzyła własnym uszom. Taki macho bał się latania samolotem. Wyglądał tak, jakby go zemdliło. Naprawdę się bał, więc choć wydawało jej się to dość zabawne, postarała się okazać mu współczucie.

- Nie lubisz samolotów, prawda?

- Nie - odparł krótko i znów wlepił wzrok w iluminator.

- Chcesz potrzymać mnie za rękę?

- To nie jest śmieszne, Laurant.

Rozczepiła mu palce i ujęła jego dłoń.

- Wcale nie żartowałam. Wielu ludzi nie lubi latać samolotem.

- Naprawdę?

Trzymała ją mocno, nawet czuła, że ma na dłoniach odciski. To były ręce pracującego człowieka, chociaż tego dnia Nick był wystrojony jak biznesmen z Wall Street. Jeszcze jedna sprzeczność, pomyślała. Następna fascynująca strona jego osobowości. Tommy i Nick wydawali się tak różni. Zresztą wybrali odmienne drogi.

Jej brat był duszą i ciałem oddany Kościołowi. Zawsze szukał w ludziach dobra i przede wszystkim chciał ocalić ich dusze.

Nick zdawał się poświęcać życie na walkę z demonami. Jego praca była przygnębiająca, nie miała końca, a Laurant wcale nie była pewna, czy satysfakcja z niej jest wystarczająca, by zrównoważyć cenę, jaką się płaciło za jej osiągnięcie. Nick wydawał się taki cyniczny. Ludzie w jego oczach byli źli i, jak do tej pory, nic nie zachwiało go w tym przekonaniu.

Zdziwiło ją, że nagle zapragnęła podnieść go na duchu. Pochyliła się i szepnęła:

- Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Nie będziemy na miejscu, póki nie wylądujemy.

Niełatwo go było pocieszyć.

- Lądowanie nie jest niebezpieczne...

- Dopóki pilot wie, co robi -dokończył, pogardliwie prychnając.

- Na pewno wie.

- Może.

- Zostało nam jeszcze kilka minut lotu. Już tracimy wysokość.

Mocniej zacisnęła dłoń na poręczy.

- Skąd wiesz?

- Kapitan kazał obsłudze usiąść.

- Słyszałaś wysuwanie podwozia? Bo ja nie.

- Owszem, słyszałam.

- Jesteś pewna?

- Zdecydowanie tak.

Odetchnął i powiedział sobie w duchu, że musi się uspokoić.

- Wiesz, że przy lądowaniu ma miejsce najwięcej wypadków? Piloci źle oceniają odległość do pasa startowego.

- Czytałeś o tym?

- Nie, sam do tego doszedłem. Proste prawo fizyki. Wszystko bierze w łeb z powodu zwykłej ludzkiej omyłki. Pomyśl tylko. Jeden człowiek próbuje miękko posadzić ponad sto pięćdziesiąt ton żelastwa na kilku gumowych kółeczkach. Każde lądowanie samolotu jest prawdziwym cudem.

Laurant zachowała ponurą minę.

- Rozumiem. Ty wierzysz, że gdyby człowiek był stworzony do latania, urodziłby się ze skrzydłami.

- Coś w tym rodzaju.

- Nick?

- Co? - spytał opryskliwie.

- Czy w swojej pracy nie musisz czasem kryć się przed kulami i *narażać* życia? Na miłość boską, jesteś agentem FBI. Elitą w swojej branży. A mimo to boisz się głupiego lotu samolotem.

- Ironia losu, co?

Zignorowała sarkazm w jego głosie.

- Moim zdaniem, powinieneś o tym z kimś porozmawiać. Pete mógłby ci pomóc. Jest psychiatrą i z pewnością znalazłby środek zaradczy na ten... kłopot.

Wolał jej nie mówić, że Pete'a jego fobia bawiła nie mniej niż ją.

- Może. - Wzruszył ramionami.

Lądowanie było zupełnie gładkie, rutynowe, toteż zanim samolot stanął przy rękawie, twarz Nicka odzyskała zwykły odcień.

- Nie chcesz uklęknąć i ucałować ziemi? - spytała Laurant.

- To okrucieństwo stroić sobie żarty z lęków dorosłego mężczyzny.

- Wcale nie stroiłam sobie żartów.

- Nieprawda - odparł. Stał w przejściu, otworzył schowek na górze i wyjął z niego torby. - Złośliwość masz wpisana w naturę. - Cofnął się, żeby i Laurant mogła stanąć w przejściu.

- Czyżby?

- Tak. I to mi się podoba.

Roześmiała się.

- Kokiet się z ciebie zrobił, gdy tylko poczułeś twardy grunt pod nogami.

- Zawsze jestem kokiet - odparł dumnie i lekko popchnął ją w stronę wyjścia.

W porcie lotniczym był zaskakująco duży tłok. W drodze po odbiór bagażu Nick zauważył przynajmniej kilku mężczyzn, którzy z niekłamnym zachwytem przyglądali się Laurant. Jeden z nich nawet nie siłił się na subtelność. Po chwili wahania zawrócił i ruszył za nimi. W odpowiedzi Nick objął ją i przyciągnął do siebie.

- Co robisz?

- Upewniam się, że jesteś blisko mnie - odparł. Spiorunował natręta wzrokiem, a gdy mężczyzna odrócił się i szybko odszedł w inną stronę, uśmiechnął się od ucha do ucha. - Masz za krótką spódniczkę.

- Nieprawda.

- Okej, wobec tego masz za długie nogi.

- Co się z tobą dzieje?

- Nic. Nie zatrzymuj się.

Nadal rozglądał się po tłumie i wyławiał z niego różne twarze. Przy windzie musiał puścić Laurant. Szła naburmuszona, ale było już za późno, żeby cofnąć uwagę o spódniczce.

Na zewnątrz czekał na nich agent. Samochód, explorer z 1999 roku, był zaparkowany w strefie zakazu zatrzymywania. Agent podał Nickowi wypchaną kartonową teczkę i kluczyki do wozu, a potem włożył ich torby do bagażnika. Dwaj ochroniarze z lotniska stali obok siebie na chodniku i kręcąc głowami, złościli się, że nie mogą nic zrobić z nielegalnie zaparkowanym pojazdem.

Agent zwrócił uwagę Laurant, gdy otworzył dużą czarną teczkę, wciśniętą w kącie bagażnika. Widząc prawdziwy arsenał, mimo woli cofnęła się o krok.

Nick to zauważył.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby się rozmyślić - rzeki.

Dziewczyna wyprostowała ramiona.

- Za późno.

Agent otworzył przed nią drzwi, życzył jej pomyślnych łowów i znikł w tłumie.

Nick rzucił marynarkę na tylne siedzenie i rozpiął kołnierzyk koszuli. Wsiadłszy do samochodu, odsunął fotel kierowcy najdalej, jak było można, żeby zrobić miejsce dla swoich długich nóg. Między nim i Laurant była obita skórą półteczka ze schowkiem. Wewnątrz znajdowała się mapa stanu Iowa.

Laurant naturalnie знаła drogę do domu, ale Nick mimo wszystko sprawdził trasę, którą ktoś oznaczył żółtym zakreślaczem.

- Słyszałeś, co mi powiedział twój kolega? - spytała.

- Co takiego? - zainteresował się, podnosząc głowę nad papierów.

- Życzył mi pomyślnych łowów.

Nick skinął głową.

- Zawsze tak mówimy - wyjaśnił. - Przesąd.

- Tak jak aktorowi przed wyjściem na scenę życzy się złamania nogi?

- Tak samo.

Pozwoliła mu dokończyć czytanie, a kiedy odłożył teczkę na tylne siedzenie, spytała:

- Było coś ważnego?

- Trochę nowych informacji.

- Lepiej ruszajmy.

- Spiesz ci się?

- Nie, ale ci ochroniarze wyglądają tak, jakby mieli się zaraz rozpłakać z żalu, że nie mogą wlepić ci mandatu.

Nick pomachał im ręką i włączył się do ruchu.

- Jesteś głodna?

- Nie - odparła. - A ty?

- Mogę poczekać.

- Czy w tej teczce było coś o liście, który tamten człowiek wysłał do policji w Kansas City?

- Nie, jeszcze nie doszła żadna przesyłka.

- Po co miałyby mówić Tommy'emu, że coś wysłał, skoro tego nie zrobił?

- Nie wiem. Może z nim igrał. Nad tym niech się zastanawia Pete.

Laurant w milczeniu przyglądała się, jak Nick przedziera się przez ciżbę samochodów. Gdy wreszcie wyjechali na autostradę, zakasał rękawy i odchylił plecy na oparcie. Miał dwie godziny na przygotowanie dziewczyny. Przedstawił listę tego, czego pod żadnym pozorem jej nie wolno, i zakończył ostrzeżeniem, które słyszała już z dziesięć razy:

- Masz nikomu nie wierzyć i nigdzie nie chodzić beze mnie. Jasne?

- Jasne.

- Nawet do toalety w restauracji.

- Rozumiem. Nawet do toalety.

Skinął głową, chwilowo ułagodzony. Laurant nic dała się jednak zwieść. Wiedziała, że najdalej za godzinę Nick znowu powtórzy listę zakazów.

- Powtórzmy sobie rozkład dnia.

- Chyba już znasz go na pamięć.

- Zaraz sprawdzimy. Wstajemy codziennie około siódmej, robimy trochę ćwiczeń rozciągających...

- Dla rozgrzewki - uzupełniła.

- Tak, właśnie, a potem mamy przebieżkę... Boże dopomóż, trzy i pół mili od startu do mety. Biegniemy ścieżką dookoła jeziora, począwszy od zachodniego krańca, zawsze w tym samym kierunku.

- Tak.

- Nie znoszę biegania. To szkodzi na kolana,

- Mnie to dodaje animuszu. Może i tobie doda - powiedziała. - Wydajesz się w niezłej formie. Jesteś chyba w stanie przebiec taki dystans?

- Bez wątplenia, ale i tak za każdym razem będę narzekał.

Roześmiała się.

- Czekam na to z niecierpliwością.

- Okej, potem wracamy do domu i...

Urwał, więc Laurant uznała, że teraz kolej na nią.

- Bierzemy prysznic, przebieramy się w stroje robocze, by iść na rynek, dwie przecznice dalej. Większą część dnia będę spędzać na urządzaniu poddasza w sklepie i rozpakowywaniu pudeł, a tymczasem robotnicy wykończą dół. Przy odrobinie szczęścia powinno się to stać niedługo. Chcę otworzyć sklep czwartego lipca.

- Masz więc niewiele czasu-

- Czwartego lipca ty pewnie będziesz już w Bostonie.

- Optymistka. Mogę siedzieć w Holy Oaks miesiąc albo i dłużej.

- Masz na to tyle czasu?

- Obiecałem twojemu bratu. Nie wyjadę, dopóki go nie złapiemy... albo...

- Albo co?

- Jeśli tamten gdzieś przycupnie, a ja z jakiegoś powodu będę musiał wyjechać, to zabiorę cię ze sobą. I nawet nie próbuj sprzeciwiać mi się w tej sprawie.

- Nie będę, ale wiesz, co sobie myślę?

- Co?

- Myślę, że to pójdzie szybko. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli długo czekać.

Nick skinął głową.

- Prawdę mówiąc, mam podobne przeczucie. Po tym, co mówił przez telefon... Tak, na pewno przyjedzie zaraz za tobą. Pete też tak uważa.

- To dobrze. Chcę, żeby to się skończyło jak najszybciej.

- Jeśli Bóg da, to tak się stanie. Ale i tak, zanim wyjadę, będziesz mnie miała serdecznie dość.

- Przeciwnie. Jestem pewna, że to ty będziesz miał dość mnie.

- Wątpię. W każdym razie ostrzegam, że będę korzystał z wielu przywilejów. W gruncie rzeczy będę z tobą bez przerwy. - Zerknął na nią i mówił dalej: - Naszym celem jest wzbudzenie zazdrości tamtego faceta, pamiętasz, prawda? Ma się tak wściec, że przez to popełni błąd.

- I wtedy go złapiecie.

- Taki mamy plan. Ale prawdopodobnie to nie ja go złapię.

I nie Noah.

- Dlaczego?

- Noah będzie bardzo zajęty niańczeniem Tommy'ego, a ja...

nadskakiwaniem tobie. Już się na to cieszę. Na wszelki wypadek powiedz mi, czy lubisz się całować.

- Jestem w tym bardzo... bardzo... dobra - odrzekła z charakterystycznym południowym akcentem.

Roześmiała się.

- Skąd wiesz?

- Od Andre Percellego. Pocałował mnie, a potem powiedział, że jestem dobra. Stąd wiem.

- Nigdy przedtem nie wspominałaś o tym Andre. Kto to jest, do diabła?!

- Poznaliśmy się w czwartej klasie. Niestety, nasz romans skończył się bardzo szybko. Kiedy Andre mnie całował, staliśmy w kolejce, w kawiarni. Natychmiast dałam mu kosza.

Nick uśmiechnął się.

- Dlaczego?

- Bo on nie był dobry w całowaniu.

- Ale ty byłaś.

- Tak powiedział Andre, zanim go zdzieliłam.

Parsknął śmiechem.

- Twarda była z ciebie sztuka, co?

- Umiałam postawić na swoim. I nadal umiem - pochwaliła się Laurant.

- A co się stało z tym Andre?

- Nic. Ostatnio kiedy o nim słyszałam, miał żonę i dwoje dzieci. Nick znowu wrócił do rozkładu dnia.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o wieczorach. Co wtedy zwykle robisz?

Przekopywała właśnie zawartość torebki w poszukiwaniu klamry do włosów.

- Rozmawialiśmy o wieczorach - przypomniała mu. - Powiedziałam ci, że najbliższe dwa tygodnie mam zajęte dzień w dzień.

- Z powodu ślubu, na którym masz być świadkiem?

- Częściowo - potwierdziła. - Ale także dlatego, że obiecałam opatowi pomoc w sprzątaniu strychu w opactwie. On chce mieć przed obchodami wiosenne porządki.

- A obchody też przypadają czwartego lipca. Niekorzystny zbieg terminów.

- Ślub jest w przedświąteczną sobotę - powiedziała Laurant. Wreszcie znalazła klamrę na samym dnie torebki.

- Jeśli chodzi o te obchody w opactwie... będzie straszny

bałagan. Mam nadzieję, że uda nam się wcześniej załatwić nasze sprawy. Tommy powiedział mi, że do miasta zjedzie mnóstwo obcych ludzi z całego kraju.

Odgarnęła włosy i spięła je z tyłu.

- Nie tylko z kraju, ale i z Europy - sprostowała. - Opactwo Zwiastowania założono dokładnie sto lat temu. Być może przyjedzie nawet kardynał.

- Wspaniale - mruknął. - Dla ochrony to będzie koszmar. Mówię ci, Laurant, że jeśli nie złapiemy tego zboczeńca szybko, to na czas obchodów zabieram cię stąd jak najdalej.

- Zgoda - powiedziała. - Ale Pete powiedział, żebyśmy nie podejmowali pochopnych decyzji.

- Do pierwszego lipca. Potem wyjedziemy.

Podniosła rękę.

- Nic sprzeczać się z tobą, ale to znaczy, że mamy niewiele czasu.

- Chyba że on zdecyduje się szybko wykonać swoje posunięcie.

Posłuchaj. Nie wolno ci ani na chwilę osłabić czujności. Rozumiemy się? To mogłoby być niebezpieczne.

- Wiem i nie osłabię czujności. A czy ja mogę ciebie o coś zapytać?

- O co?

- Gdybym to nie była ja... chcę spytać, czy gdybym nie była siostrą twojego najlepszego przyjaciela i nie znalazłbyśmy się wcześniej ani trochę, to również miałbyś tyle oporów przed zastawieniem pułapki?

- Chodzi o użycie ciebie jako przynęty?

- Tak.

- Kłopot polega na tym, że jesteś siostrą mojego przyjaciela.

Nie mogę o tym zapomnieć.

- Ale gdyby...

W pierwszym odruchu Nick chciał odpowiedzieć tak, miałby tyle samo oporów, bo nieraz widział, jak znakomity plan bierze w łeb. Zastanowiwszy się chwilę, uznał jednak, że okazja jest wyjątkowa i prawdopodobnie nie chciałby jej stracić.

- No, cóż. Pół na pół.

- To znaczy?

- Rozważyłbym, jakie jest ryzyko, a jaka szansa złapania tego zboczeńca, zanim znowu zabije. I wtedy...

- Wtedy co?

Westchnął.

- Wybrałbym pułapkę.
 - Bałeś się kiedyś w życiu?
 - No, pewnie. Widziałem, co może się stać w takiej sytuacji. Nie zawsze udaje nam się złapać przestępcę, Laurant, bez względu na to, co pokazuje telewizja. Niektórzy pozostają na wolności latami. Ten sukinsyn, który jest pierwszy na liście poszukiwanych, Emmet Haskell, uciekł ze specjalnie strzeżonego oddziału dla psychicznie chorych w Michigan ponad rok temu i wciąż jeszcze nie udało nam się go zatrzymać.

- Co zrobił?
 - Zabił wielu ludzi. Do tej pory wiemy o siedmiu, ale ofiar może być więcej. Powiedział psychiatrom, że zabijanie przynosi mu szczęście. Lubił grać na wyścigach i zawsze w pierwszą sobotę miesiąca szedł oglądać gonitwy na torze, więc w pierwszy piątek miesiąca musiał kogoś zabić. Wszystko jedno kogo - dodał. - Każdy był dla niego dobry. Mężczyzna, kobieta, dziecko. Ale najbardziej lubił zabijać kobiety. Im ładniejsze, tym lepiej... po prostu na szczęście.

- Tommy powiedział mi...
 - Co?
 - Nie zastrzegłeś sobie, że to jest sekret, bo inaczej Tommy nawet słowem by o tym nie wspomniał, ale w każdym razie spytałam go, dlaczego tak się o ciebie martwi, a on...

Wiedział, do czego Laurant zmierza. Chodziło o sprawę Stark. Zwierzył się Tommy'emu w nadziei, że to pomoże mu zapamiętać. Ale nie pomogło ani trochę.

- Powiedział, że zabiłem kobietę, tak?
 - Tak.
 - Nie miałem innego wyjścia.
 - Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać, Nick.
 - Naprawdę nie miałem wyboru. Może gdybym wykazał odrobinę więcej sprytu, zdołałbym ją zakuć w kajdanki... ale wyszedłem z domu i to dało jej czas, żeby pójść po dziecko i się przygotować.

Laurant przebiegł dreszcz.
 - Do czego się przygotowywała?
 - Do mojego powrotu. Wiedziała, że wrócę, i chciała, żebym zobaczył, jak zabija tego chłopca.

Dostrzegła smutek w oczach Nicka.
 - Jak sobie z tym radzisz? - spytała. - Umiesz odsuwać takie wspomnienia od siebie?

- Nie. Niczego nie odsuwam. Oswajam się z nimi.
 - W jaki sposób?
 Wzruszył ramionami.
 - Znajduję sobie różne zajęcia.
 - To nie jest osvajanie się.
 - Nie zdradzę Noahowi, że to powiedziałem, ale czasem wolałbym być bardziej podobny do niego. On, jeśli musi, otrząśnie się z wszystkiego jak pies.

Wzruszyła ramionami.
 - Ale też płaci wysoką cenę, tak samo jak ty. Po prostu ma grubszy pancerz.

- Możliwe. W każdym razie nie spocznę, dopóki takie bestie jak Haskell i Stark są na wolności. Muszę ich złapać.

- Zawsze będzie ktoś taki, prawda? Nick, potrzebujesz trochę normalnego prywatnego życia poza pracą.

- Teraz gadasz jak Pete, a to jest mało strawne.

Wyjął telefon i wybrał numer.
 - Przy następnym zjeździe z autostrady zatrzymujemy się, żeby coś zjeść. Nawiasem mówiąc, jedzciecie za blisko.

Kiedy schował telefon, Laurant odwróciła się i rozejrzała.

- Ten niebieski samochód, lak?
 - Nie, szara honda za tym niebieskim.
 - Jak długo za nami jedzie?

- Od samego lotniska. Mają w samochodzie urządzenie, które pozwala nas znaleźć w promieniu pięćdziesięciu mil, a kiedy już dojedziemy do Holy Oaks, Jules Wesson, dowódca tej operacji, będzie miał nas zawsze w swoim zasięgu.

- To nam niewiele pomoże. Holy Oaks jest małym miasteczkiem, więc będziemy więcej chodzić niż jeździć.
 - Ty też dostaniesz mały gadżet do noszenia. Nie wiem, w czym, ale prawdopodobnie w szpilce do włosów albo w bransoletce.

Bardzo ją pokrzepiło, że FBI będzie miało nad nią kontrolę w mieście.

- Ten Jules Wesson na pewno jest dobry, ale i tak żałuję, że w Holy Oaks nie ma Pete'a.

- Z niego nie byłoby tu wielkiego pożytku. Nigdy nie był praktykiem. Jules Wesson, Noah i ja będziemy przekazywać mu informacje na bieżąco, więc należy mieć nadzieję, że Pete będzie wiedział co, gdzie, kiedy i jak. Myślisz, że w Sweetwater znajdzie się jakaś znośna knajpka? Tam jest następny zjazd.

- Owszem, jest jadłodajnia, w której można dostać całkiem smaczny posiłek.

- Na co masz ochotę?

- Na wielkiego soczystego hamburgera z ogórkami. I z frytkami. Z mnóstwem frytek.

- Smakowity pomysł.

Nie musiała go pilotować. W Sweetwater była jedna główna ulica, nazwana naturalnie Main Street, a jadłodajnia mieściła się dokładnie w połowie tej ulicy.

Laurant usiadła na ławie przy oknie; Nick zajął miejsce obok. Było dość ciasno.

- Nie wolisz usiąść naprzeciwko? - spytała.

- Nie - odparł i sięgnął po lepki, oprawny w plastik jadłospis, który stał między solniczką i pieprzniczką. - Czas, żebyśmy trochę przeciwicyli role zakochanych.

Nick zamówił dwa podwójne hamburgery z podwójnymi frytkami i dwie szklanki mleka. Laurant powiedziała mu, że je jak parobek na farmie, i tym przypomniała mu studencką dykteryjkę ojej bracie, który stał w kolejce do okienka w stołówce. Zanim skończył ją opowiadać, dziewczyna śmiała się tak serdecznie, że z oczu ciekły jej łzy. Nie miała pojęcia, jakim dowcipnisiem potrafi być jej brat.

- Mówisz, że to on zaczął tę bójkę?

- Nie zawsze był księdzem - przypomniał jej Nick.

Opowiedział jej następną dykteryjkę, potem jeszcze jedną. Za każdym razem po poincie pozostali goście obracali się ku Laurant, która wybuchwała głośnym śmiechem. Widzieli wtedy parę młodych ludzi, bardzo zadowolonych, że są razem.

Zanim znowu wsiedli do samochodu i wyruszyli w drogę, Laurant była całkiem rozluźniona.

- Może trzeba trochę zwolnić. Nie widzę szarego samochodu - powiedziała.

- Tak ma być. Nie powinnaś go widzieć.

- Będą za nami jechali aż do Holy Oaks?

- Tak.

- Ilu agentów tam na nas czeka?

- Dostatecznie wiciu.

- Czy to kosztuje dużo pieniędzy?

- Chcemy go złapać, Laurant. Koszty nie grają roli.

- Tak, ale co się stanie, jeśli to wszystko pochłonie więcej czasu niż przewidywano?

- Po prostu wszystko będzie dłużej trwało.

Laurant rozpięta klamrę i rozpuściła włosy, a potem odchyliła siedzenie do tyłu. Gdy zamknęła oczy, Nick powiedział:

- Nic rozumiem.

- Czego nie rozumiesz?

- Ciebie... Jak to jest, że mieszkasz w takiej mieścinie?

- Podoba mi się to.

- Nie wierzę. W głębi serca jesteś dziewczyną z wielkiego miasta.

- Wcale a wcale. Wychowałam się na wsi.

- Twój dziadek był jej właścicielem - zwrócił jej uwagę. - A ty mieszkałaś we dworze.

- Chodziłam do szkoły we wsi. Była malutka. I leżała na uboczu, prawie jak klasztor. Ja naprawdę lubię Holy Oaks, Nick. Ludzie są tam dobrzy i uczciwi. I okolica jest piękna. A jaki spokój... przynajmniej do tej pory zawsze był spokój.

- Skoro tak ci się podoba w Holy Oaks, to dlaczego tylko wynajmujesz dom, zamiast go kupić?

- Chciałam najpierw skoncentrować się na sklepie - wyjaśniła. - Poza tym pani Talbot nie chce jeszcze sprzedać tego domu. Wychowywała w nim swoje dzieci i chociaż teraz mieszka w domu opieki, nie chce pozbywać się takiej pamiątki. Ale zastanawiam się nad kupnem letniego domku nad jeziorem. Musiałabym jednak włożyć w to mnóstwo pracy.

- Jak to się stało, że jeszcze go nie kupiłaś?

- Steve Brenner.

- Ten facet ze Stowarzyszenia Rozwoju Holy Oaks?

- On jest właścicielem tego domku.

- Myślę, że ten facet chce się stać również twoim właścicielem.

- Co takiego?

- Kiedy agenci Farley i Feinberg weszli do twojego domu. sąsiadka wezwała szeryfa, no i zjawił się biegiem.

- Tosio nigdzie nie biega.

- Tak nazywa się szeryf?

- To jest skrót od „tłusty osioł” - wyjaśniła. - Wszyscy tak o nim mówią. Nie ma dobrej opinii w Holy Oaks.

- Na to wygląda.

- Ale nie chciałam ci przerwać. Co się stało po przyjeździe szeryfa? Wiedział, że twoi koledzy są FBI? Chyba musieli mu powiedzieć.

- Nie powiedzieli i nawet nie wolno im było tego zrobić, ale co

najdziwniejsze, szeryf nawet ich o to nie spytał. Przede wszystkim opowiadał im o planach, jakie ma wobec ciebie Steve Brenner. On, zdaje się, rozpowiada wszem i wobec, że się z tobą ożeni.

- To jest straszny nudziarz.
- Prawdopodobnie. Jeden z agentów powiedział szeryfowi o naszym burzliwym romansie i od tej chwili szeryf nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł opuścić twój dom.
- Bez wątplenia chciał przekazać nowinę Brennerowi.
- Bez wątplenia.
- Takiemu człowiekowi jak on trudno jest zrozumieć, że nie może mieć wszystkiego.
- Pomogę mu to zrozumieć.

Nie wiedziała, co Nick zamierza, ale ton jego głosu wskazywał, że nie jest to dla niego niemiła perspektywa.

Czas podróży do Holy Oaks minął im zaskakująco szybko. Rozmawiali o muzyce; okazało się, że oboje lubią utwory klasyczne i country. Potem zaczęli spory polityczne. Laurant miała nader liberalne przekonania, Nick był zaciekle konserwatystą. W przerwach zabawiał ją historiami o tym, jak dorastał w wielkiej rodzinie. Naprawdę ani się obejrzała, i już skręcali z autostrady do Holy Oaks.

- Będziemy w domu, zanim się ściemni - zauważyła.
- Nick spoważniał.
- Laurant, muszę ci coś powiedzieć.
- Tak?
- Farley i Feinberg... ci agenci, o których niedawno wspominałem...
- Tak?
- Znaleźli kamerę wideo zamontowaną w twoim domu
- Gdzie?
- W garderobie na górze. W ścianie wywiercono malutki otwór rozmiaru połowy aspiryny. Obiektyw jest skierowany prosto na twoje łóżko. Nigdy byś tej kamery nie zauważyła. Otwór znajduje się dokładnie w środku kwiatka na tapecie.

Nagle zabrakło jej tchu. Obróciła się i mimowolnie ucisnęła ramię Nicka.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?
- Uznałem, że powinnaś trochę odpocząć od tego koszmaru. Gdybym powiedział ci zaraz na początku podróży, martwiłabyś się tym przez całą drogę. Nie mam racji?
- Jak długo jest zainstalowana ta kamera?

- Dość długo. Był na niej kurz, więc przynajmniej tydzień lub dwa, ale dokładnie nie umiem powiedzieć. W każdym razie numer kamery jest zatarty.

- Nie ukrywaj przede mną żadnych informacji, zgoda? Kiedy usłyszysz coś nowego, natychmiast mi mów.
- Będziemy razem mieszkać. I będę ci wszystko mówił.
- Dopóki śmierć nas nie rozłączy? - spytała sarkastycznie, ale jej sarkazm był podszyty lękiem.
- Nie. Dopóki go nie złapiemy.
- Puściła jego ramię.

- Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. Przecież tylko mnie ostrzegłeś. Powiedziałeś mi, że on był w moim domu i patrzył, jak śpię. Widział mnie... - Nie dokończyła. Odwróciła się do szyby, żeby Nick nie zobaczył jej wzburzenia. Przypomniła sobie, jak się rozbiera i ubiera. W noc, gdy klimatyzacja nie dawała dostatecznego chłodu, Laurant sypiała nago. I to wszystko /ostało zapisane na taśmie filmowej.

Wlepiła wzrok w dłonie splecione na kolanach i spostrzegła, że złamała klamrę do włosów.

- Czuję się tak, jakbym zrobiła coś, czego powinnam się wstydzić. Owszem, czasem nie chce mi się włożyć koszuli nocnej. Z gorąca... - tłumaczyła się.
- To, co robisz w swojej sypialni...
- Właśnie o to chodzi! - zawołała. - Nie zrobiłam nic złego. Spałam, to wszystko. Nie przyjmowałam żadnych mężczyzn, ale nawet gdybym przyjmowała, to co z tego? Boże, to jest zupełnie chore.
- Laurant...
- Nie waż się tego mówić.
- Czego?
- Że jeszcze mogę się rozmyślić.

Zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i wskazał głową tablicę z nazwą Holy Oaks.

- Dajesz mi ostatnią szansę wycofania się? - spytała.
- Nie.
- To po co się zatrzymałeś?
- Muszę powiedzieć, że nie wolno ci tchórzyc za każdym razem, gdy usłyszysz coś... przykrego. Będą różne niespodzianki. Pewnie nie wszystkim zdołam zapobiec, ale musisz zachować opanowanie. Rozumiesz? Nie mogę się martwić dodatkowo o to, jak zareagujesz, i każdorazowo pomagać ci zebrać się do kupy...

Znowu położyła mu rękę na ramieniu, tym razem delikatnie.

- Obiecuję, że nie stchórzę. W każdym razie będę się starać. Słyszał determinację w jej głosie, widział ją w oczach.

- Masz ikrę - rzekł z uznaniem, wrzucił bieg i z powrotem wyjechał na szosę.

Nagle Laurant zrobiło się zimno. Poruszyła przełącznikiem temperatury i rozarta ramiona.

- Czy twoi koledzy znaleźli kasetę w kamerze? Taka kasetka nie starcza na długo, prawda? Najwyżej na kilka godzin. Jak on je zmienia? Czy ciągle wraca do mojego domu... do mojej sypialni? Bo jeśli tak, to przecież ryzykuje, że go zauważę.

- Kamera jest zdalnie sterowana, a to znaczy, że on ogląda twoją sypialnię na monitorze ze swojego punktu obserwacyjnego. Pokażę ci ją, jak dotrzemy na miejsce. To bardzo proste urządzenie, włączane gdy czujnik zarejestruje ruch -- dodał, marszcząc czoło. - W zasadzie zabawka dla dzieci ze szkoły średniej, i to mnie niepokoi. Ten, kto wybrał taki sprzęt, nie był profesjonalistą, ale kamerę uruchomił.

- Dlaczego to cię niepokoi?

- To wydaje mi się mało efektowne jak na naszego nieznanego sprawcę - wyjaśnił. - Sprzęt nie ma nic wspólnego z hi-tech, a ten facet zadaje sobie mnóstwo trudu, żeby wszystko wydawało się doskonałe. Jego celem jest wywarcie na nas jak największego wrażenia.

- A to nie zrobiło na tobie wrażenia.

- Właśnie.

Laurant skinęła głową i znowu spojrzała za szybę.

- Prawie jesteśmy w domu.

Nick skręcił w lewo, w Assumption Road, dwupasmową aleję. Ktoś częściowo zamalował nazwę ulicy, tak że widoczne pozostały tylko pierwsze trzy litery: Ass Road. Nick uśmiechnął się na ten widok.

- Dzieciaki ze szkoły robią to przynajmniej raz do roku powiedziała Laurant. - Wydaje im się to śmieszne.

- Bo to jest śmieszne.

- Pewnie uwielbiasz oglądać Simpsonów w telewizji.

- Nie opuszczam ani jednego odcinka.

- Ja też - przyznała. - Ale mazanie tabliczek doprowadza opata do szału. Twierdzi, że to jest lekceważenie i tak dalej. Najpierw zajrzemy do domu czy chcesz pojechać nad jezioro i spotkać się z Julesem Wessonem? Tommy powiedział mi, że opat dał agentom do dyspozycji swój domek.

- Jedźmy najpierw porozmawiać z Wessonem. Skręcam w Oak Street, prawda?

- Tak. A potem do mojego domu jedź się w lewo, a nad jezioro w prawo.

W oddali ukazały się dwie strzeliste wieże opactwa. Gotycką budowlę postawiono na szczycie wzgórza, z widokiem na schludne miasteczko. Panorama była wspaniała. Ponurą szarość kamiennego budynku urozmaicały kolorowe witraże. Do bramy wiodła długa, kręta ścieżka.

Wjechawszy za kute ogrodzenie klasztoru, Nick zwolnił. Dookoła rosły majestatyczne dęby. Dużo było ich zwłaszcza przy północnej i południowej ścianie, gdzie wyglądały jak przypory, wzmacniające konstrukcję murów.

- To prawie katedra - powiedział cicho, gdy znaleźli się w kościele.

- Już od dawna trwa renowacja. Miasto zbiera na nią fundusze - wyjaśniła Laurant. - Prace są na ukończeniu, przynajmniej w kościele. Kaplica wciąż wymaga wiele pracy. Musimy tu kiedyś przyjść na spacer. O tej porze roku przepięknie wygląda ogród.

- Co było pierwsze? Kura czy jajo?

- Zrozumiała, o co ją pyta.

- Opactwo założył zakon z Belgii na długo przed tym, jak powstało miasteczko. A mieszkają u nas bardzo różni ludzie. Po drugiej wojnie światowej mieliśmy napływ imigrantów.

- Dlaczego przyjechali akurat do Holy Oaks?

- Tommy nie opowiadał ci historii miasteczka?

- Nie.

- Imigranci napłynęli tu za ojcem Henri VanKirkiem, który zmarł w zeszłym roku. Szkoda, że go nie znałeś. To był niesamowity człowiek. Podczas wojny pomógł uciec przed nazistami dziesiątkom rodzin. W końcu Niemcy go złapali i poddali torturom. Gdy wreszcie go zwolniono, przyjechał do Stanów Zjednoczonych, a władze kościelne przysłały go do Holy Oaks, żeby tutaj doszedł do zdrowia. Część rodzin, którym ojciec VanKirk pomógł, wszystko straciła, więc przyjechali za nim. Zaczęli życie od nowa i uczynili z Holy Oaks swój dom.

Po śmierci ojca VanKirka opat znalazł jego dzienniki. Pomyślał, że mogą stanowić dla ludzi źródło natchnienia, więc postanowił zlecić ich przetłumaczenie na angielski. Wszyscy są teraz bardzo zajęci przygotowaniami do rocznicowych obchodów, ale gdy już

się skończy to zamieszanie, mam przetłumaczyć ten tekst i zapisać go na dyskietkach.

- Czy ojciec VanKirk jest tutaj pochowany?

- Tak. Po drugiej stronie opactwa znajduje się cmentarz. Okalają go wspaniałe dęby, jeszcze większe niż te obok kościoła.

- I dlatego to miasteczko nazywa się Holy Oaks, tak'.

Uśmiechnęła się.

- Tak. Dęby chronią teren, na którym śpią anioły.

Nick skinął głową.

- Podoba mi się to skojarzenie ze śpiącymi aniołami.

- A co sądzisz o miasteczku? Ładne, prawda?

Wzdłuż brukowanych ulic stały bielone drewniane domy. Uliczne latarnie wyglądały tak, jakby były na gaz, chociaż Nick wiedział, że są elektryczne. Ale stanowiły jeszcze jeden staroświecki akcent.

- Holy Oaks przypomina mi miasteczka Nowej Anglii. Roztacza taki sam urok. Czy przed twoim domem jest płotek z bielonych sztachet?

- U mnie nie, ale u moich sąsiadek owszem.

Dojechali do znaku stop przy Oak Street. Nick skręcił w prawo i znalazł się na kolejnej ulicy wysadzonej drzewami. Gałęzie tworzyły nad jezdnią baldachim.

- Czuję się tak, jakbym cofnął się w czasie. Zdaje mi się, że zaraz zobaczę Richiego Cunninghama w odkrytym modelu chevroleta z pięćdziesiątego siódmego roku.

- Och, on mieszka dwie przecznice dalej - zażartowała Laurant.

Im bliżej było jeziora, tym skromniejsze stawały się domy. Wszystkie postawiono w ostatnim pięćdziesięcioleciu, więc miały dość nowoczesny wygląd, ceglane fasady i przesunięcia kondygnacji, ale podobnie jak starsze budynki były niesłychanie wypieszczone. Widać było, że rodziny, które je zajmują, są dumne ze swoich domów i miasteczka.

Minęli bezludne boisko baseballowe, potem stację benzynową i drogą na zachód wjechali do parku, którego granicę wyznaczały nieociosane drewniane stupy po obu stronach drogi.

- Na wiosnę i jesienią przychodzą tu masy studentów. Za to latem jest to królestwo dzieciaków ze szkoły średniej.

Nick opuścił szybę. W powietrzu unosiła się woń ziemi, przykrytej kołdrą z sosnowych igieł oraz liści dębów i brzoź. Dotarli do rozwidlenia dróg, a przed nimi rozpostarło się czyste jezioro.

Przy każdym podmuchu cienie drzew marszczyły się na jego lśniącej powierzchni.

Domek stał między drzewami. Nick zatrzymał samochód na zwirowym podjeździe i zgasił silnik.

- Nie wygląda to jak dom, w którym ktoś mieszka.

Ledwie Laurant zdążyła to powiedzieć, drzwi się otworzyły. Ujrzała mężczyznę w grubych ciemnych okularach, który przyglądał im się zza zasłony chroniącej przed owadami.

Nick dał znak, żeby poczekała, wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi po jej stronie. Przez cały czas omiatał wzrokiem teren. Podał Laurant rękę, w ogóle nie zwracając na nią uwagi.

- Czy to jest Jules Wesson? - spytała.

- Nie, to jest Matt Feinberg, nasz elektroniczny geniusz. Sympatyczny facet. Powinnaś go polubić.

Agent poczekał, aż podejdą do ganku, potem otworzył ramę z zasłoną i odsunął się na bok, żeby mogli wejść. Wyglądał całkiem przeciętnie, był średniego wzrostu, miał ciemne włosy, piwne oczy i nosił kłamrę na zęby. Trzymał kłęb przewodów, odłożył go jednak na stolik przy wejściu, żeby móc uścisnąć im dłonie.

Po powitaniu spytał:

- Czy Nick powiedział pani, że przeszukaliśmy z Farleyem dom'.

- Tak - odrzekła. - To panowie znaleźli kamerę.

- Zgadza się. A kiedy byliśmy w środku, pani sąsiadka wezwała szeryfa. Zjawił się w te pędy. To ci dopiero postać - powiedział i zrelacjonował jej, jak zwierzali się szeryfowi z napraw, których mają dokonać w jej domu. Potem zwrócił się do Nicka: - Jak tylko Seaton uruchomi dodatkową linię telefoniczną, będziemy gotowi. A on dwoi się i troi, więc pewnie niedługo skończy.

- Hu agentów jest tutaj?

Zanim Feinberg odpowiedział, zerknął na balkon.

- Wesson nie udzielił mi tej informacji. Nie wiem tego i nie wiem, czy jeszcze ktoś przyjedzie.

- Gdzie on jest?

- W sypialni, porządkuje jakieś papiery. Ładne miejsce, nie? W innych okolicznościach chętnie rozbiłbym tu namiot. To jezioro przypomina mi Walden Pond.

Nick skinął głową.

- Powinnaś kupić ten domek, Laurant.

Przyznała mu rację. Gra światła była wspaniała. Dzięki wysokim oknom można było ze środka przyglądać się jezioru. Salon i jadalnię

połączono w jedno pomieszczenie. Wnętrze było proste, lecz przestronne. Wszędzie stały teraz komputery i inne urządzenia elektroniczne. Stół w jadalni przepchnięto pod ścianę i urządzono na nim podwójne stanowisko komputerowe. Wyglądało jednak na to, że komputery są jeszcze niepodłączone.

Laurant usłyszała odgłos otwieranych drzwi i podniosła wzrok ku balkonowi w chwili, gdy ich oczom ukazał się Jules Wesson. Rozmawiał przez telefon komórkowy, a pod pachą trzymał plik papierów.

Był wysoki, żyłasty i miał dosyć zaawansowaną łysinę. Omiótłszy ją i Nicka przenikliwym spojrzeniem, dalej rozmawiał przez telefon, jakby stracił dla nich zainteresowanie. Papiery odłożył na stół. Potem uwaga Laurant znowu zwróciła się ku Feinbergowi.

Podał jej złoty zegarek, wyglądający jak staromodny timex z elastycznym paskiem.

- Niech pani to włoży i już nic zdejmuję, nawet pod prysznicem. Zegarek jest naturalnie wodoodporny. Może pani z nim nawet pływać. W środku jest elektroniczny gadżet, dzięki któremu będę obserwował panią na tym monitorze za moimi plecami. Chcemy wiedzieć przez cały czas, gdzie pani jest.

Laurant zdjęła swój zegarek i włożyła nowy. Ponieważ torebkę zostawiła w samochodzie i nie miała kieszeni, podała swój zegarek Nickowi, a ten schował go do kieszeni koszuli.

Wesson wreszcie zakończył rozmowę. Skinął głową Laurant, gdy Nick ją przedstawił, ale nie tracił czasu na grzeczności.

- Jestem gotowy na jego przyjęcie - oznajmił energicznie. - Ale nie lubię niespodzianek. Nie wolno pani opuszczać Holy Oaks bez mojego pozwolenia. Zrozumiano?

- Tak - odpowiedziała.

Dopiero wtedy Wesson zwrócił się do Nicka. Wyraźnie podkreślał hierarchię i chciał pokazać jemu oraz Laurant, że to on tu dowodzi. Nawet w kryzysowej sytuacji nie rezygnował z tanich gier. Co za dupek, pomyślał Nick. Wiedział, że Wesson widzi w nim konkurenta i trudno mu uwierzyć, że Nicka nie interesuje szybkie pięcie się po szczeblach drabiny awansów.

Prywatnie bardzo nie lubił Wessona, ale skoro był skazany na taką współpracę, to chciał, aby układała się jak najlepiej. Wesson miał ego wielkości stanu Iowa, ale dopóki nie przeszkadzało to w wypełnianiu zadania, Nick był gotów znaleźć z nim wspólny język.

- Morganstern chce, żebyś do niego zadzwonił - powiedział Wesson.

- Mają coś na temat tej rozmowy telefonicznej?

Odpowiedział mu Feinberg.

- Zlokalizowali telefon, z którego sprawca zadzwonił na plebanię. Należał do niejakiej Tiffany Tyler, a rozmowę przeprowadzono z przedmieść Saint Louis.

Feinberg zrobił krok naprzód.

- Patrol drogowy znalazł jej samochód zaparkowany na poboczu autostrady międzystanowej numer 70. Lewa tylna opona była przebita, a w bagażniku brakowało koła zapasowego. Kobieta prawdopodobnie dobrowolnie wsiadła do samochodu sprawcy, ale to jest tylko przypuszczenie. Sądzymy także, że sprawca nie tknął jej samochodu, ale na wszelki wypadek technicy dokładnie go badają. To stary Chevrolet caprice, pełen różnych odcisków palców. Wszystkie są teraz sprawdzane.

- Nie przypuszczamy, żeby któryś z odcisków należał do osobnika nas interesującego. - Wesson skierował to wyjaśnienie do Laurant. - On jest ostrożny, naprawdę ostrożny.

Feinberg skinął głową.

- I metodyczny - dodał, po czym zdjął okulary i zaczął je przecierać chustką. - Na kasecie i kopercie, które przyniósł na policję, nie było ani jednego odcisku, nawet niekompletnego.

- Chcemy, żebyście zaczęli go drażnić - rzekł Wesson. - Miejmy nadzieję, że pęknie i popełni błąd, a wtedy może dopisze nam szczęście.

- To krzyk tej Tiffany słyszałam przez telefon, tak?

- Tak - potwierdził Wesson. - Dzwonił do pani z jej telefonu.

- Czy już ją znaleziono?

- Nie - zabrzmiała burkliwa odpowiedź. Wesson zachował się tak, jakby został personalnie skrzytykowany.

- Może jeszcze żyje. Czy sądzi pan...

- Niemożliwe - przerwał jej zniecierpliwiony Wesson. - Ponad wszelką wątpliwość jest trupem.

Jego chłód zrobił złe wrażenie na Laurant.

- Ale dlaczego wybrał właśnie ją? Jeśli jest taki, jak się chwalił, staranny i zdobywa informacje o swoich ofiarach, zanim je zacznie dręczyć, to dlaczego zachował się tak spontanicznie?

- Jesteśmy prawie pewni, że zabił ją po to, żeby zwrócić na

siebie naszą uwagę - odpowiedział Feinberg. - Chce nam dowieść, że nie żartuje.

Nick ujął dziewczynę za rękę.

- A Tiffany była... wygodna. Bezradna i na zawołanie.

Feinberg z powrotem włożył okulary, poprawił oprawki za uszami i rzekł:

- Zapomniałem powiedzieć, że przejrzelśmy z Farleyem pani pocztę. Wszystko leży na stoliku przy drzwiach.

Laurant przyjęła wiadomość o tym naruszeniu jej prywatności bez większych emocji. Chociaż wcześniej nic przyszło jej do głowy, że FBI będzie otwierać jej listy, nie stanowiło to dla niej problemu. Umiała docenić, że są dokładni w tym, co robią.

Wesson podszedł krok do Nicka.

- Chcę, żebyś dobrze zrozumiał. Jesteś tutaj jako ochrona tej pani. Twoje zadanie polega na zapewnieniu jej bezpieczeństwa w każdej chwili.

Zabrzmiało to bardzo agresywnie, toteż odpowiadający Nick wydał się wcieleniem łagodności:

- Wiem, jakie mam zadanie.

- Plan polega na wyprowadzeniu sprawcy z równowagi, więc oboje macie odegrać przed miasteczkiem wiarygodne przedstawienie.

Nick skinął głową. Ale Wesson jeszcze nie skończył go ustawiać na właściwym miejscu.

- W tym czasie moja grupa pokaże, jak się pracuje, i złapie tego zbrojnego.

- Pokaże, jak się pracuje? - powtórzył Nick sarkastycznie. - O ile wiem, pracujemy nad tym razem, czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie byłoby cię tutaj, gdyby nie Morganstern - powiedział z naciskiem Wesson.

- Ale jestem i musisz się z tym pogodzić.

Atmosfera stała się bardzo napięta. Obaj mężczyźni przypominali dwa byki gotowe do starcia. Laurant uściśniła rękę Nicka.

- Powinniśmy już iść, nie sądzisz?

Nie odezwał się ani słowem. W chwili gdy otwierał przed nią drzwi, rozległ się dzwonek telefonu. Obrócił się, słysząc, jak Wesson mówi:

- No i dobrze, cholera!

Nick przystanął, poczekał, aż ten skończy rozmowę i spytał:

- Co dobrze?

Wesson uśmiechnął się z dużą pewnością siebie.

- Jest miejsce zbrodni!

17

W esson był skończonym kutasem. Gruboskórnym, upierdliwym, chamskim i aroganckim kutasem, w dodatku nie umiał dogadywać się z ludźmi. Najgorsze zaś, że nie było w nim ani krzty współczucia. Na wiadomość, że farmer natknął się na spostonowane ciało osiemnastoletniej Tiffany Tary Tyler, zareagował wyjątkowo niewłaściwie. Po prostu się ucieszył. Pokrzykiwał z radości i brakowało jeszcze tylko tego, żeby zaczął śpiewać. Ten niepoahamowany entuzjazm był tym bardziej niesmaczny, że przez cały czas Wessona obserwowała osoba cywilna, Laurant.

Nick chciał zabrać ją z domku, zanim będzie miała okazję zobaczyć albo usłyszeć jeszcze więcej, mógł przecież porozmawiać z Wessonem później, ale kiedy wziął ją za rękę i chciał wyprowadzić na dwór, dziewczyna mu się wyrwała. A tym, co potem zrobiła, nie tylko go zaskoczyła, lecz również wiele zyskała w jego oczach.

Zmieszła Wessona z błotem. Stała o krok przed nim, żeby nie mógł uciec, że jej nie widzi, i palnęła mu mowę. Przypomniała, że zamordowano młodą kobietę, więc jeśli nie ma w nim ani odrobiny współczucia dla biednej Tiffany, to może powinien zastanowić się nad zmianą pracy.

Gdy wdał się z nią w spór, Nick pospieszył jej na pomoc, posługując się przy tym znacznie mniej oglednymi słowami.

- Umieszczę to w raporcie - zagroził Wesson.

- Koniecznie - warknął Nick.

Wesson postanowił skończyć tę rozmowę. Był wściekły, że ktoś niepowołany z zewnątrz wyraził opinię na temat jego zachowania. i nie zamierzał tracić cennego czasu na ugłaskiwanie Laurant. To należało do zakresu obowiązków Nicka.

- Róbcie po prostu to, co wam mówię, a już my go złapiemy - oświadczył.

Laurant nie zamierzała jednak złożyć broni.

- Mam zachowywać swoje zdanie dla siebie?

Nie zadał sobie trudu odpowiedzi. Odwrócił się z powrotem do komputera i przestał zwracać na nią uwagę.

Laurant popatrzyła na Nicka.

- Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? - Podał jej aparat. - Jaki jest prywatny numer doktora Morgansterna?

Wesson wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i zerwał się z biurowego krzesła.

- W razie kłopotów ma pani zgłaszać się z nimi do mnie.
- Nie wydaje mi się, bym miała na to ochotę.
- Słucham?
- Powiedziałam, że nie wydaje mi się, bym miała na to ochotę.

Wesson spojrzał na Nicka, wyraźnie oczekując pomocy w okiełznaniu tej trudnej kobiety. Ten beznamiętnie odwzajemnił Spojrzenie i podał Laurant numer.

- Ale wystarczy nacisnąć trzydzieści dwa. Resztę wybierze automat.
- Niech pani posłucha - zaczął Wesson. - Wiem, że to, co powiedziałem, zabrzmiało...

Zatrzymała palec nad klawiszem.

- Gruboskórnienie, panie Wesson. To zabrzmiało bezlitośnie, okrutnie i gruboskórnienie.

Spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

- Osobiste antypatie nie pomogą nam w pracy. Próbuujemy złapać tego zbrojnicę, żeby nie było więcej trupów.
- Ona miała na imię Tiffany - przypomniał mu Nick.
- Chciałabym, żeby pan wypowiedział to imię - dodała Laurant.

Wesson pokręcił głową z taką miną, jakby był gotów powiedzieć wszystko, byle pozbyć się tej baby.

- Tiffany. Nazywała się Tiffany Tara Tyler.

Oddała telefon Nickowi i wyszła z domku. Wsiadła do samochodu, zanim zdążył otworzyć jej drzwi.

- Co za wredny facet! - rzuciła.
- Owszem - przyznał. - Ale przez ciebie się spocił, a nie sądziłem, że to jest możliwe.
- Nie rozumiem, dlaczego Pete powierzył dowództwo komuś takiemu.
- Nie zrobił tego. Pete jest w tej sprawie tylko konsultantem. Za wszystko odpowiada Frank O'Leary, a Wesson to jego podwładny.

Nick skreślił do miasteczka. Słońce niktęło właśnie za drzewami, a powierzchnia jeziora jarzyła się czerwonym blaskiem.

Laurant myślała o Tiffany.

- On naprawdę się ucieszył, kiedy usłyszał o tej biedaczce.

Nick uznał, że jego obowiązkiem jest sprostować.

- On się nie ucieszył z tego, że dokonano morderstwa. Podkorytowało go, że znamy miejsce zbrodni, bo to powinno wiele zmienić. Nie usprawiedliwiam jego zachowania - dodał. - Próbuje tylko wyjaśnić. On podobno jest dobry w tym, co robi. Pracowałem z nim tylko raz, dawno temu, i obaj byliśmy wtedy zieloni. Pete ma o nim dobre zdanie. Ale Wesson będzie musiał mi dowiedzieć, że na nie zasługuje.

- Powiedziałeś, że wiele powinno się zmienić, skoro znacie miejsce zbrodni. Dlaczego?

- Każdy morderca zostawia na miejscu zbrodni ślady, które specjaliści od sporządzania portretów psychologicznych nazywają jego podpisem. To jest wyraz chorobliwych, agresywnych fantazji i można się z niego wiele dowiedzieć.

- Sam mówiłeś, że on jest ostrożny. Może nie zostawił żadnych znaczących śladów?

- Na pewno zostawił - zapewnił ją Nick. - Jeśli jeden człowiek wchodzi w kontakt z drugim, to nawet gdy zachowuje daleko posuniętą ostrożność, zawsze są ślady. Kawalek włosa, płatek skóry, skrawek paznokcia, odcisk buta, nitka z koszuli czy spodni... Zawsze coś zostaje. Ale sztuka polega nie na tym, żeby to znaleźć, tylko żeby dokonać analizy znalezisk. Potrzeba na to dużo czasu i uwagi. W czasie gdy kryminolodzy robią swoje, zdjęcia miejsca zbrodni daje się specjalistom od portretów psychologicznych i on mówi, jakie fantazje snuje sprawca.

Zerknął na Laurant i mówił dalej:

- Podpis sprawcy jest jego psychologiczną wizytówką. Morderca może zmienić metody, miejsce, czas, ale nigdy nie zmienia swojego podpisu.

- Chcesz powiedzieć, że zawsze są powtarzalne elementy.

- Tak. Na przykład ślady na ciele albo sposób, w jaki ciało jest ułożone. Psycholog wyczytuje z tego, co naprawdę interesuje mordercę. Jeśli chodzi o tego człowieka, to mogę ci powiedzieć już w tej chwili, że chciałyby nad wszystkim panować.

Nick zatrzymał samochód na rogu Oak Street i Main Street. Młoda kobieta z wózkiem przeszła przez ulicę. Na moment

przystanąła przed maską, by zmierzyć Nicka spojrzeniem i pomachać Laurant, zaraz jednak ruszyła dalej.

- Mój dom jest za następną przecznicą, drugi z kolei. Ale nie chcę tam jechać. Wolałabym, żebyśmy zamieszkali w motelu.

- Musisz wrócić do domu i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

- Wiem, ale i tak wolałabym motel. Nawet nie chcę wejść do swojego domu.

- Rozumiem cię.

Pojechał dalej ulicą, wysadzaną drzewami starszymi od najstarszych mieszkańców miasteczka. Przyćmione światło zmierzchu zaczyło się przez nisko zwieszoną gałęzie, rzucało cienie na ziemię, ale na horyzoncie zbierały się ciemne burzowe chmury. Laurant ujrzała swój dom i przypomniała sobie, jak czarujący wydał jej się, gdy jechała do niego pierwszy raz. Był stary, zniszczony, a jednak go uwielbiała. Po wprowadzeniu się zaczęła od kupna huśtawki ogrodowej na ganek. Każdego ranka siadała na niej z filiżanką herbaty i czytała gazetę. Wieczorami gawędziła z sąsiadami, którzy pielęgnowali ogródki.

Poczucie spokoju i przynależności, które tu miała, znikło bez śladu. Nie była pewna, czy jeszcze kiedyś wróci.

- Kamera jest jeszcze zamontowana czy twoi koledzy ją zabrali? - spytała.

- Jest tam, gdzie była.

- Włączona?

- Tak. On nie może się dowiedzieć, że ją znaleźliście.

- To znaczy, że on nie widział agentów wchodzących do mojej sypialni?

- Nie. Znaleźli kamerę w przyległym pomieszczeniu - przypomniał jej. - I bardzo uważali, żeby nie dostać się w jej zasięg.

Zatrzymał samochód na podjeździe i zgasił silnik. Laurant, zapatrzona na dom, spytała:

- Skąd on ma takie urządzenie? Czy to można kupić w normalnym sklepie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wybuchnęła:

- Teraz może mnie obserwować za każdym razem, kiedy jestem w sypialni!

Nick położył jej dłoń na kolanie.

- Chcemy, żeby obserwował. To jest wspiania okazja, żeby

go sprowokować. Będziemy musieli odegrać przed kamerą sugestywną scenę miłosną.

- Wiem.

Niby nie tchórzyła, czuła jednak, że z każdą chwilą jest mniej zdecydowana. Jej życie zamieniło się w surrealistyczny film, gdzie nic nie jest tym, czym się wydaje, a najbardziej niewinne przedmioty i zdarzenia okazują się groźne i złowieszcze. Jej uroczy domek wciąż wyglądał przytulnie, ale wiedziała, że obcy człowiek dostał się do nieo i teraz na jej łóżko jest nakierowany obiektyw kamery.

- Jesteś gotowa wejść do środka?

Energicznie skinęła głową.

Nick widział jednak niepokój Laurant i postanowił odwrócić jej uwagę od tej przykrych chwili. Otwierając drzwi samochodu, powiedział:

- Holy Oaks to bardzo miłe miasteczko, ale i tak oszalałbym, gdybym miał tu zamieszkać. Gdzie jest ruch uliczny? Gdzie hałas?

Wiedziała, że chce jej pomóc. Zauważył, że nerwy ją zawiodą, i postanowił podjąć lepszy temat.

Stanęła obok niego na podjeździe.

- Lubisz ruch i hałas?

- Jestem do tego przyzwyczajony - odrzekł. Patrzyli na siebie, rozdzieleni samochodem. - Tutaj nie ma wielu piratów drogowych, prawda?

- Są, są. Kiedy syn szeryfa, Lonnie, wybiera się na przejażdżkę z przyjaciółmi, to mnóstwo ludzi ma ochotę zepchnąć jego samochód do rowu. Lonnie stwarza powszechne zagrożenie, a jego ojciec przymyka na to oko.

- Miejscowy czarny charakter, co?

- Tak".

Wzięła torebkę z tylnego siedzenia, a tymczasem Nick zlustrował otoczenie. Na podwórzu rósł wielki dąb, prawie taki sam jak w sąsiedztwie, przy narożnym domu. Z drugiej strony bielonego piętrowego domku było puste miejsce do parkowania. Przy końcu długiego podjazdu znajdował się wolno stojący garaż, a to znaczyło, że po wprowadzeniu doń samochodu Laurant musiała dojść przez podwórze do tylnych drzwi. Oba budynki znajdowały się blisko siebie, ale między nimi rosły drzewa i gęste krzaki, było więc dużo potencjalnych kryjówek. Nick zwrócił również uwagę na to, że nie ma latarni ani na domu, ani na garażu.

- Raj dla złodziei - stwierdził. - Mnóstwo zakamarków.

- Mam światło na ganku.
 - To nie wystarcza.
 - Wielu ludzi w Holy Oaks nawet nie zamyka drzwi na klucz, kiedy kładą się spać. W małym mieście wszyscy czują się bezpieczni.

- W każdym razie będziesz zamykać drzwi na klucz.
 - Juhuuu, Laurant! Witaj w domu.

Nick obrócił się i ujrzał na ganku sąsiedniego domu siwą panią, w agresywnie fiołkowej sukience z szerokim koronkowym kołnierzykiem. W dłoni trzymała cienką białą chusteczkę do nosa. Wyglądała na mniej więcej osiemdziesiąt lat i była chuda jak patyk.

- Miałyśmy tu trochę emocji podczas twojej nieobecności.
 - Naprawdę?! - odkrzyknęła Laurant. Podeszła do płotka sąsiadki i stanęła w oczekiwaniu na nowiny.
 - Nie każ mi krzyczeć, moja droga! - delikatnie skarciła ją Betty Jean. - Chodź tutaj i przyprowadź ze sobą tego młodego człowieka.

- Dobrze, proszę pani.
 - Chce wiedzieć, kim jesteś - szepnęła Nickowi.

Chwycił ją za rękę i odszepnął:

- Uwaga, przedstawienie.
 - Miłosne?

- Tak, kochanie. - Z tymi słowami pochylił się i czule ją cmoknął.

Bessie Jean Vanderman z ganku swojego domu wszystkimu dokładnie się przyglądała. Gdy patrzyła na uśmiechniętą parę, oczy miała wielkie jak spodki.

Płotek ze sztachet okalał całe podwórko. Nick puścił rękę Laurant, by otworzyć furtkę. Idąc za nią cementowym chodnikiem i dalej po schodkach na ganek, spostrzegł drugą starszą panią, przyglądającą mu się zza zasłony chroniącej przed owadami. W domu było ciemno, więc twarz kobiety spowijał mrok.

- Jakie miałyście emocje? - spytała Laurant.

- Chuligan włamał się do twojego domu. - Bessie Jean zniżyła głos, jakby zdradzała tajemnicę, i pochyliła się do Laurant. - Zatelefonowałam po Tosia. Kazałam mu natychmiast przyjść i sprawdzić, co się stało. Zdaje mi się, że nikogo nie aresztował. Zostawił chuligana w środku i biegiem wrócił do swojego samochodu. To był dopiero widok. W każdym razie Tosio nie jest na tyle dobrze wychowany, żeby tu przyjść i wyjaśnić, co zaszło. Najlepiej

sama zobacz, czy nic ci nie zginęło. - Wyprostowała się i trochę cofnęła, aby dokładniej przyjrzeć się Nickowi. - A któż to jest ten przystojny młody człowiek obok ciebie? Chyba nigdy dotąd nie spotkałam go w Holy Oaks.

Laurant w pośpiechu zadośćuczyniła wymogom grzeczności, ale Bessie Jean długo mierzyła Nicka wzrokiem. Ta starus/ka niczego nie przegapi, pomyślała, widząc bystrość malującą się w jej zielonych oczach.

- Czym się pan zajmuje, panie Buchanan?
 - Jestem z FBI, proszę pani.

Bessie Jean poderwała rękę i przytknęła dłoń do szyi. Przez chwilę sprawiała wrażenie bardzo zaskoczonej, wnet jednak się opanowała.

- Dlaczego nie powiedział pan od razu? Chciałabym zobaczyć pańską odznakę.

Nick wyjął identyfikator i podał go starszej pani. Obejrzała go pobieżnie i zwróciła Nickowi.

- Nic spieszyło ci się, młody człowieku.
 - Słucham?

W jej dziarskim tonie słychać było krytyczną nutę.

- Siostra i ja nie lubimy, kiedy każe nam się czekać.

Nick nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi starus/ka. a zdumienie Laurant wskazywało, że i ona jest w kropce.

Bessie Jean szeroko otworzyła przed nimi drzwi domu.

- Nie widzę powodu, żeby dalej tracić czas. Proszę do środka, może pan od razu rozpocząć śledztwo.

- W jakiej sprawie mam prowadzić śledztwo? - spytał, wchodząc za Laurant do domu.

Czekała tam na nich siostra Bessie Jean. Laurant znów musiała przedstawić Nicka. Podchodząc, by uściśnąć mu dłoń. Viola zdjęła okulary i wsunęła je do kieszeni fartucha. Była niższa, pulchniejsza i znacznie bardziej dobroniuszka z wyglądu niż jej siostra.

- Czekaliśmy i czekaliśmy - powiedziała. Poklepała Nicka po dłoni i ciągnęła: - Ja już zwątpiłam w pana przyjazd, ale Bessie Jean nigdy nie traci wiary. Była przekonana, że list nie dotarł. gdzie trzeba, i dlatego napisała następny.

- To niepodobne do FBI tak się ociągać - rzekła Bessie Jean. - Dostałam więc do wniosku, że poczta zgubiła list. No i napisałam drugi, a kiedy i na niego nie było odpowiedzi...

- Napisała do samego dyrektora - wyjaśniła Viola.

Bessie Jean wprowadziła ich do salonu. Pokój był chłodny i ciemny, pachniał cynamonem i wanilią. Jedna z sióstr niewątpliwie coś piekła, a Nick natychmiast usłyszał, że burczy mu w brzuchu. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki jest głodny.

Ale na kolację musiał jeszcze poczekać. Obejrzał zapchany antykami pokój. Przed nim znajdował się kominek. Na jego gzymsie stały rzędem świece, a powyżej wisiał duży olejny obraz, przedstawiający psa na czerwono-fioletowej poduszce. Zwierzak wydawał się mieć zeza.

Bessie Jean zaprosiła Laurant i Nicka na wiktoriańską sofę, potem zdjęła dzierganą poduszkę z wiklinowego fotela na biegunach i usiadła, zakładając nogę na nogę, tak jak nauczyła ją matka. Plecy miała tak proste, że można by położyć jej na głowie kilka tomów encyklopedii.

- Wymuj notes, mój drogi - poleciła.

Nick właściwie tego nie usłyszał. Jego uwagę przykuły zdjęcia w srebrnych ramkach, znajdujące się wszędzie na stolikach i ścianach. Na każdym z nich został uwieczniony ten sam pies, prawdopodobnie sznaucer, a może mieszaniec.

Laurant dotknęła jego ramienia i powiedziała:

- Bessie Jean i ktoś do FBI napisały do FBI z prośbą o pomoc w rozwiązaniu tajemniczej sprawy - wyjaśniła.

- Wcale nie tajemniczej - sprostowała Viola. - Dokładnie wiemy, co się stało. - Siedziała na wielkim miękkim krześle z obiciem w kwiaty.

- Tak, tak, wiemy, co się stało - potwierdziła Bessie Jean, kiwając głową.

- Dlaczego nie podasz mu szczegółów, siostrze?

- Jeszcze nie wyjął notesu i długopisu.

Viola wstała i poszła do jadalni, a tymczasem Nick klepał się po kieszeniach, chociaż wiedział, że notesu tam nie znajdzie. Został w samochodzie, razem z teczką.

Viola wróciła po chwili z różowitkim notesem wielkości kalkulatora i dziwacznym, lecz również różowym długopisem, który zdobiło dobrane kolorystycznie ptasie pióro.

- To powinno się nadać - powiedziała.

- Dziękuję. Czy teraz powiedzą mi panie, o co chodzi?

Widzę, że dyrektor był niefrasobliwy i nie wyjaśnił ci, mój drogi, na czym polega twoje zadanie - stwierdziła Bessie Jean. - Przyjechałeś tutaj przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa.

- Słucham?

Bessie Jean cierpliwie powtórzyła swoje słowa. Viola skinęła głową.

- Ktoś zamordował Daddy'ego.

- Daddy był domowym ulubieńcem - wyjaśniła Laurant, wskazując olejny portret.

- Miał imię po naszym tatusiu, pułkowniku - dodała Viola.

Nickowi trzeba zapisać na plus, że zdołał powściągnąć uśmiech.

- Rozumiem.

- Domagamy się sprawiedliwości - oświadczyła Viola.

Bessie Jean wpatrywała się w niego, marszcząc czoło.

- Młody człowieku, nie chcę krytykować...

- Tak, słucham panią.

- Nigdy nie słyszałam o przedstawicielu prawa, który nie miałby notesu i długopisu. Ten pistolet, który masz przy pastę, jest naładowany, prawda?

- Tak, proszę pani.

Bessie Jean została usatysfakcjonowana. Posiadanie broni było jej zdaniem, niezwykłe ważne, gdyż po złapaniu sprawcy mogło się przecież okazać, że trzeba go będzie zastrzelić.

- Czy miejscowe władze zbadały tę sprawę? - spytał Nick.

- Nie sprawę, mój drogi - poprawiła go Viola. - To było morderstwo.

- Wezwaliśmy natychmiast Tosia, ale on, naturalnie, nie zrobił niczego, żeby ująć przestępcę - poskarżyła się Bessie Jean.

Viola, która koniecznie chciała pomóc, przerwała siostrze.

- Tosio jest naszym szeryfem. Ten przydomek znaczy po prostu „tłusty osioł”. Zapisz to, mój drogi.

Nick nie mógł się zdecydować, czy bardziej razi go nadanie psu imienia Daddy, czy dostojna starsza pani, mówiąca o tłustym osle.

- Niech mi panie opowiedzą dokładnie, jak to się stało.

Bessie Jean z ulgą spozjrzała na siostrę i zaczęła:

- Uważamy, że Daddy'ego otruto, ale nie możemy być tego całkiem pewne. Przywiązaliśmy go na łańcuchu przy tym wielkim dębnie na podwórzu od frontu zawsze w dzień i czasami wieczorem, zwłaszcza w te soboty, kiedy było bingo. Chciałyśmy, żeby mógł odetchnąć świeżym powietrzem.

- Naturalnie posesja jest ogrodzona, ale Daddy mógłby przeskoczyć płot, więc wolałyśmy trzymać go na łańcuchu - wyjaśniła Viola. - Pisziesz to, mój drogi?

- Tak, proszę pani.
- Daddy cieszył się znakomitym zdrowiem - powiedziała Bessie Jean.
- Miał dopiero dziesięć lat i był w pełni sił - uzupełniła Viola.
- Jego miskę zastałam przewróconą - relacjonowała jej siostra, kołyszając się na fotelu i wachlując twarz chusteczką.
- Daddy sam na pewno by jej nie przewrócił, bo miała specjalnie obciążony spód.

Bessie Jean znowu skinęła głową.

- Tak jest. Był mądry, ale nosa pod tę miskę nie umiałyby wsunąć.
- Ktoś musiał ją przewrócić - skonstatowała Viola.
- Przypuszczamy, że trucizny dodano do wody, a gdy biedny Daddy wypił duży łyk, przestępca pozbył się obciążającego dowodu.
- Wiemy nawet, jak to zrobić - oznajmiła Viola. - Wylał zatrutą wodę na grządkę z niecierpkami. Zniszczył moje kwiaty. Jednego dnia ślicznie kwitły, a następnego wszystkie były zwiędnięte i pobrązowiełe. Wyglądały tak, jakby ktoś oblał je kwasem.

W głębi domu rozległ się dzwonek. Viola z wysiłkiem wstała z krzesła.

- Przepraszam, muszę wyjąć babeczki z piecyka. Czy mogę przy okazji coś wam przynieść, moi drodzy?
- Nie, dziękuję - odparła Laurant.

Nick był pochłonięty notowaniem, ale podniósł głowę znad notesu i powiedział:

- Wypiłbym chętnie szklankę wody.
- Często pijamy wieczorami dzin z tonikiem - powiedziała Viola. - To bardzo odświeżająca mieszanka w upalne, parne dni. Może ci przynieść, mój drogi?
- Woda wystarczy.
- On jest na służbie, siostrzo. Nie może pić alkoholu.
- Nick nie zaprzeczył. Skończył notować, a potem spytał:
- Czy pies szczekał na obcych?

- Ojej, pewnie, że tak - odparła Bessie Jean. - To był wspianiały stróż. Za nic nie dopuściłby obcego blisko domu. Szczekał na wszystkich. Nawet na przechodniów, którzy mijali nasz płotek. - Mówienie o psie było dla niej wyraźnie stresujące. Staruszka kiwała się na fotelu coraz energiczniej. Nick miał przykre przeczucie, że lada chwila grozi jej przekezołkowanie do tyłu. - Teraz mamy w miasteczku trochę obcych, którzy pracują w opactwie. Trzej

mężczyźni wprowadzili się do domu starego Morrisona po drugiej stronie ulicy. Wynajęli tam mieszkanie. Dwaj inni mieszkają u Nicholsonów, przy najbliższej przecznicy.

- Daddy nie lubił żadnego z nich - wtrąciła Viola, wracająca z jadalni. Niosła szklankę wody z lodem i po chwili postawiła ją na stoliku, który przedtem nakryła wyjętą z kieszeni serwetką.

Nick szybko nabierał przekonania, że Daddy nie lubił nikogo.

- Tym katolikom zawsze wszędzie się spieszy - zauważyła Bessie Jean, najwyraźniej zapomniawszy, jakiego wyznania jest Laurant i kim jest jej brat. - Moim zdaniem, to są strasznie niecierpliwi ludzie. Chcą koniecznie skończyć renowację opactwa na święto narodowe czwartego lipca.

- To jest również rocznica ufundowania opactwa - przypomniała jej siostra.

Bessie Jean zorientowała się, że odchodzą od głównego tematu, czyli śledztwa.

- W każdym razie kazałyśmy doktorowi wsadzić Daddy'ego do lodówki, żebyś mógł dopilnować przeprowadzenia sekcji, mój drogi. Notujesz to wszystko?

- Tak, proszę pani - zapewnił ją Nick. - Proszę mówić dalej.

- Tymczasem wczoraj dostałam od doktora rachunek za kremację zwłok Daddy'ego. Byłam wstrząśnięta, natychmiast do niego zadzwoniłam. Sądziłam, że zaszło nieporozumienie.

- Czy rzeczywiście dokonano kremacji?

Starsza pani poruszyła chusteczką przy kącikach oczu, a potem znowu zaczęła się wachlować.

- Tak. Doktor powiedział mi, że zadzwonił do niego mój siostrzeniec i powiedział, że zmieniliśmy zdanie co do sekcji. więc może załatwić kremację.

- I weterynarz go posłuchał, nie konsultując się z paniami!'

- Tak - odrzekła Viola. - W ogóle nie przyszło mu do głowy, żeby do nas zatelefonować.

- Siostrzeniec pań...

- W tym rzecz! - wykrzyknęła Bessie Jean. - Nie mamy żadnych siostrzeńców.

- Moim zdaniem, przestępca chciał usunąć dowód zbrodni - powiedziała Viola. - Czyż nie mam racji?

- Na to wygląda - przyznał Nick. - Chciałbym zobaczyć te kwiaty.

- Niestety, mój drogi - powiedziała Viola. - Justin pomógł mi

wykopać korzenie i posadzić nowe rośliny. Zobaczył mnie w ogródku na kolanach i mimo że był po dniu ciężkiej pracy, bo on robi stolarkę w opactwie, przyszedł i mi pomógł. Ja już nie daję sobie rady z utrzymaniem podwórza.

- A kto to jest ten Justin?

- Justin Brady - odpowiedziała zniecierpliwiona Bessie Jean. - Chyba już o nim wspominałam.

- Nie, nie - skorygowała ją siostra. - Powiedziałaś, że trzech robotników wprowadziło się do domu starego Morrisona, a dwóch innych mieszka u Nicholsonów. Ale nic mówiłaś, jak się nazywają. Dobrze słyszałam każde twoje słowo.

- W każdym razie chciałam wspomnieć - odparła Bessie Jean. - Znam tylko tych trzech z drugiej strony ulicy. Między innymi Justina Brady'ego. Tylko jego lubimy.

- Bo on mi pomógł - wyjaśniła Viola. - Dwaj pozostali nazywają się Mark Hanover i William Lakeman. Siedzieli razem na ganku i popijali piwo. Wszyscy widzieli, jak się męczę, ale tylko Justin przyszedł mi pomóc. Dwaj pozostali dalej pili piwo.

- I co, młody człowieku? Czy wierzysz nam, że Daddy został zamordowany, czy może uważasz nas za dwie zdziwaczęce staruszki, które szukają sensacji?

- Po tym, co panie mi powiedziały, muszę przyznać, że jeśli wszystko było prawdą, to psa najprawdopodobniej rzeczywiście zabito.

Laurant szeroko otworzyła oczy:

- Tak sądzisz?

- Tak - potwierdził.

Bessie Jean klasnęła w dłonie. Była bardzo podniecona.

- Wiedziałam, że FBI mnie nie zawiedzie. Powiedz mi teraz, mój drogi, co dalej z tym zrobisz.

- Muszę sam przyjrzeć się tej sprawie. Na pewno trzeba wziąć próbki ziemi z tej grządki, gdzie były kwiaty. No i miska... wciąż ją panie mają, prawda?

- Tak - odrzekła Viola. - Jest w garażu, spakowana ze wszystkimi ulubionymi zabawkami Daddy'ego.

- Czy będziesz nas na bieżąco powiadamiał o postępach śledztwa? - spytała Bessie Jean.

- Na pewno. Czy przypadkiem nie umyły panie tej miski?

- Chyba nie - powiedziała Viola. - Byłyśmy takie poruszone.

że po prostu ją schowałyśmy, żeby nie rzucała nam się w oczy i nie przypominała Daddy'ego.

- Viola chciała nawet zdjąć portret ze ściany i spakować wszystkie zdjęcia, ale jej nie pozwoliłam. To bardzo krzepiące. że Daddy się do nas uśmiecha.

Wszyscy zgodnie spojrzeli na olejny obraz. Nick zastanawiał się, skąd staruszka wie, że pies się uśmiecha, a tymczasem Laurant próbowała zrozumieć, jak siostry mogą mieć tyle sentymentu dla złośliwej kreatury, która rzucała się na każdego, kto wszedł na podwórko. Daddy pogryzł tylu ludzi, że miejscowy weterynarz umieścił na tablicy ogłoszeń w lecznicy zdjęcie psa z opisem jego rekordu.

- Mamy nadzieję, że sprawcą okaże się ktoś spoza naszej spokojnej doliny. Przykro nam nawet pomyśleć, że ktoś miejscowy mógłby się dopuścić takiego strasznego czynu - rzekła Viola.

- Powiedziałałabym, że syn szeryfa mógłby być zdolny do takiego okrucieństwa. Z Lonniem zawsze było mnóstwo kłopotów. On ma w sobie coś takiego paskudnego. Naturalnie po ojcu.

- Tak, to jest przewrotny chłopak, święte słowa. Jego matka umarła parę lat temu. Nie należy źle mówić o umarłych, ale to była straszna myszka. Nigdy nie miała własnego zdania, nawet kiedy jeszcze była młodą panną. W dodatku okropnie na wszystko narzekała, prawda Bessie Jean?

- Oj, tak, tak.

- Powiedziały panie, że w miasteczku jest dużo obcych - odezwał się Nick. Czy może zauważyły panie kogoś, kto kręcił się w pobliżu ich domu albo domu Laurant?

- Dużo siedzę na ganku, a czasem nawet spoglądam w okna wieczorami, żeby się przekonać, czy wszystko jest tak, jak powinno być, ale do wczoraj nikogo podejrzanego nie zauważyłam. Jak już mówiłam, większość obcych stanowią robotnicy, pomagający w remoncie opactwa. Niektórzy przyjechali naprawdę z daleka, z Nebraski i Kansas.

Postawiła obie stopy na podłodze i raptownie przestała się bujać. Pochyliła się z nadzieją ku Laurant i Nickowi, po czym spytała:

- Zostaniecie na kolację?

- Mamy dzisiaj makaron - oznajmiła Viola. Z wysiłkiem wspierając się na poduchach, znowu wstała z niskiego krzesła i ruszyła w stronę kuchni.

- Do makaronu jest wołowina, a poza tym domowe bułeczki z cynamonem, no i dorobię sałatki.

- Nie chcemy sprawiać wam kłopotu - zastrzegła się Laurant.

- Z chęcią przyjmujemy zaproszenie - odezwał się równocześnie Nick.

- Laurant, pomóż mojej siostrze, a ja dotrzymam towarzystwa Nicholasowi.

- Chodź, moja droga. Nakryjemy do stołu - powiedziała Viola. - Zjemy w kuchni, ale weźmiemy gościnny serwis.

Bessie Jean nie traciła czasu. Gdy tylko Laurant znikła z pola widzenia, pochyliła się jeszcze bardziej na swym bujanym fotelu i zapytała, w jaki sposób Nick i Laurant tak się zaprzyjaźnili.

Właśnie na taką okazję czekał. W ogólnych zarysach opowiedział starszej pani o swej przyjaźni z Tomimym i o tym, jak wezwano go na pomoc, gdy człowiek, który przyszedł do spowiedzi, zagroził, że skrzywdzi Laurant.

- Zbliżyło nas właśnie to przykre zdarzenie - wyjaśnił. - Nasi specjaliści są zgodni co do tego, że mężczyzna był fantazją, który szukał silnych wrażeń. Zna pani ten rodzaj ludzi. Koniecznie chcą kogoś przestraszyć i namieszać. Najważniejsze jest dla nich zwrócenie na siebie uwagi. W każdym razie ten, który groził Laurant, nie należał chyba do zbyt lotnych. Najprawdopodobniej ma niski iloraz inteligencji i jest impotentem.

Bessie Jean splonęła rumieńcem.

- Impotentem, powiadasz?

- Tak przynajmniej uważają nasi specjaliści, proszę pani.

- Czyli nie przyjechałeś tutaj przeprowadzić śledztwa w sprawie morderstwa Daddy'ego?

Od dłuższej chwili zastanawiał się nad tym, kiedy staruszka wreszcie to zrozumie.

- Nie, ale skoro już tu jestem, to się nim zajmę - obiecał.

Bessie Jean z powrotem usiadła na bujanym fotelu.

- Opowiedz mi trochę o sobie, Nicholasie.

Uniki nie pomagały. Starsza pani drażyła go z bezwzględnością doświadczonego śledczego. Chciała wiedzieć wszystko o nim i jego rodzinie.

Poratowała go Laurant, która stanęła na progu i zawołała ich na kolację. Nick poszedł więc za Bessie Jean do kuchni. Delikatna porcelana z kwietnym wzorkiem stała na białym płóciennym obrusie, który prawie całkiem zasłaniał chromowane nogi stołu.

Nick oczarował staruszki manierami dżentelmena. Gdy odsunął dla nich krzesła, siostry rozpromieniły się z zachwytu.

Sałatka okazała się kompozycją bryłek limonkowej galaretki na liściach sałaty, polaną majonezem. Nick nie znosił galaretki, ale potulnie zjadł swoją porcję, żeby nie urazić staruszek. W czasie gdy męczył się z tym daniem, Betty Jean wtajemniczyła Violę we wszystko, co stało się w Kansas City.

- Popatrz tylko, czego teraz ludzie nie zrobią, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. To straszne, naprawdę straszne. Ojciec Tom musiał być wstrząśnięty.

- O, tak - potwierdziła Laurant. - Nie wiedział, co robić, więc zatelefonował do Nicka.

- Przynajmniej wyniknęło z tego coś dobrego - stwierdził Nick, Puścił oko do Laurant i dodał: - Wreszcie poznałem siostrę Toma.

- I od razu cię ujęła. - powiedziała Bessie Jean takim tonem, jakby nic mogło to budzić żadnych wątpliwości.

- To oczywiście - z entuzjazmem potwierdziła Viola. - Laurant jest najładniejszą panną w Holy Oaks.

- To była miłość od pierwszego wejrzenia - rzekł Nick, przesyłając Laurant spojrzenie pełne uwielbienia. - Nie wierzyłem, że coś takiego może się zdarzyć, póki sam tego nie przeżyłem.

- A ty, Laurant? - zainteresowała się Viola. - Ty też zakochałaś się w nim od pierwszego wejrzenia.

- O, tak - westchnęła.

- Jakie to romantyczne - zachwyciła się Viola. - Nie sądzisz, że to romantyczne, Bessie Jean?

- Naturalnie, że romantyczne - zgodziła się jej siostra. Ale czasem taka miłość bywa jak słomiany ogień. Nie chciałabym, żeby nasza Laurant skończyła ze złamanym sercem. Rozumiesz, o co mi chodzi. Nicholasie?

- Tak, proszę pani, ale między nami jest inaczej.

- Powiedz mi wobec tego, jakie masz zamiary.

- Chcę się z nią ożenić.

Viola i Bessie Jean popatrzyły po sobie i wybuchnęły śmiechem.

- Czy myślisz o tym samym co ja, siostrze? - zachichotała Bessie Jean.

- Na pewno tak. - Viola przesłała siostrze porozumiewawczą uśmiesz.

- To jest wspaniała wiadomość - oświadczyła Bessie Jean. - Rozumiem, że ojciec Tom dał wam swoje błogosławieństwo?

- O, tak - potwierdziła Laurant. - Bardzo się cieszy, że tak tam się ułożyło.

Laurant i Nick wymienili spojrzenia, zdziwieni śmiechem starszek.

- Nicholas, nie śmiałyśmy się z twojej wspianiałej nowiny. Tylko... - zaczęła Viola.

- Steve Brenner - odpowiedziała Bessie Jean. - Wpadnie w histerię, kiedy się o was dowie. Och, mam nadzieję, że będziemy mogły zobaczyć to z siostrą na własne oczy. Pan Brenner ma wobec ciebie wielkie plany, Laurant.

- Nigdy się z nim nie spotykałam i nie sądzę, bym w jakikolwiek sposób zachęcała go do zwracania na mnie uwagi.

- On się w tobie zadurzył, moja droga - wytłumaczyła Viola.

- Nie, on ma obsesję na jej punkcie - sprostowała jej siostra. Jesteś najładniejszą panną w Holy Oaks, więc on musi cię mieć. Jemu się zdaje, że jeśli będzie miał wszystko co najlepsze, to będzie najważniejszym człowiekiem w miasteczku. Dlatego kupił sobie to wielkie stare domiszcze. Ale po mojemu pan Brenner jest po prostu starym napuszonym kogutem, który dumnie przechadza się po mieście. - Zwróciła się do Nicka: - Jemu się zdaje, że może mieć wszystko, czego zechce, nie wyłączając twojej Laurant.

- No, to czeka go niespodzianka - rzekł Nick.

Bessie Jean uśmiechnęła się.

- Oj, tak, tak. Zauważyłeś chyba, że nie mamy z siostrą wysokiego mniemania o tym człowieku.

- Zauważyłem - odparł Nick ze śmiechem.

- Nasi całkiem go lubią - powiedziała Viola. - Ale wiemy dlaczego. Pan Brenner daje pieniądze na wszystkie tutejsze akcje dobroczynne i dlatego ludzie dobrze o nim mówią. Poza tym jest przystojny. Ma bardzo ładne i gęste włosy.

Bessie Jean skrzywiła się pogardliwie.

- Mnie nie tak łatwo zaimponować. Nie lubię ludzi na pokaz, a pan Brenner szasta pieniędzmi na prawo i lewo, jakby siał trawę. Zaraz stracę apetyt, jeśli nie przestaniemy o nim rozmawiać. Powiedz lepiej, Laurant, czy jesteście z Nickiem oficjalnie zaręczeni, czy chcecie, żebyśmy utrzymały wasze narzeczeństwo w sekrecie. Umiemy dotrzymać tajemnicy, kiedy trzeba - zapewniła.

- Możecie mówić, komu tylko chcecie. Jutro albo pojutrze

idziemy z Nickiem kupić pierścionek zaręczynowy. Laurant z podnieceniem wysunęła przed siebie rękę i poruszyła palcami. Nie chcę, żeby był zbyt duży.

- Nie zapomnijcie o daniu ogłoszenia do gazety. Mogłabym wam w tym pomóc - zaoferowała się Bessie Jean. Jej gorliwość i błysk w oczach wskazywały, że nie może się doczekać, kiedy przekaze nowinę córce swojej przyjaciółki, Lornie Hamburg, która akurat redagowała kolumnę towarzyską w lokalnej gazecie. - Mogę zatelefonować do Łomy po kolacji.

- Dziękujemy za pomoc, to bardzo miło z twojej strony powiedziała Laurant.

- Czy powinnam wspomnieć o problemie w Kansas City?

Laurant nie była tego pewna, więc zerknęła na Nicka, a ten szybko odparł:

- Oczywiście. Pani redaktor prawdopodobnie będzie chciała dokładnie poznać okoliczności, w jakich zawarliśmy znajomość. Mam rację, kochanie?

To czułe słówko nie było wyrachowane. Wyrwało mu się mimo woli i sam był zaskoczony, gdy je usłyszał.

- Tak, najdroższy. Myślę, że Bessie Jean powinna też powiedzieć Lornie, że, zdaniem FBI, ten mężczyzna ma zaburzenia emocjonalne i kompleks niższości.

- Och, siostra na pewno powie Lornie wszystko od A do Z - zapewniła Viola. Podała Nickowi półmisek z wołowiną, zachęcając go do wzięcia dodatków. Odsunął nieco krzesło od stołu i poklepał się po brzuchu na znak, że nie zmieści już ani kęsa.

- Tak wiele jest teraz ludzi z różnymi zaburzeniami - powiedziała Bessie Jean, kręcąc głową. - To bardzo pocieszające, że będziemy miały w sąsiedztwie agenta FBI.

- Gdzie zamieszkas, Nicholasie?

- U Laurant - odparł. - Ona jest silną kobietą, ale chcę być na miejscu, żeby mieć pewność, że nic jej nie grozi ze strony takich ludzi jak Steve Brenner i inni, którzy chcieliby jej psuć krew.

Siostry jak na komendę uniosły brwi i wymieniły spojrzenia, których Nick nie potrafił zinterpretować. Najwyraźniej powiedział coś, co spotkało się z dezaprobatą starszych pań, ale nie miał pojęcia co takiego.

Bessie Jean odłożyła widelec, odsunęła talerz i splótłszy dłonie

na stole, przez chwilę, zbierała myśli, by wreszcie zwrócić się bezpośrednio do Laurant.

- Moja miła, będę obcesowa. Wiem to i owo o hormonach szalejących w młodych ciałach. Mogę być stara i zdziwaczała, ale oglądam swoje ulubione programy w telewizji i jestem na bieżąco. Nie masz matki ani ojca, którzy udzieliliby ci rady. Oczywiście wiem, że jesteś dorosła, ale mimo to potrzebujesz kogoś starszego i bardziej doświadczonego, żeby od czasu do czasu szepnął ci rozsądne słówko. Każda młoda kobieta tego potrzebuje. Siostra i ja bardzo cię polubiłyśmy, a z sympatią nierozdzielnie łączy się troska. Dlatego zapytam cię wprost. Nicholas będzie cię chronił przed innymi mężczyznami, ale jaką masz ochronę przed Nicolasem?

- Ona mówi o twojej nocie, moja miła - dopowiedziała Viola.
- Mamy umowę - zaczął Nick. - Obiecaliśmy sobie, że nie zrobisz niczego niewłaściwego i podobnie Laurant.

- Ludzie będą gadać, oczywiście za waszymi plecami - zauważyła Viola.

- I tak będą gadać - powiedziała Bessie Jean. - Zresztą najlepsze intencje czasem idą w zapomnienie pod wpływem czaru chwili. Rozumiecie, o czym mówię, prawda?

Laurant otworzyła usta, ale nie dobyło się z nich żadne słowo. Spojrzała błagalnie na Nicka.

- Do rzeczy. Bessie Jean - przynagliła siostrę Viola i równo złożywszy serwetkę, wstała od stołu.

- W porządku, już mówię. - Delikatnie otarła serwetką kąciki ust. - Bezpieczny seks, Nicholasie.

- Tak, tak, siostrzo - zawtórowała jej Viola. Obeszła stół, zbierając z niego talerze. - Chcemy, żebyście pamiętali, że seks musi być bezpieczny. Zjemy coś na deser?

18

Ijteve Brenner kipiał ze złości. Tym razem ta wstrętna dziwka naprawdę przesadziła. Nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek robił 7. niego głupca. Był najwyższy czas, żeby dać Laurant nauczkę, podobnie jak temu facetowi, który był wszystkim winien. Co, u diabła, ona sobie wyobraża?! Że może do woli upokarzać jego, Steve'a Brennera, przed współnikami i znajomymi, sprowadzając sobie faeta do domu?

Jak w ogóle można się zakochać w ciągu weekendu?

Rozwścieczony nowiną, którą przyniósł szeryf Lloyd. Steve chwycił za krzesło i cisnął nim przez pokój. Strąciło z biurka lampę, która roztrzaskała się o podłogę. Nie ulżyło mu. więc z całej siły wyrzucił pięścią w ścianę. Świeża farba rozprysnęła się na wszystkie strony. Na czystej krwistoczerwonej koszulce polo Steve'a pojawił się biały rzucik. Posypał się tynk skruszony pięścią, a skóra na knykciach nie wytrzymała zetknięcia z cementem. Nie zważając na ból i na zrobiony przez siebie bałagan, Steve raptownie cofnął rękę, a potem otrząsnął się jak pies, który wyszedł z wody.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio wpadł w taką wściekłość, wiedział jednak, że musi zachować jasność myślenia i rozważyć różne możliwości. Bądź co bądź. on był tutaj mistrzem ceremonii, 'la dziwka wkrótce to zrozumie. Nie mogło być inaczej.

Szeryf Lloyd siedział na krześle za biurkiem. Wydawał się całkiem rozluźniony, ale w rzeczywistości był spłoszony jak opus zapędzony do rogu, wiedział bowiem, do czego jest zdolny Steve, gdy wpadnie w gniew. Boże, naprawdę nie chciał nigdy więcej oglądać współnika w takim stanie.

Nowiutka srebrna kłamra od pasa boleśnie ugniatała mu brzuch. mimo to szeryf bał się poruszyć. Nie chciał zrobić czegoś, co

mogłoby zwrócić na niego uwagę, póki Steve nie opanuje wybuchu gniewu.

Czerwone krople krwi rytmicznie spadały Steve'owi na spodnie khaki i spływając po nich ku kolanu, zamieniały się w ciemne smugi. Lloyd zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu o tym. Wiedział przecież, jaką wagę przywiązuje on do swego wyglądu, rozsądek kazał mu jednak milczeć i udawać, że niczego nie zauważył.

Większość kobiet w miasteczku uważała, że Steve jest przystojny, szeryf zresztą był skłonny przychylić się do ich zdania. Brenner miał falowane kasztanowe włosy i pociągłą twarz, może odrobinę za chudą, ale kiedy się uśmiechał, kobiety widziały w nim tylko charyzmę. Teraz jednak na jego twarzy nie było uśmiechu, a gdyby te same kobiety spojrzały w lodowato zimne oczy, wcale nie wydałby się im przystojny. Może nawet wzbudziłyby lęk, tak samo jak w Lloydzie.

Steve zaciskał i rozczapierzał palce i stojąc przy oknie plecami do szeryfa, obserwował rynek. Trzech nastolatków jeździło na deskorolkach po chodniku, zupełnie nie zwracając uwagi na znaki, zakazujące poruszania się rowerzystom i skateboardzistom. Gdy jeden z wyrostków, chłopak z ufarbowanymi na pomarańczowo, długimi, nierównymi włosami, przypadkowo wpadł na szybę apteki, Conrad Kellogg wybiegł przed nią, wymachując rękami.

Po przeciwnej stronie otworzyły się drzwi sklepu Laurant i na dwór wyszli bracia Winstonowie w roboczych kombinezonach. Pracowali do późnego wieczoru. Paliły się już latarnie na ulicach, co oznaczało, że jest po siódmej. Wszystkie sklepy z wyjątkiem apteki zamykano o szóstej. Bliźniacy pracowali po godzinach, żeby przygotować otwarcie sklepu w terminie. Steve przyjrzał się, jak Winstonowie zabezpieczają świeżo wykonaną witrynę.

- Cholerne marnotrawstwo pieniędzy - mruknął.
- Co takiego, Steve?

Nie odpowiedział. Ponieważ był głęboko zamyślony, Lloyd uznał, że może teraz bezpiecznie poprawić swoją pozycję na wygodniejszą. Rozpiął pas i zsunął go niżej, rozpiął spodnie, żeby jego pokaźny brzuch odpoczął, a potem wyjął z kieszeni kozik i zaczął usuwać brud z poszczerbionych paznokci.

- Człowiek weźmie sobie parę dni wolnego, pojedzie na ryby

i co? Ona od razu zakochuje się w innym facecie. Sukinsyn. Gdyby chociaż dała mi szansę... gdyby chciała mnie lepiej poznać, to na pewno zakochałaby się we mnie. Musiałaby. Umiem być kurewsko czarujący, jeśli chcę - zapewnił Steve.

Lloyd nie wiedział, czy powinien uspokoić współnika, czy raczej wyrazić współczucie. Wybór niewłaściwej reakcji mógł być gorszy niż milczenie, dlatego szeryf poprzestał na głośnym chrząknięciu, Steve'owi zostawił zaś interpretację jego znaczenia.

- Ale ona nawet się ze mną nie spotka - pienił się dalej Steve. - Chciałem tylko, żeby dała mi szansę. Sądziłem, że potrzebuję czasu na oswojenie się z tą myślą, potem może przesłałbym jej kwiaty i znowu spróbował zaprosić na kolację. Widziałeś, w jaki sposób ignorowała mnie na przyjęciu w zeszłym miesiącu? Nie dopuściła mnie na dwa metry do siebie, chociaż stawałem na uszach, żeby z nią porozmawiać. Zachowywała się tak, jakbym był natrętną muchą. Ludzie też zwrócili na to uwagę. Widziałem, jak mi się przyglądają.

- Spokojnie, Steve. Wcale nie jest tak, jak ci się zdaje. Wszyscy w Holy Oaks wiedzą, że żenisz się z Laurant. Ona też na pewno o tym wie. Może po prostu chce się wyszumieć, zanim się ustatkuje.

- To mężczyzna powinien się wyszumieć, a nie kobieta.

- Może wobec tego odgrywa nieprzystępną. - Szeryf drgnął, bo kozik ukłuł go w czule miejsce pod paznokciem. - Będziesz najbogatszym człowiekiem w całej dolinie i ona o tym wie. Tak, na pewno właśnie tak jest. Ona rżnie nieprzystępną.

- Myślałem, że ona jest... bardziej przyzwolta.

- Niż kto?

- Skoro on u niej mieszka, to na pewno pozwala mu się dotykać. - Z głosu Steve'a znów biła wściekłość.

Lloyd wychodził z siebie, żeby nie stać się jego celem.

- Myślę, że ona poddaje cię próbie - rzekł. - Kobiety lubią, żeby mężczyźni się za nimi uganiaли. Wszyscy o tym wiedzą.

- Kim byli ci faceci w jej domu? - Steve obrócił się i złym wzrokiem spojrzął na szeryfa, czekając na wyjaśnienie. Usłyszał jednak tylko wymówkę.

- Spieszylem się, bo chciałem ci powiedzieć, że Laurant wraca do domu z mężczyzną. Nie spytałem ich o nazwiska. Powiedzieli mi, że są znajomymi i przyszli naprawić jej zlew. Mieli narzędzia, więc sądziłem, że pracują w opactwie.

- Ale nie zadałeś sobie trudu, żeby spytać, jak się nazywają, albo sprawdzić im dokumenty?

- Spieszyłem się - jęknął błagalnie Lloyd. - Nie myślałem.
- Na miłość boską, to ty jesteś szeryfem w tej zabitej deskami dziurze. Nie wiesz, co do ciebie należy?

Lloyd odłożył kozik i rozłożył ręce w pojednawczym geście.

- Nie wyżywaj się na mnie. Ja tylko przekazałem ci wiadomość. Jeśli chesz, wrócę tam i zdobędę wszystkie informacje, których potrzebujesz.

- Daj spokój - odburknął Steve i znów pokazał szeryfowi plecy. - Może ta zasuszona zrzęda z sąsiedztwa miała rację. Może oni rzeczywiście chcieli ją okraść.

- Co ty, Steve! Sam wiesz, że ona nie ma niczego, co warto by ukraść. Mówię ci, że to byli tylko znajomi.

Steve nie mógł opanować gniewu. Laurant w łóżku z innym mężczyzną. To było niewybaczalne. Może po prostu chciała zamanifestować swoją niezależność... próbowała wciągnąć go w swoje gierki. No, nie, zdecydowanie należała jej się nauka. Dotychczas przymykał oko na jej arogancję, wice za ię ostatnią obelgę mógł winić tylko siebie. Powinien był od razu nauczyć ją rozumu, kiedy pierwszy raz dała mu kosza. Niektóre kobiety potrzebują silnej ręki, dopóki nie zrozumieją, gdzie jest ich miejsce. Taka była jego pierwsza żona, zdawało mu się jednak, że Laurant jest inna, delikana i niemal doskonała. Teraz jednak zorientował się, że zastosował błędne podejście. Był dla niej o wiele za miły i za uprzejmy. Postanowił to zmienić.

- Nikt nie zakochuje się w ciągu jednego weekendu - rzekł.

- Z tego, co mówią jej przyjaciółki, ten Nick Buchanan zrobił na niej duże wrażenie - zauważył Lloyd. Głowę miał spuszczoną, cały wysiłek wkładał w wydobycie wałeczka brudu spod różowej płytki paznokcia. - Przyjaciółki... one powiedziały mi, że Laurant wychodzi za mąż.

Wypluwszy z siebie tę ostatnią informację, ostrożnie podniósł głowę, żeby sprawdzić, jak współnik zareaguje.

- Gówno prawda - burknął Steve. - Do tego nie dojdzie.

Lloyd skinął głową.

- Ale wiesz... gdyby się pobrali. I pewnie wyprowadziliby się z Holy Oaks... przecież on gdzieś pracuje... Nie spytałem. / e/ego ten Nick żyje, ale przecież... nie rozumiesz? Ona musiałaby sprzedać sklep.

Spojrzenie, którym Steve przeszył szeryfa, stało się lodowate. Ten tłusciuch przypominał mu małpę w zoo, która drapie się po zadku, nie zważając na gapiów. Był odrażający, ale użyteczny i dlatego Steve musiał go znosić.

Lloyd odłożył kozik, zauważył, że papier na biurku jest upstrzony drobinami brudu, więc zmiotł je dłonią na podłogę. Potem wyrztał przez okno i powiedział:

- Wygląda na to, że otwarcie sklepu Laurant jest już bliskie.

- Do tego też nie dojdzie - oświadczył Steve. Twarz miał wykrzywioną z gniewu. Postąpił krok ku szeryfowi. - Czy tym swoim ptasim mózdzkiem jesteś w stanie wyobrazić sobie, ile forsy stracimy, jeśli ona przekona innych właścicieli sklepów, żeby nie sprzedawali swoich nieruchomości? Nie pozwolę, żeb\ ktokolwiek spierzył mi ten biznes.

- Co zamierzasz zrobić?

- To, co będzie konieczne.

- Masz na myśli złamanie prawa?

- Pieprzyć prawo! - ryknął Steve. - Siedzisz w tym bagnie po czubek tyłka - dodał. - Nic się nie stanie, jeśli pogrążysz się jeszcze trochę głębiej.

- Nie łamię prawa.

- Tak? Powiedz to starej pani Broadmore. To ty sfałszowałaś jej podpis na dokumencie.

Lloyd zaczął się pocić.

- To był twój pomysł, a poza tym komu stała się z tego powodu krzywda? Staruszka już nie żyła, a jej krewni dostaną pieniądze, więc ich to nie obchodzi. Zresztą sami sprzedaliby ten sklep, tylko powiedziałaś, że staliby się strasznie chciwi, gdyby wiedzieli o naszych developerach. Osobiście nie traktuję tego, co zrobiliśmy, jak przestępstwa.

Śmiech Steve'a zabrzmiał jak wbijanie gwoździa w tablicę.

- Pomysł może był mój, ale to ty się za nią podpisałaś. W dodatku nie mogłaś się doczekać, kiedy będziesz mógł wydać swoją działkę zysku na nowy samochód.

- Zrobiłem tylko to, co kazałaś mi zrobić.

- Słusznie. I dalej też będziesz robił to, co ci każe. Przecież chcesz być bogatym emerytem, nie?

- Jasne. Chcę wyjechać z tej miejsciny... jak najdalej od...

- Od Lonniego?

Szeryf odwrócił wzrok.

- Tego nie powiedziałem.
 - Boisz się własnego syna, co, Lloyd? Jesteś taki bydlak, a jednak się go boisz.

- Nieprawda - zaperzył się szeryf.

Steve zarechotał. Był to dźwięk szarpiący nerwy znacznie bardziej niż odgłos paznokci, drapiących szkolną tablicę. Lloyd musiał uważać, żeby się nie wzdrygnąć.

- Ty tchórze. Boisz się swojego chłopaka.

W tej chwili znacznie bardziej niż syna Lloyd bał się Steve'a i tego, że wspólnik nie daje się zwieść pozorom jego wielkości.

- Lonniemu idzie dziewiętnasty rok, a mówię ci, że on nigdy nie miał dobrze poustawiane w głowie, nawet kiedy jeszcze był mały. Był krnąbrny i do tego beczelny. Przyznaję, że chcę się od niego uwolnić, ale nie dlatego, żebym się go bał. Wciąż jeszcze mogę go sprać na kwaśne jabłko. Po prostu mam dość tych awantur, w które bez przerwy się pakuje. Musiałem wyciągać go z kłopotów tyle razy, że palców mi nie starczy, żeby policzyć. Mówię ci, że Lonnie w końcu kogoś zabije. Niewiele brakowało, żeby wysłał na tamten świat dziewczynę Edmonda. Skończyła w szpitalu i musiałem odstawić jakieś gadki szmatki z doktorem, żeby siedział cicho. Przekonałem go, że Mary Jo popełniłaby samobójstwo, gdyby rodzice usłyszeli, że pozwoliła się zgwałcić. I nigdy więcej nie mogłaby przejść z podniesioną głową po ulicy w mieście.

Steve przekrzywił głowę.

- Jemu też zagroziłeś, co? Założę się, że obiecałeś poszczuć Lonniem doktorka albo jego żonę, gdyby przyszło mu do głowy coś pisać. Mam rację, prawda?

- Zrobiłem, co musiałem, żeby mój chłopak nie poszedł do paki.

- Wiesz, jak cię nazywają w mieście? Łosio, czyli szeryf Trusty Osioł. Za plecami wszyscy się z ciebie śmieją. Jeśli chcesz, żeby to się zmieniło, trzymaj gębę na kłódkę i rób. co ci każe. Potem możesz wyjechać z Holy Oaks, nie oglądając się na syna.

Lloyd powoli oddzierał paski z papieru na biurku. Nie patrząc na Steve'a, spytał:

- Nie powiesz Lonniemu, co zamierzam zrobić, zgoda? Chłopak myśli, że dostanie sporą część tych pieniędzy, a ja chcę być bardzo daleko w chwili, gdy zrozumie, że nie zobaczy ani centa.

- Niczego mu nie powiem, dopóki ze mną współpracujesz. Rozumiemy się? Teraz jeśli chodzi o tego Buchanana...

Lloyd gwałtownie obrócił głowę.

- O kogo?

Steve znowu mimowolnie zacisnął pięść i omal nie wypróbował siły swojego uderzenia na twarzy szeryfa. Na szczęście w porę poczuł pieczenie knyki i zerknąwszy w dół, zauważył krwawe ślady na nogawkach spodni. Cholera! Znowu będzie musiał się przebrać. O wygląd trzeba dbać, nie mógł pozwolić, żeby coś psuło jego wizerunek.

- Mniejsza o to - mruknął i poszedł do łazienki umyć ręce.

Lloyd wreszcie przypomniał sobie, kim jest Buchanan.

- Wolałbym, żebyś pozwolił mi wrócić do domu Laurant i pogadać z tymi znajomkami. Może jeszcze tam są.

Skamlanie szeryfa działało Steve'owi na nerwy. Nie miał cierpliwości do tępoli, więc gdyby Lloyd nie stanowił niezbędnego ogniwa jego planu, to z przyjemnością spuściłby mu manto. Albo jeszcze lepiej namówiłby do tego Lonniego, a sam stał i się przyglądał. Chłopak zrobiłby wszystko, co Steve mu każe, bo - podobnie jak jego ojciec - kierował się chciwością, dżiką nienawiścią i chęcią wyjścia z biedy.

Skończył myć ręce, osuszył je papierowym ręcznikiem i zwinawszy go w kulę, wrzucił do kosza na śmieci. Potem wyjął grzebień z kieszeni i stanął przed lustrem, by zacesać włosy do tyłu.

- Gdzie jest teraz Lonnie?! - zawołał.

- Nie wiem. Nigdy mi nie mówi, dokąd idzie. Jeśli zwłókł swój leniwy tyłek z łóżka, to pewnie łowi ryby nad jeziorem. Po co ci to wiedzieć?

Był czas na danie nauczki Laurant. Ta suka musiała się nauczyć, że Steve Brenner nie toleruje konkurencji.

- Nie twój interes. Znajdź go i przyslij do mnie.

- Muszę najpierw odebrać nowy samochód.

- Najpierw zrobisz, co ci mówię, a potem możesz odebrać swój zamaskowany samochód. Powiedziałem, że masz znaleźć Lonniego. Szeryf odsunął krzesło i wstał.

- Ale co mam mu powiedzieć?

Steve wrócił do gabinetu.

- Powiedz, że mam dla niego pracę - odpowiedział z uśmiechem.

19

JUaurant celowo przedłużyła wizytę u sióstr Vanderman. Potrzebowała czasu, żeby przygotować się psychicznie do czekającej ją męki.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Zawsze myślał o swoim domu jak o bezpiecznym miejscu, azylu, w którym może znaleźć spokój i odosobnienie po dniu ciężkiej pracy. Ale człowiek, którego agenci FBI zwali nieznanym sprawcą, zabrał jej to wszystko. Nieznany sprawca zamienił ją w kłębek nerwów.

Jak długo ją obserwował? Czy będzie siedział w wygodnym fotelu i przyglądał jej się dziś wieczorem? Na tę myśl zbladła. Wkrótce musiała iść do sypialni i przed obiektywem kamery przygotować się do spania.

Nagle poczuła, że ma ochotę włożyć tenisówki i pobiegać. Rzecz jasna, nie mogła tego zrobić, zapadł już bowiem mrok, a poza tym nie była to część planu dnia, zatwierdzonego przez Wessona. Mimo to odparła pokusę z największym trudem. Zaczęła codziennie biegać, gdy lekarze stwierdzili raka u Tommy'ego. Dawała w ten sposób ujście emocjom, walczyła z lękiem. Uwielbiała wysiłek fizyczny, poszukiwanie granic własnych możliwości. Gdy biegła wciąż szybciej i szybciej, osiągała wreszcie spokój umysłu i mogła się skupić na biciu serca, rytmie swojego oddechu i chrzęście żwiru na ścieżce, która okalała jezioro. Nie patrzyła na boki, starała się dać z siebie wszystko, by wreszcie odczuć przypływ energii, jakże pożądaną skutek działania endorfin, wytwarzanych przez jej organizm. Na krótko mogła pokonać przeżycie, ożywiła się, czuła się całkiem wolna.

Bardzo teraz za tym tęskniła, o Boże, jak bardzo chciała odzyskać władzę nad swoim życiem. Nie znosiła uczucia lęku, a wahanie pomiędzy wściekłością i trwogą doprowadzało ją do obłądzenia.

- Uważaj na filiżankę, moja droga, żebyś jej nie stłukła.

Ostrzeżenie starszej pani przywróciło Laurant do teraźniejszości. Viola nadal powtarzała najświeższe plotki przyniesione z klubu brydżowego. Laurant kończyła wycierać błękitną porcelaną i próbowała skupić uwagę na nowinach. Gdy kuchnia była już czysta, wyszła z Viola na ganek i usiadła obok niej na bujanej ławeczce, a tymczasem Bessie Jean, wsparta na ramieniu Nicka, oprowadzała go po ogródku, żeby pokazać mu petunie i warzywnik. Na podwórzu za domem światło z ulicy prawie nie docierało.

Bardziej niż ogrodem Nick był zainteresowany mrocznym, pustym, obsadzonym drzewami placem za domem Laurant. Rosły tam również liczne krzaki, był to więc raj dla nieznanego sprawcy, który mógł urządzać sobie tam kryjówkę i obserwować dom Laurant albo niepostrzeżenie wślizgnąć się stamtąd do środka.

- Czy na tym placu bawią się dzieci? - spytał Bessie Jean, wypowiedziawszy najpierw kilka ciepłych uwag o ogrodzie.

- Dawniej się bawiły, ale teraz już nie, odkąd Billy Geary poparzył się sumakiem. Był w szortach i, niestety, usiadł na krzaku. Jego matka mówiła, że było to bardzo bolesne doświadczenie. Dziecko nie mogło potem siedzieć przez dwa tygodnie. A gdy wreszcie Billy poczuł się lepiej, wyniósł się z kolegami nad jezioro.

Tymczasem obeszli cały dom. Bessie Jean zawołała siostrę.

- Właśnie opowiadałam Nickowi o Billym Cleary i o tym, jak poparzył się sumakiem na placu za domem Laurant. - Weszła na ganek i usiadła na wiklinowym krześle.

Viola nachyliła się do Laurant.

- Wszystkie czułe miejsca miał poparzone.

- Powiedziałam Nicholasowi, że teraz już nikt tam nie chodzi - oznajmiła Bessie Jean.

- Nieprawda, siostrzo. Nie pamiętasz? - zdziwiła się Viola. Kilka tygodni temu dzieci znowu się tam bawiły. Daddy stał na tylnych łapach przy ogrodzeniu i czekał jak szalony. Musiałśmy go zamknąć w domu, żeby się uspokoił.

Bessie Jean skinęła głową.

- Nie sądzę, żeby wtedy czekał na dzieci. Robiło się już ciemno. Prawdopodobnie wywęszył szopa albo oposa. Teraz, kiedy o tym powiedziałaś, dochodzę do wniosku, że jakieś zwierzę mogło się tam zadomowić, bo w tamtym tygodniu Daddy awanturował się kilka razy.

Viola skinęła głową.

- To prawda - przyznała.

Nick oparł się o poręcz.

- Jak dawno temu to było? Panie pamiętają?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Bessie Jean.

- Ja pamiętam - stwierdziła Viola. - Właśnie posadziłam pomidory.

- A kiedy to było? - cierpliwie spytał Nick.

- Prawie miesiąc temu.

Bessie Jean była innego zdania. Uważała, że Viola jest w błędzie i nie mogło upłynąć tyle czasu. Siostry wdały się w długi spór, aż wreszcie Laurant wstała i zwracając na siebie uwagę, ostudziła zaciekłe dyskutujące staruszki.

- Powinniśmy już iść do domu.

- Słusznie, moja droga, musicie się rozpakować i odpocząć - zgodziła się Viola.

- Laurant wydaje się bardzo zmęczona. Nie sądzisz, siostrzo? powiedziała Bessie Jean.

Nick był tego samego zdania. Laurant sprawiała wrażenie wykończonej. Miała cienie pod oczami. Wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy ją pierwszy raz zobaczył na plebanii. Tam, dowiedziawszy się, że Tommy jest zdrowy, całkowicie się odprężyła i przez chwilę mogła cieszyć się beztroską.

Ale to było, jeszcze zanim brat powiedział jej o tym sukinsynu, który chce ją zabić. Nick musiał oddać Laurant sprawiedliwość, że potem nic załamała się ani nie wpadła w histerię. Przeciwnie, pamiętał, jak wiele energii poświęciła na namówienie Pete'a do zastawienia pułapki. Ale ile jeszcze mogła znieść? Nick miał cichą nadzieję, że jednak dostatecznie dużo, by dotrzeć do końca tego koszmaru.

- Dziękujemy za kolację. Była pyszna - powiedziała Laurant.

- Dam wam mój przepis na makaron - obiecała Viola.

Bessie Jean skrzywiła się.

- Jaki przepis, siostrzo? Przeczytałaś to, co jest napisane na pudełku. Wystarczy iść do sklepu i kupić gotowe danie.

Nick dołączył podziękowania i otoczył ramieniem Laurant. Bessie Jean odprowadziła ich do końca ścieżki i otworzyła furtkę.

- Nigdy nie przestajesz się rozglądać, prawda, Nicholasie? - zauważyła, ale żeby się nie obraził, szybko dodała: - Mam zwyczaj zwracać uwagę na różne drobiazgi i widzę, że odkąd postawiłeś

stopę na naszym ganku, nieustannie obserwujesz okolicę. To nie jest zarzut, tylko spostrzeżenie. Zawsze czujny, hę? Pewnie tak cię wyszkolili w FBI.

Nick pokręcił głową.

- Nie, po prostu mam wścibską naturę.

Starsza pani uśmiechnęła się do niego; jej zielone oczy skrzyły się. Kiedy była młoda, musiała zawrócić w głowic niejednemu chłopakowi w Holy Oaks.

Tymczasem Bessie Jean pochyliła się do Laurant i szepnęła głośno:

- Podoba mi się ten twój młody człowiek. Nie spłosz go, moja droga.

Laurant wybuchnęła śmiechem.

- Postaram się - obiecała. - Mnie też się podoba.

- Siostra i ja wiemy już wszystko o biologicznym zegarze kobiety - powiedziała Bessie Jean. - Wiele twoich rówieśniczek ma dwójkę albo i trójkę dzieci. Czas założyć rodzinę.

- To prawda - rzuciła Laurant na odczepnego, bo i co mogła powiedzieć? Nie miało sensu sprzeczać się z Bessie Jean ani wspominać, że wicie kobiet zakłada rodzinę dopiero po trzydziestce, a jej do tych znaczących urodzin zostało jeszcze sporo czasu. Bessie Jean nigdy niczego nie owijała w bawełnę, była bardzo przywiązana do swoich opinii, a subtelności miała tyle co młot pneumatyczny. Mimo to Laurant ją lubiła. Przy wszystkich swoich niedoskonałościach starsza pani była szczerą i życzliwą... w każdym razie czasami.

- O, patrzcie, Justin Brady i Willie Lakeman.

Sąsiedzi z naprzeciwka wyszli zza domu, niosąc długą rozsuwaną drabinę. Jeden z nich oparł ją o ścianę i zaczął się wspinać, drugi go ubezpieczał.

Bessie Jean zawołała coś do nich na powitanie i uśmiechnęła się, gdy mężczyźni do niej pomachali.

- Późna godzina na malowanie - zauważył Nick.

Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy we wnętrzu domu zapalono reflektory.

- Justin to ten na drabinie - powiedziała Viola. - Wspominałam wam o nim. To on pomógł mi sadzić kwiaty. Początkowo nie bardzo tych trzech lubiłam, ale teraz zmieniłam zdanie.

- Dlaczego początkowo ich pani nie lubiła? - zainteresował się Nick, mierząc wzrokiem wysokiego, muskularnego człowieka, który, stojąc na drabinie, sięgał do kieszeni roboczych spodni po szpachelkę.

- Sądziłam, że nie ma z nich nijakiego pożytku, ale oni wcale się nie lenią. I dotrzymują, słowa - dodała, wskazując mężczyzną ruchem głowy. - Właściciel, pan Morrison, umówił się z nimi. że zamiast płacić mu za wynajęcie, pomalują dom. On jest teraz na Florydzie, wróci dopiero po obchodach czwartego lipca.

- Pierwszy raz widzę, żeby zajmowali się domem - stwierdziła Bessie Jean. - Do tej pory widziałam co innego. Prawie co wieczór przez ostatnie dwa tygodnie ci trzej szli do baru na Second Street i pili tam na umór. Zupełnie nie interesuje ich, że sąsiedzi mogą chcieć spać. Kiedy wracają do domu, śpiewają, śmieją się i strasznie hałasują. Obserwuję ich z okna. Dwa tygodnie temu widziałam, jak jeden z nich tak się spił, że padł na podwórzu i już nie wstał. Chyba Mark Hanover. Przespał całą noc przed domem. To wstyd tak się upić.

Starsze panie najwyraźniej miały różne zdania na temat robotników z naprzeciwka.

- Ale teraz dotrzymują słowa - zwróciła siostrze uwagę Viola. - Zresztą Justin powiedział mi, że odnowią dom, jak skończą pracę w opactwie, nawet gdyby mieli harować od świtu do nocy. I wierzę, że tak będzie.

Nick próbował lepiej przyjrzeć się Williamowi Lakcmanowi. ale mężczyzna stał plecami do ulicy, a na głowie miał czapkę baseballową. Zresztą nawet gdyby się odwrócił, jego twarz prawdopodobnie nie byłaby dobrze widoczna. W każdym razie wydawał się podobnie postury jak Justin.

Nick postanowił podejść do pracujących i powiedzieć im dobry wieczór. Może uda mu się wyciągnąć ich przed dom i obejrzeć również trzeciego. Zmienił jednak zamiar, gdy Laurant głośno ziewnęła. Stwierdził. Że jest bliska zaśnięcia na stojąco.

- Chodź, kochanie. Połóżmy cię do łóżka.

Poszła za nim do samochodu i pomogła mu przenieść torby. W domu panowały ciemności, jeśli nie liczyć zapalanej lampki przy telefonie. Wszystkie zasłony były zaciągnięte. Telefon zadzwieczał w chwili, gdy Laurant pokonała pierwszy stopień w drodze na górę. Odstawiła torbę na podłogę, zapaliła światło i pospieszyła do salonu. Nick ostrzegł ją wcześniej, że w domu zawsze będzie przynajmniej jeden agent FBI, więc nie zdziwiła się wcale, gdy wahadłowe drzwi do kuchni rozchyliły się i na progu stanął mężczyzna w czarnych spodniach i białej koszuli z zakasnymi rękawami. Przy pasie miał bron. a w dłoni trzymał kanapkę.

Pierwszy doszedł do aparatu, który stał na stoliku w przejściu

między salonem i jadalnią, sprawdził numer, z którego dzwonił, włożył słuchawki i dopiero wtedy dał jej znak, żeby odebrała.

Wyświetlony numer zdradził Laurant natychmiast, że dzwoni Michelle Brockman, jej przyjaciółka od serca, która wkrótce miała wyjść za mąż.

- Cześć. Skąd wiedziałaś, że wróciłam?

- Och, to jest Holy Oaks - odparła Michelle. - Więc od razu powiedz mi, czy to prawda? Czy na serio jakiś człowiek groził ci w Kansas City? Jeśli tak, to nigdy więcej nie pozwolę ci stąd wyjechać.

- Nie martw się - uspokoiła Laurant przyjaciółkę. - To był tylko jakiś facet, któremu wydawało się, że jest dowcipny. Policja przyjrzała się sprawie i poradziła, żeby nie traktować go poważnie.

- To dobrze. - Michelle odetchnęła. - Powiedz mi wobec tego, kim jest ten przystojniak.

- Co?

W słuchawce zabrzmiał śmiech Michelle. Laurant zawsze odprężyła się, gdy go słyszała. Dobywał się z głębi brzucha przyjaciółki, był wyjątkowo radosny i figlarny. Poznały się na comiesięcznej rybiej uczcie. Laurant mieszkała wtedy w Holy Oaks dopiero tydzień i nawet jeszcze nie zdążyła rozpakować swoich rzeczy, ale Tommy zgłosił ją do pomocy w kuchni podczas tej charytatywnej imprezy. Michelle pracowała razem z nią.

Zaprzyjaźniły się natychmiast, choć jedna stanowiła przeciwieństwo drugiej. Laurant zawsze zachowywała dystans do wszystkiego; Michelle kipiała entuzjazmem, ale była też troskliwa. Gdy Lorna Hamburg zapędziła Laurant do rogu, żeby wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji do artykułu o nowej mieszkance Holy Oaks lub o obcej z Chicago, jak mówiła Lorna, Michelle odciągnęła Laurant od wścibskiej dziennikarki i nie pozwoliła jej dłużej dręczyć. To ugruntowało ich przyjaźń.

- Zapytałam, kto to jest.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła Laurant, rozmyślnie zniżając się nad przyjaciółką.

- Przezań się ze mną droczyć. Umieram z ciekawości. Chcę wiedzieć, kim jest ten przystojniak, którego przywiozłaś ze sobą do domu.

- Nazywa się Nicholas Buchanan. Pamiętasz, opowiadałam ci kiedyś, że mój brat w dzieciństwie mieszkał u Buchananów?

- Pamiętam.

- Nick jest najlepszym przyjacielem Tommy'ego - wyjaśniła.
Poznałam go dopiero w ostatni weekend.

- I?
- I co?
- Byłaś już z nim w łóżku?

Laurant poczuła, że się rumieni.

- Poczekaj chwilę, dobrze? - Zasłoniła ręką mikrofon starswieckiego aparatu telefonicznego i szepnęła do agenta: - Czy musi pan podsłuchiwać prywatną rozmowę?

Mężczyzna, starając się powstrzymać uśmiech, zdjął słuchawki i odszedł. Laurant odsunęła krzesło od biurka i usiadła twarzą do ściany.

- Dobrze. Możemy rozmawiać dalej - oznajmiła, bawiąc się przyciskiem długopisu.

- No więc jak?
- Jak to jak?

- Przestań robić uniki. Byłaś w nim w łóżku? Słyszałam, że jest wspaniały.

Laurant wybuchnęła śmiechem.

- Michelle, nie powinnaś zadawać takich pytań.
- Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, zapomniałaś?
- Tak, ale...

- I martwię się o ciebie, Laurant. Potrzebujesz seksu. Dobrze ci zrobi na cerę.

Laurant zaczęła bazgrać w notesie.

- Co jest nie tak z moją cerą?
- Nic takiego, na co seks nie mógłby pomóc. Będziesz miała ładne rumieńce.

- Wystarczy mi róż.

Michelle ostentacyjnie westchnęła.

- Nie powiesz mi, co?
- Nie.

- Czy on naprawdę jest tylko przyjacielem twojego brata?

Laurant spuściła głowę. Czowała się okropnie, okłamując najlepszą przyjaciółkę, wiedziała jednak, że gdy już będzie po wszystkim i powie prawdę, Michelle ją zrozumie.

- Nie tylko. - Obróciła się na krześle, by spojrzeć na Nicka. Stał w sieni z kolegą i kiwał głową, słuchając czegoś, co mówił mu tamten. Minę miał posępną, póki nie pochwycił jej spojrzenia. Wtedy natychmiast się uśmiechnął.

Laurant znowu odwróciła się twarzą do ściany.

- Stało się coś bardzo dziwnego, Michelle - szepnęła.
- Co?
- Zakochałam się.

Przyjaciółka zareagowała nader sceptycznie.

- Niemożliwe. Ty miałabyś się zakochać? Nie wierzę.
- To prawda.
- Mówisz szczerze? Strasznie szybko to poszło.
- Wiem - powiedziała Laurant. Znowu zaczęła coś bazgrać.
- To musi być wyjątkowy facet, jeśli mu się udało pokonać twoje skrupuły. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.
- Poznasz, poznasz i na pewno polubisz.
- Wciąż nie mogę uwierzyć. Chyba musiał cię przewrócić, żebyś zwróciła na niego uwagę. Miałas twarde lądowanie, co?
- Na to wygląda.
- Rewelacja! - zawołała Michelle.
- Nie taka wielka.
- Wielgachna.

Laurant parsknęła śmiechem. Michelle zawsze wprawiała ją w dobry humor. Była niezwykle otwarta, nie ukrywała swych uczuć ani poglądów, w odróżnieniu od niej. Zawsze bardzo skrytej. Była pierwszą przyjaciółką od czasu szkoły średniej, której Laurant czasem zwierzała swoje sekrety.

- Wiem, jak pokrętnie myślisz. Zawsze starasz się znaleźć w facecie mnóstwo wad i chcesz zachować sto procent bezpieczeństwa. To, że raz się sparzyłaś...

- Dwa razy - skorygowała Laurant.

- Tego faceta z college'u nie liczę - odparła Michelle. - W colleges każda dziewczyna przeżywa przynajmniej jeden miłosny zawód. Można wziąć pod uwagę tylko tego wrednego typa z Chicago.

- Był wredny, to prawda.

- Błędnie go oceniłaś i teraz z tego powodu uważasz, że wszyscy mężczyźni to świnię. Z wyjątkiem mojego Christophera. O nim nigdy nie pomyślałaś, że jest świnią.

- Oczywiście, że nie. Christopher mi się podoba.

Michelle westchnęła.

- Mnie też. Jest taki miły i cudowny.

- Nick też.

- Nie zmarnij tym razem okazji, Laurant. Idź za głosem serca.
- Co masz na myśli, mówiąc o marnowaniu?

- Biorąc pod uwagę twoje doświadczenia...
- Jakie doświadczenia?
- Tylko się na mnie nie wściekaj. Mówię ci, jak jest. W Holy Oaks nie masz za dobrych doświadczeń z mężczyznami. Wymienić ci wszystkich, którym dałaś kosza?
- Żadnego z nich nie kochałam.
- Żadnego nie poznałaś na tyle, żeby się przekonać, czy ta znajomość ma przyszłość.
- Nie byłam zainteresowana.
- Właśnie. Wszyscy w miasteczku byli pewni, że wres/cie Steve Brenner zwali te twoje mury obronne. Słyszałam, jak opowiada ludziom, że chce się z tobą ożenić.
- Ja też to słyszałam, ale nawet go nie lubię. I na pewno nigdy nie starałam się go zachęcić do nawiązania bliższej znajomości. Ciarki mnie przechodzą, kiedy go widzę.
- Ja go lubię, Christopher też. Steve jest uroczy, zabawny i bystry. Wszyscy go lubią, tylko ty nie.
- Bessie Jean Vanderman i jej siostra też go nie lubią.
- To nie jest dobry przykład. One nie lubią nikogo.
- Laurant roześmiała się.
- Nieprawda.
- Prawda, prawda. Nie znoszą katolików, bo są za bardzo natrętni, a dopiero co słyszałam Violę, która twierdziła, że rabin Spears prowadzi nielegalny salon bingo.
- Żartujesz.
- Przecież tego nie wymyśliłam.
- Powiedz mi lepiej, w jaki sposób dowiedziałaś się tak szybko, że Nick przyjechał ze mną.
- Gorąca linia. Kiedy Bessie Jean stała przed domem, jej siostra szybko pobiegła do telefonu i zadzwoniła do mojej matki, a ona powiedziała mi. Wszyscy wiemy, jak Viola uwielbia upiększać rzeczywistość. Powiedziała, że jesteście zaręczeni, ale ani matka, ani ja jej nie uwierzyłyśmy. Naprawdę sądzisz, że pobierzecie się z Nicholasem? A może jest za wcześnie na takie pytanie?
- Przed chwilą mnie pytałaś, czy ze sobą śpimy - przypomniała Laurant.
- Nie. Pytałam cię, czy byłaś z nim w łóżku.
- Viola tym razem nie upiększała. Mamy zamiar wziąć ślub. Michelle znowu radośnie pisnęła.
- Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Mówisz poważnie?

Naprawdę... Nie wierzę. To się dzieje stanowczo za szybko jak na mój mały rozumek. Już ustaliliście datę ślubu?

- Nie - przyznała Laurant. - Ale Nick chce, żebyśmy się pobrali jak najszybciej.
- O Boże, jakie to romantyczne. Muszę powiedzieć Christopherowi. Pamiętasz, że będziesz świadkiem na moim ślubie, hm? A więc? Aluzja nie była subtelna.
- Zechcesz być świadkiem na moim?
- Michelle odsunęła słuchawkę, żeby głośno przekazać nowinę rodzicom. Oboje podeszli do telefonu z gratulacjami, więc zanim wróciła do aparatu, minęło dziesięć minut.
- Tak, będę twoim świadkiem. Jestem zaszczyczona, że mnie o to poprosiłaś. Ach, właśnie. Przecież zadzwoniłam specjalnie po to, żeby ci powiedzieć, że twoja suknia jest gotowa. Możesz ją jutro odebrać. Tylko przymierz jeszcze raz, dobrze? Nie chcę żadnych kłopotów w dniu mojego ślubu.
- Dobra. Coś jeszcze?
- Piknik - powiedziała Michelle. - Mam nadzieję, że poznam wtedy Nicka.
- Jaki piknik?
- Jak to jaki? Opactwo urządza dziękczynną fetę nad jeziorem dla wszystkich, którzy ciężko pracowali przy renowacji.
- Kiedy to ustalono?
- Och, przecież ciebie nie było w mieście. Informację podano w niedzielnym biuletynie, podczas twojego pobytu w Kansas City. Boże, zapomniałam spytać. Przez tę wiadomość o Nicku zachowuj się jak kompletna idiotka. Ale to jest tak do ciebie niepodobne, że o niczym innym nie mogłam myśleć. No, i zapomniałam. Przecież chciałam spytać, jak się czuje twój brat.
- Dobrze. Tym razem badania były w porządku.
- Nie będzie chemoterapii?
- Nie będzie.
- Michelle odetchnęła.
- Dzięki Bogu. Wrócił już do domu?
- Nie. Mają z kolegą poczekać na naprawienie mojego samochodu i potem nim wrócić. Pasek klinowy mi się rozciągnął.
- Musisz kupić nowy samochód.
- Kiedyś kupię.
- Kiedy cię będzie na to stać, tak?
- Właśnie.

Laurant nagle upuściła długopis. Do tej pory machinalnie bazgrała na kartce, teraz jednak zauważyła, co się na niej pojawiło. Na papierze było mnóstwo serc przebitych strzałą. Wyrwała kartkę z notesu i ze złością ją zmięła.

- Ojciec Tom nie wie, że z pieniędzy nic nie zostało, prawda?

Laurant zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy Nick i drugi agent jeszcze stoją w sieni, ale już ich nie było.

Mimo że została sama, odruchowo zniżyła głos.

- Nie wie. Powiedziałam o tym tylko tobie i Christopherowi.

- Niech Bóg broni, żeby się o tym dowiedział. Postaw się na jego miejscu. Kiedy poszedł do seminarium, dołączył swoją część kapitału po dziadku do twojej, zainwestowanej w fundusz powierniczy i był przekonany, że z samych odsetek masz zabezpieczenie na całe życie. Jak on się będzie czuł, kiedy się dowie, że ci krętacze prawnicy naliczyli jakieś astronomiczne opłaty za obsługę funduszu i w ten sposób zabrali wszystko do ostatniego centa? - złościła się Michelle. Im dłużej mówiła o tej niesprawiedliwości, tym bardziej się zapalała. - Oni powinni zgnić w więzieniu. Popełnili oszustwo.

- Nie wobec mnie - powiedziała Laurant. - Wobec mojego dziadka. Zawiedli jego zaufanie i dlatego ich ścigam.

Potrzebowała okrągłego roku, żeby znaleźć adwokata, który chciał się zmierzyć z bardzo wpływową kancelarią prawniczą z Paryża. On zresztą też początkowo się opierał i dopiero po przejrzaniu dokumentów i dokładnym zapoznaniu się z całą sprawą zmienił stanowisko. Postanowił doprowadzić tamtą firmę do ruiny. Pozew został złożony następnego ranka.

- Nie trać nadziei. Musisz walczyć o swoje. - Michelle westchnęła do słuchawki. - Prawnicy to kupa gnojków.

- A f! Zapominasz, że będziesz miała męża prawnika.

- Nie był prawnikiem, kiedy go poznałam.

- Michelle, trzymaj kciuki za szybkie zakończenie sprawy. Prawie wszystko, co miałam, wydałam na honoraria adwokata i na odnowienie sklepu. Co więcej, musiałam wziąć kredyt z banku. Bóg raczy wiedzieć, kiedy i jak go spłaćę.

- Ta firma, z którą walczysz, ma nadzieję, że się poddasz i wycofasz pozew. Pamiętasz, co powiedział Christopher? Robią różne pozorne ruchy, żeby opóźnić sprawę w sądzie, ale jeśli przegramy i tym razem, będą musieli zapłacić.

- W ciągu dziesięciu dni - dodała Laurant.

- Trzymaj się. Masz blisko do mety.

- Wiem.

- Matka na mnie krzyczy, że za dużo gadam. Muszę kończyć. Piknik jest o piątej. Nie spóźnijcie się.

- Nie rozumiem, dlaczego opat nie poczeka z tym piknikiem. Renowacja jest jeszcze nieskończona. Założę się, że w kościele nadal stoją rusztowania.

- Opat ma bardzo dużo zajęć. Inne terminy mu nie pasowały - wyjaśniła Michelle. - Poza tym osobiście mi obiecał, że przed moim ślubem rusztowania zostaną zdemontowane. Czy wiesz, że za tydzień będę już starą mężatką? Ojej, Laurant, poczekaj jeszcze chwilę.

Laurant usłyszała, jak przyjaciółka krzyczy do matki, że zaraz przyjdzie. Potem Mechelle odezwała się ponownie:

- Te przygotowania kosztują mamę mnóstwo nerwów.

- Powinam cię już zwolnić.

- Masz zmęczony głos.

- Bo jestem zmęczona - przyznała Laurant.

Nawet podczas rozmowy z Michelle w głowie kłębiły jej się najrozmaitsze myśli. Agent Wesson urządził w domku opata centrum dowodzenia i miało to być utrzymane w tajemnicy. Nikt nie mógł wiedzieć o obecności grupy FBI w Holy Oaks.

- Gdzie dokładnie jest ten piknik? Przy domku opata?

- Nie. On ma jakichś gości. Piknik jest po drugiej stronie jeziora. Znajdziesz drogę, bo wszyscy będą tam jechać.

- W porządku. Porozmawiamy jutro.

- Jutro mnie tu nic ma. Jadę do Des Moines po nową ortezę, więc zobaczymy się dopiero na pikniku.

- Kto cię zawiezie?

- Tata - odrzekła Michelle. - Jeśli znowu nie będzie pasować, to ani chybi zrobi tam piekło. Przez ich niechlujstwo mam niecały tydzień na to, żeby nauczyć się chodzić bez pociągania nogą.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie tego dokonać, to właśnie ty. Chcesz, żebym w czymś pomogła podczas twojej nieobecności?

Michelle roześmiała się.

- Tak. Postaraj się o rumieńce na policzkach.

20

Laurant usłyszała Nicka, idącego w dół po schodach, a gdy skończyła zegnąć się z Michelle i odłożyła słuchawkę, stwierdziła, że przygląda jej się z progu pokoju. Włosy na czole miał potargane i znów zwróciło jej uwagę, jak seksownie wygląda. Może Michelle miała rację. Może rzeczywiście należało pomyśleć o rumieńcu na policzkach.

Jaki byłby Nick w łóżku? Boże, aż trudno jej było uwierzyć, że zastanawia się nad czymś takim. Szybko odsunęła od siebie budzące się fantazje. Nie zaliczała się do nastolatek nieradzących sobie z burzą hormonów. Była dorosłą kobietą i nie widziała niezłego w powściągliwości zachowywanej w oczekiwaniu na właściwego mężczyznę. Nick nie spełniał jej wymagań. Z pewnością nie był tym, o którego jej chodziło.

- Przepraszam, że tak długo rozmawiałam przez telefon.

- Nie ma sprawy. Joe mówi, że masz nagrane sporo wiadomości na automatycznej sekretarce. Idź na górę ich posłuchać.

W czasie gdy odtwarzała nagrania, wniósł na górę jej torbę. Na taśmie była tylko jedna niepokojąca wiadomość, od Margaret Stamp, właścicielki miejscowej piekarni. Dzwoniła, by powiedzieć, że Steve Brenner podwyższył swoją ofertę kupna o dwadzieścia procent i dał jej tydzień do namysłu. Margaret kończyła pytaniem, czy Laurant wie, że Steve nie zamierza wypłacić żadnych pieniędzy tym, którzy zdecydowali się sprzedać sklepy, póki na sprzedaż nie zgodzą się wszyscy właściciele.

W oddali zamruczał grzmot. Laurant bezsilnie wsłuchiwała się w szmer przewijającej się taśmy. Znowu zadano jej cios, wiedziała jednak, że musi zebrać energię i przeciwstawić się również najnowszemu kryzysowi. Biedna Margaret. Laurant doskonale

wiedziała, że właścicielka piekarni nie chce sprzedać swojego sklepu, ale obroty ostatnimi czasy były bardzo niewielkie, a pieniądze oferowane przez Steve'a wystarczyłyby starszej pani do końca życia. Jak można było namawiać Margaret do utrzymania piekarni, skoro w ten sposób narażało się na utratę wszystkiego?

Laurant podskoczyła, gdy Nick dotknął jej ramienia.

- To jest Joe Farley. Będzie u nas mieszkał.

Agent podszedł uściśnąć jej rękę.

- Miło mi panią poznać.

Oderwała się od smutnych myśli. Batalię o rynek trzeba było na razie odsunąć na drugi plan.

- Proszę mówić do mnie Laurant.

- Jasne - zgodził się agent. - Ja jestem Joe.

Był krępyim mężczyzną z gęstą grzywą rudych włosów i okrągłą twarzą, która promieniała w uśmiechu. Jeden z przednich zębów miał nieco krzywy, dzięki czemu wyglądał barcziej swojsko. Wprawdzie nosił broń, ale nie wydawał się tak ważny ani sztywny jak Wesson.

- Pan pracuje na co dzień z Nickiem?

- Parę razy mi się to zdarzyło odrzekł. - Zwykle siedzę za biurkiem, więc to jest dla mnie duża odmiana. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają pani modyfikacje w systemie alarmowym domu, które wprowadziliśmy z Feinbergiem. Nie sięgnęliśmy szczytów techniki, ale gwarantujemy skuteczność.

Spojrzała na Nicka.

- Nie mam żadnego systemu alarmowego.

- Już masz.

Joe szybko wyjaśnił:

- Przeciągnęliśmy drut przez wszystkie okna. Gdyby ktoś usiłował jedno otworzyć, zabłyśnie czerwone światło. Ale hałasu nie będzie - zapewnił. - Nie chcemy spłoszyć tego faceta. Niech wejdzie do środka, to go przydybiemy na gorącym uczynku. Miejmy nadzieję, że nie będzie wiedział o alarmie. Naturalnie każdego obcego, przechodzącego obok pani domu, odnotują agenci będący na zewnątrz.

- Dom jest pod obserwacją?

- Tak.

- Jak długo pan tu będzie mieszkał? - spytała.

- Do pierwszego lipca... jeśli nie złapiemy faceta wcześniej.

Wyjadę razem z panią.

W głowie jej się zakręciło. Coraz gorzej radziła sobie z krzyżowymi sytuacjami, które następowały po sobie zbyt szybko. Obróciła się i poszła do kuchni, a mężczyźni ruszyli za nią.

- Potrzebuję filiżanki herbaty - powiedziała znużonym głosem.
- Laurant, chyba nie myślisz o wyjeździe z Holy Oaks? Już rozmawialiśmy na ten temat - przypomniał jej Nick.

- Och, wiem - odparła bez przekonania.
- Mówię poważnie, Laurant. Wyjedziesz stąd...

Przerwała mu.

- Dobra, dobra. - Wyraźnie było słychać irytację w jej głosie. - Może zechcesz mi łaskawie powiedzieć, dokąd wyjadę.

- Ze mną.
- Przystaniesz wreszcie? - spytała głośno.

Ten wybuch zaskoczył Nicka. Zmarszczył czoło i stanął ze skrzyżowanymi ramionami, opierając się o kuchenny stół.

- Co mam przestać?

- Dawać mi kretyńskie odpowiedzi - burknęła. Wzięła ze stołu biały czajnik i podeszła do zlewu, żeby napełnić go wodą.

Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, by zauważyć, że napięcie daje jej się we znaki. Pora po temu była jednak wyjątkowo nieodpowiednia, Nick bowiem również czuł się jak rozdrażnione zwierzę, wsadzone do klatki. Znaleźli się w Holy Oaks i teraz pozostawało im czekanie, a tej części swojej pracy nie znosił. Wolały przejść kanałowe leczenie zęba niż beczynnienie siedzieć i czekać, aż coś się zdarzy.

W dodatku współpraca z Julesem Wessonem od samego początku okazała się przykra i trudna. Nick spędził dziesięć minut przy telefonie, usiłując przekonać Wessona, by udzielił mu jakichś informacji, ilekroć jednak zadawał pytanie, trafiał w próżnię. Aż za dobrze rozumiał, dlaczego Wesson nie chce go w nic wtajemniczyć.

Joe odsunął krzesło od stołu i usiadł, aie Nick poszedł za Laurani.

- O co ci chodzi, u diabła? Jakie kretyńskie odpowiedzi?

Odwracając się od zlewu, dziewczyna wpadła prosto na niego. Woda, która chlapanęła z czajnika, zmoczyła mu koszulę.

- Nigdy nie odpowiadasz mi wprost na pytanie - zarzuciła mu Laurant.

- Czyżby? Kiedy ci nie odpowiedziałem?

- Choćby przed chwilą. Spytałam, dokąd wyjadę, a ty odpowiedziałeś...

- Że ze mną - przerwał jej.

- To nie jest odpowiedź wprost.

Machinalnie chwyciła za ręcznik i zaczęła wycierać mu koszulę. Wyrwał jej ręcznik z ręki i cisnął go na blat.

- Nie wiem, dokąd wyjedziemy. Kiedy się dowiem, to ci powiem, zgoda? A poza tym - doc'ał, pochylając się ku niej. tak że ich twarze prawie się stykały - to jest jedyna sytuacja, w której nie dostałaś ode mnie odpowiedzi wprost.

- Nieprawda. Pytałam cię, ilu agentów jest w Holy Oaks. Pamiętasz, co mi powiedziałeś? Że wystarczająco dużo. To ma być odpowiedź wprost?

Drgający mięsień w policzku najlepiej świadczył o cenie, jaką Nick płaci za opanowywanie nerwów.

- Nawet gdybym znał tę liczbę, tobym ci nie powiedział.

- Czemu nie? - Laurant odsunęła go, podeszła do kuchenki i postawiła czajnik na palniku.

- Bo wtedy, będąc poza domem, zawsze rozglądałabyś się na wszystkie strony, żeby ich znaleźć, a jeśli nasz nieznan sprawca cię obserwuje, co jest niemal pewne, zauważyłby to.

- Kłóćcie się jak stare małżeństwo.

Laurant i Nick, oboje z marsowymi minami, jednocześnie odwrócili się do Joego.

- Wcale się nie kłócimy - odparł Nick.

- Po prostu mamy różne zdania - stwierdziła Laurant. - To wszystko.

Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dajcie spokój, nie jestem waszym dzieckiem, żebyście musieli mnie przekonywać. Guzik mnie obchodzi, czy się kłóćcie. Faktem jest, że oboje powinniście spuścić trochę pary, więc najlepiej zrobić to szybko i oczyścić atmosferę.

Laurant zauważyła stertę brudnych naczyń w zlewie. Joe wyraźnie czuł się u niej jak w domu, ale nie zadawał sobie trudu sprzątania. Zmierzyła go groźnym spojrzeniem, potem wzięła z kredensu płyn do mycia naczyń i napełniła zlew wodą.

Joe zorientował się w sytuacji.

- Ja pozmywam. Miałem to zrobić wcześniej, ale pani nie ma zmywarki.

- To jest stary dom.

Nick wziął ścierkę i zaczął wycierać talerz, który mu podała. Joe tymczasem wygodnie rozparł się na krześle.

- Nick, co do wyjazdu pierwszego... - zaczął Joe.
- Tak?
- Wesson chce, żeby ona została.
- Trudna sprawa. Laurant wyjeżdża pierwszego.
- Wesson będzie musiał się mocno wysilić.
- Może spróbować.
- Dlaczego tak się upierasz przy tej dacie?
- Ponieważ Tommy ocenia, że drugiego i trzeciego przyjedzie tutaj parę tysięcy ludzi. Z obchodami rocznicy opactwa łączy się wielkie spotkanie absolwentów uniwersytetu. Chciałbym zabrać ją stąd nawet wcześniej, ale Laurant ma być świadkiem na ślubie, więc pewnie nie zgodzi się wyjechać.
- Mówię ci, że Wesson jest zdecydowany trzymać ją tutaj do skutku.
- A ja ci mówię, że ona wyjeżdża. Nie ma mowy, żebym pozwolił jej zostać w takim tłumie. Jak mam wtedy zapewnić jej ochronę? - Kręcąc głową, Nick dodał: - Nic z tego.
- Joe uniósł rękę w pojedynczym geście.
- Mnie odpowiada wszystko, co zdecydujesz. Chciałem tylko cię ostrzec, że będziesz miał ciężką przeprawę. Z mojego punktu widzenia to ty o wszystkim decydujesz.
- Laurant podała Nickowi następny talerz do wytarcia i spytała:
- A co z Tommym? Czy on też wyjedzie pierwszego?
- Wiesz, jaki uparty potrafi być twój brat. A ma głębokie przekonanie, że musi pomóc opatowi.
- Ale namówisz go, żeby wyjechał, prawda? - powiedziała błagalnym tonem. - Mnie nie posłucha, ale ciebie musi.
- Tak? Od kiedy?
- Musisz go przekonać, żeby wyjechał z nami. Jeśli on nie wyjedzie, to ja też nie. Powiedz mu to. Może w ten sposób uda się zapobiec jego sprzeciwom.
- Uspokój się - rzekł Nick, widząc popłoch malujący się w jej oczach. - Noah obiecał mi, że tak czy inaczej zabierzemy go stąd. Jest gotów go ogłuszyć i zabrać siłą. Nawet bicie księży nie robi na nim wrażenia. Noah dał mi słowo, więc nie musisz się niepokoić. Zaufaj mu.
- Czy ktoś jest głodny? - spytał Joe z nadzieją. Jakby na sygnał zaburzało mu w brzuchu.
- Zdaje się, że ty - odparł Nick.
- Ja umieram z głodu. Feinberg miał znaleźć sposób, żeby

podrzucić mi trochę pieczywa. Myślał, że wślizgnie się przez plac za domem, ale te dwie staruszki z sąsiedztwa bez przerwy czatują przy oknie. Nie był w stanie się tu dostać. One powinny pracować dla FBI.

- Ale nie wiedzą, że pan tu jest, bo inaczej powiedziałyby coś na ten temat mnie albo Nickowi.

- Nie opuściłem tego domu, odkąd się w nim znalazłem - wyjaśnił Joe. - Te staruszki dokąd poszły pierwszego popołudnia, więc pewnie uznały, że wyszedłem, kiedy ich nie było. Bardzo uważam, żeby po zmroku nie zdradzić się włączonym światłem - dodał.

- Czy Feinberg nie mógł przynieść panu żywności od drugiej strony? - spytała.

- Od tamtej strony nie mógł się dostać do drzwi, a podawanie przez okno byłoby zbyt ryzykowne.

Laurant spuściła wodę ze ziewu, wytarła ręce i zaczęła badać zawartość lodówki, żeby sprawdzić, czym można nakarmić agenta.

- Widzi tam pani cokolwiek? Bo ja nie mogłem nic znaleźć. Wyjadłem całe mięso i zostały już tylko najrozmaitsze płatki - powiedział Joe.

- Czyli w kredensie też są pustki, co? - domyślił się Nick.

Laurant zamknęła lodówkę.

- Jutro z rana pójde po zakupy - obiecała.

- Miałem taką nadzieję. Zrobiłem nawet listę potrzeb, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Jeżeli naprawdę jesteś taki głodny, możemy wyjść i coś ci przynieść - zaofiarował się Nick.

Laurant pokręciła głową.

- O tej porze wszystko jest już zamknięte.

- Jeszcze nawet nie ma dziesiątej i wszystko zamknięte! - zdziwił się Nick.

- Przykro mi, ale tu sklepy zamyka się o szóstej.

- Słowo daję, że nie wiem, jak ona może tutaj wytrzymać zwrócił się Nick do Joego. Usiadł okrakiem na krześle i dodał: W promieniu pięćdziesięciu mil nie ma nawet knajpki z bajglami. Mam rację, Laurant?

- Masz, ale ja nie muszę mieć świeżych bajgli.

- Podejrzewam, że sklepu z pączkami Krispy Kreme też tu nie ma - powiedział z rozpaczą Joe.

- Nie ma - przyznała.

Otworzyła zamrażalnik i zaczęła przeglądać warzywa.

- Coś pani znalazła? - spytał z nadzieją Joe.
- Trochę mrożonych brokułów.
- Nie, dziękuję.

Czajnik zaczął gwizdać, więc Nick sięgnął po filiżankę i spodeczek.

- Chcesz herbaty, Joe?
- Wolałbym mrożonej.

- Nie jesteśmy tutaj po to, żeby cię obsługiwać. Chcesz, to sobie weź. - Nick podał Laurant filiżankę herbaty.

- Nie powinniście wypowiadać takich krytycznych uwag o miasteczku, póki nie pomieszkacie tu przynajmniej tydzień - powiedziałła. - Najpierw musicie poznać miejscowy rytm życia. Jest inny niż w wielkim mieście.

- Nie żartuj - wycedził Nick.

Zignorowała ten sarkazm.

- Jak przestaniecie się spieszyć, to polubicie tutejszą atmosferę.
- Wątpię.

Zaczynała wpadać w złość.

- Powinieneś wykazać więcej otwartości. Poza tym, jeśli mam ochotę na bajgle, kupuję je w paczce w sklepie i rozmrażam.

- Ale wtedy nie są świeże - zaprotestował Nick. - Wszyscy jedzą bajgle. Laurant. To jest potrawa narodowa. Co jedzą te biedne dzieciaki z college'u? Przecież bajgle są zdrowe. One to wiedzą.

- Przestań narzekać. Zachowujesz się jak Amerykanin w Paryżu, który przejechał pół świata i się upiera, że chce zjeść obiad w McDonalddie.

- Wcale nie narzekam.
- Owszem, narzekasz.
- Co się stało z tą uroczą siostrą Tommy'ego?
- Została w Kansas City - odparła Laurant.

Joe wstał od stołu, wyjął z kredensu pudełko płatków ryżowych, a z lodówki odtłuszczone mleko, po czym sięgnął po łyżkę i największy głęboki talerz, jaki mógł znaleźć.

- Ten Brenner podwyższył o dwadzieścia procent ofertę, którą złożył kobiecie z piekarni, co?

Laurant spojrzała na niego zaskoczona.

- Odsłuchałem nagrane wiadomości - wyjaśnił. - I odniosłem wrażenie, że ta Margaret jest bliska kapitulacji. Interes jest za

dobry, żeby z niego zrezygnować, zwłaszcza jeśli ona jest równie stara, jak brzmi jej głos przez telefon.

- Nie jest aż taka stara, ale ma pan rację. Te pieniądze zabezpieczyłyby ją do końca życia.

- Próbuje pani ocalić miasteczko? - spytał Joe.

Pokręciła głową.

- Nie, tylko rynek. Nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają, że postęp oznacza burzenie ładnych starych domów, żeby zrobić miejsce na nowe paskudne. Moim zdaniem, to nie ma sensu. Miasto będzie istniało również bez rynku, ale bezpowrotnie straci swój urok, zabytkową atmosferę.

Nick przyglądał się, jak Laurant miesza herbatę. Robiła to od kilku minut, ale jeszcze nie wypita ani jednego łyku. Siedziała wyprostowana, wpatrując się w wirującą, eiecz W filiżance. Wreszcie jej uwagę zwróciło brzęknięcie łyżki o pusty talerz Joego.

Spostrzegła, że niosąc go do zlewu, agent zerknął na swój nadgarstek.

- Joe, czemu ciągle patrzy pan na zegarek? - spytała.

- Bo to jest część systemu alarmowego. Jeśli w gościnnym pokoju zapali się czerwone światło, to na zegarku też to zobaczą.

Niedaleko strzelił piorun, zaczęła padać deszcz i Joe bardzo się ucieszył.

- Matka natura przychodzi nam z pomocą. Miejmy nadzieję, że burza będzie solidna.

- Zależy panu na solidnej burzy, Joe?

- Jasne - odrzekł. - Po naszym małym przedstawieniu dla nieznanego sprawcy Nick chce uszkodzić kamerę. Światło parę razy zamruga, a potem zgaśnie na dobre. Wyłączę główny bezpiecznik - zapowiedział agent. - Potem światło włączy się z powrotem, ale kamera już nie.

- Uznałem, że będzie ci się źle spało przy włączonej kamerze - rzekł Nick.

- Masz rację. Dziękuję - powiedziała z ulgą.

- Kamera jest podłączona do gniazdka na poddaszu - wyjaśnił Joe. - Mamy nadzieję, że facet przyjdzie ją znowu nastawić, ho pomyśli, że coś się stało z wyłącznikiem.

Skinęła głową.

- A wy będziecie na niego czekać.

Położyła łokciec na stole, wsparła głowę na dłoni i wbiła w/rok w okno ze spuszczoneymi żaluzjami. Czy ten człowiek stoi teraz

gdzieś na zewnątrz i czyha na okazję? Jak spróbuje się do niej dostać? Czy poczeka, aż będzie spała? A może zaczął się i będzie próbował ją napaść na dworze?

Deszcz zabębnił o szyby.

- Gotowi do pójścia na górę? - spytał Joe. - Burza może niedługo ucichnąć, więc trzeba korzystać z okazji. Zejdę do piwnicy i wyłączę elektryczność. Poczekaście tutaj, aż światło znowu się zapali. Wtedy możecie iść na piętro i zrobić swoje. Daję wam na to pięć minut, a potem znowu wyłączam światło. Wtedy ty, Nick, załatwiasz kamerę i wołasz, żebym włączył światło z powrotem.

- Jasne.

- W sieni na szafce jest latarka. Weźcie ją, żebyście widzieli, co robicie. - Joe odsunął krzesło od stołu i wstał. - Ale na razie posiedźcie tutaj grzecznie, póki światło znowu się nie zapali. Potem trochę pomigam. Jak będziecie mogli iść na górę, to zawołam.

Znikł w korytarzu i po chwili usłyszeli jego kroki na schodach do piwnicy. Nick stał na progu i czekał.

- Nie wypijaś ani łyka herbaty. Wreszcie /rozumiałem, po co ją zaparasz.

- Co tu jest do rozumienia?

światło zamrugało dwa razy, a potem zgasło. Nagle w kuchni zapanowała absolutna ciemność.

- Nie przestrasz się - zabrzmiał krzepiący szept Nicka.

- Nie, nie.

Na moment w pokoju zrobiło się jasno od błyskawicy. Laurant podświadomie spodziewała się ujrzeć w tym błysku obcą twarz. Jednak ogarnął ją lęk, chociaż siedziała w swojej kuchni. Za to ten człowiek czuł się u niej jak u siebie. Boże, najchętniej wskoczyłaby teraz do samochodu i odjechała prosto przed siebie. Po co w ogóle tu wróciła?

Głos Nicka pomógł jej opanować przerażenie.

- Parzenie herbaty to jest twój wybieg.

Zwróciła się ku niemu, próbując dojrzeć go w ciemności.

- Co powiedziałaś?

- Kiedy stres jest zbyt silny, rzucasz wszystko i parzysz herbatę. Zaobserwowałem to kilka razy w Kansas City, kiedy byliśmy na plebanii. Potem nigdy jej nie pijesz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, światło się zapaliło i Joe zawołał:

- Do roboty!

Nick wziął Laurant za rękę i delikatnie pomógł jej wstać z krzesła. Trzymał ją przez cały czas, gdy szli przez korytarz i po schodach. Z każdym stopniem czuła, że serce bije jej coraz gwałtowniej. Drzwi do garderoby były otwarte, ale kamery nie dojrzała.

Nick przystanął z dłonią na klamce.

- To ma wyglądać na prawdziwe. Rozumiesz, co mam na myśli? Chcemy go sprowokować. A to znaczy, że musimy odegrać bardzo ostrą scenę i ty pokażesz, że sprawia ci to przyjemność.

- Ty też - powiedziała Laurant. Boże, z nerwów łamał jej się głos,

- Mnie to nie sprawi najmniejszego kłopotu. Od dawna już mam ochotę cię dotknąć. Gotowa?

- Staraj się dopasować do mnie.

Chciał uwodzicielki i dostał uwodzicielkę. Laurant była zdecydowana odegrać swoją życiową rolę. Oboje skupili się na jednym celu: wzbudzić zazdrość tego szaleńca, żeby zapomniawszy o ostrożności i zaatakował. Mieli nadzieję, że w gniewie popełni jakiś błąd. W każdym razie było już za późno na zmianę planu.

- Hej, uśmiechnij się - szepnął Nick. Przybrał radosną minę i zaproponował: - Może powinniśmy najpierw zrobić małą próbę. Ile czasu minęło, odkąd ostatnio turlałaś się z facetem na sianie?

- Och, kilka dni - skłamała. - A ty z kobietą?

- Dużo dłużej. Czy w środku czekają na mnie jakieś niespodzianki?

- Na przykład?

- No, takie rzeczy, które zwykle są w pokojach młodych panien. Łańcuchy, bicze na ścianach. Krótko mówiąc, standardowe wyposażenie, przekazywane z matki na córkę.

Zachowała powagę.

- Z jakimi pannami się zadajesz?

- Wyłącznie z grzecznymi - zapewnił ją. - Bardzo grzecznymi.

Laurant wiedziała, że Nick chce ją rozbawić, żeby zapomniawszy o tremie.

Mijając go, powiedziała:

- Przykro mi, ale nie ma żadnych niespodzianek. Bo lustra na suficie mają wszystkie panny, prawda?

Gdy otwierała drzwi, Nick głośno się śmiał. Laurant weszła do środka pierwsza, zapaliła światło i podeszła do łóżka.

Okazało się, że wszystko jest łatwiejsze, niż przewidywała. Po prostu wyobraziła sobie, że znowu jest modelką. Łóżko było jak koniec wybiegu, a ona miała się tam dostać, eksponując piękno całego ciała. Poruszała się z niewymuszonym wdziękiem, kołysząc biodrami w takt muzyki słyszanej w myślach. Nieznacznie wyduła wargi.

Nick przyglądał się od progu, zdumiony nagłą zmianą, jaka w niej zaszła. Laurant potrząsnęła długimi kręconymi włosami i zachęcająco zerknęła na niego przez ramię. Gdy zbliżył się do podwójnego łoża, obróciła się i pokiwała na niego palcem. Musiał powtórzyć sobie w myślach, że to tylko gra. Ale gdyby oczy mogły spalać żarem namiętności, to od spojrzenia Laurant spłonąłby w tej chwili cały dom.

Podszedł do tej kusicielki, okazało się jednak, że to jeszcze nie koniec niespodzianek. Gdy wyciągnął ku niej ramiona, pokręciła głową, cofnęła się o krok i zaczęła wolno rozpinać bluzkę. Nic odrywała od niego spojrzenia, patrzyła mu prosto w oczy i czekała, drażniła go, prowokowała.

Pozwolił jej rozpiąć bluzkę, ale gdy zsunęła ją z ramion i zobaczył wzniesienia piersi, ukryte pod koronkowym staniczkiem, niecierpliwie ją objął, udając niepohamowaną żądzę. Położył dłoń na jej karku, a drugą ręką mocniej przyciągnął ją do siebie. Potem wycisnął na jej ustach długi, namiętny pocałunek.

Dotyk kobiecego ciała podziałał na niego elektryzująco. Miała takie miękkie, ciepłe, czułe usta. O, do diabła, umiała całować! Sama rozchyliła wargi i w tej chwili Nick poddał się sile pożądania. Wsunął jej język do ust, żeby skosztować ich smaku. Laurant zesztyniała, ale tylko na chwilę, zaraz potem objęła go za szyję i zaczęła żarliwie odwzajemniać pieszczoty.

Pocałunek trwał bez końca. Niby Nick wiedział, że to wszystko jest tylko przedstawieniem, ale jego ciało nic a nic o to nie dbało. Zachowywało się tak, jak powinno, gdy mężczyzna trzyma w ramionach piękną kobietę.

Zaczął skubać ustami płatek ucha Laurant.

- Zwolnij trochę - szepnął.

- Nie - odszepnęła i pociągnęła go za włosy, zapraszając do następnego pocałunku. Gdy ich języki się zetknęły, Nick jęknął.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i kolejnym namiętnym pocałunkiem spróbowała przejąć inicjatywę. Nick jednak na to nie pozwolił. Rozpiął jej dzinsy i przesunął dłońmi po plecach, zatrzymując je

dopiero na pośladkach. Wreszcie przyciągnął ją do siebie, żeby poczuła jego podniecenie. Zszokowana, otworzyła oczy i chciała się cofnąć. Nie pozwolił jej. Urzekł ją następnym pocałunkiem i wkrótce Laurant znów miała oczy zamknięte i ocierała się o jego ciepły, twardy tors. Głaskał ją i pieścił z takim zapałem, że zapomniała o udawaniu. Kurczowo chwyciła go za ramiona, żeby nie upaść, i ochoczo odwzajemniała pocałunki.

W zaciemnionym pokoju na drugim końcu miasta podglądacz siedział przed monitorem. W pewnej chwili wydał ryk wściekłości, który odbił się echem w całym domu. Trzęsąc się ze złości, wziął lampę ze stolika, wyrwał przewód z kontaktu i cisnął nią o ścianę.

Kara była bliska.

21

Rankiem trudno jej było spojrzeć Nickowi w oczy. Poprzedniego wieczoru, gdy tylko zgasło światło, natychmiast odsunął się od niej i poszedł do garderoby, by unieszkodliwić kamerę, Laurant błogosławiła mrok, wiedziała bowiem, że widać, jaka jest oszłamiona. Nie była w stanie zrobić kroku. Chciała ukryć się w łazience, dopóki nic odzyska trzeźwości myślenia, okazało się to jednak wykluczone. Bezwładnie opadła na łóżko i leżała na nim, czekając, aż jej serce odzyska spokojniejszy rytm i będzie mogła znowu normalnie odetchnąć.

Nick i Joe weszli do ciemnego pokoju i powiedzieli, żeby trochę odpoczęła. Mieli na zmianę trzymać wartę. Nie wiedziała jednak, czy Nick położył się spać i czy w końcu miał chociaż moment wytchnienia. Wyczerpana, zasnęła w kilka sekund.

Zbudziła się o świcie i przebrała w strój gimnastyczny, obcisłą górę w biało-niebieskie pasy, odsłaniającą część brzucha, niebieskie szorty, skarpety i wygodne, choć znoszone białe reeboki. Związała włosy w koński ogon, przeszła do sypialni, żeby poćwiczyć stretching.

Nick wszedł tam w chwili, gdy opuszczała łazienkę. Zerknął na strój Laurant i omal nie zemdleł z wrażenia. Zarysy jej ciała były doskonale widoczne.

- Jezu, Laurant, czy twój brat wie, jak się ubierasz do biegania?

Akurat ćwiczyła pozycje w skłonie, więc odpowiedziała, nie patrząc na niego:

- Nie widzę nic złego w moim strójku. Nie wybieram się do kościoła, tylko chcę pobiegać.

- Może powinnaś włożyć na wierzch obszerny podkoszulek...

- Po co?

- Żeby się trochę okryć.

Ale podkoszulek i tak nie zasłoniłby jej niewiarygodnie długich nóg. Nick nie mógł oderwać od nich oczu.

- 1 długie spodnie - mruknął. - To jest małe miasto. Będziesz szokować ludzi.

- Nie będę - zapewniła go. - Nieraz widzieli, jak biegam.

Nie podobało mu się to ani trochę, ale nie miał prawa protestować. Jeśli Laurant chciała się tak ubrać... Ech, do diabła, co go opętało? Nie jego sprawa, co ona na siebie wkłada. Nawet gdyby byli ze sobą, to nie miałyby prawa jej dyktować, jak ma się ubierać.

On też przebrał się już w strój sportowy: spłowiały, granatowy podkoszulek, spodenki gimnastyczne, białe skarpety i zużyte, białe z nazwy tenisówki. W czasie gdy Laurant rozciągała mięśnie nóg, wsunął pistolet do kabury na biodrze i zasłonił go podkoszulkiem. Potem wziął małą słuchawkę i wsunął ją do prawego ucha. Stanąwszy przed lustrem, przypiął sobie do kołnierzyka, tuż nad obojczykiem, małą, okrągłą płytkę.

Laurant, poprawiając wiązanie jednego ze sznurowadeł, spytała:

- Do czego służy ta ozdóbka?

- To jest mikrofon - wyjaśnił. - Dlatego nie możemy mówić nic brzydkiego. Wesson będzie słyszał każde moje słowo, a ja przypomnę ci tylko, Jules, że, moim zdaniem, jest to idiotyczny pomysł.

Jules odpowiedział mu prosto do ucha.

- Uwaga dotarła, agencie Buchanan. Ale do przełożonego należy się zwracać per sir, a nie po imieniu.

Nick zmełł pod nosem słowo „dupiek” i zwrócił się do Laurant:

- Jesteś gotowa?

- Tak - odpowiedziała i pierwszy raz tego dnia spojrzała mu w oczy.

- Zastanawiałem się, jak długo będę czekał.

Nie udawała, że nie rozumie.

» Zauważyłeś?

- O, zarumieniłaś się.

- Nieprawda. - Wzruszyła ramionami, żeby ukryć zakłopotanie, i zniżyła głos do szeptu, licząc na to, że Wesson jej nie usłyszy. - Chyba nie musimy rozmawiać o tym, co zaszło...

- Nie musimy - przyznał. - A potem uroczo się uśmiechnął i dodał: - Ale oboje będziemy o tym myśleć jak dzień długi.

Wpatrywał się w jej usta, więc wbiła wzrok w podłogę.

- Chodźmy - powiedział.

Skinęła głową i przeszła obok niego. Na schodach Nick zakomenderował:

- Masz biec cały czas przodem, a mną się nie przejmować. Zwolnię i dostosuję się do twojego tempa.

Roześmiała się.

- Zwolnisz? Nie sądzę.

- Odkąd pracuję w FBI, biegam prawie każdego ranka. My, agenci, musimy trzymać formę - zapewnił ją.

- Mhm - odparła. - To dlaczego powiedziałeś mi wczoraj, że słaby z ciebie biegacz?

- Wcale nie. Powiedziałem, że nie lubię biegać.

- Mówiłeś, że to szkodzi na kolana i będziesz przez cały czas narzekał.

- Bo szkodzi na kolana, więc będę narzekał.

- A ile mil przebiegasz codziennie?

- Mniej więcej sto.

Roześmiała się.

- Naprawdę?

Joe stanął przy oknie i obserwował ulicę przez szparę w zasłonach.

- Nick, lepiej na to popatrz. Mamy kłopot. Może wolałbyś zrezygnować dzisiaj z biegania.

Laurant pierwsza podeszła do okna. Zerknęła i powiedziała:

- Wszystko w porządku. To tylko chłopcy, którzy na mnie czekają. Zawsze biegamy razem.

Nick spojrzał nad jej ramieniem i zobaczył kilku młodych ludzi przed domem. Część stała na chodniku, dwóch truchtało w miejscu pośrodku jezdnii.

- Kto to jest?

- Dzieciaki z miejscowej szkoły średniej.

- I oni codziennie z tobą biegają? Dlaczego, u diabła, dotąd mi o nich nie wspomniałaś? - Wydawał się wściekły.

- Nie złość się. Nie warto. Przepraszam, że zapomniałam ci o nich powiedzieć. Chłopcy są w reprezentacji szkoły w biegach... w każdym razie niektórzy - wyjaśniła. - Zresztą oni wcale tak naprawdę mi nie towarzyszą. Zanim wbiegnę na ścieżkę, już ich nie ma. Czekają, aż będę wracać, i wtedy...

- I co wtedy? - spytał z naciskiem. Zanim zdążyła odpowiedzieć, mruknął do mikrofonu: - Wesson, słyszysz to?

- Słyszę cię jasno i wyraźnie - padła znudzona odpowiedź, - I co dalej? - spytał Nick. - Czekają na ciebie, aż obiegiesz jezioro i co dalej?

- I truchtają ze mną do domu. To wszystko. Chcą utrzymać się w formie przez lato, żeby mieć kondycję, kiedy zaczną się szkoła.

Nick jeszcze raz zerknął na ulicę i zauważył nadbiegającego jeszcze jednego chłopaka.

- Rzeczywiście, sportsmeni co się zowie - stwierdził sarkastycznie. - Zwłaszcza ten chłopak z pączkiem. On na pewno pojedzie na olimpiadę.

Joe przypadkiem zerknął w lustro w sieni i dostrzegł swoje odbicie. Włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach, odkąd bowiem wstał z łóżka, a właściwie z sofy, nie zadał sobie trudu przejechania po nich grzebieniem. Z pewnym zakłopotaniem przyglądał je dłonią.

- Hm... Nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z tych młodzieńców zwłókł się rankiem z łóżka po to, żeby pobiegać. Prawde mówiąc, jestem rękawem pewny, że nie bieganie im w głowie,

- To dlaczego wstają o tak wczesnej porze? - spytała zirytowana Laurant.

- Hormony, moja droga - odpowiedział Nick. - Szalejące hormony.

- Och, na miłość boską, o tej godzinie? Chłopcy w tym widm mają dużo więcej spraw na głowie niż tylko seks.

- Nie mają - zaprzeczył Nick.

Spojrzała na Joego, a ten potulnie skinął głową.

- Naprawdę nie mają - poparł kolegę.

Nick wystawił kiuk w stronę okna.

- W tym wieku nie myślałem o niczym innym oprócz seksu.

Joe skinął głową.

- Jeszcze raz muszę zgodzić się z Nickiem. Ja też myślałem tylko o seksie. Najbardziej o tym, jak się załapać na numerka, a kiedy już mi się udało, to o tym, jak się załapać znowu.

Laurant nie wiedziała, czy się śmiać, czy złościć. Ta rozmowa była absurdalna.

- Chcecie powiedzieć, że gdy byliście nastolatkami, poświęcaliście myślom o seksie każdą chwilę swego życia?

- Mniej więcej - odrzekł Nick. - Dlatego wiemy, co tych chłopaków tutaj sprowadza i czego chcą. Może powinienem wyjść przed dom i z nimi trochę porozmawiać.

- Ani mi się waż.

Wpadł na lepszy pomysł. Postanowił chłopaków nastraszyć. Podciągnął podkoszulek tak, żeby było widać broń.

Joe popatrzył na niego i rzekł:

- To ich powinno zniechęcić.

Otwierając drzwi przed Laurant, Nick uśmiechnął się.

- Może powinienem ze dwóch postrzelić.

Laurant tylko przewróciła oczami, całkowicie ignorując jego marsową minę. Pomachała ręką swojej eskorcie, przebiegła ulicę i przedstawiła chłopcom Nicka jako swego narzeczonego. Natychmiast zauważyli broń, ale przyrzekli jej się bardzo pobieżnie, o wiele bardziej byli zainteresowani wdziękami Laurant. Nawet nie spojrzeli na Nicka, gdy wspomniała, że narzeczony pracuje w FBI.

Na szali znalazły się naładowany pistolet i obcisły kostium, ale kostium przeważał.

Nick biegł z tyłu. Młodzieńcy ich otoczyli, na zmianę próbując zająć Laurant rozmową.

Chłopiec z pączkiem spuchł pierwszy. Zaraz potem odpadło ze stawki trzech następnych. Laurant stopniowo przyspieszała kroku; jej długie nogi dosłownie pożerały odległość. Z wdziękiem pokonywała kolejne metry chodnika. Miała rację co do wytrzymałości swoich fanów. Zanim osiągnęli wejście do parku, dwaj ostatni chłopcy zostali z tyłu, zgięci wpół i ciężko zdyszani. Nick usłyszał, że jeden z nich rzyga z wysiłku i ten odgłos sprawił mu niebywałą przyjemność.

Laurant uwielbiała tę porę dnia. Było tak cicho, spokojnie i przyjemnie. Starła się przez tę godzinę nie pamiętać o niczym przykrym, tylko skupić całą uwagę na zwirowej ścieżce. Liście były jeszcze mokre po deszczu w nocy. ale wiedziała, że do południa wszystko wyschnie. Mieszkańcom Iowy doskwierała susza. Krzaki i zarośla pobrązowiały. Gdy skręcała, by zacząć rundkę dookoła jeziora, po prawej miała wejście do rezerwatu. Było tam ponad dziesięć akrów brązowej preriowej trawy, która falowała niczym zboże przy najłżejszym podmuchu.

Laurant przebiegła obok domku opata z uczuciem, że agent Wesson ją obserwuje, ale go nie zobaczyła, bo żaluzje były spuszczone. Pomost, znajdujący się po prawej stronie od domku, wystawał z wody na sporą wysokość, co również świadczyło o małych opadach w ostatnim czasie.

Zanim okrążyła jezioro, pot ściekał jej po szyi i strużką spływał między piersi. Zwolniła, potem przystanąła, wykonała skłon i kilka razy głęboko odetchnęła. Za plecami słyszała sapanie Nicka.

Stojąc w tym miejscu, byli bardzo łatwym celem. Nick szybko omiół wzrokiem zarośla dookoła. Na wszelki wypadek zbliżył się do Laurant. Podkoszulek miał przesiąknięty potem. Ramieniem otarł czoło. Doszedł do wniosku, że dziewczyna powinna jednak wyrównać oddech w domu.

- Ruszmy się stąd. Biegniemy do domu czy idziemy?

- Truchtamy.

Chłopcy czekali na nich przy wejściu do parku. Głupio szczerząc żeby, jeszcze raz otoczyli swą Laurant i Nicka.

- Mięczaki mruknął Nick, gdy skinęła im na do widzenia i sprintem pokonała finiszowe metry do domu.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Nick się odprężył.

- Cholera, strasznie wilgotno jest na dworze - powiedział.

- Jak ci się podobało nasze jezioro? Czy nie jest piękne!'

- Widziałem je wczoraj - przypomniał jej. - Kiedy poszliśmy do Wessona.

- Ale czy nie jest piękne? Wędkarze mają tam raj. W czystej wodzie nawet widać ryby na tle skalistego dna.

- Tak? Nie zauważyłem.

Stała z rękami wspartymi na biodrach i wciąż lekko dyszała.

- Jak mogłeś nie zauważyć? Na co patrzyłeś?

- Szukałem miejsc, które nadawałyby się na kryjówkę dla tego sukinsyna! Mógł cię obserwować od chwili, gdy wbiegłaś do parku, aż do momentu powrotu, a ja nie miałbym żadnej szansy, żeby go zobaczyć. Nie pozwolę ci więcej na bieganie tą fasą. Słyszysz mnie, Wesson? Nasz nieznany sprawca mógł się chować dosłownie wszędzie. Za duży obszar, żeby dało się go obstarwić.

Laurant poczuła, że robi jej się sucho w ustach.

- Myślisz, że posłużyłby się pistoletem i...

- Ten facet ma swoje zamiary i pewnie będzie się ich trzymał.

Ale mógłby cię postrzelić, żebyś tak się nie spieszyła.

- Kiedy biegaliście po parku, obserwowali was również inni agenci - włączył się do rozmowy Joe, gdy dziewczyna minęła go w drodze po wodę. - Nic wam nie groziło - dokończył, idąc za nią do kuchni.

Laurant wróciła do salonu, rzuciła Nickowi butelkę wody

mineralnej, a druga otworzyła dla siebie. Upiła duży tyk i skierowała się ku schodom.

- Idę wziąć prysznic.

- Poczekaj. - Nick pierwszy wszedł na górę. Dokładnie obejrzał łazienkę, sprawdzając, czy nie czekają w niej żadne niespodzianki.

Wykazywał przesadną ostrożność, ale Laurant była mu za to wdzięczna.

- Dobra, możesz wejść.

- Jeśli chcesz, masz drugi prysznic w łazience, do której jest wejście z korytarza - powiedziała.

- Dziękuję, poczekam.

Nick siedział na łóżku i rozmawiał przez telefon, gdy kwadrans później wyszła z łazienki w krótkim bawełnianym szlafrocuku, który najlepsze lata dawno miał za sobą. Woda z włosów ściekała jej na plecy. Nick tylko na nią zerknął i natychmiast przestał trzeźwo myśleć. Wiedział, że pod cienkim okryciem Laurant jest naga. Musiał się odwrócić, żeby we względny spokój dokończyć rozmowę.

- Posłuchaj, Theo, porozmawiamy o tym po moim powrocie do Bostonu, zgoda? - Przerwał połączenie i wolno odwrócił głowę, żeby kątem oka zerknąć na Laurant.

Otworzyła szufladkę toaletki i wyjęła z niej dwa niewielkie paseczki koronki. Natychmiast wyobraził sobie, jak wkłada to na siebie.

Weź się w garść, powiedział sobie w duchu. Laurant była owocem zakazanym, więc nie wolno mu było snuć takich fantazji. Co z niego za przyjaciel, skoro podniecał się siostrą Tommy'ego?

Czynienie sobie wyrzutów nie pomogło. Pragnął jej. Najzwyczajniej w świecie. W końcu musiał to sobie uczciwie powiedzieć. Tylko co mógł z tym zrobić dalej? Nic, zdecydował. Zupełnie nic. Nawet gdyby nie była siostrą przyjaciela, nie związałyby się z nią. Taki romans nie miał szans. Nic by z tego nie wyszło i skończyłoby się na tym, że Laurant by go znieawidziła. Ona pragnęła tego, czego nigdy nie miała, rodziny i dzieci, mnóstwa dzieci, a on nie chciał ani jednego, ani drugiego. Był zbyt starym wróblem, by tak się odkryć. Wprawdzie pochodził z ośmioosobowej rodziny, lecz miał naturę samotnika i chciał, żeby tak zostało.

Nie powinien był jej pocałować. Zły pomysł, doszedł do wniosku. Nie był na to przygotowany, nie zdawał sobie sprawy z tego, jaka to przyjemność. Boże, ale był zarozumiały. Sądził, że pozostanie

chłodnym profesjonalistą, ale gdy Laurant go objęła i poczuł dotyk jej miękkich warg, w jednej chwili zapomniał o pracy. Stał się jednym z tych zboczonych nastolatków, którzy za nią biegną. Myślał tylko o tym, żeby przykryć ją swym ciałem.

Może Morganstem jednak miał rację. Może osobiste zaangażowanie przeszkadza w pracy. Ale szef miał na myśli jego przyjaźń z Tommym. Co pomyślałby Pete, gdyby się dowiedział, że jeden z jego agentów zapragnął siostry przyjaciela. Nick znał odpowiedź na to pytanie. Pete obdarzyłby go ze skóry.

Telefon odezwał się znowu. Nick przez chwilę słuchał rozmowy, a potem powiedział:

- Tak, księżę prałacie. Na pewno mu powtórzę. Dziękuję za telefon.

Laurant, stojąca na bosaka w garderobie przy drzwiach, przestąpiła z nogi na nogę i dalej szukała czegoś na drążku zapchanym ubraniami. Gdy Nick skończył rozmawiać, spytała:

- Dzwonił prałat McKindry?

- Słucham? Ach, tak. Tommy zostawił w kuchni swój notatnik. Prałat obiecał, że przyśle go pocztą.

- Czy wspomniał, kiedy Tommy i Noah wyjechali?

- Tak. O świcie. Laurant, na miłość boską, włóż coś na siebie.

Nie przerywając przeglądania ubrań, odpowiedziała:

- Z przyjemnością, tylko zostaw mnie na chwilę samą.

Usłyszała w jej głosie zaktopotanie.

- Och, dobrze. - Poczucił się jak skończony idiota. - Idąc wziąć prysznic, dodał jeszcze: - Nie wychodź z sypialni, póki się nie ubiorę. I niech drzwi będą zamknięte.

- Joe jest na dole.

- Nie szkodzi. Chcę, żebyś na mnie poczekała. - Słysząc było, że to nie podlega dyskusji.

Pobiegła za nim, by wziąć z półeczki suszarkę do włosów i szczotkę. Wyciągnęła rękę w momencie, gdy ściągał podkoszulek, i przypadkowo zawadziła dłonią o jego plecy. Nick wzdrygnął się jak oparzony.

-> Przepraszam - bąknęła.

Westchnął i wrzucił podkoszulek do umywalki.

- Znowu postawiłem cię w niezręcznej sytuacji, prawda?

Stali twarzą w twarz. Jedną ręką Laurant ścisnęła poły szlafroka, w drugiej trzymała suszarkę i szczotkę.

- Czy Wesson słucha? - spytała szeptem.

Pokręcił głową.

- Mikrofon został na toaletce, razem ze słuchawką.
- Nie chcę, żeby sytuacja była niezręczna, ale to przez to. że się całowaliśmy. Wiem, że to było w planie, ale...

- Ale co?

Wzruszyła ramionami.

- Przez to sytuacja znowu stała się niezręczna. Ot, i wszystko.
- Oboje...
- Co oboje?
- Podnieciliśmy się.

Do tej pory patrzyła w podłogę. Słyszając to słowo, natychmiast jednak spojrzała Nickowi w oczy.

- To prawda. I co z tym zrobimy?
- Oswoimy się z tą myślą-powiedział. -Znam pewien sposób. Błysk w jego oczach powinien być ją ostrzec.
- Jaki? - zainteresowała się.
- Weźmy razem prysznic. Może w ten sposób uda ci się wyzbyć wstydlivości.

Nie mogła się nie roześmiać, czyli zrobiła to, o co mu chodziło. Napięcie opadło. Szeroki uśmiech Nicka był bardzo zabawny.

- Doskonale wyćwiczyłeś grymas pożądanía - powiedziała, obróciła się na pięcie i wyszła z łazienki.

Ponieważ lustro wciąż było zaparowane, a w pomieszczeniu można było ugotować się żywcem, Nick poprosił, żeby zostawiła drzwi otwarte. Poczekawszy na zewnątrz, aż usłyszy szum wody, poszła się ubrać i wysuszyć włosy. Mieli iść do miasta po pierścionek zaręczynowy, więc postanowiła się ubrać nieco bardziej odświętnie niż zwykle. Zdecydowała się na szerokie białe spodnie i brzoskwiniową jedwabną bluzeczkę. W głębi szafy znalazła białe pantofle z płótna.

W czasie gdy szcztokowała włosy, Nick posłał łóżko. Końcowy efekt był dość pokraczny, ale powstrzymała się od krytyki.

Nick miał na sobie dzinsy i koszulkę polo. Do pasa przytroczył kaburę. Potem znowu przyczepił sobie mikrofon, dodał słuchawkę i schował portfel do kieszeni z tyłu.

- Gotowy. Jaki plan dnia? - spytał, zmierzwszy Laurant wzrokiem.

- Najpierw śniadanie, bo jestem wściekle głodna, potem spożywczy i zakupy dla Joego. Następnie chcę sprawdzić, czy w sklepie zaczęli już robić podłogi. Jeśli nie, to całe popołudnie będę tam pracować.

- Jeszcze jubiler - przypomniał jej, wkładając skórzane pantofle.

- Och, i muszę odebrać suknię na ślub Michelle - przypomniała sobie. - I powinnam przynajmniej godzinę poświęcić opactwu. Muszę wziąć się za strych.

Do południa robili zakupy. To były codzienne czynności, które dla wielu par są zupełnie zwyczajne, w ich sytuacji nie było jednak nic zwyczajnego. Laurant nieustannie zerkała przez ramię, nawet gdy w sklepie spożywym robili zapasy dla Joego. Prawie przy każdej półce zaczepiała ją jakaś przyjaciółka lub znajoma i za każdym razem odbywało się przedstawianie narzeczonego.

Nick znakomicie wczuł się w rolę. Był troskliwy i czuły, a przy tym tak naturalny, że Laurant musiała raz po raz powtarzać sobie, że to tylko gra.

Odpnęła się dopiero w samochodzie. Tam poczuła się bezpiecznie. Nick przejechał obok McDonalda, żeby mogli coś zjeść. a potem ruszył z powrotem do domu. Włączył radio; Gary Brooks ciepłym głosem śpiewał im o utraconej i odnalezionej miłości.

Laurant bardzo chciała pokazać Nickowi swój sklep. Pomogła mu wnieść zakupy do domu. Zostawili je w sieni; Joe miał je przenieść do kuchni. Ponieważ ustalili w końcu, że najpierw kąpią pierścionek, a potem Laurant popracuje w opactwie, Nick uznał, że samochód im się przyda.

Zatrzymał wóz przy fontannie, aby obejrzeć wszystkie budynki przy rynku. Żaden z nich nie był bezcennym zabytkiem, ale niewątpliwie miały urok. Większość fasad wymagała remontu, choć niezbyt gruntownego.

- Widzisz, jak mogłoby tutaj być? - spytała.

- Tak. Po co burzyć te domy?

- No, właśnie - powiedziała z entuzjazmem. - Dawniej tutaj wszyscy robili zakupy i mieli swoje miejsce spotkań. Chciałabym. żeby znowu tak było.

- Same sklepy nie wystarczą - stwierdził Nick. - Musi jeszcze być coś w środku, co przyciągnęłoby ludzi.

- Rektor college'u rozważa przeniesienie księgarni do narożnego budynku po twojej prawej. Na terenie uczelni brakuje już miejsca, a tu wszystko doskonale by się zmieściło. Młodzież musiałaby przychodzić na rynek po książki.

- To z pewnością by pomogło.

- Owszem. Mogłoby przychodzić tu piechotą. College ma

swoje tereny zaledwie kilka przecznic dalej. Chodźmy - przynagliła go. - Chcę ci pokazać mój sklep.

Uśmiechnął się, słysząc jej entuzjazm. Zaparkował samochód przy jednej z trzech zabudowanych stron rynku, niedaleko jubilera. Objął Laurant i ruszyli chodnikiem.

Zwiedzanie sklepu okazało się jednak niemożliwe. Na podłogi naniesiono właśnie pierwszą warstwę pianki poliuretanowej. Ponieważ okna były zasłonięte, Nick nie mógł nawet zajrzeć do środka, żeby zobaczyć piękną marmurową ladę. Trzeba było poczekać przynajmniej cztery dni, póki nie zostaną położone i nie wyschną druga i trzecia warstwa poliuretanu.

Poszli więc do jubilera. Nick zrobił piramidalne wrażenie na Miriam Russell, gdy wybrał pierścionek z dwukaratowym brylantem, największy w sklepie. Laurant go jednak nie chciała. Wolała półtorakaratową markizę. Nawet nic trzeba jej było dopasowywać, mieściła się na jej palcu jak na zamówienie, dlatego Nick nawet nie próbował przekonywać Laurant.

Wyciągnęła przed siebie rękę i poruszyła palcami, żeby brylant załamał światło. Wydawała przy tym liczne ochy i achy jak zakochana kobieta. Trochę się niepokoiła, czy nie przesadza, ale Miriam chyba uwierzyła w te zachwyty. Stała z dłońmi splecionymi na brzuchu i sprawiała wrażenie głęboko usatysfakcjonowanej.

Gdy Nick podał jej kartę kredytową American Express, żeby zapłacić za zakup, właścicielka wróciła na ziemię. Spytała Laurant, czy jeszcze przed płaceniem mogą zamienić słowo na osobności. Zaprowadziła dziewczynę na zaplecze, a Nick czekał przy ladzie. Nie wiedział, o czym kobiety rozmawiają, ale bez wątpienia było to dla Laurant kłopotliwe. Wróciła czerwona na twarzy i raz po raz kręciła głową.

Kilka minut później Nick podpisał rachunek, wziął pierścionek i ponownie włożył go na palec Laurant, a potem pochylał się i pocałował narzeczoną. Zrobił to delikatnie i czule, ale pod nią ugięły się nogi. Musiał dyskretnie ją szturchnąć, żeby odsunęła się od lady i ruszyła do drzwi.

Gdy wychodzili ze sklepu, Miriam zawołała za nimi:

- Pamiętaj, co powiedziałam, Laurant! Trzymam za ciebie kciuki.

Dziewczyna szybko uciekła na dwór, wyraźnie upokorzona. Nick wkrótce ją dogonił.

- Co się stało?

- Nic ważnego.

- Za co ona ma trzymać kciuki?

- To naprawdę nic ważnego.

- Nie denerwuj się, Laurant. Powiedz mi.

Przestała czynić wysiłki, by go zostawić z tyłu.

Dobrze. Powiem ci. Ta minikonferencja na zapleczu dotyczyła zasad zwrotu towarów zakupionych w tym sklepie. Miriam uważa, że zmarnuję tę okazję. To jej słowa, nie moje. Rozumiesz chyba, że kiedy twoje zadanie się skończy i wyjedziesz, wszyscy tutaj będą uważać, że znowu się nie spisałam. To nic jest śmieszne, więc przestań suszyć zęby.

Nie było w nim ani krzty współczucia.

- Dziwną masz tu reputację - powiedział ze śmiechem. - Co ty właściwie robisz tym mężczyznom, którzy próbują nawiązać z tobą bliższy kontakt?

- Nic! - krzyknęła ze złością. - Nic nie robię! Po prostu jestem... wybredna. W miasteczku mieszka grupka kobiet, które nie mają nic do roboty oprócz plotkowania. Jeśli któraś z nich zauważy, że z kimś rozmawiam, natychmiast zaczyna wyciągać daleko idące wnioski. Zanim się o tym dowiem, Lorna Hamburg drukuje te wymysły w lokalnej gazecie. To doprawdy śmieszne - dodała. - Gdy potem ludzie widzą, że nie spotykam się ze wspomnianym w gazecie mężczyzną, uważają, że zmarnowałam kolejną okazję.

- Ta dziennikarka naprawdę drukuje takie historie w gazecie?

- Ona prowadzi kolumnę towarzyską - wyjaśniła Laurant. - Same ploty najniższego lotu. Tu się nie za wiele dzieje, więc Lorna...

- Upiększa?

- Ojej. O wilku mowa... - szepnęła. - Uciekajmy stąd, Nick. Szybko. Zauważyła nas.

Lorna Hamburg dostrzegła ich z odległości jednej przecznicy i puściła się biegiem. Długie, kręcone platynowe włosy zasłaniały dużą część jej niewielkiej twarzy, a z uszu zwisały olbrzymie kolczyki, które przy każdym kroku kołysały się jak wahadła. Na ramieniu miała wielką półocianą torbę w lamparci wzór, więc gdy biegła, przechylała się w tę stronę jak pijak, który ma kłopoty z utrzymaniem pionu.

Pędziła, żeby ich zatrzymać, a dziesięciocentymetrowe obcasy jej jaskraworóżowych pantofli stukały o chodnik. Ich odgłos przypominał szczekanie zębów.

- Ho, ho, umie się poruszać ta kobieta - stwierdził Nick.

Gdy dziennikarka znalazła się bliżej, zwrócił uwagę na jej brwi, a właściwie ich brak. Loma pieczołowicie je sobie wyskubała, a na ich miejscu, nad głęboko osadzonymi oczami wyrysowała ołówkiem dwie proste czarne linie.

Nick nie podchwycił zachęty do ucieczki, więc Laurant nie była w stanie uniknąć spotkania.

- Myślałam, że agenci FBI mają lepszy refleks - mruknęła, czekając z rezygnacją, aż będzie miała okazję przedstawić mu kobietę, którą na swój użytek zwała gazetową małpą.

- Pamiętaj o naszym celu. To jest wspaniała okazja. Przestań się dąsać i zrób minę kochającej narzeczonej.

Nick był ohydnie uroczy, co tylko zachęciło Lomę do jeszcze większego natręctwa niż zwykle. Zażądała wywiadu na miejscu. Wyciągnęła z torby wielki notatnik i zaczęła szczegółowo wypytywać o początek ich znajomości.

W ciągu piętnastu sekund Nick zdobył dwie informacje o dziennikarce. Po pierwsze, nie znosiła Laurant, a po drugie, miała na niego chrapkę. Ten drugi wniosek nie był skutkiem jego zarozumiałstwa ani nawet bystrości. To było wręcz oczywiste, gdy widziało się, jak ta kobieta na niego patrzy, raz po raz oblizując wargi. Odrażające.

W miarę jak pytania Lorny stawały się coraz bardziej osobiste, Laurant czuła wzrastającą irytację, aż wreszcie, gdy dziennikarka zażądała informacji, czy żyją już z Nickiem jak mąż i żona, nie wytrzymała.

- Nie twój zasrany interes, Lomo!

Nick uściśnął ją za ramię, a potem powiedział:

- Kochanie, pokaż Lornie swój pierścionek zaręczynowy.

Laurant wciąż kipiała ze złości, gdy uniosła rękę. by pomachać nią przed twarzą dziennikarki.

- Ten pierścionek musiał kosztować fortunę - oceniła Loma. - Wszyscy w mieście wiedzą, że pan pracuje w FBI. Dostałam już kilka telefonów na pana temat. To prawda - podkreśliła. - Chodzi o broń, którą pan nosi. Ludzie zastanawiają się, po co, choć naturalnie, z uprzejmości nie pytają.

- Za to szepczą za plecami Nicka - odezwała się Laurant.

Loma ją zignorowała.

- Agenci FBI nie zarabiają dużo. prawda?

- Chce pani wiedzieć, czy stać mnie na ten pierścionek? - spytał Nick.

- Nie zamierzałam być taka obsesowa.

Nick uściśnął dłoń Laurant.

Nie mam kłopotów finansowych oświadczył. - Majątek rodzinny, pani rozumie.

- Czy to znaczy, że pan jest bogaty?

- Na miłość boską, Lomo. To nie twój...

Nick położył drugą rękę na ramieniu Laurant i rzekł ciepło:

- Nie denerwuj się, kochanie. Loma jest po prostu ciekawa.

- To prawda - przyznała dziennikarka. - Bardzo ciekawa. Skąd pan pochodzi, Nick? Nie ma pan nic przeciwko temu, że mówię do pana po imieniu, prawda?

- Nie, skądże. Mieszkam w Bostonie. Wychowałem się w Nathan's Bay.

- Czy po ślubie zabierze pan żonę do Bostonu?

- Nie. Zamieszkamy tutaj. Na pewno będę dużo podróżował, ale dom mogę mieć wszędzie, a Laurant uwielbia to miasteczko. Mnie też zresztą coraz bardziej się podoba.

- Ale Laura nie będzie musiała pracować, gdy zostanie pana żoną, prawda?

- Nie sprzedam sklepu, Lomo, więc przestań robić podchody - burknęła Laurant.

- Hamujesz postęp, Lauro.

- Akurat! - Nie była to błyskotliwa replika, nic innego nie przyszło jednak dziewczynie do głowy. - Poza tym tak się składa, że chcę pracować.

- Rozumiem, rozumiem - odparła protekcyjnie dziennikarka.

- Jeśli moja narzeczona chce pracować, to będzie pracować - powiedział Nick. - Jest nowoczesną, niezależną kobietą, a ja będę ją wspierał we wszystkich jej poczynaniach.

Lorna zamknęła notatnik i wcisnęła go do torby. Potem skupiła uwagę na Laurant.

- Chciałabym wierzyć, moja droga, że to jest poważna znajomość, ale szczerze mówiąc, wątpię. I nie miałabym ochoty drukować kolejnego sprostowania. Nie zniosę tego. Ludzie wierzą w prawdziwość informacji z mojej kolumny, więc chyba rozumiesz moją troskę.

Nick objął Laurant ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Musiała pani drukować sprostowanie w sprawie mojej narzeczonej?

- Dwa razy - odparła dziennikarka.

- Mniejsza o to - burknęła Laurant. - Musimy już iść. Mam jeszcze dzisiaj dużo do zrobienia.

- Na pewno pan zauważył, że Holy Oaks nie jest dużym miastem - zaczęła Lorna. - Ale mam tu wysoką pozycję. Jestem redaktorem kolumny towarzyskiej w „Gazette”. Ludzie oczekują ode mnie bieżących informacji o życiu naszej społeczności. Spodziewają się też, że będę wiarygodna, ale pańska narzeczona wyjątkowo utrudnia mi życie. Doszło do tego, że nie lubię pisać o niej czegokolwiek. Słowo daję.

- To nie pisz - skonstratowała Laurant.

Lorna w dalszym ciągu skupiała uwagę na Nicku.

- Jak już panu powiedziałam, zanim mi tak ordynarnie przerwało, pańska narzeczona nieustannie zmienia zdanie. W jednym z artykułów wspomniałam, że Steve Brenner i Laura mają się ku sobie i można liczyć się z rychłym ślubem, a potem musiałam wydrukować sprostowanie. - Urwała, żeby przesłać dziewczynie złośliwy uśmiech, zaraz jednak podjęła wątek: - Na jej życzenie. Wyobraża pan sobie? Moja wiarygodność była na szali, a jej to nic a nic nie obchodziło. Uparła się, że mam wydrukować sprostowanie.

- Bo wiadomość nie była prawdziwa - podkreśliła z irytacją Laurant. - Nigdy nie spotykałam się z Brennerem, i dobrze o tym wiesz, tylko wcale ci nie zależało na tym, aby podać prawdziwą informację. Może nie, Lorno? - Francuski akcent Laurant stawał się coraz bardziej słyszalny, co stanowiło jawny dowód jej irytacji.

- Czy musisz mnie obrażać? Jestem precyzyjna. Piszę to. co mi mówią ludzie.

- Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, napisałaś o moich planach zamażpójścia.

Laurant spychała ją do rogu, a Lorna ta sytuacja zupełnie nie odpowiadała.

- Nie pamiętam już szczegółów, ale na pewno miałam informację z pierwszej ręki, bo inaczej bym jej nie opublikowała - mruknęła, krzywiąc usta w grymasie niesmaku.

- Czy ta ręka należała do Steve'a Brennera? - spytał Nick.

- Przynajmniej, że może trochę podbarwiłam informację, żeby była ciekawsza - wyjaśniła dziennikarka. - Ale z pewnością nie wysłałam jej z palca, bez względu na to, co mówi panu Laura. Muszę dbać o swoją reputację.

- Co Steve Brenner miał do powiedzenia na temat tego artykułu? Lorna wzruszyła ramionami.

- Nic. Poznał pan już Steve'a?

- Nie.

- Polubi go pan - przepowiedziała. - Wszyscy go lubią, to zsiaczy wszyscy z wyjątkiem Laury - oświadczyła lekceważąco. Steve troszczy się o gopodarkę i wiele robi dla rozwoju miasta. To sprostowanie musiało być dla niego równie żenujące jak dla mnie, ale nie powiedział o tym ani słowa. Naturalnie nie mógł tego zrobić. Jest w każdym calu dżentelmenem. Nie wydrukowałabym sprostowania, gdyby Lauren nie zagroziła, że poskarży się mojemu szefowi. Ona potrafi być... wyjątkowo uciążliwa.

- Naprawdę musimy już iść - odezwała się znowu Laurant. Miała stanowczo dość tej kobiety.

Nick nie ustąpił.

- Gwoli ścisłości... skoro pani chce być dokładna...

- Tak? - Lorna przygotowała długopis.

- Moja narzeczona ma na imię Laurant. Właśnie Laurant, nie Laura i nie Lauren. Kochamy się - dodał. - Dlatego nie musi się pani martwić, że trzeba będzie drukować następne sprostowanie. Prawda, kochanie?

Laurant nie odpowiedziała, więc uściśnął jej ramię.

- Tak - potwierdziła. - Nick mnie kocha, z wzajemnością.

Dziennikarka znowu miała na wargach ten paskudny, złośliwy uśmiešek. Widać było, że im nie dowierza, i nagle Laurant poczuła, że musi przekonać tę obrzydliwą babę.

- To było tak. - Strzeliła palcami przed samym nosem Łomy.

Nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, dopóki nie spotkała Nicka. Początkowo sądziła, że to zwykła, od dawien dawna znana chuch. Ale potem zrozumiała, że to prawdziwe uczucie. Jestem w nim zakochana do szaleństwa.

Małe oczka Łomy przenosiły się z zadowolonego uśmiešku Nicka na szczerą twarz Laurant i z powrotem.

- Zacytuję cię. - Zabrzmiało to jak groźba.

- Doskonale - powiedział Nick i odwrócił się do samochodu. Laurant wciąż stała tuż przy nim.

Na szczęście wóz był zaparkowany niedaleko. Nick otworzył drzwi po stronie pasażera, a potem obszedł maskę i usiadł za kierownicą. Lorna stała na chodniku, przyglądając im się z niechęcią.

- Mam wrażenie, że ona za tobą nie przepada - powiedział Nick, widząc panią redaktor we wstecznym lusterku.

- Już wiem, dlaczego przyjęto cię do FBI. Jesteś niesamowicie spostrzegawczy.

- Artykuł będzie w sobotnim numerze- zawołała za nimi dziennikarka. - Spróbujcie do tej pory się nie odkochać.

Wściekła Laurant z całej siły przycisnęła guzik opuszczający szybę, a potem wychyliła się z samochodu.

- Powtarzam ci ostatni raz, Lomo, że to jest prawdziwa miłość. I trwały związek.

Lorna odeszła od krawężnika.

- Tak, tak.

- Tak, tak - powtórzyła dziewczyna.

- Czy ustaliliście już datę ślubu?

Było to wyzwanie, nie mogło więc pozostać bez odpowiedzi.

- Owszem - oznajmiła Laurant. - Druga sobota października o siódmej wieczorem.

- Macie powody do takiego pośpiechu?

Nie chcemy długiego narzeczeństwa. Zresztą tak sobie zaplanowaliśmy. Wszyscy o tym wiedzą, Lomo. Powinnaś być bardziej na bieżąco. Bądź co bądź, prowadzisz kronikę towarzyską naszego miasta.

Lorna w odpowiedzi parsknęła.

- Ho, ho. Tak szybko zaplanowaliście ślub? Chyba nie musicie się pobrać, hm? A może taki właśnie jest powód ślubu?

- Dość tego! - burknęła Laurant i chwyciła za klamkę.

Nick złapał ją za rękę i zablokował zamek. Starał się nie roześmiać, ale bardzo chciał spytać Laurant, co by zrobiła, gdyby pozwoili jej wysiąść z samochodu. Czyżby zamierzała skasować Lornę?

Laurant nagle uświadomiła sobie, że zachowuje się jak skończona kretyńska. Bezwładnie oparła się na siedzeniu i z powrotem zasunęła szybę.

- Włącz silnik - rzuciła - Chcę jak najszybciej stąd odjechać.

Żadne z nich nie odezwało się już ani słowem, dopóki nie opuścili rynku i nie znaleźli na drodze do opactwa. Ale zaraz potem laurant wybuchła.

- Lorna Hamburg jest najbardziej zrozumiąta i złośliwą plotkarą w Holy Oaks. Nie mogę jej znieść. Jest Wtędna, uwielbia dręczyć ludzi i ciągle mać. Jak śmie mi nie wierzyć! - krzyknęła. - Nigdy, ale to nigdy jej nie okłamałam. A widziałeś, jaką miała minę? Uważała mnie za kłamczuchę.

Chwila upłynęła w milczeniu. Wreszcie Nick zerknął na dziewczynę.

- Laurant?

- Co? - spytała nadszana.

- Kłamałaś - zwrócił jej uwagę, choć była to oczywistość.

- Ale ona o tym nie mogła wiedzieć.

- Widocznie jednak wiedziała.

- Jedź, Nick. Jedź.

Mimo woli się roześmiał.

Udała, że tego nie zauważa, i wlepiła wzrok w szybę, licząc na to, że uda jej się trochę ochłonać.

- Nie zachowujesz się zbyt logicznie - odezwał się Nick.

Co będzie, kiedy sprawa się skończy i wrócę do Bostonu? Każesz Łomie wydrukować następne sprostowanie czy po prostu przyznasz się do kłamstwa?

- Nigdy nie przyznam się do kłamstwa. Nigdy. Nie sprawię tej wstrętnej babie takiej satysfakcji. To przez nią mam w tym miasteczku taką złą opinię, jeśli chodzi o kontakty z mężczyznami.

Skrzyżowała ramiona na piersi i spuściła wzrok. Wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie, ale była za bardzo wściekła, by się tym przejmować.

- Ona nie ma pojęcia, czym jest etyka zawodowa. Dlatego przysięgam, że zrobię wszystko, byle tylko nie przyznać się do kłamstwa. Jestem gotowa nawet wziąć z tobą ślub - oświadczyła z emfazą. - Mimo że jesteś całkiem nieodpowiednim mężczyzną.

Nick zwolnił.

- Co to znaczy „nieodpowiednim”? Czego mi brakuje?

- Nie dajesz poczucia bezpieczeństwa. Tego ci brakuje. Na przykład nosisz broń.

- Powiedziałem ci już, że to jest część mojej pracy.

- No, właśnie.

- W życiu nie ma żadnych gwarancji. Nie istnieje coś takiego jak bezpieczne życie, w każdym razie nie w tym znaczeniu, o jakim myślisz. Nawet kierowca autobusu może zginąć podczas pracy.

- Tak? A ilu kierowców autobusów wdaje się w strzelaniny?

Nick zazgrzytał zębami.

- Nie znam tak znowu wielu agentów FBI, którzy, jak to ujęłaś, wdają się w strzelaniny - burknął. - Coś u ciebie na bakier z logiką. Wiesz o tym, prawda?

Zesztywniała.

- Może nie chcę być logiczna. Co w tym złego?
- Ustalmy fakty. Chociaż wiesz, że to jest nielogiczne, byłabyś gotowa mnie poślubić wyłącznie na złość Lornie, tak?

Oczywiście nie. Ale równie oczywiste było to, że się do tego nie przyzna przed tym miłośnikiem logiki.

- Do czego dążysz? - spytała.
- Do niczego. Jeśli nie widzisz w tym nic złego, to ja również nie.

Z wściekłością skinęła głową.

- No, więc dobrze. Szóstego października o siódmej wieczorem. Zapisz to sobie.

22

V^oś co dla jednego jest śmieciem, dla kogoś innego może się stać skarbem. Z tą nadzieją Laurant sortowała dziesiątki zapleśniałych pudeł, stare szmaty i połamane rzeczy, które ktoś usunął na strych pół wieku temu. Zanim skończyła pierwszy etap pracy, była cała w kurzu, co chwila kichała, a jej białe spodnie poszarzały. Niestety, nie udało jej się znaleźć w tej rupieciarni bezcennego obrazu van Gogha ani Degasa. Właściwie nie znalazła niczego, co nie wydawałoby jej się bezużytecznym rupieciami, mimo to nie traciła ducha. Dopiero zaczęła pracę, a na sortowanie czekała zawartość ponad sześćdziesięciu pudeł.

Po drodze do samochodu Nick pomógł jej znieść śmiecie na dół.

- Mamy jeszcze czas, żeby zajrzeć do krawcowej, która uszyła mi suknię na ślub Michelle?

- Jasne, tylko musimy się pospieszyć. Za godzinę mamy się spotkać z Tommym i Noahem. Powinno starczyć nam czasu, żeby się przebrać i wziąć prysznic.

Laurant wpadła do domu jak bomba i pobiegła na górę. Na schodach minęła Joego, który siedł w przeciwną stronę.

- Właśnie sprawdziłem piętro. Wszystko jest w porządku zapewnił ją.

Nick z pietyzmem rozłożył suknię na stole w jadalni i poszedł do kuchni wziąć sobie coś zimnego do picia.

Laurant zwijała się jak w ukropie. Wiedziała, że nie wolno jej popełnić drugi raz tego samego błędu i wyjść z łazienki w starym wystrzępionym szlafroku. Dlatego wzięła do łazienki wszystko, co mogło być jej potem potrzebne, nie wyłączając pantofelków.

Dwadzieście pięć minut później uznała, że lepiej wyglądać już nie może. Tego wieczoru postanowiła nie odmawiać sobie niczego, włożyła więc absolutnie wyjątkową sukienkę: krótką, czarną.

obcisłą, podkreślającą kształty. Twarzowy kwadratowy dekolt odsłaniał nieznaczny skrawek piersi. Odkąd Laurant przeprowadziła się do Holy Oaks, miała na sobie tę sukienkę tylko raz, gdy poszła z Michelle i Christopherem na ich zaręczynową kolację. Przyjaciółka nazwała tę kreację zabójczą sukienką i twierdziła, że jest nieprzyzwoicie przyzwoita. Według niej, był to najbardziej seksowny strój, jaki miała Laurant. Christopher bardzo entuzjastycznie to potwierdził.

Stanęła przed lustrem, wystrojona jak rzadko. Nawet zakręciła sobie włosy, ale ponieważ nie miała wprawy, przy okazji sparzyła się w ucho. Gdy spojrzała na swoje odbicie, głośno jęknęła. Po co zadała sobie tyle trudu, żeby ładnie wyglądać? Swoją ciełącą miłość przeżyła już dawno, ale zachowywała się tak, jakby to było właśnie teraz.

Boże, czyżby miała zakochać się w Nicku? Na myśl o tym dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Przecież on wyjedzie, gdy wykona swoje zadanie.

- To jest szaleństwo - szepnęła i z trzaskiem odłożyła szcztokę na półeczkę. Miała głupią chętkę nastolatki na przyjaciela brata. Tak było i nie należało się w tym doszukiwać niczego więcej.

Przeżyła jednak srogie rozczarowanie, gdy Nick wszedł do pokoju. Prawie nie zwrócił na nią uwagi. Spojrzał tylko przelotnie, jakby chciał sprawdzić, czy ma właściwy pantofel na właściwej nodze, a później powiedział jej, że dzwoni Pele i właśnie rozmawia z Joem, a potem chce porozmawiać także z nią. W jego głosie wyraźnie było słycać napięcie, więc Laurant zaczęła się zastanawiać, co go tak wytrąciło z równowagi.

Nick wpatrywał się w punkt nad jej głową.

- To nic takiego - rzekł. - Pete chce po prostu sprawdzić, jak się miewasz.

Gdy mijali Laurant w drodze do łazienki, owionął go zapach jej perfum. Udał, że tego nie zauważa, tak samo jak udawał, że nie dostrzega, jak niewiarygodnie seksownie wygląda w tej obcisłej sukience. Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, oparł się o nic. pochylił głowę i szepnął:

- Cholera, wpadłem w tarapaty.

opóźnili się kwadrans na spotkanie z Noah i Tommym. Nick podjechał do opactwa od tyłu i zatrzymał samochód przy schodach.

Wysiedli z samochodu, gdy w drzwiach ukazał się Tommy. Przeskakując po dwa stopnie, znalazł się na podjeździe. Noaha nigdzie nie było widać.

Brat uściskał Laurant.

- Wszystko w porządku? -- spytał

- Tak - zapewniła go.

- Wsiadaj z powrotem do samochodu. - Otworzył drzwi i próbował ją wepchnąć do środka, najwyraźniej zaniepokojony. - Nick, to jest zły pomysł.

- Gdzie jest Noah? - spytał Nick. Począł, aż Tommy zajmie miejsce z tyłu samochodu, i usiadł za kierownicą.

- Zaraz przyjdzie. Może kupimy gdzieś kolację na wynos i pojedziemy ją zjeść u Laurant? Nie podobają mi się takie publiczne występy. To jest niebezpieczne.

Dziewczyna obróciła się do brata.

- Tommy, nie mogę siedzieć zamknięta w domu.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Plan polega na tym, że będę się pokazywać publicznie.

- Wiem, jaki jest plan - odburknął. - Rozdrażnić tego szaleńca, żeby cię zaatakował.

- Tak będzie - rzekł cicho Nick. - Ale wolelibyśmy, żeby stało się to raczej prędzej niż później. Będziemy gotowi na jego atak.

- Powiedziałem, że to jest zły plan - burknął Tommy. - Może się zdarzyć coś nieprzewidzianego i...

- Czy wiesz, że nawet w tej chwili obserwują nas agenci? - przerwała mu siostra. Nie miała pojęcia, czy mówi prawdę, zależało jej jednak na uspokojeniu brata.

- Ciekawe gdzie? - powiedział, wyciągając szyję, żeby zerknąć przez tylną szybę.

- Masz ich nie widzieć - stwierdziła autorytatywnym tonem. Tommy jakby odrobinę się odprężył.

- Niech ci będzie. O, do licha! Zapomniałem portfela.

- Miałeś to powiedzieć dopiero po tym, jak przyniosą rachunek zażartował Nick.

- Zaraz wrócę.

Laurant popatrzyła za bratem, który z powrotem wbiegł do domu.

- Jest jeszcze bardziej nerwowo niż w Kansas City.

- To zrozumiałe.

Tommy wrócił po chwili, znów przeskakując po dwa stopnie, a za nim ukazał się Noah. Dopiero wtedy Nick i Laurant zobaczyli, w jakim stroju jest ochroniarz Tommy'ego. Nick pierwszy wybuchnął śmiechem, ale Laurant przyłączyła się doń prawie natychmiast.

Noah miał na sobie czarny garnitur, czarną koszulę duchownego i białą kolaratkę.

- Pójdzie prosto do piekła - powiedział Nick.
- Laurant musiała się odwrócić, żeby przestać się śmiać.
- Myślisz, że on ma przy sobie broń? - spytała.
- Musi.
- Przez cały czas?
- Przez cały czas.

Noah nie wysilił się, by ich powitać. Najwidoczniej całą energię skupiał na przekonywaniu Tommy'ego w jakiejś bardzo istotnej sprawie.

- Mówię ci, że to nie jest normalne.
- Może dla ciebie nie - odparł Tommy.

Noah parsknął.

- Dla żadnego mężczyzny to nie jest normalne.

Nick pojął, czego dotyczy kłótnia.

- Spieracie się o celibat, co?
- Tak - odrzekł Noah. - Ksiądz nigdy nie może uprawiać seksu... to nie w porządku.

Nick roześmiał się. Jego przyjaciel pokręcił głową i spróbował zmienić temat.

- Gdzie zjemy kolację?

Noah nie chciał jednak ustąpić; reguła celibatu musiała go bardzo niepokoić.

- To jest po prostu niezdrowe - oświadczył. - Ty nawet nie zauważasz tych wszystkich dziewczyn, które na ciebie lecą. Mam rację?

Tommy powoli tracił cierpliwość.

- Owszem, zauważam, ale je ignoruję.
- Właśnie o to mi chodzi. To jest nie...

Tommy nie pozwolił mu dokończyć.

- Wiem, wiem. To nie jest normalne. Daj już spokój.

Noah postanowił zachować się ugodowo.

- Cholera, ale pani ładnie pachnie, Laurant. A może to ty, Nick? - spytał.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło otworzyć usta, spytał:

- Czy zauważyliście, jak pioruńsko dużo furgonetek jeździ po tym miasteczku? Są wszędzie. Wesson pewnie kazał spisać wszystkie tablice rejestracyjne, co?

Pytanie zmąciło swobodny nastrój. Rozmowa zeszała na poważne tematy.

- Dzwoniłem do niego wcześniej, żeby spytać, czy jest coś nowego - powiedział Nick. - Na pewno spisał rejestracje samochodów z sąsiedztwa Laurant, ale nie chce niczego zdradzić.

- Dlaczego?

- Robi, co do niego należy. To cytat.

Noah westchnął.

- To znaczy, że jesteśmy w roli wynajętych rewolwerowców. Nic nie wiemy i cześć.

- Na to wygląda.

- Niech to diabli! Nie lubię pracować na ślepo.

Tommy zasypał przyjaciela pytaniami i propozycjami, więc zanim zaparkowali samochód na tyłach restauracji Rosebriar, Laurant zdążyła stracić apetyt.

Noah chwycił Tommy'ego za ramię, gdy ten próbował wsiąść z samochodu.

- Posłuchaj, księżułku. Trzymasz się blisko mnie. Jeszcze raz spróbujesz mi uciec, i zastrzelę cię osobiście.

- Dobrze już, dobrze. Drugi raz to się nie zdarzy.

Noah uśmiechnął się, odzyskawszy dobry humor. Tommy wysiadł z samochodu i otworzył drzwi siostrze. Laurant wysunęła nogi na zewnątrz, postawiła je na ziemi, po czym wstała i starannie obciągnęła spódniczkę.

Noah gwizdnął z uznaniem.

- Masz piękną siostrę, Tom.

- Księżom nie wypada gwizdać na widok pięknych kobiet.

Noah zerknął na Nicka.

- Odkąd włożyłem ten sztywny kołnierzyk, jestem nieustannie krytykowany. Staram się okazywać cierpliwość i pomagać, ale jest mi coraz trudniej.

Tom poszedł przodem z Laurant i zaczął z nią rozmawiać przyciszonym głosem. Za nimi szli Nick i Noah

- Jak starasz się pomagać? - spytał Nick.

Noah wzruszył ramionami.

- Zaofiarowałem się, że będę spowiadał w zastępstwie jednego księdza, ale Tom się wściekł i mi nie pozwolił.

Tommy usłyszał tę uwagę i natychmiast się odwrócił.

- Naturalnie, że nie pozwoliłem.
- Twój przyjaciel traktuje tę swoją sukienkę strasznie poważnie.
- Księża muszą poważnie traktować swoje powołanie - rzekł Nick. - Powinienem być ostrzec Tommy'ego przed twoim specyficznym poczuciem humoru.
- Łatwo jest go wkurzyć.
- To dlatego, że wiesz, jak mu się dobrać do skóry.
- A co z Laurant?
- Jak to co?

Noah puścił do niego oko.

- Nie dobierasz jej się do skóry? Zauważyłem, w jaki sposób się na nią gapisz.
- Co ty! To zakazany owoc. Poczekaj, Tommy! - zawołał. - Jeden z nas wejdzie do środka pierwszy.
- Zakazany owoc dla ciebie czy dla mnie?
- Dla nas obu. To nie jest kobieta, z którą możesz figlować, jeśli nie traktujesz tego poważnie.

Brukowana dróżka wiodła dookoła budynku. Noah wysforował się przed Tommy'ego i Laurant, a Nick ubezpieczał ich z tyłu. Obaj agenci z uwagą lustrowali teren.

Wzdłuż dróżki stały terakotowe donice z czerwonym i białym geranium. Restauracja Rosebriar mieściła się w dużym, stylowym wiktoriańskim budynku. W jadalni na wszystkich stołach, przykrytych bielutkimi obrusami, stały kryształowe wazony ze świeżymi wiosennymi kwiatami. Porcelanowa zastawa sprawiała wrażenie starej i kosztownej.

Sala, do której ich wprowadzono, mieściła się na tyłach budynku; z jej okien ciągnął się widok na stawek i las. Zaproponowano im miejsca przy oknie, ale Noah wskazał stolik w rogu.

Sala była prawie pełna. Panował w niej gwar, dookoła rozlegały się wybuchy śmiechu. Sporo rodzin przyszło tu na obiad z dziećmi. Gdy szli we czworo do stolika w rogu, głowy gości zwróciły się ku Laurant. Nawet dzieci patrzyły na nią jak zahipnotyzowane. Ale ona wydawała się obojętna na pełne zachwyty spojrzenia, którymi darzyli ją mężczyźni obecni na sali.

Kelner odsunął stolik od ściany, więc mogła usiąść w samym kącie. Nick zajął miejsce obok niej, Noah i Tommy usiedli twarzami do nich, ale Noah nie czuł się dobrze, mając za plecami całą salę, więc nieznacznie się odwrócił, żeby widzieć współ-

biesiadników. Zaczął zdejmować marynarkę, uświadomił sobie jednak, że w ten sposób odsłoni kaburę, więc szybko z powrotem zarzucił okrycie na ramiona.

Tommy nie mógł spokojnie usiedzieć. Co chwila nerwowo rozglądał się po sali. Podrywał głowę za każdym razem, gdy ktoś parsknął śmiechem.

- Siedź spokojnie i się odpręż - polecił mu Noah. - Zwracasz na nas uwagę, kiedy się tak wierzisz. I przestań się gapić na ludzi. Przecież większość z nich znasz, prawda?

Tommy pokręcił głową.

- Nie. Dlatego im się przypatruję.
- Pozwól, że my się tym zajmiemy - odezwał się Nick. - I zajmijmy się naszym programem, okej?
- ~ Uśmiechnij się, Tommy - szepnęła Laurant. - Przecież dziś wieczorem świętujemy.

- Zamówię butelkę szampana - rzekł Nick.

- Co świętujemy? - spytał Noah.

Laurant uniosła rękę.

- Nick i ja oficjalnie się zaręczyliśmy.

Tommy wreszcie się uśmiechnął.

- Ach, to dlatego tak się odstawiliście.

- Wcale się nie odstawiłam.

- Nawet jesteś umalowana, chyba się nie mylę. Nigdy tego nie robisz.

Wiedziała, że brat wcale nie chce wprawić jej w zakłopotanie, ale i tak miała ochotę mocno kopnąć go pod stołem.

- Z włosami też coś zrobiłaś.

- Zakręciłam, ale nie ma o czym mówić. Nawiasem mówiąc, gdyby ktoś pytał, to jesteś zachwycony, że zamierzam poślubić twojego najlepszego przyjaciela.

- Jasne.

- Być może będę musiał naprawdę ożenić się z twoją siostrą - powiedział Nick, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Jak to?

- Rano spotkała przyjaciółkę...

- Loma nic jest moją przyjaciółką.

Nick skinął głową.

- I Laurant zrobi wszystko, żeby tylko Lorna nie mogła jej powiedzieć: „A nie mówiłam?”

Tommy się roześmiał.

- Lorna zawsze podpuszczała moją siostrę. Podejrzewam, że nie unikniesz ożenku. - Usiadł wygodniej na krześle. Przyjrzał się Laurant, potem Nickowi, potem znowu siostrze. Wreszcie powiedział: - To wcale nie taki zły pomysł. Mam wrażenie, że do siebie pasujecie.

- Ona mnie nie chce. Jej zdaniem, nie daję poczucia bezpieczeństwa.

- Ślub jest w drugą sobotę października o siódmej, i ty go nam dajesz, Tommy - oświadczyła Laurant. - Lorna na pewno będzie z tobą rozmawiać, więc udawaj szczęśliwego i nie zapomnij daty.

- Dobrze, dobrze, druga sobota października. Nie zapomnę. Ale kiedy to się skończy, będziecie musieli powiedzieć Lornie prawdę.

Laurant gwałtownie pokręciła głową.

- Wolę się wyprowadzić.

- Myślałem, że jednak mnie poślubisz dla ratowania twarzy. Wzruszyła ramionami.

- Może tak zrobię.

- Małżeństwo jest uświęconym sakramentem - przypomniał im Tommy.

- Nie naburmuszaj się. Tommy - skarciła go siostra. - Włazłeś między wrony.

- Innymi słowy, mam krakać tak jak one, hm?

Uśmiechnęła się do brata.

- Właśnie.

- Okej, ale pozwól, że o coś cię spytam. Jeśli ja daję wam ślub, to kto zaprowadzi cię do ołtarza?

- O rym nie pomyślałam - przyznała.

- Mam pomysł - odezwał się Noah. - Może ja dam ślub Nickowi i Laurant, a ty, Tom, będziesz wtedy mógł zaprowadzić siostrę do ołtarza.

- Całkiem dobry plan - zgodził się Nick.

Tommy wydawał się zirytowany tym pomysłem.

- Trudno, Noah. Jeszcze raz omawiamy reguły gry. Nie jesteś naprawdę księdzem. Tylko go udajesz, a to znaczy, że nie możesz nikomu dać ślubu, nie możesz słuchać spowiedzi i nie możesz spotykać się z kobietami.

Noah wybuchnął śmiechem, przyciągając spojrzenia gości, siedzących przy sąsiednich stolikach.

- Cholera, naprawdę niewiele trzeba, żeby cię wnerwić. Przecież

tylko udajemy, że Nick i Laurant biorą ślub, nie? Więc ja mogę udawać, że będę im go dawać.

Tommy zerknął na przyjaciela.

- Pomóż mi, co? Opat zapalił się do pomysłu zrobienia z Noaha księdza. Pete wzbudził w nim entuzjazm dla tego planu. Opat zgodził się też mówić wszystkim, że Wesson jest jego kuzynem, który przyjechał w odwiedziny do domku. Naprawdę stara się jak może. Ale nie lubimy, kiedy laicy udają księży, więc Noah zgodził się nie robić niczego, czym mógłby zdyskredytować sutannę. Pięć minut po naszym wyjściu z kancelarii opata Noah puścił oko do Suzie Johnson i nazwał ją ślicznotką.

- Udaję księdza przyjaźnie nastawionego do wiernych - wyjaśnił Noah. - Nawiasem mówiąc, wciąż uważam, że księża powinni mieć jeden dzień w tygodniu wolny, żeby iść do...

- Wiem, wiem - przerwał mu Tommy. - Wolny dzień na seks. Ale reguły duchowieństwa są inne.

Zadzwoił telefon. Nick go odebrał, przez chwilę słucał, wreszcie powiedział:

- Tak jest, sir. - I schował aparat.

- Szeryf właśnie wysiadł z nowiutkiego czerwonego forda explorera. Kieruje się w naszą stronę.

- Jest sam? - spytał Noah.

- Na to wygląda.

- Jego stowarzyszenie ma tu cotygodniowe spotkania - wyjaśniła Laurant. - Reszta członków prawdopodobnie czeka na górze w jednej z mniejszych sal jadalnych.

- Czy Brenner też jest członkiem stowarzyszenia'?

- Owszem - odrzekła.

- Może kiedy zjemy kolację, zajrzę tam, żeby powiedzieć dobry wieczór*- powiedział Nick. - Bardzo chciałbym poznać poczciwego Steve'a Brennera.

Minutę później szeryf dumnym krokiem wszedł do restauracji. Był ubrany w swój szary strój oraz kowbojskie buty i nawet nie zadał sobie trudu zdjęcia kapelusza. Nick przyjrzał się, jak hostessa bierze jadłospis, wita szeryfa i prowadzi go na piętro.

- Brenner to lokalny bonza, tak? - spytał Noah.

- Tak wygląda - odpowiedział Nick.

- Co właściwie masz na myśli? - zainteresował się Tommy.

- Trzęsie miasteczkiem] Pcha się na stołek i zastrasza - wyjaśnił Noah. - W miasteczku tej wielkości zawsze jest ktoś taki.

- Tutaj właśnie Brenner - potwierdził Tommy. - Rozstawia wszystkich po kątach, a moja siostra jest chyba jedyną osobą, która próbuje mu się przeciwstawić. - Zwrócił uwagę. Że Laurant podziwia swój pierścionek, i szeroko się uśmiechnął. - Na twoim miejscu nie przywiązywałbym się zanadto do tego pierścionka. Laurant.

- To tylko przedstawienie. Tommy - szepnęła. - Ale jest naprawdę śliczny, popatrz. Nie miałam pojęcia, że Russel ma w sklepie tyle pięknych rzeczy. - Zaczęła się zastanawiać, jak czułaby się jako żona Nicka. Gdyby budząc się, wiedziała, że zostanie go obok siebie? Gdyby Nick się z nią...

- Jakie są zasady zwrotu towarów u jubilera? - spytał Tommy, jak zwykle praktyczny aż do bólu.

Splotła ręce na kolanach.

- Zwykle można zwrócić do dziesięciu dni od chwili zakupu, ale pani Russell zrobiła dla mnie wyjątek i dała mi trzydzieści dni. Wiesz, co mi powiedziała: „Och, moja droga, ty masz za sobą tyle niepowodzeń z mężczyznami, że dam ci cały miesiąc na ewentualną zmianę zdania”.

Tommy wybuchnął śmiechem.

- Moja siostra ma w tym mieście reputację stracha na mężczyzn.

- Dzięki tym wszystkim kłamstwom, które powypisywała o mnie Lorna.

- Bądź uczciwa, Laurant. Naprawdę odstraszasz mężczyzn. Osobiście uważam zresztą, że nie ma w tym nic złego. Nie cisną się do ciebie rozmaici natręci. - Tommy zerknął przez ramię, usłyszał bowiem ruch za swoimi plecami. Uśmiechnął się. - To jest Frank Hamilton, trener szkolnej drużyny futbolowej, i jego dwaj asystenci. Wszyscy marzą o tym, żeby cię poznać, Nick. Chodź, przywitasz się z nimi, zanim pójdą na górę.

- Skąd oni znają Nicka? - spytała Laurant.

- Kanał sportowy powtarza scenę z jego udziałem kilka razy do roku.

- Cholera! - mruknął Nick. Rzucił serwetkę na stół i wyszedł za przyjacielem z sali.

- Nick nigdy nie zapomni tego meczu, chociaż nic znosi szumu wokół siebie.

- Co się wtedy stało?

- Nigdy pani tego nie widziała?

Pokręciła głową.

- Nie, a Tommy nic mi o tym nie wspomniał.

- Nick zrobił zwycięskie przyłożenie.

- To dobrze.

Noah się roześmiał.

- Ale to dopiero początek. Przejął krótkie podanie, zygakiem przedarł się przez obronę, w czym był naprawdę dobry. Umiał zrobić zwrot prawie na dziesięciocentówce i dlatego zyskał sobie przydomek Krajacz. W każdym razie, biegnąc, spojrzął na szczyt wysokiego betonowego ogrodzenia. Kiedy przypominają tę migawkę, słychać, jak sprawozdawca mówi: „Na co patrzy numer osiemdziesiąt dwa?” Właśnie z tym numerem grał Nick - wyjaśnił Noah. - Jedna kamera skupiła się na Nicku, druga zaczęła przesuwac się po trybunach, żeby wyłować przedmiot jego zainteresowania. Już po meczu zmiksowali te dwie taśmy razem.

Upił łyk wody i mówił dalej:

- A przez to betonowe ogrodzenie przechylał się facet. Po fakcie okazało się, że był pijany. Darł się podobnie jak inni kibice, w jednej ręce miał puszkę piwa, a drugą trzymał dziecko. Takiego ledwo chodzącego malca, posadził go na krawędzi tego ogrodzenia, Widziała pani kiedyś takiego idiotę? - spytał. - Ale jak powiedziałem, był pijany.

- Upuścił to dziecko.

- Owszem, ale Nick to widział. Potem powiedział mi, że kiedy biegł, dziecko zsunęło się z ogrodzenia. Tamten facet je złapał, ale nie wciągnął go z powrotem, tylko trzymał tak, że dyndało przy ścianie. Nick gnał jak szalony, uwolnił się od wszystkich obrońców. Zrobił przyłożenie, ale wcale się nie zatrzymał, tylko dalej gnał jak nakręcony. Sądził, że stanie pod trybuną i poczeka, aż ktoś zabierze stamtąd to dziecko, ale kiedy miał jeszcze jakieś trzy metry do pokonania, facet puścił dziecko i poleciało w dół. Niechybnie by się zabiło, gdyby Nick go nie złapał. O, co to był za widok.

Laurant bardzo zdziwiła ta opowieść. Cisnęły jej się na usta niezliczone pytania, ale Noah jeszcze raz ją zaskoczył, bo powiedział:

- Po tym meczu Nick został zawieszony.

- Co?

- To prawda. Po meczu ojciec przyszedł do szatni z ekipa telewizyjną. Naturalnie wciąż był pijany i niektórzy opowiadają, że bardzo mu się podobało, gdy znalazł się w centrum uwagi.

W każdym razie chciał podziękować Nickowi za uratowanie dziecka, ale kiedy on go zobaczył, dał mu w pysk tak, że facet stracił przytomność.

- I dlatego go zawieszono.

- **Tak**, ale nie na długo. Opinia publiczna przekonała trenera, który zresztą prawdopodobnie wcale nie chciał go zawiesić. Prawdę mówiąc, dobrze Nicka rozumiałem. Po prostu nie chciałem słyszeć żadnych przeprosin od pijanego faceta.

Zjawił się kelner i postawił między nimi koszyczek z bułkami. Noah wziął jedną i rzekł:

- Dobra, a teraz zmiana. Pani mi coś opowie.

- Co chciałyby pan wiedzieć?

- Jak to się stało, że w latach szkolnych Tommy mieszkał u rodziców Nicka?

- Mój ojciec otwierał biuro w Bostonie, więc pojechał tam wcześniej przygotować dom dla rodziny. Tommy'ego wziął ze sobą, żeby zaczął tam chodzić do szkoły od nowego semestru. Ja byłam wtedy niemowlęciem i zostałam z mamą. Miała dokończyć pakowania rzeczy i dołączyć ze mną do ojca. Ale nagle wszystko się zmieniło. Ojciec zginął w wypadku samochodowym i przez pewien czas Tommym opiekowała się gospodyni. Mama nie mogła pogodzić się ze stratą. Miała polecieć do Tommy'ego i zostać z nim w Bostonie do końca roku szkolnego, ale nie była w stanie. Dziadek powiedział mi, że piła na umór i brała mnóstwo pigułek. Jedne pomagały jej zasypiać, inne ją budziły. Umarła z przedawkowania.

- Samobójstwo?

- Tak sądzę. Dziadek powiedział mi, że zabił ją alkohol w połączeniu z pigułkami nasennymi. Wolał jednak wierzyć, że to się stało przypadkiem.

- Zabójcza kombinacja.

Skinęła głową.

- Po śmierci mamy dziadek nie miał innego wyjścia, jak zaopiekować się mną i Tommym. Chciał urządzić wszystko jak najlepiej, a wiedział, że mojemu bratu jest dobrze w Bostonie. Sędzia Buchanan zadzwonił do niego zupełnie niespodziewanie i zaproponował, żeby wnuk tymczasem zamieszkał z jego rodziną, póki sytuacja się nie ustabilizuje. Nick został najlepszym przyjacielem Tommy'ego, który spędzał większość czasu z jego rodziną. Sędzia Buchanan umie przekonywać. Dziadek sądził, że to jest tylko chwilowe rozwiązanie, ale wkrótce i on umarł.

- I Tommy musiał zostać tam, gdzie był.

- Tak.

- A pani?

Laurant wzruszyła ramionami.

- Mnie wysłano do szkoły z internatem. Kiedy skończyłam uniwersytet, przez rok studiowałam sztukę w Paryżu, a potem wróciłam do Stanów i znalazłam pracę w Chicago. Mieszkałam tam dziewięć miesięcy, a później przeprowadziłam się do Holy Oaks. Nie ma nic porywającego w moich dziejach.

- Została pani na lodzie. Tommy miał wielką rodzinę, którą mógł nazywać swoją, a pani nie miała nikogo.

- Byłam szczęśliwa.

- Niemożliwe.

- O, wracają Tommy z Nickiem. To dobrze, bo nie chcę już o tym mówić. Zgoda?

- Jasne.

Nick, śmiejąc się, usiadł.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Noah.

Nick spojrział na Laurant i dopiero potem odpowiedział:

- Faceci w miasteczku nadali Laurant przezwisko.

- Tak? Jak ją nazywają? - spytał Noah.

- Lodowa Dama albo po prostu Lodówka - rzekł Tommy.

Wszyscy trzej parsknęli śmiechem, ale jej to nie rozbawiło.

- Jesteś wstrętną pleciugą, Tommy.

- E tam, przecież Noah sam o to spytał.

Przesłała bratu spojrzenie, które obiecywało mu solidną reprimendę w późniejszym terminie. Jej uwagę odwrócił jednak Nick, który pochylił się i szepnął:

- Wcale nie całujesz jak Lodowa Dama, tego jestem pewien.

Zjawił się kelner, żeby przyjąć zamówienia, a gdy tylko odszedł, mężczyźni na wyścigi zaczęli się z niej podśmiewać. Skierowała więc rozmowę na inne tory.

- Słyszałam, że drużyna futbolowa Uniwersytetu Stanu Pensylwania będzie miała kłopoty w najbliższym sezonie. Stracili swojego czołowego quaterbacka.

Naturalnie nic takiego nie słyszała, ale nie miało to znaczenia. Gdy tylko padło słowo „futbolowa”, mężczyźni przestroili się na inny kanał. Nie było trudno sobie z nimi poradzić. Zadowolona z siebie, rozsiadła się wygodniej i uśmiechnęła.

Nick i Tommy grali kiedyś w drużynie Uniwersytetu Stanu

Pensylwania, a Noah, jak się okazało, robił to samo w Michigan, więc każdy z nich uważał się za autorytet. Podczas posiłku spierali się o dobór graczy w drafcie i prawie nie zwracali uwagi na Laurani. Bardzo ją to ucieszyło.

Gdy wychodzili z restauracji, sześciuosobowa rodzina zawołała Tommy'ego do swojego stolika. Noah został razem z nim, a Nick z Laurant ruszyli dalej.

Lonnie już na nich czekał. Z piskiem opon zajechał chevroletem nova na parking w chwili, gdy zbliżali się do swojego samochodu, i zatrzymał wóz pośrodku placu. Nick pchnął Laurant między dwa samochody, a sam stanął przed nią, by się przekonać, co intruz zamierza.

Lonnie nie był sam. W samochodzie siedzieli jego kumple, wszyscy z Nugent i wszyscy z bogatą kartoteką, mimo że jeszcze nieletni. Ilekroć Lonnie miał wykonać ważne zadanie dla Steve'u Brennera, starannie się upewniał, czy jego kumple są objęci zleceniem. Naturalnie dawał im zaledwie drobną część tego, co płacił Steve, ale oni i tak byli za głupi, żeby podejrzewać Lonniego o oszustwo. Zresztą jeździli z nim dla zabawy, nie dla pieniędzy, a on miał jeszcze jeden powód, by dbać o ich obecność. W razie wpadki na nich spadał główny ciężar winy. Jego nicponiowaty ojczulek musiałby przeciw go wypuścić. Jak by to wyglądało, gdyby do paki trafił syn szeryfa? Dla Lloyd'a pozycja w mieście była wszystkim, więc Lonnie był przekonany, że uszłoby mu na sucho nawet morderstwo, oczywiście przy zachowaniu pewnych środków ostrożności.

Steve powiedział mu, że Laurant i jej chłopak jeżdżą explorerem. no i rzeczywiście stali obok nowiutkiego, czerwonego forda explorera. Steve nic powiedział mu nic o Nicku oprócz tego, że podaje się za narzeczonego dziewczyny. Ponieważ Steve zamierzał ją poślubić, Lonnie miał nauczyć Nicka respektu.

- Wywał go z miasta - polecił Steve i Lonnie, śliniąc się na widok pliku banknotów, którym ten zamachał przed nosem, obiecał to zrobić.

- To syn szeryfa, Lonnie - szepnęła Laurant. - Czego on chce!'

- Wygląda na to, że zaraz się dowiemy - odszepnęła. A potem krzyknęła:

- Hej, chłopcze, przesuń samochód!

Lonnie zostawił włączony silnik, otworzył drzwi i wyskoczył z wozu. Był wysoki i pająkowaty. Jego twarz, przysłoniętą częś-

ciowo tłustymi strąkami włosów, znaczyły liczne krosty. Na cienkich wargach igrał pogardliwy uśmiezek. Nick ocenił, że młodzieniec ma osiemnaście, dziewiętnaście lat.

- Zaczniemy od samochodu - powiedział Lonnie. - Na złom z nim. - Z tylnej kieszeni wyciągnął nóż sprężynowy i rozpoczął popis przed kumplami. - Zaraz pan Wielkomijski zesra się ze strachu. Patrzcie i ucicie się. - Pstryknął zardzewiałym ostrzem i zaczął wolno się zbliżać. - Laurant, podwieziemy cię potem, bo jak skończę, wóz twojego chłopaka będzie się nadawał na szmelc.

Nick parsknął śmiechem. Nie takiej odpowiedzi spodziewał się Lonnie.

- Co cię, kurwa, tak śmieszy?!

- Ty - odparł Nick. Dostrzegł Noaha, który zdecydowanym ruchem przesunął Tommy'ego za swoje plecy, a potem szybko ruszył na miejsce awantury. - Hej, Noah, miejscowy chuligan chce zrobić kupę złomu z nowego wozu! - zawołał do niego Nick.

- Ale to... - zaczął Tommy.

- Jasne - przerwał mu przyjaciel.

- Lonnie, co ty wyrabiasz? Natychmiast odłóż nóż - nakazał mu Tommy.

- Mam sprawę do Laurant - rzekł młodzieniec. - Ty i ten drugi ksiądz wracajcie do knajpy.

- Ten facet zgłupiał czy co? - spytał Noah.

- Chyba zgłupiał - wycedził Nick i sięgnął pod marynarkę, żeby na wszelki wypadek przygotować broń do użycia.

Lonnie, wściekły, że kpi się z niego w obecności jego kumpli, skoczył naprzód i wbił nóż w oponę lewego przedniego koła. Potem dźgnął jeszcze raz i z uśmiechem zaczął się wsłuchiwać w syk uchodzącego powietrza.

- Dalej myślisz, że zgłupiałem?

- Dzięki Bogu, mamy koło zapasowe! - zawołał Noah. Bardzo uważał, żeby mieć Tommy'ego za sobą, a jednocześnie starał się mieć na widoku wszystkich opryszków.

Lonnie zareagował zgodnie z oczekiwaniami Noaha. Przedziurawił drugą oponę. Jego przyjaciele radośnie zarechotali, co tylko dodało mu animuszu. Przejechał ostrzem po kracie chłodnicy. a potem zrobił to samo na masce.

Wreszcie cofnął się, by obejrzeć swoje dzieło.

- No i jak teraz wrócić do domu? - spytał wyzywająco.

Nick wzruszył ramionami.

- To nie jest mój samochód.

Lonnie zamrugał. Nick zrobił krok w jego stronę, wołając:

- Noah, może powinieneś wejść do restauracji i sprowadzić szeryfa?! Na pewno go zainteresuje, jak jego chłopak demoluje mu wóz.

- Cholera! - zaklął młodzieniec.

- Rzuć nóż. Szybko! - nakazał Nick. - Nie pogarszaj swojej sytuacji. Zniszczyłeś prywatną własność i grozisz przedstawicielowi...

Chciał wyjaśnić Lonniemu, że pracuje w FBI, ale nie zdążył.

- Nikt nie będzie robił ze mnie głupka - syknął Lonnie.

- Sam z siebie zrobiłeś głupka - odparł Nick. - Rzuć nóż. To jest ostatnie ostrzeżenie.

Lonnie rzucił się naprzód, krzycząc:

- Potnę cię na kawałki, ty dupku!

Nick zareagował błyskawicznie. Uderzył napastnika kolaniem, wykręcił mu rękę i nóż upadł na ziemię. Wtedy pchnął Lonniego na samochód tak, że aż włączył się alarm.

Wszystko stało się tak szybko, że Laurant nawet nie zdążyła mrugnąć. Jedna chwila, i już syn szeryfa ryczał z bólu, zgięty wpół. Zobaczyła jednak nóż na ziemi i cofnęła się, żeby nogą wtrącić go pod samochód.

W chwili, gdy zabrzmiał alarm, kumple Lonniego w panice zapakowali się do samochodu. Nick puścił chłopaka, a ten osunął się na ziemię.

- Ty dupku, zrobię z ciebie...

- O, popatrz. Idzie twój tatuś - przerwał mu wesoło Nick.

Szeryf, trzęsąc wielkim brzuchem, zbiegł po schodkach restauracji, a tymczasem trzej obwiesie w samochodzie gorączkowo szukali kluczyków. Noah podszedł do nich od strony kierowcy i spytał:

- To wam potrzebne?

- My nic nie zrobiliśmy. To wszystko był pomysł Lonniego.

- Zamknij się, Rocky! - wrzasnął chłopak z tylnego siedzenia.

- Wysiadać z samochodu - polecił im Noah. - Grzecznie i szybko. I trzymać ręce tak, żebym je przez cały czas widział. - Nie chciał się ujawniać, ale na wszelki wypadek trzymał rękę za pazuchą marynarki, na kolbie glocka, bo któryś z opryszków mógł wyciągnąć broń.

Szeryf wyglądał tak, jakby chciał się rozpłakać.

- Mój nowy samochód. Popatrz na mój nowy samochód. Czy to ty zrobiłeś, synu? Ty?

Lonnie z wysiłkiem wstał.

- Nie - odburknął. - To ten dupek. - Wskazał Nicka. - W dodatku kopnął mnie w kolano.

~ Miałem ci powiedzieć, że kupiłem nowy samochód - ciągnął szeryf, jakby nie usłyszał ani słowa z tłumaczeń Lonniego. - Miałem ci powiedzieć i nawet chciałem ci pozwolić się nim przejechać. - Bliski płaczu, przesunął dłonią po głębokich rysach na masce. - I samochód przestał być nowy od razu pierwszego dnia. Dopiero co go odebrałem.

- Mówię ci, że to ten dupek - powtórzył Lonnie.

- Pana syn powinien trochę popracować nad swoim słownictwem - wtrącił się Noah.

- Uwierzysz mi czy nie? - Lonnie podniósł głos, zwracając się do ojca. - Mówię ci ostatni raz, że to on przeciął ci opony i podrapał lakier.

Laurant zawrzała gniewem. Przepchnęła się obok Nicka i stanęła przed szeryfem.

- Wiem, że to jest pański syn i że to będzie dla pana trudne, ale szeryf musi wypełniać swoje obowiązki. Lonnie kłamie. To on spowodował szkody. Myślał, że ten nowy samochód należy do mojego narzeczonego. Musi go pan aresztować, nawet jeśli się to panu nie podoba.

Lloyd uniósł ręce.

- Powoli, Laurant. Nie ma co się tak podniecać. Samochód jest mój i nie wątpię, że Lonnie zwróci mi za wszystkie szkody, jeśli rzeczywiście je spowodował. Ale on twierdzi, że zrobił to pani narzeczonego...

Laurant przerwała mu ze złością.

- On kłamie! - powtórzyła. - Jest czterech świadków: mój brat. Noah, Nick i ja. Musi pan go aresztować.

- Zaraz, zaraz. Z tego, co widzę, jest cztery przeciwko czterem, bo koledzy Lonniego z pewnością potwierdzą jego słowa, a nie mam żadnego powodu, żeby im nie wierzyć.

- Lonnie groził nam nożem.

Szeryf zerknął na Nicka i zażądał:

- Lepiej wytłumacz swojej kobiecie, żeby się uspokoiła. Nie będę dłużej słuchał, jak drze na mnie mordę. Odsuń się, Laurant, i siedź cicho.

Laurant nie mogła uwierzyć, że szeryf traktuje ją jak niegrzeczne dziecko.

- Siedzieć cicho?! Nic z tego! - odparła. - Niech pan coś zrobi. Szeryf spojrział na nią bykiem.

- Jasne, że coś zrobię - oznajmił. - Ej, ty tam! - burknął, wskazując na Nicka. - Pokaż jakiś dokument. Szybko.

Laurant wpadła w szal. Zwróciła się do Tommy'ego i zasypała go lawiną francuszczyzny. Mówiła, jakim niekompetentnym głupcem jest, według niej, szeryf. Ale Nick, używając płynnej francuszczyzny, kazał jej się uspokoić.

Szeryf stał z dłońmi zwiniętymi w pięść i mierzył wzrokiem syna. Najchętniej wbiłby mu trochę rozumu do głowy, ale musiał bardzo się starać, żeby nad sobą zapanować, tym bardziej że gdyby tego nie zrobił, Lonnie łatwo mógłby mu oddać i sprać go na marmoladę. Już mu się to zdarzało, a Lloyd wiedział, że może się powtórzyć.

- Powiedziałem, że chcę zobaczyć dokument.

- Nie ma problemu - odparł Nick, wyciągnął plakietkę i zamachał nią przed oczami Lloyd'a. - Nick Buchanan, szeryfie. Agent FBI.

- O, cholera! - jęknął szeryf.

- Musi pan go zamknąć. Wpadnę jutro do pańskiego biura i wypełnię wszystkie dokumenty.

- Jakie dokumenty, panie FBI? To mój samochód został uszkodzony. Lonnie, przestań się śmiać, bo przysięgam, że dam ci w pysk.

Noah stanął za szeryfem.

- Jako ksiądz nie znam się na prawie - powiedział. - Ale mam wrażenie, że pański syn popełnił przestępstwo. Groził nożem agentowi FBI, a to jest przestępstwo, prawda?

- Może jest, a może nie - odparł wymijająco szeryf. - Nie widzę noża, więc to, co ksiądz mówi, może być równie dobrze wysane z palca. Rozumie ksiądz mój problem?

- Nóż jest pod samochodem - poinformował go Noah.

Próbując zyskać na czasie, żeby obmyślić, co dalej, szeryf burknął:

- A jak nóż znalazł się pod samochodem?

- Ja go tam kopnęłam - wyjaśniła Laurant.

- Co robiłaś z nożem?

- Och, na miłość... - zaczęła Laurant.

Szeryf zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

- Oto, jak będzie. Idźcie wszyscy do domów, a ja się zajmę tą sprawą. Może pan przyjść jutro do mnie, do biura, ale proszę

najpierw zadzwonić - zwrócił się do Nicka. - Do tej pory wszystko będzie załatwione. A teraz proszę się rozejść.

Laurant trzęsła się ze złości. Bez słowa odwróciła się na pięcie i poszła do samochodu Nicka. Obcasy jej pantofli głośno stuknęły o płyty parkingu.

Nick słyszał, jak dziewczyna gniewnie mruczy pod nosem. Gdy otworzył przed nią drzwi, ujął ją na chwilę za rękę.

- Nic ci nie jest? Widzę, że drżysz. Przestraszyłaś się, prawda? Ale przecież nie pozwoliłbym, żeby stało ci się coś złego. Wieś/ o tym, prawda?

- Tak. Jestem po prostu zła, to wszystko. Szeryf nic nie robi z tym smarkaczem. I na pewno go nie aresztuje. Poczekaj, to sam zobaczysz. - Jesteś zdenerwowana.

- On miał nóż! - krzyknęła. - Mógł cię zranić!

" Tym zaskoczyła Nicka.

- Martwiłaś się o mnie?

Tommy i Noah zajmowali miejsca na tylnym siedzeniu, a Laurani nie chciała, żeby ją usłyszeli.

- Oczywiście, że się martwiłam. Ale może już przestaniesz głupekowato się uśmiechać i wsiądziesz do samochodu? Chcę jechać do domu.

Miał chęć ją pocałować, ale zadowolili się lekkim ściśnięciem dłoni. Była to marna namiastka.

- Szeryfie! - zawałał Nick, idąc do samochodu. - Chcę porozmawiać jutro z pańskim synem!

Gdy wyjeżdżali z parkingu. Tommy wyciągał szyję, żeby przez tylną szybę zobaczyć, co się dzieje. Szeryf z Lonniem kłócili się zażarcie.

- Nie sądzisz, że to Lonnie dręczy Laurant, prawda?

- Sprawdźmy go - odparł Nick. - Ale, moim zdaniem, to nie jego szukamy. Nie wydaje mi się szczególnie inteligentny.

- Straszny łom - stwierdził Noah.

- Sam go nakręciłeś - powiedział Nick.

- Ja? Jak to możliwe?

- A co z kołem zapasowym, które, dzięki Bogu, mamy? Czy nie krzyczałeś o tym, kiedy przebił pierwszą oponę?

- To możliwe - przyznał Noah. - Chciałem znaleźć mu zajęcie, żeby dał spokój tobie i Laurant.

- Czyżby? Mnie się zdaje, że chciałeś sprawdzić, jak daleko szczeniak jest gotów się posunąć.

Noah wzruszył ramionami i pociągnął za sztywną koloratkę, która uwierała go w szyję.

- Zdaje mi się, że mam stryczek na szyi - zwrócił się do Tommy'ego.

- Nick, czy w restauracji byli jacyś agenci? A jeśli tak, to dlaczego żaden z nich nie wyszedł na pomoc? - spytała Laurant.

- Sytuacja była pod kontrolą - odparł.

- Wesson polecił mi, żebym pozwolił Tommy'emu słuchać spowiedzi - powiedział Noah do Nicka.

- Pete był temu przeciwny - odparł Nick. - To jest zły pomysł.

- To samo mówiłem Wessonowi.

Z tonu głosu Noaha Laurant wywnioskowała, że świeżo upieczony ksiądz lubi szefa operacji tak samo jak Nick. Obróciła się doń, żeby spytać o powód.

Nick przytknął palec do mikrofonu, żeby Wesson nie słyszał, ale jego kolega to zauważył.

- Nie musisz tego robić. Chcę, żeby mnie słyszał. Uważam, że on szuka wyłącznie sławy i jest żądny władzy. Guzik go to obchodzi, po kim będzie szedł, wspinając się na szczyty, nawet jeśli tym kimś jest Morganstem. - Noah się rozkręcił i nie zamierzał skończyć, póki nie wyładuje długo tłumionej złości na szefa całej operacji. - To nic jest miłośnik gry zespołowej. Aleja też nie. Tyle że ja unikam rozgłosu, jak tylko się da, natomiast on szuka go, gdzie tylko się da. Pamiętasz sprawę Stark? - spytał i zanim Nick zdążył odpowiedzieć, dodał: - Oczywiście, że pamiętasz. Musiałeś zabić człowieka... tego się nie zapomina. Nigdy.

- I co ze sprawą Stark? - spytał Nick, obserwując Noaha we wstecznym lusterku.

- Głowę dam, że zdziwiłeś się parę dni później, kiedy rozłożyłeś gazetę i przeczytałeś ten reportaż o ratowaniu dziecka. Czy nie wydało ci się dziwne, że dziennikarz napisał o tobie, twojej rodzinie i o Tomic?

- Chcesz powiedzieć, że Wesson spowodował przeciek informacji? - spytał Nick. Sama myśl o takiej możliwości doprowadzała go do szału.

- Otóż to - odrzekł Noah. - Zauważyłeś chyba, że jego nazwisko pojawiało się w artykule wielokrotnie. Gdybym mógł się spotkać z tym dziennikarzem, dowiedziałbym tego, o czym mówię.

- Po co Wesson miałby robić coś takiego? - spytała Laurant. - Co ma do zyskania?

- Jest zawistny. No i chce dowodzić apostołami - wyjaśnił Noah. - Zawsze stawiał sobie taki cel, więc prawdopodobnie uznał, że jak zdobędzie rozgłos, to wzrosną jego szanse. Mówię ci, Nick, gdy tylko Morganstem odejdzie w stan spoczynku albo dostanie awans, Wesson przyjdzie na jego miejsce. A wtedy mądrze zrobisz, jeśli szybko się zabierzesz z tego wydziału.

Nick wjechał na parking przy opactwie i zatrzymał samochód.

- Skupmy się teraz na swojej robocie - zaproponował. - Tommy, musisz odpocząć. Wyglądasz na zmęczonego.

- Do zobaczenia jutro na pikniku - powiedział jego przyjaciel. Wyciągnął rękę nad oparciem siedzenia i uściśnął ramię siostry.

- Czy w dalszym ciągu czujesz się okej?

- Tak, Tommy. Dobranoc.

Noah wysiadł za księdzem, ale jeszcze się pochylił, wsadził głowę do samochodu i rzucił:

- Dobranoc, Lodowa Damo.

23

Panini przyjechali Nick i Laurant, piknik był już dawno rozpoczęty. Nick od razu usłyszał grający zespół, wziął Laurant za rękę i zaprowadził ją do stołów, rozstawionych wokół podwyższenia dla muzyków po drugiej stronie bitej drogi. Wyrastające dalej wzgórze było zasłane kolorowymi kocami i wyglądało jak patchworkowa kołdra. Pomiędzy tańczącymi parami biegały dzieci.

W powietrzu unosił się ciężki zapach pieczonego na ruszce mięsa.

Tommy i Noah byli zajęci obracaniem hamburgerów, ale ksiądz dostrzegł nowo przybyłych i na powitanie pomachał im ręką. Laurant niosła koc. Rozłożyła go na wolnym miejscu pod starym powykęcany drzewem.

- Czy ten zespół nie jest wspaniały?

- Mhm - odmruknął Nick, nadal lustrując spojrzeniem tłum.

- Założyli go Herman i Harley Winstonowie - wyjaśniła. - Herman gra na saksofonie, a Harley na perkusji. To ci sami bliźniacy, którzy remontują mój sklep. Są przemili. Powinieneś ich poznać.

Nick zerknął na podwyższenie i się uśmiechnął. Zespół składał się z sześciu osób po siedemdziesiątce. Bliźniacy byli jak dwie krople wody, obaj w białych spodniach i koszulach w czerwoną kratę.

- To starzy ludzie - zauważył.

- Ale młodzi duchem - powiedziała Laurant. - Do tego są świetni w tym, co robią. W Holy Oaks nie wysyłamy starszych ludzi na zieloną trawkę. Wnoszą bardzo duży wkład w życie naszego miasta. Kiedy zobaczysz mój sklep z poddaszem, zrozumiesz, ile talentów drzemie w tych ludziach.

Lider zespołu, łysy dżentelmen o szerokim uśmiechu, skrzących

się oczach i zgarbionych ramionach, zastukał w mikrofon, żeby zwrócić uwagę ludzi.

- Panie i panowie, jak doskonale wiecie, dzisiejszy piknik stanowi podziękowanie opata dla was wszystkich za to, że tak ciężko pracowaliście, żeby wyremontować kościół na jubileusz. Opat życzy wam dobrej zabawy. Wiecie również, że ja i moi chłopcy gramy wyłącznie stare kawałki, bo tylko takie umiemy grać. Ale z przyjemnością spełnimy wasze życzenia, więc jeśli ktoś jest z dziewczyną, na której chce zrobić wrażenie, niech napisze tytuł wybranej piosenki na karteczce i wrzuci ją do kapelusza, który stoi o tam, na stoliku. Przez cały wieczór będziemy losować życzenia z tego kapelusza. Pierwsza piosenka jest dedykowana Cindy Mitchell i jej mężowi, Danowi. Cindy pokazuje się w mieście pierwszy raz po tym, jak wycięto jej kamienie żółciowe, i bardzo się cieszymy, że jest tu z nami. Do roboty. Dan, przyprowadź ją na parkiet. Usłyszycie jedną z moich ulubionych piosenek - dodał, cofnął się i uniosł ręce jak dyrygent orkiestry symfonicznej. Wystukując stopą rytm, policzył: - Raz, dwa, trzy, jedziemy, chłopcy!

Nastąpiła cisza. Lider rozejrzał się, zrozumiał, co się stało, i zachichotał. Potem potulnie wyjaśnił do mikrofonu:

- Chyba powinienem był powiedzieć chłopcom, co mamy zagrać. To będzie „Misty”. Dalej, próbujemy jeszcze raz.

Nickowi bardzo się nie podobało, że Laurant znajduje się w takim tłumie. Wiedział, że piknik jest znakomitym miejscem, w którym mogą pokazać się razem, a dla niego również do tego, by przyjrzeć się mieszkańcom miasteczka, lecz mimo to niepokój go nie opuszczał. Laurant mogła łatwo zgubić się w tłoku, a on nie chciał spuścić jej z oka nawet na sekundę.

Jej przyjaciółki dodatkowo utrudniły mu zadanie. Gdy tylko ją dostrzegły, próbowały porwać ją ze sobą. Naturalnie wszystkie umierały z ciekawości. Kilku mężczyzn podeszło uściśnąć mu dłoń i zawrzeć znajomość. Byli otwarci i życzliwi; starali się wciągnąć go do swojego towarzystwa, skupionego wokół beczułek z piwem, a tymczasem Laurant ciągnięto w całkiem przeciwną stronę. Nick jednak mocno objął ją w talii i przytrzymał przy sobie.

Nie tolerowała takiego zachowania długo. Po chwili wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha:

- Musisz mi pozwolić porozmawiać z przyjaciółkami i sąsiadkami.

- Tylko nie znikaj mi z oczu - odszepnął, a ponieważ wiedział, że są bacznie obserwowani, delikatnie pocałował ją w usta. - Staraj się trzymać między Noahem i mną.

- Dobrze - obiecała i odwzajemniła pocałunek. - A teraz uśmiechnij się, proszę. To jest piknik, a nie pogrzeb.

Ktoś ją zawołał i Nick puścił narzeczoną, acz niechętnie. Ale nie zdążyła odejść więcej niż pięć kroków, i już była otoczona przez kobiety. Wszystkie mówiły jednocześnie, bez wątpienia o nim, bo nieustannie spoglądały w jego stronę. Włożył więc ręce do kieszeni i ani na chwilę nie odrywał wzroku od Laurant. Miała absolutnie niesamowity uśmiech.

Jedna z kobiet krzyknęła i Nick energicznie ruszył naprzód, zorientował się jednak, że to tylko Laurant pokazuje zaręczynowy pierścionek. Cofnął się więc i znów omiótł wzrokiem tłum. Gdy znowu na nią spojrzął, wolno przeciskała się w stronę podium dla zespołu. Po drodze rozmawiała i z młodymi, i ze starymi; widać było, że jest dla tej społeczności kimś ważnym. Musiała też być powszechnie lubiana. Zapewne mieszkańcy Holy Oaks doceniali jej wrażliwość i życzliwość. Reagowali na nią podobnie jak on: chcieli się do niej zbliżyć. Miał wrażenie, że Laurant jest szczerze zainteresowana tym, co mówią. Ludzie dobrze się czuli w jej towarzystwie i był to jej absolutnie wyjątkowy dar.

Patrząc na dziewczynę, Nick się uśmiechał, ale uśmiech znikł mu z twarzy, gdy zatrzymała ją dwóch mężczyzn mniej więcej w jego wieku. Sądząc po ich poządlivych spojrzeniach, reputacja Laurant żadnemu z nich nie przeszkadzała. Nick poczuł nagły przypływ zazdrości. Miał ochotę zdzielić jednego z mężczyzn, który położył rękę na ramieniu Laurant. Przy tym wiedział, że reaguje nonsensownie. Nigdy nie okazywał zaborczości.

Nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Romans z tą dziewczyną był wykluczony. Był tego świadomy i już się z tym pogodził.

Dlaczego zadawał sobie tyle trudu, żeby zachowywać się z dystansem? Bo niesamowicie go pociągała, to musiał przyznać. Nie była to zwykła żądza. Jako doświadczony mężczyzna znał tę różnicę. Przypływ żądzv można ostudzić zimnym prysznicem. To doznanie było jednak całkiem inne i bardzo się tym niepokoił.

- Czy pan jest Nick Buchanan?'

Odwrócił się.

- Owszem.

- Nazywam się Christopher Benson - przedstawił się mężczyz-

na, wyciągając do niego dłoń. - Laurant jest najlepszą przyjaciółką mojej narzeczonej. Moją zresztą też - dodał z szerokim uśmiechem. - Chciałem pana poznać i się przywitać.

Christopher był sympatycznym, spokojnym człowiekiem. Budową ciała przypominał futbolowego obrońcę. Dorównywał wzrostem Nickowi, ale był od niego przynajmniej dwadzieścia kilo cięższy.

Po grzecznościowej wymianie zdań Christopher wyznał potulnie:

- Przysłała mnie tutaj Michelle, żebym zebrał o panu jak najwięcej informacji. Zdaje jej się, że skoro jestem prawnikiem, to potrafię wyciągnąć wszystko od każdego.

Nick wybuchnął śmiechem.

- A cóż ona chce wiedzieć?

- Och, nic nadzwyczajnego. Z czego pan żyje, gdzie pan zamieszka po ślubie z Laurant, a przede wszystkim, czy zawsze będzie pan ją wspierał? Być może odniósł pan wrażenie, że Michelle jest wścibska. Ale nie, ona po prostu troszczy się o przyjaciółkę.

Obaj odwrócili się i zatrzymali wzrok na Laurant. Mężczyźni stali w kolejce, żeby z nią zatańczyć. Właśnie okrążała parkiet z chłopakiem od pączka.

Nick odpowiedział na tyle pytań, na ile mógł, a w razie czego stosował fachowe uniki.

Gdy wreszcie Christopher poczuł się usatysfakcjonowany, stwierdził:

- Laurant jest ważną osobą w tym mieście. Ludzie pokładają w niej zaufanie. A z Michelle są jak siostry. Podsuwają sobie szalone pomysły, a jak się lubią śmiać!

Nick zastanawiał się, kiedy wreszcie uda mu się zatańczyć z Laurant. Stanowczo nie zamierzał czekać w kolejce. Narzeczonemu należały się przecież przywileje. Nawet jeśli zaręczyny były lipne.

Christopher jakby czytał w jego myślach.

- Najlepiej idź po Laurant. Niedługo nie będzie co jeść, wszystko znika w oczach.

- To dobry pomysł - przyznał Nick.

Przecisnął się przez tłum, poklepał chłopaka od pączka po ramieniu i objął narzeczoną.

- Odbijany, chłopcze.

Laurant pocieszyła młodzieńca, obiecując mu taniec później, po posiłku.

- Tylko go zachęcaj - powiedziała jej Nick.
- To taki miły chłopiec.

Nic chciał rozmawiać o tym miłym chłopcu. Przyciągnął ją bliżej i poddał się rytmowi.

- Pamiętaj, że mnie kochasz - poinstruował swoją partnerkę. Roześmiała się.

- Bardzo cię Kocham, najdroższy.

- Podoba mi się to, w czym jesteś.

- To się nazywa sukienka. I jest mi przyjemnie, że ci się podoba.

- Wyłumacz mi jedno. Jeśli mężczyźni w tym miasteczku boją się ciebie, to skąd taka kolejka, żeby z tobą zatańczyć?

- Nie wiem. Może wiedzą, że nikomu nie odmówię. Ale na randki mnie nie zapraszają. Tommy ma pewnie rację. Chyba się mnie boją.

- To dobrze - oświadczył z nieukrywaniem zadowoleniem.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował.

- Machają do nas Viola i Bessie. Chyba chcą, żebyśmy usiedli obok nich.

- A niech to szlag trafi! - syknął Nick.

Zaskoczyła ją ta reakcja.

- Myślałam, że je polubiłeś.

- Nie o nie chodzi - odrzekł zniecierpliwiony. - Właśnie zauważyłem Lonniego. Co on, u diabła, tutaj robi?!

- Czy muszę przypominać, że jest tak, jak przepowiadałam!¹ spytała. Odszukała wzrokiem w tłoku syna szeryfa. Siedział samotnie przy stole z miną nie wróżącą niczego dobrego. Laurant zauważyła również, że ludzie siedzący przy sąsiednich stołach wydają się niespokojni i unikają kontaktu wzrokowego z tym rzeźmieszkim.

Nick rozejrzał się w poszukiwaniu szeryfa.

- Nie widzę nigdzie poczciwego tatusia - powiedział.

- Wątpię, żeby przyszedł. Przecież przez cały dzień unikał twoich telefonów, a biuro było dzisiaj zamknięte. Myślę, że ukrywa się przed tobą, panie FBI - powiedziała.

Nick pokręcił głową.

- Będę musiał coś z nim zrobić.

- Musisz najpierw go znaleźć.

- Nie chodzi mi o szeryfa. Muszę coś zrobić z Lonniem. On nim może wszystko jeszcze bardziej skomplikować.

- A co możesz zrobić?

Nick otoczył Laurant ramieniem i skierował się do bufetu, który urządzono na tyłach podium dla zespołu.

- Noah.

- Zamierzasz zawołać Noaha? - zdziwiła się dziewczyna.

- Mhm.

- Okej. Co on może zrobić?

Nick uśmiechnął się od ucha do ucha.

- O, dużo.

- Najpierw idź przegonić Lonniego od tego stołu - zaproponowała. Potem możemy zjeść. Ludzie potrzebują miejsc do siedzenia.

- Zgoda - powiedział, ale gdy odwrócił się ku stołom, ujrzał Tommy'ego, idącego tam z przeciwnej strony; trzymał w ręce łyżkę do przewracania hamburgerów i miał minę wskazującą na to, że nie zamierza tolerować chuligańskich wyczynów Lonniego.

Noah był zajęty zdejmowaniem z rusztu przypalonych hamburgerów, ale przez cały czas miał księdza na oku, co wyjaśniało, dlaczego dwa hamburgery trafiły na ziemię zamiast na talerz. Nie wiadomo skąd pojawili się również kumple Lonniego i w czasie gdy Tommy doń podchodził, stanęli przy stole.

- Czy nie powinienes pomóc mojemu bratu? - spytała z troską Laurant.

- Da sobie radę.

Lonnie miał w kąciu ust papierosa. Tommy powiedział coś do niego, a on pokręcił głową i pstryknął w niego niedopałkiem. Ksiądz przydepnął peta. Potem błyskawicznym ruchem chwycił chłopaka za kołnierz i podniósł od stołu.

Syn szeryfa chciał niepostrzeżenie wsunąć dłoń do kieszeni i właśnie w tej chwili wkroczył do akcji Noah, a z nim jeszcze kilku mężczyzn obecnych na pikniku. Wszyscy zgodnie pobiegli na pomoc Tommy'emu. Ten przejaw solidarności rozwścieczył Lonniego, który w ułamku sekundy spurpurowiał na twarzy. Noah przepchnął się przed gromadkę mężczyzn właśnie w chwili, gdy chłopak wyciągał nóż sprężynowy. Noah podstawił mu nogę, a jednocześnie łyżką do przewracania hamburgerów z całej siły uderzył go w nadgarstek. Lonnie zawył z bólu i upuścił broń.

Tommy podniósł nóż i cisnął go Noahowi, potem podniósł chłopaka z ziemi i polecił mu natychmiast się wynieść razem z jego obstawą.

Laurant odetchnęła z ulgą. Gdy Tommy i Noah wrócili do rusztu, kilku mężczyzn podeszło do nich, by uścisnąć im dłonie. Jeden entuzjastycznie poklepał obu po ramieniu.

- Czy możemy już jeść? - spytał Nick, wziął dwa talerze, jeden podał Laurant i oboje ruszyli po hamburgery.

Przy bufecie nałożyli sobie jeszcze sałatek i chipsów i podeszli do stohi sióstr Vanderman. Siedziały z trzema mężczyznami, którzy wynajmowali dom po drugiej stronie ulicy. Bessie Jean przysunęła się bliżej do siostry, żeby zrobić na ławie miejsce dla Nicka i Laurant.

Viola zatroszczyła się o przedstawienie sąsiadów, dodając wszystkie informacje, które zdołała wcześniej od nich wycisnąć. Dwaj z nich, Mark Hanover i Willie Lakeman, mieli farmy w północnej Iowie, ale dorabiali sobie ciesielstwem. Justin Brady właśnie kupił ziemię wuja w Nebrasce i energicznie wziął się do spłacania długu hipotecznego, imał się więc wszelkich możliwych robót.

Wszyscy trzej mieli po trzydzieści kilka lat i nosili obrączki. Odciski na dłoniach wskazywały, że należą do ciężko pracujących ludzi, a puste kubki przed nimi dowodziły, że i w piciu ciężko im dorównać. Nick oparł łokcie na stole i zaczął słuchać, jak trzej mężczyźni opowiadają o pracy w opactwie. Ani na chwilę nie przestawał mierzyć ich wzrokiem.

Mark opróżnił plastikowy kubek dwoma długimi łykami. Nick zrozumiał, dlaczego ten człowiek tyle pije, gdy Bessie Jean spytała go o dzieci.

Mężczyzna spuścił głowę.

- W zeszłym roku umarła mi żona. Dzieci nie mieliśmy. Czekaliśmy z tym, aż uda się spłacić część długów.

Viola wyciągnęła rękę nad stołem i krzepiąco poklepała go po dłoni.

- Wszyscy serdecznie panu współczujemy, ale musi się pan pogodzić z losem i spróbować ułożyć sobie życie. Pańska żona na pewno by tego chciała.

- Wiem, szanowna pani - odrzekł. - Ale przez tę suszę musimy szukać pracy, gdzie się da. Mam na utrzymaniu rodziców, a Willie i Justin też są żywicielami rodziny.

Willie wyciągnął portfel, żeby pokazać zdjęcia swoich bliskich.

rudej żony i trzech dziewczyneczek z włosami jak marchewka. Justin nie zamierzał być gorszy. Ostrożnie wyjął zdjęcie żony i podał je Bessie Jean.

- Ma na imię Kathy - powiedział z dumą w głosie. - Na początku sierpnia spodziewa się naszego pierwszego dziecka.

- Chłopca czy dziewczynki? - spytała Laurant.

Justin się uśmiechnął.

- Uznaliśmy z Kathy, że nie chcemy tego wiedzieć. Wolimy niespodziankę. - Zerknął przez ramię na podium dla zespołu i dodał: - Kathy uwielbia tańczyć. Szkoda, że jej tu nie ma.

- Wszyscy zasuwamy tutaj po czternaście godzin - powiedziat Mark.

- Ale dobrze płacą, więc żaden z nas nie ma nic przeciwko temu - wtrącił Justin.

- Justin, jeszcze nawet nie podziękowałyśmy panu, jak należy, za pomoc w ogrodzie - odezwała się Viola. - Jest pan tak zajęty, a jednak znalazł pan czas również dla nas. Chyba upiekę specjalnie dla pana pyszne ciasto czekoladowe. To moja specjalność.

- Bardzo by mi było miło, szanowna pani, ale prawie przez cały czas jesteśmy w opactwie. Do domu wracamy dopiero o zmroku. Naturalnie czekoladowe ciasto bardzo lubię, to jasne.

Viola się rozpromieniła.

- Wobec tego upiekę je dla pana. Po prostu zostawię je na progu albo wstawię do kuchni.

Mark zaczął opowiadać, co jeszcze muszą zrobić w opactwie przed uroczystościami jubileuszowymi. Willie dźgnął Justina w bok i zaczął mu dokuczać, że ma łatwą pracę na chórze w kościele, podczas gdy oni muszą bez przerwy wspinać się pa rusztowaniu z kubłami farby.

- Ja też mam swoją działkę - odrzekł Justin. - Opary z lakieru gromadzą się w górze, aż się od tego kręci w głowie. Dlatego muszę więcej odpoczywać niż wy.

- Przynajmniej stoisz na ziemi, kiedy pracujesz, a my z Wiilem najczęściej udajemy wisielców.

- Co pan robi na chórze? - spytała Laurant.

- Wymieniam stare przegniłe belki. Dookoła organów woda narobiła przez lata dużo szkód. Praca jest żmudna, ale kiedy skończę, chór będzie jak nowy.

- Jak wam się mieszka w domu Morrisona? - spytała Berty Jean.

- Okej - odparł Mark ze wzruszeniem ramion. - Justin zażyczył sobie, żebyśmy podzielili obowiązki, więc każdy ma jeden pokój do sprzątnięcia. Tak jest najłatwiej.

Słuchając rozmowy, Nick pochłonał dwa hamburgery. Feinerg powiedział mu, że Wesson już wykluczył tych trzech mężczyzn. Dokładnie sprawdził ich dane. Wszyscy byli farmerami, którzy sobie dorabiali, i starali się wykonać swoją pracę w bardzo krótkim terminie, ale z punktu widzenia Nicka to wcale nie wykluczało ich jako podejrzanych. Podobnie jak innych mężczyzn obecnych na pikniku. Nie zamierzał z góry wykluczyć żadnego mieszkańca Holy Oaks.

Jeden z uczniów poklepał Laurant po ramieniu i zaprosił do tańca. Z uśmiechem się zgodziła, zanim Nick zdążył zgłosić sprzeciw. Poszedł więc za parą na skraj parkietu i stanąwszy ze skrzyżowanymi ramionami, zapatrzył się w tańczących.

Zespół grał starą piosenkę Elvisa Presleya. Laurant kołysała się w takt muzyki, a jej rozentuzjasmowany partner wykonywał dookoła niej szalone obroty. Kilka razy musiała nurkować pod łokciem młodzieńca, bo jego ruchy były doprawdy nieprzewidywalne. Nickowi kojarzył się on z kiepskimi filmami o karatekach. Był pewien, że Laurant z najwyższym trudem zachowuje powagę na twarzy. Inne pary zrobiły dzieciakowi dużo miejsca, prawdopodobnie z troski o swoje nogi.

Przez następną godzinę ciągle ktoś prosił Laurant do tańca. Lider zespołu odczytywał kolejne dedykacje i zapowiadał piosenki na życzenie. Podczas przerw w tańcu Laurant pomagała sprzątać, ciągle też podchodzili do niej różni ludzie, żeby się przywitać. Poruszała się w tym tłoku ze swobodą i gracją, których Nick jej zazdrościł.

Powiedziała mu kiedyś, że mieszkańcy Holy Oaks sobie pomagają, teraz widział to na własne oczy. Zawsze sądził, że nie zniósłby, gdyby ludzie wiedzieli o nim wszystko. Teraz nie był już tego taki pewien. To mogło mieć i dobre strony. W Bostonie nie znał nikogo ze swoich sąsiadów. Wracając wieczorem, wprowadzał samochód do garażu, wchodził do domu i siedział w nim aż do kolejnego wyjścia. Nigdy nie miał ani czasu, ani ochoty na nawiązanie sąsiedzkich kontaktów. Nawet nie wiedział, czy w jego bloku mieszkają jakieś dzieci.

Laurant tańczyła teraz z Justinem. Śmiała się z czegoś, co właśnie powiedział. Piosenka się skończyła i Nick dostrzegł

następnego mężczyznę idącego w stronę jego narzeczonej, mniej więcej swojego rówieśnika. Uznał, że starczy tych tańców jak na jeden wieczór. Podszedł do niej pierwszy, objął ją i pocałował.

- Po co to było?

- Bo się kochamy - przypomniał jej. - Czy opowiadałaś ludziom, jak się poznaliśmy?

- O, tak - odparła. - Do tej pory przynajmniej dwadzieścia razy.

- A mówiłaś, co twierdzą specjaliści na temat twojego prześladowcy?

Przytaknęła, a potem położyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy, żeby ludzie widzieli w niej kobietę tulącą się do ukochanego.

- Już zabrakło mi określeń. Mówiłam, że jest głupi i niechlujny, że, według FBI, ma bardzo niski iloraz inteligencji, jest upośledzony i godny współczucia. Sam dośpiewaj sobie resztę.

- Grzeczna dziewczynka.

- A ty? Opowiadałaś ludziom o naszym pierwszym spotkaniu?

- Za każdym razem, gdy miałem okazję odrzekł. - Poznałem Christophera - dodał. - Sympatyczny facet.

- Ale Michelle jeszcze nie widziałam. Ojej... idzie Steve Brenner.

- Nie będziesz z nim tańczyć.

- Wcale nie chcę.

Zjawił się przy nich, gdy schodzili z parkietu.

Nick zmierzył go jednym szybkim spojrzeniem. Widać było, że opanowanie i władza są dla Steve'a Brennera wszystkim. Zdradzał to i jego sposób poruszania się, i ubiór. Koszulę i spodnie miał idealnie wyprasowane, a każdy włoszek leżał na swoim miejscu. Jedynym ustępstwem, jakie poczynił na rzecz swobodnej atmosfery pikniku, była rezygnacja ze skarpet do nowiutkich pantofli firmy Gucci. Gdy ściskali sobie dłonie, Nick zauważył, że człowiek, który trzęsie tym miasteczkiem, nosi zegarek marki Rolex.

Brenner dotknął współczująco ramienia Laurant.

- Chcę pani powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu tego artykułu Lorny. Było mi głupio, gdy przeczytałem te brednie o nas. Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wzięła, i mam nadzieję, że pani nie miała z tego powodu przykrości.

- Nie - odparła.

Uśmiechnął się.

- Loma powiedziała mi, że pani się zaręczyła. A może to jej kolejny wymysł?

- Tym razem powiedziała prawdę. Bierzemy z Nickiem ślub.
- A niech mnie! Gratuluję wam obojgu. Będzie pan miał dobrą kobietę - zwrócił się do Nicka. Przeniósł wzrok na Laurant i spytał: - Czy data ślubu już ustalona?

- Druga sobota października.
- Gdzie zamieszkacie?
- W Holy Oaks - powiedziała. - I nadal będę z panem walczyła o rynek.

Uśmiech w oczach Brennera zgasł.

- Tak przypuszczałem, ale mam ofertę, której nie może pani odrzucić. Chciałbym opowiedzieć pani o niej jutro po pracy. Czy będzie pani w domu? Moglibyśmy usiąść i porozmawiać.

- Przykro mi, ale wychodzę. Będziemy z Nickiem w opactwie na próbie ślubu. A potem jest kolacja dla wszystkich - wyjaśniła. - Wrócimy dopiero po północy.

Skinął głową.

- Wobec tego zadzwonię do pani w przyszły poniedziałek. Do tego czasu powinna pani ochłonać po ślubie Michelle.

- Zgoda.

- Strasznie szybko się zaręczyliście i ustalili datę ślubu.

Tym razem odpowiedział Nick.

- Znam Laurant od bardzo dawna, jeszcze z dzieciństwa.

- A kiedy spotkaliśmy się znowu w Kansas City, od razu wiedzieliśmy, że coś z tego będzie - powiedziała Laurant. - Prawda, kochanie?

Nick uśmiechnął się.

- Tak.

- Jeszcze raz gratuluję - rzekł Brenner. - Idę wziąć sobie hamburgera, póki jeszcze są.

Nick z uwagą przyglądał się odchodzącemu mężczyźnie.

- Co o nim sądzisz? - spytała Laurant.

- W środku gotuje się ze złości.

- Skąd wiesz?

- Gratulował nam z dłońmi zacisniętymi w pięść.

- Ostatnio bardzo mu bruzdę. Pewnie musi zaciskać dłonie, bo ma ochotę skrócić mi kark.

- Jesteś jedyną osobą, która stoi na przeszkodzie jego planom.

- Czy on jest podejrzany?

- Wszyscy są podejrzani - odparł Nick. - Chodź, usiądźmy na kocu i przypomnimy sobie, jak się pieszczą nastolatki.

Parsknęła śmiechem. Kilka osób odwróciło się i uśmiechnęło na widok szczęśliwej pary.

- Całkiem dobry pomysły, wątpię jednak, czy opatowi by się spodobał.

- O, tu jesteście. Szukam was i szukam! - zawołała Michelle; rozpromieniony Christopher trzymał ją za rękę.

Michelle była piękną kobietą. Drobna, o delikatnych rysach i długich złocistych włosach, otaczających twarz w kształcie serca. Miała też zabójczy uśmiech, na który nie można było pozostać obojętnym.

Jej prawą nogę usztywniała metalowa orteza, a gdy próbowała usiąść przy stole, wzdrygnęła się z bólu. Christopher, który właśnie opowiadał Nickowi świeżo zasłyszany dowcip, objął narzeczoną i posadził ją sobie na kolanach.

- Ciągłe utykam - zwróciła się Michelle do przyjaciółki.

- Prawie tego nie widać.

- Tak sądzisz?

- Tak. Jest dużo lepiej, niż było.

- Mam zmiążdżone kolano po wypadku samochodowym - wyjaśniła Nickowi Michelle. - Teoretycznie w ogóle nie powinnam chodzić, ale praktyka bierze górę nad teorią.

- Moja narzeczoną wie wszystko o procentach - odezwał się Christopher. - Ma dyplom z matematyki i księgowości, a po ślubie zamierza zdobyć papiery biegłego księgowego.

- Prowadzę księgowość sklepu Laurant - dodała Michelle.

Lider zespołu znowu zwrócił uwagę zebranych stukaniem w mikrofon i zapowiedział ostatnią piosenkę wieczoru.

- Musimy zatańczyć, kochanie - nalegał Christopher.

- My też - powiedział Nick i poprowadził Laurant na parkiet. - Masz miłych przyjaciół.

- Ty też im się spodobałeś.

Lider zespołu rozłożył kartkę i uśmiechnął się.

- Słuchajcie, ludzie, będzie wolny kawałek, jeden z moich ulubionych - oznajmił. - A oto przemiła panna, której jest dedykowana. Dla naszej drogiej Laurant od kogoś, kto łamie serca.

Ten anon zstał ją w objęciach Nicka. Usłyszał raptowny wdech i poczuł, że jej ciało drętwieje. Instynktownie odpowiadając na zagrożenie, przyciągnął ją bliżej.

Zauważył, że Noah i Tommy ruszają w stronę podium. Inny człowiek oderwał się od gromady ludzi i zmierzał tam z przeciwnej strony. Nick natychmiast się zorientował, że to jeszcze jeden agent. Cholera, nikt nie wiedział, kogo tak naprawdę szukają, a tłum gapiów uśmiechał się, bo piosenka była dla Laurant.

- Sukinsyn! - mruknął pod nosem.
- Nick, co robimy? - szepnęła drżaco.
- Tańczymy - odparł.

Laurant miała wrażenie, że wszystko się na nią wali. Nie mogła /łapać tchu, nie mogła myśleć. Ukryła głowę pod podbródkiem Nicka i zamknęła oczy. Chce, bym wiedziała, że tu jest, że mnie obserwuje, pomyślała. O, Boże, niech on mnie zostawi w spokoju. Proszę cię, Boże...

- Ludzie, łapcie swoje partnerki, bo, jak powiedziałem, to jest ostatnia piosenka. „Chcę patrzeć tylko na ciebie”.

24

Jtał w tłoku i przyglądał się jak urzeczony. Laurant, jego cudna Laurant. Hipnotyzowała go. Była tak urocza, tak nieprzystępna. Do czasu.

Niedługo, kochanie. Już niedługo będziesz moja.

Kątem oka zauważył podchodzącego do niej muła. Uśmiechnął się. Wystarczyło, że strzelił palcami, i od razu się zjawili. Teraz on był pajakiem, a oni tkwili w jego sieci.

Nie mógł oderwać oczu od muła. Patrzył, jak przecina wielką połąć trawy i obejmuje Laurant. To wszystko była gra. Och, dobrze wiedział, co muły chcą zrobić. Zdenerwować go, jakby miały do czynienia z prostakiem.

Mimo to nie był w stanie odwrócić głowy. Laurant z mułem tańczyli i bardzo mu się to nie podobało. Byli zbyt blisko siebie... w zbyt intymnej pozie. A potem ją pocałował. Na ten widok ogarnął go gniew. Ugięły się pod nim kolana i musiał usiąść. To była gra, tylko gra. Igrali sobie z nim, dręczyli go. Wiedział, o co im chodzi... a jednak szalał ze złości.

Jak śmiał go tak torturować!

Ale to jeszcze nie był koniec niespodzianek. Teraz już gapił się na nich całkiem otwarcie, obserwował ich i widział, jak Laurant wpatruje się w tego muła. Niespokojnie drgnął. Ona się w nim zakochała! Dla kogoś obdarzonego jego bystrością i spostrzegawczością było to zupełnie oczywiste. Nie mogła przed nim tego ukryć. Jego zielonooka dziewczyna zakochała się w mule. Jejku, jejku, i co z tym zrobić?

Psuła mu zabawę. Gdy ogłoszono ostatnią piosenkę i okazało się, że dedykacja jest dla Laurant, zaszumiało mu w głowie. Ledwie mógł zapanować nad radością, z którą mieszał się gniew. Stał, widziany przez wszystkich, i przyglądał się, jak jego ofiara tańczy, śmieje się i udaje, że świetnie się bawi, ale wiedział, że

w tym ścisku musi być kupa szukających go mułów. Sami głupcy, co do jednego. Nie wiedzą o nim niczego, ani jak wygląda, ani kim jest, więc jak chcą go znaleźć? Czyżby sądzili, że wyciągnie pistolet i skieruje go prosto w siebie? Nieprawdopodobne, pomyślał. Ich tępota była doprawdy nieprawdopodobna.

Potem spostrzegł poczciwego ojca Toma, biegnącego ku siostrze w towarzystwie drugiego księdza. W oczach księżula tak pięknie malowała się trwoga. Można było się nią napawać. Aż westchnął z rozkoszy. Tylko co ci durni księżulkowie zamierzali zrobić? Modlić się o to, żeby się poddał?

Pomsta do mnie należy, ja odpłacę, mówi pan. Czyżby ojciec Tom zamierzał się zemścić? Ta możliwość go rozbawiła. Ale mógł go o to spytać, gdy znowu pójdzie się u niego wyspowiadać. Ksiądz powinien zrozumieć. Taką ma pracę, nie? Rozumieć i przebaczać. Z drugiej strony może zrozumienie przyjdzie ze śmiercią. Przez chwilę rozważał tę filozoficzną hipotezę, w końcu jednak wzruszył ramionami. Co go mogło obchodzić, czy Tommy cokolwiek rozumie?

No, no, no, od dawna nie miał takiej znakomitej zabawy. A to był dopiero początek, potem na pewno będzie jeszcze lepiej, pod warunkiem że uda mu się zapanować nad gniewem, przytłumić go obietnicą chaosu, którym to wszystko się skończy. Jak oni śmieli pomyśleć, że go przechytczą? Muły ignoranty.

Naturalnie ostrożność była niezbędna. Nie wolno się spieszyć, w tym sęk. Rzecz jasna, nie bał się mułów, nawet się nimi nie przejmował. Przecież sam zaprosił FBI do Holy Oaks. Ale bardzo chciał być dobrym gospodarzem, więc powinien znać dokładną liczbę gości. Musiał wiedzieć, czy zdoła wszystkich rozerwać. Ciekawe, czy przywiózł dostatecznie dużo C-4? Zastanawiał się nad tym chwilę, by wreszcie się uśmiechnąć. O, tak.

Ktoś, kto łamie serca, zawsze jest przygotowany.

Zamierzał wyeliminować tylu mułów, ilu tylko mu się uda, pod warunkiem, że nie będzie to kolidować z jego głównym zamiarem. Chciał osiągnąć cel i dobrze się zabawić, a przy tym dowieść świata, że jest Istotą Wyższą. Żaden muł z FBI nie jest dla niego przeciwnikiem. Już niedługo, bardzo niedługo dowiedzą się o tym, ale wtedy będzie za późno, nie uda im się uciec ani ukryć.

Zajmie się swoją niezakończoną sprawą i niech wszyscy szydzą z tych niedołęgów, kiedy pokażą ich w krajowej telewizji. W czasie największej oglądalności. Film o jedenastej. Tak, panie.

25

M inął następny dzień. Napięcie rośło.

Na myśl o kolejnym wielkim zbiorowisku ludzi, w którym trzeba będzie się pokazać, Laurant robiło się niedobrze, nie chciała jednak zawieść Michelle i opuścić próby ślubu ani kolacji, która była zaplanowana potem.

Po pierwszym daniu Michelle zauważyła, że przyjaciółka nie tknęła ani kęsa. Pochyliła się ku niej nad stołem i szepnęła:

- Źle wyglądasz, moja droga.

- Wszystko w porządku. - Laurant zdobyła się na wymuszony uśmiech.

Michelle wiedziała jednak swoje, więc zwróciła się do Nicka o pomoc.

- Może weźmiesz ją do domu i położysz do łóżka - zaproponowała.

Laurant otworzyła usta, by ostro zaprotestować, ale Michelle zdławiła protest w zarodku.

- Nie chcę, żebyś mi się rozchorowała. Bez ciebie jutro nie pójde do ołtarza.

Laurant i Nick wcześniej pożegnali więc resztę biesiadników i pojechali do domu.

Gdy dotarli na miejsce, na frontowym ganku czekał na nich tuzin czerwonych róż. Nick wniósł je do domu.

- Dostarczono je po waszym wyjściu - wyjaśni! Joe.

Nick głośno przeczytał dołączony bilecik:

- „Proszę, wybac mi. Wróc do domu. Kocham cię. Joel”.

Laurant wzięła od niego wazon z kwiatami i postawiła go w jadalni na stole. Nick i Joe weszli tam za nią. Obaj stanęli przy bukietcie z kwaśnymi minami.

- Trochę żal wyrzucać takie piękne kwiaty - powiedziała

Laurant. - Ale zwykle to właśnie robię. Nie chcę przypominać sobie o Joelu Pattersonie, ilekroć wejdę do tego pokoju.

- Jak często len typ przysyła ci kwiaty? - spytał Nick, usiłując ukryć irytację.

- Mniej więcej raz w tygodniu. Nie chce się poddać.

- Tak? Zajmiemy się tym. - Poszedł do kuchni, wylał wodę do zlewu, a wazon i kwiaty WTzucił do śmieci. - Co za uparty sukisyn.

- Patterson to jest ten facet z Chicago, który robił dobrze swojej sekretarce w czasie, gdy uganiał się za panią, tak? - upewnił się Joe.

Ta bezpośredniość nawet jej nie zszokowała.

- Tak, to on.

- Pewnie trudno mu zrezygnować - mruknął Joe. - Ale proszę się nie martwić. Nick się nim zajmie.

- Nie życzę sobie, żeby Nick się nim zajmował - powiedziała nieco ostrzej, niż zamierzała. - Joel Patterson to mój problem do rozwiązania.

- Nie ma sprawy - rzekł Joe, zaskoczony jej nagłym wybuchem. - Zgadzam się na wszystko, co pani zdecyduje.

- On dla mnie nie istnieje.

- Ta taktyka chyba nie zdaje egzaminu - zwrócił uwagę Joe.

- Niech wydaje pieniądze na kwiaty, jeśli chce. Mnie to nie obchodzi. Czy możemy zmienić temat?

- Jasne.

Przyłożyła dłoń do czoła.

- Przepraszam, że tak na pana naskoczyłam. To przez ten piknik... przez to, co się tam stało... on tam był, Joe. I chciał, żebym o tym wiedziała. „Chcę patrzeć tylko na ciebie”. Taką piosenkę mi dedykował. Dowcipny, co?

- Słyszałem o tym - przyznał agent, wchodząc za nią do kuchni. Już wiedział, co zaraz zrobi Laurant. Zaparzy herbatę. Widać było, że napięcie mocno daje jej się we znaki. W agresywnym oświetleniu wydawała się tak blada, jakby nie spała od tygodnia.

- Musi pani dalej być silna - powiedział bez ogródek Joe.

Obróciła się do niego, wyzywająco oparłszy ramię na biodrze.

- Nie musi się pan o mnie martwić.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślał Joe.

- Może pójdzie pani pooglądać telewizję - zaproponował.

- Zrobię gorącej herbaty. Chce się pan napić?

- Jasne. - W kuchni panowała dość nieznośna atmosfera, ale skoro Laurant chciała zrobić herbatę, to Joe był gotów się napić.

Usiadł, przyglądając się jej krzątaninie. Nick rozmawiał przez telefon w sieni. Głowę miał pochyloną i mówił zbyt cicho, by można go było zrozumieć. Joe doszedł do wniosku, że jego rozmówcą jest albo Morganstern, albo Wesson.

Laurant podeszła z czajnikiem do zlewu i wstawiła go pod kran. Zapatrzywszy się w stylizowaną lilijkę, wymalowaną na białej płytce, wróciła myślami do pikniku.

Nick skończył rozmawiać i wszedł do kuchni akurat w chwili, gdy mówiła:

- Lonnie tam był. Wcześniej poszedł, ale mógł włożyć tę karteczkę do kapelusza, zanim jeszcze Tommy go wyrzucił.

Nick wziął z lodówki niskokaloryczną pepsę i otworzył puszkę. Upił długi łyk, a potem powiedział:

- Owszem, Lonnie mógł to zrobić, ale nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie, a wiemy, że przez ostatni miesiąc nie opuszczał Holy Oaks. Gdy nasz nieznan sprawca spowiadał się Tommy'emu, siedział tutaj.

- Kiedy się tego dowiedziałeś? - spytała Laurant.

- Dziś rano od Feinberga.

Znowu odwróciła się twarzą do zlewu.

- A kto wyjeżdżał? - spytała.

Woda spływała już po ściankach czajnika. Nick wyjął naczynie z rąk Laurant, wylał połowę wody i postawił je na kuchence.

- Szeryf był poza miastem - odezwał się Joe. - I Steve Brenner. Powiedział znajomym, że jedzie na ryby.

Laurant wyjęła z kredensu filiżanki i ustawiła je na stole, a potem włożyła do nich torebki z herbatą. Zdawała się nic zwracać uwagi na to, że Nick pije pepsę. J tak zamierzała zrobić mu herbatę. Uśmiechnął się, rozbawiony jej krzątaniną. Dziwny był to nawyk, ale miał w sobie wiele uroku.

Czekając na zagotowanie się wody, Laurant usiadła. W zdenerwowaniu zaczęła tasować karty, które Joe pozostawił na stole.

- A co z miejscem zbrodni, które tak podnieciło Wessona. Czy nie powinniśmy już czegoś wiedzieć na ten temat?

Odpowiedział jej Joe.

- W laboratorium pracują nad zebrnymi dowodami rzeczowymi. Wiem tylko, że miejsce zbrodni było skażone.

- Czym?

- Przez krowy - wyjaśnił Joe.
- O Boże! - szepnęła, gdy sobie to wyobraziła.
- Niech pani rozda karty - zaproponował z nadzieją, że uda mu się odwrócić jej uwagę. - Zagramy w remika.
- Dobrze - szepnęła, ale dalej siedziała i machinalnie tasowała karty. Wreszcie Joe wyjął jej talię z ręki i rozdał za nią.
- Wydaje się, że minęło już dużo czasu, wiem o tym, ale... - zaczął Nick.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nie znajdują jego odcisków palców. Nie znajdują niczego, co mogłoby do niego doprowadzić.

Nick usiadł okrakiem na krześle i położył ramiona na krawędzi oparcia.

- Nie rób z niego nadczłowieka. W jego żyłach płynie taka sama krew jak w naszych. W końcu popełni błąd i wtedy go złapiemy.

Wzięła ze stołu swoje karty i obejrzała.

- Im szybciej, tym lepiej, tak?
- Tak.

- Dlaczego więc nie mielibyśmy przyspieszyć biegu wydarzeń? Myślę, że Wesson ma rację. Może powinnam jutro wybrać się na przebieżkę sama i może powinnam sama chodzić po zakupy? Nie kręć głową. On szuka okazji, więc powinniśmy mu ją stworzyć. Możesz dopilnować, żeby nic mi nie groziło.

- Nie - odparł stanowczo.
- Nie sądzisz, że powinniśmy to przedyskutować, zanim...
- Nie.

Starła się opanować.

- Naprawdę myślę...

Znów jej przerwał.

- Obiecałem twojemu bratu, że nie spuszczę cię z oka, i lak ma być.

- Nie gorączkuj się, Nick - łagodził Joe.

Wybuch złości Nicka okazał się krótkotrwały.

- Masz rację - powiedział do kolegi.

Napięcie źle robiło im obojgu. Laurant wiedziała, dlaczego jest tak podenerwowana. Każdy jej ruch był śledzony przez szaleńca. Nie mogła znieść tej myśli. Ale co wytrąciło z równowagi Nicka? Powinien być przyzwyczajony do pracy w stresie. Aż do tego wieczoru był bardzo powściągliwy w okazywaniu uczuć i nie-

wzruszony niczym skała. Jak, na miłość boską, mógł w ten sposób żyć? Grupa specjalna, w której pracował, poszukiwała uprowadzonych dzieci. Laurant nie umiała sobie wyobrazić nic bardziej przerażającego od niebezpieczeństwa grożącego dziecku. Stres musiał być zabójczy.

- Jesteś ekspertem. Decyzja o tym, co robić, należy do ciebie. Jeśli nie chcesz, żebym biegła sama, to nie będę.

Nick nie mógł zrozumieć, co ją skłoniło do nagłego zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Dlaczego ni stąd, ni zowąd odzyskała rozsądek?

- Skąd ta zmiana? - spytał podejrzliwie.

- Nie chcę utrudniać ci pracy. I bez tego jest dostatecznie skomplikowana.

- Dobrze, że się uspokoiście, bo muszę wam coś powiedzieć, chociaż szlag mnie trafia z tego powodu - odezwał się Joe. - Zrzucił kartę i wziął z kupki następną. - Nick znowu się wkurzy, ale...

- Nie mam zwyczaju się wkurzać. Co masz mi powiedzieć.'
- Jeśli nasz nieznany sprawca nie da o sobie znać w ciągu najbliższych dni, to dostanę przeniesienie.

Nickowi drgnął mięsień w szczęcie.

- Skąd pan to wie? - spytała Laurant.

Nick odpowiedział za kolegę.

- Wesson, tak?

Joe skinął głową.

- Uważa, że może ten facet wie o mnie, więc jeśli hałaśliwie się stąd wyniosę...

- A niech to! - burknął Nick. - Rozumiem, że jeśli nasz nieznany sprawca dalej nie będzie chciał zaatakować, to Wesson da przeniesienie również innym agentom, żeby tamten poczuł się pewniej. Mam pomysł. Najlepiej spakujmy się i wyjedźmy wszyscy razem. Laurant może zostawić otwarte drzwi, żeby tamten nic miał kłopotów z dostaniem się do środka. Przecież Wesson ma właśnie takie plany, Joe, może się mylę? Ale jestem się gotów założyć, o co chcesz, że on zostanie w Holy Oaks.

Joe wskazał mikrofon, żeby przypomnieć koledze, że Wesson może podsłuchiwać. Nicka to jednak nie obchodziło. Chciał, żeby szef operacji wiedział, co agent Buchanan sądzi o jego metodach.

Odpiął więc mikrofon i powiedział prosto do niego:

- Chcesz być bohaterem i sam złapać tego zbrojnego, bez

względu na cenę. Taki masz plan, prawda, Jules? To będzie wspaniały dodatek do twoich akt. Polityczne ambicje są dla ciebie o niebo ważniejsze od bezpieczeństwa Laurant.

Odpowiedział mu Feinberg:

- Przykro mi cię rozczarować, Nick, ale teraz ja prowadzę nasłuch, nie Wesson, a z mojego punktu widzenia gadacie o podgodzie.

Agent robił co w jego mocy, żeby chronić Nicka, ale jego wysiłki nie zostały docenione. Wesson nie mógł Nickowi zaszkodzić w sensie zawodowym, a nawet gdyby mógł, ten nie przejmowałby się tym ani trochę. Co by poczuł, gdyby go wyrzucono? Może ulgę? Wyjątkowo niewłaściwe podejście, pomyślał, ale i to jakoś zupełnie go nie obchodziło.

Morganstern miał rację. Potrzebował wakacji i seksu. Dużo seksu, ale nie z byle kim. Pragnął Laurant.

Ona tymczasem z uśmiechem wyłożyła na stół wszystkie karty. Joe jęknął.

Czajnik zaczął gwizdać. Laurant wstała, żeby zalać herbatę wrzątkiem. Napełniła wszystkie trzy filiżanki, odstawiła czajnik na kuchenkę i chciała wyjść z kuchni.

- Zaraz, a co z pani herbatą? - spytał Joe.

- Idę teraz na górę. Czuję, że mam ochotę na kąpiel w pianie.

Nick zazgrzytał zębami. Czemu zdawało jej się, że muszą o tym wiedzieć? Cholera! Teraz mógł myśleć wyłącznie o jej ciele, otoczonym tęczowymi bańkami mydłanymi. Miał ochotę iść za nią i wziąć kąpiel w tej samej wannie. Poszedł jednak do pokoju gościnnego i w przyległej łazience zafundował sobie zimny prysznic.

Joe oglądał film na dole, więc Nick, ubrany w dżinsy i swój ulubiony podkoszulek, postanowił potem obejrzeć wiadomości sportowe u Laurant.

Zadzzwonił Theo z pytaniem, co słyhać. W Bostonie była już późna godzina, ale brat Nicka jeszcze nie spał. Był w nastroju do opowiadania o swojej ostatniej sprawie. Nick usiłował skupić się na jego słowach, ale przez cały czas wpatrywał się w drzwi łazienki, a przed oczami miał takie obrazy, jakby łazienka nie miała drzwi.

- Co mówiłeś? - spytał brata.

- Czy wszystko u ciebie w porządku? - powtórzył Theo.

Cholera, nic nie było w porządku.

- Jasne - odpowiedział. - Wiesz, jak to jest. Czekanie doprowadza mnie do szału.

- Jak to się stało, że dotąd nie wspomniałeś o Laurant? Nie widziałem jej wieki. Na pewno bardzo się zmieniła. Jaka jest?

- Taka jak siostra Tommy'ego. Ot, co. - To wielki błąd, uświadomił sobie Nick, gdy tylko wypłynęły mu się te słowa. Zrobił takie wrażenie, jakby się bronił, a prokuratorska renoma Theo miała mocne podstawy.

Brat natychmiast bezlitośnie rzucił się na niego.

- Ach, więc to tak.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Aha.

- Nic tu się nie dzieje.

- Czy Tommy wie?

- O czym? - udał niezrozumienie Nick.

- Że masz chętkę na jego siostrę.

Zanim Nick zdążył odpowiedzieć, Theo wybuchnął śmiechem.

- Będziesz musiał sam mu powiedzieć.

Nick wyobraził sobie, jak jego ręka zagłębia się w słuchawkę i wzdłuż drutu wyciąga się aż do Theo, by chwycić go za gardło.

- Theo, jeśli dbasz o swoje interesy, to przestań sondować. Nie ma niczego do opowiedzenia. Laurant czuje się dobrze. Dobrze i kropka, rozumiesz?

- Jasne - ustąpił Theo. - Powiedz mi coś.

- Co?

- Czy ona nadal ma takie nieprawdopodobnie drugie nogi?

- Theo?

- Co?

- Idź do diabła!

W szedł tylnymi drzwiami.

Próbował posłużyć się kluczem, który wcześniej dorobił, ale ta suka najwidoczniej zmieniła zamki. Po co? Czyżby odkryła kamerę? Stał na podeście przed drzwiami od podwórza i nerwowo obracał klucze w dłoni, zastanawiając się nad odpowiedzią na to pytanie. W końcu uznał, że jednak nie. Nie mogła znaleźć tak dobrze ukrytej kamery. Potem przypomniał sobie, jak stary i zardzewiały był zamek od tej strony. Prawdopodobnie w końcu odmówił posłuszeństwa.

Na szczęście miał czarną skórzaną kurtkę, mógł więc osłonić nią rękę. Ubrał się na czarno, żeby wtopić się w mrok i uniknąć wykrycia przez te dwie zasuszone staruchy, mieszkające w sąsiedztwie Laurant, które były jak koty siedzące w oknie i wypatrujące diabli wiedzą czego. Dla zabezpieczenia się przed wścibskimi sąsiadkami zaparkował samochód trzy przecznice dalej i do domu Laurant podszedł piechotą, trzymając się blisko krzaków, z dala od światła latarni.

Dwa razy odniósł wrażenie, że ktoś za nim idzie, i tak się spłoszył, że nawet zaczął rozważać powrót do domu, ale nie pozwoliła mu na to złość. Musiał uderzyć, ta potrzeba zżerała go od środka jak kwas. Obliczył ryzyko i wiedział, że trzeba je podjąć. Chciał ją skrzywdzić, pożałował tego tak silnie jak alkoholik kropli whisky. Wiedział też, że ta żądza go nie opuści, że w końcu będzie gotów na każde ryzyko, byle ją zaspokoić.

Powoli zdjął kurtkę, starannie ją złożył, żeby była jak najgrubsza, wsunął rękę w tę zaimprovizowaną rękawicę i wyobraziwszy sobie, że ma przed sobą twarz Laurant, uderzył pięścią w szybę ze znacznie większą siłą, niż należało. Odłamki szkła posypały się z brzękiem na podłogę kuchennej sieni.

Nagły przypływ adrenaliny był dlań jak orgazm. Omal nie

wezwał nadaremno imienia Pana Boga. W jednej chwili poczuł się potężny i niezwycięzony. Nikt go nie tknie. Nikt.

Nie przejmował się hałasem, wiedział bowiem, że po Nicka i Laurant przyjechał jej brat z tamtym drugim księdzem i wszyscy czworo byli teraz na kolacji po próbie ślubu. Nawet widział ich odjazd; dopiero potem wrócił do domu i przygotował się na wieczór. Teraz było kilka minut po jedenastej, a Laurant i Nick nie powinni wrócić przed północą. Miał więc mnóstwo czasu, żeby zrobić to, co zamierzył, i uciec.

Wsadził rękę do środka, odciągnął zasuwkę, otworzył drzwi i wszedł do sieni. Z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie zagwizdać.

Otwieranie drzwi włączyło alarm świetlny, ale Nick już wcześniej zorientował się, że ktoś próbuje się włamać. Wrócili z Laurant wcześniej, niż zamierzali, więc zluzował na warcie Joego, który poszedł się zdrzemnąć. Nick był akurat na górze przy schodach i zamierzał zejść na parter, gdy usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Niezbyt głośny, lecz całkiem jednoznaczny.

Nie wahał się ani chwili. Wyciągnawszy broń, szybko ruszył do gościnnego pokoju, żeby zbudzić Joego. Właśnie sięgał do klamki, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Joe z pistoletem skierowanym w sufit. Skinął głową Nickowi, by dać znak, że jest gotowy, a potem znikł w mroku pokoju, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Po drodze wyłączył migającą lampkę alarmową.

Nick bezselestnie się odwrócił i wszedł do sypialni Laurant. Cicho zamknął za sobą drzwi. Spała na plecach; ręce miała wyciągnięte wzdłuż ciała, a na jej klatce piersiowej leżały otwarte pamiętniki Franka McCourta. Podszedł do łóżka, przykucał i zasłonił jej usta dłonią, żeby nie krzyknęła.

— Laurant, zbudź się. Mamy gości - szepnął spokojnie.

Ocknęła się i rzeczywiście próbowała krzyknąć. Instynktownie chciała odepchnąć jego rękę, zaraz uświadomiła sobie jednak, kto jej dotyka. Zrozumiała, o co chodzi, i w tej samej chwili zauważyła pistolet w dłoni Nicka.

- Musisz być naprawdę cicho - szepnął.

Skinęła głową. Cofnął rękę, a dziewczyna odrzuciła koc na bok i energicznie usiadła na łóżku. Zapomniana książka przeleciała kawałek i niechybnie z hałasem upadłaby na podłogę, gdyby Nick nie złapał jej w powietrzu. Odłożył ją na łóżko, zgasił nocną lampkę, a potem wziął Laurant za rękę i pomógł jej wstać.

Serce biło jej jak szalone, nie mogła złapać tchu. W pokoju zrobiło się tak ciemno, że musieli iść po omacku wzdłuż ściany. Nick zaprowadził ją do łazienki. W chwili gdy sięgała do wyłącznika, ujął jej dłoń.

- Bez światła - szepnął.

Cofnął się do sypialni i cicho zamknął za sobą drzwi.

- Uważaj na siebie - szepnęła Laurant.

Najchętniej błagałaby Nicka, żeby z nią został, wiedziała jednak, że nie mógł tego zrobić.

W łazience panowała nieprzenikniona ciemność. Laurant bała się poruszyć, żeby przypadkowo nie potraścić jakiegoś przedmiotu, bo wtedy włamywacz zorientowałby się, że ktoś jest w domu. Pochyliła głowę, splótła ręce na brzuchu i stała nieruchomo, usiłując uporządkować myśli kłębiące jej się w głowie. Jak mogła pomóc? Co mogła zrobić, żeby nie przeszkadzać?

Śmiertelnie bała się o Nicka. Przykre niespodzianki zdarzają się nawet najlepszym i najbardziej doświadczonym specjalistom. Każdy ma jakieś słabe punkty. On nie był w tym wyjątkiem. Laurant nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby coś mu się stało. Boże, proszę cię, miej go w swej opiece, modliła się.

Dookoła było cicho jak w grobie. Przytknęła ucho do drzwi, licząc na to, że coś usłyszy. Stała w ten sposób ponad minutę, prawie wieszając, ale dolatywało ją tylko gorączkowe bicie własnego serca.

Nagle coś zwróciło jej uwagę. Skrobanie, jakby gałąź poruszana wiatrem ocierała się o szybę. Ten dźwięk nie dochodził z wnętrza domu, lecz z dachu. Boże, co ten człowiek tam robi? Nie, to niemożliwe, przecież wszedł do domu. Próbowwała się przekonać, że źródłem odgłosu, który usłyszała, jest jednak gałąź.

Zaczęła nasłuchiwać. Odgłos się powtórzył, znacznie bliżej miejsca, w którym stała. Tym razem jednak nie zabrzmiał jak skrobanie gałęzi o szybę. Kojarzył się raczej ze zwierzęciem, które szybko przemieszcza się wzdłuż okapu nad oknem łazienki. Coś jakby szop albo wiewiórka.

Czy okno jest zamknięte? Tak, oczywiście. Nick na pewno tego dopilnował. Uspokój się, pomyślała. Nie pozwól się ponieść wyobraźni.

Wlepiła wzrok w okno nad wanną. Było jednak zbyt ciemno, by mogła zobaczyć, czy jest zamknięte. Postanowiła to sprawdzić. Gdyby przesunęła się pod nie wolno i ostrożnie, nie zdradziłaby

swojej obecności. Zaczęła centymetr po centymetrze oddalać się od drzwi i wtedy zauważyła czerwony promień średnicy ołówka, wnikający do łazienki przez szybę. Zatańczył na lustrze toaletki i był coraz bliżej. Ktoś badał teren... szukał celu.

Opadła na kolana, potem na czworaki i podczołgała się do krawędzi wanny. Przyłgnęła do chłodnej porcelany, nie spuszczać z oczu czerwonego promienia. Było za późno. Należało wymknąć się z łazienki, póki miała szansę. Teraz, gdyby się poruszyła, promień trafiłby prosto na nią. Przesuwał się po podłodze przy drzwiach, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Boże, jeśli Nick otworzy drzwi i będzie chciał wejść do środka, ten ktoś zobaczy go jak na dłoni.

Tylko spokojnie, nakazała sobie. Pomyśl. W jaki sposób ten człowiek niepostrzeżenie dostał się na dach? Nick powiedział jej przecież, że dom jest przez całą dobę pod obserwacją agentów. Ale od strony łazienki przylegał do domu zadrzewiony i zakrzaczony plac, a drugi pusty plac graniczył z podwórzem na tyłach domu. Łatwo było wspiać się na któreś ze stuletnich drzew i w ten sposób dostać się na dach.

Czy niepostrzeżenie? Cóż, byłby to dowód zuchwałości i dużej zrzeczności, ale zadanie wydawało się w pełni wykonalne. Nie wpadaj w panikę, pomyślała. Spokojnie czekaj. Może na dachu jest któryś z agentów FBI. Tak, to możliwe. Zabezpiecza okno łazienki, żeby szaleni nie próbowali tamtędy uciec. Prawdopodobnie FBI obstawiło już wszystkie okna.

Bardzo chciała, żeby okazało się to prawdą, nie zdobyłaby się jednak na próbę sprawdzenia swojej hipotezy.

Promień przesunął się znowu w stronę lustra. Laurant postanowiła skorzystać z okazji, dziękując Bogu, że noc jest bezksiężycowa. Poderwała się na kolana, żeby otworzyć drzwi, a potem przeczłogała się do sypialni. Po drodze skaleczyła kolano o metalowy próg.

Nadal nie odrywała oczu od promienia. Omal na nią nie trafił, gdy już zamykała za sobą drzwi. Skrzywiła się, słysząc cichy trzask zamka, i oparła o ścianę sypialni, by wyrównać oddech.

Na pewno usłyszałaby otwieranie okna. Zamknięcie było stare i wyważanie go spowodowałoby duży hałas. Przysiadła więc na podłodze i nasłuchując w napięciu, starała się być gotowa do zerwania się na równe noży, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nick usłyszał cichy szmer i zobaczył Laurant, wysuwającą się z łazienki. Co ona robi, u diabła?! Dlaczego nie siedzi w środku?

Nie miał jednak czasu szukać odpowiedzi na to pytanie. Przywarł do ściany i ostrożnie uchylił drzwi na korytarz. Widział jego część, słabo oświetloną przez lampkę stojącą na skrzyni, w przeciwnym końcu obszernego podestu schodów. Czekał, aż napastnik minie drzwi Laurant albo spróbuje wejść do środka.

Słyszał kroki człowieka na schodach. Wiedział, kiedy ten postawił nogę na piątym stopniu. Piąty stopień skrzypiał. Jeśli intruz już tu kiedyś był, a był wiele razy, jak przypuszczał Nick, to powinien pamiętać o tej pułapce i ją ominąć. Czyżby Nick go przecenił? Wydawało mu się to mało prawdopodobne. Tamten był bardzo ostrożny. Starannie wszystko planował, przynajmniej tak należało wnosić ze zgromadzonych dotychczas informacji. Był też dobrze zorganizowany. I pracował metodycznie. A mimo to po prostu wybił szybę, nie przejmując się ani hałasem, ani brutalnym, mało wyrafinowanym sposobem. Tygrys nie pozbywa się swoich pasów. Czasem zdarza się, że zorganizowani zbrojcy stają się niezorganizowani, na przykład Bundy i Donner, ale stopniowa dezintegracja trwała długo. Ten człowiek musiałby przeżyć nagłą i radykalną odmianę.

Drzwi od podwórza otworzyły się i z trzaskiem zamknęły. Ten, kto wchodził na schody, szybko z nich zbiegł. Potem Nick usłyszał kroki na parterze i chrapliwe szepty. Włamywaczy było już dwóch. Co, u diabła?! To kompletnie nie miało sensu. Do tej pory nieznaną sprawcą wydawał się samotnikiem.

Do tej pory. Nie, tutaj nic się nie zgadzało. Intruzi teraz się kłócili, Nick słyszał jednak tylko stłumione szepty i nie mógł z nich zrozumieć ani słowa. Stali przy frontowych drzwiach, wreszcie na górę zaczął wchodzić tylko jeden. Nick słyszał, jak drugi kręci się na dole. Coś się rozbiło, może wazon? Potem rozległ się odgłos darcia materiału. Ten drań albo czegoś szukał, albo chciał zamienić dom Laurant w pobojuwisko.

Nick nie mógł się doczekać, kiedy położy łąpy na tych dwóch łobuzach.

Drugi był już na podeście piętra. Miał ze sobą małą latarkę. Najpierw promień, a potem cień przekroczył próg sypialni Laurant. Intruz poszedł jednak dalej, do garderoby. Nick uznał, że interesuje go kamera. Widocznie chciał ją zabrać albo na nowo nastawić.

Joe zapalił światło w korytarzu, a jego kolega szybko zablokował włamywaczowi możliwość ucieczki.

- Ręce do góry! - zakomenderował Joe, celując z broni.

Steve Brenner zasłonił oczy ręką, którą przedtem majstrował przy suficie garderoby.

- Co jest...?! - krzyknął i próbował przebiec obok Nicka.

Ten uderzył go w głowę ręką pistoletu. Oszołomiony ciosem Brenner zatoczył się do tyłu, a potem rzucił na agenta, chaotycznie wymachując rękami, jakby tonął. Nick bez trudu zrobił unik i zadał przeciwnikowi cios w twarz. Usłyszał przykry chrzęst. Brenner, krzycząc z bólu, zachwiał się i osunął na kolana. Przyciskając obie ręce do krwawiącego nosa, puścił ordynarną wiązanę.

- Trzymasz go?! - zawołał Nick do kolegi, biegnąc ku schodom.

- Tak! - odrzyknął Joe. - Pchnął Brennera na ziemię i kolaniem przygniótł mu plecy. - Masz prawo odmówić wyjaśnień...

Nick dwoma susami znalazł się na półpiętrze. Przesadził poręcz i wyładował w sieni. W powietrzu unosił się silny zapach benzyny. Gdy wpadł do salonu, już łzawiły mu oczy. Zaraz potem na podłodze przy stole w jadalni zobaczył cztetrolitrowy kanister i różową suknię Laurant, uszytą na ślub Michelle, leżącą w strzępach przy przewróconym kanistrze. Widać było, że jest nasączona benzyną. Nick zaklął pod nosem i pobiegł dalej. Znalazłszy się w kuchni, zdążył jeszcze dostrzec znikającą Sylwetkę Lonnicgo.

Lonnie zapalił zapałkę, gdy był już w sieni, przy drzwiach na podwórze. Zajął się od niej całe pudełko, które chłopak cisnął za siebie do kuchni. W panice chwycił za klamkę, żeby umknąć przed pościgiem, ale zatłuszczona dłoń mu się omsknęła. Dopiero za trzecią próbą zdołał otworzyć drzwi na podwórze. Potknąwszy się na schodkach, runął jak długi na ziemię. Zerwał się jednak i uciekł na plac za domem, zanosząc się od śmiechu, wiedział bowiem, że złapał Nicka w pułapkę i udało mu się pozbyć prześladowcy.

Podłoga była śliska od benzyny. W chwili gdy pudełko upadło, w górę strzelił złowrogo syczący płomień. Przeciąg od otwartych drzwi podsycił ogień i w ciągu kilku sekund kuchnia zamieniła się w piekło. Nick, potykając się, wycofał się do jadalni. Starał się zasłonić oczy ramieniem, ale żar był taki, że przez kuchnię i tak nie mógłby już przebiec. Ogień huczał, raz po raz rozlegały się głośne trzaski i świsty. Ognista fala szybko przesuwała się ku jadalni, niszcząc wszystko po drodze.

- Laurant! - krzyknął Nick, pędząc przez salon. Zdawało mu się, że słyszy pisk opon.. Przystanął przy frontowych drzwiach, żeby odciągnąć zasuwę, nie otworzył ich jednak, wiedział bowiem, że dopływ powietrza znowu podsyci ogień.

Tymczasem Joe skuł Brennera i próbował go podnieść, ale zatrzymany stawał zaciekły opór.

- Wyprowadź go przez frontowe drzwi, tylko się pospiesz! Ogień zaraz będzie nie do opanowania!

- To sukinyń! - krzyczał Brenner. - Ten gnojek! Zabiję go! Joe wreszcie podniósł go i wepchnął na schody.

Nick wpadł do pokoju Laurant. Dziewczyna włożyła już dzinsy oraz półbuty i właśnie naciągała podkoszulek.

Zdażyła też spakować torbę. Nie wierzył własnym oczom. Pusta torba podróżna, która przedtem leżała koło szafy, stała teraz wypchana na łóżku. Drzwi łazienki były szeroko otwarte, Nick zauważył więc, że na półeczce nic nie zostało.

- Chodźmy! - Musiał krzyknąć, żeby wrzaski Brennera nie zagłuszyły jego głosu. - Zostaw to! - nakazał widząc, że Laurant sięga po torbę. - Musimy stąd się wydostać! Szybko!

Zlekceważyła polecenie i zarzuciła pas torby na lewe ramię. Nagle spostrzegła, że Nick jest bosy. Chwyciła jego pantofle i wcisnęła do torby koło albumu ze zdjęciami.

Nick zabezpieczył broń i schował ją do kabury. To dało Laurant jeszcze kilka sekund na zabranie z toaletki jego portfela, kluczyków do samochodu i jej torebki. Wcisnęła to wszystko właśnie do kieszeni torby, kiedy Nick bardzo zdecydowanie szarpnął ją za ramię. Przycisnął ją do siebie, po czym, na w pół ciągnąc, przeprowadził przez korytarz i zmusił do zejścia na dół. Laurant przez cały czas kurczowo zaciskała dłoń na pasie i słyszała, jak torba zsuwa się za nią po schodach.

Przedzierali się przez czarne kłęby dymu. Nick odwrócił głowę dziewczyny tak, by miała twarz wtuloną w jego ubranie, i dalej posuwał się naprzód.

Laurant usłyszała za sobą niezemiński dźwięk, jakby smok wypuścił powietrze z nozdrzy, a potem rozległ się ogłuszający huk. Klimatyzator wypadł z okna jadalni na podłogę i eksplodował. Siła wybuchu była tak wielka, że zatrzęsły się ściany, a podłoga zadrżała im pod stopami. Szyby w salonie zadygotały, odłamki szkła wielkości rzeźniczych noży posypały się na ganek. Ogień zasyczał i strzelił jeszcze wyżej, podsycony podmuchem, który wpadł przez otwarte drzwi.

Wybiegli na dwór w ostatniej chwili. Jeszcze kilka sekund, i musieliby wyskakiwać przez okna w sypialni. Ogień ich ścigał, jęzory ognia lizały po piętach. Potykając się, pokonali schodki

i kaszląc od dymu, znaleźli się na chodniku przed frontowymi drzwiami.

Laurant zacisnęła powieki. Oczy strasznie ją piekły. Nick doszedł do siebie znacznie szybciej. Dostrzegł Wessona, który wyskoczył z samochodu i puścił się biegiem w stronę Joego i Brennera. Agent z zatrzymanym stali na pustym placu przy domu. Feinberg siedział w samochodzie; silnik jeszcze pracował.

Jak ci dwaj mogli tak szybko przyjechać? - zastanawiał się Nick. Ale najpierw trzeba było załatwić ważniejsze sprawy. Mocniej objął Laurant.

- Nic ci się nie stało? - spytał głosem ochrypłym od kaszlu.

Wsparła się na nim, zadowolona, że jest takim silnym mężczyzną.

- Nic. A tobie?

- Nic a nic.

Rozejrzała się w oszołomieniu. Szybko budzili się wszyscy sąsiedzi. Rodziny z obu końców ulicy zaczęły wylegać na ganki i trawniki przed domami, żeby popatrzeć na pożar. W oddali Laurant słyszała syreny. Zobaczyła Bessie Jean i Violę, stojące przy starym wielkim dębnie na ich podwórzu, w miejscu gdzie dawniej trzymały na łańcuchu Daddy'ego. Obie starszki były ubrane w ciężkie włochate szlafroki, różowy i biały, a wyglądały w nich jak gigantyczne króliki. Bessie Jean miała włosy nawinięte na wałki, a na nich staroświecką siatkę, której węzeł spadał jej na czoło. Viola ocierała oczy koronkową chusteczką i raz po raz kręciła głową.

Laurant odwróciła się ponownie w stronę domu i zobaczyła, że płomienie szalejące w salonie strzelają już powyżej dachu. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że otarła się o śmierć. Ale Nickowi nic się nie stało i jej też nie, nie mieli nawet jednego pęcherza na ciele.

W myślach podziękowała za to Bogu. Nagle oszołomienie jej minęło i wtedy dostrzegła prawdę. Zaczęła drżeć.

- Laurant, co się stało?

- Złapałeś go. To już koniec tego koszmaru, Nick.

Upuściła torbę i zarzuciła mu ręce na szyję. Przytulił ją i wtedy usłyszał szept:

- Dziękuję.

- Jeszcze nie pora na świętowanie. Wszystko w swoim czasie. Laurant spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie chce mi się wierzyć. Kiedy usłyszałam, jak krzyczy na ciebie w sieni, poznałam głos i zorientowałam się, że to Steve,

ale jakoś nie skojarzyłam faktów. Byłam tak wstrząśnięta. - Głęboko odetchnęła i spróbowała wyrazić swoje myśli bardziej precyzyjnie. - Mówiłeś mi, że Brenner jest podejrzany, i okazuje się, że miałeś rację.

Nie mogła opanować drżenia ciała. Niecierpliwie ocierając wierzchem dłoni łzawiące oczy, przypomniała sobie człowieka na dachu.

- Ich było dwóch - powiedziała. - Tak, na pewno dwóch.
 - Drugi był Lonnie. To on podpalił dom.
 - Lonnie? - Nie wiedziała, dlaczego jest tak zdumiona, że syn szeryfa maczał w tym palce. Brenner bez wątpienia był mózgiem przedsięwzięcia. Zaplanował cały ten koszmar, który musiała przejść.

Nick rozglądał się za Lonniem. Gdzie on się, u diabła, podział?! Powinien stać skuty w asyście przynajmniej jednego agenta.

Willie i Justin nadbiegli z przeciwka. Justin natychmiast uruchomił wąż ogrodowy na podwórzu Bessie Jean i usiłował gasić nim ogień. Środek był jednak żałośnie niewystarczający.

Nick pociągnął Laurant w stronę Wessona. Szef operacji rozmawiał przez telefon.

- Mam go, sir. Sto procent. Kiedy tylko dostanę nakaz aresztowania, z pewnością znajdę więcej dowodów, żeby go uziemić.
 - On go ma? - zdziwiła się Laurant.
 - Ja też to słyszałem - potwierdził Nick.

Joe również słyszał. Przeszywał Wessona morderczym spojrzeniem. Dowódca nie zwracał jednak na niego uwagi i dalej mówił do swojego szpanerskiego komórkowego aparaciku, ledwie powściągając entuzjazm:

- Wszystko zgodnie z regułami sztuki, sir. Tak go dostałem. Chcę podkreślić, że instynkt nie miał z tym nic wspólnego. Wszystko opierało się na starannym planowaniu i wyciąganiu wniosków. Nie, sir, nie krytykuję pańskich metod. Po prostu mówię, że odwaliłem tu kawał ciężkiej roboty, nic więcej.

Ulicą nadjechał wóz straży pożarnej na sygnale. Feinberg przestawił samochód kawałek dalej, żeby odsłonić hydrant, i zaparkował go przed domem Bessie Jean, a potem wysiadł i podbiegi do Joego. Podobnie jak inni wlepił wzrok w łunę.

Strażacy ochotnicy w żółtych kombinezonach i hełmach zeskoczyli z oczu i zaczęli podłączać węże. Kierowca wyłączył syrenę, a potem krzyknął:

- Czy wszyscy opuścili dom?!

- Wszyscy! - odkrzyknął Joe.

Nick gotował się ze złości. Przysiągł sobie, że jeśli Wesson nie skończy rozmowy w ciągu pięciu sekund, to wyrwie mu z ręki ten telefon i da po mordzie. Może wtedy czegoś się dowie. Na przykład, gdzie jest Lonnie. I gdzie się podziali agenci, którzy powinni byli obstawiać dom.

- Laurant, idź do samochodu i poczekaj tam. Zaraz go przestawię na ulicę - powiedział i pociągnął ją za sobą.

Usłyszała w jego głosie ledwie tłumioną wściekłość. Wciąż zachowywał się tak, jakby musiał ją chronić, nie mogła jednak zrozumieć dlaczego. Przecież złapali Brennera i wiedzieli, kto jest jego współnikiem.

- Nick, już po wszystkim. - Może jeszcze to do niego nie dotarło. Na pewno tak jest, pomyślała. - Udało ci się. Złapaliście go razem z Joem.

- Porozmawiamy o tym później - uciął i schylił się po jej torbę. Gdy doszli do samochodu, mruknął niezadowolony:

- O, cholera! Kluczyki.

- Mam je.

Laurant otworzyła kieszeń torby i po chwili wyłowiła z niej kluczyki. Ale ręce jej tak drżały, że nie mogła trafić do zamka.

Nick jej pomógł, a potem wrzucił torbę na tylne siedzenie.

- Hej, Laurant, jak to się stało, że ten facet ma kajdanki na rękach? - spytał Willie.

Justin przybiegł z podwórza sióstr Vanderman. On też był ciekaw szczegółów.

- Czy to nie jest Steve Brenner? - spytał. - Wielka fisza w tym mieście.

- Ale dlaczego skuty? Co takiego zrobił?

- Włamał się do mojego domu.

- Wsiadaj do samochodu, Laurant - powiedział Nick. Pociągnął ją za łokieć, ale odwróciła się od niego, gdy Brenner zaczął krzyżeć.

- Zdejmijcie mi te kajdanki! Nie możecie mnie zatrzymać. Nie zrobiłem niczego sprzecznego z prawem. Jestem właścicielem tego domu i jeśli chce zamontować w środku kamerę, to nie możecie mi w tym przeszkodzić. Dokumenty podpisałem dwa tygodnie temu. Teraz ten dom należy do mnie i mam prawo wiedzieć, co się w nim dzieje.

Cierpliwość Joego się wyczerpała.

- Masz prawo milczeć i żadnego innego. Stul pysk, do diabła! Justin otworzył usta ze zdumienia.
- Zamontował kamerę u pani w domu?
- Gdzie? - zainteresował się Willie.

Nie odpowiedziała. Bezwładnie opierała się o Nicka, a wzrok miała wbity w Brennera. Gdy ten poczuł jej spojrzenie, odwrócił się i pogardliwie parsknął. Na jego ślicznym, równym użębieniu zaszczała krew, podobnie jak na wargach. Co za gad.

Brenner nie panował nad sobą. O to, że go zatrzymano, obwinał wszystkich dookoła, tylko nie siebie. Gdyby ta suka nie sprowadziła do domu FBI, nie byłby teraz w opałach. Do Laurant miał najwięcej pretensji. Nawet próbował się na nią rzucić, ale Joe go przytrzymał. Brenner jednak dalej się szarpał i obsypywał dziewczynę wiązkami przekleństw. Wszystkie jego plany legły w gai-zach. Niech ją szlag trafi!

- Ty suko! - krzyknął. - To jest teraz mój dom. Zapłaciłem tej staruszce mnóstwo forsy i wiesz co? Gówno mi możesz zrobić! Kiedy wygram wszystkie procesy, które wytoczę, będę właścicielem FBI. Mam swoje prawa! - grzmiał. A potem chcąc ją upokorzyć, dodał: - Co wieczór oglądałem, jak się rozbierasz. Obejrzałem sobie wszystko, co masz do zaferowania.

Widziała zło, bijące z jego czarnych oczu, i nie miała najmniejszej wątpliwości, że to właśnie on zabił dwie pozostałe kobiety. Najwyraźniej był umysłowo chory.

- Joe, zaknebluj go! - krzyknął Nick.
- Zabierzcie ją stąd! - rozkazał Wesson.

Przekleństwa Brennera nie zrobiły na Laurant wrażenia. Spokojnie poszła z Nickiem do samochodu. Inne kobiety w tłumie nie były jednak tak obojętne. Jedna z matek zatkała synowi uszy. Sąsiedzi byli wstrząśnięci na razie tylko zachowaniem Brennera, ale wiedziała, jaką odrazę wzbudzi w nich ten człowiek, gdy się dowiedzą o jego rozdwojeniu jaźni.

Nick wsadził ją do samochodu, wyjechał na ulicę i zaparkował samochód za wozem kierowanym przez Feinberga.

- Poczekał tu na mnie - polecił. - Ale drzwi mają być zamknięte, a szyby podniesione. - Włączył klimatyzację, żeby się nie udusiła.
- Chcę się znaleźć jak najdalej stąd. Czy nie możemy już

odjechać? - Sprawiała takie wrażenie, jakby miała się zaraz rozpłakać.

- Za chwileczkę - obiecał. - Muszę tylko porozmawiać z Wessonem.

Drętwo skinęła głową.

- Dobrze.

Widziała, jak Nick biegnie przez podwórze, potem odwróciła głowę i spojrzała na dom. Wyglądało na to, że ogień opanowano. Zdziwiło ją jednak, że nie odczuwa prawie żadnych emocji, przyglądając się temu obrazowi zniszczenia. Kiedyś to był jej dom, ale skoro stanowił teraz własność Brennera, nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Migotanie świateł, podniecenie tłumu, wrzaski Brennera... tego było dla niej za wiele. Przyłożyła dłoń do czoła i bezwładnie osunęła się na oparcie. A potem zaczęła płakać ze współczucia dla kobiet, które Brenner zamordował.

Ale obie kobiety mogły już odpoczywać w pokoju. Ten potwór nie skrzywdzi nikogo więcej.

27

szeryf przyjechał na miejsce przestępstwa po wszystkich. Jego ford explorer pokonał ostatni zakręt na dwóch kołach. Lloyd wykonał jeszcze gwałtowny manewr, żeby ominąć Lome, i zatrzymał wóz.

Zaparkował go pośrodku ulicy. Sapiąc, uwolnił brzuch spod kierownicy i wysiadłszy, stanął na jezdni, wsparty pod biodra, by przyjrzeć się tłumowi. Starał się przybrać pozę ważnego człowieka. Marszcząc czoło, żeby było widać, że traktuje zaistniałą sytuację z największą powagą, podciągnął spodnie, mocniej zacisnął pas i paradnym krokiem wszedł na podwórze Laurant.

- Co tu się dzieje?! - zagrzmiął.

- A jak się panu zdaje? - spytał Joe. Dom się pali.

Lloyd spojrział na niego karcąco, żeby dać mu do zrozumienia, że sarkazm był nie na miejscu. Zaraz potem zauważył Brennera, który ręce miał skute za plecami, a na całej twarzy ślady zaszniętej krwi.

- Ej, po co Steve'owi te obrączki?

- Złamał prawo - odpowiedział mu Joe.

- Gówno prawda! - zapienił się Brenner. - Lloyd, nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem. Każ im zdjąć mi te kajdanki. Piją mnie w nadgarstki.

- Na wszystko przyjdzie czas - zapewnił go wspólnik. Jego orli wzrok skupił się na Joem. Szeryf z groźną miną podszedł do niego o krok. - Czy to nie ty jesteś facetem, który naprawiał zlew u Laurant? Co tutaj robisz? Może to ty uderzyłeś tego obywatela? Bo wygląda mi na to, że on ma złamany nos. Pytam cię, chłopcze, wprost i żądam jasnej odpowiedzi. Uderzyłeś go czy nie?

- Ja go uderzyłem - odpowiedział Nick. - A powinienem być go zastrzelić.

- Nie bądź taki wyszczekany, chłopcze. To jest poważna sprawa.
- Bardzo poważna - przyznał Nick. - A jeśli nazwie mnie pan jeszcze raz chłopcem, to pana też skuję, Lloyd. Dotarło?

Szeryf cofnął się nerwowo, żeby zwiększyć odległość dzielącą go od Nicka. Udawał, że ocenia sytuację. Naturalnie rozumiał, że jego kompetencje są tu niewystarczające, wiedział jednak również, że jeśli nie wyciągnie Steve'a z tarapatów, to ten go kiedyś zabije. Ostrożnie zmierzył Nicka wzrokiem. Agent FBI przypominał mu rozleniwionego lwa, który ni stąd, ni zowąd rzuca się na ofiarę i zatapia zęby w jej ciele.

- Lloyd, zrób coś! - domagał się Brenner. - On mi złamał nos. Żądam, żeby go aresztować.

Lloyd skinął głową i zmusił się, by spojrzeć Nickowi w oczy. Ich lodowaty wyraz przyprawił go o dreszcz. Był dumny z siebie, że nie odwrócił głowy, choć miał na to ochotę.

- Uderzenie człowieka kwalifikuje się jako pobicie - powiedział. - Ale pan pewnie uważa, że nie mogę aresztować agenta FBI.

- Owszem, tak uważam - odrzekł natychmiast Nick.

- Cholera! - mruknął Brenner.

- Zobaczymy - chełpliwie oznajmił Lloyd. - Steve musi jechać do szpitala na opatrunek nosa. Zaraz go tam zawiozę. Tutaj ja dowodzę, bo wszystko stało się na moim terenie.

Joe spojrział na Nicka, a potem zwrócił się do szeryfa:

- Ten człowiek tutaj został zatrzymany przeze mnie. Zabraniam panu go dotykać.

Nick stanął obok kolegi. Zamanifestował w ten sposób ich jedność wobec szeryfa, lecz zarazem zmienił pozycję, żeby mieć na oku Laurant.

- Chłopcze, po co nosisz broń? Gadaj mi tu zaraz. - Szeryf spojrział na Joego, pierwszy raz dostrzegłszy u niego pistolet w kaburze przy pasie. - I czy masz na nią pozwolenie?

Joe uśmiechnął się.

- Jasne, że mam. I plakietkę też mam. Chce pan obejrzeć? Założę się, że jest większa od pańskiej.

- Taka z ciebie mądrala, chłopcze?

- On też jest z FBI - poinformował Nick.

Lloyd szybko tracił grunt pod nogami, potrzebował więc przynajmniej kawałka terytorium, na którym to on miałby niepodzielną władzę.

- Czy pan jest odpowiedzialny za pożar? - spytał Nicka.

Ten uznał, że pytanie nie zasługuje na odpowiedź. Wsadził ręce do kieszeni, żeby nie przyszło mu do głowy udusić szeryfa.

Lorna stała jakieś dwa metry od nich i gorączkowo notowała. Nieśmiało zbliżyła się o krok do Nicka, ale widząc jego wrogie spojrzenie, cofnęła się.

Joe ruchem ręki przyzwał Wessona.

- Za co chcecie aresztować Steve'a? - spytał szeryf. - Za spalenie własnego domu?

- Pan Brenner został zatrzymany wcześniej - poinformował go Joe.

- Pod jakim zarzutem? - nie ustępował Lloyd.

- Czy jest tu jakiś problem? - spytał Wesson, który właśnie do nich podbiegł.

- Kim pan jest, u diabła?! - spytał szeryf.

- Dowódcą całej operacji - odparł Wesson.

Joe uśmiechnął się od ucha do ucha.

- On też jest z FBI.

- Ilu was jest w Holy Oaks? I co właściwie tutaj robicie? To jest moje miasto - oświadczył z naciskiem szeryf. - Jeśli wiedzieliście, że dzieje się tu coś niezgodnego z prawem, powinniście przyjść prosto do mnie.

Nastąpiła ostra wymiana zdań. Lloyd upierał się, że zabierze Brennera z sobą, ale Wesson stanowczo się temu sprzeciwił. Nie chciał też powiedzieć szeryfowi, jakie są zarzuty wobec zatrzymanego, mimo protestów Lloyd'a, że takie postępowanie jest sprzeczne z konstytucją.

- Nie pozwala na to dobro śledztwa.

- Śledztwa w jakiej sprawie?

Nick gotował się ze złości, był jednak wściekły nie na szeryfa, lecz na Wessona. Nie zamierzał dłużej czekać z pytaniami, które chciał mu postawić. A gdyby miała z tego wyniknąć publiczna kłótnia, to trudno.

- Niesamowite - powiedział cicho Joe. - Ale konkurs pieprzenia w bambus.

- Mniejsza o to, mogą potem ustalić, kto jest ważniejszy. Ej, szeryfie, gdzie jest pana syn?

Pytanie odwróciło uwagę Lloyd'a.

- A po co pan pyta?

- Chcę go aresztować.

Lloyd uniósł krzaczaste brwi.

- Nic z tego. Mój chłopak nie zrobił nic złego. - Zatoczył szeroki łuk ramieniem. Sam pan widzi, że nawet go tu nie ma.

- Ale był.

- Gówno prawda - wycedził Lloyd. - Ja mówię, że go tutaj nie było, i nie pozwolę tego zwalić na mojego chłopaka. Przez cały wieczór był ze mną w domu. Oglądaliśmy razem walki zapaśnicze w telewizji.

- Widziałem go - rzekł Nick.

- Nie mógł go pan widzieć, bo, jak powiedziałem, chłopak przez cały wieczór był ze mną.

Nick zwrócił się do Wessona:

- Musimy porozmawiać na osobności. Teraz, nie później.

Zobaczył, że zbliża się do nich Loma, więc odwrócił się i przeszedł na pusty plac, gdzie nikt nie powinien ich podsłuchać. Wesson wydawał się zakłopotany, ale poszedł za nim.

- O co chodzi?

- Gdzie, do diabła, są agenci, którzy, jak mi pan powiedział, mieli obserwować dom? - W głosie Nicka było słyhać z trudem powściąganą wściekłość. - Jeśli byli na miejscu, to w jaki sposób Lonnie im uciekł? Chłopak wybiegł tylnymi drzwiami.

Wesson zacisnął usta. Widać było, że nic lubi, gdy ktoś kwestionuje jego decyzje.

- Agenci zostali wczoraj przeniesieni.

- Co takiego?!

- Dostali nowe zadania.

Nickowi drgnął mięsień w policzku.

- Kto wydał taki rozkaz?

- Ja. Feinberg i Farley stanowią wystarczające wzmocnienie. Uważałem, że nie potrzebuję tutaj więcej ludzi.

- A czy nie sądził pan, że byłoby na miejscu poinformować o tym mnie albo Noaha?

- Nie - odparł zdecydowanie Wesson. - Zgłosił się pan na ochotnika jako ochrona osobista Laurant i to pan ściągnął tu Noaha, żeby pilnował jej brata. Szczerze mówiąc, gdyby nic zgoda Morganstema, w ogóle by tu pana nie było. Ja w każdym razie na pewno bym się na to nie zgodził. Jest pan w to zanadto zaangażowany osobiście. Naturalnie Morganstem ma swoich ulubieńców i zasady schodzą wtedy na drugi plan. Ale ja nie mam zwyczaju naginać regulaminów. Poza tym nie potrzebuję pańskiego

wtrącania się i, co więcej, stanowczo sobie tego nie życzę. Czy wyrażam się jasno.

- Wiesz co, Wesson? Jesteś wyjątkowy kawał skurwysyna.
- Agencie Buchanan, pańska niesubordynacja zostanie opisana w raporcie.

Groźba nie zrobiła na Nicku wrażenia.

- Tylko nie narób błędów ortograficznych.
- Dość tego! Wyłączam pana z tej sprawy.

Nick wybuchł.

- Narażasz Laurant na niebezpieczeństwo wyłącznie po to, żeby zrobić z tego teatr jednego aktora. To zostanie opisane w moim raporcie.

Wesson starał się nie pokazać po sobie, jaki jest wściekły.

- Nic takiego nie robię - odparł lodowato. - Kiedy pan ochłonie, zrozumie pan, że nie potrzeba tuzina agentów wałęsających się bez sensu po miasteczku. Liczy się sprawność działania. Mam sprawcę, a dla szefa tylko to jest ważne.

- Nie masz dostatecznych dowodów na to, że Brenner jest sprawcą.

- Owszem, mam - zaproponował Wesson. - Niech pan przeanalizuje fakty. Nie wszystko jest takie skomplikowane, jak się panu zdaje. Brenner wyjeżdżał z miasta i nie umie przedstawić żadnego alibi. Miał mnóstwo czasu, by pojechać do Kansas City, zagrozić księdzu i wrócić do Holy Oaks. Wprawdzie był na tyle ostrożny, że usunął z kamery numer seryjny, ale przyznał się, że to on umieścił ją w domu Laurant, a dziś wieczorem przyszedł tam, ponieważ sądził, że jesteście na przyjęciu. Był ostrożny, lecz popełnił błąd. Oni wszyscy w końcu popełniają błędy - dodał mniej pewnie. - Wiemy również z zeznań świadków, że Brenner miał obsesję na punkcie tej dziewczyny i chciał się z nią ożenić. Można będzie przekonująco wykazać, że stracił panowanie nad sobą, kiedy dostał od niej kosza.

- Jacy świadkowie? - spytał Nick.

- Killkoro mieszkańców Holy Oaks, których już przesłuchałem. On od początku był głównym podejrzanym. Sam pan wie. Jeden z moich agentów wiezie właśnie od sędziego nakaz rewizji, a kiedy tu dotrze, osobiście dopilnuję przeszukania domu Brennera. Na pewno znajdę tam więcej dowodów, które umożliwią skazanie. Modelowych dowodów - podkreślił z zadowoleniem.

- To jest zbyt proste. Wesson.

- Nie zgadzam się. Brenner został zatrzymany dzięki przeprowadzeniu szczegółowego dochodzenia.

- Poczucie własnej wielkości przeszkadza ci w myśleniu - stwierdził Nick. ~ Czy nie wydaje ci się dziwne, że Brenner wciągnął do sprawy drugiego człowieka?

- Ma pan na myśli Lonniego, a moja odpowiedź brzmi „nie”. Nie wydaje mi się to ani dziwne, ani niezgodne z jego portretem psychologicznym. Brenner po prostu skorzystał z okazji. Prawdopodobnie sądził, że uda mu się zwalić winę na tego chłopaka.

- Co zamierzasz zrobić z Lonniem?

- Niech się nim zajmą miejscowe władze.

Nick zazgrzytał zębami.

- Tak się składa, że lokalne władze to jego ojciec.

Wesson nie przejmował się takim drobiazgiem. Dopracowanie wszystkich szczegółów należało do podwładnych.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Feinberg i ja wyjedziemy stąd najpóźniej jutro wieczorem. Farley wyjeżdża natychmiast. Nie widzę też powodu, żeby pan lub Noah musieli tu dalej sterczeć. Mówiłem poważnie, że wyłączam pana z tej sprawy.

Nick bez słowa odwrócił się i zakończył rozmowę z tym aroganckim sukinsynem. Wesson nurzał się w chwale, było więc oczywiste, że nie zechce słuchać niczego, co należało jeszcze powiedzieć. Brenner był poszukiwanym zbrojcem. Sprawa zamknięta.

Gdy Nick wsiadł do samochodu, Laurant zerknęła na jego twarz i natychmiast spytała:

- Co się stało?

- Zostałem oficjalnie wyłączony z tej sprawy. Zresztą tak naprawdę nigdy nad nią nie pracowałem - dodał kwaśno. - Wesson święcie wierzy, że to Brenner jest człowiekiem, którego szukaliśmy. Czeką teraz na nakaz rewizji, żeby przeszukać jego dom.

- To przecież dobrze, prawda?

Nie odpowiedział. Wesson machał do niego ręką, usiłując zwrócić jego uwagę, ale on go zignorował i zapalił silnik.

- Nick, porozmawiaj ze mną.

- To wszystko stoi na głowie.

- Uważasz, że to nie Brenner.

- Właśnie tak uważam'. Nie mam faktów, ale instynkt podpowiada mi, że wcale nie jego szukamy. To byłoby zbyt łatwe.

Ale może jednak Wesson ma rację? Może niepotrzebnie komplikuję sprawę? Nie informował mnie ani Noaha o niczym, więc nie wiemy, jakie dowody zgromadził przeciwko Brennerowi. Cholera, jedźmy już stąd! Muszę nabrać dystansu do sprawy, żeby trzeźwo o niej pomyśleć.

- Siostry Vanderman zaofiarowały nam swoją gościnną sypialnię, a Willie i Justin także zaproponowali nocleg. Powiedziałam im wszystkim, że przenocujemy w opactwie.

Nick wyjechał na ulicę.

- Chcesz jechać do opactwa?

- Nie.

- Okej. Wobec tego gaz do dechy.

28

»j kierował i się na północ, gdzie krajobraz urozmaicały liczne jeziora. Zaraz po wyjeździe z miasta Nick zatelefonował do Noaha, żeby mu opowiedzieć, co się stało. Zalecił koledze, żeby z informowaniem Tommy'ego poczekał do rana.

- Koniecznie podkreśl, że Laurant nic się nie stało - powiedziała.

Gdy tylko skończył rozmowę, dziewczyna spytała:

- A co z domem? Widziałam, że rozmawiałeś z dowódcą straży pożarnej. Czy wszystko się spaliło?

- Nie - odrzekł Nick. - Południowa strona domu zamieniła się w pogorzelnisko, ale piętro od północnej strony jest nietknięte.

- Sądysz, że szafy mogły przetrwać w dobrym stanie?

- Martwisz się o swoje stroje?

- Nie. W jednej szafie mam schowane moje obrazy. Ale to nie takie ważne - zastrzegła się natychmiast. - Nie są zbyt dobre.

- Skąd wiesz, że nie? Pokazywałaś je komukolwiek?

- Mówiłam ci, że malowanie jest tylko moim hobby.

Wydawała się tak skrępowana tym tematem, że Nick postanowił go nie drażnić. Ich ubrania były przesiąknięte dymem, więc opuścił szybko, żeby świeży powiew oczyścił powietrze we wnętrzu samochodu.

Przez ponad godzinę jechał dwupasmową autostradą. Znalezienie motelu nie stanowiło problemu. Niemal przy każdym zjeździe stały liczne tablice, zapraszające na noclegi z sezonową zniżką. Wreszcie Nick skręcił na podrzędną drogę prowadzącą na zachód i wybrał podmiejski motel, położony dwie mile od jeziora Henry. Krzykliwy fioletowo-pomarańczowy neon wskazywał, że są w nim wolne miejsca, ale recepcja okazała się wymarła. Nick zbudził dyrektora, zapłacił za pokój gotówką, i ku zachwytowi starszego pana, kupił również dwa wielkie, czerwone firmowe podkoszulki z wizerunkiem białej ryby z otwartym pyskiem i nazwą motelu, wypisaną drukowanymi literami na plecach.

Motel składał się z dwunastu segmentów, wszystkie były wolne. Nick wybrał ten najbardziej oddalony od drogi i zaparkował samochód z tyłu, żeby nie rzucał się w oczy.

Pokój był skromny, lecz czysty. Na podłodze leżało linoleum w szaro-białą kratę, a ściany pomalowano na szaro. Naprzeciwko wejścia stały dwa podwójne łóżka i chwiejna trójnożna szafka nocna pośrodku. Podarty abażur na obtłuczonej lampie ceramicznej ktoś naprawił taśmą klejącą.

Minęła już druga w nocy i oboje byli bardzo zmęczeni. Laurant wysypała na łóżko zawartość torby, zebrała przybory toaletowe i ustawiła je na półeczce w łazience. Najpierw wzięła prysznic, a gdy skończyła, wyprała swoją koronkową bieliznę, a figi i staniczki powiesiła na wieszaku, żeby wyschły. Nie wiedziała jednak, co zrobić z džinsami i podkoszulkiem. Ręcznie musiałyby je prać bez końca, a wiedziała, że do rana i tak nie wyschną. Wyglądało na to, że będzie musiała włożyć je rano w takim samym stanie, liczyła jednak, że wracając do Holy Oaks, natrafią na przydrożny supermarket, gdzie uda jej się kupić coś nowego. Na domy towarowe tak daleko na północy nie było co liczyć.

Pogodzona z losem, zajęła się suszeniem włosów motelową suszarką, którą właściciel przyczepił łańcuchem do ściany niedaleko lustra.

Gdy wyszła z łazienki, przebrana w nowy podkoszulek, z wielką rybą na piersiach, Nick uśmiechnął się i była to jego pierwsza emocjonalna reakcja, odkąd opuścili Holy Oaks.

- Fajnie wyglądasz, mała.

Obciągnęła podkoszulek aż do kolan.

- Wyglądam zabawnie.

Znowu się uśmiechnął.

- To też - przyznał i skierował się do łazienki. - Wierzyć mi się nie chce, że pamiętałaś nawet o zabraniu ładowarki do telefonu. Cholernie mnie rym ucieszyłaś.

- Leżała na szafce nocnej, obok moich okularów. Brałam wszystko jak leci. Muszę przyznać, że bałam się wejść do łazienki, chociaż to była tylko chwila.

Odchyliła koce i położyła się w jednym z łóżek. Nick brał prysznic, ale drzwi łazienki zostawił otwarte. Przezroczysta plastikowa zasłona nie była zbyt dyskretna, ale Laurant starała się nie podglądać. Włożyła okulary i zaczęła sporządzać listę koniecznych zakupów. A jednak raz po raz zerkała do łazienki, tłumacząc sobie,

że jest to zupełnie naturalny przejaw ciekawości. Tylko głos wewnętrzny wyzywał ją od najgorszych kłamczuch.

Nick był zbudowany jak grecki bóg. Stał odwrócony do niej plecami, lecz zarys mięśni ramion i ud było widać zupełnie wyraźnie. Laurant pomyślała, że jego ciało jest bliskie ideału piękna.

Gdy uświadomiła sobie, że uprawia żałosne podglądaciwio, natychmiast zdjęła okulary, aby odpędzić pokusy. Ostatecznie człowiekowi należy się trochę prywatności.

Wzięta do ręki pilota, uśmiechnęła się, stwierdziwszy, że również ten przedmiot jest przytwierdzony łańcuchem do ściany, i zerknęła na ekran telewizora.

Zachowywali się tak, jakby od wielu lat byli małżeństwem. A przynajmniej dotyczyło to Nicka. Zupełnie się nie krępował jej obecnością, podwójnym łóżkom zaś nie poświęcił ani chwili uwagi. Najwyraźniej traktował tę sytuację zupełnie naturalnie.

Dla niej nie było to naturalne. Czuli się spięta, kłębek nerwów, jak powiedziałyby Tommy. Postanowiła jednak tego po sobie nie pokazać. Gdyby Nick zauważył, że coś jest nie w porządku, była gotowa skłamać i wyjaśnić, że to wszystko skutek wstrząsu, jaki przeżyła. Nie mogła wyznać mu prawdy, bo ta stanowiłaby dla niego zbyt wielkie obciążenie. Nie mogła też jednak przestać się zastanawiać, jak zareagowałby, gdyby potrafił odczytać jej myśli.

Czy zdawał sobie sprawę z tego, jakie budzi w niej uczucia? Co powiedziałyby, gdyby przyznała się przed nim, że go pragnie bez względu na konsekwencje? Jedna cudowna wspólna noc i wspomnienia pozostałyby na zawsze. Nie romans, nie przygoda miłosna. Z tym nie poradziłby sobie ani Nick, ani ona. Tylko jedna noc bez żalu i zobowiązań. Och, jak bardzo pragnęła się znaleźć w jego objęciach. Chciała, żeby ją tulił i pieścił.

Niestety, nic z tego. Od początku był z nią szczery. Nie zamierzał się żenić, nie planował dzieci, a ponieważ wiedział, że ona ma zupełnie inne pragnienia, uważał, że musi pozostać dla niego nietykalna.

Sama zdawała sobie sprawę, że dłuższy związek między nimi jest wykluczony, lecz mimo to go pragnęła. Zakochała się i nie mogła tego zmienić. Jak to się stało, że tak się odkryła? Powinna była w porę zauważyć, co się święci, i jakoś się bronić. Teraz było za późno. Wiedziała, że wyjazd Nicka złamie jej serce, niestety, nie widziała dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Ale nawet pewność, że czeka ją bolesne rozstanie, nie mogła

zmienić jej uczuć. Tylko jedna noc, powiedziała sobie. Nie potrzebowała niczego więcej, choć zdawała sobie sprawę, że Nick spojrzełby na to zupełnie inaczej. Uznałby, że zawiodł zaufanie, jakim obdarzył go Tommy. Mimo to zbierała w myślach argumenty, którymi mogłaby go zachwiać w tym przekonaniu.

Oboje byli dorośli. Nikogo nie powinno interesować, co ich łączy. Łatwo było jednak przewidzieć, co by na to odpowiedział. Jest młodszą siostrą Tommy'ego. Koniec, kropka.

Laurant wiedziała, że Nick się o nią troszczy. Ale czyją kochał? Bała się o to spytać.

Wyszedł z łazienki ubrany w bokerskie spodenki. Suszył ręcznikiem włosy, ale widząc jej ponurą minę, przerwał to zajęcie.

- Co się stało?

- Nic. Myślałam tylko...

Rzucił ręcznik na krzesło, podszedł do drugiego łóżka i odchyliwszy koce, spytał:

- O dzisiejszym wieczorze?

- Niezupełnie.

- Więc o czym?

- Wierz mi, że nie chciałbyś tego wiedzieć.

- Na pewno chciałbym. Powiedz mi, o czym myślałaś - zachęcił ją, opierając poduszki o wezgłowie. Wyciągnął rękę do lampki nocnej.

- Dobrze, jeśli chcesz. Zastanawiałam się, jak cię uwieść.

Znieruchomiał w pół gestu. Laurant sama była zdumiona, że w ten sposób wyznała mu prawdę. Nie ulegało wątpliwości, że zyskała jego niepodzielną uwagę. Przez chwilę trwał w jednej pozie, potem wolno się wyprostował i wlepił w dziewczynę zdziwione spojrzenie.

To była niepowtarzalna mina. Gdyby Laurant nie czuła się upokorzona, wybuchnęłaby śmiechem. Nick wydawał się kompletnie osłupiały. Najwyraźniej czekał na sprostowanie albo wyjaśnienie, może nawet na puentę żartu, ale Laurant zupełnie nie wiedziała, co mu powiedzieć, więc po prostu wzruszyła ramionami.

- Zartujesz? - spytał schrypniętym głosem.

Wolno pokręciła głową.

- Zgorszyłam cię?

Cofnęła się o krok, kręcąc głową. Wyraźnie uznał, że nie należy jej wierzyć.

- Chciałeś, żebym ci powiedziała, o czym myślę.

- No, tak...

- Ja nie jestem tym zakłopotana. - Jej policzki wcale nie były jaśniejsze od koszulki z rybą.

- Nie masz powodu.

- Nick?

- Co?

- Co o tym sądzisz?

Nie odpowiedział. Odchyliła koc i wstała z łóżka. Szybko się odsunął. Zanim zdążyła się zorientować, był już na środku pokoju.

- Przecież cię nie zgwałcę - powiedziała.

- Nie wiem, nie wiem.

Zbliżyła się doń o krok.

- Nick...

Przerwał jej.

- Nie podchodź, Laurant - rzucił groźnie, wyciągając ku niej palec. Cofając się, wpadł na telewizor, który niechybnie roztrzaskałby się o podłogę, gdyby nie był przymocowany do ściany.

Czuła się strasznie upokorzona. Nick zachowywał się tak, jakby się jej bał. Nie spodziewała się takiej reakcji. Brała pod uwagę niedowierzanie, może irytację. Ale lęk?

- Co z tobą? - szepnęła.

- Nie ma mowy. Ot, co. Przestań, Laurant. Przestań natychmiast.

- Co mam przestać?

- Mówić nieprzemysłane rzeczy.

Spuściła głowę, zbyt zażenowana, by spojrzeć mu w oczy. Skupiła wzrok na wzorze linoleum. Było za późno, by wycofać się z tego, co powiedziała, albo udawać, że nic się nie stało, postanowiła więc jeszcze pogorszyć sytuację i dokończyć to, co zaczęła.

- To jeszcze nie wszystko - szepnęła.

- Nie chcę tego słuchać.

Zignorowała jego protest.

- Kiedy mnie całowałeś, czułam takie zabawne dreszczyki i w ogóle nie chciałam, żebyś przestał. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doznałam. Chyba powinienes o tym wiedzieć. - Usłyszała, że jęknął, ale wciąż nie mogła się zdobyć na to, by na niego spojrzeć. - A wiesz, co jest naprawdę dziwne?

- Nie chcę...

Przerwała mu, zdecydowana wyznaczyć wszystko, zanim opuści ją odwaga.

- Chyba się w tobie zakochuję.

Zerknęła ukradkiem, żeby sprawdzić, jak przyjął to oświad-

czenie, ale natychmiast tego pożałowała. Musiała przyznać, że Nick nie wyglądał już lak, jakby się jej bał, lecz tak, jakby chciał ją zabić. Nie wydawało jej się to krokiem w odpowiednim kierunku.

- Właściwie nie, nie zakochuję się. Już się zakochałam.

- Kiedy, u diabła, to się stało?! - spytał. Złość słyszalna w jego głosie, zapiekła ją jak smagnięcie biczem. Wzdrygnęła się i zamrugnęła, żeby powstrzymać łzy.

- Nie wiem - odparła całkiem zagubiona. - Jakoś tak wyszło, nie wiem kiedy. Z pewnością tego nie planowałam. Jesteś dla mnie zupełnie nieodpowiednim człowiekiem. Na romans nie mogłabym się zgodzić. Chcę mieć wszystko. Wiesz: małżeństwo, dopóki śmierć nas nie rozłączy, no i dzieci. Dużo dzieci. Ty nie chcesz ani jednego, ani drugiego, dlatego rozumiem, że nie ma dla nas przyszłości. Myślę jednak, że zadowolilibym się tą jedną nocą. To by niczego nie zmieniło.

- Nieprawda.

- Och, na miłość boską, przestań kręcić głową! Zapomnij, że zaczęłam o tym mówić. Nawiasem mówiąc, twoja reakcja mnie obraża. Myślałam, że czujesz... że to jest dla ciebie... och, nieważne. Wystarczyłoby zwykłe „nie, dziękuję”. Nie musiałeś pokazywać mi, jaką odrazę budzi w tobie myśl o spaniu ze mną.

- Do diabła, Laurant, spróbuj zrozumieć!

- Świetnie rozumiem. Określiłeś swoje stanowisko tak, że jaśniej nic można. Nie chcesz mnie.

- Płaczesz? - To pytanie zabrzmiało jak groźba.

Umarłaby, gdyby miała się do tego przyznać.

- Nie, skądże. - Otarła łzy z policzków, ale to nie powstrzymało powodzi. - Tylko ci się zdaje.

- Och, Laurant, nie płacz - jęknął błagalnie.

- Wszystko przez alergię. - Z jej gardła wyrwał się szloch. - Muszę znaleźć chustkę.

Próbowała go wyminąć i iść do łazienki, ale gdy przechodziła obok, wyciągnął ramiona i ją objął. Pocałował w czubek głowy. a potem w czoło.

- Posłuchaj, Laurant - przemówił tonem człowieka, który tonie, ale jeszcze chwytą się brzytwy. - Nie wiesz, co mówisz. Nie kochasz mnie. Przeżyłaś dzisiaj piekło i jesteś przestraszona. Twoje uczucia to jeden wielki chaos.

Wiedział, co się z nią dzieje. Myliła wdzięczność z miłością. Zważywszy na okoliczności, nie było to trudne. Tak, już rozumiał.

w czym rzecz. Przecież Laurant nie mogła go pokochać. Była dla niego za dobra, zbyt bliska ideału. Nie zasługiwał na nią. Musiał położyć temu kres, zanim będzie za późno.

- Wiem, co mam w sercu, Nick. Kocham cię.

- Przestań to powtarzać.

Wydawał się zły, lecz jednocześnie całował ją żarliwie i niezwykle delikatnie. Nie miała pojęcia, jak zinterpretować te sprzeczne sygnały, ale nie była w stanie się odsunąć.

- Serduszko, przestań płakać, bo oszaleję.

- Co ja poradzę, że mam alergię? - spytała, łkając.

- Nie masz żadnej alergii - odszepnął, muskając wargami jej kark. Uwielbiał jej zapach. Pachniała kwiatami, mydłem i kobietą.

Był zgubiony i wiedział o tym. Ujął jej twarz i delikatnie zaczął scałowywać łzy z policzków.

- Jesteś laka uroczą - szepnął, wyciskając pocałunek na jej ustach. Ale już inny, gwałtowny, namiętny. Nick drżał jak młokos, pierwszy raz próbujący pieszczot. Tyle że nic było w nich niezręczności. Były cudowne.

Boże, jak bardzo tego pragnął. A jednak część jego ja wciąż chciała udawać, że chodzi mu tylko o pocieszenie Laurant. Tak było, dopóki nie wsunął dłoni pod podkoszulek i nie poczuł ciepła jej jedwabistej skóry. Do diabła z pocieszaniem! Pragnął jej tak bardzo, że aż go to przerażało.

Nie potrafił przerwać pieszczot. Zdjął jej podkoszulek przez głowę i jednocześnie próbował ją pocałować, choć chwilę wcześniej ostrzegał, że nie wolno im zrobić niczego, czego rano by żałowali.

Zgodziła się bez wahania, a potem ściągnęła mu spodenki, położyła dłonie na jego udach i zaczęła je pieścić.

Delikatne pieszczoty zadawały mu rozkoszne tortury. Gdy wreszcie zrozumiał, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, chwycił ręce Laurant i położył je sobie na karku. Potem raptownie przywarł do niej. Dotyk pełnych kobiecych piersi omal go nie zgubił.

W pewnej chwili przerwał pocałunek i się odsunął.

- Poczekał, muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo - szepnął i poszedł do łazienki, gdzie szybko wydobyl potrzebny przedmiot z szaszetki na przybory do golenia. Po chwili znów byli razem.

- Laurant, ja... - Jeśli nawet zamierzał coś powiedzieć, to szybko o tym zapomniał, bo objęła go za szyję i pocałowała.

Opadli na łóżko, spleceni w miłosnym uścisku. Nick znał/l

się nad dziewczyną i rozłożył jej nogi. Potem spojrzął na jej twarz, na rozchylone, nabrzmięte wargi i zachwycił się jej urodą.

Objął dłonią pierś i zaczął drażnić palcem twardy gruzełek. Westchnęła cicho i zamknęła oczy, dając mu znak, że jest jej przyjemnie. Powtarzał więc pieszczotę, przyglądając się coraz gwałtowniejszym reakcjom Laurant.

Musiał koniecznie trochę zwolnić, żeby dać jej jak najwięcej rozkoszy, zanim nie będzie już mógł odwlec swojej.

- Pragnę cię od dawna - szepnął. - Od chwili gdy cię zobaczyłem, chciałem, żebyś oplotła mnie tymi długimi nogami. Ciagle o tym myślałem.

Niebieskie oczy groźnie mu błyszczały, pragnienie malowało się na twarzy. Delikatnie obwiodła palcem zarys jego szczęki, potem przesunęła go na szyję.

- Czy wiesz, czego jeszcze chciałem?

Teraz pokazał jej dłońmi i ustami, o czym tyle razy myślał. Świetnie wiedział, gdzie i w jaki sposób jej dotykać, a kiedy przestać. Pieszczoty były coraz gorętsze, wyzwały coraz silniejsze doznania, aż wreszcie Laurant wbiła mu paznokcie w ramiona i zaczęła błagać, żeby się zlitował.

Doprowadzona niemal do obłędu pocałunkami, czuła, jak ręce Nicka poznają tajemnice jej ciała. Gdy dotarły na wewnętrzną stronę ud, wyprężyła się. Igrał teraz z kędziorkami u zbiegu nóg. Wsłuchując się w jej namiętne westchnienia. Och, jak bardzo mu się podobało, gdy tak reagowała na pieszczoty.

Kochał się z nią, bez słów opowiadając jej, ile uwielbienia w nim budzi.

Laurant przeżywała coś takiego po raz pierwszy w życiu. Całe jej ciało żyło. Ale jeszcze czegoś oczekiwało. Znow je wyprężyła.

- Nick, proszę cię... och, Nick, proszę.

Wsunał się w nią mocnym ruchem, nie mogąc przy tym powstrzymać pomruku rozkoszy. Stali się jednym ciałem, a gdy oplotła go nogami, znow wyrwał mu się z gardła pomruk. Rzeczywistość przerosła marzenia. Nick nigdy nie spodziewałby się, że będzie mu z nią aż tak dobrze. Oparł głowę o wgłębienie przy jej obojczyku i zaczerpnął tchu, żeby trochę spowolnić gorączkowy rytm, który ich porwał. Chciał, żeby te chwile były niezapomniane dla nich obojga.

- Dobrze ci? - spytał.

- Tak! - krzyknęła.

- A teraz? - szepnął i wsunął dłoń między ich połączone ciała, żeby ją pogłaskać. Wydała krzyk ekstazy. Więcej zachęt nie potrzebował. A ona objęła go jeszcze mocniej za szyję i uraczyła przeciągłym, gorącym pocałunkiem.

- Nie przestawaj - szepnęła. - Nigdy.

Znowu mocno pchnął. Poruszyła biodrami, żeby mieć w sobie jak najwięcej jego ciepła. W gorączce namiętności, która ich ogarnęła, całkiem zapomniała o lęku, że może go rozczarować.

Teraz żadne z nich nie mogło już zwolnić rytmu. Oboje razem dążyli do spełnienia.

Laurant osiągnęła je pierwsza i zaniósła się szlochom, takie piękne było to, co przed chwilą przeżyła. Jak bardzo go kochała. Nick czuł, jak dziewczyna drży w jego ramionach, i po chwili również on doznał niewiarygodnej wprost rozkoszy. Jeszcze nigdy nie doświadczył niczego podobnego, ale nawet nie starał się tego zrozumieć. Po prostu uznał, że było to coś absolutnie wyjątkowego. Wiedział, że żadna namiastka już go nie zadowoli.

Długo jeszcze leżeli połączeni. W końcu Nick przetoczył się na bok i czule objął Laurant, a ona ufnie wtuliła się w niego, kładąc dłonie na dywanie poskręcanych włosów, okrywającym mu tors.

Nie miała siły się odezwać. Nie była w stanie nawet o niczym pomyśleć. Gdy wreszcie udało jej się podnieść głowę, żeby popatrzeć na Nicka, pochwyciła spojrzenie intensywnie niebieskich oczu, w których żarzyła się jeszcze namiętność, i leniwie otarła się o niego jak zadowolony, najedzony kot. Dotyk sprężystego męskiego ciała sprawiał jej dużą przyjemność. Owłosienie na nogach Nicka łaskotało ją w palce stóp i to też było bardzo przyjemne.

Kochała go. I już zawsze miała go kochać. Musiała się do tego przyznać, przynajmniej przed sobą. Pomyślała, że powinna znaleźć sposób, by oddalić chwilę, w której Nick pożąda tego, co zrobili. Całowała go długo i czule, a potem znow się do niego uśmiechnęła.

- Wiesz, co myślę?

- Co takiego? - spytał, ziewając, zbyt wyczerpany i zaspokojony, by się poruszyć.

- Mogłabym stać się w tym naprawdę dobra.

Jęknął, ale zaraz potem Laurant usłyszała dudniący odgłos budzący się gdzieś w jego piersi i niespodziewanie Nick zaniósł się śmiechem.

- Zabiłabyś mnie, gdybyś była jeszcze lepsza.
- Tobie też było tak dobrze?
- Jak możesz w ogóle o to pytać?

Przesunęła palcem po mięśniach jego ramienia, zauważyła tam bliznę, więc schyliła się, by ją pocałować.

- Skąd to?
- Futbolowa pamiątka.
- A to? - spytała, dotykając mniejszej blizny na biodrze.

Pocisk?

- Nie, futbol-odparł. Wyglądała tak, jakby mu nie uwierzyła. - Naprawdę - zapewnił ją.

- Czy kiedykolwiek cię postrzelono? - Głos jej zadrżał, gdy o to pytała.

- Nie. Dźgnięto, uderzono, kopnięto, podrapano i opluto, owszem, ale nie postrzelono. - W każdym razie jeszcze nie, dodał w myślach. Bliznę od noża, a właściwie od jakiegoś ostrego narzędzia, miał na plecach, w okolicy lewej nerki. Kilka centymetrów wyżej, i byłby z nim koniec. Liczył, że Laurant jej nie zauważy, ale w razie gdyby spytała, postanowił nie kłamać.

- Większość blizn mam od gry w futbol - powiedział.

Pogłaskała go po głowie.

- Z wyjątkiem tych, które masz w sobie.

Odsunął jej rękę.

- Nie rozczulaj się nade mną. Każdy ma jakieś kłopoty.

Próbował się przed nią schować, odciąć od niej uczuciowo, ale Laurant nie zamierzała mu pozwolić na taką tchórzliwą ucieczkę. Gdy położył się na plecach i powiedział, że czas trochę pospać, zignorowała tę sugestię.

Wtoczyła się na niego, wsparła pod brodę i spojrzała mu prosto w oczy.

Jego dłonie natychmiast znalazły się na jej biodrach. Chciał ją zdjąć z siebie i szybko zasnąć, zanim znowu pokona go pragnienie, ale nie był w stanie.

- Obiecuj mi coś, to pozwolę ci spać - powiedziała.
- Co? - spytał nieufnie.
- Bez względu na to, co się stanie...
- Tak?

29

JVtos, kto łamie serca, nie lubi niespodzianek, chyba że sam jest ich autorem.

Ten wieczór niestety obfitował dla niego w przykre niespodzianki. Już wcześniej słyszał, że muł z niego szydzi, ale tym się nie przejął. Każdego muła cechuje głupota, więc nawet nie zdenerwowały go epitety, jakimi został obdarzony. Kije, kamienie owszem, ale słowa nic mogły go zranić. Tak było aż do tego wieczoru, gdy usłyszał, że również Laurant rozpowiada plugawe kłamstwa. Nazwała go impotentem. Ledwie mógł znieść wyobrażenie jej warg, wymawiających ten wyraz. Jak śmiała go zdradzić? Jak śmiała?

Musiał wyrównać rachunki, w dodatku zaś zmuszono go do pośpiechu. Konieczność ukarania Laurant była w tej chwili ważniejsza niż ostrożność. Jak długo stał na opuszczonym placu za domem, wpatrując się w jej okno? Przynajmniej godzinę, może nawet dwie. Dokładnie nie wiedział. Gdy potrzeba brała nad nim górę, czas przestawał się liczyć.

A potem zobaczył Lonniego. Ten grupek wspinał się na drzewo, to samo, którego ktoś, kto łamie serca, używał dziesiątki razy, żeby dostać się do wnętrza domu i przyglądać się Laurant nocą.

Patrzył, jak Lonnie czołga się po dachu i zsuwa na gzyms nad oknem łazienki. Dokładnie tak samo jak on. Bystry chłopak, pomyślał. Idzie w moje ślady.

Gdy czekał, by przekonać się, co robi Lonnie, jego uwagę zaprzętnął inny mężczyzna. Nic kto inny jak Steve Brenner skradał się do tylnych drzwi domu Laurant. A ten tu czego?

Pies sąsiadek nie mógł już zdradzić jego obecności. Ktoś, kto łamie serca, zabił bydlaka, żeby nocami móc swobodnie kręcić się wokół domu. Zajął się tym szczekliwym paskudztwem, a teraz Lonnie i Steve Brenner korzystali z owoców jego pracy.

Niespodzianki następowały jedna po drugiej, coraz większe, aż w końcu dom stanął w płomieniach, a Brennera wyprowadziły muły.

Mógł teraz bezkarnie odejść. Muły myślały, że mają człowieka, którego szukały. Przespacerował się więc po ulicach Holy Oaks, zostawił w pewnym miejscu niewielki depozyt i zadowolony, ruszył dalej. Okazja sama wpadła mu w ręce. Tak, mógł odejść, ale czy odejdzie? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Co za dylemat? Tak, panie. Czy może odejść? Czy odejdzie?

Ta obsesja zamieniała go w zimmokrwistego mordercę. No nie, to nie była prawda. Mordercą był już wcześniej. Mordercą doskonałym, poprawił się w myśląc!).

Poczucie godności nakazywało mu traktować się z należnym szacunkiem. Częściami wnikliwie analizował swoje postępowanie, zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje, nie potrafił jednak martwić się utratą tego, co inni nazwaliby zdrowiem umysłu. Nie był szaleńcem. Nie, skądże. Ale był mściwy. To nie ulegało wątpliwości. Jego świętym obowiązkiem było odpłacić pięknym za nadobne.

Chodził wkoło po ciasnym pokoiku, snując plany i kipiąc ze złości. Ten chuligan szeryfa wszystko dokumentnie pomieszał; nie można było pozwolić, żeby uszło mu to płazem. Przez niego doskonały plan legł w gruzach. Ktoś, kto łamie serca, musiał teraz zdecydować, co z tym zrobić.

Ten głupi niewdzięcznik zmusił go do przyspieszenia harmonogramu. Była to wielka niedogodność, więc Lonnie powinien za to zapłacić. Oj, powinien. Co się należy, to się należy, a poza tym ktoś, kto łamie serca, zauważył, że Laurant nie lubi tego chłystka. Zresztą kto by go lubił? Może przyszła pora pokazać, jaka ważna dla niego jest Laurant. Postanowił dać jej prezent, coś niezwykłego... może śledzoną Lonniego albo wątrobę. Na pewno nie serce. Chciał jej sprawić przyjemność, a nie urazić. Poza tym nie mógł pozwolić, żeby uznała Lonniego za kogoś, kto łamie serca. Nie, panie.

Zerknął na zegar, stojący na nocnej szafce. Jejku, jak ten czas leci. Tak wiele miał do zrobienia, tak mało czasu mu zostało. Przez Lonniego. Zapłaci za to ten chłystek, bez dwóch zdań. Śledzioną, wątrobę, a może takie nerką albo i nerkami. Ale jest hierarchia ważności spraw. Najpierw trzeba załatwić to, co zostało rozpoczęte.

Bądź co bądź, znaczenia przygotowań nie można było przecenić. Przyjęcie musiało wypaść wzorowo.

30

Jak przyjemnie było spać przy nim, jak bezpiecznie wtulić się w jego objęcia, mając nogi przygniecione twardym udem. Ocknęła się pierwsza, ale była zbyt zadowolona, by się poruszyć. Nick wyglądał tak spokojnie. Nie chciała przeszkadzać mu w wypoczynku, więc leżała nieruchomo, przyglądając się jego twarzy krytycznym okiem artystki. Miał znakomity profil. Mocno zarysowana szczeka, prosty nos, wyraziste usta. Chciała namalować jego portret, uchwycić siłę, która biła z jego oczu. Ciekawiło ją, czy Nick wie, jaki jest piękny, i czy w ogóle ma to dla niego znaczenie. Przecież był z natury praktycznym człowiekiem. Nie tracił czasu na zbędne myśli i próżność.

Chciała go zbudzić, żeby znowu się z nią kochał, ale wiedziała, że o tym nie ma już mowy. W nocy raz po raz obracał się do niej, teraz jednak był już ranek i wszystko się zmieniło. Prosiła go o jedną noc i wiedziała, że zapłaci za to dużą cenę. Nie wolno jej było domagać się więcej.

Jak jednak miała wrócić do codzienności? Owszem, była silną kobietą. Potrafiła zrealizować wszystkie swoje postanowienia, osiągnęła mistrzostwo w ukrywaniu uczuć. Mogła udawać, że spędziła wspaniałą noc, pełną odprężającego seksu, że był to sposób na rozładowanie napięcia i stresów, ale... O Boże, jak miała wytrwać w tej roli? Żałowała, że nie jest mniej staroświecka. I w Europie, i w Chicago miała mnóstwo przyjaciółek, które uważały, że nie ma nic złego w zaproszeniu na noc do domu dopiero co poznanego mężczyzny, którego potem nigdy więcej się nie zobaczy. Kobiety mają przecież swoje potrzeby. Cóż złego jest w jednonocnej przygodzie? Wszystko, pomyślała Laurant. Bo w rym musi być miejsce dla serca. Nigdy nie oddałaby się Nickowi tak całkowicie, gdyby nie głębokie przekonanie, że go kocha.

Wspomnienia... będzie miała piękne wspomnienia ich wspólnej nocy i tym musiała się zadowolić. Zaciśnęła powieki. Chciała czegoś więcej niż tylko wspomnień. Chciała budzić się koło Nicka każdego ranka aż do końca życia.

Źle jej było z tą słabością i błagała Boga, żeby pomógł jej odzyskać siłę. Odrzuciła na bok prześcieradło, odsunęła udo Nicka i wstała.

Żadnych wyrzutów sumienia.

Wboje opuszczali motel w pośpiechu. Nick chciał wyjść z pokoju, zanim obejmie Laurant, pchnie ją na łóżko i znowu zacznie się z nią kochać. Ona chciała wynieść się stamtąd, żeby znowu nie ronić łez jak głupia małomiasteczkowa dziewczyna, którą zresztą była.

Milczenie między nimi było pełne napięcia i bardzo krępujące. Nick prowadził samochód, a ona patrzyła w szybę. Zastanawiała się, o czym Nick myśli, ale go nie spytała.

Tymczasem on wyrzucał sobie, że jest skończonym sukinsynem. Jaki z niego mężczyzna, jeśli wykorzystał siostrę najlepszego przyjaciela? Nie mężczyzna, tylko żałosny, zбочony sukinsyn. Właśnie tym był, a Tommy z pewnością nigdy nie zrozumie tego, co się stało.

Wyrzuty sumienia? Cholera, miał wyrzuty sumienia, lecz wiedział też, że gdyby zostali w tym motelowym pokoju jeszcze pięć minut, kochałby się z nią znowu.

Zatrzymali się przy supermarkecie koło zjazdu z autostrady i poświęcili pół godziny na zakupy. Na stacji benzynowej Laurant poszła się przebrać, a Nick tymczasem kupił w automacie dwie dietetyczne cole. Gdy znów zobaczył Laurant, miała na sobie biało-różową kraciatą bluzkę za siedem dolarów, wpuszczoną w fabrycznie splewiałe dzinsy za piętnaście dolarów. Tanie ciuchy leżały na niej jak kreacja od wybitnego projektanta. Materiał podkreślał wszystkie krągłości jej apetycznego ciała, więc Nick musiał odwrócić głowę, żeby serce znowu zabiło mu równym rytmem. Łajdak ze mnie, pomyślał. Gorzej niż łajdak. A potem spojrział na nią znowu i zauważył, że jej włosy mają w słońcu miedziany połysk. Przypomniał sobie, jakich wrażeń mu dostarczały, gdy pochylała się nad jego ciałem. Złapał się na tej myśli i zaklął. Świnia ma więcej dyscypliny niż on.

Laurant podeszła do samochodu długim, kołyszającym i niesłychanie seksownym krokiem. Podał jej puszkę coli, marszcząc czoło, jakby zrobiła coś wybitnie niewłaściwego, potem usiadł za kierownicą i nie odzywał się do niej przez dobre dwadzieścia mil. Wprawdzie starał się skupić uwagę na drodze, a myśli zająć pilnymi sprawami, lecz i tak co kilka minut mimowolnie na nią zerkał. Miała wyjątkowo powabne usta, a kiedy przypominał sobie, co nimi robiła, zabrakło mu tchu.

Nie mógł przegnać tych sugestywnych obrazów.

- Cholera!
- Słucham?
- Nieważne.
- Czy Pete już do ciebie oddzwonił?
- Co?

Był rozdrażniony jak głodny ryś. Spokojnie powtórzyła pytanie.

- Nie - odparł. - Powiedziałem ci, że leci do Houston. Samolot wylądjuje najwcześniej za godzinę.
- Nie mówiłeś mi tego.

Wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że mówiłem.

Droga skręcała na wschód, słońce oslepiało ich złotym blaskiem.

Nick włożył okulary przeciwsłoneczne i wypił duży łyk coli.

- Zawsze jesteś rano taki mrukiwy? - spytała.
- Mieszkamy razem dostatecznie długo, żebyś znała odpowiedź na to pytanie. A jak ci się zdaje?
- Zdaje mi się, że jesteś dziś nie w sosie.
- Nie w sosie? - Spojrzał na nią z ukosa. - O co ci chodzi?
- O to, że zachowujesz się jak głupek - wyjaśniła spokojnie. -

Jak myślisz, z jakiego powodu?

Jejku, skąd mam wiedzieć, pomyślał. Może z tego, że przez większą część nocy pieprzyłem siostrę najlepszego przyjaciela.

Uznał, że wobec takiej myśli rozsądniej będzie zachować milczenie. Dokończył colę i odstawił puszkę na półeczkę.

- Chce ci się jeszcze pić? - spytała i podała mu swoją puszkę.
- A ty nie chcesz?
- Możesz wypić.

To był koniec rozmowy na następne dziesięć minut. Laurant cierpliwie czekała, aż Nick upora się ze swoim robakiem, lecz gdy nie mogła już znieść milczenia, odezwała się znowu:

- Noah już pewnie powiedział Tommy'emu.

- Wielki Boże, mam nadzieję, że nie. Ja to muszę zrobić, a nie Noah.

- On musi wiedzieć - zaczęła.
- Sam mu powiem - odparł stanowczo.

Przyszło jej do głowy, że być może nic mówią o tym samym.

- Chodzi o pożar, Nick. Pytałam cię, czy, twoim zdaniem, Noah powiedział już Tommy'emu o pożarze - wyjaśniła. - I o aresztowaniu Steve'a Brenncra.

- O, tak. Na pewno tak. Przynajmniej mam nadzieję, że Noah zdążył to zrobić, zanim Tommy przeczytał dzisiejszą gazetę.

- A o czym ty mówisz?

- Nieważne.

- Chcę wiedzieć. Powiedz mi.

- O nas. - Mocniej zacisnęła dłoń na kierownicy. - Myślałem, że pytasz, czy Noah powiedział Tommy'emu o nas.

Poderwała głowę.

- Podobno sam mu to powiesz. Nie przesłyszałam się, prawda? - Z jej głosu było niedowierzanie.

- Nie przesłyszałaś się ani trochę.

- Ale chyba żartowałeś.

- Wcale nie.

- Nie powiesz mojemu bratu o naszej ostatniej nocy - stwierdziła stanowczo.

- Uważam, że powinienem - zaprotestował rzeczowym tonem.

Przyszło jej na myśl, że postradał rozum.

- Nie ma mowy. To, co zaszło między nami, zostanie między nami.

- Normalnie tak by było - przyznał. - Ale ty jesteś... inna. Powinienem mu powiedzieć.

- Nie jestem inna.

- Jesteś, serduszko. Twój brat to mój najlepszy przyjaciel, a do tego również ksiądz. Muszę mu się przyznać. Tak nakazuje przyzwoitość. Poza tym on sam się domyśli. Będzie wiedział.

- Nie jest jasnowidzem.

- Nigdy nie byłem w stanie niczego przed nim zataić. Nigdy, od drugiej klasy. Zawsze czytał mi w myślach. Wyciągnął mnie z niejednych tarapatów. Kiedy studiowaliśmy na uniwersytecie, był moim sumieniem. Nie, nie będę go okłamywał.

Zbjrzała się do niej wielkimi krokami gigantyczna migrena.

- Nie musisz kłamać. Wystarczy, że nic mu nie powiesz.

- Mówię ci, że on będzie wiedział. Muszę mu powiedzieć.
 - Straciłeś rozum?
 - Nie.
 - Niczego mu nie powiesz. Wiem, że odczuwasz to jak zdradę wobec Tommy'ego, ale...
 Nie pozwolił jej dokończyć.
 - Oczywiście, że tak to odczuwam. Przecież mi zaufał.
 Droga była pusta, więc Nick zjechał na pobocze.
 - Wiem, że to cię postawi w krepującej sytuacji, ale nie na długo - zaczęła Laurant. Nie do wiary. Jak mogli prowadzić taką rozmowę? - Nick, mój brat powierzył ci ochronę mojego bezpieczeństwa. Wywiązujesz się z tego zadania znakomicie. Nie musisz mu opowiadać o ostatniej nocy.
 Była taka rozdrażniona i zirytowana, że do oczu napłynęły jej łzy. Przysięgła sobie jednak, że prędzej umrze, niż znowu się rozpłacze w jego obecności.
 - Nie wstydzę się niczego, co zrobiłam - upierała się. - Poza tym obiecałeś mi, że nie będziesz miał wyrzutów sumienia.
 - Trudno, skłamałem.
 Dźgnęła go w ramię.
 - Jeśli masz takie poczucie winy, idź się wyspowiadać.
 Patrzyła na niego ze złością, on jednak pomyślał, że w złości jest wyjątkowo ładna. Wcale by się nie zdziwił, gdyby z oczu sypnęły jej prawdziwe iskry.
 - Myślałem o pójściu do spowiedzi - wyznał. - Ale wyobraziłem sobie, jak pięść Tommy'ego przebija kratkę i uznałem, że to nie byłoby uczciwe. Powinienem mu to powiedzieć wprost. Twarzą w twarz.
 Przyłożyła dłoń do skroni, by powstrzymać bolesne pulsowanie.
 - Nie chodziło mi o spowiedź u Tommy'ego. Idź do innego księdza.
 - Nie denerwuj się bez powodu.
 - Nie masz powodu do wyrzutów sumienia! - krzyknęła, - Przecież to ja cię uwiodłam.
 - Nieprawda.
 - Zdecydowanie tak.
 - Niech będzie - zgodził się. - Wobec tego powiedz, jak to zrobiłaś.
 - Wzbudziłam w tobie współczucie. Płakałam.
 Przewrócił oczami.

- Rozumiem - wycedził. - I kochałem się z tobą ze współczucia.
 Czy tak to widzisz?
 Bardzo poważnie zaczęła się zastanawiać, czy nie wysiąść z samochodu i nie wrócić do miasteczka pieszo.
 - Pozwól, że cię o coś zapytam. - Liczyła, że uświadomi mu, jaki jest irracjonalny i uparty. - Spałeś z innymi kobietami, prawda?
 - Owszem - przyznał. - Chcesz wiedzieć, ile ich było?
 ~ Nie. Chcę wiedzieć, co było po tym, jak uprawiałeś z nimi seks. Czy czułeś się w obowiązku donieść o tym ich matkom?
 Roześmiał się.
 - Nie.
 - No, więc?
 - Już powiedziałem, serduszek. Ty jesteś inna.
 Skrzyżowała ramiona na piersiach i zapatrzyła się prosto przed siebie.
 - Nie będę dłużej z tobą o tym rozmawiać.
 - Laurant, popatrz na mnie. A jeśli coś ci obiecama?
 - Po co się wysilasza? Przecież nie dotrzymujesz obietnic.
 - To było głupie, kiedy kazałaś mi przyrzec, że nie będę miał wyrzutów sumienia, więc uważam, że się nie liczy. Tej obietnicy dotrzymam - zapewnił ją. - Jeśli Tommy mnie nie spyta, to mu nie powiem. W ogóle nie powiem niczego twojemu bratu jeszcze przez kilka dni. To powinno ci dać czas na ochłonięcie.
 - Mało - oświadczyła. - Skoro już musisz być papłą, to poczekaj z tym, aż wrócisz do Bostonu.
 - Powinienem powiedzieć mu to twarzą w twarz, żeby mógł mnie uderzyć, gdyby chciał.
 - Boston - wyszczała przez zęby.
 Wreszcie ustąpił. Z powrotem uruchomił silnik i pojechali dalej.
 - Nick?
 - Co?
 Teraz jego głos brzmiał dla odmiany radośnie. Był wyjątkowo irytującym facetem.
 - Chcesz jeszcze mnie czymś zaskoczyć, zanim dojedziemy do domu? - spytała.
 - Tak. Jeszcze przynajmniej o jednym powinienem wspomnieć. Przygotowała się w duchu na następny cios.
 - O czym? Albo poczekaj, sama zgadnę. Chcesz dać o tym anons do gazety.
 Parsknął śmiechem.

- Nie.
- Więc co? - Teraz ona zachowywała się jak lekko szurnięta.
- Kiedy będę wracał do Bostonu...
- Tak?
- Polecisz ze mną.
- Po co?
- Bo nie spuszczę cię z oka, póki nie będę przekonany, że zamknęliśmy właściwego człowieka.
- Jak długo będzie to trwało?
- Tak długo, jak trzeba. Póki nie uznam, że wszystko jest w porządku.
- Ale ja nie mogę.
- Musisz - sprzeciwił się.
- Polecę z tobą na okres jubileuszowych obchodów, ale potem wrócę. Muszę znaleźć miejsce do mieszkania, otworzyć sklep, podjąć kilka decyzji co do reszty mojego życia. Potrzebuję trochę czasu na uporządkowanie swoich spraw.
- Chcę porozmawiać z tobą o czymś, o czym akurat myślę.
- Tak?
- Nie kochasz mnie.

Zamrugała.

- Nie kocham?
- Nie - rzekł z naciskiem. - Tylko ci się zdaje. Mylisz uczucia - wyjaśnił. - Miałaś ostatnio piekielne stresy, a poza tym byliśmy na siebie skazani.

Już wiedziała, do czego zmierza Nick.

- Rozumiem - powiedziała.
- Przeniesienie.
- Proszę?
- To się nazywa przeniesienie. *Coś* takiego, kiedy pacjent zakochuje się w lekarce. Nie ma w tym prawdy - podkreślił.
- Aha, i na to cierpię?
- Nie cierpisz, serduszeko, to nie jest choroba - odparł. - Sądzę jednak, że mylisz wdzięczność z miłością.

Udała, że się zastanawia nad taką możliwością, i po dłuższej chwili powiedziała:

- Może rzeczywiście masz rację.

Gdyby Nick teraz okazał, że mu choć odrobinę ulżyło, toby go uderzyła.

- Tak uważasz? - Wydawał się nieco zaskoczony.

- Tak - potwierdziła jeszcze bardziej zapalczywie. Chciał tego.
- Czyli zdajesz sobie sprawę z tego, że mnie nie kochasz?

Nic, pomyślała. Ale zdaje sobie sprawę z tego, że gdy ci to mówię, wpadasz w przerażenie, bo oznaczałoby to stały związek i podjęcie ryzyka.

- Tak mi się zdaje - odparła. - Widocznie rzeczywiście zadziałało przeniesienie. Byłam tym bardzo zmylona, ale już nie jestem. Dziękuję, że mi wszystko wyjaśniłeś.

Omiótł ją przelotnym spojrzeniem.

- Szybko ustąpiłaś.
- Skoro masz rację, to masz rację.
- Tak? - Nagle ogarnęła go wściekłość na Laurant i przestał się przejmować tym, że będzie to widać. Powiedziała mu, że go kocha, ale po krótkiej sprzeczce natychmiast się wycofała. Cóż to za miłość, do diabła?! - Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia?
- Nie, chciałabym wspomnieć jeszcze o jednym.
- Tak? A o czym?
- Jesteś kompletnym idiotą.

31

ŁJ telefonu komórkowego Nicka Laurant zadzwoniła do Michelle, żeby przekazać jej złą nowinę o zniszczonej sukni.

Przyjaciółka odpowiedziała po pierwszym dzwonku.

- Gdzie jesteś? Nic ci się nie stało? Słyszałam o pożarze, a Bessie Jean powiedziała mojej mamie, że wyjechałaś z Nickiem, ale nikt nie wiedział dokąd. Mój Boże, czy jesteś w stanie uwierzyć, że Steve Brenner to taki zboczeniec? Wiedziałaś, że ukrył kamerę w twoim domu?

Laurant cierpliwie odpowiedziała na pytania, a potem poinformowała przyjaciółkę o sukni. Michelle przyjęła tę wiadomość zaskakująco spokojnie.

- Szkoda, że nie zostawiłaś sukni u Rosemary. - Miała na myśli zakład krawiecki.

- Sama kazałaś mi ją odebrać, pamiętasz?

- Tak, ale czy ty mnie kiedykolwiek słuchasz?

- Michelle, co zrobimy? Może powinienam zrezygnować?

- Nie ma mowy! Możesz pożyczyć coś ode mnie.

- Żartujesz. Jesteś dużo drobniejsza. Żadna twoja suknia nie będzie na mnie pasować.

- Posłuchaj, Laurant. Wprawdzie jestem skazana na towarzyswo dwóch beznadziejnych kuzynek Christophera, ale nie pozwolę, żeby któraś z nich była świadkiem. Jesteś czy nie jesteś moją najlepszą przyjaciółką?

- No, jestem - przyznała Laurant. - Ale...

- Więc zaimprovizuj coś. Nic mnie nie obchodzi, w czym wystąpisz. Możesz przyjść nago, jeśli sobie życzysz. No, nie, tego lepiej nie rób. Wzbudziłabyś niezdrową sensację. A Christopher zapomniaby ślubów małżeńskich - powiedziała ze śmiechem.

- Coś wymyślę - obiecała Laurant, choć nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, kiedy znajdzie czas na zakupy.

- Czyli będziesz o czwartej?

- Daj mi czas przynajmniej do piątej.

- Czy suknia się spaliła? Może w pralni udałoby się ją wyczyścić i naprawić?

- Nic z tego. Jest po niej.

- W mieście aż huczy o Brennerze. Co za głupek, żeby podpalić własny dom? Czy masz pojęcie, jak on zadrezczał biedną panią Talbot, żeby mu go sprzedała? I nawet go nie ubezpieczył. Wiedziałaś o tym? Ten zboczeniec zapłacił gotówką.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytała Laurant.

- Od wścibskich przyjaciółek mamy. W ciągu ostatniej godziny Lorna trzy razy dzwoniła tu z nowinami.

- On nie podpalił domu. To robota Lonniego. Pewnie nic nie wiedział, że Steve kupił ten dom.

- O, tego w gazecie nie było! - wykrzyknęła Michelle. - Syn szeryfa był w to zamieszany?

- Tak. Sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, Michelle, ale teraz nie jestem w stanie ci tego szczegółowo wyjaśnić.

- Możesz z tym poczekać, aż będziemy się stroić do ślubu. Tylko pamiętaj, że na ciebie czekam. Teraz muszę kończyć, bo będą mi robić paznokcie. Do zobaczenia o piątej i proszę cię, przestań się martwić. Wszystko będzie dobrze. Nic nie może mi zniszczyć tego dnia, a wiesz dlaczego?

- Bo poślubisz mężczyznę swoich marzeń!

- To też.

- A co chciałaś powiedzieć?

- Że bez względu na wszystko będę miała dziś wieczorem niesamowity seks. Ehm, mama krzywo na mnie patrzy. Muszę iść.

Laurant oddała aparat Nickowi.

- Podjedźmy najpierw pod dom - powiedziała. - Jeśli ogień nie zniszczył pięt, to może znajdę tam coś stosownego do włożenia na ślub Michelle.

- Wszystkie rzeczy z domu będą przesiąknięte dymem - powiedział Nick. - Ale w pralni chemicznej powinni je do piątej odczyścić.

Spróbowała sobie przypomnieć swoją staroświecką kolekcję, wiszącą w garderobie. Tak nazywała piękne unikatowe suknie i komplety w starym stylu, które jeszcze w Europie podarował jej

szeft agencji zatrudniającej modelki, chcąc namówić ją na przyjęcie pracy. Pomyślała o jasnoniebieskiej sukni Versace, mającej odcień lodu, i brzoskwińowej kreacji Armaniego. Obie były długie, więc pasowały do nich sandały na wysokim obcasie, które miała. Jeśli jednak suknie spłonęły, to koniec. W miejscowym sklepie z odzieżą dla pań nie sprzedawano takich eleganckich strojów.

- Co jeszcze musisz załatwić przed ślubem? - spytał Nick.
 - Znaleźć miejsce, w którym dzisiaj przenocuję - powiedziała. - Z pakowaniem tego, co ocalało, poczekam do jutra. Najpierw trochę się oswoję z myślą, że mam to zrobić. Musimy też znaleźć garnitur dla ciebie - dodała. - Masz jakiś w swoich rzeczach?
 - Tylko granatową marynarkę i dwie pary elegantszych spodni.
 - Wystarczy. Damy je do czyszczenia. - Wydawała się znużona.
 - Głowa do góry, serduszko. Wszystko ma się ku lepszemu. Spróbowała zdobyć się na szczytę optymizmu.
 - Ładny dziś dzień na ślub, prawda?
 - Czy twoja przyjaciółka zmartwiła się z powodu sukni?
 - Nie - odparła Laurant i uśmiechnęła się. - Michelle nie przejmuje się takimi sprawami. Powiedziała mi, że nic jej nie może zepsuć tego dnia.

Rozległ się brzęczyk telefonu, ale nie dzwonił Morganstern, tak jak spodziewał się Nick. Odezwał się Noah, który chciał wiedzieć, kiedy przyjadą do opactwa.

- Czy Tommy się martwi?
 - Nie - odparł Noah. - Chce tylko wiedzieć, czy mamy na was czekać.

- Będziemy za godzinę. Niech poczeka.
 Laurant zaczynała być głodna, ale nie chciała tracić czasu na jedzenie. Miała jeszcze mnóstwo do zrobienia, a było już południe.

Dotarwszy do Holy Oaks, krętymi uliczkami dojechali do domu Laurant.

- Wiesz, co mi powiedziała Michelle? W gazecie nie ma ani słowa o Lonniem. Ona myślała, że to Steve Brenner podpalił dom.
 - Farley obiecał mi, że go dopadnie i wsadzi za kratki. Będzie mógł dzielić z Brennerem celę w Nugent.

- Chciałbyś tam być, co?
 Zerknął na nią i przyznał:
 - Owszem. Z przyjemnością wziąłbym udział w przesłuchaniu Brennera. Popatrzyłbym mu w oczy. I wtedy miałbym już pewność.
 - Ze to on jest poszukiwanym przez was człowiekiem.

- Nie. Że to nie on.
 - Wolę, żebyś się mylił.
 - Wiem - odrzekł współczująco.
 - Jeszcze wczoraj po południu nie uwierzyłamby, gdyby ktoś mi powiedział, że Brenner jest podglądaczem.
 - To dlatego, że nie widziałas złych stron pocziwego, starego Steve'a.

- Wczoraj wieczorem dobrze mu się przyjrzałam. Twarz wykrzywiała mu nienawiść, a bluźnił tak, że uszy mi wędły. Sądzę, że jest zdolny do wszystkiego, nawet do morderstwa. Ale wiesz, co wydaje mi się dziwne?

- Co?
 - On zawsze zachowywał się bardzo sztywno, przynajmniej w mojej obecności. Jest pedantyczny, zorganizowany, jak byś go nazwała. Zawsze planuje - dodała. - Bardzo zręcznie skłonił właścicieli sklepików do sprzedaży. Kupił pięć sklepów, zanim w mieście zorientowano się, o co mu chodzi. Jest podstępny i bardzo bystry, zgodzisz się ze mną?

- I co z tego?
 - Musiał wiedzieć, jak kapryśny i nieprzewidywalny jest Lonnie. Po co go w to wmieszał?

- Może chciał mieć kozła ofiarnego?
 - Może - zgodziła się. - Jak Steve wszedł do domu?
 - Tylnymi drzwiami. Wybił szybę i otworzył je od środka. Zasuwka była marna - dodał Nick.

- Natomiast Lonnie chciał chyba wejść przez okno.
 - Powiedziałaś mi, że był na dachu.
 - Słyszałam go z łazienki, był tuż przy oknie.
 - Ale nie widziałas go, prawda?
 - Nie - odrzekła. - Może tylko sprawdzał, czy na pewno nikogo nie ma w domu. W każdym razie mnie nie zauważył. Padłam plackiem, jak tylko dostrzegłam światło.

Nick zatrzymał samochód przed znakiem stop i poczekał, aż dwaj siedmio-, może ośmioletni chłopcy przejadą przez skrzyżowanie na rowerach. Dlaczego rodzice ich nie pilnują? Cholera, każdy może porwać takiego dzieciaka. Wszystko może im się stać, a rodzice dowiedzą się o tym dopiero wtedy, kiedy już będzie za późno.

Znów skupił uwagę na Laurant.
 - Czy Lonnie miał latarkę?
 - Nie, to było co innego. Promień był czerwony.

- Czerwony... może laserowy?

- Tak, właśnie tak.

- Dlaczego nic powiedziałaś mi tego od razu? - spytał zirytyowany.

- Mówiłam ci, że Lonnie jest na dachu.

- Ten sukinsyn mógł cię mieć na celowniku. - Rysy mu stężyły. - Skąd, u diabła, on wziął taki sprzęt?!

- Podwędził ojcu - odparła. - Szeryf chełpi się swoją kolekcją broni palnej, a syn ma do niej łatwy dostęp.

Nick wziął do ręki telefon i zaczął wybierać numer.

- I dlatego wyszłaś z łazienki?

- Tak. Do kogo dzwonisz?

- Do Farleya. On może sprawdzić, czy to Lonnie był na dachu, czy nie.

- A kto inny?

Nick jej nie odpowiedział.

Agent Farley właśnie miał wejść na pokład samolotu w Des Moines, gdy usłyszał brzęczenie swojego aparatu telefonicznego. Na dźwięk głosu Nicka wycofał się spomiędzy wsiadających i stanął z boku.

- Złapałeś mnie w ostatniej chwili - powiedział. - Jeszcze minuta, i wyłączyłbym telefon.

- Masz Lonniego?

- Nie - odparł Farley. - Schował się gdzieś, a ja dostałem przeniesienie. Wesson chce, żeby szeryf z Nugent i jego zastępcy zatrzymali Lonniego i sprowadzili go do Holy Oaks.

- Czy Feinberg jeszcze jest w Holy Oaks, czy jemu też Wesson kazał się pakować?

- Nie wiem. Obaj pojechali z Brennerem do Nugent. Być może wciąż jeszcze tam są. Coś ci w tym wszystkim nie gra, prawda, Nick? Wydaje ci się, że to nie Brennera szukaliśmy.

- Owszem. Ale brakuje mi dowodów.

- To wygląda dość prosto. Nigdy przedtem takiej sprawy nie miałeś.

- Może i tak.

- Zostajesz w Holy Oaks?

- Tak.

- Przepraszam, że cię wystawiłem do wiatru, ale nie mam wyboru. Gdy tylko Wesson dał znać szefom, że jestem wolny, dali mi nowy przydział.

- Dokąd lecisz?

- Do Detroit. Szykuje się tam paskudna sprawa. Ciesz się, że jesteś na urlopie.

- Uważaj na siebie - powiedział Nick. - I dziękuję ci za pomoc, Joe.

- Rzeczywiście, wielki był ze mnie pożytek. Za to coś ci powiem. Pracowałem wcześniej z Wessonem dwa razy i zawsze był upierdliwy, ale nigdy aż tak. Myślę, że to ma związek z tobą - dodał. - Na twój widok z faceta wychodzi to, co w nim najgorsze. Ale tym razem przesadził. Nigdy więcej nie zgodzę się pracować z tym egomaniakiem, nawet gdybym miał oddać plakietkę. Mówię poważnie. On nie rozumie, czym jest praca w zespole. Zamierzam o tym napisać w raporcie. - Joe zamilkł na chwilę. - Nick, wiesz, co mnie niepokoi?

- Latanie samolotem?

- Nie, to twój problem, nie mój. Mnie niepokoi twoje przecucie.

- Jak to?

- No, bo jeśli masz rację, i to nie Brenner jest naszym nieznanym sprawcą, to zostaliście z Noahem sami. Niedobrze.

32

Laurant znalazła dwie suknie, w których mogła iść na ślub, więc oddała je do czyszczenia, a potem pojechali z Nickiem do opactwa. Noaha zastali w kuchni. Obgryzał smażonego kureczaka na zimno. Nick podsunął Laurant krzesło w chwili, gdy ten atakował nóżkę.

- Powinnaś coś zjeść, serduszko.

Noah zrobił zdziwioną minę i spojrzał uważnie najpierw na zaróżowioną twarz dziewczyny, a potem na zbolałą minę Nicka. Wreszcie wybuchnął śmiechem.

- Długo z tym czekaliście.

- Tylko nie zaczynaj - ostrzegł go Nick.

- A co ja zaczynam? - spytał niewinnie Noah.

- Nick do wszystkich mówi „serduszko” - bąknęła Laurant bardzo zakłopotana.

- Jasna rzecz. W każdym razie mnie i Tommy'ego serduskuje zawsze, kiedy ma okazję.

- Przestań - zażądał Nick. - Gdzie jest Tommy?

- W sali konferencyjnej z tą dziennikarką.

- Czego ona chce? - spytała Laurant.

Noah wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Nick usłyszał trzask zamykanych drzwi, więc podszedł do okna. Na schodach przed plebanią zobaczył szybko idącą Lornę.

- Cóż to za uczta? - spytała Laurant Noaha.

- Noah ma tu mnóstwo fanów - odpowiedział od progu Tommy.

Noah uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kobiety mnie lubią. Cóż mam powiedzieć?

- Korzystając z okazji, zajmuje się poradnictwem dla kobiet - powiedział nieco rozdrażniony Tommy.

- Co za problem? Przecież jestem w tym dobry.

Laurant nie mogła się zdobyć na spojrzenie bratu w oczy. Wiedziała, że to wina Nicka, bo to on zaszczerpił w niej myśl, że Tommy natychmiast będzie wiedział, co zaszło ostatniej nocy.

- Laurant, chciałbym zamienić z tobą słowo na osobności - powiedział Tommy.

Nick przesłał jej spojrzenie „a nie mówiłem?” i obrócił się do przyjaciela.

- Tommy, musimy porozmawiać.

- Nie. - Laurant prawie to krzyknęła. Szybko odsunęła krzesło i wstała. - O czym chcesz ze mną porozmawiać?

- Przed chwilą była tu Lorna.

- Czego chciała? Po pożarze i aresztowaniu Steve'a Brennera miała dostateczny zapas nowych informacji, żeby pisać o nich przez miesiąc. Kombinuje, jak zwalić całą winę na mnie?

- Píše o tobie następny artykuł, ale to nie ma nic wspólnego ani z pożarem, ani ze Steve'em Brennerem. Chciała ode mnie potwierdzenia faktów. Zdaje się, że rozmawiała z żoną bankiera, a ta wspomniała, że pożyczyciłaś pieniądze na otwarcie sklepu, no i jedna plotka doprowadziła do następnej. Do licha, Laurant! - Głos Tommy'ego zatrząsł się od gniewu. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pieniądze z funduszu powierniczego przepadły? Przez cały czas myślałam, że jesteś zabezpieczona i że nie muszę się o ciebie martwić.

Bezczelność Lorny zdumiała Laurant.

- Kiedy starałam się o pożyczkę, musiałam złożyć specjalne oświadczenie i wyjaśnić kwestię majątku pozostawionego w zarządzie powierniczym - powiedziała. - Ale bankier nie miał prawa nikomu o tym wspomnieć, nawet swojej żonie. To była poufna informacja. Jak Lorna śmie wtykać nos w moje sprawy? Podeszła do brata. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co przed chwilą do mnie powiedziałaś? Przez cały czas myślałaś, że jestem zabezpieczona i nie musisz się o mnie martwić. Tommy, ja nie mam dziesięciu lat. To ci jakoś nie chce wejść do głowy. Pieniądze przepadły, zanim jeszcze stałam się pełnoletnia, i nic na to nie mogłam poradzić. Ukradli je prawnicy. Do ostatniego centa. Nie poinformowałam cię o tym, bo wiedziałam, że tylko się zdenerwujesz, a nic nie zmienisz.

- Miliony dolarów... ciężko zarobiony majątek naszego dziadka... I wszystko przepadło? Kiedy podpisałam akt darowizny, żeby

połączyć moją część spadku z twoją, myślałem... - Tommy miał minę człowieka bliskiego płaczu. Wydawał się całkiem załamany. I strasznie rozczarowany siostrą.

Laurant poczuła się tak, jakby to ona wyłudziła te pieniądze.

- To nie była wina twojej siostry - wtrącił się cicho Nick.

- Wiem.

- Ale zachowujesz się tak, jakbyś nie wiedział.

Tommy skulił ramiona.

- Kiedy się dowiedziałas, że pieniądze przepadły? - Usiłował nie okazać gniewu, ale twarz mu spurpurowiała.

- W dniu dwudziestych pierwszych urodzin.

- Powinnaś była wtedy powiadomić rodzinę. Może dałoby się coś zrobić.

Noah wiedział, że nie powinien się wtrącać, ale nie był w stanie się powstrzymać. Spojrzał Tommy'emu w oczy i rzekł:

- Jaką rodzinę? O ile wiem, Laurant dorastała całkiem bez rodziny. Komu miała powiedzieć?

- Ja jestem jej rodziną - oświadczył Tommy.

- Spróbuj na to spojrzeć z jej punktu widzenia - upierał się Noah. - Tobie najpierw pomagała rodzina Nicka, a kiedy zostałeś księdzem, znalazłeś nową rodzinę w Kościele.

- Siostra zawsze będzie częścią mojej rodziny.

- Ona była w Europie, a ty tutaj. Nie możesz tego zmienić. Wściekasz się, bo masz poczucie winy, że została na lodzie.

Tommy sprawiał wrażenie ciężko udręczonego człowieka. Laurant wolno pokręciła głową i podeszła do niego.

- To nieprawda. Nie zostałam na lodzie. Zawsze byłam pewna, że mogę się do ciebie zwrócić o pomoc. Przecież walczyłeś o to, bym mogła przyjechać do Stanów. Tommy, zawsze wiedziałam, że mnie kochasz. Proszę cię, nie złość się.

Objął ją i uściskał.

- To był dla mnie straszny wstrząs, Laurant. Nie ukrywaj przede mną prawdy. Starsi bracia powinni opiekować się młodszymi siostrami, wszystko jedno w jakim wieku. Zawrzyjmy umowę, zgoda? Od tej pory niczego nie będziemy przed sobą ukrywać. Jeśli będę musiał poddać się chemoterapii, to ci o tym powiem, a jeśli ty będziesz miała problem, też mi o nim opowiesz.

- Nie chcę, żebyś rozwiązywał za mnie moje problemy.

- Nie będę, ale jednak powinnaś mi o nich mówić.

Skinęła głową.

- Zgoda.

- Kiedy ma się ukazać ten artykuł? - spytał Nick. Chciał się zorientować, czy jest czas, żeby przeszkodzić w jego publikacji.

- Nie ukaże się, Lorna z niego zrezygnowała. Ucieliśmy sobie małą pogawędkę na ten temat.

Noah uśmiechnął się szeroko.

- Zagroziłeś jej piekielnym ogniem?

Tommy'ego to nie rozbawiło.

- Nie, tylko zarzuciłem jej, że jest zazdrosna o Laurant. Nie chciała mnie słuchać, ale zamiar zmieniła. Obawia się, że również inni ludzie posądziliby ją o zazdrość. Przecież już tyle razy ją obsmarowała.

- Muszę się napić mleka - powiedziała Laurant. Przez tę historię z Lorną zbuntował jej się żołądek i miała nadzieję, że mlekiem stłumi bunt.

- Zaraz ci przyniosę. Usiądź - zaofiarował się Tommy.

Noah podsunął jej talerz.

- Niech pani coś zje - zaproponował.

- Czy można cokolwiek zrobić w sprawie tego majątku? - spytał Nick.

- Robię coś.

Tommy wysunął głowę ze spiżarni.

- Co? - spytał.

- Pozwałam ich do sądu.

Tommy szybko wrócił do kuchni, niosąc szklanek.

- • Pozwałeś ich?!

- Tak. Następnego dnia po tym, jak dowiedziałam się o oszustwie, zaczęłam szukać możliwości odzyskania pieniędzy. Dopiero po roku znalazłam adwokata, który chciał się zmierzyć z gigantami.

- Dawid przeiwko Goliatowi, co? - rzekł Noah.

- Widzę, że zaczynasz myśleć jak prawdziwy ksiądz. Może zastanowisz się nad zmianą drogi życiowej - zażartował Nick.

Noah skrzywił się.

- Na to nie licz.

Tommy wyjął karton z lodówki i nalał mleka do szklanki siostry.

- 1 co z tym pozwem?

Upiła łyk.

- Wygrałam pierwszą sprawę, a potem apelację. Teraz przeciągam procedurę, ale adwokat powiedział mi, że została im tylko

ostatnia szansa. Tym razem orzeczenie ma być ostateczne. Wkrótce powinnam znać wynik.

- Czyli jest spore prawdopodobieństwo, że dostaniesz pieniądze z powrotem?

- Wyrok może być korzystny, ale niekoniecznie. Jestem przygotowana na obie możliwości.

- Nic dziwnego, że jeździsz takim starym pudłem - powiedział Nick. - Musisz pilnować wydatków. - Uśmiechał się tak, jakby uważał, że dokonała czegoś znaczącego.

- Normalnie, planuję jejak każdy - odparła. - A swój samochód po prostu lubię.

Rozmowa gwałtownie się urwała, bo do kuchni wpadł szeryf.

- Gdzie, do diabła, jest mój chłopak?! - zagrział groźnie. Rękę trzymał na rękojeści pistoletu, który tkwił w odpiętej kaburze. - Coście z nim zrobili?

Nick był odwrócony plecami do drzwi, ale Noah siedział twarzą do rozwścieczonego szeryfa. Natychmiast sięgnął pod sutannę i pod stołem skierował lufę pistoletu w stronę szeryfa.

- Spróbuj tylko wyciągnąć ten pistolet i jesteś trupem.

Lloyd zamarł. Książd wysuwający takie groźby wprawił go w osłupienie.

Laurant nie zdążyła nawet obrócić się na krześle, a tymczasem Nick już wyciągnął broń. Stał w taki sposób, żeby ją osłonić, a lufę pistoletu przyciskał do skroni Lloyd'a.

Tommy stanął za szeryfem i odebrał mu broń. Potem spokojnie zaproponował, żeby Lloyd usiadł i przedstawił swoją sprawę tak, jak nakazuje rozsądek.

- To ja jestem tutaj władzą! - ryknął szeryf.

- Nie - odparł Nick. Schował pistolet do kabury i nakazał szeryfowi usłuchać Tommy'ego.

Lloyd usiadł przy końcu stołu.

- Oddajcie mi broń.

Tommy podał pistolet Nickowi, ten rozładował magazynek i pchnął broń po stole w stronę Lloyd'a.

- No, więc w czym problem? - spytał Tommy.

- Mój chłopak - burknął Lloyd. - Zniknął. I to jest problem.

- Ukrywa się - wyjaśnił Nick. - Podpalił dom, więc musiał się ukryć.

Lloyd pokręcił głową.

- Nie dam się wziąć na te bajki o pożarze, bo wiem swoje.

Chłopak ma u mnie alibi. Nie musi się ukrywać. Smacznie spał w swoim łóżku, kiedy przyjechałem do domu z Nugent, zmęczony jak pies. Byłem na nogach pół nocy, ale wreszcie kładłem się spać i wtedy ten łobuz, szeryf z Nugent, załomotał do moich drzwi. Chciał wziąć Lonniego, oskarżył go o podpalenie. Posprzecaliśmy się trochę, w końcu jednak zdecydowałem zostawić tę sprawę adwokatowi, więc go wpuściłem. Ale Lonniego nie zastaliśmy, a okno w jego pokoju było szeroko otwarte.

Nick zerknął na Noaha, a ten nieznacznie pokręcił głową, by dać mu znać, że nie maczał palców w zniknięciu syna szeryfa.

- Może Wesson postanowił go wziąć własnymi siłami - podsunął Nick.

- Niemożliwe. - Głos szeryfa nabrał jęśliwego brzmienia. - On i jego ludzie ciągle zajmują się Brennerem. Siedzą w pokoiku dwa na cztery i go przesłuchują. Nie pozwolili mi tam wejść i posłuchać. Nie chcą, żebym wiedział, co się dzieje. Kiedy wreszcie dałem temu spokój i chciałem wyjść, usłyszałem, że oskarżają go o morderstwo. Jeden z zastępców szeryfa powiedział mi, że mają przeciwko niemu dowody. - Zdjął kapelusz i otarł czoło. - Gównu warte.

- Czy naprawdę interesuje pana, co się stało z Lonniem? - spytał bez ogródek Noah.

Tym pytaniem zmieszał szeryfa. Widząc niepewność, malującą się na jego twarzy, Tommy przejął inicjatywę. Przysunął krzesło do końca stołu i usiadł naprzeciwko Lloyd'a.

- Twój syn przysporzył nam przez lata wielu kłopotów i zmar-twień. Wiesz o tym, Lloyd, prawda?

- On zawsze miał nie po kolei w głowie - Głos szeryfa całkiem się załamał, był już właściwie szeptem. - Zawsze. Taki zły charakter.

Tommy zachęcił go do zwierzeń, namówił do wyrzucenia z siebie złości i zacierzwienia, które gryzły go od dawna. I oto po chwili Lloyd wylewał z siebie wszystkie żale, opowiadał im, ile razy musiał świecić oczami za syna. Lista była długa.

- Ma na sumieniu kilka strasznych czynów, ale to przecież mój syn, muszę go chronić. Tyle że już mi się to przejadło. Powinienem dbać o chłopaka, ale mnie rzuca, nie mogę. I co z tego? Muszę go znaleźć, bo jeśli nie, jeśli on sam wróci do domu, to... będzie na mnie wściekły, a tego bym nie chciał. Chłopak może się wtedy zapomnieć i wziąć do bicia. - Szeryf otarł oczy. - Wstyd mi to

mówić, ale boję się swojego chłopaka. On prędzej czy później mnie zabije. Parę razy był już tego bliski.

- Może przyszedł czas, żeby Lonnie poniósł konsekwencje swoich czynów - odezwał się Noah.

- Potem się na mnie zemści. Wiem, że się zemści.

- Potrzebujesz czasu, żeby się zastanowić nad tym, co możesz zrobić - poradził mu Tommy. - Wsiądź do samochodu i wyjedź z Holy Oaks na tydzień albo dwa, póki sprawa nie ucichnie, a Lonnie nie znajdzie się za kratkami.

Szeryf skwapliwie podchwycił ten pomysł.

- Tylko co powiedzą ludzie? Nie chcę, żeby myśleli, że uciekam.

- Nie pomyślą - zapewnił go Tommy. - Przecież masz prawo do urlopu.

- Jakże, że mam - przyznał Lloyd. - Zresztą może... Może w ogóle już nie wrócę. Zostawię tutaj rzeczy, nie spakuję niczego, żeby chłopak nie pomyślał, że zabrałem się stąd na dobre. I żeby nie zaczął mnie szukać.

- Złapią go i wsadzą za kratki - rzekł Noah. - A pan niechli nie zapomni informować ojca Toma o miejscach swojego pobytu.

Szeryfowi nagle zaczęło się strasznie spieszyć do wyjazdu. Już w drzwiach odwrócił się i spojrzął na Laurant.

- On kradł pieniądze od samego początku - powiedział.

- Kto? - spytała. - Brenner?

Lloyd skinął głową.

- Powiedział swoim protektorom od Griffena, że jeden sklep kosztuje sto patyków, potem oferował połowę, a różnicę zgarniał do kieszeni. Ma to wszystko na koncie, ale nie wiem gdzie. Może warto sprawdzić księgi przed posiedzeniem rady miejskiej.

- Na pewno - powiedziała Laurant.

Szeryf znów odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał go Nick.

- Co pan ma z tym wspólnego?

Lloyd owrócił się.

- Trochę mu pomagałem. Będę zeznawał przeciwko niemu. Jestem gotów odsiedzieć swoje, jeśli to konieczne. - Spojrzął z nadzieją na Nicka, a potem zwrócił się do Tommy'ego: - Będziesz wiedział, gdzie jestem. Wróć, jak do mnie zadzwonisz. - Wyszedł, pociągając nogami, zostawiwszy przedtem broń i plakietkę na stole.

Wszyscy patrzyli za nim.

- Na pewno chcesz go puścić wolno? - spytał Noah kolegę.

- Daleko nie zajędzie - odparł Nick.

Spróbował dodzwonić się do Wessona, ale jego telefon komórkowy nie odpowiadał. Zadzwonił więc do Fcinberga, lecz włączyła się poczta głosowa. Irytacja Nicka była coraz silniejsza. Raz po raz zerkał na zegarek. Morganstern powinien być już wylądować w Houston. Dlaczego się nie odzywał?

Tommy znów skierował się do szpitala, tym razem po chrupki ziemniaczane, więc Nick wstał i poszedł za nim. Laurant usłyszała, jak radzi jej bratu, żeby nadal zachowywał czujność, póki Nick nie nabierze stuprocentowej pewności, że to właśnie Brenner jest poszukiwanym zbrojcem.

Obaj rozmawiali dłuższą chwilę. Dominował głos Tommy'ego. Laurant była tak zajęta obserwacją tego, co dzieje się w szpitalu, że nie zauważyła spojrzenia Noaha, który przyglądał jej się z nie mniejszą intensywnością.

- Niech się pani przestanie martwić - powiedział.

Z powrotem skupiła uwagę na jedzeniu.

- Wcale się nie martwię.

- Nieprawda. Ale Nick nie powie Tommy'emu, że spaliście ze sobą.

Tak ją zaskoczył, że nawet nie zaprzeczyła. Spojrzała w jego szelmowskie niebieskie oczy i spytała:

- Zawsze pan jest taki bezceremonialny?

- Tak.

- Skąd pan wie?

- Widzę, jak unikacie swoich spojrzeń. Znam Nicka od dawna - dodała. - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był tak spięty. Doszedłem do wniosku, że to pani jest przyczyną.

Wzięła skrzydełko kurczaka, ale je odłożyła.

- Nick mógł powiedzieć Tommy'emu.

- Myśli pani?

- Tak. A Tommy by się tym przejął. Jest księdzem i w ogóle...

- Może. - Noah wzruszył ramionami. - Ale pani jest już duża.

To naprawdę nie jego sprawa.

- On będzie uważał inaczej.

- Od jak dawna kocha pani Nicka?

- Skąd pan wie?

Roześmiał się.

- Znam kobiety.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie należy pani do kobiet, które idą z facetem do łóżka, jeśli go nie kochają. Nick też o tym wie. Musi być teraz cholernie przestraszony.

- Ja rzeczywiście budzę w nim strach. On szuka zupełnie czego innego niż ja, ale przy tym nie chce mnie skrzywdzić. Ta ostatnia noc była pomyłką - szepnęła. - I wszystko już skończone - dodała. Miało to zabrzmieć tak, jakby mówiła o zamkniętej przeszłości, ale zrozumiała, że nic jej z tego nie wyszło, gdy Noah poklepał ją po ręce.

- Czy wczoraj w nocy też wydawało się to pani pomyłką?

Pokręciła głową.

- Nie, ale sam pan powiedział, że jestem już duża. Umieć żyć samodzielnie. Nie tak łatwo mnie złamać.

- Oczywiście.

- Myśli pan, że to chciałam usłyszeć?

- Mhm.

- Porozmawiajmy o czym innym - zaproponowała. - Czy mogę pana o coś spytać?

- Jasne. Co pani chce wiedzieć?

- Dlaczego Wesson nie znosi Nicka?

- To stara historia - odparł.

- Ale od czego zaczęła się ta niechęć? - spytała Laurant, zerkając ukradkiem w stronę spiżarni.

- Pewnie można by powiedzieć, że zaczęło się od kota, chociaż kiedy teraz o tym myślę, zdaje mi się, że zachowanie Nicka też miało na to duży wpływ. Nick był nowy i zdawało mu się, że wszystko wie najlepiej. Morganstern przejął dowództwo nad apostołami niewiele wcześniej i Nick był jego drugim rekrutem.

- A kto był pierwszym? - spytała.

- Ja - odrzekł z uśmiechem samozadowolenia. - Pete dobierał agentów z wielką starannością, ściągał ich do FBI z zewnątrz i poddawał specjalnemu programowi ćwiczeń, który sam opracował. Wesson dałby się posiekać, żeby wziąć w tym udział. Przypuszczam, że od początku chciał być szefem tego programu, tylko mu nie pozwolono.

- Czy wobec tego Wesson został człowiekiem Morgansterna?

- Nie. Morganstern go nie wziął i to Wessona solidnie wkurzyło.

- I od tego się zaczęło?

- Nie. Zaczęło się, jak powiedziałem, od kota - cierpliwie powtórzył. - To był dość niezwykły przypadek. Zaginęła trzyletnia

dziewczynka. Wezwano FBI. Wesson miał służbę i nie było mowy o tym, żeby pozwolił przejąć sprawę któremuś z zaufanych lud/i Morgansterna. Postanowił dać pokaz szybkiego rozpracowania sprawy.

- I udało mu się?

- Jemu nie, ale Nickowi owszem. To było tak. Mała dziewczynka była z mamą w domu towarowym. Budynek był stary, miał drewniane podłogi, które piszczwały i skrzypiały, gdy się po nich chodziło, i wysokie stropy ze sztukaterią. Były tam też stare głębokie szyby wentylacyjne z wylotami. W środku panował chłód, ciągnęło po nogach. Dom towarowy znajdował się niedaleko dzielnicy magazynów i miejskiego targowiska, położonego nad rzeką. Targowisko było bardzo malownicze, wszystkie kramy starannie odnowione, ale w okolicy mieszkało mnóstwo szczurów, więc właściciel domu towarowego trzymał kota.

- Niech pan mówi dalej - przynagliła go Laurant, chciała bowiem, żeby Noah skończył opowiadać przed powrotem Nicka i Tommy'ego.

- W sobotę przed Bożym Narodzeniem, około południa, w domu towarowym kłębiły się tłumy kupujących. Był wielki zgiełk. z głośników ryczały kolędy i wtedy sprzedawczyni zwróciła uwagę na mężczyznę około trzydziestu pięciu lat, chodzącego bez celu między stoiskami. Uznała, że może to być złodziej. Mężczyzna miał na sobie zniszczone ubranie i długie szary płaszcz przeciwdeszczowy, według niej brudny i podarty. Ekspedientka nie umiała jednak nic powiedzieć o tym człowieku oprócz tego, że był chudy i miał rzadką bródkę. Zamierzała wezwać ochronę, ale zobaczyła, że mężczyzna kieruje się do drzwi, i uznała, że chce wyjść. Tymczasem klienci ciągnęli ją w dwadzieścia stron naraz.

Klient czekający w kolejce przypomniał sobie potem, że widział mężczyznę, który przykucał obok dziewczynki i z nią rozmawiał. Podobno matka dziecka próbowała się wtedy dopchać do lady i szukała w torebce karty kredytowej, więc nie zauważyła, że córeczka rozmawia z obcym. A mężczyzna zaraz potem wstał i odszedł.

- Czy porwał dziewczynkę?

Noah nie odpowiedział na pytanie.

- Inna klientka zeznała, że omal nie rozdeptała dziewczynki, która nagle wyskoczyła przed nią, goniąc za kotem - dodał. - Kilka minut później matka rozpoczęła gorączkowe poszukiwania dziecka. Wszys-

cy naturalnie próbowali jej pomóc, więc sprzedawczyni przypomniała sobie mężczyznę w deszczowcu, a klient, że ten mężczyzna rozmawiał z dzieckiem. Ochroniarz zatelefonował po policję, właściciel sklepu zaś wezwał FBI. Trzeba oddać Wessonowi sprawiedliwość, że zjawił się tam naprawdę szybko - powiedział Noah. - Morganstem dostał telefon od przełożonego Wessona i wysłał nas tam, ponieważ chciał, żebyśmy nabyli z Nickiem trochę doświadczenia. Obaj dotarliśmy jednak na miejsce dopiero późnym wieczorem. Ja leciałem z Chicago, a Nick z Dallas. Wyłądował kwadrans przede mną, więc zanim zapakował mnie do samochodu, zdążył wynająć ten samochód i kupić plan miasta.

- Wesson nie był szczęśliwy na wasz widok, prawda?

- To bardzo delikatnie powiedziane. Nam to jednak nie przeszkadzało. Nie podlegaliśmy mu. Odpowiadaliśmy przed Morgensternem i nikim innym. Wesson bardzo niechętnie podzielił się z nami informacjami i to solidnie wkurwiło..., chciałem powiedzieć: zdenerwowało Nicka. Bo on, kiedy wpadnie w złość, zachowuje się gorzej niż ja - oświadczył Noah z podziwem.

- Co takiego zrobił?

- Dał Wessonowi do zrozumienia, co o nim myśli. Mógł zachować się bardziej dyplomatycznie, ale w każdym razie zapędził Wessona do rogu i wtedy ten oświadczył, że ma podejrzanego i że sytuacja jest opanowana, co naturalnie było nieprawdą. Wesson podobno powiedział również, że grupa Morganstema jest stratą czasu i pieniędzy, a Nick i ja powinniśmy wrócić do domów i poszukać sobie porządnego zajęcia.

- Innymi słowy, kazał wam się odczepić.

- Tak - przyznał Noah. - Oczywiście nie interesowało nas, co Wesson myśli i czego sobie życzy. Dostaliśmy zadanie i byliśmy gotowi je wykonać nawet wbrew jego woli. W czasie gdy Nick rozglądał się po okolicy, ja odciągnąłem na bok jednego z agentów i przeczytałem jego notatki.

- Czy dziewczynce nic się nie stało? Niech pani mi powie, proszę, czy zdażyliście ją w porę znaleźć?

- Tak, dzięki Nickowi. Wtedy akurat skończyło się szczęśliwie.

- W jaki sposób ją znalazł?

- Już do tego dochodzę - odparł Noah. - Dom towarowy opustoszał. Dochodziła druga w nocy, więc w środku było zimno jak diabli. Wesson urządził stanowisko dowodzenia na miejscowym posterunku policji, kilka przecnic dalej, i wszyscy ludzie, którzy

byli pod ręką, patrolowali ulice, żeby odnaleźć człowieka w szarym deszczowcu. Nick i ja staliśmy przy krawężniku przed domem towarowym i próbowaliśmy zdecydować, co robić. Ochroniarz już zamykał drzwi i wybierał się do domu, gdy nagle Nick powiedział mu, że chce wrócić do środka. Przekonał tego człowieka, żeby wyłączył alarm i dał nam klucze.

Jeszcze raz przeszukaliśmy budynek od parteru po piwnice. Nie znaleźliśmy niczego, więc w końcu wyszliśmy. Wsiadliśmy do samochodu. Ja prowadziłem, ale sam nic wiedziałem, dokąd jadę. Chciałem tylko oczyścić umysł, tak jak nas uczył Morganstem. Pamiętam, że właśnie mijałem szpital, gdy spytałem Nicka, co zrobimy, skoro Wesson koniecznie chce się nas pozbyć.

Noah urwał, uśmiechnął się i podjął opowieść:

- Nick milczał, tylko wsadził sobie gumę do ust. Zrozumiałem, że robi to samo co ja. Wie pani, próbuje oczyścić umysł. Nagle odwrócił się do mnie i spytał: „A gdzie jest kot?”.

Zaczęliśmy wtedy ćwiczyć to, co Morganstern zapewne nazwałby wolnymi skojarzeniami. Większość dzieci uwielbia zwierzęta, a klientka zeznała, że widziała dziewczynkę goniącą kotu. Obaj wymyśliśmy, co mogło się stać. Natychmiast zawróciłem. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do domu towarowego, ale przejeżdżając koło szpitala, zatrzymałem samochód. Wpadliśmy do izby przyjęć, błysnęliśmy plakietkami i porwaliśmy lekarza, który właśnie kończył dyżur. Nick powiedział mu, że ma jechać z nami i wziąć stetoskop.

- Dziewczynka wciąż była w sklepie, prawda?

- Jasne. Weszła za kotem do szybu wentylacyjnego wyjaśnił Noah. - Nikt nie zauważył, jak łąziła na czworakach gdzieś przy ścianie. A ponieważ była mała, nie utkwiała w przewodzie, tylko spadła dwa i pół piętra w dół na występ, który był w szybie nad piwnicą. W zasadzie powinna była zginąć. Gdy ją znaleźliśmy, leżała nieprzytomna i miała rozbita głowę. Kot siedział obok niej. Dzięki stetoskopowi usłyszeliśmy ciche miauczenie.

- Ale dziewczynka przeżyła.

Noah uśmiechnął się.

- Tak.

- Musieliście się bardzo z Nickiem ucieszyć.

- Naturalnie, ale jednocześnie byliśmy na siebie okropnie źli. Obaj przegapiliśmy coś oczywistego. Pozwoliliśmy się zwieść opowieściami o facecie w szarym deszczowcu. Tymczasem po-

winniśmy byli zauważyć, że szyb, do którego włązła dziewczynka, był w nieco gorszym stanie niż pozostałe. No i można było szybciej dojść do tego, że znikł kot.

- Znaleźliście dziewczynkę po zaledwie paru godzinach od przyjazdu - powiedziała Laurant.

- Ale gdybyśmy wykazał i więcej spostrzegawczość i, zrobiłoby to dwa razy szybciej. Mieliśmy cholerne szczęście, że przeżyła. Mogła wykrwawić się na śmierć,

Laurant wiedziała, że w żaden sposób nie zmieni poglądu Noaha na tę sprawę.

- Normalnie Wesson byłby tak samo uszczęśliwiony jak wszyscy - odezwał się znów Noah.

- A nie był? - zdziwiła się.

- Och, to nie jest potwór, a przynajmniej nie był nim wtedy - zapewnił ją Noah. - Zżerała go jednak straszna zazdrość. Rzecz jasna, cieszył się, że dziewczynce nic się nie stało...

- Ale?

- Nick celowo go pominął w tej sprawie. Powinien był powiedzieć Wessonowi o swoich podejrzeniach i pozwolić mu je sprawdzić. - Noah zamilkł na chwilę. - Właśnie tak powinien był postąpić, ale cieszę się, że zrobił inaczej. Odpłacił Wessonowi pięknym za nadobne, chociaż to dziecinne. Na jego i swoją obronę dodam, że byliśmy wtedy młodzi i głupi i żadnego z nas nie interesowało coś takiego jak polityka awansów. Nadal zresztą mamy to w nosie. Nick był święcie przekonany, że znajdzie dziecko w tym domu towarowym i ja też. W każdym razie Wesson dowiedział się o wszystkim dopiero po fackie, od Morganstema, kiedy my byliśmy już w drodze na lotnisko. Nick chciał pokazać, co umie, lecz przy okazji upokorzył Wessona i od tej pory na samą wzmiankę o nim lub o mnie Wesson reaguje jak najgorzej. Aż do tej sprawy żaden z nas nie musiał potem z nim pracować.

Laurant położyła łokieć na stole i wsparła podbródek na dłoni. Patrzyła na Noaha. ale właściwie go nie widziała. Zamyśliła się nad historią, którą przed chwilą usłyszała.

Do tej pory w głębi duszy łudziła się nadzieją, że Nick jednak zrezygnuje ze swej pracy. O Boże, jakie to było egoistyczne z jej strony!

- W życiu nie ma nic pewnego, prawda? - odezwała się.

- Nie. Dlatego trzeba żyć chwilą i brać wszystko, co można. Nick jest dobry w tym, co robi, ale strasznie się spala. Widzę to

w jego oczach. Jeśli nie znajdzie stabilizacji w życiu, stres go w końcu zabije. Potrzebuje kogoś takiego jak pani, żeby mieć gdzie wracać.

- On tego nie chce.

- Może nie chce, ale potrzebuje.

- A pan?

- O mnie nie mówimy - odparł. - Pani stanowi z Nickiem absolutnie wyjątkową parę. Z boku dobrze to widzę. Mam panią oświecić? Tylko na zapas ostrzegam, że nie spodoba się pani to, co powiem.

- Nie szkodzi. Jakoś wytrzymam. Niech mnie pan oświeci.

- Okej. Ja widzę to tak. Oboje z Nickiem próbujecie zmienić swoją rzeczywistość. Oboje uciekacie od życia. Proszę mi nie przerywać, dopóki nie skończę - zastrzegł się, gdy Laurant wykonała gwałtowny gest. - Nick się zamyka w sobie, trzyma wszystkich na dystans, nawet rodzinę, a to w jego pracy jest poważnym błędem. On musi mieć uczucia, bo to jest jedyny sposób, żeby móc wyostrzyć uwagę i się skupić. Widzę jednak, że doszedł już do takiego stanu, w którym nie chce dopuścić do siebie żadnego uczucia, boi się zaryzykować, bo uważa, że 10 byłaby jego wielką słabością. Jeśli pociągnie tak dalej, stanie się gruboskórny i cyniczny. I przestanie być dobry w tym, co robi, to pewnie. Co do pani...

- Tak? - Wyprostowała się i w napięciu czekała na werdykt.

- Pani robi to samo, tylko w inny sposób. Ukrywa się pani w tej mieścinie. Wiem, że pani patrzy na to inaczej, ale fakt pozostaje faktem. Podjęcia ryzyka boi się pani jeszcze bardziej niż Nick. Jeśli ktoś się nie odkrywa, to nikt go nie skrzywdzi. Taką ma pani filozofię, prawda? Ale żyjąc tak dalej, zamieni się pani w zgorzkniałą, wysuszoną starą zrzędę, do tego tchórzliwą.

Wiedziała, że Noah wcale nie sili się na brutalność, ale to, co powiedział, całkiem ją załamało. Czyżby rzeczywiście sprawiała na nim takie wrażenie? Skuliła się i zacisnęła dłoń. Tchórz? Jak mógł jej przepowiedzieć taką przyszłość?

- Chyba nie zrozumiał pan...

- Jeszcze nie skończyłem. Chce pani posłuchać dalej?

Przygotowała się duchowo na następną przyszcnic.

- Proszę bardzo.

- Widziałem jeden z pani obrazów.

W jednej chwili skrzyżowała z nim spojrzenia.

- Gdzie? - spytała zdumiona. Dlaczego nagle ogarnął ją lęk'.
- Wisi w sypialni u Toma - powiedział. - Robi wielkie wrażenie.

Powinna być pani bardzo z niego dumna. Nie ja jeden uważam, że jest niesamowity. Opat chciał powiesić go w kościele. Tom powiedział mi, że wykradł ten obraz z pani domu. Podobno wszystkie chowa pani w szafie, żeby nikt nie mógł ich obejrzeć. A to jest pewny sposób na uniknięcie krytyki. Tak jest bezpiecznie. To pasuje do życia, które pani sobie tutaj buduje. Tylko że nie ma czegoś takiego jak bezpieczne życie. Nieszczęścia zdarzają się wszędziejak rak, który zaatakował pani brata, i nic się na to nie poradzi. Ale pani minio wszystko stara się lego nie widzieć. Za jakieś trzydzieści lat nabierze pani przekonania, że pani życie jest w pełni zadowolające i bezpieczne, ale zapewniam panią, że będzie ono również samotne. Poza tym pani zadziwiający talent prawdopodobnie umrze śmiercią naturalną.

Laurant zdrzała. Wizja, którą zarysował przed nią Noah, była bardzo sugestywna. Kazał jej otworzyć oczy i dobrze przyjrzeć się sobie.

- Pan nie wie, o czym pan mówi.
- Owszem, wiem. Tylko pani nie chce tego słyszeć.

Pochyliła głowę, jakby w myślach próbowała zadać kłam jego czarnemu prorocत्वu. Może rzeczywiście przeprowadzka do Holy Oaks była dla niej próbą ucieczki przed życiem. Ale teraz to się zmieniło. Zakochała się w tym miasteczku i jego mieszkańcach, stała się częścią społeczności. Nie siedziała beczynn timer, patrząc, jak świat obraca się wokół niej.

Ale co do malowania, Noah miał rację. Zawsze uważała, że jest zbyt osobiste, by się nim dzielić. To była część jej ja, więc gdyby inni zobaczyli te obrazy i je odrzucili, czułaby się tak, jakby odrzucili część jej osoby.

Była tchórzem. I mogła stracić swoją odrobinę talentu, postępując dalej tak jak do tej pory. Przecież skoro nie chciała zmierzyć się z życiem, to jak może przedstawić je na płótnie?

- Nie wyrzucałm tych obrazów - odezwała się z wahaniem. - Mam je wszystkie

Noah uśmiechnął się.

- Może więc pomyślałaby pani o pokazaniu ich światu. Niech inni je obejrzą.

- Może - zgodziła się. Po chwili spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Może rzeczywiście powinnam tak zrobić.

Noah zaniósł swój talerz do zlewu i zakasał rękawy, przygotowując się do zmywania. Gdy wziął się do tego, natychmiast zao-Lj! narzekać na opata, który nie chce wydać pieniędzy na zmywarke.

Laurant nie zwracała uwagi na jego narzekania. Była zatopiona w swoich myślach. Noah kazał jej się zbudzić. Pokazał jej drogę, a ona musiała teraz zdecydować, czy nią pójść, czy pozostać tam, gdzie jest.

Tommy wrócił do kuchni.

- Powiedziałem Laurant, że wzięłeś jeden z jej obrazów - odezwał się Noah.

Ksiądz natychmiast przyjął obronną pozę.

- Ukradłem go, przyznaję, ale wcale tego nie żałuję. Mam go oddać, Laurant, tak?

- Który to jest? - spytała. Nagle poczuła straszny głód. Ugryzła kęs kurczaka i sięgnęła po grzanke.

- Jedyne, które udało mi się dostać w ręce - odparł. - Stał w szafie jako pierwszy. Nawet nie wiedziałem, co zabrałem, póki nie odpakowałem go w domu. I wiesz co, Laurant? To jest okropnie przykre, że nigdy nie widziałem żadnego innego twojego obrazu. Wszystkie chowasz tak, jakbyś się ich wstydziła.

- Ale który masz na ścianie?

- Dzieci na polu pszenicy, tak pięknie oświetlone. Bardzo mi się podoba. Chciałbym go zatrzymać. Wiesz dlaczego? Ponieważ jest w nim tyle radości i nadziei. Kiedy na niego patrzę, widzę niebo śmiejące się do tych dzieci. To wygląda tak, jakby Bóg chciał ich dotknąć świetlistymi palcami.

Nagle ogarnął ją zamęt. Wiedziała, że Tommy mówi szczerze. Radość i nadzieja. Cóż za wspaniały komplement.

- Okej, Tommy. Możesz zatrzymać ten obraz.

Brat wydał się zszokowany.

- Naprawdę?

- Tak - odrzekła. - Cieszę się, że ci się podoba.

Nick nie zamierzał pozostać poza kręgiem wtajemniczonych.

- Ja też chcę go zobaczyć, do diabła!

- Zgoda - powiedziała.

Noah puścił do niej oko i nagle poczuła, że wzbiera w niej radość.

- Możesz obejrzeć, ale ostrzegam, że to nie jest najbardziej udana próba. Stać mnie na znacznie więcej.

Zadzwęczał telefon Nicka, przerywając im rozmowę. Uśmiechy w jednej chwili znikły. Atmosfera w kuchni zrobiła się napięta.

Wszyscy czekali na nowiny, a Nick schronił się w spiżarni, żeby porozmawiać bez świadków.

Dzwonił Pete i miał dla niego zaskakujące wiadomości. W białym furgonie Steve'a Brennera znaleziono telefon komórkowy Tiffany Tary Tyler. Był wsunięty pod siedzenie kierowcy. Nowy dowód oznaczał zamknięcie dochodzenia. Niewątpliwie mieli poszukiwanego człowieka.

- Czy na telefonie były odciski palców?

- Wytarł je, ale nie do końca - rzekł Pete. - Nie zauważył jednego miejsca na dole aparatu. Technik znalazł fragmentaryczny odcisk przy metalowej pokrywie akumulatora. Uważa, że to wystarczy do porównania. Wygląda na to, Nick, że sprawa ma się ku końcowi.

Nick pokręcił głową.

- Mnie tu coś nie pasuje - powiedział, a po chwili dodał: - Czyli koniec? Sprawa zamknięta, kropka?

- Mniej więcej - przyznał Pete. - Są też, oczywiście, inne dowody. Ale z tego, co wiem, agent Wesson nie poinformował cię o tym, co zebrał przeciwko Brennerowi, prawda?

- Skąd wiesz?

- Rozmawiałem chwilę z Farleyem.

- Czy to znaczy, że Wesson ma dostateczne dowody, by na ich podstawie można było skazać Brennera?

- Jeszcze wątplisz po znalezieniu tego telefonu? Dowodów na pewno wystarczy.

- Mogły zostać sfabrykowane

- Jesteśmy innego zdania. Gdybyś otrzymywał informacje na bieżąco, prawdopodobnie byłbyś bardziej przekonany do winy Brennera. Po prostu zostałeś wyłączony z dochodzenia - stwierdził Morganstern. - Zamierzam przedyskutować ten problem z przełożonym Wessona w poniedziałek z samego rana. To się nie może powtórzyć. - Jego głos brzmiał bardzo stanowczo. - Proponuję, żebyś pojechał z ojcem Tomem na ryby. Odpręż się trochę. Bóg mi świadkiem, że zasłużyłeś na odpoczynek.

Nick potarł dłonią kark, usiłując trochę rozluźnić mięśnie. Był znużony i głęboko rozczarowany.

- Nie wiem, Pete, czy masz rację. Instynkt podpowiada mi, że nic tu nie jest takie, jak się zdaje. Czegoś mi brakuje.

- Może obiektywizmu?

- Pewnie tak. Naprawdę wszystko widziałem zupełnie inaczej.

Ale powiedz mi jedno. Będzie zrobiona analiza porównawcza taśmy z konfesjonału i głosu Brennera, nagranych podczas przesłuchania, prawda?

- Oczywiście.

- Brenner do niczego się nie przyznał?

- Nie, jeszcze nie.

Nick zważył w sobie. Może po prostu nie chciał uwierzyć w coś, co było wyraźnie widoczne. Od samego początku. Wesson postawił go w pozycji człowieka, który pracuje na ślepo. W furgonie Brennera znaleziono telefon zabitej dziewczyny. To powinno stanowić ostateczny argument. A jednak Nick nadal nic był przekonany.

- Dlaczego kwestionujesz wynik tej sprawy? Wszystko pasuje - rzekł Pete.

Nick westchnął.

- Tak jest, sir. Wiem. Pewnie po prostu należy mi się urlop. Miałeś rację - przyznał w końcu. - Za bardzo zaangażowałem się w to osobiście.

- Masz na myśli Laurant?

- Wiedziałeś, do czego to zmierza?

- O, tak.

- Trudno. Jakoś sobie z tym poradzę. Daj mi znać, gdy będą wyniki badań laboratoryjnych.

- Dobrze - obiecał Pete. - Przekaż moje pozdrowienia ojcu Tomowi i Laurant.

Nick przerwał połączenie, ale jeszcze przez długą chwilę stał w spiżarni, zapatrzony w ścianę. Usiłował oswoić się z myślą, że dochodzenie jest skończone. Przekonywał się, że niepotrzebnie komplikuje sprawę. Zdarzały się również proste przypadki. Na przykład właśnie ten. Tak, to już koniec. Sprawa zamknięta. Mają szukanego człowieka.

A jednak wciąż dręczyły go wątpliwości.

33

JVoszmar wreszcie się skończył. Tommy i Laurant z najwyższym zdumieniem przyjęli wiadomość o znalezieniu telefonu Tiffany Tary Tyler w samochodzie Brennera. Ale oboje byli bardzo uszczęśliwieni, że przestępca znalazł się wreszcie za kratkami. Noah zaproponował uczczenie tej okazji, ale ksiądz go zgasił. Przypomniał mu, że zamordowano dwie kobiety, i powiedział, że idzie do kościoła pomodlić się za dusze Tiffany Tary Tyler i młodej kobiety imieniem Millicent.

- Jak zręcznie zmienił głos w konfesjonale - rzekł. - Tak mnie nabrał, no! - Pokręcił głową.

- Wszystkich nas nabrał - powiedziała Laurant. Tak jej ulżyło, że nagle straciła siłę do robienia czegokolwiek. Postanowiła więc przyłączyć się do brata w modlitwie.

Wstała i patrząc prosto na Nicka, spytała:

- To znaczy, że wkrótce ty i Noah wyjedziecie?

- Tak - odparł Nick bez wahania.

- Nie ma powodu dalej tutaj siedzieć, prawda? - Noah spojrzął badawczo na kolegę.

- Nie - uciał Nick. - Nie ma.

Laurant odwróciła się, żeby nie zauważył, jak głęboko uraziły ją te słowa. Wiedziała, że przesadza. Od samego początku zdawała sobie sprawę z tego, że Nick wyjedzie po zakończeniu zadania. Jego miejsce było w Bostonie. Rzucił wszystko, żeby pomóc przyjacielowi, ale teraz, naturalnie, musiał wrócić do domu.

- Czekają sprawy do załatwienia, dawno niewidziani ludzie - powiedziała.

- Właśnie - potwierdził.

Tommy przytrzymał drzwi.

- Chodź, Laurant. Co się tak grzebiesz?

Odłożyła serwetkę na stół i ruszyła za bratem. Obaj agenci przyłączyli się do nich. W kościele Nick odciągnął kolegę na bok, a Laurant z Tommym poszli do ławek i razem uklękli.

Przynajmniej tuzin robotników krzątało się we wnętrzu świątyni. usiłując przygotować ją do ślubnej uroczystości. Pięciu rozmontowywało rusztowanie w głównej nawie, dwaj inni zwiłali brezentowe płachty i wynosili na zewnątrz puszki z farbą. Pracownicy miejscowej kwiaciarni stali zniecierpliwieni w pobliżu ołtarza, trzymając wazony z liliami, czekali bowiem, aż Mark i Willie skończą zamiatać stopnie i marmurową posadzkę przed prezbiterium.

Nick i Noah przesunęli się pod chór, żeby nie przeszkadzać, ale wtedy właśnie za ich plecami otworzyły się podwójne drzwi i dwaj mężczyźni wtoczyli do środka niewielki fortepian na platformie.

- Gdzie to postawić, ojcze? - Jeden z robotników skierował to pytanie do Noaha.

- Nie wiem - odparł zapytany.

- Jeeezu, ojcze. Ciężko nam z tym. Nie mógłby się ojciec dowiedzieć?

Zbliżał się do nich Justin. Trzymał kamerę wideo i długi czerwony przedłużacz, zwinięty w pętlę na ramieniu. Gdy znalazł się obok, przystanął, żeby się przywitać.

- Nie wie pan, gdzie jest miejsce dla fortepianu? - spytał go Noah.

- Pewnie, że wiem. Chór ma stać w tej alkowie, po południowej stronie kościoła.

Odsunął się, żeby mężczyźni z fortepianem mogli wtoczyć instrument do bocznej nawy.

- Dlaczego nie można po prostu zagrać na organach? - zdziwił się Nick.

Justin odwrócił się do niego.

- Trzeba najpierw oczyścić piszczałki. Opat twierdzi, że ten straszny pył, który tu jest, zniszczy strój organów, jeśli się go nie usunie przed granie.

- Po co panu kamera wideo?

- Mam filmować uroczystość - wyjaśnił Justin. - Poprosił mnie o to ojciec panny młodej. Zatrudnił specjalistę, który będzie na dole, ale widocznie chce mieć widok ze wszystkich stron. Mnie to nawet cieszy - dodał. - Zapłaci mi sto dolarów, a pieniądze

zawsze się przydadzą. Poza tym zaprosił mnie, Marka i Williama na weselne przyjęcie, więc najemy się za darmo i dostaniemy piwa. Przyjdzie pan na ślub? - spytał Nicka.

- Za nic nie straciłbym takiej okazji.

- To na razie. - Justin ruszył dalej sprężystym krokiem. - Mam nadzieję, że zdążymy przygotować kościół. Do siódmej jeszcze mnóstwo trzeba zrobić.

Znów musieli się odsunąć, żeby Justin mógł otworzyć żeliwną kratę, za którą rozpoczynały się schody na chór.

- Okej, co chciałeś mi powiedzieć? - spytał Noah, idąc za kolegą do ostatniej ławki.

- Coś tu jest nie tak.

- Brenner?

Nick skinął głową.

- Może nabiorę przekonania, kiedy laboratorium skończy pracę. Mają częściowy odcisk palca i pracują nad porównaniem głosu Brennera z tym nagrany na kasecie. Jeśli wyniki potwierdzają jego winę, to pewnie wreszcie się uspokoje. Ale tymczasem...

- Chcesz, żebym został?

- Tak. Pete zatelefonuje do ciebie i na pewno zleci ci następne zadanie...

- Postaram się zagrać na zwłokę. Zresztą wyniki z laboratorium powinny być dziś wieczorem. W najgorszym razie jutro.

- Jestem ci bardzo zobowiązany, Noah.

- Jeśli sądzisz, że coś nie gra, to naturalnie zostają. Czy mam dalej nosić tę sukienkę?

Nick uśmiechnął się.

- Prawdopodobnie będziesz ją nosił aż do wyjazdu z Holy Oaks. Zbyt wielu ludzi zna cię jako księdza. Nic komplikujmy spraw. - Spojrzał na kolegę i spytał: - Gdzie właściwie chowasz pistolet? Pewnie przy kostce - domyślił się, zerkając na dół sutanny. Spod czarnej szaty wystawały czubki czarnych tenisówek.

- Za trudno tam się dostać - odparł Noah. Odchylił lewy szeroki rękaw; kaburę z pistoletem miał przymocowaną tuż poniżej łokcia. - Dziękuję Bogu za taśmę klejącą.

- Dobry pomysł - pochwalił go Nick.

- Ale, ale. Czy nie powinieneś ostrzec Toma i Laurant, że ciągle masz wątpliwości?

- Co im mam powiedzieć? Dowody są bardzo mocne, a nie

wiadomo, co jeszcze Wesson ma na Brennera. Zresztą Laurant i Tommy drugo żyli w bardzo silnym stresie, a dla niej ten ślub przyjaciółki jest bardzo ważny. Chcę, żeby dobrze się bawiła dziś wieczorem. Miej na oku Tommy'ego, a ja zaopiekuję się Laurant.

- Nie, ja tak nie chcę. Rób z Laurant jak uważasz, ale ja powiem Tommy'emu, żeby miał się na baczności. Nie chcę, żeby zapomniał o ostrożności, póki nie będziesz przekonany, że może sobie na to pozwolić.

Nick skinął głową.

- Zgoda.

- Czy powiedziałaś Pete'owi o swoich przecuciach?

- Tak.

- I co?

Nick wcisnął ręce do kieszeni.

- Nie jestem obiektywny, ponieważ osobiście się w to zaangażowałem.

- Pete może mieć rację.

- Kiedy będą wyniki z laboratorium, przestanę się martwić.

- I co potem?

- Pojedziemy do domu - odparł Nick. - Nowy dzień, nowa sprawa.

- Masz zamiar tak ją zostawić i cześć? - Noah zdawał się w to nie wierzyć. - Jeszcze nigdy nie przeżyłeś czegoś tak wspaniałego jak ostatnio, ale boisz się skorzystać z szansy. Masz świra, wiesz?

Nick odpowiedział mu obróceniem się na pięcie. Odszedł i zostawił kolegę samego.

34

vJjciec Michelle wrócił z opactwa za piętnaście szosta, by przekazać w domu wiadomość, że rusztowanie rozebrano, a główną nawę wyłożono czerwonym chodnikiem. Kwaciarka i jej asystent gorączkowo mocowali bukietki kwiatów przy wszystkich ławkach. Wyglądało na to, że w ostatniej chwili uda się jednak wszystko przygotować zgodnie z planem.

Matka Michelle, pięknie wystrojona w niebieską szyfonową suknię, dalej się martwiła, ale panna młoda traktowała wszystkie pojawiające się trudności z niezmaconym spokojem. Siedziała na łóżku, oparta plecami o wezgłowie, i przyglądała się toalecie Laurant, a jednocześnie wtajemniczała przyjaciółkę w najświeższe plotki.

- Lonnicgo ścigają listem gończym. Jest oskarżony o podpalenie, więc jak go złapią, to miejmy nadzieję, że posiedzi do końca życia. Zasłużył sobie, żeby zgnić w więzieniu, tyle mu się upiekło przez ostatnie lata. - Urwała i wypła łyk lemoniady. - Aresztowaniem Steve'a wszyscy są wstrząśnięci. Nie upinaj włosów. Laurant. Zostaw je tak, jak są.

- Niech będzie - zgodziła się jej przyjaciółka. Wzięła z krzesła brzoskwiniową suknię i włożyła ją. Zapinając suwak i poprawiając Stasik, stała plecami do Michelle. Potem obróciła się, a długa spódnica sukni zafalowała jej wokół kostek. - Co ty na to? Będzie dobra czy nie? Mogłabym włożyć jasnoniebieską suknię Versace, ale doszłam do wniosku, że ta lepiej pasuje kolorystycznie do ciemnoróżowych strojów innych druchen.

Pani Brockman weszła do sypialni, żeby jeszcze raz spróbować popędzić córkę. Na widok Laurant stanęła jak wryta.

Zarówno matce, jak i córce odebrało mowę. Ich spojrzenia zakłopotają Laurant.

- Powiedz coś, Michelle - zażądała. - Podoba ci się ta suknia czy nie?

- Wyglądasz jak księżniczka z bajki - szepnęła Michelle. - Prawda, mamo?

- O, tak - potwierdziła pani Brockman. - Wyglądasz wspaniale, moja droga.

Michelle zgramoliła się z łóżka i przytrzymując się wezgłowia, wstała. Matka zauważyła grymas na jej twarzy.

- Czy ta nowa orteza nadal ci przeszkadza?

- Trochę - przyznała Michelle. Wzrok miała skupiony na przyjaciółce. - Gdybym mogła tak wyglądać... Obróć się, Laurant, i zobacz w lustrze. Mamo, ona nie ma pojęcia, jaka jest piękna. Widzi się zupełnie nie tak, jak postrzegają ją inni. Najchętniej ubrałabym ją w worek po mące, bo inaczej wszyscy w kościele będą się gapić tylko na nią.

- Och, nie. Będą się gapić na pannę młodą. - Laurant roześmiała się. - Zaraz się zrobisz piękna, tylko zdejmij te zabawne wałki z głowy i wystrój się trochę. A może zamierzasz iść do ołtarza w starym szlafroku?

- Dobrze, Laurant. Każ jej się pospieszyć. Mnie nie chce słuchać, a jak tak dalej pójdzie, spóźni się na własny ślub powiedziała pani Brockman, obracając córkę i dając jej lekkiego kuksańca. - Jestem już za stara na taką nerwówkę. Byłam stara już wtedy, kiedy ją rodziłam.

Michelle uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, mamo. Jestem późnym dzieckiem, za to ty później miałaś już inne życie.

Matka również opowiedziała uśmiechem.

- Jesteś dla mnie prawdziwym darem bożym. A teraz ubieraj się wreszcie, bo jak nie, to przyślę tutaj ojca.

Michelle ściągnęła pasek szlafroka i zaczęła wyjmować wałki z włosów.

- Laurant, widać ci stanik - powiedziała. - Przy samych ramiączkach.

Laurant poprawiła górę sukni, ale wciąż wystawał jej paseczek białej koronki.

- Nie mam stanika na zmianę.

- To zdejmij ten - zaproponowała Michelle.

Matka się zachnęła.

- Laurant nie wejdzie bez stanika do Domu Bożego.

- Mamo. przecież nie proponuję, żeby weszła tam w toplesie. Nikt nie będzie wiedział, czy ma stanik. Jej suknia jest na podszewce.

- Bóg będzie wiedział - oświadczyła matka. - Zaraz przyniosę agrafki.

Gdy drzwi za nią się zamknęły, Michelle powiedziała:

- Mama jest ledwie żywa ze zdenerwowania i tata podobnie. Przez cały ranek chodził z wilgotnymi oczami. Powiedział mi, że traci swoją małą córeczkę. Czy to nie urocze?

Laurant podsunęła przyjaciółce krzesło, żeby mogła usiąść przy toalecie.

- Owszem, urocze - przyznała. - Czy przypomniałaś mi, że zamieszkanie z Christopherem dwie przecznice dalej?

- To nie to samo. Ojciec będzie płakał, prowadząc mnie do ołtarza, a ja mu będę wtórować, jeśli się okaże, że kościół nie jest przygotowany.

Laurant wzięła szczotkę do włosów i podała ją przyjaciółce.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak ci się udało? Masz cudownych, kochających rodziców i poślubisz wspaniałego mężczyznę. Zazdroszczę ci. - Westchnęła.

Michelle spojrzała na jej odbicie w lustrze.

- Niedługo zamienimy się rolami. To ja ci będę pomagać przed ślubem.

Laurant miała okazję wyznać prawdę. Powiedzieć, że to wszystko kłamstwo, że wcale nie biorą ślubu z Nickiem. A jednak milczała. Nie chciała zaprzętać uwagi przyjaciółki smutnymi sprawami, przecież ten dzień należał do niej.

- Nie roztkliwaj się za bardzo - poradziła jej Michelle. - Bo inaczej mama i ciebie zapędzi do roboty. To jest jej sposób na łzy - wyjaśniła. - Biednego tatę gania od rana po całym mieście. Już dwa razy był na przymusowej kontroli w opactwie. Najpierw kazała mu osobiście sprawdzić, czy rusztowanie jest rozebrane. A potem kazała mu tam wrócić, żeby się przekonał, czy przywieziono kwiaty. A przecież zanim tata zawiezie nas do kościoła, musi jeszcze podjechać po siostry Vanderman.

- Bessie Jean ma samochód.

- A widziałaś kiedyś, żeby nim jeździła?

- Nie, ale widziałam samochód w garażu.

- Ona nie chce nim jeździć, tylko być wożona. Powiedziała mamie, że przy takim natężeniu ruchu jak w naszych czasach kierowanie samochodem jest niebezpieczne.

- Ruch w Holy Oaks?

Obie wybuchnęły śmiechem.

- I wyobraź sobie - dodała Michelle - że Bessie Jean wini katolików. Jej zdaniem, jeżdżą jak wariaci.

Znowu się roześmiały, ale matka Michelle położyła kres ich pogaduszkom. Kolejny raz wpadła jak bomba do sypialni.

- Michelle, błagam cię, ubieraj się! - Podeszła do Laurant, wyciągając przed sobą dłoń z dwiema olbrzymimi agrafkami. - Tylko takie udało mi się znaleźć - powiedziała przepraszając i przypięła stanik do podszewki jej sukni.

Za dwadzieścia siódma oblubienica była wreszcie gotowa do wyjazdu. Jej suknia, zdobiona koralikami z kości słoniowej, stanowiła kopię modelu Very Wang, w którym Michelle zakochała się po obejrzeniu go w magazynie mody. Wybór był zresztą bardzo trafny i doskonale pasował do jej drobnej sylwetki. Gdy Michelle pokazała końcowy efekt matce i przyjaciółce, obie wyciągnęły chusteczki i zaczęły ocierać sobie oczy.

- Och, Michelle, jak pięknie wyglądasz - szepnęła Laurant. - Przepięknie.

- Tata się rozpłaczę, kiedy cię zobaczy - przepowiedziała matka, pociągając nosem.

Michelle poprawiła welon i ucisnęła dłoń Laurant.

- Jestem gotowa. Chodźmy.

Idąc do drzwi, zawołała przez ramię:

- Nie zapomnij włożyć naszyjnika, który ci dałam!

Laurant istotnie nie zrobiłaby tego bez przypomnienia. Podczas kolacji po próbie ślubu wszystkie drużny dostały od panny młodej delikatne złote łańcuszki.

Potrzeba było kilku prób, żeby zapiąć łańcuszek. Potem Laurant stanęła przed lustrem i włożyła kolczyki z brylantami. Poza tym z biżuterii miała na sobie już tylko zaręczynowy pierścionek. Wyciągnęła rękę i przez długą chwilę wpatrywała się w migoczący brylant. Łzy zasnuły jej oczy. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Pomyślała, że powinna zdjąć pierścionek i od razu zwrócić go Nickowi, ale zmieniła zdanie. Postanowiła z tym poczekać, aż skończy się weselne przyjęcie. Wtedy odda mu pierścionek i będą mogli się pożegnać.

Boże, jak ona to zniesie? Tak bardzo kochała Nicka. Pojawił się w jej życiu i nieodwracalnie je zmienił, bo otworzył jej oczy i serce na otaczający ją świat. Pokazał jej różne możliwości.

Jak miała spędzić bez niego resztę życia? Laurant zapatrzyła się w lustro i wolno wyprostowała ramiona. Trudno, serce będzie miała złamane, ale przecież przeżyje.

Zostanie sama, znowu.

35

JVościół był pełny. Chyba zaproszono wszystkich mieszkańców Holy Oaks, pomyślał Nick, który stał przy wejściu i przyglądał się tłumom wlewającym się do środka. Kilka rodzin próbowało dostać się na chór, ale żeliwna krata była zamknięta, a na niej wisiała tabliczka z napisem „Proszę nie wchodzić”. Ktoś próbował pokonać zabezpieczenie i mimo wszystko iść na górę, musiał się jednak poddać i poszukać sobie miejsca na dole.

Dwóch pomocników kierowało ruchem gości i namawiało ludzi, żeby ciałniej usiedli w ławkach, robiąc w ten sposób miejsce dla innych. Nie ominęło to nawet pierwszej ławki, w której usadzono matkę panny młodej.

Nick starał się nic przeszkadzać. Laurant stała ze ślubnym orszakiem w sieni pod chórem. Mimo otwartych drzwi panny młodej nie było widać. Kiedy Laurant się obróciła, pochwyciła jego spojrzenie, niepewnie się uśmiechnęła i znikła mu z pola widzenia.

Jedno skrzydło głównych drzwi zostało zamknięte, żeby orszak mógł się ustawić w miejscu niewidocznym dla gości siedzących w kościele. Pan Brockman stał z dłonią na klamce i raz po raz zerkał, czekając, aż ojciec Tom wyjdzie z zakrystii i zajmie miejsce przed ołtarzem. Zaniepokojony tym, że może zapomnieć, co ma robić, albo potknąć się o suknię i przewrócić pannę młodą, zaczął nerwowo wzdychać. Za kilka minut miał oddać swoją jedyną córkę jej mężowi. Sięgnął do kieszeni kamizelki pożyczonego smokingu i wyjął z niej chusteczkę. W chwili gdy ocierał czoło, przypomniał sobie o siostrach Vanderman.

- Wielki Boże! - szepnął głośno.

Córka go usłyszała. Ujrzała przerażenie malujące się na jego twarzy.

- Co się stało, tato? Czy ktoś zemdlał?
- Zapomniałem o siostrach Vanderman - odpowiedział.
- Tato, nie możesz teraz po niejechać. Zaczyna się ślub.

Ojciec rozejrzał się gorączkowo, szukając pomocy, spostrzegł Nicka i chwycił go za rękaw.

- Czy może pan przywieźć Bessie Jean i Viole Vanderman? Bardzo proszę. Pewnie czekają na samochód przed domem, a jeśli nie będą na ślubie, nie zapomną mi tego do końca życia.

Nick nie chciał zostawić Laurant, ale był w sieni jedynym człowiekiem, który nie miał żadnego zadania podczas ceremonii. Wiedział, że zjazd ze wzgórza i powrót zajmą mu tylko kilka minut, lecz mimo to bał się opuścić kościół.

Laurant zauważyła jego wahanie. Wyszła z orszaku i zbliżyła się do niego. Przy każdym kroku szeleściła jej suknia.

- Niczego nie stracisz - powiedziała dostatecznie głośno, żeby usłyszał ją ojciec Michelle. Potem pochyliła się do niego i szepnęła: - Przecież już po wszystkim, zapomniałeś? Już nie musisz się o mnie martwić.

- No, dobrze - zgodził się z ociąganiem. - Pojadę za minutkę, jak podejdziesz do ołtarza.

- Ale jeśli się pospieszysz...

- Chcę zobaczyć, jak podchodzisz do ołtarza - odezwał się nieco ostrzej, niż zamierzał. Prawdę mówiąc, przed opuszczeniem kościoła chciał zyskać pewność, że Laurant jest pod opieką Noaha.

Nie dał jej czasu na dalsze prowadzenie sporu, na co wyraźnie miała ochotę, wszedł bowiem do kościoła i wzdłuż ściany dotarł do południowego naroża, tak że znalazł się dokładnie naprzeciwko drzwi zakrystii. Czekał, aż wyjdą stamtąd Tommy z Noahem.

Przez tłum przetoczył się szmer oczekiwania. Pojawił się Tommy i goście z głośnym szuraniem wstali. Był ubrany w świąteczny biało-złoty ornat i obchodząc ołtarz, uśmiechał się. Szedł ku miejscu u szczytu trzech stopni, dzielących nawę od prezbiterium. Stanąwszy tam, złożył ręce, zerknął na pianistę i skinął głową.

W chwili gdy rozległa się muzyka, goście jak jeden mąż spojrzeli w stronę podwójnych drzwi, wyciągając szyje i przestępując z nogi na nogę, żeby jak najlepiej widzieć wejście panny młodej.

Noah stanął w prezbiterium, trzymał się jednak z boku, w pobliżu drzwi zakrystii, a ramiona miał skrzyżowane na piersi. Dłonie chował w rękawach czarnej sutanny i wolno przesuwiał wzrokiem po twarzach zebranych.

Nick uniósł rękę i skinął na przyjaciela. Gdy Noah zszedł ze stopni w bocznej nawie i zaczął się do niego przeciskać, pierwsza drużna właśnie ruszyła ku Tommy'emu.

Zanim Noah spotkał się z kolegą, szła już kolejna drużna.

- Kazali mi przywieźć staruszki - powiedział szybko Nick. - Kiedy Laurant znajdzie się przy ołtarzu, wyjdę z kościoła. Nie będzie mnie tylko parę minut, ale póki nie wrócę, musisz osłaniać i ją, i Tommy'ego.

- Nie ma sprawy - zapewnił go Noah. - Nie spuszczę ich z oka. Nickowi ulżyło.

- Wiem, że uparłem się jak osioł, ale...

- Przeczucie, to przeczucie. Dla mnie dużo więcej znaczy twój instynkt niż wszystkie dowody Wessona razem wzięte.

- Tak jak powiedziałem, nie będzie mnie najwyżej dziesięć minut.

Noah skinął głową w stronę drzwi kościoła.

- O, jest Laurant. Rany, ale laska.

- Jesteś w kościele, Noah.

- Wiem, ale jak ona wygląda, ech.

Nick prawie na nią nie spojrział. Noah powoli wracał do ołtarza, zatrzymywany po drodze przez młode kobiety, które wychylały się z ławek, ścisnęły mu rękę i wypowiadały słowa powitania, a tymczasem Nick dobrze przyjrzał się tłumowi zgromadzonemu w świątyni.

W pobliżu ołtarza stali Willie z Markiem. Żaden z nich się nie ogolił, ale przebrali się w koszule z krótkimi rękawami i włożyli krawaty. Również oni byli zapatrzeni w Laurant.

Gdy doszła do Tommy'ego i przyłączyła się do pozostałych druhen, które zajęły miejsca u podnóża stopni przed ołtarzem, Nick wyszedł bocznymi drzwiami na dwór. Pobiegł do samochodu, klnąc głośno, po drodze zauważył bowiem, że inni kierowcy zablokowali mu wyjazd z parkingu.

Wsiadł do wozu, zapalił silnik i przeciął starannie wypielegnowany trawnik, usiłując nie uszkodzić rabatek z niecierpkami i krzakami róż.

Dopóki nie znalazł się na ulicy, poruszał się w ślimaczym tempie. Dopiero potem wcisnął pedał gazu. Przez cały czas instynkt podpowiadał mu, by zawrócić do kościoła. Usiłował zwalczyć tę panikę logicznym rozumowaniem. Laurant i Tommy'emu nic nie groziło, Noah ich pilnował. Na pewno nie po-

zwoliliby, żeby coś im się stało. Zresztą w kościele nic nie mogło się zdarzyć. Msza połączona z ceremonią ślubną potrwa około godziny, w zależności od tego, jak długie będzie kazanie Tommy'ego. Nawet gdyby jazda po siostry Vanderman zajęła mu kwadrans, a nie dziesięć minut, wszystko będzie w najlepszym porządku.

Nie byłby taki zdenerwowany, gdyby znał wyniki tych choler-nych badań laboratoryjnych. Dlaczego to trwa tak długo? Przez chwilę rozważał, czy nie zadzwonić do Pete'a, ale zrezygnował. Wiedział, że szef sam zatelefonuje do niego natychmiast, gdy tylko będzie miał coś nowego.

Skreślając w uliczkę, przy której mieszkały siostry Vanderman, jechał ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, zatrzymaniu samochodu towarzyszył więc głośny pisk opon. Explorer z pracującym silnikiem wciąż jeszcze się kołysał, gdy Nick wyskakiwał na chodnik. Bessie Jean i Viola rzeczywiście czekały. Obiegł samochód, żeby otworzyć dla nich drzwi. Zauważył, że Viola trzyma duży plastikowy pojemnik, ale nie chciał tracić czasu na dopytywanie się, co to jest. Zresztą Bessie Jean rzuciła się na niego zirytowana, że traci widowisko.

- Nie znoszę się spóźniać. Nigdy. Nawet na...

- Siła wyższa - powiedział Nick, ucinając jej narzekania. - Jedziemy, miłe panie.

- Teraz to już nie ma się co spieszyć - powiedziała Viola. - Nie zobaczymy już spotkania państwa młodych przy ołtarzu, prawda?

- Naturalnie, siostrzo, że nie. Ślub miał się zacząć o siódmej, a już po siódmej.

- Zapraszam do samochodu - przynaglił je Nick, starając się zachować cierpliwość.

Viola nie dała się jednak zmusić do pośpiechu.

- Nicholas, może będziesz tak miły i zanieśes to ciasto na drugą stronę ulicy. Postaw je w kuchni, proszę. Chłopców nie ma w domu.

- Są na ślubie - dodała Bessie Jean. - Prawdopodobnie zdążyli do kościoła dużo przed czasem.

- Upiekłam ciasto dla Justina - powiedziała Viola. - Za pomoc przy porządkowaniu grządki.

- Czy ciasto nie może poczekać do jutra? spytał Nick bliski wrzenia.

- Nie, kochaniutki, mogłoby wyschnąć - wyjaśniła Viola. Sama bym mu je zniosła, ale mam na sobie nowiutkie pantofle i strasznie uwierają mnie w palce. To ci zajmie najwyżej minutę powiedziała, wręczając mu pakunek.

Szybciej było spełnić jej prośbę, niż stać na chodniku i dyskutować, Nick chwycił więc ciasto i przebiegł na drugą stronę ulicy.

- Mówiłam ci, żebyś włożyła ludzkie pantofle, ale ty mnie nigdy nie słuchasz - skarciła siostrę Bessie Jean.

Nick przebiegł przez podwórze i dopadł kamiennych schodków. Zostawiłby ciasto przed frontowym wejściem, ale wiedział, że Viola to widzi, więc musiał zastosować się do jej instrukcji, bo inaczej groziło mu ponowne bieganie do domu robotników.

Co za męcząca staruszka, pomyślał, otwierając drzwi. W środku było mroczno i chłodno, słychać było tylko cichy pomruk klimatyzacji. Przeszedł przez zagracony salon, potykając się o gazety rozrzucone na podłodze, pudełka po pizzy i puszki po piwie. Kątem oka dostrzegł karalucha, dziarsko kryjącego się w pudelku. Zauważył też puste puszki i butelki na wszystkich możliwych powierzchniach i nawet na dywanie przy stoliku z gazetami. Na stercie gazet leżała wielka różowo-żółta muszla, wyraźnie pomyślana jako ozdoba, lecz ostatnio służąca za popielniczkę. Niedopałk i wysypywały się z niej, a atmosfera w pokoju była, delikatnie mówiąc, nieświeża.

Wnętrze domu przypominało chlew. Stół w jadalni był przykryty podartą brezentową płachtą z plamami od farby. Stało na nim kilka nowych puszek farby i plastikowych toreb z pędzlami, kupionych w miejscowym sklepie handlującym artykułami gospodarstwa domowego. Jadalnię z kuchnią łączyły wahadłowe drzwi, dokładnie tak samo jak u Laurant. Nick pchnął je i stanął w ostatnim pomieszczeniu.

Najpierw zwrócił jego uwagę ostry zapach. Był bardzo silny, drapiący... znajomy. Nickowi zakręciły się łzy w oczach, zapiekło go w gardle. W odróżnieniu od pozostałych pomieszczeń kuchnia nie była zagracona. Przeciwnie, nie znalazłoby się w niej pyłka. Błaty były puste, wyczyszczone, lśniące... Już kiedyś Nick był w takiej kuchni. Skojarzenie przyszło nagle. Przypomniał sobie ten sam zapach... ocet i amoniak... Przypomniał sobie też, gdzie to było. Gorączkowo się rozejrzał. Już wiedział. Wszystko nagle znalazło się na swoim miejscu. Odstawił ciasto i obrócił się, odruchowo chwytając za broń. Słusznie przewidział, co zaraz

zobaczy. Pośrodku stołu, między pieprzniczką i solniczką stał olbrzymi plastikowy pojemnik pełen tabletek na nadkwaśność. Różowych. Tabletki były różowe, takie same, jak zapamiętał. A tuż obok pojemnika z tabletkami stała wysoka buteleczka z wąską szyjką, zawierająca ostrą przyprawę. Brakowało tylko cocker-spaniela, trzęsącego się w kącie.

- Laurant! - Nick rzucił się do drzwi. Musiał wrócić do opactwa, zanim będzie za późno. Pędząc przez salon, przewrócił stolik z gazetami, Przeskoczył nad nóżkami, które nagle znalazły mu się na drodze, i wypadł na dwór. Szybko do kościoła. Ten sukinsyn postanowił porwać Laurant, kiedy będzie stamtąd wychodziła. Nick schował pistolet do kabury i pobiegł do telefonu, który miał w samochodzie.

Nie tracił czasu na kontaktowanie się z lokalnymi władzami. Pete mógł podnieść alarm w czasie, gdy on i Noah zapewniali ochronę Tommy'emu i Laurant, pionkom w morderczej grze szaleńca.

Jeszcze z drugiej strony ulicy krzyknął do Bessie Jean:

- Proszę wrócić do domu i natychmiast zadzwonić do szeryfa w Nugent! Niech przyjedzie do opactwa ze wszystkimi ludźmi, jakich ma do dyspozycji.

Wskoczył do samochodu i wyciągnął ze schowka drugi pistolet z zapasowym magazynkiem. Chwycił aparat telefoniczny, a potem znowu krzyknął do wpatrujących się w niego, osłupiałych staruszek:

- Szybko! I powiedzcie szeryfowi, żeby jego ludzie byli uzbrojeni!

Wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Impet szarpnięcia do przodu zatrzęsnał drzwi samochodu. Nick wybrał kod telefonu Pete'a. Wiedział, że szef zawsze nosi aparat przy sobie, a wyłącza go tylko w domu albo w samolocie.

Po pierwszym dzwonku włączyła się poczta głosowa. Nick zaklął, rozłączył się i wybrał domowy numer Pete'a. Pędząc ponad sto kilometrów na godzinę, powtarzał jak zaklęcie:

- No, odbierz, odbierz, odbierz...

Jeden dzwonek. Drugi. Po trzecim dzwonku Pele podniósł słuchawkę.

Nick krzyknął:

- To nie Brenner! To Stark! Wykorzystał Laurant, żeby dobrać się do mnie. Zastawił pułapkę. On zabije ją i Tommy'ego. Ma nas wszystkich na celowniku. Sprowadź pomoc, Pete.

36

Donald Stark, znany mieszkańcom Holy Oaks jako spokojny, uprzejmy farmer Justin Brady, przyklęknął za barierką na balkonie dla chóru. Czekał na okazję. Ależ długo planował ten dzień. Wreszcie odbywała się wymarzona uroczystość. To będzie jego moment chwaty i dzień sądu Nicholasa Buchanana.

Ten śmierdzący muł, Nicholas, wystawił jednak jego dobry nastrój na próbę. Nawet gorzej, doprowadził go do głębokiej irytacji. Próbował zniweczyć wszystkie jego plany i zmusić go do tracenia czasu na zamartwianie się, co robić.

Raz jeszcze Donald Stark wyrzwał znad barierki i omiół wzrokiem tłum na dole. Rozsadzał go gniew, więc musiał bardzo się starać, żeby nad sobą zapanować. Wszystko w swoim czasie, pomyślał. Spojrzał znowu. Gdzie on się podział? Po trzeciej próbie znalezienia tego muła Stark uznał, że Buchanana nie ma w kościele. Ale dokąd mógł pójść? Nagle przyszło mu do głowy, że może stoi z tyłu, pod chórem.

Musiał się upewnić. Postanowił zaryzykować i ukradkiem zejść na dół, żeby to sprawdzić. Musiał mieć pewność. Musiał, musiał. Udział tego muła w uroczystości był absolutnie niezbędny. Przecież to honorowy gość.

Schylając głowę, Stark podczołgał się do ławy, na której zostawił klucz od żeliwnej kraty. Właśnie po niego sięgał, gdy usłyszał pisk opon. Skoczył do okna i wyrzwał na zewnątrz akurat na czas, by zobaczyć zielonego explorera, który z poślizgiem zatrzymał się na podjeździe.

Stark wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cierpliwość nagrodzona - szepnął i westchnął. Wszystko szło zgodnie z planem. Honorowy gość mógł wejść do kościoła w każdej chwili.

Wziął do ręki karabin, ustawił celownik optyczny i zajął pozycję do strzału, klękając za trójnogiem.

Kamera wideo była skierowana na ołtarz. Wyciągnął rękę i włączył nagrywanie. Wybór odpowiedniej chwili był naturalnie bardzo ważny. Jaki byłby pożytek z zabicia ojca Toma i Laurant, gdyby muł miał na to nie patrzeć. Nie byłoby żadnego, uznał Stark. Poza tym chciał utrwalić oba morderstwa na taśmie filmowej. Jak mógłby się chwalić, że przechytrzył FBI, gdyby nie miał na to dowodów? Dobrze wiedział, że jest sprytniejszy niż wszystkie muły razem wzięte. Wkrótce, już naprawdę niedługo, miał się o tym przekonać cały świat. Taśma będzie jednym wielkim szyderstwem, dowiedzie niekompetencji FBI, upokorzy ich tak, jak Nicholas Buchanan upokorzył jego,

- Pieprzyłaś się z niewłaściwym facetem - syknął z nienawiścią. Zaciśnął palce na gładkiej lufie, w której wyczuwał siłę. Wiedział, że z każdą pieszczotą, jaką obdarza broń, jest tej siły więcej.

Ale jeszcze czekał, aż ten śliczny księżulo skończy dawać ślub i stanie za ołtarzem, żeby odprawiać mszę. Stark odrobił swoje lekcje. Dokładnie wiedział, gdzie będzie siedział każdy z uczestników ceremonii. Podczas próby udawał, że pracuje na chórze, i wtedy zapamiętał, że panna młoda, pan młody i świadkowie podejda z księdzem do ołtarza, by niczym królewska rodzina usiąść na krzesłach po prawej stronie, nieco z tyłu, przy północnej ścianie kościoła. Brat i siostra mieli znaleźć się wtedy w centrum obiektywu kamery.

Wszystko składało się wprost idealnie. Najpierw zabije księżula. Pojedynczy strzał, który trafi Tommy'ego w sam środek czoła, będzie wyglądał na filmie wręcz wspaniale. Nicholasa sparaliżuje szok po śmierci najlepszego przyjaciela, a tymczasem on, Stark, przesunie celownik w lewo i zabije Laurant. Kamera z pewnością uchwyci jej reakcję na śmierć brata. Stark wyobraził sobie twogę w jej oczach na ułamek sekundy przed tym, nim i ją dosięgnie kula, i uśmiechnął się znowu. Liczył też na panikę gości, którzy powinni zerwać się z ławek i jak bydło rzucić do wyjścia. Pandemonium było mu potrzebne, musiał bowiem zejść na dół, do składziku przy przedsiionku, wykorzystując kłapę w podłodze, którą zamontował za organami. Potem zamierzał wyjść na dwór przez okno i zmieszać się z histeryzującym tłumem. Może nawet dla zabawy samemu trochę pokrzyczeć.

- Tak dużo do zrobienia, tak mało czasu - szepnęła. Zwłaszcza

że w ciągu tych bezcennych dwóch, trzech, najwyżej czterech sekund, które miał do dyspozycji, zanim tłum zerwie się z miejsc, chciał zabić również Williego i Marka. Obaj siedzieli w pobliżu przejścia przez główną nawę, w szóstej ławce. Stark wiedział, że jest chciwy, ale nic go to nie obchodziło. Musiał się ich pozbyć. Marzył o tym od dawna, ściślej mówiąc, od kiedy wytrzymał ich towarzystwo w jednym mieszkaniu. Świnie. Ohydne, brudne świnie. Nie mógł znieść myśli, że pozwoliłby takim śmieciom dalej zanieczyszczać świat. Niemożliwe. Obaj musieli umrzeć. Gdyby nawet nie udało mu się zabić ich dzisiaj, to jeszcze w tym celu wróci. Nie będzie jednak się wysłał na filmowanie ich śmierci. Mark i Willie nie zasługiwali na to, by o nich pamiętać, podobnie jak ta dziwka Tiffany.

Słuchami dziewczęcy chichot, gdy pomyślał o pilocie do otwierania drzwi garażu, który tak sprytnie zmodyfikował. Urządzenie było przypięte do osłony przeciwsłonecznej przy przedniej szybie jego furgonu. Nikt na nie nie zwróci najmniejszej uwagi. Ale pilot nie otwierał już żadnych drzwi garażu. Nie, panie. Jedno przyciśnięcie guzika i bum! Wiadomości o jedenastej.

Już się dobrze bawimy? O, tak. Bez dwóch zdań.

IVIchelle nie mogła uklęknąć z powodu metalowej szyny, usztywniającej nogę w kolanie, dlatego Tommy dał młodemu ślub na początku ceremonii, zamiast poczekać z tym do połowy mszy, jak było przyjęte. Wiązał z tą parą wielkie nadzieje. Christopher był dobrym, poczciwym i bardzo zrównoważonym człowiekiem. Wierzył w instytucję małżeństwa i wagę ślubów małżeńskich. Podobnie zresztą jak jego urocza oblubienica. Oboje mieli za sobą ciężkie doświadczenia, które przetrwali z klasą i godnością. Tommy wiedział więc, że będą też walczyć o dotrzymanie swoich ślubów, gdy znajdą się na nieuniknionych zakrętach życia.

Cieszył się, że może utrwalić ich więź. Uśmiechnął się, gdy Christopher wkładał obrączkę na palec Michelle. Ręka tak jej drżała, że musiał próbować tego dwa razy. Za to pan młody był niewzruszony jak stary dąb.

Tommy pobłogosławił oblubieńców i odwrócił się, by wejść na stopnie prowadzące do ołtarza. Chór zaczął śpiewać „O, bezcenna miłości”. Członkowie ślubnego orszaku spokojnie rozsiedli się w pierwszych ławkach, natomiast młodzi małżonkowie w towarzys-

twie świadków ruszyli za księdzem, ale skrzyli do krzesel przy ścianie. Laurant starannie ułożyła długi tren, ciągnący się za suknią przyjaciółki, a potem sama zajęła miejsce. Żadne z nich nie miało już wstać aż do komunii.

Dwaj ministranci, kuzyni Michelle, siedzieli po przeciwległej stronie ołtarza, blisko drzwi zakrystii. Obok stał Noah. Obchodząc ołtarz. Tommy zauważył, że agent opiera się o ścianę. Groźnie zmarszczył czoło i zaciskając pięść przy boku, pokazał mu, żeby stanął prosto. Noah natychmiast go usłyszał.

Tommy odwrócił się do wiernych. Skłonił głowę, położył dłonie na chłodnej marmurowej powierzchni ołtarza i powoli przyklęknął.

Wtedy zauważył kwiaty. Pod ołtarzem stał piękny kryształowy wazon białych lilii. Tommy uznał, że zostawiła go tam kwiaciarka, która musiała na chwilę przesunąć bukiet, żeby nie przeszkadzał podczas przygotowywania ołtarza. W każdym razie ten, kto przykrywał ołtarz, najwidoczniej zapomniał potem postawić kwiaty na miejscu. Tommy schylił się po wazon, ale gdy go podnosił, zauważył czerwone światełko wielkości szpilki, mrugające do niego z lewej strony.

Zaintrygowany, pochylił się głębiej i wtedy zobaczył podłużną bryłę wielkości cegły, oblepioną szarą taśmą klejącą. Spod taśmy wystawały czerwone, białe i niebieskie przewody, a pośrodku bryły mrugało światełko.

Już wiedział, na co patrzy. To była bomba. Z jej rozmiaru należało wnosić, że materiału wybuchowego wystarczy do zburzenia całego kościoła. Natomiast mrugające światełko wskazywało, że zapłon już włączono.

- Mój Boże - szepnęła strwożony. Serce mu zamarło. W pierwszym odruchu chciał się zerwać i głośno wykrzyknąć ostrzeżenie, ale w porę się powstrzymał. Musiał zachować spokój. Nie wolno mu było dopuścić do wybuchu paniki w kościele. Opuścił wazon na ziemię i przytrzymał, żeby się nie przewrócił. Ręce mu się trzęsły, pot perlił na czole.

Co robić, na Boga? Wciąż klęcząc na jednym kolanie, odwrócił się do Noaha i przyzwał go skinieniem dłoni.

Widząc napięcie księdza, agent natychmiast znalazł się przy nim. Pomyślał, że Tommy'emu zrobiło się słabo, jego twarz bowiem poszarzała i miała odcień marmuru.

Tommy musiał wesprzeć się na krawędzi ołtarza, bo inaczej by nie wstał. Myślał tylko o jednym: żeby wyprowadzić wiernych

z kościoła. Klęczał niedługo, cztery sekundy, może pięć, ale ludzie na pewno już zaczęli snuć domysły, co się stało. Nadal opierając się jedną ręką o marmurową płytę, ujął drugą wazon i go podniósł. Odstawił kwiaty na ołtarz, koło mikrofonu, i z uśmiechem na twarzy trochę się cofnął. Nie chciał, żeby mikrofon wzmacnił jego szept.

Noah stanął przed Tommym, plecami do wiernych.

- Co się stało? - spytał.

Ksiądz pochylił się i szepnął mu do ucha:

- Bomba pod ołtarzem.

Noah nie zmienił wyrazu twarzy ani na jotę. Skinął głową i odszepnął:

- Zaraz zobaczę.

Zwrócił się ku wiernym, pośpiesznie wykonał znak krzyża, tak jak nauczył go Tommy, i ukląkł. Chciał, by ludzie pomyśleli, że i on uczestniczy w ceremonii. Skłoniwszy głowę, dał nura pod ołtarz.

- Boże - szepnął. Chciał zobaczyć, z czym ma do czynienia, ale jego nadzieja, że znajdzie prymitywne urządzenie domowej roboty, przysła jak bańka mydlana. Nic z tego. Jedno spojrzenie przekonało go, że konstrukcja ładunku jest bardzo skomplikowana, zbyt skomplikowana jak na jego możliwości. Potrzebny był specjalista, tylko gdzie, na Boga, mieli znaleźć takiego specjalistę w miasteczku wielkości Holy Oaks?

Spojrzał na Tommy'ego.

- Nie dam rady, to mnie przerasta.

Gdy wstawał, ksiądz szepnął:

- Okej, musimy natychmiast wyprowadzić stąd ludzi. Ja wciągnę do pomocy Christophera, ty zatrudnij ministrantów.

Tommy energicznie ruszył ku panu młodemu. Był w pół drogi, gdy zmienił zamiar i pokazał Christopherowi, żeby podszedł. Nie chciał alarmować Michelle. Oblubienica spojrzała na niego zdziwiona, a potem pochyliła się do Laurant i coś szepnęła. Ta nieznacznie pokręciła głową, zapewne mówiąc, że nie wie, co robi jej brat.

Tommy szeptem wyjaśnił Christopherowi:

- Mamy problem. Potrzebuję twojej pomocy, żeby wyprowadzić ludzi na zewnątrz. Pod ołtarzem jest bomba. Musimy uniknąć paniki - dodał, gdy pan młody głośno nabrał powietrza. - Uda nam się. Ludzie pójda za tobą i Michelle. Idź - polecił.

- Grota - odszepnął Christopher. - Powiedz wszystkim, żeby poszli za nami do groty, bo mam niespodziankę dla Michelle.

- Dobrze. - Tommy szybko się odwrócił i znów podszedł do ołtarza. Ustawivszy mikrofon, nabrał tchu i rzekł: - Panic i panowie, Christopher ma niespodziankę dla Michelle. Proszę iść za ołtarza do groty pod wzgórzem.

Christopher dotarł do Michelle, jeszcze zanim ksiądz skończył mówić. Wydawała się całkiem zdezorientowana, kiedy pomógł jej wstać z krzesła i ją objął.

- Christopher, co ty robisz? - szepnęła.

- Uśmiechnij się, kochanie. Musimy stąd wyjść.

Michelle objęła go i zgodnie z instrukcją uśmiechnęła się.

- Czy spodoba mi się ta niespodzianka? - spytała.

Nie odpowiedział jej. Minał ołtarz, zszedł ze stopni i ruszył główną nawą do wyjścia.

Na widok jego entuzjazmu Laurant aż się uśmiechnęła. Christopher prawie biegł. Zaczekali wraz z Davidem, który był świadkiem, aż Tommy skończy ogłaszać, co ma do ogłoszenia, po czym oboje wstali. Laurant położyła Davidowi dłoń na ramieniu i ruszyli śladem państwa młodych, ryle że znacznie wolniejszym krokiem.

W kościele podniósł się gwar, goście bowiem zbierali swoje rzeczy, odsuwali klęczniki i wstawiali, by przyłączyć się do innych.

Stark nie wierzył własnym oczom. Ludzie wychodzą. Nie! - krzyczał głos w jego głowie. To nie do przyjęcia. Nikomu nie wolno wyjść. O jakiej niespodziance bzdurzył ten ksiądz? Wychodzenia z kościoła w połowie uroczystości nie było na próbie. Grota? Po co idą do groty? Co przegapił? Starał się szybko coś wymyślić. To nie do przyjęcia. Laurant wychodzi z resztą. Nie, nie, nie! Już mija ołtarz. Najpierw Tom, potem ona. Tak jak zaplanował. Ale muł, gdzie jest muł, żeby to obejrzeć?

Ksiądz znowu pochylił się do mikrofonu.

- Ci z państwa, którzy są bliżej bocznych drzwi, mogą z nich skorzystać. Będzie szybciej.

Stark, trzęsący się ze złości, czuł, że jeszcze chwila i straci panowanie nad sobą. Ale właśnie gdy miał zerwać się na równe nogi, przechylić przez barierkę i zacząć strzelać, zobaczył, jak boczne drzwi się otwierają. Wreszcie zjawił się jego muł.

- No, dobrze, teraz spokojnie, tylko spokojnie - szepnął. - Chciało mu się krzyczeć z radości. Tak podniecił go widok muła, że miał ochotę pomachać mu ręką. Miło cię widzieć, Nicholas. Tak, panie.

Jeszcze miał czas na swoje przedstawienie... pod warunkiem że będzie działał szybko. Poderwał karabin i wymierzył go w pierwszy cel.

- Nie śmieć się, nie śmieć - szepnął, ale emocja była trudna do opanowania. Zerknął w celownik i położył palec na spuście. Ostrożnie. Ostrożnie. Wyczekaj.

Noah zdążył już popchnąć ministrantów ku bocznym drzwiom i odwracał się, by zatrzymać Laurant, zanim opuści prezbiterium. Nie wolno mu było spuścić jej z oka. Musiała wyjść z bratem pod jego opieką.

Był mniej więcej trzy metry od Tommy'ego, gdy zauważył promień skaczący po ścianie. Zareagował natychmiast.

- Strzelec! - krzyknął, wyciągnął pistolet z rękawa i skoczył ku Tommy'emu.

Nick dostrzegł laserowy promień w tej samej chwili.

- Padnij! - zagrzmiał pełną piersią i zaczął się przedzierać przez zdumiony tłum.

Tommy nie miał czasu zareagować. Usłyszał gwizd. Kula odłupała kawałek ołtarza. Jednocześnie Noah oddał kilka strzałów w stronę chóru i szczupakiem powalił księdza. Gdy padali, uderzył głową o marmurową mense i bezwładnie przykrył go swym ciałem. Tommy wygramolił się spod spodu i próbował wciągnąć Noaha za jakąś zasłonę. Zauważył krew, płynącą z lewego ramienia nieprzytomnego.

Powietrze przeszły krzyki ludzi, w panice spieszących do wyjścia. We wszystkich nawach falował histeryzujący tłum. Nick trzymał pistolet w prawej ręce i nie zważając na zamieszanie, parł w przeciwnym kierunku. Gdy padły strzały z góry, wyciągnął z kabury na biodrze drugi pistolet, wskoczył na najbliższą ławkę i otworzył ogień. Biegając po pulpitych ławek, strzelał na przemian to z jednego pistoletu, to z drugiego, starając się zmusić napastnika do poszukania osłony.

Stark skrył się za barierką. Co się dzieje? Jasnowiący ksiądz wyciągnął broń i zaczął do niego strzelać. Starka rozwścieczyło to, że sam zdążył strzelić zaledwie kilka razy. Widział jednak, jak ojciec Tom pada, a zaraz po nim ten drugi. Był pewien, że obu trafił.

Teraz musiał dostać Laurant. Przesunął karabin i zobaczył ją w celowniku. Klęczała u podnóża stopni przed ołtarzem. Właśnie usiłowała wstać, gdy strzelił. Upadła, ale nic umiał powiedzieć, gdzie ją trafił. Wokół głowy świstały mu kule. Rzucił karabin

i zaczął pełznąć do klapy w podłodze. Kasetę wideo! - przypomniało mu się. Musiał ją zabrać. Nad głową wciąż bzykały mu pociski. Gdy sięgał do kamery, jeden omal nie trafił go w rękę. Kasetę okazała się nieosiągalna, ale przecież nie mógł odejść bez niej. Podczołgał się więc do kontaktu przy organach i szarpnął za przewód. Kamera z trzaskiem rozbiła się o podłogę. Pociągnął ją do siebie. Sekundę później miał kasetę w ręce. Wcisnął ją do kieszeni kurtki, zapiał kieszeń na zamek i skrywszy się za organami, podniósł klapę. Opuścił się na półteczkę, którą zbudował specjalnie w tym celu. Stanąwszy na niej, zatrzasnął i zarygłował klapę.

W rwetesie, który panował dookoła, nie musiał się obawiać, że ktoś usłyszy trzask klapy. Zeskoczył do składowiska, otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. W przedsionku nikogo nie było, widział jednak mnóstwo ludzi przepychających się do drzwi. Postanowił wtopić się w tłum. Przebiegł przez przedsionek i łokciami zaczął sobie torować drogę. Stara kobieta chwyciła go, żeby uniknąć przewrócenia, więc jako dżentelmen podał jej ramię i pomógł wyjść na zewnątrz.

Raz zerknął za siebie i musiał bardzo uważać, żeby się nie rozeźmiać. Nicholas Buchanan prawdopodobnie wciąż przedzierał się przez tłum do żeliwnej kraty. W końcu wbiegnie po schodach na górę, ale czy znajdzie klapę w podłodze? Stark bardzo w to wątpił. Tak zręcznie udało mu się ją zaprojektować. Wyobraził sobie muła, stojącego na chórze i drapiącego się po głowie. Gdzie, do licha, podział się Justin Brady? Tak, przecież agent będzie szukał właśnie Justina Brady'ego, dlatego Stark był pewien, że przy następnym spotkaniu Nicholas go nie pozna. Broda zniknie, włosy będą dłuższe, ułożone i przefarbowane na inny kolor. Zmieni też kolor oczu, może na zielony albo niebieski. Stark miał dużą kolekcję soczewek kontaktowych i mógł wybierać do woli. Wszystkie kolory tęczy były jego.

Uważał się za mistrza przebrań. Tajemnica polegała na drobnych zmianach. Nic wielkiego, tylko mały retusz tu i tam, i już różnica stawała się olbrzymia. Nie poznałaby go własna matka, gdyby podszedł do niej dzisiaj i poklepał po ramieniu. Naturalnie Millicent nie mogła już nic zobaczyć, gniła bowiem na podwórzu pod petuniami, które tak lubiła. Ale Stark był pewien, że spodobałoby jej się, gdyby zobaczyła go w farmerskim przebraniu.

Wszedłszy na zewnątrz, nie puścił starej kobiety, lecz pociągnął ją za róg kościoła. Trzymał się blisko ściany budynku, żeby muł

go nie zobaczył, gdyby wpadło mu do głowy zerknąć przez okno z chóru na dół.

Starucha zaczęła krzyżeć. Dotarli już do bocznych drzwi, którymi również wylewał się tłum, więc nagle zaczęła się opierać.

- Puść mnie, człowieku. Muszę znaleźć męża. Pomóż mi znaleźć męża.

Odepchnął ją z całej siły i przyjrzał się, jak wpada w krzaki. Potem ruszył dalej razem z tłumem. Jeszcze raz się odwrócił, żeby sprawdzić, czy muł nie wpadł na jego trop.

Aż zapiszczał z podniecenia. Tłum rozstępował się na boki, a ojciec Tom szybko szedł do drzwi, niosąc tego drugiego księdza. Jego biały ornat był zaplamiony krwią, ale brat Laurant nie wydawał się ranny. I ona też nie. Boże wielki, wychodziła z kościoła tuż za nim.

Tak nim wstrząsnęło to, że oboje żyją i co gorsza mają się dobrze, że omal na nich nie krzyknął. Oparł się bezwładnie o ścianę, poczuł za plecami chłód kamienia. Co robić? Co robić? Nie ma czasu, żeby coś zaplanować, w ogóle nie ma czasu, ale przecież musiał coś zrobić, zanim okazja wymknie mu się z rąk.

Toma otoczyła ludzka ciżba. Stark obserwował, jak ksiądz układa tego drugiego na trawie, klęka i szepcze umierającemu coś do ucha. Bez wątpienia się modli, jakby mogło to coś pomóc.

Tylko że ten postrzelony ksiądz wcale nie był księdzem. Miał pistolet. To był muł, przebieraniec. Jak śmieli go nabrać? Jak śmieli? To muł, ale teraz wykutuje, i koniec.

Stark bardzo chciał zabić Toma, wiedział jednak, że nie będzie miał okazji do pewnego strzału, zbyt wielu ludzi biegało bez sensu tam i z powrotem jak kurczaki z urzędnymi łbami.

Znów skupił uwagę na Laurant. Łatwy łup, pomyślał. Stała koło drzwi, oparta o mur, i usiłowała nie mieszać się z tłumem, ale co chwila zaglądała do środka, do kościoła. Miał do niej nie więcej niż dziesięć metrów. Wolno podkraść się bliżej. Wydawała się oszołomiona i to dało mu dodatkową przewagę.

Pistolet, wyciągnięty z kieszeni spodni, schował za pazuchą.

- Laurant! - zawałał ją po imieniu, miał nadzieję, że żałośnie. Zgiął się w pół, zwiesił głowę, ale ukradkiem zerkał na nią, gdy po raz drugi zawałał: - Laurant, postrzelili mnie! Proszę, niech mi pani pomoże. - Zatoczył się jeszcze bliżej. - Proszę.

Laurant usłyszała wołanie Justina Brady'ego i bez wahania ruszyła w jego kierunku.

Udał, że się połyka, a potem głośno jęknął. Oskar za rolę pierwszoplanową. Stanowczo powinien dostać nagrodę za laki popis aktorskiego kunsztu.

Po pierwszym kroku zrobionym w stronę Justina coś zapiekło Laurant w prawej łydce. Prawdopodobnie rozciąła sobie skórę, kiedy jedna z drухen przewróciła ją na podłogę, przepychając się do drzwi. Poczwała, że krew ścieka jej do pantofla.

Utykała, ale szła najszybciej, jak mogła. Jakies cztery metry od Justina nagle przystanęła. Coś wydało jej się podejrzane. Usłyszała w głowie ostrzeżenie Nicka. Nie wierz nikomu. A gdy spojrzwała nieco niżej, zrozumiała, co wzbudziło jej podejrzania.

Justin zobaczył, że Laurant nagle cofnęła się o krok. Prawą rękę miał za pazuchą, przy ciele trzymał bowiem pistolet. Dalej kuśtykał w jej stronę, zgięty w pół, udając straszliwy ból.

Nie wierzy mu. Na co ona się gapi? Na jego rękę. Gapi się na jego rękę. Zerknął w dół i zrozumiał. Gumowa rękawiczka. Zapomniał zdjąć gumowe rękawiczki. Rozdrażniony własnym zaniedbaniem, rzucił się na nią jak wściekły byk. Chciała uciec, odwróciła się i panicznym krzykiem zaczęła wzywać Nicholasa, ale dopadł jej i ciosem rękojeści pistoletu w podstawę czas/ki przerwał te wrzaski.

Pospiesz się, zadzwieczętał głos w jego głowie. Bierz ją, bierz ją, bierz ją. Była nieprzytomna, ale osunęła się prosto na niego, więc złapał ją w pół, zanim upadła na ziemię, i pociągnął ku murowi kościoła, a potem dalej, za róg. Ludzie wciąż wychodzili na zewnątrz, grupki zbierały się na parkingu, ale nikt nie próbował go zatrzymać. Czy widzieli, co robi? Czy widzieli pistolet przytknięty do jej klatki piersiowej? Lufa była skierowana do góry, jej wylot znajdował się pod podbródkiem Laurant. Gdyby ktoś próbował się wtrącić, Stark doskonale wiedział, co zrobi. Odstrzelił jej tę śliczną główkę.

Nie chciał jednak, żeby umarła, w każdym razie nie tak szybko. Był wprawdzie zmuszony do pogodzenia się z pewnymi zmianami, wciąż jednak miał wielkie plany w stosunku do tej dziewczyny. Gdy już wsadzi ją do bagażnika swojego drugiego samochodu, odrapanego buicka, którego muły nie znają, wywiezie ją w bezpieczne miejsce i tam zwiąże. W okolicznych lasach było mnóstwo opuszczonych chat myśliwskich i rybackich. Wiedział, że bez trudu znajdzie odpowiednią. Zostawi tam Laurant spętana jak indora, z kneblem w ustach, i pójdzie po zakupy. Tak, właśnie

tak robi. Kupi nową kamerę wideo, naturalnie najwyższej jakości, bo tylko taka mogła go zadowolić. Kupi też tuzin kaset wideo - Sony, jeśli tylko będą, żeby mieć zagwarantowaną jak najlepszą ostrość obrazu. A potem wróci do swojej uroczej Laurant i sfilmuje jej umieranie. Postara się jak najdłużej utrzymać ją przy życiu, ale gdy nadejdzie nieuniknione i oczy wreszcie jej zmatowieją, będzie mógł przewinąć kasetę i jeszcze raz obejrzeć tę wspaniałą egzekucję. Stark wiedział ze swoich poprzednich doświadczeń, że spędzi nieskończone godziny na oglądaniu kasety, póki nie zapamięta najdrobniejszego poruszenia, każdego krzyku, każdego błagalnego jęku. Dopiero gdy osiągnie całkowite spełnienie, będzie mu wolno odpocząć.

Kiedy pozbędzie się jej ciała w lesie, wróci do domu. Skopiuje kasety i roześle je do wszystkich, na kim tylko chciałby zrobić wrażenie. Jedną dostanie Nicholas Buchanan, żeby nie zapomniał, jaki był bezsilny, gdy porwał się na mistrza. Następną dostanie szef FBI. Może będzie chciał w przyszłości wykorzystać ją do szkolenia mułów. Naturalnie kilka kaset Stark zamierzał zatrzymać w swym prywatnym zbiorze, wszak nawet najlepsza kasetka w końcu się zużywa. A ostatnią sprzeda na aukcji w Internecie. Wprawdzie nie musiał się uganiać za wszechmogącym dolarem, ale porządny kapitał da mu swobodę poszukiwań następnej klientki, a ta kasetka musiała przynieść mu fortunę. Wśród klientów Internetu jest wielu ludzi z podobnym jak on upodobaniem do podglądactwa.

Laurant leżała bezwładnie na ziemi przy furgonetce, a tymczasem Stark wyciągał kluczyki. Nikt ich nie widział, samochód był ukryty między dwoma innymi. Stark przekręcił kluczyk w zamku, odsunął boczne drzwi i wrzucił dziewczynę do środka. Gdy zamykał drzwi, przytrzasnął spódnicę jej sukni, ale za bardzo się spieszył, żeby mieużyć czas na ponowne ich otwieranie. Popełniał błędy, ale trudno. Wszystko działo się teraz strasznie szybko, w dodatku dopuścił się dużego zaniedbania z rękawiczkami. Obiegł więc samochód, wskoczył na miejsce za kierownicą i wtedy zobaczył ambulans, który szukał drogi na podjeździe. Przeszkadzał mu jednak tłum ludzi i samochodów. Syrena wyła ogłuszająco.

Stark wiedział, że tamtędy się nie przedostanie, ale choć teoretycznie był to jedyny wyjazd, niezbyt się tym przejął.

- Co tam - szepnął. Zapalił silnik i wolno wjechał furgonetką na krawężnik. Wtedy dodał gazu. Samochód z impetem rozgniółł krzaki róż. Ciernista gałąź, uderzyła w przednią szybę i Stark

instynktownie uchylił się, jakby mogła zrobić mu krzywdę. Teraz już prawie stał na pedale gazu, wciskał go całym ciężarem ciała. Furgonetka, trzęsąc się i podskakując, potoczyła się jak szalona po trawiastym stoku. Siarkowi wydawało się, że frunie.

Zerknął we wsteczne lusterko i parsknął śmiechem. Nikt za nim nie jechał.

Czy powinien zrobić to teraz? Wysłać ich wszystkich do aniołków? Detonator, udający pilota od drzwi garażu, miał tuż nad głową, przytwierdzony do przeciwśłonecznej osłony.

Nie. Chciał, żeby Laurant obejrzała ten fajerwerk. Postanowił trzymać się pierwotnego planu. Wysadzi opactwo w powietrze, wyjeżdżając z miasteczka. Miejsce wybrał wcześniej. Łoża z doskonałym widokiem na szczycie wzgórza pod Holy Oaks. Będzie widział każdą walącą się cegłę. Och, co to będzie za przedstawienie! Boże, to też powinien sfilmować. I rozesłać do wszystkich stacji telewizyjnych. Wiadomości o jedenastej. Tak, panie.

- Zielonooka, zbudź się, zielonooka, pobaw się ze mną, zielonooka zbudź się, pobaw się ze mną... Laurant, czas się zbudzić.

Zerknął na zegarek i zdziwił się, jak mało czasu upłynęło, odkąd opuścił kościół. Nagle usłyszał pisk opon i poderwał głowę. We wstecznym lusterku zobaczył na szczycie wzgórza zielonego explorera. Samochód właśnie lądował na przednich kołach po potężnym skoku. Stark nie wierzył własnym oczom. Wpadł we wściekłość.

- Nie do przyjęcia! - krzyknął i wyrznął pięścią w kierownicę.

Furgonetka wypadła na główną ulicę miasteczka i zawadziła bokiem o zaparkowany samochód. Stark wyciągnął ją z poślizgu, dodał gazu, a na najbliższym rogu z piskiem opon zakręcił. Gnał teraz ponad sto kilometrów na godzinę w stronę parku. Na następnym zakręcie, pokonanym na dwóch kołach, omal nie przewrócił furgonetki, nagłym ruchem kierownicy zdołał jednak opanować sytuację. Jeszcze jeden zakręt, i przed jego oczami ukazała się brama do parku od strony rezerwatu.

Muła już za nim nie było. Stark był pewien, że go zgubił. Chichocząc, zwolnił i wjechał na drogę używaną zwykle przez biegaczy. Samochód podskakiwał. Lewe koła ślizgały się po gładkiej asfaltowej nawierzchni, natomiast spod prawych tryskały niezliczone kamienie z pobocza.

Wydało mu się, że usłyszał jęk Laurant. Z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie przeskoczyć przez oparcie siedzenia

i na miejscu nie obdrzeć jej ze skóry gołymi rękami. Gniew szarpał nim coraz mocniej, myśli przelatowały mu przez głowę tak szybko, że nie mógł się skupić. Sięgnął do lusterka. Chciał nastawić je tak, żeby widzieć Laurant. Leżała skulona na boku, plecami do niego. Nie poruszała się. Musiał się przesłyszeć. Niemożliwe, żeby jęknęła. To tylko gra jego wyobraźni.

Był tak zajęty dziewczyną, że omal nie wjechał do jeziora. W ostatniej chwili zakręcił. Zaraz potem jeszcze raz zmienił ustawienie lusterka, żeby widzieć drogę za furgonetką. Robiło się stromo, więc musiał jeszcze bardziej zwolnić. Ale w jego głowie myśli wciąż kłębiły się w oszałamiającym tempie. Zerknął przez ramię na Laurant, zobaczył jednak wcale nie ją, tylko tę dziwkę Tiffany. Pokręcił głową i nagle Laurant znowu stała się sobą.

Chciał zatrzymać samochód, żeby na chwilę zamknąć oczy. Potrzebował czasu na przywołanie umysłowi spokoju, poukładanie wszystkiego na swoim miejscu. Zawsze wszystko drobiazgowo planował, do ostatniego szczegółu. Nie lubił niespodzianek. To dlatego jestem taki rozstrojony, uznał.

Zaskoczyło go, że ten jasnowłosy ksiądz skoczył do Tommy'ego. Że wyciągnął broń i zaczął do niego strzelać. Że ksiądz wcale nie był księdzem. Stark nie mógł pogodzić się z tym, że muły, chociaż głupie, jednak go oszukały. Nigdy, nawet przez chwilę, nie przyszło mu do głowy, że kuplem Toma jest muł w przebraniu.

Właśnie dlatego był teraz taki rozstrojony. Nabrali go. Westchnął. Czuł jednak, że znowu osiąga niezbędne skupienie. Goniłwa myśli ustała. Panowanie nad sobą i wszystkim, w tym rzecz. Znowu był panem.

— Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił śpiewnie, kierując te słowa do Laurant. Gdy dotarł do drogi okalającej jezioro, natężył uwagę, żeby nie przegapić właściwej przesieki. Potem znowu zwiększył prędkość. Buick czekał na niego jakieś dwieście metrów dalej, ukryty między drzewami, za opuszczoną chałupą. Jeszcze go nie widział, ale dobrze pamiętał, gdzie stoi, gotowy do drogi.

- Prawie na miejscu - powtórzył. Wystarczyło teraz objechać bramę do parku, pokonać jeszcze jeden zakręt i ukryć furgonetkę między drzewami.

Był już na drodze prowadzącej do chałupy, gdy znowu zauważył zielonego explorera. Niespodziewanie wjechał do parku i zwolnił na zakręcie.

- Nie. - Stark z całej siły wcisnął hamulce. Nie miał czasu cofnąć furgonetki, zawrócić i uciec mułowi. Nie mógł jednak również pojechać naprzód. Nicholas Buchanan zobaczyłby go i zablokował mu drogę. Co robić? Co robić? - Nie, nie, nic mruzczał pod nosem.

Zatrzymał samochód, chwycił pistolet i wyskoczył na drogę. Musiał obieć samochód i otworzyć boczne drzwi od zewnątrz, bo przecież usunął klamki ze środka, żeby jego przyjaciółki nie próbowały uciekać podczas jazdy.

Schował pistolet za pazuchą, wyciągnął Laurant z wozu i wziął ją na ręce. Nowy plan. Tak, miał nowy plan. Mógł to zrobić. Zaniesie ją do chałupy, tam jest ciemno i przyjemnie. Zamknie drzwi i zacznie nad nią pracować. Muł będzie na zewnątrz, słysząc wrzaski Laurant, będzie próbował dostać się do środka i wtedy popełni błąd. Na pewno popełni błąd. I wtedy Stark go zabije.

Ocknąwszy się, Laurant nie była zamroczona. Odzyskała przytomność w jednej chwili. Na szczęście zorientowała się, że nie wolno jej krzyknąć. Zresztą byłoby to trudne, bo do gardła podchodziła jej żółć.

Leżała w furgonetce. W jego furgonetce. Nie śmiała drgnąć ze strachu, że szalenie zobaczy to w lusterku albo usłyszyci ją, jak obmacuje podłogę dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Odważyła się tylko na szybkie spojrzenie i zauważyła w pobliżu skrzynkę z narzędziami. Musiałaby się jednak poruszyć, żeby jej dosięgnąć. Skrzynka stała przy tylnych drzwiach. Czy można by tamtędy uciec? Otworzyć drzwi i wyskoczyć? Ale gdzie, u licha, jest klamka? Wbiła wzrok w ciemność i wtedy zauważyła otwór, zięjący w tylnych drzwiach. Ten szalenie wyrwał klamkę. Po co? Leżąc tak jak teraz, nie była w stanie dostrzec, czy boczne drzwi są podobnie uszkodzone, choć opierała o nie stopy.

Drżała na całym ciele, wszystkie siły skoncentrowała więc na walce z tym odruchem, aby mężczyzna nie zauważył, że się ocknęła. Furgonetka najechała na jakąś nierówność. Szarpnięcie wyrzuciło dziewczynę do góry. Uderzyła o tylną część siedzenia. Zaraz potem znów poleciała do tyłu, bo samochód gwałtownie przyspieszył. Poczula przy skórze chłód metalu. W ciało wciskała jej się agrafka. Laurant zaczęła manipulować palcami, żeby ją odpiąć. Przez drżenie rąk omal jej nie upuściła, na szczęście zdążyła zacisnąć palce. Przy okazji jednak wyrwał jej się jęk. Po

chwili zaczęła prostować agrafkę. Nie wiedziała, co dalej z nią zrobić, ale innej broni nie miała. Liczyła, że uda jej się wbić mężczyźnie agrafkę w gardło. Oczy piekły ją od łez. Ból głowy był tak silny, że każda myśl sprawiała jej cierpienie. Czy on ją teraz obserwuje? Czy ma pistolet w ręce? Może zaskoczyłaby go, rzucając się na niego od tyłu?

Powoli zaczęła przemieszczać nogi, licząc na to, że wkrótce zdoła jednym ruchem odwrócić się i zerwać z podłogi, by chwycić mężczyznę od tyłu za szyję i uderzyć jego głową o kierownicę. Okazało się jednak, że ma ograniczoną możliwość ruchu. Dół sukni o coś zaczepił. Laurant bała się jednak odchylić głowę, żeby sprawdzić, co to takiego.

Furgonetka niespodziewanie przystanęła. Dziewczyna upuściła agrafkę, ale na szczęście tuż przy dłoni. Dokąd on idzie? Co zamierza zrobić?

O Boże, idzie po mnie, pomyślała.

Musiała być przygotowana. Zaraz będzie ją wyciągał z samochodu i musiała być na to przygotowana. Jakoś zdołała okrećić agrafką dwa środkowe palce powyżej knykci. Metalowa zapinka skaleczyła jej skórę i boleśnie wpiła się w ciało, ale za to igła agrafki sterczała prosto do góry. Lewą dłoń zacisnęła w taki sposób, żeby trochę zamaskować tę broń.

Żeby tylko nie miał pistoletu, pomyślała. Boże, proszę, żeby nie miał. Nie mogłaby rzucić się na niego, gdyby trzymał broń. Zabiłby ją wtedy, zanim zdążyłaby go dotknąć. Jeśli ma broń, to poczekam, zdecydowała. Niech mnie weźmie na ręce. Z bronią tego nie zrobi.

Furgonetka dmęła, a boczne drzwi nieznacznie się uchyliły. Laurant mocno zacisnęła powieki, starając się powstrzymać łzy. W milczeniu powtarzała słowa modlitwy.

Boże, dopomóż mi, Boże...

Usłyszała jego chrapliwy oddech. Szarpnęła ją ku sobie za włosy. Gdy się pochylił, by ją podnieść, ostrożnie zerknęła i stwierdziła, że mężczyzna jednak trzyma broń. Bezceremonialnie zarzucił sobie Laurant na ramię.

Był silny, bardzo silny. Biegł, trzymając ją na lewym ramieniu, tak jakby nie ważyła więcej niż płatek łupieżu, który przykleił mu się do kołnierzyka. Miała teraz oczy szeroko otwarte, ale nie śmiała ruszyć głową. Dopóki sądził, że jest nieprzytomna, była w lepszej sytuacji. Zobaczyła przed nimi domek opata.

Nagle usłyszała nadjeżdżający samochód i głośne przekleństwo szaleńca. Wbiegł na ganek i stanął.

Usłyszała szarpanie za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Sekundę później tuż przy jej uchu rozległ się wystrzał. Wzdrygnęła się i mężczyzna bez wątpienia to poczuł.

Stark tak bardzo chciał się dostać do środka, że kopniakiem wysadził drzwi z zawiasów. Z całej siły uderzył w wyłącznik światła i zapaliły się dwie lampy, jedna na komodzie przy drzwiach, druga na górze, na antresoli. Wciąż trzymając Laurant na ramieniu, przebiegł przez pokój i wpadł do kuchni. Odłożył pistolet na blat i zaczął gorączkowo wyciągać wszystkie szuflady, a ich zawartość wysypywał na podłogę.

- O, jest! - wykrzyknął radośnie, gdy wreszcie znalazł no/e. Chwycił za największy. Rzeźniczy. Wydawał się stary i tępy, ale Starka nie interesowało, kiedy ostatnio ktoś go ostrzył. Nie miał czasu na finezję w pracy. Trudno. Tym nożem musiał się zadowolić. Tak, panie.

Zabrał z blatu pistolet i biegiem wrócił do dużego pokoju, kopniakami odgarniając na boki rozsypane sztucce i przybory kuchenne. Na środku pokoju przystanął i rzucił Laurant na podłogę. Uderzyła lewym bokiem o stolik.

Odczekał, aż będzie leżała, i znów szarpnął ją za włosy, zmuszając do klęknienia.

- Otwórz oczy, ty dziwko. Chcę, żebyś patrzyła w stronę drzwi. Patrz na tego muła, jak wbiegnie tutaj, żeby cię ratować.

Przy tych słowach zorientował się, że trzyma nóż i pistolet w tej samej ręce. Puścił więc dziewczynę i przełożył nóż do lewej ręki.

- No, już dobrze - powiedział. - Coś mi się pomyliło, prawda? Przecież nie mogę strzelać i kroić tą samą ręką. Popatrz na mnie, Laurant. Zobacz, co dla ciebie mam.

Wciąż klęczała, a on przykucnął za nią. Jej ciało osłaniało go przed strzałem Nicholasa. Pokazał jej nóż przed oczami.

- Jak myślisz, po co mi to?

Chociaż nie spodziewał się odpowiedzi, był jednak trochę rozczarowany, że na widok noża nie zaczęła krzyczeć. Ale zaraz będzie, gdy tylko zacznie nad nią pracować. O tak, przecież dobrze wiedział, czego chce. Nadal był tu panem. Dźgnął Laurant w lewe ramię i zachichotał, gdy krzyknęła. Krew płynąca jej po ramieniu podnieciła go. Dźgnął ją jeszcze raz.

- Grzeczna dziewczynka. Krzycz dalej! - zachęcił piskliwym głosem. - Nicholas powinien cię dobrze słyszeć.

Kucnął za nią w oczekiwaniu. Trzymał ją blisko siebie, a broń skierował ku otwartym drzwiom. Głową schował za głową dziewczyny, raz po raz zerkał jednak w stronę wejścia. Dźgnął ją jeszcze raz, ot tak, dla zabawy, ale tym razem nie krzyknęła. Przyłożył zakrwawiony czubek noża do jej szyi.

- Próbujesz być dzielna, Laurant? Daj spokój. Kiedy chcę, żebyś krzyczała, to będziesz krzyczała.

Usłyszał jej jęk i uśmiechnął się.

- Nie denerwuj się. Nie zastrzele muła od razu. Chcę, żeby obejrzał, jak cię zabijam. Oko za oko - wyjaśnił śpiewnym głosem. - Ciekawe, co go tak długo zatrzymuje. Co ten chłopak wykombinował? Może próbuje wślizgnąć się do domku przez kuchnię? Trudna sprawa, przecież tam nie ma drzwi. Nie da chłopak rady, co?

Gdyby milczał, prawdopodobnie usłyszałyby ciche skrzypnięcie nad głową. Nick wszedł do środka przez okno w sypialni. Wprawdzie gałąź złamała się w chwili, gdy złapał za gzyms, ale na szczęście równocześnie rozległ się hałas wewnątrz.

Drzwi sypialni były otwarte. Nick wyczołgał się na antresolę. Widział, że Stark z Laurant są na środku pokoju, pod nim, obróceniu ku frontowym drzwiom. Miał w dłoni sig sauera, a za pasem glocka.

Nie miał jednak możliwości pewnego strzału do tego sukinsyna. Gdyby kula przeszła przez ciało, mogłaby zranić Laurant. Nie wolno mu było ryzykować. Ale na dół też nie mógł zejść. Stark by go zobaczył. Co robić, u diabła?!

Laurant podniosła głowę i zauważyła cień na suficie. Nieznacznie się przesunął, zrozumiała więc, że Nick jest na górze. Jej prześladowca również musiał wkrótce zauważyć ten cień.

- Po co pan to robi, Justin?

- Zamknij się. Muszę słyszeć, czy nie jedzie samochód. Chcę wiedzieć, kiedy ten muł tu będzie.

- Byłeś dla niego za szybki. Widocznie nie zauważył furgonetki i skręcił na północ zamiast na południe. Teraz jest po drugiej stronie jeziora.

Stark z napięciem nasłuchiwał, czy nie usłyszy kroków na żwirze przed domkiem, mimo to się uśmiechnął.

- Właśnie. Byłem szybki. Byle jaki muł mnie nie przechytry.

- Czy muł to znaczy agent FBI?

- Tak - odparł. - Bystra z ciebie dziewczyna.

Musiała ciągnąć tę rozmowę. Niech Justin myśli o tym, co mówi, to może nie spojrzy w górę.

- Nic taka bystra jak pan. Dlaczego właściwie pan mnie wybrał? Za co pan mnie tak nienawidzi?

Przesunął kciukiem po jej policzku. Gumowa rękawiczka była zimna.

- Cicho. Nie nienawidzę cię. Kocham cię - powiedział przymilnie. - Ale jestem kimś, kto łamie serca.

- Dlaczego akurat moje? - dopytywała się. Głowę miała spuszczoną, przez cały czas spoglądała jednak w górę; obserwowała powolne przesuwanie się cienia.

- Wcale nie chodziło mi o ciebie - odparł. - Ten mul zabił moją żonę, a potem chełpił się tym w gazetach. Tak właśnie zrobił. Zmarnowałem mnóstwo czasu i energii na jej wyćwiczenie. Była bliska ideału. Zawsze dążyłem do doskonałości i już prawie osiągnąłem cel. Tak, ona była już prawie ideałem. I wtedy ją zabił. Nazwano go za to bohaterem. Zniszczył mi życie i za to nazwano go bohaterem. Rozpisywano się, jaki jest wspaniały. Nie mogłem tego puścić płazem! Musiałem dowieść świata, że to ja jestem panem.

Wzdrygnęła się, słysząc, ile nienawiści jest w jego głosie. Nie musiała go pytać o nic więcej. Wyglądało na to, że teraz sam chce jej wszystko opowiedzieć. Mówił coraz szybciej. Chciał się pochwalić, jak oszukał mułów.

- Kiedy przeczytałem ten artykuł w gazecie i dowiedziałem się, kto zabił moją żonę, postanowiłem się zemścić. Rozumiesz? Sami mnie do tego zmusili. Wspomniano w tym artykule twojego brata, więc postanowiłem się dowiedzieć czegoś więcej o poczciwym ojcu Tomie. Przeczytałem, że od dzieciństwa są z Nicholasem Buchananem najlepszymi przyjaciółmi. Początkowo chciałem zabić twojego brata, a potem wziąć się za rodzinę tego muła, ale dlaczego miałem dawać mu przewagę poruszania się na znanym terenie? Holy Oaks było idealnym miejscem do urzeczywistnienia mojego planu. Jest tak wygodnie położone na uboczu. Przeprowadziłem więc wywiad, dowiedziałem się, czego trzeba, o Tommym. Wyobraź sobie, jak się ucieszyłem, kiedy usłyszałem o tobie. Ale przez cały czas chodziło mi tylko o Buchanana ~ powiedział, pogardliwie parszając. - Oczywiście dopóki nie spotkałem ciebie. Potem zapragnąłem również ciebie. Kiedy poznałem

moją żonę, było w niej coś, co przypominało mi matkę. Ty też mi ją przypominasz. Masz w sobie załączki doskonałości, Laurant. W innych okolicznościach na pewno mógłbym cię wyćwiczyć. Matka już nie żyje. Nie było powodu dłużej utrzymywać jej przy życiu. Ona osiągnęła doskonałość, dlatego wiedziałem, że muszą się spieszyć.

Gdy urwał, Laurant natychmiast zapytała:

- A kim była Millicent? Istniała naprawdę?

- O, widzę, że słuchałaś taśmy ze spowiedzią.

Skinęła głową. Czuła słodkomy zapach wody kolońskiej Calvina Kleina, mieszanicy się z nieświeżym oddechem szaleńca.

- Czy Millicent istniała? - powtórzył. - Może.

- Ile kobiet zabiłeś?

- Ani jednej - odparł. - Matka się nie liczy. Nie można zabić doskonałości. Kurwy też się nie liczą. Nie, stanowczo nie. Jak widzisz, będziesz pierwsza.

Jednak zauważył cię. Obrócił Laurant dookoła i krzyknął:

- Zabiję ją! Zabiję ją! Rzuć broń, Buchanan. Szybko, szybko, szybko, szybko!

Nick był już pośrodku antresoli. Podniósł ręce do góry, ale nie wypuścił pistoletu. Stół w jadalni był dokładnie pod nim. Gdyby tylko mógł przechylić się przez poręcz...

Stark nadal krył się za Laurant i usiłował ją odwrócić tak, żeby widzieć schody, mieć pełną zasłonę i ścianę za plecami.

- Rzuć broń! - krzyknął jeszcze raz. - A potem zejdź na dół i przyłącz się do nas!

- Tym razem nie uda ci się wymknąć - powiedział Nick. Widział trwogę i cierpienie, malujące się w oczach Laurant. Gdyby tylko udało mu się skłonić Starka, żeby na chwilę się od niej odsunął, zdążyłby strzelić, zanim ten strzeli do niego.

- Uda się, uda. Zabiję i Laurant, i ciebie, a potem ucieknę. Głupie muły będą szukać tępego farmera Justina Brady'ego. Rzuć wreszcie broń, bo podrznę jej gardło.

Nick wypuścił z dłoni pistolet, który cicho opadł na dywan u jego stóp.

- Kopnij go tak, żeby był daleko! - wrzasnął Stark, wymachując bronią.

Nick spełnił jego żądanie, zaczął jednak wolno opuszczać ramiona, tak że dłonie miał w końcu na poziomie ramion. Wiedział, że będzie się liczyć każdy ułamek sekundy. Chciał mieć ręce jak najbliżej poręczy, żeby w odpowiedniej chwili skoczyć.

- Mam cię teraz, mule, co?! - krzyknął Stark. - I kto tu jest panem? Kto jest bohaterem? Nigdy mnie nie znajdują. Nie, panie - oświadczył chełpliwie. - Nawet nie wiedzą, kim jestem.

- Wiemy dobrze! - odkrzyknął Nick. - Od początku wiedzieliśmy. Jesteś Donald Stark, znamy cię od podszewki. Jesteś szmatławym producentem filmowym. Kazałeś prostytutkom udawać, że ktoś je zabija. Amatorska robota, takie sadomasochistyczne gówno - dodał. - Kto by w to uwierzył. Czyste dyletanctwo. Ledwo mogłeś związać koniec z końcem, sprzedając ten smulec w Internecie. Masz mnóstwo niezadowolonych klientów.

- Niezadowolonych?! - ryknął Stark.

Nick wzruszył ramionami.

- Słaby jesteś. Powinieneś zmienić zajęcie. Może w pudle nauczysz się nowego fachu.

Stark skupił całą uwagę na antresoli. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że trzyma Laurant słabiej niż przedtem ani z tego, że nóż jest teraz skierowany nie w jej gardło, lecz ku drzwiom.

- Nie, nie, nic. Kłamiesz. Nikt nie wie, kim jestem. Podśłuchiłeś, jak rozmawiam z Laurant...

- Nie, Stark, Od początku wiedzieliśmy, kim jesteś. Artukuł, który się ukazał, miał cię wywabić z kryjótki. Wszyscy brali w tym udział, nawet Tommy. Zaplanowaliśmy to do ostatniego szczegółu.

Nick widział, że jego kłamstwa robią na Starku wrażenie. Sukinsyn poczerwieniał na twarzy, oczy wychodziły mu z orbit. Nick potrzebował tylko sekundy i wierzył, że doprowadzony do wściekłości Stark popełni w końcu nieostrożność.

No, dalej. Spróbuj mnie dostać. Zapomnij o niej. Spróbuj mnie dostać, myślał w skupieniu.

Laurant zobaczyła, że lufa pistoletu trzymanego przez Starka z wolna się unosi. Czuła, jak szalenie tężeje. Próbował ją podnieść, żeby móc strzelić do Nicholasa. Nagle usłyszała pisk opon na żwirowym podejździe. Czyżby Tommy? Boże, tylko nie to. Ktokolwiek wejdzie teraz do domku, zginie.

- Nie! - krzyknęła i szarpnęła się, wkładając całą energię w pchnięcie Starka do tyłu. Ramieniem podbiła mu rękę z pistoletem. Strzelił na oślep. Kula trafiła w witrażowe okno, które rozprysnęło się z brzękiem, i przeleciała tak blisko jej twarzy, że poczuła na skórze gorący podmuch. Dalej stawiała opór, ale Stark był za silny. Nie puścił jej i nie dał się przewrócić.

Znów skierował pistolet w górę i w tej samej chwili w drzwiach domku pojawił się Jules Wesson w strzeleckiej pozycji, z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Czekał na dogodną okazję.

Laurant jeszcze raz szarpnęła się z całej siły i wreszcie udało jej się obrócić twarzą do Starka. Wtedy zaatakowała. Chwyliła go lewą ręką za nadgarstek, wbijając mu paznokcie w skórę, żeby nie mógł dobrze wycelować broni. Próbował dźgnąć ją w tę rękę nożem, ale właśnie wtedy zamachnęła się i wbiła mu wygiętą agrafkę w oko.

Upuścił nóż i przycisnął dłoń do oka, wyjąc jak zranione zwierzę.

W tej samej chwili Nick przesadził poręcz i skoczył. Lecąc, krzyknął do Laurant, żeby padła na ziemię, i wyrwał glocka zza pasa.

Stark zerwał się na równe nogi i strzelił na oślep. Wesson rzucił się na ziemię i również wystrzelił w chwili, gdy kula świsnęła mu koło głowy.

Nick wylądował na stole i stamtąd trafił Starka w pierś. Wesson wybił Starkowi broń z ręki, a drugi strzał Nicka trafił próbującego uciekać szaleńca w głowę. Trzeci dosięgnął nogi.

Stark zwałił się na plecy. Leżał z podkurczoną nogą i szeroko otwartymi oczami. Nick stał nad nim, ciężko dysząc, i usiłował opanować gniew.

Usłyszawszy szloch, natychmiast się odwrócił. Laurant leżała na ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach. Wesson podbiegł do szaleńca, a Nick przykleknął obok niej. Wyciągnął rękę, chciał jej dotknąć, ale się powstrzymał. Obawiał się, że jeszcze pogłębi cierpienie dziewczyny.

- Bardzo cię przepraszam - szepnął. - Bóg mi świadkiem, jak bardzo żałuję, że sprowadziłem to nieszczęście na ciebie i Tommy'ego. To wszystko moja wina.

Rzuciła mu się w objęcia.

- Czy on nie żyje? Czy to już koniec?

Objął ją mocno i zamknął oczy.

- Tak, serduszek, to już koniec.

37

M-janim Nick dotarł z Laurant do szpitala, Noah już leżał na stole operacyjnym. Usłyszawszy od pielęgniarki, że przywieziono Laurant, Tommy, wciąż ubrany w zakrwawiony ornat, natychmiast przybiegł z sali nagłych przypadków.

Był śmiertelnie przerażony, póki nie zobaczył siostry. Owszem, widać było po niej, że przeszła przez piekło, ale spokojnie oddychała i nawet zdołała wykrzesać z siebie uśmiech. Nick siedział obok niej na kozetce i obejmował ją w talii. Tommy'emu przemknęło przez myśl, że Nick wygląda jeszcze gorzej niż ona. Twarz miał popielatą, a w oczach wyraz zaszczutego zwierzęcia.

- Co z Noahem? - spytał. Jaki stan?

- Łatają go - odpowiedział Tommy. - Lekarz powiedział mi, że kula nie uszkodziła żadnych ważnych organów, ale mimo to stracił dużo krwi. Dojdzie do siebie - zapewnił. - Potrzebuje tylko czasu, żeby odzyskać siły.

- Jak długo jest już na sali operacyjnej? - spytał Nick.

- Około dwudziestu minut. Na pewno z tego wyjdzie. Znasz Noaha. Jest twardy jak kamień.

Laurant przytuliła się do Nicka i położyła głowę na jego ramieniu. Mocno trzymała go za rękę. Bolało ją dosłownie wszystko. Nie mogła się zdecydować, co dokucza jej najbardziej: głowa, ręka czy noga. Każdy skrawek jej ciała zdawał się pulsować bólem. Chciała odpocząć, ale gdy zamykała oczy, kręciło jej się w głowie i chwytały ją mdłości.

- Gdzie, u diabła, jest lekarz?! - spytał zirytowany Nick.

- Dostał wiadomość na pager - odpowiedział Tommy. Podszedł do siostry i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. - Wszystko będzie dobrze. - Chciał powiedzieć to przekonująco, ale, niestety, wyszło mu raczej pytanie.

- Na pewno. Jestem tylko bardzo zmęczona.
- Co się stało? Szłaś tuż za mną, kiedy wynosiłem Noaha.
- On stał przed kościołem i mnie zawołał. Poprosił, żebym mu pomogła. Chyba mi powiedział, że go postrzelono.

- Kto cię zawołał?

- Justin Brady. Tylko że to nie był prawdziwy Justin. - Zerknęła na Nicka. - Zaczęłam do niego podchodzić, ale nagle usłyszałam w głowie twój głos.

- Co mówiłam?

- Żeby nikomu nie wierzyć. Wiedziałam, że z Justinem jest coś nie tak, i nagle zauważyłam, że jest w rękawiczkach. Gumowych. - Spojrzała na brata. - Próbowałam uciec, ale skoczył za mną, a potem ocknęłam się w jego furgonetce. Wymontował wszystkie klamki, więc nie mogłam się wydostać ze środka. Wiesz, Tommy, on pokazał mi kiedyś zdjęcie żony. Zrobione na pikniku. Widocznie komuś je ukradł.

- Porozmawiamy o tym później - odparł Tommy, widząc, jak bardzo siostra przeżywa ten koszmar. - Nie myśl o tym teraz.

- Tommy, popędź tego przeklętego doktora - burknął Nick.

Lekarz, gburowaty facet w średnim wieku nazwiskiem Benchloy, odsunął zasłonę w tej samej chwili, gdy ksiądz miał iść go poszukać. Obrzucił Laurant badawczym spojrzeniem i natychmiast kazał się wynieść obu mężczyznom.

Miał manieri tresowanego dobermana. Krzyknął na pielęgniarkę, żeby przysłała pomoc, i spojrzawszy bykiem na Nicka, który dalej siedział na kozetce, powtórnie kazał mu wyjść.

Nick odmówił. Nie bawił się przy tym w dyplomację. Lęk obudził w nim wrogość i wojowniczość, trafiła jednak kosa na kamień. Doktor Benchley pracował dwanaście lat na oddziale nagłych przypadków w cieszącej się bardzo złą sławą dzielnicy Los Angeles. Widział i słyszał doprawdy niejedno. Dlatego nie bał się niczego, nawet uzbrojonego agenta FBI z obłędem w oczach.

Tommy włączył się do sprzeczki i odciągnął przyjaciela za zasłonę, póki ten jeszcze trochę nad sobą panował.

- Daj mu ją zbadać - powiedział. - To dobry lekarz. Usiądź w poczekalni. Jeśli wybierzesz miejsce blisko drzwi, będziesz widział zasłonę.

- No, dobra - zgodził się Nick, ale nie mógł się zmusić do tego, żeby usiąść. Zaczął nerwowo chodzić w kółko. - Może poczekaasz na górze - zwrócił się w końcu do przyjaciela. - Niech

pielęgniarka przyśle mi wiadomość na pager, jak skończą operować Noaha. Chcę porozmawiać z lekarzem.

- Zaraz pójde - obiecał Tommy. - Chcę tylko poczekać, aż Benchley skończy oględziny Laurant. Ona na pewno się z tego wykaraska - powiedział bardziej do siebie niż do przyjaciela. - Wygląda kiepsko, ale na pewno się wykaraska.

- A gdyby to się inaczej skończyło. Tommy? Omal przeze mnie nie zginęła. Porwał ją. Trzymał jej nóż przy gardle. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem. Jedna sekunda. Tyle wystarczy, żeby przeciąć tętnicę. I to wszystko z mojej winy. Powinienem być wcześniej to rozgryźć.

- Co?

Nick nie odpowiedział od razu. Jeszcze raz przeżywał te straszne chwile, gdy wczołgał się na antresolę i zobaczył Laurant na dole.

- Nie powinienem był dopuścić do tego, żeby ją porwał. Nie powinienem być mieć do tego okazji. Przez moją niekompetencję omal nie straciła życia, a Noah jest ranny.

Tommy nigdy nie widział przyjaciela tak poruszonego.

- Przystań się biczować i powiedz mi, co się stało. Co powinieneś być wcześniej rozgryźć?

Nick potarł czoło i oparł się o ścianę. Nie odrywał wzroku od zasłony. Opowiedział Tommy'emu wszystko, a gdy skończył, ten poczuł, że musi usiąść.

- Boże, oboje mogliście zginąć. - Głośno odetchnął i wstał. - Ale wiesz, że powiedziałbym ci, gdybyś, moim zdaniem, spaskudził swoją robotę.

- Wiem.

- Nie spaskudzileś roboty - rzekł ksiądz zdecydowanie. - Pete też się niczego nie domyślił - zwrócił mu uwagę. A ty zrobiłeś, co do ciebie należy. Zapewniłeś ochronę mojej siostrze i uratowałeś jej życie.

- Ona właściwie uratowała się sama. Ja stałem na górze uzbrojony po zęby, a ona wbiła temu bydlakowi agrafkę. Trafiła prosto w oko.

Tommy się wzdrygnął.

- Będą jej się śniły koszmary.

Przyszła pielęgniarka z informacją dla Nicka. Telefonował agent Wesson. Tommy został w poczekalni. Zerknął w dół i dopiero wtedy uświadomił sobie, że wciąż ma na sobie ornat zakrawiony przez Noaha.

- Wesson znalazł detonator. Był wmontowany do pilota, otwierającego drzwi garażu - powiedział Nick, gdy wrócił.

- A co z bombą?

- Opactwo jest otoczone przez policję, helikopterem lecą tam saperzy.

- Wiesz, Nick, mamy szczęście, że nikomu nic się nie stało. - Tommy starał się zająć przyjaciela, wiedział bowiem, że oczekiwanie go zabija, a nie chciał, by Nick w końcu stracił cierpliwość i bez pozwolenia wpadł do pomieszczenia za zasłonką.

- Dlaczego on tak długo ją bada?

- Jest dokładny.

- A ty jesteś cholernie spokojny.

- Jeden z nas musi.

- Ale jesteś jej bratem i widziałeś, jak ona wygląda. Na twoim miejscu odchodziłbym od zmysłów.

- Laurant jest silną kobietą.

- Jest silna, ale są też jakieś granice wytrzymałości.

Zasłona się rozchyliła i wyszła z za niej pielęgniarka, która pomagała doktorowi. Podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

Lekarz został z Laurant. W sytuacji sam na sam jego maniery bardzo się polepszyły. Nagle stał się uprzejmy i delikatny. Znieczulił i oczyścił jej ramię. Potem założył opatrunek z gazy, żeby rana się nie zanieczyściła, zanim chirurg plastyczny przyjdzie ją zszyć. Zaczął badać dotykiem obrzmienie wokół lewego oka, ale przestał, gdy Laurant niespokojnie drgnęła.

- Będzie pani miała gigantycznego siniaka - powiedział.

Potem dał jej skierowanie na prześwietlenie. Niepokoił się guzem u podstawy czaszki i chciał sprawdzić, czy nie doszło do wstrząśnienia mózgu.

- Zatrzymamy panią na noc na obserwacji.

Przylepił jeszcze jeden plaster, żeby opatrunek na ramieniu dobrze się trzymał, i dodał:

- Słyszałem, co się stało w kościele. To szczęście, że pani żyje.

Laurant była odrętwiała i nieco zdezorientowana. Trudno jej było się skupić. Lekarz chyba o coś ją spytał, ale nie była tego pewna, a nie miała siły prosić go o powtórzenie.

- Pielęgniarka pomoże pani przebrać się w szpitalną koszulę.

Gdzie był Nick? Czy czekał tam na zewnątrz z jej bratem, czy już poszedł? Chciała, żeby ją objął i przytulił. Poruszyła nogą

i przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć. Miała takie wrażenie, jakby wsadziła tę nogę w ogień.

Lekarz już się odwrócił i odchodził, gdy usłyszał szept:

- Zdaje się, że znowu krwawi. Czy mogę prosić jeszcze kawałek plastra?

Obrócił się do niej.

- Ranę na ramieniu trzeba zszyć. Pamięta pani? Mówiłem, że chirurg niedługo przyjdzie.

Traktował ją jak dziecko. Wyciągnął w górę dwa palce i spytał, ile widzi.

- Dwa - odparła, mrużąc oczy, gdy zaświecił w nie latarką. - Mówiłam o nodze - wyjaśniła. - Skaleczyłam ją, padając, a teraz znowu krwawi.

Mdłości były coraz silniejsze, choć głębokie oddechy trochę ją ratowały.

Benchley poddał jej spódnicę sukni i zobaczył krew na halce.

- A to co znowu? - spytał. - Delikatnie przesunął halkę nad kolano i podniósł nogę do góry. Obejrzał ranę.

Laurant nie mogła dojrzeć tego miejsca. Przeszkadzała jej spódnica.

- Potrzebuję kawałek plastra - powtórzyła.

- Jasne - potwierdził lekarz. - Ale najpierw musimy wyjąć kulę.

Chirurg miał pracowity wieczór. Po operacji zdjął czapkę/kc z maską i wyszedł do poczekalni, by powiedzieć, że Noah jest już w sali pooperacyjnej. Zapewnił Nicka i Tommy'ego, że nie ma żadnych komplikacji i agent szybko odzyska siły. Potem wrócił, żeby się umyć i zająć Laurant. W czasie gdy usuwał kulę, chirurg plastyczny zszył jej ramię.

Pielęgniarka dała księdzu zegarek i pierścionek zaręczynowy siostry. Ten bez wahania przekazał rzeczy Nickowi.

Laurant była na sali operacyjnej niedługo. Potem przez krótki czas leżała obok Noaha na sali pooperacyjnej. Zanim jednak zbudziła się z narkozy, przewieziono ją do izolatki.

Upewniwszy się, że z Noahem wszystko jest w porządku, Nick poszedł do izolatki Laurant i czuwał tam całą noc. Noaha przewieziono na oddział intensywnej terapii, żeby mieć lepszą kontrolę nad jego stanem, a gdy tylko go tam zabrano. Tommy pojechał przebrać się w opactwie. Potem wrócił do szpitala i siedział przy agencie.

Około drugiej w nocy do szpitala dojechał Pete Morganstem. Najpierw poszedł do Noaha. Tommy spał na krześle przy łóżku, zbudził się jednak, gdy Pete czytał kartę pacjenta. Wyszli na korytarz, żeby porozmawiać. Wreszcie ksiądz powiedział Morgansternowi, gdzie znajdzie Laurant z Nickiem.

Dziewczyna spała, ale niespokojnie. Gdy na chwilę przytomniała, wołała Nicka. Narkoza powoli przestawała działać. Laurant jeszcze nie bardzo mogła unieść powieki, ale czuła, że Nick trzymają za rękę. Jego głos brzmiał kojąco i wiedziała, że zaraz znowu zaśnie.

- Nick?

- Jestem tutaj.

- Zdaje mi się, że obrzygałam doktora Benchleya.

- Grzeczna dziewczynka.

Minęła następna godzina.

- Nick?

- Jestem, jestem, Laurant.

Poczuła, jak ściska ją za rękę.

- Powiedziałeś Tommy'emu, że spaliśmy ze sobą?

Usłyszała odgłos krztuszenia się, a potem Nick odrzekł:

- Nie, ale właśnie sama to zrobiłaś. Tommy stoi tu obok.

Znowu zasnęła, ale tym razem spokojnie, bez koszmarów.

Gdy Pete wszedł do pokoju, Nick pochylał się nad Laurant. Wsunął jej na palec zaręczynowy pierścionek, a potem zapiął zegarek na nadgarstku.

- Co z nią? - spytał cicho Pete.

- W porządku.

- A z tobą?

- Ani zadrapania.

- Nie o to pytam.

Wyszli na korytarz. Pete zaproponował zejście do kawiarenki, ale Nick nie chciał zostawić Laurant samej. Powiedział, że musi być obok, w razie gdyby go wołała.

Usiadli więc na krzesłkach, które Pete przyniósł z dyżurki pielęgniarki.

- Przyjechałem tutaj z dwóch powodów - zaczął. - Po pierwsze, chciałem, rzecz jasna, odwiedzić Noaha.

- A po drugie?

Pete westchnął.

- Muszę cię przeprosić.

- To ja wszystko schrząniłem.

- Nieprawda - stanowczo zaprzeczy! Pete. - To moja wina. Powinienem być cię posłuchać. Po aresztowaniu Brennera powiedziałeś mi przecież, że, twoim zdaniem, to nie on, i jak wtedy zareagowałem? Zlekceważyłem wszystko, czego mnie uczono. Byłem tak bardzo pewny, że widzisz drzewa, ale nie dostrzegasz lasu, że zarzuciłem ci nadmierne osobiste zaangażowanie. Zignorowałem twój instynkt i to był błąd, który już się nie powtórzy. Czy wiesz, jak blisko katastrofy byliśmy tym razem?

Nick skinął głową. Oparł się o ścianę i wyprostował nogi.

- Wielu ludzi mogłoby zginąć, gdyby ta bomba wybuchła.

Pete zaczął wypytywać o przebieg zdarzeń i nie skończył, póki nie dowiedział się absolutnie wszystkiego.

- Artykuł w gazecie... Tak, masz rację, to mogło go spowodować - przyznał.

- Jasne.

- Jego żona była bliska ideału. Czy tak powiedział Laurant?

- Tak - potwierdził Nick. - Zona Starka musiała wiedzieć, co ją czeka. Gdyby uznał, że osiągnęła ideał, zabiłby ją tak samo, jak zabił matkę. Kiedy teraz o tym myślę, przypuszczam, że nie wytrzymała nerwowo i pękła. Dlatego porwała tego chłopca.

- Nigdy nie poznamy jej motywów - odrzekł Pete. - Może wierzyła w to, że założenie rodziny coś w ich życiu zmieni.

- Że zrobi ze Starka kochającego ojca?

- Mniej więcej.

- A może chciała z tym wszystkim skończyć... dać nam siebie zamiast jego.

Pete skinął głową.

- To też możliwe. Co z Laurant? - spytał.

- Lekarze mówią, że wyzdrowieje.

- Będziesz tu z nią siedział?

Nick wiedział, o co Pete pyta.

- Zostanę dopóty, póki nie będę mógł jej powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że ją w to wszystko wciągnąłem.

- A potem?

- Wyjeżdżam. - Podjął już decyzję.

- Rozumiem.

Nick zerknął na przełożonego.

- Cholera! Naprawdę mi się nie podoba ton, jakim to mówisz. Jakbyś był doktorem od świrów.

- Nie możesz zagłuszyć głosu serca, Nick. Ucieczka nie rozwiąże twojego problemu.

- I naturalnie zaraz mi powiesz, na czym ten problem polega, prawda?

- Oczywiście - przyznał Pete bez wahania. Miłość do Laurant oznacza, że nie są ci obce ludzkie uczucia, a to cię przeraża. Prosta sprawa.

- Przecież nie uciekam, tylko wracam do pracy. Jakie życie mógłbym jej zaoferować? Ona zasługuje na dużo szczęścia i całkowite bezpieczeństwo, a ja jej tego nie mogę zagwarantować. Stark posłużył się nią i Tommym, żeby zemścić się na mnie. To może zdarzyć się znowu z kimś innym. Bóg jeden wie, ilu narobiłem sobie wrogów, odkąd dla ciebie pracuję. Nie, nie mogę do tego dopuścić. Nie zaryzykuję.

- I dlatego chcesz wpędzić się w jeszcze głębsze osamotnienie niż do tej pory?

Nick wzruszył ramionami.

- Czy naprawdę już podjąłeś decyzję?

- Tak.

Pete wiedział, że go nie przekona, ale czuł się w obowiązku rozniecić jeszcze więcej wątpliwości.

- Psychiatrów uczy się zauważać drobiazgi. Musimy bacznie obserwować.

- Więc?

- Kiedy wszedłem do pokoju Laurant, zakładałaś jej na palec zaręczynowy pierścionek. To mi się wydaje dziwne.

Nick nie potrafił sensownie wytłumaczyć swojego zachowania.

- Nie chciałem, żeby po przebudzeniu pomyślała, że go zgubiła - mruknął. - Teraz może odnieść go do sklepu i odzyskać pieniądze. To wszystko. Nie dręcz mnie już.

- Tylko jeszcze jeden drobiazg i obiecuję, że przestanę. Mam do ciebie ostatnie pytanie.

- Jakie? - spytał zbolalym głosem.

- Skąd weźmiesz tyle siły, żeby ją opuścić?

38

Od postrzelenia Noaha minął tydzień. Agent odzyskiwał siły w opactwie, ale nie miał tam spokoju. Trwały jubileuszowe uroczystości, wciąż też odwiedzali go goście, najczęściej kobiety z podarkami. Opat był zachwycony. Domowego jedzenia mieli tyle, że wszyscy mieszkańcy opactwa mogliby żywić się nim przez miesiąc.

Tommy właśnie odprowadził jedną z parafianek do drzwi, podziękował jej za opiekę i wrócił do pokoju, w którym Noah siedział rozparty na sofie. Opadł na krzesło i położył nogi na otomanie. Usiłował przekazać Noahowi najnowsze wiadomości, ale bez przerwy ktoś mu przerywał.

- O czym to ja mówiłem?
 - Opowiadałeś, co się działo z Laurant w szpitalu.
 - Ano tak. Ani Nick, ani ja nie wiedzieliśmy, że ten drań trafił ją w nogę. A tu doktor wychodzi i mówi, że została postrzelona. Nick dostał szału.
 - Oto, co miłość robi z ludzi.
 - Chyba tak - przyznał Tommy. - I bez tego zachowywał się jak wariat, ale to była kropla, która przepełniła czarę.
 - Tak? - Noah uśmiechnął się. - Szkoda, że tego nie widziałem. On jest zawsze taki spokojny i opanowany. Co takiego zrobił?
 - Zaczął krzyczeć: „Co to znaczy, do cholery, że ona została postrzelona? Co to za szpital?”.
- Noah parsknął śmiechem.
- Na kogo tak się wydzierał?
 - Na doktora Benchleya. Poznałeś go, prawda?
 - Tak. Czarujący człowiek.
 - Nie dał się, tylko zaczął krzyczeć na Nicka: „Ciszej, koleś.

to nie ja ją postrzeliłem!”. Ale Nick już zupełnie nad sobą nie panował i bałem się, że zaraz postrzeli doktora.

- I co?
- Na szczęście do lego nie doszło. Za to potem nie odstępował od jej łóżka. Siedział z nią całą noc, ale Pete'owi zapowiedział, że jak tylko Laurant się zbudzi, to się z nią pożegna. Tak też zrobił. Nawet uściśnął jej dłoń.
- Noah znowu się roześmiał.
- I co ona na to?
- Nazwała go idiotą i znowu zasnęła.
- Uwielbiam twoją siostrę, Tommy.
- Nick był naprawdę zdeterminowany. Miał jeszcze sporo pracy, przesiedział parę dni w Nugent. Znaleźli Lonniego. Zaszły się w moteliku pod Omaha. Oskarżono go o podpalenie.
- A co z Brennerem? Czy udało się znaleźć to konto, o którym szeryf powiedział Laurant?
- Tak. Brenner fałszował księgi i okradał firmę Griffen. Ma przed sobą długą odsiadkę. Ach, a mówiłem ci, co zrobił Christopher?
- Pan młody?
- Tommy skinął głową.
- Polecieli z Michelle na Hawaje, ale połowę miodowego miesiąca spędził przy telefonie. W każdym razie przekonał Griffena. Żeby kupić od miasta inną parcelę i zostawił rynek Holy Oaks w spokoju. Umowa jest tak sformułowana, że część zysków będzie przeznaczona na renowację rynku i rozwój nowych sklepów. Christopher naprawdę bardzo się zasłużył dla miasta. Zresztą sam zamierza wkrótce otworzyć kancelarię przy rynku. A Michelle będzie prowadziła sklep Laurant, dwa domy dalej.
- A Laurant?
- Będzie malować.
- Noah uśmiechnął się.
- To dobrze.
- Czas na antybiotyki.
- Dobra. Połknę go z piwem.
- Jest dziesiąta rano. Nie możesz o tej porze pić piwa.
- Ech, wy, księża, jesteście strasznie zasadniczy. Tom dał mu pepsa i znowu usiadł.
- Słyszałem, że Wesson zamierza podać się do dymisji. Noah przestał się śmiechać.

- Należałoby go do tego zachęcić.
- Mógłbyś trochę mu odpuścić - powiedział Tommy. - Nick powiedział mi, że tam, w domku opata. Wesson specjalnie wlał Siarkowi pod łufę, żeby odwrócić jego uwagę i ułatwić Nickowi dojście do strzału.
- Trochę za późno, gdyby ktoś mnie o to pytał. Zresztą nie mówmy o Wessonie. Pete już mi wszystko zrelacjonował. Powiedz mi lepiej, czy Nick ją zostawił, czy nie.
- To ona go zostawiła.
- Nie żartuj. Dokąd pojechała?
- Do Paryża. - Tommy rozpromienił się i dodał: - Wygrała proces. Odzyskała co do centa wszystkie pieniądze dziadka, a do tego procenty. Musiała tam polecieć, żeby podpisać jakieś dokumenty.
- Wszystko dobre, co się dobrze kończy.
- Nickowi nie powiedziałem, po co tam pojechała. Noah uniósł brew.
- A co mu powiedziałeś?
- Tommy wzruszył ramionami.
- Tylko tyle, że poleciała do Paryża.
- Dałeś mu do zrozumienia, że na stałe?
- To możliwe.
- Nie ma siły, żeby za nią pogonił. Musiałby wsiąść do samolotu, który leci nad Atlantykiem. Do tego nie jest zdolny.
- Tommy zerknął na zegarek.
- Za kilkanaście minut powinien wylądować w Paryżu. Noah kolejny raz wybuchnął śmiechem.
- On ma nie po kolei. Powiedział, że wyjeżdża, i wszystko było okej, ale tego, że to ona go zostawiła, znieść nie może.
- Phi, nawet dojechał do Des Moines i dopiero tam zawrócił. A jak znowu pojawił się u mnie, powiedziałem mu, że Laurant wyjechała.
- Na zawsze.
- Tommy skinął głową.
- Trudna miłość - wyjaśnił. - Kocham Nicka jak brata, ale musiałem tak wobec niego postąpić.
- Masz na myśli to, że go okłamałeś.
- Tak.
- A niech mnie. Chyba zgrzeszyłeś. Chcesz się u mnie wyspowiadać?

Ajaurant była wykończona. Przez większą część lotu do Paryża płakała, a gdy nie płakała, szalała ze złości, że zakochała się w idiocie. Naturalnie nic zmrużyła przez to oka, a gdy tylko samolot wylądował, musiała jechać prosto do kancelarii adwokackiej, aby podpisać dokumenty.

Jej pełnomocnicy chcieli świętować. Ona zamierzała wrócić do Bostonu i znaleźć Nicka, nie mogła jednak się zdecydować, co zrobić, gdy już go znajdzie. W jednej chwili zdawało jej się, że namiętnie by go pocałowała, zaraz potem, że wygarnęłaby mu od serca. Tak ostatnio z nią było. W ogóle nie wiedziała, czego chce. Zanim poznała Nicka, zawsze była praktyczną, konkretną osobą, a tu nagle miała kłopoty z zasypianiem i ciągle tylko roniła łzy.

Wynajęła pokój w hotelu i wzięła porządny gorący prysznic. Miała spakowaną śliczną koszulkę nocną, ale włożyła czerwony podkoszulek z wielką białą rybą na przedzie.

Jak mógł ją rzucić? Łzy znowu popłynęły jej po policzkach i to bardzo ją rozzłościło. Przypomniała sobie, jak zareagował Nick, gdy powiedziała mu, że go kocha. Wydawał się przerażony. Myślała, że boi się komplikacji w życiu, lecz jednak przestała się oszukiwać i pogodziła z prawdą. On po prostu nie odwzajemniał jej uczucia. Jakie to proste.

Wzięła paczuszkę papierowych chusteczek, położyła się do łóżka i zatelefonowała do Michelle, żeby wypłakać się przyjacielce.

Michelle odebrała telefon natychmiast. Wydawała się śpiąca.

- Jeśli dzwonisz, żeby mi powiedzieć, jak ci przykro z powodu ślubu, to wiedz, że wybaczam ci po raz czwarty. Bo już trzy razy dzwoniłaś do mnie na Hawaje w tej sprawie. To, co się stało, nie było twoją winą, jasne? Mama też ci wybacza i tata też. I nawet Christopher.

- On mnie rzucił, Michelle.

Przyjaciółka nagle otrzeźwiała.

- Co to znaczy? Nick cię rzucił? I skąd dzwonisz?

- Z Paryża - odrzekła Laurant, pociągając nosem.

- Zdaje się, że płaczesz. Przegrałaś proces? Tak mi przykro...

- Nie przegrałam.

- Chcesz powiedzieć, że znowu jesteś bogata?

- Chyba tak.

- Nie wydajesz się tym nadmiernie uszczęśliwiona.

- Nie słyszałaś, co powiedziałam? Nick mnie rzucił. Nie po-

wiedziałam ci o tym ostatnio, kiedy dzwoniłam, ale rzucił mnie zaraz następnego dnia po twoim ślubie. Uściskał mi dłoń, Michelle, i odszedł. On mnie nie kocha.

- Uściskał ci dłoń? - Michelle zaczęła się śmiać.
- To nie jest śmieszne. Ta rozmowa kosztuje majątek, więc okaż mi należne współczucie, i to szybko.
- Okej - zgodziła się Michelle. - Nie płacz, moja droga. Wszystko będzie dobrze.
- Teraz jesteś sarkastyczna.
- Przepraszam. Co zamierzasz z tym zrobić?
- Nic. On mnie nie kocha,
- Widziałam, jak na ciebie patrzył, kiedy tańczyłaś podczas pikniku. Dokładnie tak samo, jak Christopher na mnie, kiedy chce... no, wiesz czego.
- To jest żądza, a nie miłość. A ja go spłoszyłam.
- Widzisz, moja droga, masz do tego talent. Zostało ci tylko jedno - doradziła. - Jedź za nim. Złap go w potrzask.

Laurant westchnęła.

- Nic mi nie pomagasz. Czuję się okropnie. Nienawidzę być zakochana.
- Jedź za nim - powtórzyła Michelle.
- I co dalej? Nie mogę go zmusić do tego, żeby mnie pokochał. Czuję się okropnie. Jeśli na tym polega miłość, to możesz ją sobie zabrać. Wiesz, co zrobić? Ułożę sobie życie tak, jak chcę, i zapomnę o nim. Właśnie tak zrobię.

- Powodzenia - powiedziała Michelle i Laurant wyraźnie usłyszała, że przyjaciółka się uśmiecha. - Tylko odpowiedz mi na jedno pytanie. Jak zamierzasz o nim zapomnieć?

- Zakochałam się w nim z dnia na dzień, więc prawdopodobnie uczucie nie jest prawdziwe. To mi się wydaje logiczne, a tobie nie?

- Daj spokój. Czy ty się słyszysz? W głębi duszy sama dobrze wiesz, że to nie jest byle jakie zauroczenie. Ja zakochałam się w Christopherze po naszej pierwszej randce. Czasem tak bywa. Po prostu od razu wiedziałam, że to on. Chciałam z nim spędzić resztę życia. Jedź za Nickiem, Laurant. Nie zmarnuj sobie życia przez głupią dumę.

- Duma nie ma z tym nic wspólnego. Gdyby mnie kochał, toby mnie nie rzucił. Teraz wszystko jest skończone i muszę się z tym pogodzić.

Laurant miała wrażenie, że pęka jej serce. Nawet nie słuchała.

co mówi Michelle. Przerwała przyjaciółce krótkim „do widzenia”. Chciała wrócić do domu, tylko nie wiedziała już, gdzie ma dom.

Zamówiła gorącą herbatę. Sposób na stres. Tak nazwał Nick jej herbaciany nawyk.

Nagle zapragnęła jak najszybciej odlecieć z Paryża. Zadzwoiła do biura linii lotniczej i zarezerwowała sobie miejsce. Pomyślała, że wyśpi się w samolocie, wstała więc z łóżka, by znowu spakować rzeczy. Właśnie zamknęła torbę, gdy usłyszała pukanie. Przyniesiono jej herbatę. Z chusteczką w ręce poszła otworzyć drzwi.

- Proszę postawić...

W korytarzu stał Nick i patrzył na nią bykiem. Była tak zaskoczona jego widokiem, że dosłownie skamieniała.

Wyglądał strasznie. Włosy opadały mu na twarz, ubranie miało w takim stanie, jakby w nim spał, a pod oczami malowały mu się sine półkola. Pomyślała, że jest piękny.

- Dlaczego nie używysz łańcucha? Co ty sobie myślisz, że ot tak otwierasz drzwi? Czy były w ogóle zamknięte na klucz?

Nie odpowiedziała mu. Wciąż stała i patrzyła na niego w osłupieniu.

Nick zauważył, że płakała. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Musiał lekko ją popchnąć, żeby cofnęła się do pokoju.

- Tak się zamyka drzwi - powiedział i przekreślił zasuwkę.

Teraz ją miał. Oparł się o drzwi, żeby mu nie uciekła. Głęboko odetchnął i nagle opuściło go uczucie paniki. Laurant była niecały krok od niego, a świat znowu wydawał mu się całkiem do rzeczy.

- Jak mnie znalazłeś?

- Pracuję w FBI. To mój fach. Znajdujemy ludzi, którzy próbują uciec. Do diabła, Laurant, jak mogłaś mnie tak zostawić! Bez słowa spakowałeś się i wyjechałeś do Paryża. Co jest z tobą, u diabła? Nawet nie wiesz, co przez ciebie przeszedłem. Coś ty sobie wyobrażała! - pienił się. - Nie wolno wyznaczyć komuś miłości, a potem nagle uciec. To jest cholerne okrucieństwo.

Laurant próbowała nadażyć za tą lawiną słów, ale Nick mówił tak szybko i z taką złością, że miała poważne trudności. Przede wszystkim nie mogła zrozumieć, po co, zdaniem Nicka, poleciała do Paryża. I dlaczego pomyślała, że go zostawiła.

Postanowiła zażądać od niego wyjaśnień natychmiast, gdy oswoi się z myślą, że stoi przed nią i zachowuje się jak kompletny, acz uroczy idiota.

- Zmienię pracę - oświadczył i skinął głową, żeby podkreślić.

że mówi poważnie. - Jeśli zgodzisz się mnie poślubić, to zmienię pracę.

- Co?

Dopiero wtedy Nick zauważył, że Laura ma na sobie podkoszulek, który kupił jej w motelu po pożarze. Natychmiast nawiedziły go bardzo gorące wspomnienia.

Uśmiechnął się tym swoim pięknym, obezwładniającym uśmiechem, wskazał ją palcem i powiedział:

- Kochasz mnie.

Chciał ją objąć, ale się cofnęła.

- Nie możesz zmienić pracy.

- Mogę - odpowiedział. - Zrobię wszystko, bylebyś poczuła się bezpieczna, ale przestań uciekać. Bez względu na to, dokąd pojedziesz, pojedę tam za tobą. Do diabła, Laurant, nigdy więcej nie pozwolę, żebyś mnie zostawiła!

Zatrzymała go wyciągnięciem ręki, bo znowu chciał ją objąć.

- Nie, nie możesz zmienić pracy. To, co robisz, jest zbyt ważne. A poza tym wcale nie uciekam. To ty mnie zostawiłeś, pamiętasz?

- No, owszem. Ale wróciłem i już cię nie było. Nie traciłaś czasu, żeby znaleźć się jak najdalej ode mnie. Tommy nie chciał mi zdradzić, dokąd pojechałaś, na szczęście w końcu to na nim wymogłem.

Powoli zaczynała rozumieć. Jej brat został swatem.

- A co on ci takiego powiedział?

- Że wyjechałaś do Paryża. Omal nie oszalałem, kiedy się dowiedziałem, że jesteś tak daleko ode mnie - wyznał. - Muszę cię mieć blisko siebie. Chce co wieczór wracać do ciebie, do domu. Chcę się z tobą zestarzeć. Potrzebuję cię, Laurant.

Znowu zaczęła płakać. Tym razem nie pozwolił jej się bronić przed objęciem. Bardzo mocno ją przytulił, pocałował w czoło i szepnął:

- Czy mnie poślubisz?

- Nie mogę poślubić człowieka, który nie potrafi utrzymać miejsca pracy. Musisz mi obiecać, że się nie zwolnisz.

- Mówisz poważnie?

- Kocham cię, Nicholas.

- Nie zwolnię się. - Ujął ją pod brodę i pochylił się nad nią. Połączył ich namiętny pocałunek, którym Nick chciał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha. - Wyjdź za mnie, Laurant. Nie unieszczęśliwiaj mnie dłużej.

Nagle poderwała głowę. Znowu spojrzała na niego całkiem osłupiała.

- Jak ty się tu dostałeś?

Nie pozwolił jej na ten unik. Ważniejsze było co innego.

- Wyjdź za mnie - powtórzył.

Uśmiechnęła się.

- Chcę mieć dzieci.

- Ja też - powiedział. - Z tobą wszystko. Będę neurotycznym ojcem, który wciąż się o nie zamartwia, ale z taką mamą jak ty wszystko ułoży się doskonale. Będą miały równowagę w rodzinie. Póki jesteś ze mną, wszystko jest możliwe. Kocham cię, serduszek.

Czule całowała go po szyi.

- Wiem. Już wiem.

- Tak. A od kiedy?

Miała nadzieję, że ich dzieci też będą miały niebieskie oczy. To taki piękny kolor.

- Odkąd stanąłeś tu, na progu. Musiałeś przelecieć nad oceanem, żeby mnie zobaczyć.

Roześmiał się.

- Dużo bardziej bałem się tego, że cię utracę. Poza tym lot wcale nie był taki straszny.

- Chcesz mi powiedzieć, że wyleczyłeś się ze swojej fobii?

- Jasne - powiedział niepewnie.

Uśmiechnęła się, czule go pocałowała i szepnęła:

- Popłyniemy do domu statkiem.